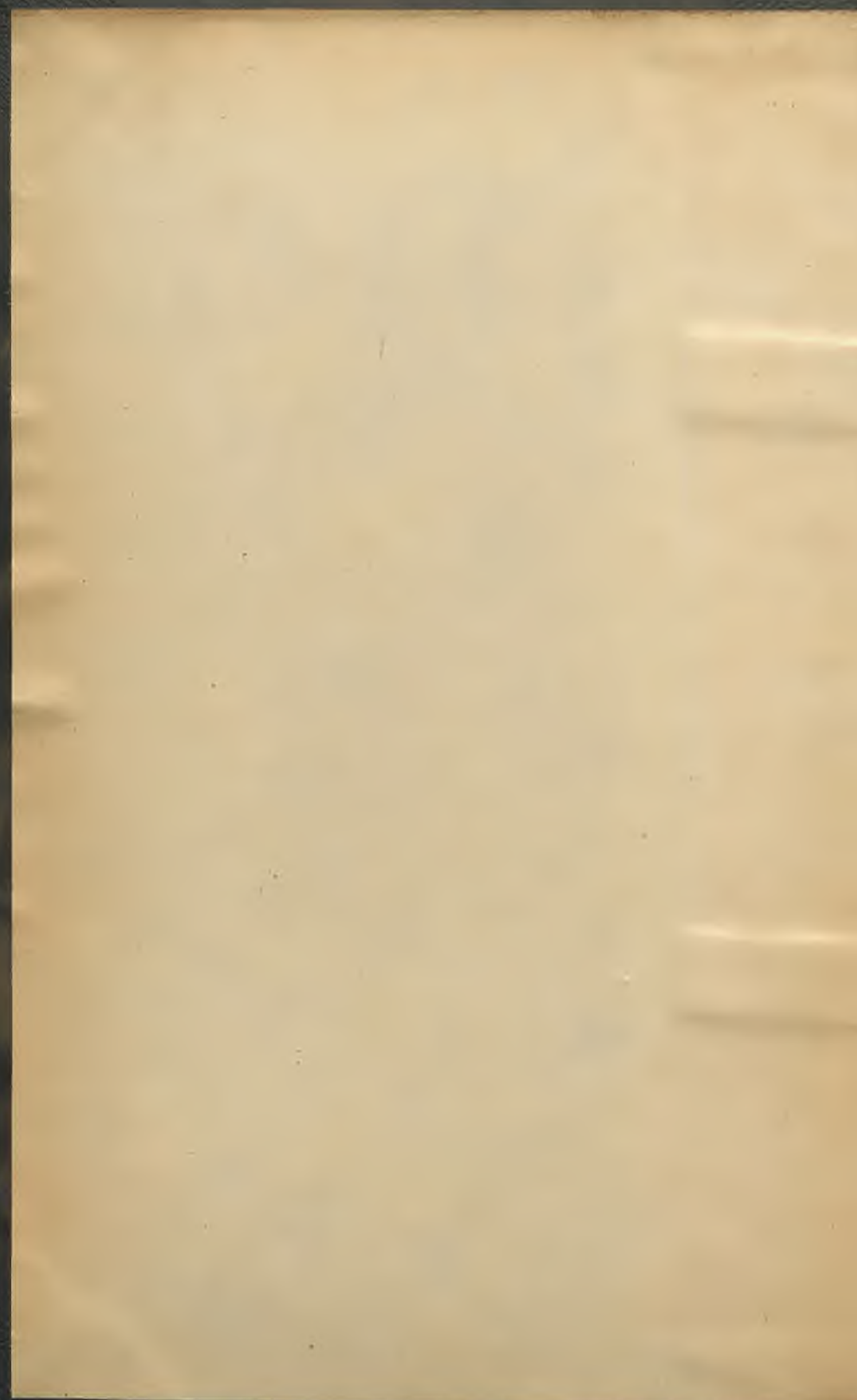


4501 II

1876 L.11/1-2





PRZEGLĄD POLSKI.

ROK XI.

Kwartał I.

(Lipiec, Sierpień, Wrzesień).

Ogólnego zbioru tom 41.



Nakładca i odpowiedzialny redaktor Dr. Ign. Skrochowski.

W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI Drukarni »CZASU»
pod zarządem J. Łakocińskiego.

1876.

4501. 1846. 11. 1-2
II.

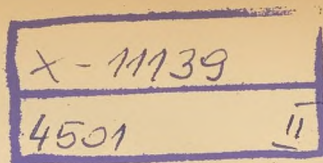
X-11139
4501/ II kw. 1-2
/R. 11/1876



30.000,-

4501

1846. M. 1-2



SPIS RZECZY

zawartych w tomie I.



	str
Obecne prześladowanie religii katolickiej w Prusach	3, 321
Po dziesięciu latach, przez Stanisława Tarnowskiego	86, 206
Sofokles i jego tragedye, Lucyana Siemińskiego	165, 365
Czechy i Rosya, przez Ksawerego Stodulskiego	265
Icek arendarz w wieku XVIII, drobnostka historyczna, przez Bernarda Kalickiego	354
Walka Kazimierza Jagiellończyka z Maciejem Korwinem o ko- ronę czeską, przez Juliana Sutowicza	409
Listy z Wielkopolski, przez Epsiloną	140, 264
Przegląd literacki, przez L...o, L. Powidaję, Stanisława Tomkowicza, Stanisława Tarnowskiego i Józefa Popiela	145, 271, 445
1) Józef Rogosz: Wspomnienie z Włoch.	
2) J. I. Kraszewski: Kawalek literata.	
3) hr. M. Czapski: Atlas do historii powszechnej konia.	
4) Potocki Leon: Urywek ze wspomnień pierwszej młodości.	
5) Księcia Eustachego Sanguszki: Pamiętnik (1786 — 1815).	
6) Bronisław Zaleski: „Z Życia Litwinki.“	
7) Gino Capponi: Storia della Repubblica Fiorentina.	
Kronika bibliograficzna krajowa i zagraniczna	281
O wyborach. List do Stan. Koźmiana, przez Pawła Popiela	461
Przegląd polityczny	153, 288, 468
Przegląd ekonomiczny przez Alfreda Szczepańskiego	324, 474
Aleksander Fredro, przez Stan. Koźmiana	303
Ludwik Wołowski, wspomnienie pośmiertne	472



OBECNE PRZEŚLADOWANIE RELIGII KATOLICKIEJ W PRUSACH.

(Ciąg dalszy).

3. Ubezwoładnienie zupełne powagi biskupa i papieża i rozprzężenie całego organizmu kościelnego od dołu aż do najwyższego szczytu.

Prawo, o którem co dopiero była mowa, wydziera biskupom wychowanie duchownych i rządzenie nimi. Do ostatniego należy niezbędnie władza utrzymania karności kościelnej. Bo jakże rządzić bez władzy poskromienia wybryków? Ojciec nie zdoła prowadzić dziecka bez tej władzy przyrodzonej. W niebie tylko jest karność zbyteczna, ale, dopóki żyjemy na ziemi, dopóki wola ma władzę dobrze lub źle czynić, nie może żadne społeczeństwo bez władzy karcenia istnieć. Jest to prawda, na którą żadnego dowodu przytaczać nie potrzebujemy. Podkopywać zatem, niweczyć tę władzę w jakimkolwiek bądź społeczeństwie, to znaczy, roztaczać, rujnować je do szczytu. O tej prawdzie nikt pewno nie jest mocniej przekonany, jak rząd pruski. Jego surowa bowiem dyscyplina tak w armii, jak w całej biurokracyi jest nie poślednią częścią, a może fundamentem jego energii i wzrostu. Jeżeli tedy rząd pruski środka podkopania i rozprzężenia karności przeciw Kościołowi

katolickiemu się chwycił, uczynił to z zupełną świadomością tego, co robi, uczynił to w nadziei, że mu się tym sposobem uda, poludzku sądząc, najpotężniejszy, organizm społeczny, jaki świat dotąd widział, podkopać, roztoczyć i ostatecznie rozbić. Podkopać i roztoczyć było już zadaniem wychowania i rządzenia, rozbięcie zaś pozostawiono gwałtowi, którego szczytem jest trybunał dla spraw kościelnych.

Jakież inny mógł rząd mieć powód do przedsięwzięcia tak gwałtownego wywrotu karność kościelnej? Czyż duchowieństwo katolickie, krom kilku apostatów skarżyło się na surowość swoich biskupów w wykonywaniu karność kościelnej? Byłyż te skargi tak głośne, tak powszechne, aby rząd miał być z nich wzięść pochop do wydzierania biskupom prawa, które już Paweł święty apostoł wykonywał, które od kolebki chrześcijaństwa było w używaniu? Powodem do tego kroku nie były pobudki humanitarne „wyswobodzenie duchowieństwa z pod zawisłości *na zewnątrz*,” ale zamiar wytępienia Kościoła katolickiego, jak się to z całego ducha tego prawodawstwa jak najwyraźniej przebija.

Kościół jest najstarszem społeczeństwem w cywilizowanym na świecie, ma przeto także swoją karność od wieków najmędrszymi prawidłami uregulowaną. Prus jeszcze na świecie nie było, kiedy ją Kościół od wieków wykonywał, i od czasu do czasu reformował. Jeśliby można w tej mierze Kościołowi zarzut jaki zrobić, toby tylko był zbyt łagodności. Jego bowiem kary mają zawsze i głównie nie karę, ale poprawę tego, który upadł, na celu. Wszystkie na humanitarnych zasadach osnute prawa dyscyplinarne nowszych czasów o tyle niższe od kościelnego zajmują miejsce, o ile tak nazwana humanitarność i filantropia niżej podnóżka wiary i miłości chrześcijańskiej stoi. O ileż samo pruskie prawo dyscyplinarne począwszy od woźnego aż do ministra we wszystkich gałęziach administracyi surowszem i twardszem jest od kościelnego. Karność kościelna właśnie dla tego, że jest kościelną, wypływa z ducha Kościoła, nie zaś borusyanizmu. Z istoty przeto swej jest rzeczą wewnętrzną Kościoła, nie państwa. Kościoła bowiem nie państwa, nie rządu cywilnego jest rzeczą czuwać nad duchownym, aby ogłaszał naukę ewangelii czystą, nabożeństwo odprawiał i sakramenta śś. sprawował podług właści-

wego obrządku, a gdzie zboczy, kroki jego prostować. Zresztą wykonywanie tej władzy jest pod kontrolą i nadzorem powszechnego prawa krajowego, którego nigdy nie przekroczyła. Poczóż jeszcze prawo wyjątkowe?

Cośmy w wszystkich poprzednich punktach spostrzegli, to się tu znowu powtarza. Podczas bowiem, kiedy prawo to pozornie wszelką dyscyplinę kościelną znosi, a duchownym wolność i niezawisłość od władzy biskupiej obiecuje, poddaje ich równocześnie pod bicz prawdziwie katowski naczelnego prezesa. Zapewniając w jednym paragrafie duchownego, że jest pod opieką prawa, że biskup nie śmie bez woli ministra jednego talaru kary nań spuścić, upoważnia w drugim naczelnego prezesa i inne władze świeckie w niezliczonych przypadkach karania go 1,000 talarów i złożeniem z urzędu.

Prawo to obejmuje cztery rozdziały: *a)* określa drogi w ogólności, któremi się rząd wdziera w sądownictwo i karność kościelną, *b)* drugi otwiera drogę apelacji od władzy duchownej do rządu, *c)* trzeci daje przepisy, jak władza świecka ma wykonywać dyscyplinę kościelną, a *d)* czwarty zajmuje się ustanowieniem trybunału dla spraw kościelnych.

a) Ogólne drogi czyli przepisy, któremi się rząd podług tego prawa wdziera w wewnętrzną karność Kościoła, są takiej doniosłości, że, gdyby rząd był w stanie przeprowadzić je, zbytecznymby był cały aparat tak obszernego a niedołężnego prawodawstwa, bo pierwszy zaraz paragraf jednym zamachem cały Kościół katolicki w Prusach obala. Przypomnijmy go sobie dosłownie:

„Kościelną władzę dyscyplinarną nad duchownymi mogą tylko wykonywać *niemieckie* władze kościelne.“

Jak poprzednie prawo zaczynało się od paragrafu, że tylko „Niemiec“ może być przypuszczony do posady duchownej, tak i obecne nie dozwala, jak tylko „Niemcowi“ wykonywać karności czyli rządów kościelnych. Czyż się tu nie przebija jak najwyraźniej intencja utworzenia owego dziwoląga „kościół narodowego niemieckiego?“ Jak duchowni mieli być wyswobodzeni z pod władzy i powagi biskupów, tak tym paragrafem mają być biskupi i wszyscy wierni katolicy Prus wyswobodzeni z pod władzy i powagi papieża. A to wszystko

pod pozorem wolności „wyswobodzenia zawisłości od potęg, które, nie zostając w kraju, nie mogą posiadać poczucia narodowego“ Czegóżby w takim razie jeszcze nie dostawało, gdyby władzę papieża z przekonań katolików Prus wyrugowano, do utworzenia „kościół narodowego niemieckiego,“ chyba to jedno, żeby kilku biskupom dać krzesła w Izbie panów, a innych posadzić w najwyższej radzie kościelnej Berlińskiej obok predykantów nadwornych i radzców konsystorskich, oto na wzór anglikańskiego dziś się rozpadającego kościół urzędowy, narodowy.

Na opoce Piotra św. spoczywa cała budowa Kościoła katolickiego, jego jedności w nauce wiary i obyczajów, w organizmie, obrządkach i karności. Bez papieża nie masz Kościoła katolickiego, a papieża być nie może bez władzy papieżkiej. Jest przeto niedorzecznością, śmiesznością traktować sprawę karności Kościoła katolickiego, a wykluczać z nich papieża. Do takich niedorzeczności musiał dojść rząd, który się z tak złemi zamiarami względem swoich własnych poddanych nosił, iż ich wyjawić nie śmiał bez narażenia całego sztucznie i podstępnie założonego planu na szwank. Nie miał odwagi wypowiedzieć jawnie, że chce tylko uznać „Boga narodowego“ i „kościół narodowy,“ a do urzeczywistnienia tego zamiaru znajduje największą przeszkodę w katolikach i dla tego chce ich pozbawić katolicykości, to jest związku z głową całego Kościoła przez którą właśnie jedną tworzą całość z Kościołem powszechnym. Dla tego musiał się wić i kręcić, aby się nie zdradzić i przedstawiać większości Izb nie mającej wyobrażenia o Kościele katolickim za katolickie, a przynajmniej za zgodne z nauką katolicką to, co jej wręcz było przeciwnem, a ochydzając mianem „ultramontanizmu i hierarchicznych zachcianek“ to, co było w istocie i jest katolickiem. Tak się ta nić kłamstwa ciągnie przez cały przebieg tego prześladowania. Słusznie przeto jeden z protestantów wierzących Holtz w tej mierze powiedział:

„Gotów jestem wszystko przyznać rządowi, czego tylko w granicach konstytucyą zawarowanych potrzebuje, aby się rzeczywistemu wkraczaniu Kościoła katolickiego w jego dziedzinę skutecznie oparł, ale mu nie dam środków i broni w rękę, któremi jest w stanie pozbawić Kościół katolicki tchu i jego egzystencję zniweczyć.“ § 1 brzmi: „kościelną władzę

dyscyplinarną mogą tylko niemieckie władze kościelne wykonywać.“ Zrozumieście, panowie, ten paragraf w związku z całą treścią tego prawa, a mianowicie z królewskim trybunałem — pytam was się, czy nie znajdujecie w nim otwartego programu: chcemy *niemieckiego* Kościoła katolickiego, oderwanego od Rzymu i pod dyscypliną rządu zostającego. Pytam się każdego w całej Izbie czy jest podobna, inaczej sobie to prawo wytłumaczyć. A jeśli nie masz innego tłumaczenia — przeciwnego dowodu będę oczekiwać — natenczas rozpoczynacie reformację drogą prawa, natenczas rozpoczynacie reformację drogą gwałtu, natenczas, powiadam wam, wdzieracie się w rządy Boga. (Śmiech na lewicy, znaki żywego przywtarzania w centrum.) Tak, Panowie, to jest porządkiem od Boga ustanowionym, że reformacja przychodzi do skutku drogą ducha, potęgą ducha, potęgą sumienia, ale nigdy potęgą miecza lub prawa. Jeśli ruch „starokatolicki“ ma powołanie z góry, utożsamia sobie drogę sam bez tego prawa i bez przemocy.“

Wogóle całe to prawodawstwo kościelno-polityczne grzeszy zbyt dużą obfitością broni przeciw Kościołowi. Każde z nich pojedynczo, kilka jego paragrafów, jakieśmy się już na pierwszym przekonali, wystarczyłyby do wytopienia Kościoła katolickiego w Prusach, gdyby mógł być podług życzenia rządu przeprowadzony. Zbyt duża tylko gorliwość spełnienia jak najszybszego życzeń z góry, doprowadziła do tak niefortunnego gromadzenia środków zabójczych.

Rząd i zwolennicy jego tłumaczyli wprawdzie po swojemu ten paragraf pierwszy, ale zdania pana Holtza tą interpelacją zbić nie zdołali. Twierdzili bowiem, że paragraf ten najwyższej jurysdykcji papieża w niczem nie narusza, albowiem papież może ją wykonywać, ale tylko za pośrednictwem władz kościelnych *niemieckich*. Papieża nie może rząd za akty jurysdykcji pociągnąć do odpowiedzialności, zmusza go zatem do wykonywania praw swoich dyscyplinarnych przez takie osoby, które mieszkają w Prusach resp. w Niemczech i mogą być za wykonanie poleceń papieskich do odpowiedzialności pociągnięte, czyli powiedziawszy innemi słowy, którym rząd każdej chwili takie przeszkody może stawić, iż rozporządzeń papieża wykonać nie zdołają. Czyż takie tłumaczenie nie dodaje do krzywdy wyrządzonej Kościołowi jeszcze urągania? Władza papieża ma

być nietknięta, bo jej rząd pruski oczywiście papieża pozbawić nie jest w stanie, ale w Prusach wykonywana być nie może. Takie tłumaczenie zaspokoilo większość, która w swej nienawiści do Kościoła katolickiego niekiedy rząd jeszcze prześcigała.

Dalsze przepisy aż do § 6go są częścią zbyteczne, częścią wymyślone tylko na zohydzenie władz kościelnych. Przepis bowiem, aby żaden duchowny nie został ukarany bez poprzedniego wysłuchania go, ani złożony z posady bez formalnego procesu, jest nietylko zbyteczny, ale nawet krzywdzący prawodawstwo kościelne. Bo gdzież i kiedyż karał Kościół kapłana bez poprzedniego wysłuchania obwinionego albo składa z urzędu bez procesu, bez dowodu winy? Co więcej § 3 zakazuje używać kary cielesnej, jak gdyby którykolwiek z biskupów w Prusach tego rodzaju kary na duchownych był używał. Przepisy takie przedłożone zgromadzeniu składającemu się po największej części z protestantów, nihilistów i żydów, którzy o Kościele katolickim tyle tylko wiedzą, ile im zastarzałe i zakorzenione uprzedzenia i przesady do wiadomości podały, jakież mogły mieć cel, jakież musiały zrobić wrażenie! Nie były potrzebne, nie miały nawet materyi odpowiedniej, jakież tedy mogły mieć inny cel, jeśli nie rzucenia hańby na wykonywanie karności kościelnej, rozdmuchania żaru nienawiści i skłonienia pseudoliberalów do przyjęcia proponowanego prawa i wyswobodzenia duchownych z tego jarzma? Paragraf 2 zakazujący karać duchownego bez poprzedniego wysłuchania go miał pozornie zapobiedz urojonemu „nadużyciu“ karania *ex informata conscientia*. Trudno, a w akcie prawodawstwa nie godzi się przypuścić, aby osoby rząd reprezentujące nie miały mieć najmniejszego wyobrażenia o znaczeniu tej formy: *ex informata conscientia*. A jeżeli przypuszczenie to jest niepodobnem, nie pozostaje nic innego, jak przyjąć, że użył kłamstwa, aby większość nieznałą rzeczy uwieść i do przyjęcia prawa tego skłonić. Postępowanie bowiem *ex informata conscientia* nietylko obejmuje słuchanie obwinionego, ale mu nadto pozostawia środek poszukiwania sprawiedliwości w drodze apelacyi do Stolicy Apostolskiej, a nadzwyczaj rzadko, prawie nigdy się nie używa.

Przepis objęty paragrafem 4 jest istotnie śmiesznym, bo pozwala na krótki czas (14 dni) skazać duchownego do domu demerytów, ale zakazuje wbrew woli skazanego wykonać tę karę. Cóż to za kara, która spaść może tylko na tego, który jej chce, ale nigdy wbrew jego woli?

Więszszego znaczenia są paragrafy 7, 8 i 9, które wykonywanie dyscypliny kościelnej przez biskupa poddają kontroli naczelnego prezesa i pominięcie tej kontroli niesłychanemi karami zagrażają. Wszelka zatem kara przez biskupa wymierzona nie ma żadnego skutku, dopóki jej rząd nie da swej sankcyi. Na cóż tedy jeszcze więcej paragrafów, kiedy ten jeden już rzeczywiście pozbawia biskupa władzy dyscyplinarnej?

b) Rząd sam wstydził się podobnie jak w tem całym prawodawstwie nazwać rzeczy po właściwym imieniu. Apelacya bowiem przypuszcza wyższą instancją, do której się obżalowany ucieka. Aby tedy pozornie uniknąć zarzutu, że rząd świecki przywłaszcza sobie w sprawach czysto duchownych wyższą nad kościelnymi władzami instancją, nie nazwał znanej pod nazwą „*appellatio ab abusu*“ apelacyą, ale rekursem — „*recursus ab abusu*.“ Różnicę pomiędzy jedną a drugim ma ta okoliczność stanowić, że sądowi świeckiemu nie ma być w rekursie wolno *examinować* materyi czyli rzeczy samej, tudzież odpowiedniego zastosowania prawa kanonicznego, ale jedynie prowadzić nadzór rządowy w celu zapobieżenia wdzierania się dyscypliny kościelnej w dziedzinę prawodawstwa cywilnego. Zreformowanie przeto lub unieważnienie wyroków kościelnych nie ma nastąpić wskutek wad materyalnych, lub mylnego zastosowania prawa kanonicznego, ale jedynie wskutek naruszenia praw cywilnych lub przepisanych formalności.

Lecz tę delikatną różnicę, która w ręku przemożnego przeciwnika, chociażby była najwidoczniejszą, żadnego znaczenia nie ma, znosi zaraz następujący paragraf 11, który upoważnia sąd świecki „do egzaminowania wyroku *in facto* i skasowania go, jeśli się przekona, że z faktycznem położeniem rzeczy nie jest zgodny, prawom, lub zasadom prawnym się sprzeciwia.“ Sąd zatem świecki jest tem samem upoważniony do roztrząsania nauki wiary i obyczajów Kościoła, i gdyby mu się wydawało, że ten lub ów dogmat nie da się pogodzić

z prawami państwa, ma moc wbrew dogmatowi katolickiemu kasować wyroki. Co zatem paragraf 10 jeszcze ograniczał na rekurs, to § 11 zamienia znowu najwyraźniej na apelację w ścisłym znaczeniu tego wyrazu. Cel tego przepisu jest jasny. Rząd chciał oczywiście w przypuszczeniu, że w gronie duchowieństwa jest wielu „starokatolików“, brać wszystkich w opiekę przed grożącą im exkomuniką. Jest to po prostu prowokacja, aby się śmiało garnęli do tej sekty bez najmniejszej obawy, aby ich biskup mógł posady pozbawić. Rząd bowiem niczego goręcej nie pragnął, jak odstępstwa duchowieństwa parafialnego, bo liczył na pewno, że ich przejście do „starokatolików“ masę ludu za sobą pociągnie.

Tym sposobem przywłaszczył sobie rząd najwyższą instancją w sprawach duchownych Kościoła katolickiego w Prusach. Czegóż tu jeszcze brak w tych ramach do uorganizowania Kościoła terytoryalnego pruskiego? Udało się już Fryderykowi Wilhelmowi zbudować taki Kościół (Landeskirche) ewangelicki w Prusach przez „unią“ czyli połączenie Luteranów z Kalwinami, czemużby się nie miało udać rozszerzyć jeszcze tę unię przez wpędzenie do niej i katolików? W każdym nieomal paragrafie tych wszystkich praw przebija się na tle myśl „Kościoła narodowego.“ Kościół zaś katolicki nie ma wcale miejsca w tych ciasnych ramach terytoryalnych Prus czy Niemiec. Władza jego w własnym domu jest zupełnie zgębiona, stawiona niżej każdego burmistrza lub sołtysa. Każdy bowiem z nich też ma prawo stanowienia kar, przeciw którym wolno dotkniętemu karą odnieść sprawę do sądu. Lecz, jeśli skazany nie zanieś zażalenia do sądu, staje się dekret policyi prawomocnym i może być wykonany. Wyrok zaś władzy duchownej, chociażby kapłan nim dotknięty uznał jego sprawiedliwość i nie apelował do rządu, jednak wykonany być nie może, bo wolno jeszcze podług § 12 naczelnemu prezesowi założyć apelację, a co gorsza, że założenie tej apelacji przez naczelnego prezesa nie podlega podług § 13 żadnemu terminowi prekluzyjnemu. Na tem jeszcze nie koniec. Chociażby nawet ten trybunał świecki, do którego naczelnny prezes apelował, potwierdził wyrok władzy duchownej, i w takim razie jeszcze nie może być wykonany, bo § 9 czyni wykonanie jego zawisłym od uznania naczelnego prezesa. Możnaż się bardziej

uragać z powagi duchownej po obdarciu jej z władzy, jaką z ramienia boskiego założyciela swojego piastuje? Nie jestże to wystawieniem jej wobec podwładnych na szyderstwo i pośmiewisko? Bo jakież może mieć w ich oczach znaczenie władza bez wszelkiej władzy? Gdyby to było rzeczą podobną, byłoby najwłaściwiej rzec się tego cienia władzy, który w takich stosunkach służyć tylko może za zniewagę charakteru biskupiego. Ale, jak biskupowi się nie godzi zwolnić się z powinności przez Chrystusa Pana nań włożonych, tak samo nie godzi mu się zrzekać się praw, któremi go opatrzył w celu czynienia swoim powinnościom zadosyć. Poddanie się zatem takim prawom byłoby z jednej strony przeniewierzeniem się w obowiązkach swoich, a z drugiej grzechem udziału w krzywdzie Kościołowi wyrządzonej. Cóż tedy mieli biskupi w tem położeniu począć? Nic innego, jak to, co uczynili.

c) Wkraczanie władzy świeckiej bezpośrednie.

Rozdział ten obejmujący paragrafy 24—31 zajmuje się przedmiotem złożenia kapłana z posady duchownej. Powodem do takiego postępowania i złożenia z urzędu jest tak uporczywe niezastosowanie się do przepisów prawa i rozporządzeń władz świeckich odnoszących się do urzędowania duchownego, iż go „z publicznym porządkiem pogodzić nie można.“ Naczelny prezes powinien najpierw wezwać zwierzchność duchowną obwinionego do złożenia go z urzędu, a jeżeli obżałowany nie ma swej właściwej zwierzchności duchownej w granicach cesarstwa niemieckiego, lub zwierzchność duchowną, jeśli jest w kraju, w wyznaczonym terminie wymaganiu rządu nie uczyni zadosyć, wyzwa go sam do złożenia urzędu i wyznacza dowolnie termin do oświadczenia się z jego strony. Po upływie terminu robi sam wniosek do trybunału dla spraw kościelnych o złożenie obżałowanego z urzędu. Skutkiem wyroku składającego z urzędu posada wakuje. Że każdy taki wniosek naczelnego prezesa już jest wyrokiem, wiemy to dziś dostatecznie z doświadczenia. Reszta przepisów tego rozdziału odnosi się tylko do postępowania samego, nie ma zatem prawie znaczenia.

Pomijamy tu motywa do tego przepisu, które, odwołując się na Nr. 42 Syllabusa, dziwnie prawdę z fałszem miesza. Jednej tylko ciekawej okoliczności zamilczeć nam się nie godzi. Konieczność takiego przepisu wywodzą motywa ztąd,

że w razie kollizyi pomiędzy prawem świeckiem a duchownem, nie ma rząd żadnego środka, dać stanowczą przewagę pierwszemu, a zwłaszcza, że duchowni odwoływać się będą na zasadę, że w takim przypadku raczej Boga, niż ludzi słuchać należy. „Repressya zaś, mówią dosłownie motywa prawa karnego, z tego powodu nie wystarcza w tej mierze, że podług niego uczynek inkryminowany musi na sobie nosić piętno przestępstwa.“ Naiwne to zaiste i bezwstydne wyznanie, że uczynki, które odtąd rząd surowemi karami chce ścigać, „nie noszą na sobie piętna przestępstwa,“ a następnie żaden sąd nie mógł by ich ukarać. Aby jednak uczynki duchownych katolickich, które z istoty swej nie są karygodnymi, móżdż ukarać, trzeba było wynaleść i zadekretować nową zbrodnią pod tytułem: „niezgodności z porządkiem publicznym“ i nowy utworzyć trybunał, aby dowolności rządu podać broń w rękę do ścigania i karania niewinnych. Ten jeden ustęp motywów charakteryzuje dostatecznie i prawo samo i intencye rządu. Wykonywanie zaś dotychczasowe tego paragrafu prześciga jeszcze w swej dowolności wszelkie oczekiwanie.

d) Trybunał dla spraw kościelnych.

Rozdział ten obejmuje paragrafy od 32—37. Jest to ukoronowanie całego tego dzieła. Papieżowi, Namiestnikowi Chrystusowemu ma być nie wolno żadnego duchownego ukarać, żadnego jawnego heretyka z posady duchownej złożyć, aby mógł z urzędu parafię swoją zarażać, a świeckiemu z akatolików i nihilistów składającemu się sądowi dana jest władza każdego duchownego dowolnie, bo podług jego widzimisię, posady duchownej pozbawić.

Dla czego rząd użył do przeprowadzenia swoich celów tak kosztownego środka, kiedy miał i ma całą potęgę policyi do swej dyspozycji? Niewątpliwie doświadczenie, jakie rząd zrobił przy wykonywaniu prawa przeciw Jezuitom wydanego, naprowadziło go na ten jeszcze nieszczęśliwszy pomysł. Policya, chociaż ma cień prawa po sobie, nie pozbędzie się jednak piętna dowolności, a następnie znieprawdzenia, kiedy wykonanie prawa bierze w swoje ręce. Przeprowadzenie zatem tak rozlicznych i gwałtownych środków, jakie to prawa przeciw Kościołowi i duchowieństwu wymierzają, byłoby niewątpliwie jeszcze większą obudziło nienawiść i osiągnięcie celu utrudziło.

Wydawało się przeto rządowi właściwszem upozorować ten gwałt czczą formą sądownictwa i w tej szacie świata go pokazać. Trybunał ten nie ma także żadnych warunków prawdziwego i bezstronnego sądownictwa i nosi tylko szatę, sądu na sobie. Lecz takie pożyczanie form, które mają służyć do wymiaru sprawiedliwości, do okrycia i ozdobienia gwałtów, jest najwyższą zniewagą wyrządzoną sprawiedliwości i podkopywaniem publicznego zaufania do nich. Skutki takiego postępowania dadzą się rychlej czy później rządowi w znaki.

Zadanie tego trybunału jest dwojaaie: 1) przyjmować apelacye tak kapłanów jak władz świeckich od wyroków sądu duchownego i w najwyższej instancyi decydować, 2) duchownych, których pozostanie w urzędzie uzna za „niezgodne z porządkiem publicznym“ z posad składać.

Motywa silą się na wytłomaczenie, dla czego rząd spraw tych nie powierzył sądom zwyczajnym i był zmuszony wyjątkowy w tym celu sąd utworzyć. Za najgłówniejszy powód podaje brak „niezbędnych wiadomości na tem polu, których dotychczasowe wykształcenie sędziów zwyczajnych dostarczyć im nie mogło.“ Mimo to jednak ma się trybunał ten składać w swej większości z sędziów etatowych, a reszta tylko może być dobrana z grona urzędników administracyjnych i duchownych. Jakaż oczywista sprzeczność pomiędzy jednym a drugim. Czyż to otwarte wyznanie, że świeckim sędziom zbywa na potrzebnych wiadomościach do sądenia spraw duchownych, nie powinno było rządu, gdyby był chciał, naprowadzić na tę oczywistą prawdę, że żadna zwierzchność świecka nie ma kwalifikacyi do sądenia o rzeczach duchownych, gdyż duchowne sprawy mają być duchownie nie cywilnie rozstrzygane? Niewłaściwą, a nawet nieprzyzwoitą rzeczą by było, gdyby ktoś obcy poważył się wtrącać się ojcu do prowadzenia i wychowania jego dzieci, nie znając licznych, drobnych i delikatnych względów, od których właśnie pomyślnie wychowanie zawisło. Jakież może obcy człowiek dawać ojcu prawidła prowadzenia tego lub owego dziecka bez dokładnej znajomości ducha familijnego, tajemnic rodziny? Stokroć niewłaściwszem jest przedsięwzięcie, regulować przez władze świeckie karność kościelną. Rząd bowiem świecki całkiem inne ma cele, jak Kościół i innymi do nich dąży drogami. Oddanie przeto tych spraw czy-

sto duchownych sądom świeckim byłoby niewłaściwem i raziącym, ale nie nosiłoby na sobie przynajmniej tego charakteru nienawistnego, jak taki wyjątkowy trybunał. Rozdmuchany przez rząd żar nienawiści i uprzedzeń religijnych ogarnął wszystkie dykasterye rządowe, a tem samem i sądy, które też się składają z ludzi, nie z aniołów, i to z ludzi, którzy, jak wszyscy inni urzędnicy, oglądają się na wiatr polityczny, na widoki i karierę. Przez tę korupcyą zaszczipianą z góry straciło już sądownictwo pruskie swój urok bezstronności, jakim się szczyciło dawniej. Przekonamy się o tem, gdy będzie mowa, o wykonywaniu tych praw. Chociaż sądy pruskie mocno już były zarażone duchem Bismarkianizmu i w niektórych punktach życzenia nawet rządu prześcigały, jednak się obawiał w sądach zwyczajnych dawnych zabytków sprawiedliwości, któraby zamierzony skutek środków z takim wysileniem zdobytych udaremnić mogła. Dla tego wołał sobie dobrać skład trybunału, o którym najmniejszej nie miał wątpliwości, że w każdym razie będzie miał w nim wygodne i powolne swej polityce kościelnej narzędzie. Jakoż w rzeczy samej jest to trybunał, który zasługuje raczej na nazwę komisji egzekucyjnej ministra spraw duchownych, niż sądu.

W przedmiotach mu przedłożonych decyduje ten trybunał ostatecznie i dowolnie. Ostatecznie, bo nad nim nie masz już żadnej instancji; dowolnie, bo nie ma obowiązku rozpoznawać znamion występku, żadnych się trzymać dowodów, ale decyduje podług „własnego dowolnego przekonania, jakie sobie z całości sprawy, z przedłożonych dowodów i prowadzonych rozpraw utworzy.“ Potrzebaż tu jeszcze zdobywać sobie z rozpraw i t. d. „przekonanie,“ kiedy już każdy z członków trybunału z gotowem przyszedł przekonaniem przeciw Kościołowi katolickiemu? Boć rząd żadnego nie przypuścił do tego grona, o którym nie miał pewności, że podziela jego politykę czyli jego przekonanie przeciw Kościołowi katolickiemu. Tak uorganizowanemu trybunałowi najwyższemu, nieomylnemu w wyrokach swoich oddaje to prawo na pastwę wszystkich sług Kościoła od kalkanisty aż do biskupa. Obżałowany, chociażby mu sumienie pozwalało stawić się przed tym trybunałem, nie zna żadnego środka obrony, bo trybunał ten nie zna żadnej teorii

dowodu, żadnych znamion przestępstwa, żadne przeto prawidłó dowodu nie krępuje jego dowolności.

Kto ma władzę wykonywania karności w społeczeństwie, ten tylko jest jego gospodarzem, jego rządcą i panem. Wydarcie Kościołowi przemocą tego prawa równa się zupełnemu go zburzeniu. Słusznie przeto powiedział wśród rozpraw nad temi prawami Piotr Reichensperger: „Poco tyle paragrafów, jeden wystarcza tej treści: wyznawanie religii katolickiej w Prusach jest zakazane.“ Dotąd usiłowały rządy, o ile mogły, Kościół krępować pod rozmaitemi pozorami i formami, dziś im to nie wystarcza, dziś sobie przywłaszczają Prusy rządy Kościoła za pomocą tego trybunału zajmuje pojedyncze państwo najwyższą instancję w Kościele, a co gorsza strąca właściwą duchowną i w jej miejsce stawia swoją czyli sekularyzuje cały Kościół. W rzeczy samej trybunał ten jest w rzeczach religii papieżem dla całego kraju, minister spraw duchownych prymasem, a naczelnici prezesowie biskupami tak dla katolików, jak protestantów. Obok tragiczności ma rzeczywiście to całe prawodawstwo bardzo komiczną w tej mierze stronę. Oto przedsmak „kościół naradowego.“ W początkach ma on jeszcze tworzyć pewną odnogę administracyi państwa, dopóki masy ludu czują jeszcze potrzebę religii i pragną ją zaspokoić. Lecz, skoro to uczucie zwolna się wyiębi, nad czem począwszy od szkółek elementarnych cała machina rządowa z wytężeniem pracuje, złoży rząd ten cały kościelny aparat z siebie, bo wszyscy mieszkańcy kraju „obecnemu tylko bogu“ kłaniać się będą, którym jest „państwo absolutne.“ Z tego się pokazuje jasno, że rząd pruski, czy z zupełną świadomością celu lub nie, w to nie wchodzi, pracuje z całą swoją potęgą materyalną i intelektualną nad wytępieniem zupełnem nie tylko Kościoła katolickiego, ale wogóle Chrystyanizmu.

Idea, konstytucya Kościoła katolickiego jest i może tylko być jedną, i to taką jaką mu Zbawiciel świata nadał, innej nikt nie stworzy. Czem Kościół katolicki jest, o tem wie cały świat, to opowiadają dzieje cywilizowanego świata od dwóch tysięcy lat blisko. Nikt przeto nie potrzebuje zasięgać wiadomości w tej mierze od ministra spraw duchownych pruskiego. Kościół katolicki jest zgromadzeniem wiernych, którego głową papież, następca Piotra ś. którego rządzcami następcy apo-

stołów czyli biskupi węzłem jednoświary i miłości z głową połączeni. Jedno i drugie należy do istoty organizmu, do dogmatu Kościoła katolickiego. Prawa te przecinają gwałtem ten węzeł jednoświary z papieżem i dają katolikom w Prusach mieszkającym na głowę Kościoła trybunał z akatolików a może i pogan złożony. Władzę apostolską zlaną na biskupów, „*aby zarządzili Kościół boży*“ przekazują urzędnikom świeckim. Jednym słowem instytucję boską przeistaczają na ludzką, duchowną na świecką. Jest to karykatura „świętego Kościoła powszechnego“, który wyznajemy w składzie apostolskim.

Jeżeli Opatrzność na ukaranie rodu ludzkiego dopuści, że reakcja pogaństwa raz jeszcze weźmie górę nad Chrystyanizmem i nie tylko najwyższą władzę duchowną i świecką w ręce jednego złoży mocarza, ale nadto pierwszą wraz z wyłączeniem wiary w Boga i Chrystusa z sumień ludzkich wygładzi i niszczy, natenczas doczeka się świat cywilizowany despotyzmu i tyranii, które dotychczasowe wzory starożytnego pogaństwa i cesaropapizmu o wiele w barbarzyńskim ucisku i bydlęcej niewoli prześcigną. Kościół katolicki był i jest najpotężniejszą zaporą wszelkiego despotyzmu, bo on jeden powiada każdemu mocarzowi: I ty masz Pana nad sobą! Z jego upadkiem, gdyby był podobny, runęłyby wszystkie instytucje zabezpieczające wolność, jak zamki na lodzie. Militarizm, biurokracyzm, szkoła rządowa, kościół rządowy zdmuchną jak bańkę mydlaną warowni wolności, jakie dzisiejszy pseudoliberalizm zbudował. Biskupi, duchowieństwo, lud katolicki, stawiając dziś opór przemocy despotyzmu wdzierającemu się w sumienie człowieka i godzącemu w najdroższą jego wolność, bronią istotnie nie tylko wiary i religii, ale niemniej wolności wogóle. W chwili, kiedy koryfeusze „umiejętności niemieckiej“ upadli na kolana przed bałwanem powodzenia i potęgi, jedni katolicy, którzy zwykle mniej mówią o godności, niż powinności człowieka, umieli wobec przemocy zachować godność natury ludzkiej i nie zaprzeczali jej sumienia swego.

Takim przeto prawom, które się wręcz sprzeciwiają egzystencji Kościoła katolickiego, jego początek i charakter boski znoszą, nie mogli i nie mogą się ani biskupi ani kapłani ani lud katolicki pod żadnym warunkiem poddać.

Choćby tylko w kilku słowach, należy nam jednak wspomnieć jeszcze o niesłychanej wysokości, mnogości i rodzajach wymierzonych kar przeciw duchowieństwu. Srogość i rodzaje wybranych kar charakteryzują bowiem nie tylko tę wyprawę rządu pruskiego przeciw Kościołowi katolickiemu, ale nadto czas, w którym żyjemy, a szczególnie osoby składające rząd i ciała prawodawcze w Prusach. Zdawało się tym panom, że mają z ludźmi szachrującymi na giełdzie do czynienia — pieniędzmi wszystkiego się dokaże. Chociaż członkowie centra zwracali im kilkakrotnie na to uwagę, że „człowiek nie samym chlebem tylko żyje,“ że tym sposobem nie ujarzmią sumień ani biskupów ani duchowieństwa ani wiernych, jednak nie wierzyli temu, nie przypuszczali, że są ludzie na świecie, którzy mogą więcej miłować Boga, niż pieniądze i dostatki. W tej mierze tak byli pewni swego, iż uważali nawet karę więzienia za zbytęzną i niepraktyczną, albowiem tworzyłaby męczenników i szkodziłaby ich zamiarom. Jeśli się z takich faktów godzi robić wnioski na usposobienie takich ludzi, a mniemam, że się godzi, cóż to muszą być za kreatury tacy prawodawcy! Tymczasem to nikczemne przypuszczenie narażiło w krótkim czasie prawodawców, rząd i sądy na pośmiewisko. Kary bowiem wygórowane pieniężne wzrosły do takiej wysokości, iż nie było i nie masz w Prusach władzy, któraby je zdołała wyegzekwować i sądy musiały jednak skończyć na tem, czego prawodawcy uniknąć chcieli t. j. na więzieniu. Oczywiście były te kary obliczone na zohydzenie stanu duchownego. Gdyby biskupi i duchowni byli ulegli, jakizby to był tryumf dla pseudoliberałów i kusicieli!

Zastąpienie tego rodzaju kar pieniężnych więzieniem prostem jest także charakterystycznym. Pozbawić bowiem duchownych osobistej wolności na przeciąg pewnego czasu można było w inny sposób nie tak hańbiący i dokuczliwy. Wtrącenie ich zaś do tego samego więzienia, w którym odsiadują karę zbójcy, złodzieje, oszusty itd. miało oczywiście na celu obe-drzyć ich z wszelkiej czci i uroku, jakimi lud zwykły swoich pasterzy otaczać. I tym środkiem osiągnął rząd skutek całkiem przeciwny temu, jaki osiągnąć zamierzał. Lud bowiem widząc, że biskupi i kapłani ich znoszą dla zachowania wiary ś. dla zbawienia ich dusz utratę mienia, wolności osobistej i do-

tkliwego upokorzenia, umiłował ich tem szczerzej i serdeczniej i okazuje im tem większą cześć i uszanowanie. Zbrodniarze nawet, którzy są ich cierpień świadkami, dają im dowody swego uszanowania, bo czują, że niewinnie i niesprawiedliwie smutny ich los podzielać muszą. Ale co gorsza, obrażone tym widokiem wrodzone uczucie sprawiedliwości oburza się na rząd i jego instytucje i traci ostatek zaufania do wymiaru sprawiedliwości rządu. Kara nosząca na sobie piętno hańby, zastosowana na osoby, które się żadnej zbrodni ani występku nie dopuściły, owszem, które cierpieniem swem dają dowód wysokiej cnoty, zaciera w sumieniu publicznem zwolna uczucie wstydu, który niewątpliwie skuteczniej, niż wszelkie prawo karne, chroni człowieka od ciężkich upadków. Jakąż przyszłość gotuje rząd społeczeństwu takimi praktykami!

Cel, jaki rząd pruski za pomocą tego prawodawstwa zamierza osiągnąć, jest widoczny. Przez :

- 1) oderwanie Kościoła katolickiego Prus od Rzymu czyli schizmę;
- 2) zniweczenie władzy biskupiej;
- 3) zatrucie duchowieństwa katolickiego wychowaniem antykościelnem, a nawet antychrześcijańskim;
- 4) zdeptanie wszelkiej powagi kościelnej;
- 5) przeniesienie władzy duchownej na organa rządowe zburzyć budowę boską Kościoła katolickiego, a na jego gruzach postawić kościół „narodowy niemiecki.“

Mogliż biskupi wobec tych wyraźnych zamachów na życie Kościoła inaczej sobie postąpić, jak postąpili? Mogliż przez przyczynienie się do przeprowadzenia tych praw rękę swoją przyłożyć do tego dzieła zniszczenia?

Rząd pruski, a w szczególności minister spraw duchownych i wielu posłów należących do stronnictw pseudoliberalnych, utrzymywało w obronie praw pruskich wielokrotnie, że prawodawstwo kościelno-polityczne austriackie jest takie samo, jak pruskie, a jednak episkopat tamtejszy nie stawiał mu opozycji. Oba twierdzenia w tem zdaniu są mylne i fałszywe.

Najpierw biskupi austriaccy podobnie jak pruscy nie przyznali rządowi prawa do ustawodawstwa jednostronnego w rzeczach kościelnych. Do praw zaś samych zastosowali się o tyle, o ile są zgodne z konkordatem. Twierdzenie zatem, że

się biskupi nie sprzeciwiali temu prawodawstwu jest niezgodne z prawdą.

Powtóre prawa same mają wprowadzić zakrój pruski, bo są niewątpliwie owocem gwałtownego nacisku wywartego z Berlina, ale w rzeczy samej różnią się bardzo od pruskich. Ścieśniają wolność Kościoła dotkliwie, ale mu nie odejmują niezbędnych warunków egzystencji. I tak nie masz w nich ani jednego paragrafu, któryby zakazywał pod karą sprawowania funkcyj kapłańskich; nie masz trybunału ani żadnej władzy cywilnej, którejby przyznano prawo składania kapłanów i biskupów z urzędów duchownych. Przeciwnie w danych przypadkach przepisuje § 8, że minister spraw duchownych może od władzy biskupiej żądać złożenia plebana z urzędu.

„Jeżeli temu żądaniu zwierzchność duchowna w właściwym przeciągu czasu nie uczyni zadosyć, natenczas ma być urząd plebański lub inny duchowny, o ile do spraw państwa się odnosi, uważany za wakujący, a rzeczą rządu jest, załatwienie spraw, które państwo zwyczajnemu plebanowi porucza, powierzyć innej ustanowionej do tego osobie, dopóki ta posada nie zostanie obsadzoną w sposób, który rząd za ważny uznaje.“ Prawo zatem austriackie odbiera w tych przypadkach duchownemu to tylko, co mu prawo kraju dało, funkcje cywilne (jak utrzymywanie rejestrów stanu i t. p.), ale nie targa się wcale na jego duchowną władzę, na funkcje kapłańskie, jak prawo pruskie. Nie masz przeto w Austrii przykładu, aby Księżę za odprawianie mszy ś. za kazanie, za słuchanie spowiedzi, odmówienie rozgrzeszenia, odwiedzanie umierających itd. itd. ścigano i karano. Motywa austriackie objaśniają ten przepis teni słowy: „Odpowiada to bowiem zasadom dotychczasowego prawodawstwa, które tak złożenie z posady duchownej, jak powierzenie jej uważa za *sprawę wewnętrzną Kościoła* i zostawia ją ordynaryatom.“ Wprowadzić mają być ordynaryaty czyli biskupi grzywnami w drodze administracyjnej zniewoleni do obsadzenia właściwego tych posad, ale o zagrożeniu ich karami kryminalnemi, a cóż dopiero o złożeniu ich z urzędu nie masz wcale mowy. Sprawowanie zatem czysto duchownych funkcyj nigdzie nie jest zakazane. Co więcej prawa austriackie nie przyznają patronom i gminom władzy do mianowania i instalowania kapłanów na posady duchowne, jak to czynią

prawa pruskie z roku 1874. W przedmiot kształcenia i wychowania duchownych wcale się prawa austriackie nie wdają i pozostawiają rzecz in statu quo. Zaprzestają na tych kilku uwagach, gdyż te wykazują dostatecznie zasadniczą różnicę pomiędzy jednymi a drugimi.

Krom różnicy w rzeczy samej, jakże odmienne wykonywanie tych praw w jednym i drugim państwie. Dynastia austriacka na wskrós katolicka, a pruska na wskrós protestancka, w Austrii po największej części urzędnicy katolicy, a chociaż często obojętni, mają jednak poczucie, co jest pod względem religijnym podobnem, a co nie, w Prusach zaś protestanci, a po największej części nihilisci, którym się w ogóle o religii nie śni.

Wykonanie praw majowych.

Wykonywanie tych praw czyli powszechne w całym państwie prześladowanie religii katolickiej trwa do tej chwili, kiedy to piszemy i owszem sroży się coraz bardziej, nie można więc jeszcze o niem mówić, jako o rzeczy już skończonej i dokonanej. Przechodzić jeszcze będzie to prześladowanie rozmaite koleje. Tymczasem przedstawimy najpierw przebieg jego od publikacji praw majowych, aż do końca roku 1873. Następny bowiem rok nie zmienił wprawdzie dotychczasowych środków prześladowania, ale je owszem pomnożył i nowy wniósł żywioł rewolucyjny w wnętrzości Kościoła. Przebieg tego kilkumiesięcznego prześladowania obejmuje tyle szczegółów i rozmaitości, że mi ich wszystkich zebrać nie było podobna. W tej mierze nie robię także pretensyi do zupełności, niech się niedostatki zapełnią z czasem. Ale należy zrobić początek, bo to będą obszerne *acta martyrorum*.

Wciągu samego prześladowania zachodziły rozmaite wypadki, które mniej więcej na cały jego przebieg przeważny wpływ wywierały i rozmaity nadawały mu charakter. Aby tedy pojedyncze fakta w świetle tych wypadków zachodzące należycie zrozumieć, wypada nam koniecznie najpierw o nich krótko pomówić. Będzie to zarazem ogólną charakterystyką tego prześladowania.

Podczas, kiedy się obrady w Izbach nad temi nieszczęsnymi prawami kończyły, zjechali się wszyscy biskupi Prus do Fuldy na konferencyą, która trwała od 29 kwietnia do 2 maja, aby się porozumieć, jakie wobec wiszącego już nad głowami prześladowania zająć stanowisko. Zasady swoje już byli wypowiedzieli w memoryale swoim z lutego, narady przeto nie trwały długo. Owocem tych narad był okólnik do duchowieństwa i wiernych z dnia 2 maja, który po powrocie do swych dyecezyj zapublikowali, i podanie do rządu z dnia 26 maja, które po sankcyi tych praw rządowi przesłano. Okólnikiem tym ogłaszają biskupi niejakoś program dla siebie, duchowieństwa i wiernych; wzywają jednych i drugich, aby za ich szli przykładem i przemawiają do nich tak, jak żeby po ostatni raz do nich się odzywali, jak żeby te słowa miały być dla nich testamentem. Okólnik ten niedługi przytaczamy w całości:

„Okólnik biskupów przy grobie św. Bonifacego zgromadzonych do Czcigodnego Duchowieństwa i wszystkich Wiernych ich dyecezyj.

Najmilsi w Panu!

Wiecie, w jakim obecnie położeniu za dopuszczeniem Bożem, które nam uwielbić trzeba, znajduje się Kościół Chrystusowy, tak w całym świecie, jak mianowicie w naszym kraju.

Niebawem wyjść ma szereg praw, które w zasadniczych punktach znajdują się w sprzeczności z postanowioną od Boga konstytucyą i wolnością Kościoła.

Skoro tylko te prawa sejmowi zostały przedłożone, uznaliśmy za święty obowiązek naszego Biskupiego pasterstwa, podnieść otwarcie i stanowczo głos nasz przeciwko nim tak wobec tronu, jak wobec obu izb sejmu.

Lecz i Wam, Wielebni Bracia i Kochani Dyecezianie, nie było tajemem, że przeprowadzenie takich praw koniecznie za sobą pociągnąć musi: oderwanie Biskupów od widzialnej Głowy całego Kościoła katolickiego, oderwanie duchowieństwa i ludu wiernego od prawowitych jego biskupów; oderwanie Kościoła kraju naszego od Kościoła obejmującego ziemię całą, a założonego przez wcielonego Boga i Zbawiciela świata i całkowite zniweczenie organizacji od Boga temuż Kościołowi nadanej.

Żeście jasno zrozumieli położenie, tudzież żeście wynikające z tego zrozumienia głębokie uczuli zaniepokojenie, wypowiedzieliście to przez adresy i deputacye, ustnie i na piśmie, w wszelki możliwy sposób Waszym Biskupom. Z tem oświadczeniem Waszem i wobec ciężkich niebezpieczeństw, jakimi kościół i jego pasterze w bliskim czasie są zagrożeni, połączyliście świętą obietnicę, że cokolwiekby nam przyszłość przyniosła, wiernie stać będziecie przy Ojcu świętym wspólnym Pasterzu i Nauczycielu wszystkich Chrześcian i przy Nas, prawowitych Waszych Biskupach, i że jak teraz dzielcie ciężkie nasze troski, tak walki i cierpienia nasze wiernie dzielić będziecie. Te dobrowolne i pocieszające, te czułe i wzniosłe świadectwa wiary Waszej i wiernego Waszego przywiązania do kościoła, które zewsząd odbieramy, sprawiają Nam w dzisiejszym smutku i wśród groźnych zapowiedzi przyszłych burz jak najśłodsza pociechę. Zgromadzeni na ważne narady na grobie ś. Bonifacego, przesyłamy Wam wszystkim z głębi serca naszego wspólne podziękowanie za te tysiączne oznaki wierności. Zachowamy je jako drogie wspomnienie ciężkiej i na zawsze pamiętnej w kościele epoki. Polegamy na nich z niezachwianem zaufaniem jako na rękojmi niewzruszonej wierności Waszej i zaklinamy Was wszystkich na miłość Pana naszego Jezusa Chrystusa, abyście, jakiegokolwiek nastaną okoliczności, wytrwali w Waszem usposobieniu i dane przyrzeczenia czynem stwierdzili. Łaski Bożej Wam w tej mierze nie zabraknie, bo *który począł w Was dobrą sprawę, wykona aż do dnia Jezusa Chrystusa.*

Wspomniane projekta nie są jeszcze prawomocne. Cokolwiek przecież nastąpi: *My za łaską Bożą statecznie i jednomyślnie bronić będziemy zasad w memoryałach naszych wypowiedzianych, zasad nie naszych, lecz zasad Chrześcijaństwa i wiecznej sprawiedliwości, i powinność naszą pasterską w ten sposób spełniać będziemy, żebyśmy w godzinę śmierci naszej przed trybunałem Boskiego Pasterza, który nas powołał i życie swoje położył za owce swoje, nie byli odrzuceni jako najemnicy.*

Pamiętni na słowa Apostolskie: że Biskupów Duch św. postanowił, aby rządził Kościół Boży, który nabył krwią swoją: pamiętni zatem, że niezłomnym naszym jest obowiązkiem tego

nakazu Ducha św. wiernie dopełniać, nie zezwolimy w rzeczach administracyi i zarządu Kościołów Nam powierzonych na nic, coby się przepisom wiary katolickiej i Biskupim prawom Kościoła sprzeciwiało.

Wy zaś, Kochani Współpracownicy i Dyecezanie, trzymajcie się z Waszej strony niezłomnie tej prawdy, że ten tylko prawowitym jest Biskupem, który w tym charakterze posłany jest od Ojca św. i Stolicy Apostolskiej, źródła jedności i władzy kościelnej, i który w społeczności zostaje ze świętą Stolicą Apostolską. Tak samo zawsze tych tylko będzie Wam wolno za prawowitych dusz Waszych pasterzy uznawać, którzy przez prawowitych Biskupów do tego urzędu za godnych i zdolnych uznani, z ich rąk ten urząd otrzymali, od nich swe posłannictwo odebrali, z nimi w społeczności zostają. Wszelki inny byłby samozwańcem.

Podług ustaw, które Bóg Kościołowi na wieczne czasy przepisał, nie może nikomu z ramienia władzy świeckiej przyznanem być prawo, w moc którego mógłby ktokolwiek, bez poprzestania być członkiem kościoła, w sprawach Kościoła, w sprawach kościelnych od wyroku sądu duchownego do władzy świeckiej apelować. Owszem taka apelacya, jako porządkowi Bożemu przeciwna, pociąga za sobą sama z siebie karę exkomuniki.

Co do Nas, idąc za nieprzerwaną praktyką kościelną, zostawimy rozstrzyganie wszelkich wątpliwych spraw, dotyczących Kościoła, Ojcu świętemu, którego Chrystus Pan postanowił najwyższym kościoła swojego Pasterzem, z którym za łaską Bożą, w jedności i posłuszeństwie dla Niego zawsze pozostaniemy.

Przytem i powinności nasze względem władzy świeckiej, powinności względem dobra pospolitego i względem kraju będziemy nadal także wiernie i sumiennie wypełniali, albowiem nigdy nie zapominamy, że nie walka i rozbrat, lecz pokój i zgoda stanowić powinny stosunek, który z woli Bożej ma panować między obu temi władzami przez Niego dla dobra społeczeństwa ludzkiego ustanowionemi.

Ku obronie zaś nieprzedawnionej wolności kościoła i ku obronie dóbr chrześcijaństwa zalecamy Wam jakośmy to już często czynili, przedewszystkiem modlitwę, i to jak najpokor-

niejszą, jak najusilniejszą, najwytrwalszą i pełną ufności modlitwę do Pana i Zbawiciela naszego, który sam jeden jest nadzieją i pomocą naszą. Albowiem odkąd Konstantyn Wielki nawrócił się do chrześcijaństwa i trzywiekowemu prześladowaniu przez pogańskie naonczas władze wywołanemu koniec położył, pewno nie było czasów, w którychby Kościół na całej kuli ziemskiej pomocy tak był pozbawiony i tak wielkimi był zagrożony niebezpieczeństwami, jak w chwili obecnej. A tu mamy na oku nie tylko nasze dzisiejsze uciski, lecz jeszcze i to co, nam w przyszłości zagraża. Jeżeli Kościół Chrystusów obrany będzie z przynależnej mu wolności, jeżeli życie publiczne, prasa i piśmiennictwo tchnąć mają samą niewiarą i lekceważeniem, albo nienawiścią przeciwko chrześcijaństwu i Kościołowi, jeżeli młodzież kształcić się ma w szkole i w nauce, co rozbrat uczyniły z chrześcijaństwem, jeżeli pod naciskiem tych okoliczności duchowieństwo coraz bardziej będzie wymierało, albo też, owiane i porwane duchem czasu, zepsuje się samo; natenczas i wiara chrześcijańska, miłość i zgoda chrześcijańska, tudzież obyczaj chrześcijański muszą upaść i zniknąć nawet tam gdzie wszystko to dotąd tak silnie stoi, jak wśród naszego dobrego katolickiego ludu; a wtedy nic już nie powstrzyma onego zepsucia i zniszczenia, o którym ze zgrozą tylko pomyśleć możemy. Nie musielibyśmy mieć żadnego rozpoznania, żadnej wiary, żadnej miłości: raczej musielibyśmy zapomnieć zupełnie rozkazu i ostrzeżeń naszego Boskiego Zbawiciela, gdybyśmy w tym tak ciężkim i złowrogim czasie nie uciekali się do modlitwy i do Was wszystkich w imieniu Pana Jezusa nie wołali: Módlcie się, módlcie się wszyscy, módlcie się bez ustanku.

Pozdrowienie i błogosławieństwo w Panu!!

»Fulda w uroczystość św. Atanazego d. 2 Maja 1873.«

Skoro tylko ten okólnik przez wszystkich biskupów państwa pruskiego podpisany, ukazał się w dyecezyach, pospieszyły kapituły katedralne, a za nimi całe duchowieństwo każdej dyecezyi z osobna z nader małemi i nic nie znaczącemi wyjątkami, oświadczać swoim biskupom przez adresy i depu-

tacye wierność, stateczność pozostania z nimi w jedności i dzielenia wszelkich kolei losu, jakie się spodoba Opatrzności na nich zesłać. Za przykładem duchowieństwa poszli niebawem i świeccy. Adresów tych i deputacyj niepodobna pojedynczo przytaczać, bo np. w samych archidiecezyach Gnieźnieńskiej i Poznańskiej było adresów czterdzieści i kilka, a deputacyj jeszcze więcej. Wywołało to ruch, obudziło masy ludu, dało im coraz bardziej i wyraźniej poznać, że tu chodzi o rzecz najdroższą, jaka im pozostała po stracie ojczyzny, tj. o religię. Chociaż ograniczenie ambony nie дозволиło duchowieństwu pouczyć lud, iż tak powiem, z urzędu, o niebezpieczeństwie, jakim ich religia zagrożona, postarał się jednak na innej drodze o tę wiadomość, a mianowicie przez pisma publiczne. Lud polski i katolicki W. X. Poznańskiego był wprowadzie przez rozmaite organa, a mianowicie przez komisarzy obwodowych, którzy zochydzając dawne rządy polskie, bez ustanku przypominali mu „stan niewoli“ za czasów polskich, a wynosili pruskie „dobrodziejstwa,“ nadzwyczaj w niektórych okolicach już obałamucony, ale z tej choroby zaufania do rządu wyleczył go gruntownie rok 1848. Przechylił się tedy od razu na stronę swoich pasterzy z lepszym instynktem i większą stanowczością, niż tak nazwane „klasy wykształcone.“ W dyecezyach zaś niemieckich były innego rodzaju powody, które ten sam spowodowały rezultat. Tam szlachta znowu przewodniczyła ludowi. W miejsce ambony obsaczonej szpiegami, odezwało się mogunckie Stowarzyszenie katolickie i przeszło 150 pism i pismek katolickich, które się tysiącami egzemplarzy pomiędzy lud rozchodziły i oświecały go o rzeczy. Tak stanęło, co się tylko czuło być katolikiem, w szeregu za biskupami. Rząd widział już naocznie, że biskupi nie są osamotnieni.

Do tego wszystkiego przybyły adresy z wszystkich części świata katolickiego do biskupów Prus z wyrazami udziału i pochwałą ich postępowania. Adresy biskupów reszty Niemiec, Austrii nadesłane przez kardynała Rauschera w ich imieniu, z Belgii, Francyi, Anglii, Włoch, Ameryki. Biskupi galicyjscy osobny wysłali adres na ręce arcybiskupa gnieźnieńskiego i poznańskiego, obecnie kardynała Ledóchowskiego. Biskupi francuscy ogłosili listy pasterskie w tej myśli, za które rząd francuski pod naciskiem Berlina do odpowiedzialności miał bisku-

pów pociągnąć — l'Univers przyplacił suspensą ogłoszenie jednego z listów pasterskich tego rodzaju.

To powszechne potępienie prawodawstwa pruskiego, tak przez katolików w Prusach zamieszkujących jak zagranicznych, przekonało rząd, że nie z samymi tylko biskupami będzie miał do czynienia. Trzeba było wymyślić koniecznie środek do sparaliżowania, a przynajmniej osłabienia wrażenia, jakie te powszechne owacye, składane na cześć biskupów, sprawiły, a przysięgą do obałamucenia słabych i wygrzewających się w słońcu łaski cesarskiej katolików. Stara to zasada: *divide et impera*. Chodziło o wywołanie rozdwojenia pomiędzy katolikami i przełamania ich jednomyślności. Jak niepłonna niesie pogłoska, cesarz sam jest autorem tego pomysłu i adresu w tym celu w świat puszczanego d. 14 czerwca 1873 r. Adres ten znany jest w prasie niemieckiej pod nazwą: *Staatskatholische Adresse* a podpisani: *Staatskatholiken*. My, gdzieby tego była potrzeba, nazywać ich będziemy: cesarskimi katolikami. Z początku trudno było cesarzowi znaleźć osobistość odpowiednią pomiędzy katolikami, któraby z jednej strony stanowiskiem swoim społecznym zdolną była pociągnąć znaczną liczbę katolików za sobą, a z drugiej dała się użyć za narzędzie przeciwnemu Kościołowi. Jeden przynajmniej z dworzan wysoko postawionych, katolik, odmówił cesarzowi wręcz tej usługi. Znalazł ją przecież drugi w osobie księcia Raciborskiego. Ponieważ pan ten uwikłał się niefortunnie z Strousbergiem w sprawę akcyi kolei żelaznych Rumuńskich, przeto prasa katolicka niemiecka nazywa często ten adres ironicznie „rumuńskim.“

Treść jego jest następująca: Odwołując się na ustęp ostatniego okólnika biskupów, w którym ostatni powiadają, że jak dotąd tak i nadal będą wypełniać sumiennie swoje powinności obywatelskie, bo ostatecznem zadaniem Kościoła i państwa jest wzajemna zgoda, przymawiają biskupom i katolikom z nimi trzymającym, że droga, którą obrali, nie prowadzi do celu. Żądają bezwzględności posłuszeństwa dla tych praw i wyrzucają, odkazując się patryotyzmem niemieckim Kościołowi, że sobie „nieprawne rości pretensye.“ Przekonani, że rząd cesarski wolności sumienia katolików nie ścieśnia, zapewniają cesarza o swojej dla cesarstwa i rządu przychylności. Uznając

w zasadzie wszechwładztwo państwa, oświadczają wyraźnie, że ono wyłącznie ma prawo stanowić granice stósunku pomiędzy Kościołem a sobą i orzekać, co do spraw kościelnych należy, a co nie. Spodziewają się, że nareszcie biskupi sami o słuszności praw tych się przekonają. W końcu dodają wyraz zaufania do sprawiedliwości i ojcowskiej miłości cesarza, jaką wszystkich swoich poddanych, a tem samem i katolików umiłował.

Pod tym adresem podpisany jest prócz patryotów niemieckich i hr. Walewski z Grüben, Polak, który się na Śląsku po nieszczęśliwych wypadkach w Królestwie zakupił.

Już dnia 22 czerwca dał cesarz nader łaskawą i pełną pochwał odpowiedź na ten adres.

Chociażby adres ten w osnowie swej nic zdrożnego nie był zawierał, a mieści w sobie bardzo wiele fałszu; samo jednak zuchwalstwo, z jakim kilku panów świeckich, bez technicznej nawet znajomości rzeczy, dla przypodobania się mocarzowi poważyło się w rzeczach religii episkopat nie tylko Prus, ale całego nieomal świata katolickiego pouczać, a nawet nieprzywólcie łajać, nie mogło mu w gronie wiernych i z sprawami kościelnymi jakośkolwiek obeznanych katolików pomyślnego powodzenia zapowiadać. Wyżsi przynajmniej urzędnicy wiedzieli niewątpliwie, jakie adres ten ma źródło, rozwijali przeto nadzwyczajną gorliwość w zbieraniu podpisów. Urzędnicy katolicy, począwszy od woźnego i żandarma aż do najwyższych, w najprzykrzejszem znajdowali się położeniu, bo kto się wzbraniał podpisać, uważany był przynajmniej za nieprzychylnego cesarstwu (reichsfeindlich). Najwięcej ucierpieli nauczyciele elementarni — była to prawdziwie inkwizycja. W pewnym względzie był ten adres nawet środkiem nowym korupcyi. Urzędnicy, nad których głową wisiał albo proces dyscyplinarny, albo już byli w indagacyi, śpieszyli się czempredziej położyć swój podpis na ten adres, bo się spodziewali, że albo całkiem ujdą kary, albo ją sobie tym spsobem złagodzą. Prywatnych zaś namawiali burmistrzowie, po domach, szynkowniach roznosili go policyanci i pod najrozmaitszemi pozorami skłaniali do podpisu. Tym sposobem rosła z początku spora liczba podpisów. Lecz niedługo została ta zbyt liczna gorliwość dotkliwie ukarana. Wielu bowiem z dobrych katolików, którzy fałszywym

relacyom uwierzyli i adres podpisali, przekonawszy się później, że zostali oszukani, odwoływali publicznie swoje podpisy. Urzędnicy zaś nie mogli się odważyć rewokować. Jeden radca szkolny z Gdańska, który się tej „zbrodni“ dopuścił, został natychmiast z znacznem uszczerbkiem pensyi przeniesiony do Magdeburga. Wtenczas dopiero, gdy rewokacye mnożyć się zaczęły i pisma katolickie donosiły szczegółowo, jakich używano środków do zjednania sobie podpisów, zaprzestano agitacyi bezskutecznej, bo nie chciano autora jej dłużej na śmieszność narażać. Dopóki jednakże trwała, wywierała nieznośny ucisk mianowicie na katolików urzędy piastujących. W nadreńskiej prowincyi i Westfalii musiała wskutek tego nacisku znaczna część burmistrzów i landratów urzędy swoje poskładać. Był to zatem środek dotkliwego prześladowania i niepokojenia katolików. Ze względu na konstytucyę „Apostolicae Sedis“ n. b. przy otwarciu Soboru watykańskiego ogłoszoną, ścigał podpis tego adresu oczywiście ekskomunikę latae sententiae. Mimo to podpisało go dwóch kapłanów w Szląsku, a jeden w Poznaniu. Pierwsi dwaj na wezwanie biskupa podpisy swoje odwołali, ostatni zaś wezwanie odesłał do prokuratora. Za to napomnienie kapłana błędzącego został tak arcybiskup Ledóchowski, jak jego oficyał biskup Janiszewszki ukarani grzywnami, pierwszy 200 tal., drugi 300 tal. lub trzymiesięcznem więzieniem. Z powodu ekskomuniki przeniosła się ta sprawa później do konfesyonałów, z których wychodziły denuncyacye na kapłanów o odmówienie rozgrzeszenia. Adres przeto ten celu swego nie osiągnął, owszem w śmieszność się obrócił, ale przez czas niejaki bałamucił sumienia katolików, nieznośny wywierał na wielu ucisk i stał się powodem otwartego prześladowania w wszystkich okolicach katolickich państwa pruskiego.

Drugiem wydarzeniem, które pomnożyły ucisk i prześladowanie religii katolickiej w nader dotkliwy sposób, był wyrok najwyższego trybunału z dnia 24 Maja r. 1873, który orzeka, że „starokatolicy“ mają prawo być uważani za członków Kościoła katolickiego. W najkrótszem streszczeniu były powody do tego orzeczenia i osnowa jego następująca:

Prawo karne dla cesarstwa niemieckiego wydane podaje w § 166 tych, którzyby jeden z Kościołów chrześcijańskich lub inne stowarzyszenie religijne, posiadające prawa korporacyjne,

znieważyli, pewnym karom. W jednym przypadku tego rodzaju, odniesionym do sądu, chodziło o decyzję, czy „starokatolikom służy prawo opieki § 166 z powodu, że są członkami Kościoła katolickiego. Wyroki pierwszej i drugiej instancji sądów nadreńskich odmówiły im tego, że „nauką i dyscypliną“ odłączyli się od Kościoła katolickiego. Trybunał najwyższy skasował te wyroki i orzekł, że im służy to prawo, bo są członkami Kościoła katolickiego. Ciekawy ten wywód w najogólniejszych podajemy zarysach na dowód, jak rząd i sądownictwo użył za środek do przedsięwziętego prześladowania.

Na czele swego orzeczenia kładzie najwyższy trybunał zasadę zupełnie prawdziwą, t. j. że nie rzeczą sądu jest oceniać, o ile zmiana nauki i dyscypliny wyklucza z społeczności kościelnej, ale raczej rzeczą Kościoła samego. Dotąd wybornie, ale cóż przychodzi dalej?

Prawa krajowe, powiada trybunał dalej, nie stawiają żadnych rachunków ani kryteriów, po których możnaby poznać, że ktoś do tego lub owego Kościoła należy. Orzeczenie zaś władz kościelnych, w tej mierze wydane, nie mogą w dziedzinie państwa żadnego mieć znaczenia. Wszyscy zatem, którzy się sami przyznają do Kościoła katolickiego i utrzymują, że są katolikami, muszą być za katolików uważani i pod opieką prawa Kościołowi katolickiemu przysługującego pozostawać.

Jakież tu zwój sprzeczności w tym wywodzie! Czy kto należy do tego lub owego Kościoła, to ma tylko Kościół sam rozstrzygać, ale te decyzje Kościoła nie mają mieć dla państwa żadnego znaczenia. Gdzież i jakież tedy jest kryterium katolicyzmu. Oto w najwyższej woli każdego pojedynczego indywiduum. Kto powie: jestem katolikiem, musi nim być rzeczywiście. Gdyby kto powiedział: jestem żydem, chociażby w sobie ani na sobie nic żydowskiego nie miał i żydzi się sami do niego nie przyznawali, nic to jednak nie pomoże, w oczach państwa musi być żydem. Nie jestże to nieoleddie to samo, jak żeby sąd zadekretował, że niewiasta, która powie, że jest mężczyzną, musiałaby dla władz rządowych być nim rzeczywiście?

Jakąż tu znaleźć konsekwencję z zasadą przez trybunał na czele położoną, że decyzja o tej sprawie jest rzeczą Kościoła? Jakąż różnica zasad wyroków pierwszej i drugiej in-

Na to dał cesarz odpowiedź następującą:

Berlin 3 września 1873 roku.

Cieszę się, że Wasza Świętobliwość zaszczyciła mnie tak, jak dawnymi czasy, swem pismem; tem więcej jestem uradowany, iż ta okoliczność podaje zręczność, do sprostowania błędów, które podług treści pisma Waszej Świętobliwości z dnia 7 sierpnia musiały Go dojsć w otrzymanych doniesieniach o stosunkach niemieckich. Gdyby sprawozdania o stosunkach niemieckich, dochodzące Waszę Świętobliwość, prawdę tylko donosiły, byłoby niepodobnem, aby Wasza Świętobliwość przypuszczać mogła, że rząd mój wstąpił na tory, na które ja się nie zgadzam. Podług konstytucyi państw moich nie mógł zejść taki przypadek, ponieważ prawa i środki przez rząd w Prusach używane potrzebują mojego monarszego potwierdzenia.

Głęboko boleję nad tem, że część moich katolickich poddanych od lat dwóch zorganizowała stronnictwo polityczne, usiłujące przez nieprzyjazne państwu knowanie zamącić od wieków w Prusach istniejący pokój pomiędzy wyznaniem religijnymi. Ubolewać należy, iż wyższe duchowieństwo katolickie nietylko ruch ten pochwalało, ale posunęło się nadto do otwartego przeciw istniejącym prawom oporu.

Nie uszło zapewne uwagi Waszej Świętobliwości, iż podobne objawy powtarzają się obecnie w większej części państw europejskich i w kilku krajach zamorskich.

Nie mojem zadaniem badać powody, jakie kapłanów i wiernych jednego z wyznań chrześcijańskich mogły skłonić do wspierania nieprzyjaciół porządku państwowego w obaleniu tegoż; lecz mojem zadaniem w państwach, których rządy Bóg mi powierzył, stać na straży wewnętrznego pokoju i przestrzegać powagi prawa. Świadom tego, zem powinien Bogu zdać sprawę z wypełnienia tej królewskiej powinności mojej, utrzymywać będę porządek i prawo w moich państwach przeciwko wszelkim zaczepkom tak długo, dopoki mi Bóg do tego udzieli mocy; a do tego jestem obowiązany i wtedy, gdy mi to królewskie powołanie przychodzi wykonywać ku boleści mojej przeciw sługom Kościoła, o którym przypuszczam, że przykazanie

posłuszeństwa względem władzy świeckiej uznaje za wyraz objawionej nam woli bożej.

Ubolewam nad tem, że wielu duchownych w Prusach podległych Waszej Świątobliwości zapoznaje pod tym względem naukę Chrystusową i zmusza mój rząd, oparty na przeważnej większości mych wiernych katolickich i ewangelickich poddanych, do użycia środków świeckich celem wymożenia na nich poszanowania dla praw krajowych.

Z chęcią żywię nadzieję, że Wasza Świątobliwość, skoro o prawdziwym stanie rzeczy zostanie poinformowana, zechce użyć swej powagi, aby położyć kres agitacji, prowadzonej pozałowania godnem przekręcaniem prawdy i nadużywaniem powagi kapłańskiej. Religia Jezusa Chrystusa, jak o tem Waszą Świątobliwość przed Bogiem zapewniam, nie ma z temi knowaniami nic wspólnego, również i prawda, do której sztandaru, na co się Wasza Świątobliwość powołuje, przyznaję się bezwzględnie.

Jednego jeszcze orzeczenia zawartego w piśmie Waszej Świątobliwości nie mogę bez odparcia pominąć, nie opartego wprawdzie na błędnych sprawozdaniach, ale na wierze Waszej Świątobliwości, to jest orzeczenia, że każdy, kto został ochrzczony, należy do Papieża.

Wiara ewangelicka, którą wyznaję, jak to Waszej Świątobliwości wiadomem być musi, tak jak moi przodkowie i większość moich poddanych, nie dozwala nam przyjmować w stosunku do Boga innego pośrednika, jak naszego Pana Jezusa Chrystusa.

Ta różnica wiary nie wstrzymuje mnie, ażebym z temi, którzy jej z nami nie dzielą, żył w pokoju i załączył Waszej Świątobliwości wyraz mego osobistego uszanowania i czci.

Wilhelm.

Co ta niezwykła, krótko przed samemi wyborami uskuteczniiona publikacya miała na celu, nie trudno odgadnąć. Najpierw, jak z jednej strony groźbą była dla katolików i szorstką zapowiedzią, że po osobistości króla niczego się dla swej sprawy spodziewać nie mają, tak z drugiej strony dla wszystkich nieprzyjaciół Kościoła otuchą i wyraźnym zwiastunem, że w prześladowaniu Kościoła w królu pewną zawsze znajdu

pomoc. Dla katolików była ta odpowiedź cesarza z wielu miar pożyteczną, bo tych, którzy się jeszcze powziętem od dawna do osoby cesarza zaufaniem łudzili, wyprowadziła z błędu. O tyle przyczyniła się do zupełnego wyjaśnienia położenia; odtąd każdy już wiedział, że cesarz pełnemi żaglami płynie z kanclerzem. Powtóre, odpowiedź cesarska wykopała bezdenną przepaść pomiędzy Berlinem a Rzymem, którą nie łatwo będzie zapełnić lub pomost nad nią zbudować. Oto właśnie chodziło kanclerzowi, aby lepszym natchnieniom cesarza do odwrotu stawić trudności nieprzewyciężone. Wiedział bowiem bardzo dobrze, że po takim zerwaniu mostu za sobą, będzie cesarz porty logiką nieubłaganą faktów musiał iść w prześladowaniu coraz dalej. Po trzecie, treść odpowiedzi cesarskiej usprawiedliwiała wobec ślepych mas kraju czynione przez rząd najniesłuszniejsze zarzuty katolikom. Krom dogmatu nieomylności, pozyskały wszystkie kłamliwe zarzuty, któremi rząd od początku kroki prześladowania swego usprawiedliwiał, sankcją królewską. Wobec większości protestanckiej, która w zastarzałych uprzedzeniach swoich wszystkiemu złemu, co o kościele katolickim powiedziano, łatwo daje wiarę, musiały słowa królewskie nie małe mieć znaczenie, wierzyli przeto, że katolicy sami, a zwłaszcza członkowie frakcyi centra i biskupi sprawcami są wszystkiego złego. Nareszcie pismo to było najpotężniejszym środkiem agitacyi wyborczej. Cała prasa urzędowa i nieurzędowa, ale zawsze obrokiem gazdinowym karmiona, rzuciła się z całą wściekłością na taki pożądaný dla niej przedmiot i przeżuwała go przez kilka tygodni, poniewierając i depcąc bezkarnie najdroższe instytucje, najświętsze uczucia katolików, w całym państwie pruskiem nie było wtenczas jednego prokuratora dla katolików. Nie śmiem tu powtarzać tych zniewag i urągania, jakich się w tej mierze dopuszczała szczególnie berlińska National-Zeitung. Od chwili, kiedy się toczyły rozprawy nad wypędzeniem Jezuitów, nie poruszono furi nienawiści religijnych i fanatyzmu protestanckiego przeciw Kościołowi katolickiemu gwałtowniej i silniej, jak tem pismem. Zdawało się, jakżeby papież każdego protestanta już za kark pochwycił i do Kościoła katolickiego wciągał.

Rząd potrzebował koniecznie rozbudzenia tych namiętności i utrzymania kraju w tym szale fanatycznym przynajmniej przez ~~czas~~ wyborów. Świeżo co dopiero ukute prawa pozbawiające jedną trzecią ludności wolności sumienia doznają na wstępie zaraz niezłomnego oporu. Gdyby tedy kraj z szалу swego wytrzeźwiał, gdyby się w wyborach przechylił na stronę pokrzywdzonej ciężko mniejszości, jakież ztąd niebezpieczeństwo dla rządu i jego dalszych planów? Co więcej, rząd już miał zręczność przekonać się, że temi prawami, jakkolwiek drakońskimi, nie zdoła przełamać ani zgnieść oporu i surowszych jeszcze będzie potrzebował środków. Cóżby tedy był począł, gdyby mu Izba tej pomocy była odmówiła? Oto klucz do rozpuszczenia na nowo wszystkich furi nienawiści.

Katolikom w rzeczy samej publikacja ta bezpośrednio żadnej straty nie przyniosła. Owszem, to jawne oświadczenie się korony przeciwko nim zbiło ich w tem silniejszą falangę tak, iż nie tylko żadnego krzesła w Izbie nie stracili, ale nawet kilkanaście zyskali. Lecz pośrednio przyczyniła się ta agitacja do tem większego ucisku, tem surowszego prześladowania. Większość bowiem Izby pod takim wpływem wybranej przyjmowała środki przez rząd jej przekładane przeciw Kościołowi katolickiemu, a to już z powodu obrony własnego swego dzieła. Powtórę utrudziła katolikom niesłuchanie obronę wobec tak sfanatyzowanej większości. Te okoliczności wytłumaczają nam prawodawstwo w tym kierunku roku 1874.

Jaką wagę przywiązywał rząd do przyszłych wyborów, tudzież, jak liczył na skuteczność agitacji tą publikacją prowadzonej, najwyraźniej tego dowodzi pismo poufne Eulenburga, ministra spraw wewnętrznych z d. 29 października 1873 do naczelnego prezesa prowincyi Nadreńskiej, które później wyszło na jaw. W niem zawiadamia minister naczelnego prezesa, że „w obwodzie wyborczym Rheinbach-Bonn rozsypano z nader pomyślnym skutkiem 10,000 egzemplarzy korespondencji pomiędzy *„cesarzem a papieżem,”* wzywając go, aby i w innych miejscach tego sposobu czem prędzej użył. Koszta druku minister sam obiecuje ponieść.

Tymczasem zaszły w zastosowaniu świeżo co dopiero sfabrykowanych praw wypadki, które więcej, niż wszystko inne musiały rząd naglić do wyteżenia wszystkich swoich sił, aby

dotychczasowy skład Izby poselskiej utrzymać. Trzy sądy, Środzki w Poznańskim, Tarnowicki w górnym Szląsku i Kołoński zawyrokowały na mocy praw majowych wbrew intencji i życzeniu rządu i wyrokami swojemi takie zrobiły w nich wyłomy, iż, gdyby temu niedostatkowi nie zapobieżono wcześniej, całe to dzieło nie byłoby zdolnem służyć rządowi za pożądany środek do zamierzonego celu. Owoce szalauputnego pośpiechu, nieznajomość rzeczy, którą traktowano, nienawiści i zawziętości, które spokojnej nie dopuściły, refleksyi, zbyt wcześniej dojrzały i naraziły reputacyą prawodawczą tak rządu jak sejmu na dotkliwe skompromitowanie się. Temu można tylko było skutecznie zaradzić przez pozyskanie również powolnej sobie Izby poselskiej, jak przeszła. W każdym innym kraju, któryby przez prasę przekupną i inne organa rządowe nie był utrzymywanym w ciągłym szale, jak gdyby w stan pijaństwa, byłby rząd i Izby w tym samym składzie na dal niepodobne po tak wydatnem udowodnieniu lekkomyślności i niedołęztwa. Protestantyzm pruski, wierny i niewierny, zaślepiony nienawiścią do Rzymu i upojony swoją wyższością i przemocą chwilową zamykał na te oczywiste fakta oczy, aby tylko użyć słodkiego uczucia zemsty nad Kościołem katolickim. Z nieśmiałością tylko przypomniali sobie niektóre pisma „liberalne“, że to były właśnie te same paragrafy, a szczególności 17 prawa z dnia 11 maja, na których niedołężną redakcyę członkowie frakcyi centra, a mianowicie Mallinekrodt zwracali uwagę. Ale jak wtenczas głos najoczywistszej prawdy odzywał się do głązów, tak i teraz najwyraźniejsze fakta nie zdołały refleksyi obudzić.

Zaraz po publikacyi praw majowych wydał instrukcyą minister spraw duchownych do wszystkich władz prowincjonalnych, w której pomiędzy innemi oświadczył, że wszystkie urzędowe funkcyje kapłana, który wbrew prawom majowym otrzymał posadę są *nieważne*, a szczególności, że małżeństwa przez takich kapłanów kopulowane pozbawione są skutków cywilnych, a następnie uważane będą za konkubinaty. Wszystkie przeto organa urzędowe w tym tonie były nastrojone. Wszyscy przeto landraci i komisarze policyjni zaraz przy pierwszym poławaniu na duchownych „niemajowych“ zwoływali gminy i oświadczały im z polecenia naczelnego prezesa, że

wszystkie funkcje duchowne takiego kapłana są nieważne, a szczególności zawarte przed nimi śluby małżeńskie. Tak sobie postąpił w sierpniu zaraz landrat Schopis na terminie w Krobi odbytym w sprawie księdza Kruszki, Massenbach, landrat Poznański w Chłudowie z księdzem Grabowskim, landrat Barchewitz w Szląsku z księdzem Reinholdem Paulem, plebanem Brostawickim. Ostatni zapublikował w dzienniku urzędowym powiatowym *Ner* 10. Nawet naczelny prezes w piśmie swoim wzywającem arcybiskupa Ledóchowskiego z dnia 24 października do złożenia swego urzędu także na nieważność tych funkcji się odwołał. Prasa zaś urzędowa, jak Nordd. Ztung i liberalna wyrażała tę myśl z większym jeszcze przyciskiem oświadczając, że „wszystkie duchowne funkcje, jakie kapłan nie podług przepisów praw majowych wprowadzony w urząd sprawuje, są nieważne i powinny być tak uważane, jakgdyby nie przez kapłana były sprawowane, a małżeństwa przez niego kopulowane pozbawione skutków cywilnych..“

Zdrowy i duchem kłamstwa nie zatruty rozum prostego i wierzącego ludu zawstydził całą jurisprudence rządu i sejmu. Drwiąc sobie z głoszenia takiej nowej ewangelii landratów i komisarzy, przyjmował jak dawniej tak i teraz z rąk tych kapłanów Sakramenta śś. i inne akty religijne, owszem cisnął się tem bardziej do tych kapłanów, których widział prześladowanych dla ich statecznej wierności.

Ta prosta logika ludu katolickiego wytrąciła rządowi i pseudoliberalom najdotkliwszą broń przeciw kościołowi z ręki. Przekonali się bowiem, że kary choćby najsurowsze wymierzone przeciw biskupom i duchowieństwu żadnego nie odniosą skutku. Ale ogłoszenie i uznanie *nieważności* wszystkich aktów duchownych przez takich kapłanów spełnionych równało się zupełnie rzuceniu *interdyktu* na ludność katolicką. Spodziewali się tedy na pewno, a mianowicie w sprawach małżeńskich, że tym sposobem zdołają oburzyć masy ludu przeciw „nieposłusznym“, „duchownym i przeciągnąć ich zupełnie na stronę rządu. Za „nieposłuszeństwo“ biskupów i kapłanów miał być lud karany, rozmaitemi niedogodnościami i uciskami trapiiony, aby ich do sprawców tego zamieszania zniechęcić i do obozu prześladowców Kościoła wprowadzić. To było otwartym zamiarem rządu i liberałów, z którym się wcale nie taili. Jeśli

akty duchowne tych kapłanów „nieposłusznych,“ pozostaną ważne, natenczas „prawa te, jak się wyrażali, pozostaną nożem bez ostrza, które nie ma rękojeści,“ a tem samem bezużyteczne. Zamach ten podstępny odwrócił się tym sposobem na powagę rządu, którą w fundamentach podkopał.

Z tego to powodu decyzja sądu Środzkiego tak wielkiego nabyła znaczenia i rozgłosu, w wywodzie swoim sąd ten wykazał, że nie tylko wszystkie inne funkcyje duchowne takiego kapłana, ale i śluby małżeńskie cywilnie są ważne. Instrukcja ministra opierała się na § 17 prawa z dnia 11 maja, który powiada: „Powierzenie urzędu duchownego, które się sprzeciwia przepisowi § 1 lub przed upływem terminu w § 15 do założenia protestu przeznaczonym, ma być *uważane za nie byłe*.“ Z ostatnich słów szczególnie wnoszono, że, skoro kapłan taki nie posiada wcale urzędu, nie ma także mocy urzędowych funkcyj duchownych sprawować. Co za zamieszanie, co za konfuzya! Instrukcja ministeryalna, wszystkie władze rządowe, co więcej, sąd w Rosenbergu ogłaszają małżeństwa wobec kapłanów instytuowanych nie podług przepisów praw majowych za nieważne, za konkubinaty; a sąd Środzki wbrew temu wszystkiemu dekretuje, że małżeństwa takie są ważne nawet wobec prawa cywilnego.

Na tej konfuzyi jeszcze nie koniec. Wszystkie sądy, które temi prawami miały powód się zajmować, jak poznański, wrocławski i inne, karały na mocy § 23 prawa z 11go maja biskupów i kapłanów. Na raz sąd Tarnowski w Szląsku znajduje w tych wyrokach błąd oczywisty i w takim samym przypadku uwalnia plebana Reinholda Paula od wszelkiej kary. Pokazuje się, że biskupi i kapłani niesłusznie na mocy tego paragrafu byli wskazywani, a prawo co dopiero publikowane staje się z tym nowym wyłomem dla rządu prawie bezużyteczne.

Nareszcie sąd koloński zrobił podobny wyłom w prawie z dnia 13 maja, na mocy którego X. arcybiskup Ledóchowski i X. biskup Janiszewski już ukarani zostali. Potrzebaż było jeszcze czego więcej, aby rząd i sądownictwo pruskie przynajmniej w oczach katolików skompromitować i zaufanie do bezstronności sądów z gruntu podkopać?

Minister spraw duchownych pośpieszył się z odwołaniem pierwotnej instrukcyi i dnia 16 października wydanym reskryptem do naczelnego prezesa poznańskiego modyfikuje ją przynajmniej co do ważności małżeństw. Lecz, jak gdyby się chciał pomścić za doznane co dopiero upokorzenia swego talentu prawodawczego, obostrza instrukcye i zaleca wszystkim władzom prowincjonalnym silną baczność na to, aby każda pojedyncza czynność urzędowa duchownych, bezprawnie instytuowanych, stawała się natychmiast przedmiotem śledztwa karnego. Duchowni ci mają być ustawicznie trapieni coraz nowemi karami pieniężnymi, dopóki się ustawom nie poddadzą. A gdyby postępowanie to w krótkim czasie doszło do tego stopnia, że duchowni mnożących się kar pieniężnych nie będą w stanie złożyć i uwięzić ich będzie trzeba, natenczas wobec ważności sprawy i następstw, jakie z funkcyonowania bezprawnie instytuowanych duchownych wyniknąć mogą i przed tą ewentualnością wzdygać się nie należy.“

Te wyroki trzech wymienionych sądów niepomysłne, a dotkliwe dla rządu i obu ciał prawodawczych przyczyniły się z jednej strony do zwiększenia zaciekłości rozpoczętego prześladowania, a z drugiej do użycia nowych coraz surowszych prawodawczych środków, jakie rok 1874 przyniósł.

Przed publikacją praw majowych jeszcze zastósowywano już z wielką surowością przepisy ustawy prasowej na pisma katolickie, które się w miarę niebezpieczeństwa grożącego Kościołowi mnożyły. Z zaciętością prześladowania wzrastał ucisk prasy katolickiej w sposób niewypowiedziany. Prasie urzędowej i w ogóle nieprzyjaznej Kościołowi i chrześcijaństwu wolno było bezkarnie w najsprośniejszych i najgminniejszych wyrazach, na jakie się niewiara zdobyć mogła, najświętsze dla katolików instytucje i prawdy znieważać i błotem obrzucać — dla nich nie było wcale prawa prasowego. A gdy prasa katolicka głos boleści i obrony podniosła przeciw obelgom, na których wspomnienie krew się w żyłach katolików ścinała, natychmiast ścigał ją prokurator, a sądy po największej części najwyższemi, o ile było można, obkładały ją karami. Przyszło nawet do tego, że pisma i dokumenta, które liberalne dzienniki swobodnie umieszczały, w katolickich były powodem do konfiskaty. Tak wysokimi karami pieniężnymi, jak nieustan-

nem prawie więzieniem redaktorów, usiłowano ich egzystencję podkopać i głos ich koniecznie przytłumić. Chęć do ofiar i wytrwałość katolików utrzymywały ją wprawdzie, ale do dziś dnia musi redakcyja być maskowana, t. j. prawdziwy redaktor zamilczany, a osoba, która na wszelki przypadek ma czas do odsiadki kary, daje nazwisko. W tej mierze przypominały tylko niezliczone procesa o *obrazę księcia Bismarka*. Dość tu wspomnieć nauczyciela Miarke, redaktora „Katolika,” X. Majunkę, redaktora „Germanii,” Żychlińskiego, redaktora „Kuryera Poznańskiego,” Szymańskiego, redaktora „Orędownika” i w. i. Kuryer Poznański, Germania, Reichszeitung i inne niezliczone razy padały ofiarą tej obraz. Z największem tylko wyteżeniem można było pisma te utrzymać.

Szczegółowe przeprowadzenie praw majowych, czyli prześladowanie.

Dramat ten rozpoczął się naraz na całej przestrzeni od granic Francyi aż do granic Litwy, od Hildesheimu aż do granic Austrii. Rząd wyteżył w tę stronę wszystkie swoje siły tak, iż się zdawało, że się niczem innem więcej nie zajmuje. Powszechny ucisk już wszyscy czuli, bo nad amboną już dawno wisił miecz Damoklesa, że szkół duchowni wyrzuceni, z kraju zakony wypędzone, zrozumienie rzeczy katolickich rząd od siebie odepchnął, cesarz sam stanowczy głos oskarżenia przeciw katolikom podniósł, cała biurokracya tym duchem nieprzychylności natchniona, w każdym kroku administracyi swoją nieprzyjaźń okazywała i prasa urzędowa jadem nienawiści zionęła. Każdy wierny katolik miał już niejakoś wyryte na sobie piętno „nieprzyjaciela cesarstwa,” jak za pogańskich czasów każdy chrześcijanin „hostis imperii romani.”

W którą stronę najpierw uderzą, z Polaków przynajmniej nikt nie wątpił. Zawziętość na tego, któremu się najwięcej i najcięższych krzywd oddawna wyrządzało, kierowała naturalnym instynktem pierwsze zamachy na Polaków, a wszechogólności na W. X. Poznańskie. Co więcej rząd liczył jeszcze i na to, że arcybiskup Ledóchowski nie ma u Polaków wierności, a ci stanowią niezmierną większość ludności katolickiej

W. X. Poznańskiego, że polskie duchowieństwo patryotyczne, chociaż mu „na komendę“ posyłało adresy i deputacye, w gruncie jednak nie jest mu przychylne, że sprężystsze niż dawniej trzymanie duchowieństwa w ryzie karności kościelnej odwróciło serca kleru od niego. Mniemał przeto, że jeśli gdzie, to właśnie w Poznańskim uda mu się najpewniej potargać węzły łączące biskupa z duchowieństwem i zrobić wyłom niezmiernej doniosłości w falandze hierarchii kościelnej. Jak w wszystkich innych poprzednich, tak i w tej rachubie pomylił się rząd zupełnie. Duchowieństwo bowiem w Poznańskim było i jest patryotycznym, ale przedewszystkiem katolickiem. Miało przeto głębokie przeświadczenie, że i szlachetne uczucie miłości ojczyzny jest pod prawidłem Ewangelii św. Chociaż tedy niektóre kroki arcybiskupa początkowe mogły uczucia patryotyczne duchowieństwa zadrasnąć, to przecież, gdy go poznało bliżej, a mianowicie na kongregacyach dekanalnych i wizytacyach pasterskich, gdy patrzyło na jego niezmordowaną czynność, na szczerą gorliwość w popieraniu wszystkiego, co miało dobro religii na celu, w krótkim czasie się przekonało, że wszystko, co robi, w dobrej robi wierze, że nim czyste kierują intencye, nie zaś jakiegokolwiekbądź względy doczesne. To wystarczało, aby w nim uszanować zwierzchnika. Co więcej duchowieństwo poznańskie znało rząd pruski od dawna z doświadczenia lepiej, niż Arcybiskup, znało jego tradycyjną nienawiść do naszej narodowości i religii, nie było zatem a priori skłonnem do uwierzenia, że rząd taki może mieć dobre dla Kościoła zamiary, choćby je nawet na swej chorągwi wywieszał i najuroczystsze dawał zapewnienia. Co zaś do odświeżenia przepisów karności kościelnej, mogło to garstkę niezdrowych członków zrazić, ale niezrównana większość czuła tego potrzebę i chętnie się do wszystkiego zastósowała. A gdy jeszcze ujrzeli, z jaką śmiałością i odwagą stawiał Arcybiskup czoło rządowi w obronie wiary i religii, nie musiałyż wszelkie drobne urazy, jeśli się gdzie jakie ukryły, w duchowieństwie, które wogóle duchem Kościoła było ożywione, zamilknąć i przeciwne wywołać dla niego uczucia, aby mu chwilowe zapoznanie go, podejrzywanie i powątpiewanie tem żywszem przywiązaniem wynagrodzić? Takim jest niezeepsute serce człowieka, tak się też objawiło i teraz. Jakże się tu „mądrość

małych i roztropność roztropnych“ w rachubach swoich pomyliła! Nie bez słuszności powiedział mi jeden z znakomitych obrońców Kościoła niemieckiego rodu, że wymierzenie pierwszych ciosów w Poznańskie uważa za zrządzenie Opatrzności, bo nie ręczy, czyby np. duchowieństwo szląskie było ten pierwszy atak tak chlubnie wytrzymało i innym dyecezyjom taki dało przykład, jak Poznańskie. Instynkt nienawiści, który kroki nieprzyjacielskie rządu najpierw w tę stronę kierował, sam sobie zgotował silniejszy i powszechniejszy opór, niż go się po przecznej rachubie mógł być spodziewać.

Tak stała sprawa z duchowieństwem. Do wyleczenia zaś świeckich z powziętych przeciw Arcybiskupowi uprzedzeń i najdziwaczniejszych podejrzeń, rząd sam najwyborniejszą podał sposobność przez ukaz, nakazujący w szkołach gimnazyalnych wykładać wszystkie przedmioty, a następnie i naukę religii wyłącznie w języku niemieckim. Zapatrując się z praktycznego stanowiska na ten krok rządu, moglibyśmy się zadziwić, że rząd w tej właśnie chwili, w której stanął do boju na śmierć i życie z Kościołem katolickim, poruszył właśnie kwestyę, która do żywego oburzyć musiała ludność polską i katolicką. Niechaj dwie krótkie uwagi wytłómaczą tę niepraktyczność. Najpierw, skoro rząd pruski, folgując liberalizmowi niemieckiemu, przyjął za podstawę swoją teoryę o „państwie absolutnem,“ stała się kwestya językowa jedną z nieubłaganych konsekwencyj tej nauki. Odwołujemy się tu do tego, cośmy już w tej materji powiedzieli wyżej. Powtóre niepojęta buta, nie znająca żadnych granic zarozumiałość rządu, który w tej chwili całym trząsł światem, lekce sobie ważyły oburzenie garstki polskiego ludu. Oporu przeto się nie obawiał w poczuciu swej potęgi, a o prawo, słuszność od dawna się już nie pytał.

Minister spraw duchownych i oświecenia wydał pod d. 16 listopada 1872 r. do prowincjonalnego Kollegium szkolnego w Poznaniu następujące rozporządzenie:

„Podług sprawozdania z dnia 4 września r. b. zachodzi w tamtejszej prowincyi wielka rozmaitość co do języka, w którym w wyższych zakładach naukowych wykładaną bywa nauka religii, zdania zaś tych, których to dotyczy, wielce się, jak sprawozdanie powiada, w ocenianiu tej sprawy różnią. Aby

wśród tych okoliczności sprowadzić pożądaną jednostajność, nie uwłaczając przez to przedmiotowi samemu, wniosłem do Najjaśniejszego Pana odpowiednią modyfikację instrukcyi z dnia 24 maja 1842 r., odnoszącej się do używania języka polskiego jako wykładowego, poczem JCKMość, korzystając z wypowiedzianego w instrukcyi wyraźnego zastrzeżenia, rozporządzić raczył w przyłączonym tu odpisie najwyższego rozkazu z dnia 26 z. m., że odtąd w wyższych zakładach naukowych tamtejszej prowincyi *nauka religii pod względem języka wykładowego tym samym ma ulegać przepisom, co inne przedmioty naukowe.*“

Instrukcyja z dnia 24 maja 1842 r., na którą się rozporządzenie powyższe odwołuje, zawiera co do obecnego przedmiotu dosłownie taki przepis: „*Naukę religii pobiera każdy uczeń w swej ojczystej mowie.*“

Rozporządzenie ministeryalne z dnia 16 listopada 1872 roku miało być zaraz od Wielkanocy 1873 r. zastósowane. Aby zapewnić rozporządzeniu temu nietykalność, oparł je minister oświecenia na rozkazie gabinetowym, który nigdy nie był publikowany.

Łatwo sobie wystawić, jak to rozporządzenie, długo tajone i Arcybiskupowi wcale nie zakomunikowane, musiało przerazić młodzież, nauczycieli religii, rodziców, a przede wszystkim Arcybiskupa. Już poprzednio dochodziły Arcybiskupa rozmaite głuche wieści, że rząd nie kontent z tego, iż Arcybiskup po kandydatach stanu duchownego niemieckiego pochodzenia wymagał także znajomości języka polskiego tak samo, jak od Polaków niemieckiego. Mimo to, że rozporządzenie tego rodzaju odpowiadało zupełnie potrzebom duchownym ludności w niektórych okolicach mieszanej, a rząd dla swoich świeckich urzędników za wzór je sobie wziąć był powinien, dał jednak Arcybiskupowi uczuć swoje niezadowolnienie z tego powodu. Najślusniejsza sprawa nie znalazła wyrozumienia, bo wymiar sprawiedliwości dla Polaków, choć się tylko odnosił do zbawienia ich duszy, już był zbrodnią w oczach rządu pruskiego. W najsprawiedliwszem i w najniewinniejszem postępowaniu, jakiegoby się każdy biskup prawdziwy katolik trzymać był powinien, czyby był Polakiem lub Niemcem, wietrzył rząd sprzyjanie polonizmowi. Widocznie chciał i Kościół katolicki zamienić na

narzędzie celów germanizacyjnych. Jeżeli w tej mierze liczył na powolność arcybiskupa Ledóchowskiego, pomylił się grubo.

Wkrótce na innym punkcie zaszło w tej sprawie starcie. Przy otwarciu Gimnazjum węgrowskiego, które w nagrodę za zniesienie Trzemeszeńskiego dla katolików, a tem samem Polaków miało być założone, polecił dyrektor X. Głabiszowi, nauczycielowi religii, aby naukę religii i kazanie gimnazyalne w niemieckim miewał języku. Tymczasem szkolne Kolegium prowincjonalne o tyle jeszcze na korzyść polskiej ludności rzecz zadecydowało, że nauka religii miała być wykładana w polskim, kazania zaś miewane w niemieckim języku. X. Głabisz odniósł się w tej sprawie do Arcybiskupa, który przekonawszy się, że w całym Gimnazjum *jeden* tylko jest uczeń katolik, Niemiec, który nie rozumie po polsku, i dwóch nauczycieli z obcych prowincyj sprowadzonych, zadysponował, aby kazania i śpiewy kościelne po polsku się odbywały. Rozwinęła się w tej materji długa i uporczywa korespondencja pomiędzy Arcybiskupem a władzami, które się temu opierały. Arcybiskup nagabywany przez X. Głabisza, którego władze świeckie ciśnieły, po trzykroć musiał swoje pierwsze rozporządzenie, zgodne zupełnie z położeniem rzeczy, powtarzać. Spór ten rozstrzygnęło ostatecznie wyżej przytoczone rozporządzenie ministerjalne co do języka wykładowego, a nabożeństwo i kazanie dla gimnazystów ustało całkiem. Natomiast nauczyciel religii miał przed ósmą rano uczniów katolickich zgromadzić codziennie i pacierz z nimi po niemiecku odmawiać.

Takie utarczki poprzedziły walną bitwę, która się dotąd jeszcze toczy. Podczas, kiedy nowe projekta do praw polityczno-kościelnych znajdowały się pod obradami Komisji, upomnieli się posłowie polscy drogą interpelacji, wniesioną przez Wierzbńskiego o krzywdy, wyrządzone językowi polskiemu przez nowo wydane rozporządzenie. Interpelacya ta zawiera starannie zebrane i zestawione materiały, ale, ponieważ nie oparła się głównie na wielkich zasadach chrześcijańskich, z których fałsz wewnętrzny gwałtów i ucisków przez rząd ludności polskiej i katolickiej zadawanych najwydatniej można było atakować, nie zrobiła wielkiego wrażenia. Gwałt bowiem zadany sumieniu jest najcięższym grzechem przeciw wolności w ogóle,

a tego interpelacya ledwo dotyka. Poprawił to później poseł Kantak wśród dyskusyi nad budżetem ministerstwa oświecenia.

Arcybiskup, skoro się tylko dowiedział o tym nowym ciosie przeciw ludności katolickiej obydwóch jego dyecezyj wymierzonym, wszedł natychmiast w korespondencyą z rządem, przedstawiał i błagał, aby odstąpiono od okrucieństwa, jakiego się to rozporządzenie na duszach niewinnych dziełatek dopuszcza. Wtenczas bowiem nikt jeszcze nie śmiał przypuszczać, że rząd z góry zakroił na wytepienie wszelkich śladów chrześcijaństwa i dla tego od dziatwy zaczyna. Myśl sama wzdygała się na to wspomnienie samo — dziś już nikt o tem nie wątpi. Arcybiskupowi przeto, który nie nie wskórał u władz rządowych, zasłaniających się rozkazem gabinetowym, godziło się spodziewać, że król sam zapobieży okrucieństwu przewyższającemu o wiele srogość środków użytych w tej mierze przez Juliana, Apostatę. Udał się przeto w tej mierze z prośbą wprost do króla. Z polecenia królewskiego odpowiedział mu minister oświecenia, że „do wydanego przez siebie rozporządzenia miał upoważnienie monarchy.“ Po wyczerpnięciu wszelkich środków, jakie arcybiskupowi gorliwość i roztropność pasterska poddać zdołały, aby cios ten od dziatwy katolickiej swej dyecezyi odwrócić, cóż miał uczynić? Mógłże zaprzestać na protestacyi i zezwolić, aby zachowano cześć formalność? aby niby nauczano dzieci religii po szkołach, a w rzeczy samej nie ich nie nauczono? aby dziatki niewinne, którym miano wpoić pierwsze pojęcie o Bogu, jego mądrości nieskończonej, dobroci, wszechmocności, o Zbawicielu, i zaszczerpić w ich sercach miłość Boga, dręczyć i męczyć łamaniem się z językiem trudnym i niezrozumianym i obmierzić im na samym wstępie ten przedmiot nauki najświętszy i najpotrzebniejszy? Co więcej, pominiemy tu wszelkie względy pedagogiczne, a zwłaszcza w przedmiocie religii, i zapytajmy się, czy się godziło arcybiskupowi dopuścić, aby z jego ramienia ogłaszał kaznodzieja słowo Boże po niemiecku 609 uczniom polskim, z których z pewnością $\frac{3}{4}$ po niemiecku wcale nie rozumieją, i 11 Niemcom, z których kilku po polsku rozumie? Taka właśnie była wtenczas proporcya uczniów w Gimnazyum Poznańskiem ś. Maryi Magdaleny i podobna w innych. Nie byłoby to komedyą, igraszką, a co najgorsza, profanacyą słowa Bożego? Któryż z biskupów ka-

polickich mógłby na taką zniewagę nauki objawionej zezwolić? Położenie nader było trudne. Skutki bowiem oporu łatwo było przewidzieć. Chodziło oczywiście o to, czy pozbawić całą młodzież szkolną regularnego pobierania nauki religii, której sposób udzielania nie mógł obfitych rokować owoców, czy też urządzić jej dawanie skuteczne w drodze prywatnej. Ostatni pomysł pociągał za sobą wielkie trudności praktyczne w przeprowadzeniu, chociaż arcybiskup nie mógł przypuszczać wówczas, aby rząd się posunął do użycia gwałtu i zabraniał dawać i pobierać naukę religii prywatnie. Prócz tej drogi była jeszcze jedna podobna t. j. zaprotestować, a obok tego oświadczyć rządowi, że na próbę pozwoli przez kwartał lub pół roku wykładać w ten sposób naukę religii, a po upływie tego czasu pośle swoich komisarzy, aby zbadali, jakie owoce wykład ten przyniósł. Bezuzyteczność takiego wykładu była niewątpliwą, a ztąd należało się spodziewać, że rząd oczywistej prawdzie nie będzie się śmiał sprzeciwiać i rozporządzenie równie okrutne jak nierozumne będzie musiał zmodyfikować. Tym sposobem nie byłaby młodzież pozbawiona przez długie lata regularnego i systematycznego wykładu nauki religii. Lecz, jakąż była rękojmia, że ta droga do pożądanego doprowadzi celu? Rząd, który żadnego, choćby najjaśniejszego nie szanuje prawa i mocą swoją je kruszy, zatrzymałżeby się przed potęgą prawdy, choćby najoczywistszej? Co więcej, pytanie, czyby arcybiskupowi był pozwoił wysłać komisarzy lub samemu się przekonać o skutkach tego rozporządzenia. Zresztą pewność, że dziecko za pośrednictwem nieznanego sobie języka nic się nauczyć nie może, nie potrzebuje potwierdzenia przez doświadczenie. Rząd przeto, który rozporządzeniem swoim tak oczywistą prawdę pogwałcił, jakże się miał potem przed jej praktycznem sprawdzeniem cofać? Po upływie zatem czasu próby byłby arcybiskup w tem samym znowu położeniu w jakim się znajdował na samym początku tej sprawy. Zdecydował się przeto zaraz do stanowczego kroku. Rozliczne petycje rodziców katolickich błagających go, aby nie pozwalał na wykład nauki religii w języku dla dzieci całkiem niezrozumiałym, nie mogły także dlań być obojętne. W takim tedy położeniu wydał ów pamietny „Okólnik do JJXX. Nauczycieli religii przy wyższych zakładach szkolnych w Archidiecezyi Gnieźnieńskiej i Poznań-

skiej“ z dnia 23go Lutego 1873, który dla jego ważności przytaczamy cały.

„Nie mniejszego doznałem smutku jak zaniepokojenia, gdy przez Was zawiadomiony zostałem, iż prowincjonalne kolegium szkolne z rozkazu wyższych władz rządowych przesłało Wam rozporządzenie, byście naukę religii od przyszłej Wielkiejnocy w tym języku wykładali młodzieży katolickiej, w którym inne przedmioty naukowe są wykładane.

Jest rzeczą mnie i Wam i wszystkim wiadomą, że młodzież katolicka do wyższych szkół naszych uczęszczająca, jeżeli pominiemy zakłady Wałecki, Pilski, Międzyrzecki i w części Bydgoski, jest wszystka, z wyjątkiem kilka tu i owdzie jednostek, polskiego pochodzenia i polskiego języka. Podobnież wiadomo nam jest, że wykład nauk we wszystkich tych zakładach oprócz w dwóch gimnazyach, Poznańskim ś. Maryi Magdaleny i Ostrowskiem, tudzież w szkole realnej Poznańskiej, gdzie także język polski w niższych klasach jest wykładowym, w niemieckim języku wyłącznie jest zaprowadzony. Gdy wobec tych dwóch niezaprzeczonych faktów rozważymy nowe rozporządzenie prowincjonalnego kolegium szkolnego, jasno spostrzemy, że jeżeliby one w całej swej rozciągłości przeprowadzonym być miało, natenczas od Wielkiejnocy wszystka młodzież katolicka, polskim tylko językiem jako ojczystym dobrze władająca, przez Was, tymże językiem mówiących, w najpotrzebniejszej rzeczy, to jest w zasadach religii, pouczana by tylko być mogła po niemiecku, to jest w języku, którego najmłodsze dziatki prawie zupełnie nie rozumieją, a które starsze, jak to z samej natury rzeczy wypływa, tylko bardzo niedokładnie rozumieć mogą.

Sposób, w jaki nauka wiary katolickiej powinna być katolickiej dziatwie udzielaną, w katolickim Kościele nie cywilne, lecz duchowne władze określają i stanowią, ponieważ Zbawiciel powierzył obowiązek pouczania ludzi w wierze Apostołom swoim i ich następcom, Biskupom, nie zaś świeckim osobom, gdy rzekł do pierwszych: „Euntes docete.“ Dla tego też zdziwiony, że Kolegium Prowincjonalne Szkolne wydało rzeczzone rozporządzenie do Was, wykładających naukę religii z mego wyłącznie upoważnienia, bez poprzedniego porozumienia się ze mną, udałem się wprost do Najjaśniejszego Pana z usilną

prośbą, aby raczył rządowi swojemu nakazać, by postanowienie swoje tak wytłomaczył, że wykład nauki wiary w języku, w którym inne przedmioty są wykładane, tam tylko ma mieć miejsce, gdzie te inne przedmioty w rodzinnej uczniów mowie rzeczywiście są wykładane, jak np. w Wałczu, Międzyrzeczu, Pile i częścią w Bydgoszczy. Nie odebrałem na to moje przedstawienie odpowiedzi, tylko minister oświecenia zawiadomił mnie wskutek tej zanesionej do Cesarza i Króla Jegomości prośby, że do wydania rozporządzenia, przeciwko któremu reklamowałem, upoważniony był przez monarchę. Czy zaś zarówno upoważniony był do zmienienia onegoż, zamilczał.

Mam jeszcze nadzieję, że pan minister, zastanowiwszy się bliżej nad ważnością przedmiotu i nad niezaprzeczoną słusznością uwag, zawartych w mem piśmie do Jego Cesarsko-Królewskiej Mości, zechce sprawiedliwe i uzasadnione moje żądanie uwzględnić. Jeżeliby jednak, co nie daj Boże, inaczej stać się miało, ja z mej strony nałożoną mi przez urząd mój pasterski powinność spełnię, i postawiony, pomimo żem tego niegodzien, przez Ducha świętego, abym rządził tą częstką Kościoła Chrystusowego, dla której Biskupem przeznaczył mnie Zastępca Zbawiciela na ziemi, to Wam, Nauczycielom religii przepisać i nakazać w sumieniu jestem obowiązany, czego dobro i zbawienie powierzonych mi przez Boga dusz wymaga.

Religii uczymy działwę, aby religią poznała, nie zaś dla tego, aby jej wykład miał ułatwiać nabycie znajomości niemieckiego języka. Używać tej nauki w tym ostatnim celu, byłoby z naszej strony świętokradzkim ubliżeniem najwyższej godności i powadze, do której ma prawo wiara i moralność. Ale religii uczymy nietylko, aby rozum człowieka zapoznać z objawionemi przez Boga prawdami i z prawidłami chrześcijańskiego żywota, lecz także i przede wszystkim, aby wpoić w serca ludzkie zamiłowanie tych prawd i wierność w trzymaniu się tych prawideł. Jest więc naszym obowiązkiem podawać tę naukę w sposób najzrozumialszy dla pojęcia człowieka i najprzystępniejszy uczuciom jego serca: tym zaś sposobem mianowicie dla dzieci jest posługiwanie się w wykładzie tej nauki językiem rodzinnym, którego najdelikatniejsze odcienia są każdemu znane, zrozumiałe i żadnego wysilenia umysłu nie potrzebujące, aby były zaraz i łatwo pojęte.

Te prawdy tak są jasne, tak dla każdego uczciwego i rozsądnego człowieka pewne, tak powszechnie od wszystkich ludzi uznane, iż nie zdziwiło mnie wcale, że Ojcowie, Matki, Opiekunowie i szczerzy przyjaciele dziatwy katolickiej przedstawili i przedstawiają mi prośby, już przeszło dziesięciu tysiącami podpisów pokryte, abym nie zezwolił, iżby ich dzieciom kapłani moi wykładali naukę religii w języku albo wcale niezrozumiałym albo mniej dla tychże dzieci przystępnym.

Na podstawie poprzedzających przeto uwag i powodów przesyłam Wam następujące objaśnienie co do rozciągłości udzielonej Wam przezemnie kanonicznej Missyi, i nakazuję zarazem niniejszem, abyście tej missyi granice uszanowali, i w żadnym razie, pod żadnym pozorem przekroczyć ich się nie wazyli.

Wolno Wam przeto w moc odebranej kanonicznej missyi, *po pierwsze*: udzielać młodzieży szkolnej naukę religii we wszystkich klasach, poczynawszy od najniższej aż do sekundy wyłącznie, nie inaczej jak tylko w tym języku, w którym dotąd jej udzielacie, to jest w ojczystym języku większości uczniów.

Dalej, jeżeli w zakładach, w których po polsku tę naukę świętą wykładacie, znajduje się także nieznaczną liczbą dzieci katolickich po niemiecku z domu mówiących, wolno Wam w moc tejże missyi, pouczać te ostatnie dzieci w ojczystym ich języku, jakeście to dotąd wszędzie czynili.

Nakoniec, ponieważ młodzież polska, gdy do sekundy dojdzie, już tyle po niemiecku umie, że jest w stanie bez bardzo wielkiego wysilenia wykład niemiecki zrozumieć, a z każdą iną, gdy do sekundy dojdzie, już najważniejszych rzeczy do nauki religii należących wyuczyć się mogła, a nadto zmuszona obecnie do składania egzaminu dojrzałości w przedmiocie religii po niemiecku, nieco wyćwiczenia w tej mierze potrzebuje: oświadczamy Wam, że tymczasowo i dopóki smutny a nader dla wolności sumień uciążliwy prąd dzisiejszy się nie zmieni, czego za łaską Bożą z wielką ufnością prędko oczekujemy, w moc tejże samej zawsze missyi kanonicznej, wolno Wam będzie, ulegając bolesnej konieczności, od Wielkiejnocy w sekundzie i w prymie przedmiot Waszego wykładu w niemieckim języku uczniom podawać.

Odpis tej mojej do Was odezwy przesyłam Prowincjonalnemu Kolegium Szkolnemu, aby wiedziało, do czego Was Missio Canonica upoważnia, i nie wymagało od Was tego, czego czynić prawa nie macie.“

Okólnik ten otworzył oczy zaślepiionym, a powzięte uprzedzenia, jakoby arcybiskup był zupełnie zaprzędany rządowi, jakoby w duchu był „prusakiem,“ rozchwiały odrazu. Potwarcy i nieprzyjaciele musieli zamilknąć. „O jego stałości i godności, mówi słusznie hrabia Tarnowski w Sierpniowym poszycie Przeglądu Polskiego 1874, nikt już dziś wątpić nie może, nawet nieprzyjaciele, nawet potwarcy.“ Przekonali się wszyscy, że w arcybiskupie Ledóchowskim mieli tylko biskupa katolickiego, który ani na opinią ani na rząd się nie oglądał, kiedy chodziło o rzeczywiste dobro Kościoła, że, chociażby w zbytecznem zaufaniu do rządu pruskiego, jak wielu innych biskupów niemieckich, w niektórych razach był rzeczywiście zbłądził, czynił to jednak zawsze w dobrej wierze i z czystych pobudek. Okólnik ten zakreśla stanowisko biskupa katolickiego wobec kwestyi, o którą chodziło, tak jasno, iżby je każdy biskup, czy Polak czy Niemiec, w obecnem położeniu zająć musiał. Arcybiskup Ledóchowski w tym punkcie o tyle był szczęśliwy, że pozycyi swojej nie potrzebował zmienić ani o włos. Czem się pokazał wobec szlachetnych, ale zbłąkanych często i zmaconych uczuć narodowych polskich, tem samem pokazuje się dziś wobec złych i fałszywych praktyk narodowego szaleństwa niemieckiego, na których czele rząd pruski stanął. Nie dał przedtem bezwzględnych i odwiecznych prawd religii ś. na służbę patryotyzmu polskiego, który pod straszliwym uciskiem jęcząc mógł stracić łatwo równowagę, a teraz broni tego skarbu jego pieczy powierzonego od napaści i niewoli zuchwałego i rozwielnionego patryotyzmu niemieckiego. Ani opinii ani rządowi, ani absolutystom polskim ani niemieckim nie poświęcił nic z boskich i niezmiennych prawd Kościoła katolickiego. To stanowiło właśnie moc i niewstrząśnioną podstawę jego pozycyi. Dziwne zrządzenie, że mu najzaciętszy jego nieprzyjaciel, t. j. rząd sam to stanowisko zgotował i w chwili, kiedy z nim szedł do walki, pojednał go z jego przeciwnikami, a przynajmniej podał mu zręczność przekonania tych z swoich

dyecezyan, którzy czystość jego intencji podejrzewali, że w zupełnym byli błędzie.

Arcybiskup miał po sobie taką oczywistą i niezaprzeczoną słuszność, iż rząd pruski, gdyby był zdolny wstydzić się jeszcze czegoś, musiałby się być spalić od wstydu. Zaczął się przeto wykręcać i wywijać, utrzymując, że arcybiskup rozporządzenie to źle zrozumiał, że rząd nie miał na myśli kazać wyklądać naukę religii „w języku niezrozumiałym“ i t. p. Sam minister oświecenia nie wstydził się użyć tego argumentu w odpowiedzi na interpelacyą w Grudniu przez posłów polskich w tej materii do sejmu wniesioną. Za doznaną z tego powodu przykrość mścił się potem na arcybiskupie, gdy się rozpoczęło prześladowanie, i na młodzieży katolickiej przez odjęcie jej wszelkiej sposobności do nauki religii.

Chociaż arcybiskup, jak tego okólnik jego najwyraźniej dowodzi, oparł się na czysto kościelnem stanowisku, a narodowego ani jednym słowem nie dotknął, nie uszedł jednak ze strony rządu najniesprawiedliwszego zarzutu, że się przerzucił do obozu stronnictwa narodowego. Nie twierdzę bynajmniej, aby obrona języka ojczystego ze stanowiska narodowego nie była także jak najzupełniej usprawiedliwioną i posłowie polscy byli obowiązani w obronie tego prawa stanąć, ale utrzymuję, że arcybiskup nie użył i nie potrzebował tego argumentu wcale. A gdyby go był użył, gdyby się był na prawa narodowości odwołał, byłby swoje stanowisko nieskończenie osłabił. Niewątpliwie byłby podejrzeniom i posądzaniom, że pod pozorem religii broni narodowości polskiej, a zatem, że jej używa za narzędzie do celów politycznych, na rozcież wrota otworzył, co więcej, byłby stanął w sprzeczności z dotychczasowym kierunkiem postępowania swego. Napróżno rząd usiłował strącić go z tego niezdożytego stanowiska przez podsuwanie mu innych pobudek. Zarzutów wprawdzie i podejrzeń nie uszedł, ale lepiej zawsze było dla rzeczy i dla niego, że zarzuty te były kłamstwem, aniżeli, gdyby były prawdą. Innem bowiem było i jest zadanie biskupa katolickiego, a innem posłów sejmowych. Jak ta sprawa dokuczyła rządowi właśnie dla tego, że li tylko ze stanowiska kościelnego została ujęta, dowodzi tego najwyraźniej ta okoliczność, że się do tej chwili rząd nie może uspokoić. Jakoż w marcu r. b. w odpowiedzi

na interpelacyą posła Łyskowskiego śmiał minister Eulenburg powiedzieć, że arcybiskup Ledóchowski przed objęciem arcybiskupstwa Gnieźnieńskiego i Poznańskiego przyrzekł rządowi pruskiemu, że z narodowością polską nic wspólnego mieć nie będzie, a mimo to w końcu rozpiętymi żaglami dążył pod narodową chorągiew. Któż dziś temu uwierzy? Arcybiskup jeszcze żyje, ale czy uzna za stosowne dać na to odpowiedź, trudno przewidzieć. Mogłaby się tu łatwo powtórzyć scena, jaka zaszła pomiędzy biskupem Senestrey, a ministrem Lutz w Bawaryi.

Skoro tylko ten okólnik doszedł do wiadomości rządu, wezwał natychmiast wszystkich nauczycieli religii, aby się zdeklarowali, czy będą posłuszni rozporządzeniu arcybiskupiemu, czy rządowemu. Gdy oświadczyli, że się muszą zastosować do woli arcybiskupa, wytoczono wszystkim proces dyscyplinarny i złożono ich z urzędu, a tych, którzy jeszcze nie byli instytuowani stale, oddalono po prostu natychmiast z urzędu. Z wyjątkiem zatem tych zakładów, w których większość uczniów katolickich niemieckiego była pochodzenia, pozbawiono na raz uczniów wszystkich innych szkół gimnazyalnych i realnych regularnego wykładu nauki religii.

Teraz rozpoczęła się dopiero obszerna i niewdzięczna korespondencya w tej materji pomiędzy rządem a arcybiskupem. Rząd bowiem uważał jeszcze za rzecz przedwczesną folgować wymaganiom pseudoliberalów i przedmiot nauki religii całkiem z planu szkolnego wykreślić — obawiał się, że tym krokiem obrazi uczucia religijne mas. Znieść zaś naukę religii dla uczniów katolickich, a zatrzymać ją dla innych wyznań, było także obrazą pozoru równouprawnienia, mówię pozoru, bo o rzeczywistem równouprawnieniu pod rządem pruskiem nigdy mowy nie było. Cóż tedy rząd robi? Wzywa nauczycieli świeckich, katolików, aby się podjęli wykładu nauki religii. Największa część odmówiła i, jeśli się nie mylimy, w Wągrowcu tylko znalazło się dwóch przybyszów z innych prowincyj, Jenike i Gallien, którzy gotowość swoją do udzielania nauki religii oświadczyli. Aby krok ten dziwaczny upozorować jakimśkolwiek cieniem legalności, wniosło prowincjonalne kolegium szkolne do arcybiskupa pod dniem 30 czerwca o udzielenie tym samozwańcom missyi kanonicznej do nauczania re-

ligii i co zabawniejsza, wyznaczyło mu termin dni 14 do oświadczenia się w tej mierze. Jeżeli organa rządowe nie zrobiły tego kroku celem urągania arcybiskupowi, bo przypuszczać rozsądnie nie mogły, aby się arcybiskup na taki wniosek mógł zgodzić, to nie pozostaje nic innego, jak przyjąć, że to uczyniły w myśli zwaleni całej winy na arcybiskupa za to, że uczniowie wyższych szkół rządowych pozbawieni są całkiem nauki religii. Bo jakże arcybiskup mógł upoważnić do udzielania nauki religii osoby przybyłe co dopiero z obcych dycezyj, całkiem mu nieznane ani co do ich kwalifikacyi pod względem ducha religijnego ani co do moralnego ich prowadzenia się? Jak mógł upoważnić do ogłaszania prawd religii ludzi, nad którymi nie miał prawa czuwać, czy ją będą wiernie podług nauki Kościoła wyklądać? Troskliwe czuwanie przecież nad czystością nauki, a zwłaszcza w naszych czasach, jest jednym z najświętszych obowiązków biskupa. W tej myśli odpowiedział także arcybiskup na ten wniosek pod dniem 10 lipca. Przy tej okoliczności odpierając zarzut, że nie miał uzasadnionego powodu do wydania znanego okólnika i zaprowadzenia takiego zamieszania, nie omieszkął wytknąć sprzeczność, w jaką się władze rządowe swojemi wykrętami same wikłają. „Oświadczyło, powiada (Kolegium szkolne) jako rzecz mającą się rozumieć sama przez się, że przy udzielaniu w mowie będącej nauki, nauczyciel musi koniecznie mieć wzgląd na ojczysty język uczniów, z czego wypada koniecznie logiczny wniosek, że jedynie za pośrednictwem ojczystego języka uczniowie mogą być w sposób zrozumiały w religii pouczani, na której to właśnie prawdzie mój Okólnik z 23 lutego się opiera.“ Cóż to za płatanina najrozmaitszych sprzeczności i złej wiary? Wydają rozporządzenie policzkując najoczywistszą prawdę, aby młodzieży wykładano naukę w języku jej nieznanym, a zatem niezrozumiałym, wydają je bez poprzedniego porozumienia się z arcybiskupem, do czego ich reskrypt z 25 maja 1830 wyraźnie w § 7 zobowiązywał; a gdy arcybiskup przedstawia, prosi i błaga monarchę samego, aby rozporządzenie to tak wytłomaczyć raczył, jeśli nie cofnąć, aby w jego ramach podobna było z jakim takim skutkiem naukę religii wyklądać, odpowiada mu minister, że „do wydania tego rozporządzenia upoważniony był przez króla.“ Gdy nareszcie arcybiskup do

ostateczności doprowadzony temu nierozumnemu rozporządzeniu się oparł i to w granicach nader umiarkowanych, gdy ta niedorzeczność niespodziewanego i niemiłego rządowi nabrała rozgłosu, cóż czynią? Począwszy od ministra aż do dyrektorów krzyczą wszyscy jednym głosem; pomyliłeś się arcybiskupie, przecież „to samo przez się się rozumie, że nauczyciel musi koniecznie mieć wzgląd na ojczysty język uczniów, zamieszanie, któregoś narobił, było niepotrzebne.“ Któryż uczciwy człowiek może przyjsć do końca z taką bezdenną przepaścią kłamstwa, wypowiedzianego jawnie przez usta ministra oświecenia i wszystkie jego organa?

Podczas kiedy rząd kłamstwem i wykrętami na swoim fałszywym stanowisku starał się utrzymać i brak nauki religii w szkołach gimnazyalnych niewłaściwymi organami zastąpić, arcybiskup prostą idąc drogą, polecił wyklądać naukę religii poza szkołą, skoro jej z winy rządu nie można było nauczać w właściwy sposób w szkole. Trudności praktyczne były w tej mierze wielkie, bo lokale, pensye nauczycieli, urzędowa kontrola i t. d. zawisły tylko od dobrej woli. Ciężką to wprowadzić było krzywdą dla katolickiej i polskiej ludności Księstwa, ale było przecież podobną rzeczą pokonać te trudności i jakośkolwiek przynajmniej zastąpić ten zupełny brak nauki religii w szkołach. Ledwo arcybiskup wydał odpowiednie dyspozycye, ledwo przeznaczeni do tego duchowni zaczęli poza szkołą naukę religii udzielać, użył rząd gwałtu, aby temu przeszkodzić. Zagroził tak nauczycieli udzielających, jak uczniów pobierających naukę religii surowemi karami.

Tak na stwierdzenie tego, com o wykrętach i nierzetelnem postępowaniu rządu powiedział, jak dla charakterystyki tego systematycznego kłamstwa, które wszelkimi środkami głos prawdy, gdziekolwiek się podniesie, zagłuszyć usiłuje, przytoczę jedno tylko tego rodzaju rozporządzenie wydane dnia 17 września „do dyrektorów wyższych zakładów naukowych prowincyi Poznańskiej,“ które uczniom wraz z zaświadczeniami wręczone zostało. Oto dosłowne jego tłumaczenie:

„Najwyższym rozkazem gabinetowym z dnia 26 Października r. z. postanowionem zostało, iż w wyższych zakładach naukowych prowincyi Poznańskiej nauka religii ze względu na język wykładowy w przyszłości nie inaczej ma być traktowaną,

jak inne przedmioty naukowe. Przez to w zakładach rzeczonych zaszła ta zmiana, iż, gdy dotąd nauka religii katolickiej udzielaną była w języku większości uczniów, odtąd tylko w polskich równoległych klasach tutejszego królewskiego gimnazjum ś. Maryi Magdaleny i królewskiego gimnazjum Ostrowskiego w polskim języku, we wszystkich zaś innych klasach tych gimnazjów, jako też we wszystkich klasach wszelkich innych zakładów w niemieckim języku naukę religii wykładać należy.

Przeciwnie temu najwyższemu rozporządzeniu ksiądz arcybiskup w ten sposób wystąpił, iż okólnikiem z dnia 23 lutego r. b. przepisał duchownym, urząd nauczycieli religii przy wyższych szkołach naukowych prowincyi sprawującym, tylko w prymie i w sekundzie po niemiecku uczyć, we wszystkich zaś innych klasach trzymać się dotychczasowego trybu wykładu.

Krok ten księdza arcybiskupa był tak dalece nieuzasadnionem przekroczeniem prawa państwa, które wyłącznie jest upoważnione do kierowania naukami w rządowych zakładach szkolnych, iż najmniejszego pozorów uprawnienia nie ma po sobie. Albowiem najwyższy rozkaz z dnia 26 października r. z. nie stawiał żadnych ograniczeń duchownym co do treści wykładanej przez nich nauki wiary i moralności, okólnik zaś arcybiskupi z dnia 23 lutego r. b. powiada: „że naprzyszłość ma być nauka religii uczniom wykładana w języku, którego albo wcale nie rozumieją, albo tylko bardzo niedokładnie,“ co faktycznie nie jest uzasadnionem. Dotąd w zakładach naukowych prowincyi poznańskiej przy nauczaniu uczniów polskiego pochodzenia, którzy jeszcze nie są zupełnie biegli w języku niemieckim, zawsze używano do pomocy języka polskiego, aby umożliwić porozumienie się nauczyciela z uczniem, i samo się przez się rozumie, iż nie było zamiarem państwa, odstąpić na przyszłość od tego naturą rzeczy nakazanego postępowania w udzielaniu nauki religii.

Władza przeto szkolna zmuszoną została, żądać ścisłego wykonania nakazanych nowych rozporządzeń, a o ile takowych wypełnić się wzbraniało, nieposłusznych duchownych złożyć z urzędu nauczycielskiego.

Przy takim zachowaniu się księdza arcybiskupa niepodobnem było pozyskać innych duchownych na opróżnione posady, a z pomiędzy świeckich nauczycieli, nie wielu można

było wynaleść takich, którymby na mocy ich kwalifikacyi można było powierzyć wykład nauki religii katolickiej. Ztąd poszło, iż nauka ta w wyższych zakładach naukowych prowincyi obecnie wyjątkowo tylko udzielaną bywa.

Tymczasem rozpoczął ksiądz arcybiskup nakazywać duchownym w kilkunastu miejscach udzielać naukę religii katolickiej uczniom wyższych naukowych zakładów po za szkołą i to w sposób, jak poprzednio, bez zastosowania się do postanowienia najwyższego rozkazu z dnia 26 października r. z. pod względem języka.

Po początku, tudzież całkowitemu urzędzeniu tych zakładów przeznaczonych do nauki religii poznać odrazu, że nie należą do obrębu uprawnionego działania odnośnej władzy duchownej, ale mają jedynie na celu uniemożliwienie przyprowadzenia rozporządzeń rządu na polu administracyi szkolnej. Są one szkołami prywatnemi ulegającemi w moc prawa dozorowi państwa, nadto ani są potrzebne, gdyż jedynie nieuzasadniony opór księdza arcybiskupa, który te szkoły wywołał, uczynił wykład nauki religii w zakładach państwa niepodobnym, ani dają rękojmią zbawiennego wpływu na młodzież. Przeciwnie wielokrotne doświadczenia najnowszych czasów dowiodły, iż nauczający duchowni wpływ swój na uczniów w tym kierunku wywierali, aby ich podburzać do nieposłuszeństwa przynależnego rozporządzeniom świeckich nauczycieli i zwierzchności szkolnej, aby w młodocianych już umysłach budzić ducha politycznej i religijnej stronnicości i osłabiać uczucia patryotyczne.

Fakta te zmuszają państwo do odparcia dążności przeciwnemu skierowanych, z tego także powodu królewskie rejencye wystąpią przeciwko odnośnym duchownym stosownie do postanowień istniejących o niekoncesyonowanych szkołach prywatnych.

Nadto zwierzchność szkolna ma obowiązek oparcia się wpływom, które w najwyższym stopniu zagrażają karność szkolną, a tem samem błogie działanie zakładów podkopują.

Na mocy udzielonego nam upoważnienia zakazujemy niniejszem uczniom wyższych zakładów naukowych prowincyi Poznańskiej uczęszczania do wymienionych prywatnych szkół w celu pobierania nauki religii i stanowimy, iż każde przekro-

czenie tego zakazu pociągnie za sobą karę wydalenia ucznia z zakładu.

Panów dyrektorów tego rodzaju zakładów zobowiązujemy niniejszem, aby rodziców, współopiekunów uczniów o powodach i celach naszego rozporządzenia zawiadomili, a spodziewamy się, że wyjaśnienie to przyczyni się do sprawiedliwego ocenienia rozporządzeń, które stały się koniecznymi w skutek zachowania się księdza arcybiskupa.

Królewskie prowincjonalne kolegium szkolne.“

podp. *Günther*.

Taki dodatek do zaświadczenia szkolnego przynieśli uczniowie rodzicom w upominku. Rozporządzenia tego w całości roztrząsać nie będziemy, czytelnik bowiem sam z łatwością dostrzeże, jak się tu kłamstwo wije i męczy, aby być górą; a gdy to jednak niepodobnem, ucieka się do gwałtu, który prawo, sprawiedliwość i słuszność podbić sobie usiłuje.

Na dwie tylko drobne na pozór okoliczności zwracamy uwagę. Najpierw ten rozkaz gabinetowy z dnia 26 października 1872 r. nie jest jeszcze do dziś dnia publikowany, prócz ministra oświecenia zatem i osób, którymgo poufnie udzielił, nikomu treść jego nieznana. Minister oświecenia na prośbę arcybiskupa zaniesioną do króla w tej materji odpowiedział, że „do wydania takiego rozporządzenia był upoważniony przez monarchę.“ Naczelny prezes Günther zaś na początku przytoczonego co dopiero rozporządzenia powiada, że zmiana, jaką w wykładzie nauki religii zaprowadzają w wyższych szkołach Wiel. Księstwa Poznańskiego, „najwyższym rozkazem gabinetowym ustanowiona została.“ Któż tu nie widzi różnicy pomiędzy jednym i drugim twierdzeniem? Podług słów ministra dał do tej zmiany inicjatywę rząd, a podług słów naczelnego prezesa król sam. Jaka treść tego rozkazu gabinetowego, jakie motywa, jakie jego rozmiary? Czemuż dotychczas w tajemnicy trzymany?

Powtóre na wstępie swego rozporządzenia określa naczelny prezes zmianę, jaka rozkazem gabinetowym „na przyszłość w wykładzie nauki religii ma być zaprowadzona“, a cokolwiek niżej polemizując przeciw okólnikowi arcybiskupa powiada, że

„dotąd w zakładach naukowych prowincyi Poznańskiej... zawsze używano do pomocy języka polskiego i samo przez się rozumie, że nie było zamiarem państwa, odstąpić na przyszłość od tego naturą rzeczy nakazanego postępowania w udzielaniu nauki?“ Jakże to rozumieć? Rząd nie miał zamiaru zaprowadzać zmiany „w dotychczasowem postępowaniu naturą rzeczy nakazanem, a jednak wnosił do króla o wydanie rozkazu sprzeciwiającego się „naturze rzeczy?“ Jeżeli dotychczasowe postępowanie „nakazane było naturą rzeczy,“ potrzebnyż był rozkaz gabinetowy, w tej mierze zmieniający ten dobry stan rzeczy? A arcybiskup żądałże czegoś więcej, jak utrzymania statum quo? Nie zniżyłże jeszcze swych wymagań zezwoleniem na wykład nauki religii w sekundzie i prymie w języku niemieckim? Rozporządzenie to nosi na sobie wydatne piętno kłamstwa najwłaściwsze piętno naszego czasu.

Arcybiskup nie omieszkiał na to rozporządzenie, które mu zakomunikowane zostało, dać odpowiedzi pod dniem 24 Września, ale gwałt poszedł swoją drogą. Nie pozwolił rząd dawać nauki religii poza szkołą w lokalach na ten cel obmyślonych, a gdy arcybiskup przeniósł wykład nauki religii do Kościołów, zaczęła policya karami pieniężnymi ścigać duchownych. Najskuteczniejszym zaś okazał się środek zakazania uczniom uczęszczać na te lekcye poza szkołą dawane pod karą wydalenia ze szkół. Dla największej bowiem części rodziców była tego rodzaju kara zupełnem pozbawieniem swych dzieci dalszego kształcenia, bo nie byli w stanie do innych szkół ich posłać. Rodzice przeto, którzy w liczbie przechodzącej 35,000 podpisów prosili arcybiskupa o zarządzenie niebezpieczeństwu pozbawienia nauki religii ich dzieci, gdy to nastąpiło, ulegli groźbom sami i tym sposobem udzielanie tej nauki poza szkołą musiało ustać.

Czy arcybiskupowi nie wypadało dla dobra tak licznej młodzieży korzystać z niekonsekwencji i wycofywania się rządu zarzekającego się tylokrotnie, że nie miał zamiaru wymagać, aby „w niezrozumiałym dla uczniów języku naukę religii wyklądać, ale owszem chce, aby języka polskiego do pomocy używano,“ czy mówię, nie byłoby pożyteczniej, przynajmniej przez czas tego straszliwego ucisku korzystać z tego tłumaczenia rozkazu gabinetowego, aniżeli tak liczną młodzież katolicką

bez wszelkiej nauki religii pozostawić, nie chcemy tu roztrząsać ani rozstrzygać, bo by nas to zbyt daleko od zamierzonego celu odwiodło i czytelnik łatwo sobie sam z przytoczonych danych sąd utworzyć zdoła.

Równocześnie tedy z prześladowaniem całego Kościoła katolickiego w Prusach spadł i na młodzież katolicką taki straszliwy ucisk religijny. Brak oświecenia w tym właśnie przedmiocie jest dla tych młodych ludzi, którzy się później do świeckich gotują zawodów, tem dotkliwszy i boleśniejszy, że później zbywa im na wszelkiej sposobności do obeznania się z tą nauką, z temi prawdami, które tak w umiejętności jak w życiu powinny dla nich być przewodnikiem, prawidłem.

Posłowie polscy wystąpili wprawdzie na sejmie pruskim w obronie młodzieży polskiej przez interpelacją wniesioną dnia 16 grudnia 1873 przez Bogusława Łubieńskiego, ale po Izbie, którąśmy już tylokrotnie scharakteryzowali, czegoż się pomyślnego dla Polaków i katolików można było spodziewać? Jedyńcem, co tu było podobnem zrobić, było rząd ad absurdum doprowadzić, przyprzeć go do ściany i na wstyd publiczny wystawić jego własnymi argumentami. Tem bardziej należało się tego po interpelantach spodziewać, że niekonsekwencye i sprzeczności argumentacji rządowej już dostatecznie były znane z przytoczonego wyżej rozporządzenia z dnia 17 września wydanego przez prowincjonalne Kolegium szkolne. Tymczasem słaby wywód interpelacyi, a słabsza jeszcze jej obrona przez X. Jażdżewskiego nie dotknęły nawet tego, co rząd w oczach przyjaciół i nieprzyjaciół najwięcej musiało kompromitować. Minister wygodnie, ale zręcznie powtórzył argumenta wypowiedziane w wzmiankowanym rozporządzeniu z d. 17 września, których interpelant ani się nie pokusił zbić, zwałił całą winę na arcybiskupa i pozornie wyszedł zwycięzcą wobec tego słabego ataku. Tak ten smutny stan nauki religii w wyższych szkołach W. X. Poznańskiego pozostał i trwa jeszcze w tej chwili, kiedy to piszemy.

To gwałtowne prześladowanie języka polskiego, a tem samem i narodowości polskiej tak dziwnie z prześladowaniem Kościoła katolickiego połączone nie jest wcale przypadkowem. Wypływa ono bowiem z tego samego źródła, co prześladowanie Kościoła t. j. z idei „absolutnego państwa.“ Bałwan uwa-

żający się za wszechmogącego w swoich granicach jakże mógł obok siebie ścierpieć cośkolwiek, coby miało prawo exystencji nie z jego łaski? Pragnąłbym, aby przykład Niemców, przeprowadzających teraz konsekwentnie i na skórze polskiej swoje zasady pogańskie, zdołał przynajmniej przebudzić z letargu i naszych pseudoliberalów, wzniecić wątpliwości i zachęcić do troskliwszego zbadania zgubnych zasad, którym tak na ślepo hołdują. Zdawałoby się bowiem, że, jeżeli zdrowe argumenta nie zdołają rozumu o prawdzie przekonać ani uporczywej woli ku dobremu nawrócić, powinnyby chłosty ten pożądany skutek odnieść.

Tak dziwnem zrządzeniem rozpoczęło się obecne prześladowanie podobnie jak w czasie narodzenia Zbawiciela świata w Betleem i okolicy od dzieci. Tam zabijano je na ciele, tu zaś na duszy. Ta walka o naukę religii, która krótko przed samem prześladowaniem wybuchła i w czasie jego trwała i trwa, zaostrzyła w W. X. Poznańskiem jego srogość i zaciętość, jak się to z ciągu przedstawienia pokaże. Nienawiść religijna połączyła się tu z nienawiścią narodową — działały zatem dwie potęgi nieprzyjazne.

Jako zapowiedź tego, co ma nastąpić, wydał rząd do wszystkich kapituł katedralnych Prus rozporządzenie, że kompetencyą, jaką dotąd z zabranych dóbr płacił do kas kapitulnych, od 1go lipca nie będzie jej wnosił do kas kapitulnych, ale każdemu pojedynczemu członkowi za osobnym i niepraktykowanym dotąd kwitem wypłacał. Rzecz sama była wprawdzie bez znaczenia, bo nie zmieniała sumy, a rząd w każdym razie, gdyby był chciał i coby chciał gwałtem zatrzymać, mógł to być uczynić, bo całą sumę miał w swoim ręku; ale widocznie nie oto mu chodziło, nie chciał groźby puszczać na wszystkich razem, lecz pragnął dać naprzód skazówkę przeniewiercom i wiarołomcom, że byle tylko okazali się powolnymi rządowi, z łatwością należytość swoją odbierają. Jak od początku liczono na korrupcyą, tak i w tym przypadku pojedynczym. Nadto chciano zarazem wszystkich prałatów i kanoników upokorzyć i dać im uczuć, że rząd wypłaca im te sumy nie jako należytość, na prawnym tytule opartą, ale jako pensyą. Tak były kwity sformułowane.

Po takim przygotowaniu rozdwojenia kapituł na przypadek potrzeby uderzył rząd najpierw na seminarya i inne zakłady duchowne. Prawo z dnia 11 maja nabrało dopiero 19go mocy prawnej, a już 27go maja wezwał prezes naczelny arcybiskupa, aby mu przesłał wszystkie dokumenta odnoszące się do seminaryów duchownych celem przekonania się, czy będą mogły na mocy § 6 prawa o kształceniu duchownych i obsadzaniu posad kościelnych uzyskać uznanie ze strony rządu. Równocześnie prawie odebrali te wezwania wszyscy biskupi, którzy w dyecezyach swoich mieli tego rodzaju seminarya. Podobnie jak inni, odmówił arcybiskup Gnieźnieński i Poznański uczynić temu wymaganiu zadosyć. W odpowiedzi swej z dnia 10 czerwca odwołuje się na swoje tylokrotne oświadczenia do króla, rządu i Izby podawane, że do przeprowadzenia praw tych ręki swej nie przyłoży, że seminarya jego dyecezyi nie potrzebują nowego potwierdzenia, bo je mają od dawna, ani urządzeń ministra oświecenia, bo są już urządzone podług dekretów soboru Trydenckiego i mają w Prusach zabezpieczone prawo egzystencji bullą „de salute animarum“ z dnia 16 lipca 1821, która do dziś dnia jest prawem zobowiązującym w Prusach. Aby dać czytelnikowi wyobrażenie, do jakiego stopnia bezprawie wzięło już górę, przytaczam krótki ustęp tej bulli odnoszący się do seminaryów:

„In singulis praeterea Civitatibus tam Archiepiscopalibus quam Episcopalibus unum Clericorum Seminarium vel conservandum vel de novo quam primum erigendum statuimus, in quo is Clericorum numerus ali atque ad formam decretorum Concilii Tridentini institui et educari debeat, qui respectivarum Dioecesium amplitudini et necessitati respondeat, quique ab Executore praesentium Litterarum congrue est praefinendus; Archiepiscopi tamen Gnesnensis et Posnaniensis iudicio et prudentia relinquimus, vel in utraque Civitate proprium ac distinctum vel unum tantum in Posnaniensi Civitate pro clericis amborum Dioecesium Seminarium constabilire, prout Ecclesiarum ipsarum utilitas postulaverit.

Po tej odpowiedzi wysłał naczelny prezes dnia 25 czerwca komisją złożoną z pp. Tschackerta, dyrektora gimnazjalnego z Ostrowa i radcy rejencyjnego Raffel, do odbycia rewizyi seminarium duchownego Poznańskiego. X. Prałat Likowski,

regens Seminarium nie odmówił objaśnień ze stanowiska kościelnego dozwolonych, ale mieszania się w wewnętrzne sprawy seminaryjskie, tudzież zwiedzania audytorów w czasie wykładu dyscyplin teologicznych nie dopuścił. Rewizya trwała trzy i pół godzin. W dwa dni potem udała się ta sama komisya na rewizyą Seminarium do Gniezna, gdzie od X. Biskupa Cybińskiego, jako regensa takiego samego doznała oporu.

Już 30 czerwca zawiadomił prezes naczelny arcybiskupa, że rząd królewski nie uznaje, aby wykład nauk teologicznych w seminaryum Poznańskiem zdołał zastąpić studia uniwersyteckie, a następnie kandydatom w tym instytucie wykształconym nie może przyznać uzdatnienia do piastowania urzędów lub posad duchownych. Wskutek tego kazał rząd przypadającą już na 1go Lipca wypłatę raty należącej do tego instytutu powstrzymać, aby tym sposobem dalszą tego zakładu egzystencyą uniemożliwić. To samo, co się działo w Poznaniu, odbyło się kilka dni jeszcze wprzód w Padebornie. W innych dycecezyach nastąpiło to nieco później.

Dla uwydatnienia charakterystyki tego prześladowania przypatrzmy się pilniej tej komedyi, jaką tu rząd z tą komisją rewizyjną odgrywa. Najpierw wyprawia do zbadania i ocenienia instytutów teologicznych ludzi, którzy jakkolwiek w innych kierunkach mogą być uczeni, o teologii jednak wyobrażenia nie mieli, z czem się przy rewizyi w rażący sposób popisali — nie wiedzieli np. jakie ma w nauce teologii znaczenie ś. Tomasz z Akwinu, kto był Mikołaj Cusa, co to jest rubrum i t. p. Czyż tacy ludzie zdolni byli ocenić wartość i stopień umiejętności teologicznych w tych instytutach wykładanych, zdać sprawę i sąd o wychowaniu duchownych? Gdyby rządowi rzeczywiście na tem było zależało, aby się przekonać, czy klerycy mogą w tych instytutach nabyć potrzebnej nauki teologicznej, a nie na przeprowadzeniu skrytych swoich zamiarów, mógłżeby był użyć do nabycia tego przekonania całkiem nie ukwalifikowanych ludzi? Czyż na rewizyą wydziałów medycznych lub wojskowych instytutów kadetów posyła filologów?

Że zatem ta rewizya była tylko komedią, która miała postanowiony już gwałt przystroić i publiczność omamić, dowodzi tego następująca okoliczność. Rewizya skończyła się 27

czerwca, a już 30 czerwca zawiadamia prezes naczelny arcybiskupa, że rząd nie uznał seminaryum Poznańskiego za takie, któreby było w stanie zastąpić studia akademickie i dla tego zasiłku dotychczasowego wypłacać nie będzie. Podług § 6 i 13 ustawy z dnia 11 maja służy tylko ministrowi spraw duchownych prawo decyzji w tej mierze. Panowie Tschackert i Raffel musieli przecież swoje sprawozdania wraz z protokołami złożyć naczelnemu prezesowi, a ten ministrowi. Chociażby tedy wszyscy z pośpiechem byli pracowali, chociażby prezes naczelny i minister spraw duchownych prócz prześladowania Kościoła katolickiego nic innego nie mieli do czynienia, byłoby rzeczą podobną dekret takiej doniosłości od ministra uzyskać i już o nim 30go czerwca arcybiskupa urzędownie zawiadomić? Oczywiście, że naczelny prezes miał już postanowienie od dawna w kieszeni, a odegrawszy komedya rewizji dla oka, pospieszył się z wydaniem dekretu, aby nienasyconemu skarbowi oszczędzić, jeśli się nie mylimy 2000 tal. które na 1go lipca miały być kasie seminaryjskiej wypłacone. Pozorów nawet nie zachowano dla trochy zysku.

Jak gdyby nie dość było na zawiadomieniu arcybiskupa, przesłał naczelny prezes pod dniem 12 lipca każdemu alumnowi seminaryjskiemu osobne doniesienie, że Poznańskie seminaryum duchowne teoretyczne przez ministra wyznań nie zostało uznane za wystarczające do zastąpienia wykształcenia uniwersyteckiego, przepisanego nowemi prawami dla duchownych. Zawiadamiając naczelny prezes o tem adresatów, nawną zaiste wyraża nadzieję, że wskutek tego dobrowolnie opuszczą ten zakład i uwolnią rząd od niemiłej konieczności zamknięcia tego instytutu. Niewiadomo mi, czy w innych dyecezyach użyto także tego środka podbechtywania młodych pokoleń duchownych przeciw biskupowi. W tej mierze doznał rząd w Poznaniu, najzupełniejszego zawodu.

Po zadaniu tego ciężkiego choć nieśmiertelnego ciosu seminaryum Poznańskiemu przez odjęcie mu dotychczasowego zasiłku wdał się naczelny prezes z polecenia ministra spraw duchownych w korespondencyą z arcybiskupem w celu przeobrażenia seminaryum i zastosowania do ducha czasu. Zamknąć seminarya duchowne rząd stanowczy od dawna powziął już zamiar, co się z tenoru praw majowych, a mianowicie z mo-

tywów jasno pokazuje. Ale jak wszystkie inne, tak i ten akt gwałtu trzeba było kłamstwem upozorować i winę na biskupa dyecezyalnego zwalić, bo rząd naprzód wiedział, że propozycja jego do przeobrażenia seminarjów czyli zatrucia umysłów i serc młodzieży duchownej przez żadnego biskupa katolickiego przyjęte być nie mogą. Statuta dla seminarjum Poznańskiego wydał ś. p. X. arcybiskup Dunin w roku 1837, a X. arcybiskup Ledóchowski w r. 1866 kilka zrobił do nich dodatków pod tytułem „Notae.“ O te tedy statuta, a mianowicie dodatki zachacza naczelny prezes w swem piśmie z dnia 24 lipca utrzymując, że do wielu obaw dają rządowi powód, a mianowicie środki wychowania duchownego nie dadzą się z duchem prawa z dnia 11 maja pogodzić. Żąda tedy od arcybiskupa, aby zamianował z swej strony komisarza, co minister spraw duchownych także uczyni, celem przejrzenia statutów seminarjjskich i a mianowicie „Notae“ i zrobienia projektu do reformy. W jakim duchu ta reforma miała być uskuteczniiona, niech z tego pisma jeden tylko krótki ustęp za dowód posłuży. „Nadewszystko przepisy, które zabraniają uczniom swobodnych między sobą i z światem zewnętrznym stosunków, zatrudnienia i ruchliwego życia objawy pod ciągłym dozorem trzymają i poddają ich w takiej mierze i w taki sposób ćwiczeniom duchownym, iż umysłowa i moralna samodzielność wychowanców musi być na szwank narażona, nie będą mogły nadal być utrzymane.“ Ustęp ten przypomina mi mimowolnie rozporządzenie rejencji Poznańskiej do jednego z dyrektorów seminarjów nauczycielskich wydane, które mu poleca, aby seminarzystom także więcej swobody i wolności, niż dotąd pozostawił i w końcu wzywa go, aby jej wymienił kilka szynkowni czyli knajp, w którychby się seminarzyści mogli rozerwać i zabawić. Taką wolnością i swobodą chciał rząd młodzież sposobiącą się do stanu duchownego obdarzyć. Arcybiskup odpowiedział naczelnemu prezesowi pod dniem 8 sierpnia, że się do tego rodzaju propozycji nigdy nie przychyli, bo, jakiego wychowania i uświęcenia duchownym potrzeba, aby z pożytkiem urząd swój sprawowali, o tem stanowi Kościół, ale nie władze świeckie. „Kościół mówi arcybiskup w tem piśmie, w kwestyi kształcenia i wychowania,“ „sług swoich nie powinien i nie może dać się powodować często zmieniającemi się zasa-

dami ducha czasu, ale trzymać się musi wiernych i boskich prawd objawionej wiary, którą jego kapłani mają później opowiadać i zgodne z jej prawidłami życie sami prowadzić.“

Czego się już na pewno spodziewano, nastąpiło już 23 sierpnia: zamknięcie seminaryum duchownego w Poznaniu. W piśmie swoim z dnia 21 sierpnia wylicza naczelny prezes grzechy arcybiskupa, za które minister spraw duchownych tę karę na obie dyecezye spuszcza. „Zważywszy, taka jest treść tego pisma, żeś przepisanego prawem z dnia 11 maja dozoru państwa nad seminaryum nie uznał, że regens tegoż instytutu z Twego polecenia rewizyą uniemożliwił, że wstrzymanie wypłaty przeznaczonych dla tego zakładu funduszków okazało się bezskutecznem, żeś proporcye do przeobrażenia seminaryum tego na stopę odpowiednią prawom majowym odrzucił; przeto minister spraw duchownych na mocy § 13 wymienionego prawa instytut, o którym mowa, kazał zamknąć na tak długo, dopóki przepisom prawnym nie uczynisz zadosyć.“

Arcybiskup w odpowiedzi na to pismo nie wdaje się więcej w wywody prawd i słuszności, które już tyłokrotnie wypowiedział, ale zaprzestaje jedynie na protestacyi. Koniec pisma tego z dnia 17 września brzmi: „Ograniczam się przeto na przesłaniu uroczystej protestacyi przeciwko temu nowemu gwałtowi Kościołowi katolickiemu, moim obu archidyecezyom, Gnieźnieńskiej i Poznańskiej, owieczkom moim i mnie wyrządzonemu, zastrzegając sobie i moim archidyecezyom prawo upomnienia się o wynagrodzenie szkód i krzywd, jakicheśmy doznali.

Ponieważ zaś nie godzi się Chrześcianowi używać gwałtu naprzeciw rozporządzeniom rządowym, nawet gdy się czuje uciśniony i dotknięty w najświętszych prawach swoich, dla tego oświadczam, że po upływie wakacyj seminarium duchownego w Poznaniu na nowo nie otworzę, pełen otuchy, że Bóg, który w dniu swoim przychodzi z wszechmocną pomocą uciśnionemu swemu Kościołowi i te czasy ciężkich dopuszczeń i nawiedzeń w miłosierdziu swoim skrócić raczy.

Przyszłość jest w ręku Boga, a sprawa Kościoła jest Bożą sprawą, więc w ręce najwyższego składam z ufnością sprawę mojego seminaryum, tej szkółki przyszłych sług Jego.“

Jakież tedy miały cel te korespondencye? Oto nie inny, jak gwałt od dawna postanowiony w chwili wykonania okryci płaszczem czezej formalności prawnej. Stawić biskupom takie propozycye i warunki, których w żaden sposób przyjąć nie będą mogli, a potem powiedzieć: zmusiliście nas do tego kroku waszym uporem, na was spada wina za to wszystko, co się stało. Obok tego jakimże to udręczeniem było dla biskupów, którzy sobie już nie robili iluzji o zamiarach rządu, wiedzieli, bardzo dobrze, co nastąpić musi, a jednak znosić z cierpliwością te urągania i naigrawania się z nich zuchwałej przemocy? Powtarzać to, co już sto razy powiedzieli, dowodzić prawdziwości tego, co było jasne i oczywiste, jak światło słoneczne, a odbierać w odpowiedzi najwyraźniejsze kłamstwo frazesami szumnemi i powagą rządu upozorowane, nie jestże to powolną męczarnią? Kłuć, szczypać i wszelkiemi sposobami dokuczać ofierze już na śmierć skazanej, nim jej się cios śmiertelny zada, to jest system postępowania pruskiego w tem prześladowaniu. Powtarza się to przy każdym akcie nowego gwałtu, przy każdym zamachu, dlatego zwracamy tu już uwagę na ten rys charakterystyczny okrucieństwa, ciągnący się przez wszystkie jego wypadki aż do obecnej chwili.

W innych dyecezyach, które w braku uniwersytetu w seminariach duchownych przyszłych kapłanów kształciły, jak np. w Podeborńskiej, postąpiono tak samo. W dyecezyi tylko Chełmińskiej i Warmińskiej nie wykonywano tych praw z taką zaciętością i gorącością, ale z wolna i tam przyłożono siekiere do korzenia. Pozatruwać, a jeśli się to okaże niepodobnem pozatykać wszelkie źródła, z których nauka katolicka i wogóle chrześcijańska wytryskać i nowe pokolenia odmładzać mogła, to było radą daną przez prof. Friedeberga, to teraz rząd z całą gwałtownością urzeczywistnia. Jest to wzór zdjęty z planu prześladowania Dyoklecyjańskiego. Pogański imperator Rzymski także zaczął od wytępienia źródeł nauki chrześcijańskiej. W tym celu kazał przedewszystkiem ścigać biskupów i kapłanów, aby przeciąć żywą naukę, żywą tradycję słowa Bożego, a potem niszczyć i tępić egzemplarze pisma ś. Nowego Testamentu, aby przeciąć z czasem wszelki wątek nauki chrześcijańskiej. Jarzma przymusu szkolnego, w jakie Prusacy mieszkanców państwa swego zaprzegli i w jakim serca dzieci już

zatruwają, nie znali jeszcze rodowici poganie. Tym wynalazkiem tyranii, która i duszę człowieka zaprzeda państwu, szczyci się nowoczesne państwo, które z odstępstwa od prawdziwego Boga swój początek wieździe.

Za seminaryami duchownemi poszły wkrótce do grobu wszystkie inne katolickie instytucje niższego rzędu, jak seminaria puerorum i liczne konwikty czyli alumnaty, o których wyżej obszerniej była mowa. Seminaria puerorum w Gaesdonk w diecezyi Monasterskiej i Pelplinie, w diecezyi Chełmińskiej, konwikty Padebornski, Trewirski, Monasterski, Wrocławski, Boński, alumnat Poznański przy gimnazyum św. Magdaleny, te prawdziwe przybytki pilności w naukach i obyczajności chrześcijańskiej, wszystkie już do dnia dzisiejszego zwinięte czyli zamknięte zostały. Co troskliwość, gorliwość, ofiarność biskupów i pobożnych katolików z wielkim mozołem i z większym jeszcze pożytkiem dla ubogich klas ludu zbudowały, to obecne prześladowanie w imię „oświaty i wolności“ barbarzyńską ręką zburzyło. Dla czego? Dla tego jedynie, że te instytucje nosiły na sobie wydatny charakter chrześcijański, że duchowni przełożeni tej młodzieży nie otwierali jej „knajp“ do zabawy i rozrywki, ale umieli ją w szlachetniejszy i przyzwoitszy sposób rozweselić. Rząd wziął sobie za zadanie zewsząd, z najskrytszych kątek wymieść i wyrzucić wszystko, w czem tylko najmniejszy zaród chrystyanizmu wietrzył, a zwłaszcza w młodych pokoleniach. Młodzież ma tylko jednego „obecnego boga“ znać i czcić, a tym jest państwo.

Przyszłość Kościoła ma być związana nietylko przez brak nauczycieli czyli głosicieli słowa Bożego i szafarzy Sakramentów śś., ale nadto wytępią w wzrastającym młodym pokoleniu przez odjęcie mu zupełne wychowania chrześcijańskiego w wszystkich warstwach, w wszystkich kierunkach społeczeństwa. Jak rząd zaprowadził monopol szkółek elementarnych i wyższych szkół gimnazjalnych dla płci męskiej, tak się zajął burzeniem instytucji wychowawczych dla płci żeńskiej, aby przez zmonopolizowanie wychowania dziewcząt umysły i serca niewiast podbił i poddał zamiarom „absolutnego państwa.“ Jeżeli bowiem żony i matki przechowują święty ogień wiary, będzie rodzinami przechodził z pokolenia na pokolenie. Aby temu zapobiedz, trzeba było koniecznie wszelkie zakłady

duchowne, które chrześcijańskiemu wychowaniu panien były poświęcone, najprzód zburzyć i rozwiązać. Tej zasadzie uległy w Poznaniu Siostry Serca Jezusowego jeszcze przed wyjściem prawa przeciw zakonom. Pod błachym pozorem, że do założenia i utrzymywania szkoły miały tylko pozwolenie czyli koncesyę na miasto Poznań, ale nie na Wilgę (jest to przedmieście Poznania, tworzące osobną gminę), odebrały już 21go Czerwca rozkaz, że do 1go Listopada muszą szkołę czyli pensyonat zwinąć. W dwa lata później posunął się rząd w tym kierunku jeszcze o wiele dalej, jak to zobaczymy później.

Po zamknięciu wszelkich źródeł, z których nauka chrześcijańska mogła spływać na przyszłe pokolenia, po przytłumieniu ognisk, w których duch chrześcijański mógł się jeszcze przechowywać, przystąpiono do burzenia i niszczenia tego, co już żyło, co tylko ducha chrześcijańskiego wzmagало. I tak na mocy § 1 i 25 dnia 11 maja wydano bez wszelkich formalności z kraju tych kapłanów, którzy nie byli rodem z Prus i naturalizacyi, którą rząd sam daje, nie uzyskali. Tych przepisów ofiarą padł najpierw ofiarą X. Loga, a za nim X. Wołyniec, który przeszło dwadzieścia kilka lat należał do grona duchowieństwa dyecezyalnego i od kilku lat został dla słabości zdrowia emerytowany, tudzież X. Tomaszewski z Wróblewa.

W związku z tem, cośmy już wyżej powiedzieli o szalonym przypuszczeniu rządu, że akty duchowne, przez kapłanów niezgodnie z prawami majowemi instytuowanych wykonywane, są nieważne, rozpoczęło się na wszystkich tych miejscach, w których się tacy kapłani znajdowali, polowanie na księgi i pieczęcie kościelne. Przyszło to zaraz w Wieluniu, w Tarnowicach na Szląsku, w Landsbergu nad Wartą i w kilku miejscach nad Renem. Policya odbywała rewizye po domach, kościołach, a gdy jej się udało zdybać jedno i drugie, odsyłało do właściwych regencyj. Na tem nietylko kapłani, o których chodziło, ale niemniej biedny lud ucierpiał, bo w razie potrzeby musiał się o metryki chrztów, ślubów, pogrzebów itd. do władz świeckich udawać, co dla prostego człowieka i z trudnościami i z stratą czasu było połączone. Tym sposobem dawał się ten ucisk religijny od razu i ludowi w znaki.

Wolnością, jaką rząd zaczął szerzyć w szkołach i seminariach duchownych i nauczycielskich, chciał koniecznie wszystkie instytuta duchowne w dyecezyi obdarzyć t. j. wolnością, która wyłamuje człowieka z pod posłuszeństwa, prawidłom Ewangelii św. i Kościoła przynależnego, a poddaje go pod żelazną rękę prawa „państwa absolutnego.“ W tej myśli wyprawił naczelnny prezes d. 9 lipca komisję, składającą się z radcy rejencyjnego Raffla i landrata Wschowskiego do Osieczna celem odbycia rewizyi tamtejszego domu XX. Demerytów, aby się przekonać, czy tam nie znajdzie nadużyć à la Barbara Ubryk. Zastępca przełożonego tego instytutu, X. Antoni Brzeziński, odmówił wszelkich objaśnień co do wewnętrznego urządzania domu i prowadzenia kapłanów w nim zostających, tudzież przedłożenia statutów, akt, ksiąg urzędowych i zaprotestował przeciw wzięciu do protokołu obecnych XX. Demerytów. Natomiast pozwolił się przekonać jak najszczelniej o wszystkim, co do budowlanego i sanitarnego stanu instytutu się odnosiło.

Po odbytej rewizyi wezwał naczelnny prezes X. Brzezińskiego, aby mu w czterech dniach przysłał wykaz XX. Demerytów, regulamin życia instytutowego pod karą 100 talarów. X. Brzeziński odpowiedział natychmiast, że się w tej mierze udał do X. Arcybiskupa po informację i skoro ją otrzyma, nie omieszka niezwłocznie uczynić, co mu powinność nakaze. Po nadejściu oczekiwanej informacyi posłał X. Brzeziński żądany spis XX. Demerytów i oświadczył gotowość przedłożenia mu także i regulaminu dla wiadomości. Odpowiedź ta X. Brzezińskiego doszła rąk naczelnego prezesa 24 dni później nad termin wyznaczony. Mimo to wymierzył naczelnny prezes zagrożoną karę 100 tal. i kazał ją w razie niezłożenia jej dobrowolnego do kasy powiatowej, ściągnąć przez egzekucję. Oczywiście, w oczach rządu, który się dla swojego absolutnego bałwana tj. państwa, absolutnego także domagał posłuszeństwa, było zapytanie się Arcybiskupa o informację już zbrodnią, która surowo i bezwzględnie musiała być ukaraną. Przytaczamy umyślnie szczegółowo ten przypadek, który tak wydatnie charakteryzuje fundamentalne zasady i wynikającą z nich bezwzględność tego prześladowania.

Na X. Brzezińskim odbyła się pierwsza w tem przesładowaniu egzekucya dnia 14 sierpnia pamiętna z tej okoliczności, że szczególniejsze wycisnęła piętno na pierwszym akcie niezliczonego potem szeregu gwałtów. Pierwszym przedmiotem egzekucyjnego zaboru były cztery *wieprzki*, które nie należały do X. Brzezińskiego, ale do instytutu Demerytów i z tego powodu musiały być zwrócone. Bo czyż w celi ubogiego Filipina znaleźć było można tyle przedmiotów mających wartość, aby z ich sprzedaży, która zwykle $\frac{1}{3}$ wartości przynosi, pokryć karę wynoszącą 100 tal.?

Bezskuteczność tej egzekucyi spowodowała drugą dnia 3 Września. Zabrano X. Brzezińskiemu z celi wszystkie przedmioty, które nie należały do niezbędnych potrzeb człowieka, tudzież z ubiorów, których nie miał na sobie. Wartość sfantowanych rzeczy otaksowana została na 10 tal. Cóż to za rozum rządu dekretować kary, których z ludzi notorycznie i dobrowolnie w ubóstwie żyjących ściągnąć niepodobna?

Na tem jeszcze nie dosyć. Dnia 15 listopada druga zjechała komisya, składająca się z radców Raffla, Tschakerta i miejscowego burmistrza, na rewizyę domu XX. Demerytów. Mimo protestacyi X. Brzezińskiego rozpoczęła komisya swoje funkcyę, odbywała szczerłą rewizyę przez cały dzień w sobotę i w niedzielę aż do 10 $\frac{1}{2}$ godziny, w której nadszedł piśmienny rozkaz naczelnego prezesa, aby XX. Demerytów wypuścić na wolność, a nawet z instytutu wydalić. Wszyscy Demeryci, których tylko było czterech, krom jednego oświadczyli że tylko na rozkaz Arcybiskupa, który ich tu przysłał, dom ten opuszczają.

Każdy uczciwy człowiek musi się tu mimowolnie zapytać: Byłoz tu potrzeba tyle udręczenia, umęczenia i przesładowania ludzi szanownych i niewinnych, aby wykonać to, co rząd od dawna był postanowił, tj. aby obdarzyć tych nieszczęśliwych kilku kapłanów mniemaną wolnością, której nie pragnęli i którą wzgardzili, czyli innemi słowy, aby instytut rozwiązać i zamknąć? Czyż rząd nie miał mocy bez tych szykan, fantowań i gróźb gwałtu tego dokonać? Niewątpliwie. Ale tem ustawicznym dręczeniem i męceniem, jak instrukcyja przepisywała, myślał opór wiernych Kościołowi kapłanów przełamać i skruszyć, bo nie przypuszczał, że Pan Bóg wiernych sług

swoich w razie potrzeby obdarza taką łaską cierpliwości i wytrwałości. Co więcej, w obecnym przypadku chodziło rządowi o pozór upiększający ten gwałt. A gdzież się mógł spodziewać znaleźć pożądaný pozór, jeśli nie w instytucie karnym, przeznaczonym dla naprawy tych nieszczęśliwych kapłanów, którzy z drogi prawej zboczyli? Tu się właśnie spodziewali znaleźć dowody świeże średniowiecznej ciemnoty, barbarzyństwa katowania itp., jak to § 3 prawa z dnia 12 maja wyraźnie podsuwa. A w razie spełnienia się tego oczekiwania cóżby to było za gratką dla rządu? Jakżeby był wykrzykiwał, a z nim cała opinia, w służbie jego zostająca: patrzcie, jaka była gwałtowna potrzeba tych praw zbawiennych, jak nieodzowna było zanieść pochodnię światła w te ciemności średniowieczne, rozkuć kajdany niewinnych ofiar, któremi je nienasycona żądza panowania hierarchii kościelnej skrepowwała, jakże takie nadużycia barbarzyńskie można było ścierpieć w „państwie intelligencji!“ Tej rozkoszy prawdziwie szatańskiej nie doczekał się rząd, przeciwnie, jak w wszystkich innych krokach, tak i tu najzupełniejszego doznał zawodu. Nie znalazł nic, coby mu w tym kierunku za jakikolwiek pozór mogło być posłużyć, owszem po samych członkach komisji można było poznać, że odpowiedni położeniu i łagodny sposób prowadzenia się tych nieszczęśliwych kapłanów mimowalnie wymuszał na nich uznanie.

Kiedy już prześladowanie zaczęło podnosić głowę i słabych przerażać, zapowiedział Arcybiskup na wezwanie Ojca ś. na dni, poprzedzające uroczystość Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny, tj 12, 13 i 14 sierpnia trzydniowe nabożeństwo celem uproszenia u Pana Boga skrócenia czasu dopuszczonego nawiedzenia ciężkiego na Kościół i daru wytrwałości w dobrem. Wierni patrząc własnymi oczyma na rozpoczynającą się już burzę, brali tak wielki udział w tem nabożeństwie popołudniowem, że wszystkie kościoły w ścisłem znaczeniu tego wyrazu przepełnione były przez wszystkie trzy dni. Modlitwa ta wspólna była prawdziwem namaszczeniem i uzbrojeniem do rozpoczętego już boju.

Biskupi od dawna już wprawdzie cierpieli prześladowanie wewnętrzne, bo bez najgłębszej boleści nie mogli patrzeć na burzenie wszelkich zakładów nauki, wychowania i miłosierdzia chrześcijańskiego w ich dyecezyach; ale teraz przyszła już

chwila, w której osobiście dokuczać im zaczynało? I tak pierwszy zapowiedź od sądu kryminalnego, za którym się niezliczony szereg posypał, dostał arcybiskup w sprawie obsadzenia probostwa w Wieleniu na dzień 8 sierpnia.

Kary i egzekucye, wymierzone przeciw arcybiskupowi, a później przeciw jego oficyałowi, X. biskupowi Janiszewskiemu, o obsadzenie i nieobsadzenie probostwa w Wieleniu, sypały się z dwóch stron, jedna z sądu a druga z rozporządzenia władz administracyjnych. Sprawa ta wymaga krótkiego objaśnienia.

Paragraf 15 prawa z dnia 11 maja wymaga, aby każdy przełożony duchowny, czy to biskup czy z jego ramienia wikaryusz jeneralny, nim obsadzi jakikolwiek urząd duchowny, zawiadomił o tem naczelnego prezesa i 30 dni przeczekał, czy tenże założy przeciw tej nominacyi protest lub nie. Arcybiskup nie zważając na ten przepis, zamianował już po publikaacyi tego prawa X. Arendta proboszczem Wielińskim. Kara za to przekroczenie tego przepisu oznaczona jest § 22 od 200 do 1000 tal. O to przekroczenie czyli nieprawne obsadzenie probostwa wielińskiego oskarżył prokurator X. Arcybiskupa przed sądem kryminalnym, który go dnia 28 sierpnia na 200 tal. kary wskazał.

Paragraf zaś 17 tegoż prawa orzeka, że jeżeli obsadzenie posady duchownej nastąpi bez zachowania przepisów, zawartych w §§ 1—3 i 15, ma być uważane za nie było, a posada za wakującą. A paragraf 18 stanowi, że żadna posada duchowna dłużej nad rok wakować nie powinna i upoważnia naczelnego prezesa w razie danym do zmuszenia przełożonych duchownych karami pieniężnymi aż do wysokości 1000 talarów, które ponawiane być mogą bez ograniczenia, do uczynienia temu przepisowi prawa zadosyć. Chociaż zatem probostwo Wielińskie kanonicznie było rite obsadzone, jednakże w oczach nowego prawa wakowało. Ztąd tłómaczy się sprzeczność pomiędzy naczelnym prezesem a sądem. Pierwszy karze Arcybiskupa najpierw 500 tal. za *nieobsadzenie* probostwa Wielińskiego, a ostatni za *obsadzenie*, przy którym nie zachował przepisów prawnych. Z zastosowania tych paragrafów pokazało się dopiero naocześnie, jak niesłychana obfitość i wysokość była kar wymierzonych. Wkrótce zamieniła się ta groźba

tych kar w śmieszność, bo sumy te urosły w kilka miesięcy do takiej wysokości, że ich nikt nie był w stanie zapłacić, ani gdyby prawo było dozwalało tak długo „winowajców“ więzić, kary odpowiedniej odsiedzieć. Śmieszności tej starał się rząd zapobiedz prawodawstwem następnego roku.

Równocześnie prawie z arcybiskupem Gnieźnieńskim i Poznańskim wskazany został za to samo przekroczenie biskup Fuldajski Koett, który wkrótce potem przeniósł się do wieczności.

Biskupi zgromadzeni w Fuldzie w końcu kwietnia i na początku maja postanowili, że przed sądami zwyczajnymi wolno każdemu duchownemu stanąć i bronić się, ale pod żadnym warunkiem nie godzi się stawać przed wyjątkowym trybunałem, ustanowionym dla spraw kościelnych. Ztąd arcybiskup Koloński, biskup Warmiński i wielu innych stawało przed sądami zwyczajnymi. Arcybiskup zaś Ledóchowski uważał za stosowne przed żadnym nie stawać.

Na wiadomość o pierwszym ciosie, jaki spadł na Arcybiskupa, pośpieszyły obie kapituły, gnieźnieńska i poznańska, złożyć mu wyraz współudziału i ponowić zapewnienie dotrzymania Kościołowi statecznej wierności, cokolwiek Panu Bogu zesłać się spodoba. Taki sam wyraz uszanowania i udziału złożyła kapituła fuldajska swemu biskupowi.

Naczelnemu prezesowi odpowiedział Arcybiskup na wezwanie z dnia 9 sierpnia o obsadzenie probostwa Wieleńskiego pod dniem 25 t. m., że X. Arendt już jest rzeczywistym proboszczem tej parafii, albowiem złał już na niego wszystkie proboszczowskie prawa i powinności, a następnie parafianie mają obowiązek jego tylko za istotnego dusz swoich pasterza uważać. Kiedy Chrystus Pan wysyłał apostołów swoich na cały świat, nie uczynił zależnem tego powołania od żadnego przyzwolenia ludzkiego. Powierzenie pasterstwa dusz pewnej parafii kapłanowi jest rzeczą, należącą ściśle do wewnętrznego organizmu Kościoła, do którego żaden rząd świecki nie ma prawa się mieszać; a jeżeli mimo to w tę dziedzinę, doń wcale nie należącą, gwałtem się wdziera, nie mogą biskupi temu gwałtowi folgować i muszą w zaufaniu w pomoc Bożą powtarzać ciągle: „non licet.“ W tej myśli i w tym duchu odpowiadali w podobnych przypadkach wszyscy inni biskupi Prus.

Podczas, kiedy w Poznaniu sypano z dwóch stron kary pieniężne na Arcybiskupa, nurtowała policya całą parafię Wieleńską, aby ją dla praw majowych pozyskać. Aby usiłowaniom miejscowej policji przyjść w pomoc, wyprawił naczelný prezes swojego komisarza do Wielenia na dzień 2 sierpnia, aby naza-
utrż, była to niedziela, zwołać całą parafię, dać jej informa-
cye, o których wyżej już była mowa, że akty ministeryalne przez nieuprawnionego kapłana sprawowane są nieważne itp. Poprzylepiano na wszystkich rogach miasteczka plakaty, zwo-
lujące całą parafię na godzinę 12 do strzelnicy. Z parafii, li-
czącej 3.300 dusz, stawilo się na zapowiedzianem zgromadze-
niu czworo ludzi, z których dwóch było urzędników, reszta
wśród drwin z tego nowego sposobu ogłaszania Ewangelii ro-
zeszła się do domu. Zawiedziony w swych oczekiwaniach ko-
misarz wrócił z niczem do Poznania, a burmistrz do domu. Takie same zgromadzenie zwołali landraci odnośni do Krobi
i do Buku i na świetniejsze jeszcze narazili się fiasco, bo na
ich wezwanie ani jeden parafianin się nie stawil. Odtąd prze-
konawszy się rząd, że daremnemi są usiłowania jego podko-
pania zaufania ludu do zwierzchności duchownej, zaprzestał
komedyi, która jego powagę na tak dotkliwie narażała skom-
promitowanie.

Wieleń był tylko początkiem; za nim sypnęły się gra-
dem oskarżenia, termina, wyroki, fantowania i więzienia na
Arcybiskupa i mnóstwo duchownych. Organizm Kościoła,
a w szczególności dyecezyi, nie jest martwy, nie masz w nim
zastoju ale ciągły ruch życia, a następnie zmiany na posadach
i urzędach duchownych. Każda zaś najmniejsza w tej mierze
zmiana, jak np. choroba, wymagająca koniecznego w pracy
duchownej zastępstwa, już wywołała starcia z temi nowemi
prawami, procesa, egzekucye itd., każde napomnienie, każda
groźba, każde skarcenie kapłana, jeśli nie zostało z uległością
przyjęte, stało się przedmiotem skargi i prześladowania. Pod
temi względami było położenie wszystkich dyecezyj Prus takie
samo. W każdej musialo rychlej czy później starcie nastąpić.
W Poznańskim pomnożyła i obostrzyła prócz innych wyżej
wypowiedzianych powodów, ściganie Arcybiskupa i duchownych
ta okoliczność, że Arcybiskup już po publikacyi praw majo-
wych wyświęcił i rozesłał na posady duchowne trzydziestu

młodych kapłanów. Wszyscy inni biskupi Prus uprzedzili ogłoszenie tych praw przez wcześniejsze, niż zwykle, wyświęcenie i rozesłanie do pracy nowo wyświęconych kapłanów, byli przeto w tych tylko przypadkach na starcia z prawami majowymi narażeni, które zwyczajnym biegiem rzeczy nastąpiły. Arcybiskup zaś Ledóchowski nie chciał ustępować z drogi prześladowaniu i wyświęcił swoich kleryków, jak zwyczajnie, w swoim czasie, jak gdyby praw majowych wcale nie było. Tym sposobem prócz innych zwyczajnych translokacyj powstało naraz 30 procesów przeciw Arcybiskupowi w Poznaniu i w Gnieźnie i tyleż przeciw tym kapłanom, którzy głosu jego słuchali. Rozpoczęli tedy landraci, komisarze, burmistrzowie i żandarmi po całej diecezyi gonitwy i polowania na młodych księży. Każdy z nich pragnął sobie zasłużyć na promocyę, order lub przynajmniej pochwałę. Liczba, odwaga, ochoczość, z jaką ci młodzi wyznawcy szli do pracy w Winnicy Pańskiej bez oglądania się na to, co ich musi spotkać, wzmagająca zawziętość w urzędnikach, a szczególnie w wyższych sferach, bo widzieli zdeptaną powagę rządu wobec mas ludu, które stały po stronie prześladowanych. Adresy zaś ze wszystkich krańców świata do Arcybiskupa przysłane, drażniły rząd do żywego, bo je uważał za zniewagę sobie wyrządzoną. Oburzenie ludu przy każdym aresztowaniu, manifestujące się nie w wybrykach, ale we łzach lub cichem zgrzytaniu zębów, był dla rządu dowodem dostatecznym, że mu się tym razem przynajmniej nie powiodło wywieść ludu w pole.

Niepodobna nam dziś z *wielu* bardzo powodów wszystkich udręczeń i cierpień, jakie ci młodzi wyznawcy ponosili i jeszcze po większej części ponoszą, szczegółowo przedstawić — uzupełnienie to musimy czasowi pozostawić — ograniczymy się przeto na wydatne tylko i charakterystyczne sceny. Dla zachowania ich jednakże w dobrej pamięci, wymieniam ich wszystkich, o ile mi źródła starczą: 1. Drews, 1. Szymański, 3. Motylewski, 4. Lewicki, 5. Powatowski, 6. Poradzewski, 7. Gunther, 8. Kinowski, 9. Kulaszewski, 10. Degler, 11. Enn, 12. Loga, 13. Gajowiecki, 14. Grześkiewicz, 15. Warmiński, 16. Hellwegor, 17. Jarosz, 18. Hermanowski, 19. Sołtysiński, 20. Nawrocki, 21. Rybicki, 22. Raszkowski, 23. Stoffen, 24. Soleski, 25. Szajkowski, 26. Wendland. Kilku z nich, jak X.

Drews i X. Kinowski po kilka miesięcy siedzieli w więzieniu, inni znowu kilkakrotnie byli do więzienia wtrąceni, a później z pewnych powiatów i prowincyj wydalani. Trapieni są jednak do tej chwili wszyscy rozmaitemi sposobami i pozbawieni wszelkiego utrzymania. Mało z nich znalazło schronienie za granicą, a większa część po domach się ukrywa prywatnych. Co robią i w jaki sposób służą Kościołowi wśród ciągłej ucieczki i przenoszenia się z miejsca na miejsce, dziś jeszcze bez narażenia ich na sroższe prześladowanie wypowiedzieć nie można. Oby ich Pan Bóg i nadal uzbrajał cnotą męstwa i wytrwałości.

Nie mniej okazali męstwa i statecznego przywiązania do Kościoła i starsi kapłani, gdy na nich przysłała kolej próby i ciężkiego doświadczenia. Wymieniam tu tylko XX. Kruskę, Reslera, Grabowskiego, Barcikowskiego, Baranieckiego, Spætha, Froelicha, Mindaka, Fleischera, Wesołowskiego i Gocz-kowskiego, którzy więzieniem i wygnaniem wierność dla Kościoła okupili. Kilku OO. Reformatów z Wronek i Poznania tego samego doznało losu. Później i starsze daleko pokolenia poszły ich torem. W jaki sposób dokuczano niekiedy kapłanom do więzienia wtrąconym, niech posłuży za dowód następująca okoliczność. Razem z X. Gocz-kowskim i dwoma kapłanami przyprowadzono trzech żydów do więzienia w Poznaniu. Tych sześciu więźniów ulokowano po celach w ten sposób, iż każdemu dostał się żyd za towarzysza. Byłże taki podział konieczny?

Nie możemy tu jednej na pozór drobnej okoliczności pominąć, która charakteryzuje zawziętość władz pruskich przeciw Kościołowi katolickiemu, a mianowicie Arcybiskupowi. W tym roku przypadała wizytacya kościołów miasta Poznania na początku września. W czasie wizytacyi przybywały wraz z nauczycielami dzieci, uczęszczające do szkół elementarnych, celem złożenia przed Arcybiskupem egzaminu z nauki religii. Z tego powodu wydał był naczelny prezes jeszcze w roku 1867 rozporządzenie, aby nauczyciele tego obowiązku dopełniali i z dziećmi na czas się stawili. W tym zaś roku na wniosek burmistrza Kohleis cofnął naczelny prezes wzmiankowane rozporządzenie, wskutek czego dzieciom zakazano przyjść na egzamin do Kościoła. Tymczasem rodzice nie zważając na ten zakaz, sami dzieci swoje przyprowadzili do Arcybiskupa. Nazajutrz

zostały dzieci za to, że bez słusznego powodu opuściły lekcyę, godziną i dwiema godzinami aresztu ukarane. Gdy dzieci na godzinę 12 nie wróciły do domu i matki się dowiedziały, co się stało, pobiegły do szkoły, aby dzieci swoje z aresztu uwolnić. Powstał ztąd rozruch na Chwaliszewie i Śródcie taki, że rekwirowano policyę, która otoczyła szkołę na Chwaliszewie i trzymała w niej dzieci aż do czasu przepisanego. Otóż druga już wojna z dziećmi! Dziecko siedmioletnie ma się nauczyć więcej słuchać urzędnika „absolutnego państwa,” niż ojca i matki. Nie straciłyż tu władze rządowe równowagi? Cóż to za nowe zasady pedagogiki karać małe dziecko za to, że było posłuszne swoim rodzicom? Jeżeli rząd przyprowadzenie dzieci na egzamin z nauki religii do Arcybiskupa uważał za występpek kary godny, czyż nie powinien był w takim razie ukarać rodziców, którzy te dzieci sami do kościoła przyprowadzili, ale nie dzieci, których wola rodzicielską wolą związana? A zresztą jakież był krom ślepej zawziętości rozumny powód do zabrania dzieciom przyjść na egzamin z nauki religii do swego biskupa? Któż bowiem jest kompetentnym egzaminatorem z religii, jeśli nie biskup dyecezalny w swej własnej dyecezyi? Czyż rząd mógł przypuszczać rozsądnie, że ten sam Arcybiskup, któremu przed sześciu laty nakazywał z urzędu dzieci przyprowadzać w czasie wizytacyi, teraz inne, szkodliwe będzie im dawał napomnienia i nauki? Drobny to wypadek, ale charakterystyczny.

Zamknięcie wszystkich instytutów duchownych, usunięcie zupełne kapłanów od szkółek elementarnych, zagrożenie młodych pokoleń, tak duchownych jak świeckich, zupełnem niepodobieństwem kształcenia się religijnego, ściganie po dyecezyi kapłanów, włóczenie ich po sądach i wtrącanie do więzień, wzbronienie nawet małym dziatkom zbliżyć się do swego biskupa, aby usłyszeć napomnienie i odebrać błogosławieństwo, czy to już nie dość utrapienia i boleści dla każdego biskupa, chociażby nad własną jego głową nie wisały procesa, wyroki, egzekucye i groźby? Dnia nie było w tym czasie, któryby nie był z sobą przyniósł nowego zapozwu, nowej groźby lub smutnej innej wieści. Po takim nieustannein a długiem dręczeniu stało się potem więzienie na chwilę przynaj-

mniej wypoczynkiem. Takie było rzeczywiste położenie każdego biskupa katolickiego w Prusach w tym czasie.

Aby oszczędzić skarbowi 3.000 talarów, które Arcybiskupowi na 1 Października miały być wypłacone, pośpieszył naczelny prezes z zawiadomieniem go w końcu, tj. 27 września, że mu wypłata „pensyi rządowej“ tak długo zatrzymaną zostanie, dopóki trwale nie obsadzi probostwa Wieleńskiego. Rząd, który podług najniższego obliczenia przynajmniej sto razy tyle zabrał Kościołowi na poratowanie swoich finansów z obowiązkiem regularnego wypłacania tych okrucich, ma czoło nazywać tę należytość „pensją rządową“, jak gdyby ją rzeczywiście skarb publiczny płacił. Arcybiskup w swej odpowiedzi nie omieszkiał i przeciw temu wyrażeniu zaprotestować w te słowa: „Jeszcze i z tej miary zaprotestować muszę przeciw w zwyż wzmiankowanemu rozporządzeniu, że dotacja arcybiskupstwa Gnieźnieńskiego i Poznańskiego opiera się na podstawie traktatu, przez państwo zawartego, i jest częściowem tylko wynagrodzeniem za zabrane przez państwo dobra kościelne. W tym względzie powołuję się na oświadczenie, które minister spraw duchownych Ladenberg w swych objaśnieniach nad konstytucją w dniu 15 grudnia 1848 roku uczynił:

„Co się tyczy nowo nabytych albo na nowo z państwem połączonych części kraju, to im zostało dane uroczyste poręczenie prawne odnośne do pieczy, jaka się ich kościelnym zakładom przynależy, jak to wynika z odezwy, wydanej do mieszkańców W. X. Poznańskiego pod datą 15 maja 1875 roku (Zbiór praw str. 45). Zaczem, gdy się układało ze Stolicą Apostolską o uporządkowanie nanowo stosunków kościelnych, nie uważano tego za *taskę*, tylko za dopełnienie *dobrze uzasadnionego zobowiązania*, gdy państwo wzięło na siebie uposażenie biskupstw, co wyraźnie tak podczas samych układów, jako też i później przy ogłoszeniu ich wypadku w bulli de salute animarum z roku 1821 uznane zostało. (Urzędowa gazeta pruska z dnia 11 sierpnia 1821 r.). Wiadomo jest, że z powodów finansowych zabezpieczenie wyposażenia biskupstw na lasach rządowych resp. oparcie ich na posiadłości gruntowej, nastąpić nie mogło. Tem więcej przeto jest państwo do

płacenia i nadal w dotychczasowy sposób wedle *prawa i wedle wymagań własnego honoru zobowiązane.*“

Z tych samych powodów muszę sobie nakoniec i ja zastrzedz prawo dochodzenia w swoim czasie, aby pensya, która przysługuje arcybiskupowi Gnieźnieńskiemu i Poznańskiemu, a która mnie zatrzymana została, wypłacona mi była.“

Podobne i zastósowane do specjalnych praw każdej dyecezyi założyli wszyscy inni biskupi Prus protestacye. Ustęp przytoczony z urzędowej deklaracyi ministra Ladenberga najwydatniej dowodzi, czem są najuroczystsze przyrzeczenia rządu pruskiego.

Spodziewać się należało, że z zatrzymanej przez rząd kompetencyi arcybiskupiej opłacać rząd będzie kary pieniężne, na które policya i sądy Arcybiskupa wskazały. Tymczasem byłoby to jeszcze zbyt wielką szlachetnością dla rządu pruskiego, chociaż i w takim razie byłby pieniądze z jednego worka fiskusowego do drugiego przeniósł, byłby jednak Arcybiskup z swojej prywatnej własności nie obdarty do koszu. Z zatrzymanej przeto kompetencyi nie zapłacił rząd nic na pokrycie kar pieniężnych — te musiały być przez egzekucję ściągnięte albo więzieniem odpokutowane. Że egzekucye były częste, pochodziło to nie tylko z tego powodu, że procesów i wyroków było wiele, ale nadto i z tego, że sąd egzekwował swoje wyroki swoją drogą i naczelnny prezes za nieobsadzenie probostwa Wieleńskiego swoją drogą, były przeto egzekucye sądowe i policyjne na przemian. Pierwsza tego rodzaju egzekucya odbyła się 30go października przez sąd, przy której zabrano Arcybiskupowi parę koni i karetę; druga przez policyę 2go listopada, która wywieźla z pałacu arcybiskupiego furę rozmaitych mebli i ruchomości. Egzekucye te odbywały się tak długo, dopóki tylko były przedmioty, które podług prawa mogły uleść fantowaniu. Po zaświadczeniu dopiero egzekutora urzędowem, że w domu nic już nie masz, coby mogło być sfantowane, następowała zmiana tej kary na więzienie, a następnie aresztowanie. Arcybiskup sam, aby nie być świadkiem tych scen nader przykrych i nieznośnych, wyniósł się z salonów, które dotąd zwykle był zamieszkiwał, do dwóch małych pokoików gościnnych i w nich pozostał aż do uwięzienia.

Niepodobną i zbyteczną byłoby rzeczą każdy akt tych egzekucyj szczegółowo opisywać, a zwłaszcza, że się to bez przestanku powtarzało i u innych, jak ś. p. X. kan. Wojciechowskiego, X. biskupa Janiszewskiego, a teraz jeszcze powtarza się to na dziekanach, szczególnie na X. dziekanie Theinerce w Goniębicach. Przebieg tylko takiej wyprawy krótko opowiem. Ponieważ wieczorem i w nocy nie wolno podług prawa egzekwować, a wśród białego dnia Prusacy nawet takiej operacyi się wstydzieli, przeto wybierano zwykle szarą godzinę tuż przed zachodem słońca. O tej porze wdarli się szybko egzekutorowie na podwórze pałacu, bramę zamkli i policyą nieznacznie i zdala rozstawioną obsaczyli, a potem spokojnie przedmioty sfantowane zabierali i ładowali. Pół godziny lub kwadrans przed taką napaścią puszczone kilku policyantów, przebranych po świecku na zwiady, czy ulica jest dość pusta i czy bez wywołania zgiełku można się na wyprawę odważyć. Wóz zaś z potrzebnymi do ładowania ludźmi znajdował się przy wałach fortecznych, ukryty naprzeciko bramy podwórza arcybiskupiego. Na skinienie tajnego policyanta wpadał wóz szturmem w bramę wraz z pomocnikami i zatrzaszywali bramę za sobą, o ciemnej zaś porze wywozili zdobywcz. W taki sam sposób odbyła się egzekucya u X. biskupa Janiszewskiego, z tą tylko różnicą, że w porze letowej wykonano ją bardzo rano. Cóż to za rząd, który praw swoich nie śmie wykonywać wśród białego dnia i szuka tej samej godziny, jakiej szukali nieprzyjaciele Jezusa, aby go pojmać? Mocy miał przecież do zbytku, aby poskromić czynny opór ludu wzburzonego i urzędników swoich od wszelkiego niebezpieczeństwa zasłonić. Tego się obawiać nie mógł. Cóż go tedy mogło spowodować do obierania dróg, któremi tylko chodzą ci, którzy przeciw siódmemu przykazaniu Boskiemu grzeszą? Przypuszczam najszlachetniejsze pobudki w rządzie, przypuszczam, że pócziwego i rozdrażnionego do żywego ludu nie chciał narazić na niebezpieczeństwo popadnięcia pod surowość prawa karnego i dlatego te akty drażniące od oczu jego uchylić pragnął. Ale jeśli tak jest rzeczywiście, jeśli rząd miał i ma to przekonanie, że prawa te, a następnie ich wykonanie obrażają najświętsze uczucia ludu katolickiego, że ponieważ-rajają to, co mu jest najdroższem, czyż to nie powinno było

być dla niego wskazówką, że się na fałszywej znajduje drodze? Takby niewątpliwie być powinno, gdyby była dobra wiara, gdyby wypowiedziana Kościołowi wojna była tylko błędem, a nie zarazem zdecydowaną złą wolą i zamiarem: bądź co bądź wytepić go do szczytu.

W innych dyecezyach nie wykonywał wprawdzie rząd egzekucyi w ciemnościach, ale za to doznał także dotkliwych upokorzeń. W Monasterze, czysto-katolickiem mieście, zgromadziło się przed pałac biskupi kilka tysięcy ludzi, przypatrujących się spokojnie fantowaniu. Ale gdy przyszło do przetransportowania sfantowanych przedmiotów na miejsce sprzedarzy, nie znalazł się w całym mieście ani jeden człowiek, któryby się za najwyższą opłatę był dał do tej roboty użyć. Żyd jeden, wysoką zapłatą nęcony, już się był ugodził, ale później znowu się cofnął. W tym dniu nie mógł sąd egzekucyi wykonać, sfantowane przedmioty musiał w miejscu pozostawić i dopiero nazajutrz zkądinąd ludzi sprowadzić. Skoro się zaś licytacya skończyła, katolicy, którzy rzeczy te rozkupili, na własnych barkach odnieśli je biskupowi znowu do pałacu.

Wśród takich ciągłych i nieustannych utrapień z jednej, a oświadczeń wierności i stałości z drugiej strony zbliżała się dla arcybiskupa Ledóchowskiego i wszystkich innych biskupów chwila stanowcza więzienia. Sumy bowiem kar pieniężnych wzrastały szybko do takiej wysokości, że ich przez egzekucye ściągnąć było niepodobna. Suma kar pieniężnych na arcybiskupa Gnieźnieńskiego i Poznańskiego nałożona wynosiła już około 30,000 tal. W innych dyecezyach były wprawdzie sumy te nieco mniejsze; ale wynosiły jednak 15—20,000 tal.

Jakoż dnia 24 listopada wystosował naczelny prezes z polecenia ministerstwa do arcybiskupa na mocy § 25 prawa z dnia 12 maja wezwanie, aby urząd swój arcybiskupi złożył, w przeciwnym razie bowiem wytoczy mu na zasadzie § 24 tegoż prawa proces przed trybunałem dla spraw kościelnych ustanowionym o złożenie go z tego urzędu. Pismo to obszerne trafnie scharakteryzowane przez hr. Tarnowskiego w wybornym artykule Przeglądu Polskiego, poszytu Sierpniowego 1874. „Rząd pruski i Prymas Ledóchowski,“ wylicza wszystkie grzechy, jakich się arcybiskup poczynił od ogłoszenia prawa z dnia

17 marca 1872 odbierającego duchownym dozór nad szkołkami elementarnymi i wypędzenia Jezuitów aż do tej chwili przeciw przepisom praw majowych dopuścił i do tej chwili dopuszcza. Przykład takiego oporu, takiego nieposłuszeństwa, pociąga za sobą duchowieństwo do podobnych przekroczeń. Duchowni nieprawnie piastujący urzędy kościelne, błogosławią małżeństwa „cywilne nieważne“ i sprowadzają zamieszanie, którego rząd dłużej zcierpieć nie może. Tym duchem nieposłuszeństwa zaraziły się już gminy i parafie, które arcybiskupowi nie przestają przysyłać deputacyi i adresów przepełnionych wyrazami czci i uszanowania. W interesie przeto utrzymania „publicznego porządku“ nie może rząd arcybiskupa na tem ważnem stanowisku, z którego tak wielki, a nieprzychylny państwu wpływ wywiera, dłużej pozostawić. Taka jest treść tego wezwania czyli gotowego już wyroku, bo któż mógł wątpić, że wyrok po myśli rządu wypadnie? Do odpowiedzi i decyzji pozostawia arcybiskupowi tydzień tylko czasu. Gdyby prawą, o które tu chodzi, były rzeczywiście prawami t. j. gdyby były wyrazem sprawiedliwości, mógłżeby rząd w ten sposób do przestępcy przemawiać? mógłżeby dopuścić, aby przestępcę kilkadziesiąt razy prawo zgwałcił, nim się poważy nieszkodliwym go uczynić? Takie umotywowanie wniosku naczelnego prezesa najwymowniejszym jest na to dowodem, że rząd sam sobie kłamał, że sam nie wierzył w niebezpieczeństwo, jakie z tej strony państwu zagraża.

Maleje to pismo przez posłusznego biórokratę wymęczone w obec odpowiedzi arcybiskupa, natchnionej żywą wiarą i głębokiem przeświadczeniem o prawdzie tego, co pisze. Chociaż odpowiedź ta jest przytoczona w wyżej wzmiankowanym artykule Przeglądu Polskiego, umieszczamy ją tutaj jednak w całości, bo warta tego.

„Pismo p. Naczelnego Prezesa z dnia 24 bm. jeśli z jednej strony wielkim mnie napełniło smutkiem, bo nowe zapowiada Kościołowi katolickiemu w dyecezyach moich ciosy i ciężkie zwiastuje Wiernym Chrystusowym mojej pasterskiej pieczy powierzonym cierpienia i krzywdy, to z drugiej strony wielkiego we mnie wzbudzić nie mogło podziwienia. Od czasu bowiem wypowiedzianej przez rząd królewski wojny przeciwko świętej katolickiej wierze w krajach poddanych berłu Najja-

śniejszego naszego Monarchy stokrotną już miałem sposobność przekonania się, że urzędnicy obecni państwa nie pojmują, czem jest wiara święta, którą my katolicy wyznajemy, i rozumieć niezdolni, jakie ona na swoich wyznawców nakłada obowiązki.

Ztąd też tylko wynika, że p. Naczelnny Prezes w wyżej wzmiankowanej odezwie wzywa mnie do złożenia arcybiskupiej mojej godności i dodaje, że jeżeli tego w ciągu ośmiu dni nie uczynię, o złożenie mnie z arcybiskupstwa postara się u trybunału świeckiego w Berlinie.

Urząd biskupi z przywiązaniem doń obowiązkami i prawami od Boga przez ręce Jego Namiestnika na ziemi odebrałem. Władzę więc przez samego Boga mi udzieloną (*Spiritus Sanctus posuit Episcopos regere Ecclesias Dei*) rządzę częścią Kościoła ś. która mi naznaczoną została przez Ojca ś. Tego posłannictwa żadna świecka potęga zniweczyć nie jest zdolna. Może bez wątpienia przemoc potężnych uniemożliwić biskupowi swych obowiązków świętych wykonywanie, może mu uczynić niepodobnem używanie praw jemu przysługujących, ale zrzucić go z duchownego urzędu, tego dopiąć nie może, bo człowiek władzy kościelnej od Boga pasterzom dusz nadanej zniweczyć nie jest mocen.

Nie może więc być mowy o złożeniu mnie z arcybiskupstwa przez jakikolwiek trybunał państwowy i wszelkie tego rodzaju zakuszenie żadnego nie będzie miało przed Bogiem, przed Kościołem i przed katolickim światem znaczenia. Potrafionoby tylko materyalnie uniemożliwić mi obowiązków moich wypełnianie i pozbawić mnie używania moich praw, które jednak nigdy prawami moimi nietykalnemi być nie przestaną. Podobnież żaden trybunał państwowy uwolnić mnie nie jest w stanie z obowiązku wypełniania powinności kościelnego mego urzędu.

Co się tyczy dobrowolnego mego ustąpienia z arcybiskupstwa Gnieźnieńskiego i Poznańskiego, to chociażby takowe w danych okolicznościach za zezwoleniem Ojca ś. nastąpić mogło, sądzę jednak, że i p. naczelnny prezes i rząd królewski dostatecznie poznać mnie mogli, aby powzięli przekonanie; iż takiego czynu w obecnych stosunkach nigdybym nie miał czoła się dopuścić. Niegodnybym był dostojeństwa duchownego, któ-

rem mnie Bóg obdarzył, gdybym dobrowolnie opuszczał mą trzódkę w chwili, gdy jest na łup niedowiarstwa, herezy i schizmy wystawiona. Obowiązkiem moim jest bronić duchownych dóbr dyecezyan moich, ale nie usuwać się przed groźbą cierpień wszelkiego rodzaju, a chociażby i utraty życia. (Bonus pastor animam suam dat pro ovibus suis. Mercenarius autem et qui non est pastor — videt lupum venientem et dimittit oves et fugit.)

To panu Prezesowi Naczelnemu oświadczam co do ustąpienia mego z arcybiskupstwa Gnieźnieńskiego i Poznańskiego i co do rzekomego złożenia mnie z mej arcybiskupiej godności. A jakkolwiek uważam za rzecz zbyteczną zajmować się szczegółowo punktami przez p. prezesa naczelnego dotkniętymi w piśmie z dnia 24 b. m. ponieważ wyczerpujące już z mej strony odebrał w tych sprawach odezwy, to jednak pozwolę sobie uczynić niektóre ogólne uwagi nad ostatnimi wywodami pana prezesa naczelnego.

Zestawia Pan Naczelny prezes niektóre z ważniejszych czynności pasterstwa mego, spełnionych od Września r. z. aż do obecnej chwili i w nich znajduje dostateczne powody do umotywowania dziwnego zaprawdę wniosku, skreślonego w końcu Jego odezwy. Nie byłbym się nigdy odważył sam wyliczyć tych szczegółów, dających świadectwo o sumienności mego biskupiego działania. Jest to owoc łaski Bożej, pokrzepiającej słabe siły człowieka i dopomagającej mu do wypełnienia trudnych często powinności jego stanu. Dziękuję jednak panu prezesowi naczelnemu za to świadectwo, dane wierności mej względem Boga i względem przepisów Jego prawa. Toż świadectwo i całkiem zasłużone, a nadzwyczaj zaszczytne, daje pan prezes naczelnny całemu duchowieństwu mojemu i wszystkiemu ludowi, mej pasterskiej pieczy powierzonemu. Takie świadectwo zawarte w urzędowym piśmie pana prezesa naczelnego, chluba okryje przed całym światem kapłanów i wiernych obu moich archidyecezyj. Z pierwszych bowiem dwóch zaledwie swej wiary się zaparło, a może nawet bez całkowitej świadomości o tem, co czynili, a z pomiędzy świeckich ludzi, czy wielu więcej wiarołomnych swemu Bogu i swemu Kościołowi się znalazło?

Prawda, że pan Prezes Naczelny inaczej się na to zapatruje i widzi wadę w tem, co wierzącego człowieka przed

Bogiem i przed ludźmi najwięcej uszlachetnia; aleć to Jego zapatrywanie natury rzeczy nie zmienia. Już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa ówczesni urzędnicy pogańscy za buntowników uważali tych, co, oddając cesarzowi, co jest cesarskiem, pierwiej Bogu, co jest Boga oddawali; smutno widzieć, że i teraz niepojętem dla mnie rozumowaniem pan Prezes Naczelny uważa za niebezpiecznych dla państwa nas katolików, jeżeli obowiązków naszych względem Boga i Kościoła gwałcić nie chcemy, aby nie wystawić dusz naszych na wieczne potępienie.

W inny jeszcze i bardzo wielki błąd popada pan Prezes Naczelny, gdy mniema, że stałość Duchowieństwa i Wiernych w zasadach katolickiej prawdy i niezłomna ich wytrwałość na drodze obowiązku pomimo niesłychanego ucisku, jakiemu podlegają, i najdotkliwszego prześladowania, że ta stałość, mówię, i ta niezłomna wytrwałość dziełem jest mych wpływów i mej przewagi. Nie, panie Prezesie naczelny, są to owoce wielkiej łaski i miłosierdzia Bożego; żaden bowiem ludzki przykład i żadne ludzkie zachęty tak wielkich i wspaniałych skutków sprowadzić nie są zdolne. Bóg tylko jeden to sprawia, bo stoi napisane: „*Infirma mundi elegit Deus, ut confundat fortia.*“

Podczas, kiedy arcybiskup zbliżał się do ostatecznego kresu prześladowania, jakie prawa majowe zakreśliły, zaczęło już dosięgać jego oficyałów. X. Kan. Wojciechowski, zastępca sparaliżowanego oficyała Dorszewskiego miał już wyznaczony termin w sądzie Gnieźnieńskim na 19 grudnia, a X. Janiszewski, oficyał i suffragan Poznański na 3 Stycznia 1874.

Arcybiskup widząc, jaki los jego i obiedwie archidiecezye na pewno czeka, zwołał zaraz po odebraniu pisma naczelnego prezesa z dnia 24 listopada obiedwie kapiuły z wyjątkiem X. Dulińskiego, wydał potrzebne jeszcze dyspozycye i pożegnał się z wszystkimi polecając się ich modlitwom — była to scena rozrzewniająca.

(Ciąg dalszy i dok. nastąpi).

PO DZIESIĘCIU LATACH.

Dziesięć lat temu wychodził pierwszy zeszyt *Przeglądu Polskiego*: dziesięć lat temu trzech lub czterech ludzi, młodych jeszcze podówczas, zawiązało się w Redakcyę Pisma Peryodycznego, w nadziei że potrafią coś zrobić i na coś się przydać. Dziś, kiedy z tych nadziei nie było skutków, ale było choć trochę usiłowań, i kiedy za nimi jest przebyty kawał czasu tak duży, że znaczy zawsze nie tylko w życiu ludzkim ale i w życiu społeczeństw, przychodzi nam chęć naturalna i łatwa do zrozumienia obejrzenia się po za siebie na te ubiegłe lata, przypomnienia sobie co się w ich ciągu stało i cośmy robili. Ludzie rządni i gospodarni zwykli co pewien okres czasu obliczać rzeczywisty stan swego majątku, ludzie pobożni zwykli robić spowiedź powszechną i w sumarycznym rachunku sumienia zdawać sobie sprawę z przejść i błędów tej części swego życia; czemużby pismom nie miało być wolno pójść za tym przykładem i trzymać się tego dobrego zwyczaju? Wszak i one mają życie, i one choćby najmniej wywierały wpływu, mają zawsze swoją maleńką historję; mogą i błędzić i trafnie rzeczy sądzić, mogą radzić źle albo dobrze mogą chcieć dobrze a widzieć i radzić mylnie, a wszystko to staje się złym lub dobrym uczynkiem Pisma którego całym działaniem jest słowo. Te uczynki przypomnieć i rozważyć, ten rachunek sumienia dla pisma zrobić, może być rzeczą dla czytelnika obojętną, zapewne, ale dla Pisma tak pożyteczną i zdrową, żeśmy się oprzeć nie mogli tej chęci pomówienia o niem, i o jego, nie działaniach (bo to wyrażenie dla niego za wielkie), ale usiłowaniach. Pokaże się z tego obrachunku,

który dla spokojności własnego sumienia zrobić chcemy, czy i o ile odpowiedzieliśmy naszemu zadaniu, czy rozumieliśmy dobrze, a spełniali choć nie dobrze ale uczciwie ten pierwszy obowiązek pism publicznych którym jest dobra wiara względem sprawy i ludzi, pokaże się czyśmy dobro sprawy dobrze rozumieć umieli i wedle możliwości go bronić, lub też czyśmy się w tych obowiązkach z jakiegokolwiek powodu (zboczenia woli czy pobłądzenia sądu) zaniedbali: pokaże się może nam samym kiedy w czym lub dla czego nie zrobiliśmy tyle lub tak jakśmy byli powinni. Dla nas jest to rzecz tak ważna, że zrobić ją czujemy wielką potrzebę: czytelników zaś naszych przepraszamy, że ich sobą i sprawami swojemi zatrudniamy. Niech wybaczą przez wzgląd na dobry zamiar który nami kieruje.

Co się najpewniej z takiego obrachunku, z takiego przeglądu naszych dziesięcioletnich prac dziennikarskich pokaże, co się nawet pokazywać nie potrzebuje bo jest widoczne i wszystkim a nam samym najlepiej wiadome, to że jesteśmy pobici. Pobici na całej linii i na wszystkich jej punktach, pobici w tem wszystkim cośmy robili lub przynajmniej robić chcieli, pobici jako Polacy we wszystkich interesach naszej sprawy, i pobici jako pismo we wszystkich jego dążnościach. Jako Polacy, w ogólnej polityce i sprawie narodu, pobici ze wszystkim pospołu skoro świat dziś zdaje się oddanym na pastwę Prusom i Rosyi, a na jak długo to Bogu jednemu wiedzieć. Pobici w Austrii, w tem cośmy pojmowali czegośmy szczerze pragnęli jako jej i naszej własnej przyszłości skoro mamy Radę Państwa z bezpośrednich wyborów gorszą dla nas a bodaj nie gorszą dla Państwa od tej którą stworzyła była konstytucya Schmerlinga. Pobici w Galicyi, tak jak wszyscy, przez zmienione i okrojone atrybucye sejmu, przez organiczne defekta tkwiące we wszystkich naszych wybieralnych władzach: a więcej jak wszyscy w tem, że z myśli i zasad których broniliśmy przez te lat dziesięć żadna nie weszła w życie, że z naszych nadziei żadna się nie spełniła, że z walk jakie nam prowadzić się zdarzyło żadna nie skończyła się zwycięstwem. Obstawaliśmy zawsze jakśmy najlepiej mogli i umieli za lepszą organizacją administracyjną widząc w niej środek zaradczy na dezorganizacją społeczną, wołaliśmy żeby znieść roz-

dział dworów i gromad w gminie, która tem jest prawie w organizmie społecznym czem pierwotna komórka w orgaaizmie fizycznym, i z tego nic. Myśleliśmy, może z pewnem złudzeniem, o rozwiązaniu kwestyi ruskiej, raczej o zagojeniu ruskiej rany, przez utwierdzenie Unii i polityczną ugodę: dziś Unii już prawie nie ma a sprawa ruska nazywając się tu w Galicyi przynajmniej obszczo-ruską rozwiązuje się sama najprostszym sposobem, samobójstwem od którego nie my wstrzymać ją zdołamy. Próbowaliśmy mówić o szkodliwości spisków i powstań bez warunków zwycięstwa, ogłoszono nas za zdrajców i nieprzyjaciół sprawy narodowej. Podjęliśmy walkę z jedną częścią naszego dziennikarstwa bo nam się zdawało, że to nowe bóstwo naszego wieku, Prasa, powinna stać w przybytku prawdy czci i rozumu, a nie w kramie ani w karczmie, skutek pokazał żeśmy się mylili, i że wierni na takich właśnie miejscach chcą je widzieć, składać mu hołdy i słuchać jego wyroczni. Czegóż tu jeszcze brak? gdzie ta myśl która przez nas podana byłaby się rozeszła i przyjęła? gdzie to słowo, które byłoby się stało ciałem? gdzie ta walka któraby nie była naszą przegraną? Chyba jedna tylko, jedna zasada, jeden punkt w którym zwyciężonymi być nie możemy: jako katolicy możemy być prześladowanymi, nigdy pobitymi. Ale i tu, czy tak pewnie i bezpiecznie liczyć na siebie możemy? kościoła bramy piekielne nie przemogą, ale czy żadnej jego części nigdy nie zagarną za to nikt nie zareczył, a patrząc na pruskie i rosyjskie prześladowania, na tę materyalną zewnętrzną eksterminację wiary i dezorganizację kościoła, patrząc u nas na chłodną obojętność wielu, na niechęć ukrytą a niekiedy i jawną niektórych, na wpływ niemieckich i rosyjskich książek i pism peryodycznych, na szerzącą się zarazę filozofii pozytywnej, przychodzi nieraz zapytać czy choć kościół Powszechny ocaleje kościół polski nie zginie? Bo on nie samą tylko boską ale i ludzką wolą stoi, i zamyka go zwykle **Bóg** tam gdzie ludzie chodzą do niego nie chcą. A choć spodziewać się i wierzyć należy że wierność tak powszechna i budująca Wielkopolski od Prymasa do kmiecia, że wierność i stałość biskupów i duchowieństwa w Królestwie, że krew przelana na Podlasiu, przeważy złe jakie być może w Warszawie czy

w Poznaniu, w Krakowie czy we Lwowie, to jednak pod tym względem zupełnie bez obawy być trudno.

Strach popatrzeć ile złego przybyło, ile się namnożyło niebezpieczeństw i jak wzrosły, jak się wzmogły wszystkie siły przeciwnie przez ciąg tych lat dziesięciu. Czy siły polskie w tym samym stosunku malały? czy złe rosło i piętrzyło się i rosło koło nas tylko, czy i w nas także? O to człowiek zapytać nie śmie, ze strachu żeby się nie dowiedział, nie śmie popatrzeć żeby broń Boże nie ujrzał, a jednak, trzeba starać się wiedzieć wszystko, trzeba oczy otwierać choćby i na najsmutniejsze widoki, trzeba widzieć wszystko za sobą, dokoła siebie i w sobie, jeżeli się chce dobrze patrzeć przed siebie... może ta rekapitulacya skromnych dziejów jednego mało znaczącego pisma pomoże nam do takiego rozpatrzenia się wokoło siebie i w sobie, i do spojrzenia przed siebie.

I.

W tych samych dniach kiedy nasz pierwszy zeszyt wychodził z pod prasy, spadła jak piorun bitwa pod Sadową na Europę zdumioną i czekającą co dnia wiadomości o austriackich tryumfach. Austria zbierała plon z zasiewu swojej polityki z roku 1863 i 1864, może i z dawniejszego jeszcze zasiewu, Francya stanęła na prostej drodze do Sedanu. Straszna to data w dziejach Europy ten 2 lipca 1866; ale na razie, choć było widocznem, że od niej musi się rozpocząć okres nowych wstrząśnień i wojen, nikt nie przewidywał żeby to były dopiero *initia malorum*. Owszem zdawać się mogło że te walki, skutek nieunikniony przewróconej zupełnie na korzyść Prus równowagi w Europie, skończą się równowagą prawdziwą i stałą. Że Austria która z lekcji Fryderyka nie dość skorzystała, dowie się wreszcie po lekcji Bismarka gdzie są jej nieprzyjaciele prawdziwi, że Francya ujrząwszy się wobec Niemiec Zjednoczonych, odrobiwszy własnymi rękami to co robiła od Franciszka I aż do Napoleona, zatrwożona o siebie będzie musiała za cel swoich starań wziąć koalicję w której Austria będzie naturalnym, głównym i pomimo przegranej zawsze silnym sprzymierzyńcem. Przyszłość Europy przedstawiała się podów-

czas jako wojna niedaleka, wojna Francyi i Austrii połączonej przeciwko Prusom, może i przeciw Rosyi, bo złe na tym świecie lepiej od dobrego swój interes rorumić i swoich współników bronić umie. Taka wojna, zakończona możliwem choć niepewnem zwycięstwem dobrej, naszej strony, była dla nas wszystkich nadzieją i ideałem, jedynem możliwem nawiązaniem i rozwiązaniem sprawy polskiej, przez fizyczne terytoryalne oddzielenie Rosyi od Prus a przyłączenie ziem polskich do Austrii. To była gwiazda polarna polityki w którą trzymał oczy wlepione kto tylko miał oczy na tym biednym skołatany polskim okręcie, okręcie bez kapitana i sternika niestety, z niższymi tylko co najwięcej oficerami, i zmało wprawną, mało umiejętną, mało karną załogą. Z tej załogi sługa może najniższy, ale nie zły przecież, choćby przez to że się do steru nie rwał i gotów był słuchać każdego ktoby mądrze rozkazywać chciał i umiał, *Przegląd* nasz, wiedział przynajmniej co owa gwiazda znaczyła, i patrzył w nią z nadzieją, cierpliwą i na wodzy trzymaną, ale silną. To było dla nas celem i nadzieją polityki polskiej, to było duchem i dążnością naszego pisma, a środkiem było wszystko. Spokój wewnętrzny i dążenie do społecznej harmonii w naszym kraju, troskliwe unikanie i czynne usuwanie wszystkiego co dla Austrii mogło być trudnością lub kłopotem, wierna i pewna zawsze pomoc we wszystkim co jej siłę podnieść mogło, choćby nawet z poświęceniem nie jednego ważnego ale prowincjonalnego krajowego tylko interesu, umyślne milczenie o sobie i Polsce, opór stawiony wszelkim hałasom, wszelkim demonstracyom i manifestacyom, opozycja, nawet kiedy konieczna, (a była nią częściej z winy większości Izb Wiedeńskich), zawsze łagodna i spokojna i nie dopuszczająca do zerwania; oto co zdawało nam się drogą postępowania właściwą ze względu na przyszłość i dobro tak ojczyzny jak kraju i co zdawało nam się drogą, którą iść będzie można.

Istotnie mówiono wtedy w Austrii „*die Bahn ist frei*,“ droga jest otwarta i wolna dla każdego kraju z osobna do ubiegania się o warunki pomyślnego i narodowego życia, dla całego państwa do takiego wewnętrznego przeobrażenia, które zgodne z jego naturą, wydałoby trwałe i dobre jego urządzenie. Rządził wtedy hr. Belcredi, Rada Państwa ciałniejsza czy

szzuplejsza,* czy jakim tam oznaczona nielogicznym i niegramatycznym epitetem, była zawieszoną.

Sejm zwołany w jesieni roku 1865, a obradujący do wiosny 1866go, był pierwszym w Galicyi, który obradował zupełnie swobodnie, a pomimo wszystkich trudności (głównie wewnętrznych), z jakimi miał do walczenia, miał sam ufność, że coś sprawić zdoła i ufność tę wzbudzał. Patrząc dziś na jego rozprawy i uchwały, doznaje się przykrego wrażenia: z jednej strony zazdrości się sobie samym tych nadziei czy złudzeń, jakie się miało przed dziesięciu laty, z drugiej robi się znowu sobie samym gorzkie wyrzuty, że z tylu spraw wtedy rozpoczętych ukończyliśmy tak mało, a zwłaszcza mało ukończyliśmy dobrze. Jak wspomnieć, że ostatnią znacznieszą uchwałą ówczesnej sesyi była prośba o przyznanie Galicyi osobnego kanclerza, widzi się, jak od tamtego czasu postąpiliśmy w doświadczeniu, a jak cofnęliśmy się wstecz w spodziewanych i wcale nie przesadnie wielkich korzyściach! Któż dziś wystąpiłby z wnioskiem podobnym? chyba ten sam, kto w jakiejś dziecinnej bajce chciał złapać rękami księżyc odbijający się w wiadrze wody. Język polski w urzędzie i w szkole (jedno z głównych żądań ówczesnych), mamy wprowadzić i uznajemy to wdzięcznie, ale nie możemy przecież zapomnieć, że mamy go z mocy rozporządzenia tylko nie ustawy, ani przestać się obawiać, że dlatego danym nam był w tej formie, iżby kiedyś łatwiej mógł nam być odjętym. Organizacya szkół, podówczas także rozpoczęta, nie jest tak dobrą jak być mogła (zwichnęły ją niektóre pomysły, konieczne zapewne ze względów praktycznych), ani tak pewną jakby sądzić można, skoro samowolne reskrypta ministeryalne naruszyć się mogły (jakośmy to widzieli w sprawie mianowania dyrektorów gimnazyalnych), ale jest przynajmniej i jest oddawna. A nie o wszystkich sprawach wtedy rozpoczętych można to samo powiedzieć. Wniosek o wykupnie propinacyi, który się wtedy po raz pierwszy zjawiał, jak świeżo zmienił się w ustawę? i to w jaką jeszcze? najgorszą, taką, która nie jest wykupnem ani wynagrodzeniem, tylko pozostawieniem *status quo* na pewną liczbę lat, i pozostawieniem jakiegoś choćby najdrobniejszego przywileju na zawsze. A ustawa gminna, wtedy uchwalona, wkrótce potem wprowadzona w życie, czy jest taką, jak być powinna? czy

są z niej jakie dobre skutki? Że się wtedy odrazu nie stało to, co się prędzej czy później ale koniecznie stać musi, jeżeli w dzisiejszym składzie i stanie rzeczy zostaniemy, że nie przyszło do połączenia dworów i gromad w gminie, tego żałujemy mocno, bo zawsze te dziesięć lat i rzadkich lat spokoju, straconych dla wewnętrznego uporządkowania kraju. Ale jak pomyślimy, że wtedy z zaufaniem witaliśmy nową instytucję Rad powiatowych, że garnęliśmy się z zapałem do tego co dziś okazało się częścią z natury, z winy ustawy, źle założonem, częścią z naszej winy źle prowadzonem, i co wegetuje smutno w obojętności lub ironicznej niechęci wielu, a trzyma się tylko wielkim mozółem i poświęceniem niektórych, znowu tęsknie żałować musimy naszych ówczesnych złudzeń i braku doświadczenia.

Bądź jak bądź, choć nie wszystko zrobiły co mogły i nie wszystko tak, jak były powinny, sejmy ówczesne otoczone były powszechnem zajęciem, nawet zaufaniem. Zdawało się, że działać będą mogły, a pokazywały jakąś żywotność rokującą że działać potrafią. Usterki tej lub owej uchwały, błędne widzenie rzeczy u pewnych osób lub stronnictw, to wszystko zdawało się możliwem do zmienienia i poprawienia, a była pewna energia, pewna ufność w siebie i w przyszłość, była niezaprzeczona dobra wola w rządzie centralnym. W takim usposobieniu kraju obejmował bezpośrednie jego rządy zmarły przed rokiem hr. Gołuchowski, którego administracya więcej nam nierównie zrobiła dobrego, niżesmy go sobie sami przez te lat dziesięć zrobili; w takim usposobieniu zbierał się po raz drugi sejm roku 1866, a wiedząc że niebawem rozpocząć się musi sprawa rewizyi konstytucyi w Austrii, zajął on stanowisko polityczne, równie godne jak rozumnie obmyślane. Ze wszystkich, ile ich było adresów galicyjskiego Sejmu, żaden nie zastrzegł się tak silnie przeciw uroszczeniom i bezprawiom centralizacyi, żaden nie sformułował tak dobrze stosunku naszego kraju do Austrii. „Mamy wiarę,“ mówił sejm, „... że Austriya, aby być i silniej niż kiedy zakwitnąć, będzie w wewnętrznym swym ustroju najmocniejszym wyrazem poszanowanej wolności, a na zewnątrz tarczą cywilizacyi zachodu, praw narodowości, ludzkości i sprawiedliwości. Posłannictwo takie było naszym przez długie wieki.“ Polityka krajowa i polityka

narodowa była tu określoną wyraźnie, tak wyraźnie, że kiedy w zakończeniu adresu sejm mówił, iż „bez obawy odstępstwa od „myśli naszej narodowej, z wiarą w posłannictwo Austrii i z ufnością w stanowczość zmian, które Twoje monarsze słowo jako „niezmienny zamiar wyrzekło, oświadczamy, że przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy“ — tylko zła wiara udawać mogła, że nie rozumie, i że widzi w tych słowach właśnie owo odstępstwo od naszej narodowej myśli.

Ale jeszcze te słowa nie przebrzmiały, kiedy dał się słyszeć ton fałszywy, „jak zgrzyt żelaza po szkłe.“ — W sprawozdaniu swoim o tej sesji sejmowej mówiło pismo nasze, że „nie jeden wypadek, nie jedna zmiana może jeszcze zajść i sprawić, że ludzie będą się naśmiewali z tego, co dziś wydaje im się pewnikiem, że Austria sama swego posłannictwa i swego własnego dobra nie pozna“ — obawa ta wypowiedziana wtedy jako przypuszczalna możliwość, w której spełnienie wierzyć się nie chciało, sprawdziła się rychło. Zjawił się pierwszy symptomat zapowiadający, że Austria własnego interesu należycie nie pojmowała, że zmiany wyrzeczone jako niewzruszony zamiar stanowczemi być nie miały, że dawny duch centralistyczny, ten zły duch Austrii, który przez rządy Metternicha zgotował jej rok 1848, przez rządy Bacha rok 1859, przez rządy Schmerlinga i Mensdorffa rok 1864 i 1866, nie umarł, ale upokorzony i przytłumiony na chwilę podnosił głowę na nowo. Patent cesarski z 2go stycznia 1867 zwoływał nadzwyczajną Radę państwa, jakoby konstytuante do przyjęcia ugody z Węgrami i uchwalenia zmian potrzebnych wskutku tego konstytucyi austriackiej: w miesiąc później hr. Belcredi już nie było u władzy, a bar. Beust jakimś odręcznym ministeryalnym reskryptem, datowanym z 4go lutego, zwoływał „konstytucyjną“ Radę państwa, czyli dawny a przez półtora roku zawieszony *Engerer Reichsrath* pana Schmerlinga. Wracało wszystko, przeciw czemu Sejm protestował zawsze we wszystkich swoich odezwach od roku 1861 począwszy, wracał Parlament zebrany na mocy ustawy wyborczej ułożonej tak przemyślnie, żeby nie mogła nigdy dać rzeczywistej reprezentacji ludności krajów do państwa austriackiego należących, ale żeby zawsze musiała dać większość niemiecką, wracała znana już i wypróbowana nawet w tej konstytucyjnej

formie dążność do germanizacyi, wracały wszystkie parlamentarne niesprawiedliwości, doświadczone już za czasów pierwszej Rady państwa; wracało wreszcie czy zjawiało się na nowo bezprawne gwałcenie konstytucyi z pomocą konstytucyi samej. Ta bowiem stanowiła, że o rewizyi konstytucyi radzić może tylko *pełna Rada państwa*, przez którą rozumiała się taka w której zasiadali by i posłowie korony węgierskiej. Teraz zwołano mniejszą, nie pełną Radę państwa, złożoną z reprezentantów kraju nieznanego geografii ani historii, a nazwanego ad hoc *Cislitawią*. Radę tę przewano konstytucyjną i kazano jej radzić o tem, o czem właśnie konstytucya radzić jej nie pozwalała. Zaczął się odwrót wewnętrznej polityki rządu z dobrej drogi na dawną złą, i zaczęły się nasze błędy.

Pierwszem złem, z którego wypłynęły wszystkie następne, była uchwała 2go marca: cofnięcie pod groźbą rozwiązania adresu już prawie przez Sejm uchwalonego i wysłanie delegatów do Rady państwa. Nie będziemy tu wznawiać wszystkich, a dość zaiste gwałtownych sporów ówczesnych. Przeszło od tego czasu tyle lat, tyle klęsk, tyle wypadków europejskich wpłynęło zgubnie na losy Austrii, że gdybyśmy nawet wtedy byli postąpili tak jak należało, to dziś bylibyśmy w takim samem położeniu, w jakim jesteśmy. Możemy więc mówić o uchwale 2go marca zupełnie spokojnie i trzeźwo. A spokojnie i trzeźwo patrząc na cały późniejszy bieg naszych spraw trzeba przyznać, że mniej zręcznie, mniej politycznie postąpić było trudno. Rząd potrzebował koniecznie przyjęcia i potwierdzenia zawartej z Węgrami ugody przez jakiś Parlament austriacki. Bez Czechów, Moraw i bez Galicyi złożyć go nie mógł. A gdyby uzbrojony ówczesnem prawem był po powtórnej odmowie Sejmów postarał się o Delegacyę przez bezpośrednie wybory, to byłby miał, z Galicyi przynajmniej, reprezentacyę niedorzeczną i śmieszną, w którą nikt ani on sam nawet nie mogłby wierzyć, Delegacyę z samych ludzi nie oświeconych. Minister Beust byłby nam mógł dokuczać, byłby mógł się mścić, ale wkońcu byłby musiał ustąpić, i po przerwie, może nawet nie długiej, byłaby się uchwaliła konstytucya prawdziwie dobra, Rada państwa dla spraw istotnie i koniecznie wspólnych, (to jest monet, kredytu, cła i handlu, banków wypuszczających w obieg

bilety, poczt telegrafów i kolei żelaznych, sposobu i porządku powinności służby wojskowej, podatków, pożyczek, konwersyi długów państwa, wreszcie budżetu tej jego połowy, tak jak to określał artykuł II. Dyplomu październikowego z r. 1860—wszystkie inne, jak stanowił artykuł III tegoż dyplomu, odda-no Sejmom krajowym.

Ze względu na niebezpieczeństwo rozwiązania Sejmu, wyborów bezpośrednich, dymissyi namiestnika hr. Gołuchowskiego, Sejm ustąpił, i stanął na tej pochyłości, po której stoczyliśmy się naturalnym pędem rzeczy do konstytucyi grudniowej, do tak zwanej Rezolucyi, do długich i marnych waśni z Radą państwa, do Nothwahlgesetz, do dzisiejszych wyborów bezpośrednich, a jak wskazują niektóre symptomata, np. odjęcie Radzie szkolnej prawa mianowania dyrektorów gimnazyalnych, toczyliśmy się po niej coraz niżej.

Kiedy się owa Rada państwa schodzić miała, pisał jeden z naszych redaktorów, p. Józef Szuj ski, (Uchwała sejmowa z 2go marca i Delegacya do Wiednia, kwiecień 1867) że „rząd i Rada państwa nie wiele zapewne pokażą ochoty, aby się za powolność naszą *decursive* grzecznosciami wypłacać.“

Zaczęło się jednak od takich grzecznosci, tylko że grzecznosci nie były płacone z dołu za przyjsście do Reichsrathu, ale były obiecywane z góry za dalsze z naszej strony powolności. Cała pierwsza sesya Rady państwa (1867—68) była tylko ciągłą i sztuczną grą pomiędzy Delegacyą, która zeszedłszy ze stanowiska adresów, robiła co mogła, żeby zawarte w nich żądania ratować i dostawać, a ministrami (z początku naprawdę jednym ministrem baronem Beustem), którzy jej zrażać nie chcieli, bo wiedzieli, że gdzie chodzić będzie o prawdziwy interes państwa, o wojsko i podatki naprzykład, tam polskich głosów przeciw własnym stronnikom potrzebować będą, a nie chcieli na prawdę zrobić nic z tego co Delegacya żądała. I tak na wstępie zaraz potrzebowało ministerium, żeby Polacy głosowali za adresem, wyrażającym wdzięczność za przywrócenie *konstytucyjnej* Rady państwa. Wobec całej przeszłości Sejmu, przy tak jeszcze świeżem wspomnieniu adresu z 2go marca, nie zdawało się to łatwem. Zaczęły się konferencye i obietnice: Minister zobowiązał się do wielu rzeczy, między którymi na pierwszym miejscu nominacya osobnego

ministra dla spraw galicyjskich; Delegacya pamiętna dawnych próśb Sejmu o kanclerza i uważając słusznie posadę taką za niezmiernie ważną, ustąpiła i głosowała za adresem z tem zastrzeżeniem, że czyni to dla tego tylko, że nie może i nie chce głosować przeciw ustępowi mówiącemu o ugodzie węgierskiej. I cóż się pokazało? że obietnica była grzecznością, wypłacaną *decursive* za powolność dawną, a *conto* za powolności przyszłe, ale została tylko grzecznością. Pan minister chciał, pragnął, radby był z duszy serca, ale obawiał się Rasinów, zniechęcenia ich do Austrii i rzucenia w objęcia Rosyi; dość że z kanclerza, o którego Sejm prosił, z ministra dla wszystkich spraw galicyjskich odłączonych od spraw innych krajów, którego pan Beust był przyrzekł, został się jeden Polak w ministerstwie cislitawskim z departamentem rolnictwa! Przykład ten jest bardzo dobrą skalą do mierzenia praktycznych korzyści uchwały 2go marca. Taki sam był stosunek we wszystkim między tem czego Delegacya żądała, a tem co otrzymała. Grzeczności i obietnic takich było więcej. W jesieni roku 1867, przyszli już głosem publicznym dezygnowani członkowie *cislitawskiego* gabinetu, odzywali się z tem, że ofiarują Galicyi odrębność co najmniej taką, jak kroacka przy Węgrzech, byle Delegacya za nową konstytucyą głosowała. Tym razem jednak Polak był ostrożny po szkodzie i grzecznościom które się z dołu wypłacać miały, nie wierzył.

Jednak wszystko to dowodziło, że stanowisko nasze w monarchii, jakkolwiek przyjściem do Rady państwa osłabione, złem jeszcze nie było: że rząd ówczesny i odstręczać nas nie chciał, i (ze względu głównie na uchwały w Delegacyach wspólnych) nas potrzebował, i ze względu na opozycję czeską i morawską radby był nas z istniejącym stanem rzeczy pojednać i dla niego pozyskać. Z takiego położenia należało i można było skorzystać. Tylko znowu wyznaczyć musimy, zepsuiliśmy je sobie sami... Rezolucyą!

Prawda, że postąpić dobrze podówczas nie było łatwo. Godność, honor, szacunek siebie samych, patriotyzm i interes własny, nakazywały oświadczyć się bardzo silnie i stanowczo przeciw uchwalonej w Wiedniu w roku 1867 konstytucyi: patriotyzm szerzej pojęty, wzgląd na dobro nie kraju tylko ale ojczyzny, rozum polityczny i wzgląd na możliwe złe dla pro-

wincyi skutki, wymagały, żeby oświadczenie to stanowcze i silne prowadziło nie do zerwania lecz do ugody, nie do porażki ale do wygranej. Jak pogodzić te dwie konieczności, z których jedna krzyżowała drugą? Przypomnijmy sobie, jakieśmy o tem wiele podówczas myśleli, jak próbowaliśmy się znosić i porozumiewać, jak opinia słusznie już oburzona i obrażona na Radę państwa, mniej słusznie oburzała się na Sejm, na Delegację, na te lub owe osoby, jątrzona do namietności przez niektóre dzienniki oskarżające Delegację lub Delegatów o zdradę lub zaprzędanie ojczyzny. W tej konieczności zrobienia czegoś, w tem namietnem oburzeniu na Radę państwa i w tym gwarze jaki się u nas był podniósł, wielu straciło równowagę i prosty pogląd na rzeczy. Nie stracił go wcale jeden w całym kraju (co mu z uszanowaniem i wdzięcznością pamiętać należy) — „Czas,” który od początku stale powtarzał, żeby to, co Sejm powiedzieć ma, powiedział w adresie tylko, gdyż wszelki wniosek, wszelkie odniesienie się do Rady państwa byłoby uznaniem de facto zwierzchnictwa jej nad Sejmem, a zatem odstąpieniem zasady i dotychczasowego stanowiska, a prócz tego wniosek taki, przyjęty przez Sejm za program, miałby dla delegacji moc nietylko obowiązującą ale związującą tak, że nie mogąc od niego odstąpić, nie mogłaby dojść do kompromisu z Radą państwa ani z rządem. Zaraz na pierwszym posiedzeniu Sejmu sprawa wzięła inny i zły obrót. Skutkiem panującego rozdrażnienia opinii, drażnionej jeszcze bezmyślnie przez dzienniki i uchwały stowarzyszeń mających się za polityczne, był wniosek pana Smolki, wzywającego Sejm, ażeby cofnął swoją uchwałę z dnia 2 marca 1867 r. i odmówił wyborów oo Rady państwa. Stanowisko to, logiczne i słuszne w teorii, w praktyce, jak zwykle rzeczy absolutne, było nie logicznem bo nie mogło sprawić, iżby się odstało to, co się już raz było stało; było niebezpiecznem, bo było nieprzyjaźnią otwartą, oporem nie przeciw przyszłości grożącej dopiero (jak 2go marca), ale przeciw uchwalonemu i istniejącemu choć niesprawiedliwemu prawu, i było szkodliwem dla Sejmu, bo krępowało jego swobodę działania i stawiało go wobec dylematu przykrego i trudnego do rozwiązania. Nie odesłać tego wniosku do komisji znaczyłoby tyle, co wyznaczyć milczkiem, że konstytucya bardzo nam dogadza; przyjąć go znaczyłoby tyle,

co zerwać zupełnie. A choć pan Zyplikiewicz zręcznie przeprowadził Sejm między tą Szyllą i tą Charybdą, wnosząc wysłanie adresu do cesarza i wybór komisji, którejby jego i pana Smolki wniosek był oddany, przecież ten ostatni już swój zły wpływ wywarł, i jego duch ostro opozycyjny odbił się na całym dalszym postępowaniu Sejmu. Trudno to bowiem Ciałom reprezentacyjnym uniknąć wpływu powszechnego usposobienia (rzetelnego czy choćby sztucznie wywołanego), trudno tyle spokoju i tyle odwagi, żeby się do panującego tonu uczucia nie dostosować i dostosować nie dać. Pan Smolka dał ton za wysoki, a orkiestra (sejm i jego komisja), była już poniekąd zmuszoną do niego się dociągać. I po długich naradach wyszła z komisji i przeszła przez Sejm ta rzecz bardzo niepolityczna i zgubna w skutkach, której potoczne mówienie a może złośliwość wiedeńskich dzienników nadało szumną, przypominającą *Beschluss* węgierskiego Sejmu z roku 1861) nazwę *Rezolucji*. Że wszystko, co w niej było zawartem, mogło być potrzebnem i słusznem, że to nawet, co na pozór wydawało się bardzo przesadzonym, było usprawiedliwionem naszymi stosunkami, temu przeczyć nie chcemy, ale że sprawę słuszną a poniekąd i do wygrania możliwą, tym aktem postawiono tak źle, że stała się nierównie zawilszą i do prowadzenia trudniejszą, temu znów nie mogą dziś zaprzeczyć nawet ci, którzy w ówczesnej komisji adresowej pracowali nad jego ułożeniem. Ułożenie programu jest zawsze najłatwiejszą częścią politycznego działania; przewidzenie położenia jakie on stworzy i postępowania jakie nakaze, jest jego częścią najkonieczniejszą. Komisja wykonała tę pierwszą część zadania, określiła żądania, nie wykonała drugiej: nie dostrzegła że ujmując je w formę dogmatyczną, kodeksową, paragrafową, stężała i sztywną, i otrzymanie tych żądań utrudnia, i Delegację w Radzie zobowiązuje albo do spełnienia programu albo do zerwania, do bezskutecznej i szkodliwej abstencyjnej opozycji. Sejm zaś z trudnością już mógł, a i nie chciał wcale zmieniać tego, co komisja zrobiła; nie chciał, żeby się nie zdawało, że żąda mniej lub inaczej, nie mógł, bo rząd znowu (jak 2go marca) zawiesił nad nim groźbę, przed którą tem mniej ustąpić był skłonny, że tak świeżo i tak nie fortunnie był raz ustąpił. I jeszcze uchwała owa nie była przyjętą, kiedy już wydała swój pier-

wszy zły skutek. Przyjazd Cesarza i Cesarzowej tak blizki, z taką radością oczekiwany, jako widomy wyraz i urzędowne niejako choć milczące stwierdzenie tego połączenia sprawy polskiej z austryacką, które było celem i kierunkiem naszej polityki, został zaniechany. Nie wierzyliśmy podówczas i dziś nie wierzymy, że powodem tego zaniechania była przyjęta przez Sejm galicyjski postawa, ona była pozorem tylko a powodem było to właśnie, że ten przyjazd miał być tak wiele znaczącym. Niepokojący dla wielu, dla nas był on zawsze nieocenioną korzyścią. I tej korzyści musieliśmy się wyrzec, poświęcić ją; poświęcając zrobiliśmy dobrze, bo gdzie wybór jest między korzyścią a godnością, tam wybór choćby najboleśniejszy, jest wskazany i jasny. Ale zawsze mamy ten słuszny żal do siebie samych i ten wyrzut sumienia, że daliśmy nie powód zapewne, ale choćby tylko pozór do udaremnienia tego, co miało być wyrazem i sukcesem najrdzenniejszej i najistotniejszej naszej politycznej myśli i podstawą jej dalszego rozwoju.

Drugim bezpośrednim złym skutkiem naszego ówczesnego kroku była dymisya hr. Gołuchowskiego, która się stała konieczną, a dalsze objawiły się niebawem w Wiedniu.

Dziś, kiedy po tylu latach i bez żadnych już namiętnych uprzedzeń do ludzi czy rzeczy, próbujemy dociec dla czego podówczas popełniliśmy błąd tak gruby, nie umiemy dopatrzeć powodu innego prócz zbytecznej zawsze zależności naszej od bieżącej opinii, i podejrzeń jakich pozbyć się nie możemy względem niektórych zasad stronnictw i ludzi. Kiedy w roku 1867 cofnęła adres i wysłała delegacyę do Rady Państwa większość sejmowa, źle czy dobrze zrobiła, nie zważała na to co o niej powiedzą. Ale powiedziała tyle że drugi raz na to samo wystawić się już nie miała ochoty, i uległszy kiedy zmysł polityczny nakazywał jej stanowczość, zdobyła się na nią teraz kiedy ten sam zmysł wskutku zmienionego położenia nakazywał więcej nie uległości ale elastyczności, nakazywał postępować *suavius in modo*. A głosy które to doradzały nie znalazły łaskawego ucha. Dla czego naprzykład rady i uwagi Czasu nie były więcej słuchane? dla czego podczas dyskusyi samej, Adam Potocki który wnosił inną łagodniejszą i ogólniejszą formę tych samych żądań miał przy głosowaniu kilku tylko posłów za sobą? Chcielibyśmy się mylić, ale zdaje nam się

że powodem jest zła reputacya konserwatywnych, arystokratycznych jakoby i ultramontańskich choćby najrozumnniejszych organów, i tych arystokratów których boimy się jako Laocoon *Danaos et dona ferentes*, nie zawsze patrząc jakie to *dona*, i czy między tem co nam niosą nie ma przypadkiem czego dobrego. To pewna że gdyby Sejm był poszedł za myślą *Czasu* i później jeszcze za wnioskiem Potockiego, byłby uniknął i smutnej rezolucyjnej kampanii w Radzie Państwa ze wszystkimi tej kampanii błędami i porażkami, i długiej a szkodliwej przerwy w administracyi pana Gołuchowskiego, i przyjazd Cesarza albo byłby doszedł do skutku, albo jeżeli nie, to przynajmniej nikt nie byłby mógł powiedzieć że nie doszedł bośmy mu przeszkodzili.

Z tym faktem weszliśmy w nowy okres naszej Galicyjskiej historyi. Czy Rząd ówczesny i Rada Państwa postępowały mądrze i dobrze dla Austrii kiedy korzystały z naszej niezręczności to inne pytanie, ale że z niej zręcznie skorzystać umiały na rzecz swojej namiętności, swojej germanizacyjnej i centralizacyjnej dążności, to pewna. Gotować Polakom trudności na każdym kroku, upokarzać ich każdym słowem i każdą uchwałą, wynajdować coraz nowe wybiegi byle niedopuszczyć do spełnienia ich życzeń, a liczyć na to że wrócą przecie te błogie czasy kiedy w Galicyi rządził system Metternicha i Bacha a ręka Kriega lub Menndorffa, to tak miło i rozkosznie! Ile złej woli, ile złej wiary doświadczyła delegacya kiedy stanęła w Wiedniu obarczona tym ciężarem Rezolucyi! Zaczęło się od tego, że choć jeden paragraf Statutów krajowych przyznaje Sejmom prawo stawiania żądań i wniosków, nie ma nigdzie paragrafu któryby Rządowi lub Radzie Państwa nakazywał wnioski takie brać pod obrady, zatem Ministerium nie poczuwa się do obowiązku wniesienia żądań Galicyjskich do Izby. Kiedy ten wybieg zmarnował już tyle czasu że na dłużej służyć nie mógł, znalazł się inny. Subtelne byzantyńskie dyskusye o słowa: czy Rząd ma wnioski Galicyjskie Radzie Państwa *przedstawić*, albo ich *udzielić*: jedno z tych słów wyrażało niby znowu *implicite* równorzędność sejmów drugie zależność ich od Rady Państwa. I znowu długi przeciąg czasu zanim wnioski zostały wreszcie wprowadzone do Izby, dłuższy zanim zostały roztrząsnięte w komisyi, aż

wreszcie Sesa Izby była już blizką zamknięcia, na podjęcie tak ważnej sprawy nie starczyło czasu, i pierwsza rezolucyjna kampania w Radzie Państwa, zakończyła się odroczeniem.

Ministerium wtedy, na pociechę, wydało rozporządzenie wprowadzające Język Polski do administracyi. Pociecha pożądana i wdzięcznie przyjęta, ale która sama jedna wystarczyć nie mogła, nawet gdyby była prawem, a będąc tylko rozporządzeniem budziła to podejrzenie że daną jest w tej formie na to tylko żeby przy sposobności mogła być cofniętą. W kraju Sejm jak przedtem znajdował się w położeniu trudnem, a wzmagające się rozdrażnienie opinii, podniecane w różnych dziennikach, stowarzyszeniach, klubach, i manifestacyjnych obchodach, wyjść mogło tylko na korzyść (chwilową) tych u nas ludzi lub stronnictw których cel był nie dopuścić do żadnej ugody z Austryą, i, na korzyść stałą wiedeńskich centralistów którzy po zerwaniu rozpocząć mogli na nowo i na dobre swoją niemiecką i niemczącą reakcyę. Tej pierwszej dążności jednak oparł się sejm stanowczo: czego zrobić nie mógł, to wyprzec się swoich zeszłorocznych przekonań i postanowień. W ogólnej formie, zręczniejsz niż przed rokiem, ale powtórzył i powtórzyć musiał swoją rezolucyjną uchwałę. A zatem poszło że w Sesyi Rady Państwa z roku 1869 na 70 znowu agitowała się ta sprawa i z nielepszym jak poprzednio skutkiem, a zakończyła się wyjściem Delegacyi z Rady Państwa, i wejściem na drogę do niczego nieprowadzącą, na drogę abstencyi.

I tu znowu przyznać musimy żeśmy bicz na siebie ukreśli sami. Bez Rady Państwa Austrya ze swoim dzisiejszem prawem publicznem istnieć nie może: Rada Państwa nie może być przeto na łasce Sejmów które do niej posłów wysyłają lub nie wysyłają, i jedynym skutkiem naszego ówczesnego wyjścia na Górę Świętą, było że na przyszłość odcięto nam i wszystkim innym drogę do tej góry, a sobie otworzono inną która nowym ludem zapełnić zawsze mogła wiedeńskie Forum. Na polską abstencyą odpowiadano niemieckiem *Nothwahlgesetz*.

A przecież i wtedy jeszcze ta ważna sprawa uregulowania stosunku Galicyi do Austryi skończoną ani przegraną nie była. Jeszcze do Sejmu roku 1870 odezwał się Rząd słowem które otwierało drogę układom i obiecywało szczęśliwe ich

zakończenie, jeszcze później, za Ministeryum hr. Hohenwarta zanosilo się na zupełną reformę austriackiej konstytucyi, jeszcze więc to co było główną treścią i głównym celem polityki polskiej działającej od roku 1866 w Galicyi i przez nią, stworzenie stałego, ścisłego, rzetelnego i sprawiedliwego stosunku pomiędzy nami a Austryą, straconem nie było.

Przepadło w swoim dotychczasowym kształcie i wyrazie, przepadło nie na zawsze sądzimy, ale na długo, nie z naszej ani z rządu woli i winy, ale w tem trzęsieniu ziemi które nie w Europie na miejscu nie zostawiło. Kiedy wszystko runęło czyż mogliśmy my jedni stać silnie na nogach? kiedy świat się zawalił mogłaż nasza biedna strzecha ocaleć? Pojmując w przecięciu nie źle naszą sprawę, i jej potrzeby i cele w Austrii, prowadziliśmy ją źle, tego się zaprzec nie możemy; ale i my mogliśmy jeszcze dawne niezręczności i błędy naprawić, i ci z którymi mamy do czynienia mogli się przekonać i do nas przechylić, mogliśmy prędzej lub później trudniej lub łatwiej, ale mogliśmy dojść do celu naszych starań, do mądrze i sprawiedliwie określonego stanowiska Galicyi w Austrii... gdyby nie wojna francuzka, gdyby nie jedyna dziś w Europie potęga nowego Niemieckiego Cesarstwa.

Za dawnych czasów, (i nie tak bardzo dawnych nawet bo podobno jeszcze za francuskiego Rejenta), kiedy wierzono w magię i zapomocą czarnoksiężkich formuł i zaklęć wywoływano złego ducha żeby się w swojej postaci zjawił, była jako z formuł tych najpotężniejsza, jakaś „Msza Czarna“ do Mszy Świętej bardzo podobna, powtarzająca wszystkie jej chwile i słowa, tylko na odwrót, a w chwili konsekracyi, w chwili kiedy przy Mszy Świętej Chleb i Wino przemieniają się w Ciało i Krew Pańską, przy tamtej stawał na Ołtarzu ten którego wzywano. Jak ta Msza bluźniercza do prawdziwej tak to cesarstwo nowe podobne jest zupełnie do tego które niegdyś Karol Wielki zakładał. On w Europie która jak ziemia po potopie zaledwo z zalewu barbarzyńców wynurzać się i tężeć zaczynała był sam jeden mocnym, jeden miał prawo powiedzieć o sobie: Ja jestem. Dziś w Europie zaledwo już wyglądającej z pod potopu tego błota w które się rozłazi, nowy Cesarz, jeden jest mocny i ma prawo myśleć o sobie że jest sam. On może być dumniejszym i pewniejszym swego pano-

wania i śmielej może mówić „Plus Ultra“ niż Karol Vty Pan Hiszpanii i Indyi, Neapolu i Flandryi, Medyolanu i Burgundyi i Niemiec, bo Karol miał Franciszka I, miał Solimana, miał protestantów niemieckich i protestantów całej Europy, za Karola Vgo była Europa. On bardziej niż Ludwik XIV może brać słońce za godło, bo Ludwik XIV nigdy w Wiedniu ni w Madrycie nie włożył sobie korony na głowę, a naprzeciw niego stał Marlborough i Eugeniusz, Godolphin i Wilhelm Orański, i różne Potrójne i Poczwórne alianse: za Ludwika XIV była Europa. On potężniejszy niż był Napoleon na szczycie potęgi, bo przeciw tamtemu walczyła dyplomacya i flota i skarb angielski, i patryotyzm hiszpański, rosyjski, nawet niemiecki, i habsburska dawna tradycya wysileniem wszystkich sił swoich, i w końcu połączone armie całej Europy: za Napoleona była jeszcze Europa. Dziś gdzie ona jest? kto, prócz tego jednego który dawne Cesarstwo koronował i poświęcał, Papieża, kto nowemu opór stawić może, śmie, próbuje? Dziś on na prawdę jest prawie tak jeden w Europie jak lat temu tysiąc z górą jeden był Karol Wielki, a drugiego takiego przez cały ten ciąg dziejów Europy od wschodu cywilizacyi do Jej dzisiejszego południa czy schyłku, nie było. Podobieństwo jest wielkie. Jeden założył fundamenta pod oświatę, drugi prowadzi walkę o kulturę: jeden rozszerzał panowanie wiary, i drugi rozszerza choć inną: tamten na kresach swego Państwa zakładał Marchie jako strażnice swojej potęgi i swojej polityki, i ten swoim Margrafem osadził Wołoszczyznę i omal nie osadził Hiszpanii, a jego *Missi Dominici* dozorują i udzielają rozkazów królom Europy, Włoskiemu naprzykład, jak żeby podwładnym urzędnikom. Lenników zrobił ze wszystkich królów i książąt niemieckiej Rzeszy których jeszcze królami i książętami zostawił, a oręż jego dotąd się jeszcze z silniejszym i szczęśliwszym nie spotkał. Tylko ta jedna różnica że ten Cesarz nie jest Rzymskim: że ta oświata którą on szerzy zna jeden tylko cel i jedną zasadę, Wszechmocność jego, i jeden tylko środek, bezprawie i kłamstwo. Tylko ta wiara którą on roznosi tępiąc i prześladując Chrystusa, uczy że Bogiem jest Państwo, Rząd nieomylnym, a pierwszym i największem przykazaniem będziesz krzywdził i niszczył i obdzierał bliźniego swego, będziesz poządał i zabierał wszystko co jego

jest, aż do języka, aż do wiary, aż do modlitwy, aż do sumienia które Bóg w niego tchnął, bo twój bliźni jest na to żeby Ciebie znał, ciebie się bał i tobie służył: *Siła przed prawem*. A kiedy przed dziesiątkiem wieków w tych ciemnych barbarzyńskich czasach Karol przebierał miarę w okrucieństwie był przecie ktoś taki na świecie co go mógł hamować i karać i gromić i przypominać mu że siła nie do wszystkiego daje prawo, że jest Bóg na niebie i zakon Jego na ziemi. Ten, szczęśliwszy, kiedy mówi „wytracim narody, Germania jedna będzie“ nie ma nikogo na kogoby zważał i kogoby słuchał, nie zna nikogo nad sobą: owego stróża sumień mocarzy wyparł się dawno, a dziś myśli że go do reszty zgnębi i zabije. W tem jego słabość, w tem da Bóg jego upadek. I gdyby był do pierwszego cesarza prawdziwie podobny, jużby dziś płakał bo widziałby Normandów, nie cielesnym wzrokiem Normandów przyływających z za morza, ale wzrokiem rozumu widziałby wszystkie namiętności, wszystkie żądze, wszystkie przeczenia które rozkiełznał i wypuścił, które w otchłani opisanej w *Niedokończonym Poemacie* kłębią się i piętrzą coraz wyżej tak że się już niemal z powierzchnią ziemi zrównały, a które gorsze od Normandów nie napadają Państw, ale je rozsadzają.

Tryumf nowego Cesarstwa był klęską i upadkiem wszystkiego co dotąd składało Europę. Kiedyś Dante ze zgrozą wspominał że widział

in Alagni entrar lo fiordaliso

e nel Vicario suo oltraggiar Cristo: .

dzięki tym niemieckim zwycięstwom nasz wiek może powiedzieć że widział to samo i lepiej, bo nie do Anagni ale do Rzymu, nie przechodem ale na stałe wszedł burzyciel i grabieżca Kościoła.

Francya patrzyła na dwa widoki jakich nie zniósł żaden może jeszcze naród w Europie: kiedy król Pruski wkładał na głowę cesarską koronę w Zamku Ludwika XIV, Francuzi podkładali ogień pod Louvre Franciszka, pod Ratusz Henryka, i walili na ziemię posąg zwycięzcy z pod Jeny! W Austrii prawnuk Maryi Teresy wypchnięty z Niemiec przez potomka Fryderyka, musiał patrzeć na wszystko spokojnie i trzymać z nim pokój, a kiedy bolał nad tem we wszystkich swoich uczuciach

rodowych rycerskich monarszych i patryotycznych, może i wspomniał co przepowiadała Prababka: „przyjdzie czas że pożałujecie rozbioru Polski.“ Z dawnej Europy zostały nazwiska i niektóre granice, ale stosunek sił się zmienił.

A cóż w tym przewrocie świata stać się dopiero mogło z nami, najsłabszymi, najbiedniejszymi ze wszystkich! „Gdy hardziej niebożny“ mówi Skarga „ubogi płacze i jakby w ogniu gore:“ a niebożny zhardział jak jeszcze nigdy, bez żadnego już hamulca ni wędzidła, bez obawy, nawet bez obawy ludzkich sądów bo i tych już w Europie nie ma, mógł z ubogim robić co mu się podobało. I zaczął. Znęcanie się nad Wielkopolską przeszło wszystkie swoje dawniejsze granice, i dziś już nie z pisanemi prawami wojna, ale z przyrodzonemi, z językiem: ubogi płacze i jako w ogniu gore! Ale jak Siegfried niemieckich legend jedno miał tylko na ciele miejsce w które mógł być śmiertelnie ranionym, tak ten polski ubogi śmiertelnie ranny wszędzie, jedno ma miejsce w które ranić go jest nieostrożnie, bo wprowadzić, jeżeli się uda to on umrze, ale jeżeli tę ranę wytrzyma to może wyleczyć się ze wszystkich. I w to miejsce właśnie Rząd Pruski ugodził. Czterema pocągami pióra zburzył Kościół katolicki w swoim Państwie, a postawił nowy, swój własny, rządowy, pruski. Zrobiwszy to zdumiał się na widok że jego kościół nie stoi a dawny jakoś się jeszcze śmie trzymać. A wiec burzyć go dalej, już nie piórem ale pięścią, ale zamykaniem Kościołów, zatamowaniem źródła nabożeństw i Sakramentów, nieuznawaniem za prawnie ważne ani katolickich święceń kapłańskich ani małżeństw prawnie przed Kościołem zawartych, zamknięciem duchownych zakładów a kształceniem księży w bezwyznaniowych teologicznych fakultetach, więzieniem i wygnaniem Biskupów i księży, obsadzaniem parafij samowładcami. Cios wymierzony na wszystkich katolików pod rządami tego Cesarstwa spadł naprzód na Polaków. I, nie chwalmy się że wytrzymali, bo to nie koniec jeszcze, ale dotąd dzięki Bogu wytrzymują, a da Bóg że kiedy tak zaczęli to i skończą dobrze. I zaiste, w tych czasach strasznych, jak gorszych, jak takich od rozbioru nie było, jedna pociecha, jedna otucha, jeden wielki dowód siły ducha w naszym narodzie, to ta wierność i wytrwałość i proste a wielkie męstwo naszych w Wielkopolsce, od kardynała Prymasa po-

cząwszy a skończywszy na ostatnim wyrobniku. To w historii naszej tych lat ostatnich jedyna chwała, jedyne nie zwycięstwo jeszcze ale już jego możliwość, bo może zwyciężyć kto tak długo i tak walczyć dobrze zdołał.

Rosya nie potrzebowała ani zachęty, ani oswobodzenia od ludzkich i Boskich względów żeby w Polsce robić co jej się podoba, bo któż na to zważał, kto chciał wiedzieć lub wierzyć! Była pewna że cokolwiek zrobi świat pokłoni się tylko i da lub uda wiarę jej słowom. Ale i ona przecież od pruskich zwycięstw nabrała odwagi. Nie żeby przedtem była się bała zachodniej opinii lub broni; opinię tak łatwo oszukać, przekonać lub przekupić, a broni przecież nikt nie dobędzie za to co się dzieje w Przywiślańskim lub Jugo-Zapadnim kraju. Ale zwycięstwo i wszechwładza Prus była naprzód stanowczym końcem tego porządku rzeczy który był na dawnych, nie słusznych ale przecież jakichś traktatach oparty, tej Europy która pamiętała jeszcze choć trochę historię i polityczne tradycje. Zwycięstwo Prus było przytem porażką tego przeciwnika którego się Rosya zawsze bała, katolickiego i romańskiego ducha i jego cywilizacji. Została tylko jedna siła Protestancka i Germańska która w przeczeniu tamtej miała jedyną tradycję i cel, a przeto wschodniej i syzmatycznej była zawsze sprzymierzoną wiernie i bratnią w duchu. Uczuła się więc Rosya zupełnie wolną, i szczęśliwszą niż kiedykolwiek, bo w tem *zaćmieniu Europy* mogła i rolę słońca odgrywać przed światem, i z Polską skończyć do reszty. Kto zliczy nieszczęścia królestwa Litwy i Rusi od tych lat dziesięciu? a któż zliczy piasek w morzu i gwiazdy na niebie! Zniesienie szkół polskich, wprowadzenie rosyjskich, w tych szkołach liczba uczniów Polaków ograniczona a nauka wyrachowana na to żeby z nich robić złych ludzi, bez czi i bez wiary, i złych Polaków bez ojczyzny. Zniesienie wszelkiej administracyjnej odrębności królestwa, ta nowa centralizacya której Rosya nauczyła się od Niemców, a która naprzód przez komitet zarządzający, chciała stworzyć chaos w społeczeństwie, potem stworzyła go w administracyi, a dziś tworzy go w sądownictwie. A ukaz odsądzający Polaków i katolików od prawa nabywania ziemi, a wyciskanie z kraju ostatniego grosza przez kontrybucye, a wyciskanie z niego ostatków duszy przez wychowanie, przez prze-

śladowanie religijne i zamykanie Kościołów, przez przewrotne wyobrażenia rozsiewane z katedry, z Izby sądowej, z kancelaryi mirowego pośrednika, i z redakcyi rosyjskich dzienników. Dotychczas nie zupełnie się to udało, ale po części już przyniosło owoce które niejednego z nas zatręły. A nędze i uciski rodzin, nie już zasłanych lub oplakujących uwiezionego lub straconego, ale pozbawionych sposobu do życia, sposobu wychowania dzieci, wyrzuconych na bruk z dawno i dobrze zajmowanego miejsca: te już tylko Bóg jeden może widzieć i pamiętać, i godnie zapłacić. Ale to uczucie wolności nieograniczonej którem tryumf Prus natchnął Rosyę, ale ta wojna którą one wydały Kościołowi katolickiemu, ośmielił i ją że się posięgła do ostatniego gwałtu na Unii. Chciała zawsze, zaczęła dawno, ale do skończenia lepszej pory upatrzeć nie mogła. Przeciw niej był tylko stary Papież w Watykanie który armat i armii nie ma, a prośby i groźby jego dopiero na tamtym świecie pokaże się że coś znaczą: za nią było wszystko. Przykład a zapewne i poufna przyjacielska zachęta alianta, poklask wszystkich anti-chrześcijańskich dzienników, uprzejmość wszystkich dyplomacyj świata które się o nic nigdy u niej nie upomną, na wszystko zamkną oczy, na wszystko wiarę udadzą. Wytępiła więc Unię; dokonała tego w Chełmskiem i na Podlasiu co zaczęła Katarzyna na Rusi, co ciągnął dalej Mikołaj na Litwie. Tylko czy nie za śmiało? Coś się tam podobno dużo krwi przelało, a krew w takich sprawach sprawadza czasem skutki przeciwne tym których oczekujemy, i co miała służyć za wiecznotrwały cement świątyni kapitolijskiego Jowisza spoiła mury na Kościół świętego Piotra. Na dwóch prawie krańcach dawnej Rzeczypospolitej dwóch jej wrogów i Panów robi to samo: jeden przebieglejszy bierze na tortury katolickie sumienia, drugi dzikszys przelewa katolicką krew. I dziś jeden i drugi patrząc na swoje dzieło widział że było dobre. Nam tylko cierpliwości i wytrwania do czasu kiedy jeden i drugi przekona się inaczej.

A w Austrii? I tu musiał się zrobić przewrót. W miejsce dawniejszego ideału, przymierza z Francją przeciw Prusom, przyszła konieczność utrzymania bądź co bądź pokoju z Prusami. Rzadko kiedy w historii błąd, a mówiąc po chrześcijańsku grzech popełniony w polityce, pomścił się tak rychło

i tak widocznie na tym kto go popełnił. W roku 1866 nie chciała Francya ratować Austryi bo myślała że między dwoma osłabionymi sama zostanie panią losów Europy; w roku 1870 Austrya Francyi już ratować nie mogła, choć czuła dobrze że jej to bezpieczeństwo własne nakazywało. A jak na zagraniczne jej stanowisko wpłynąć, tak i w wewnętrznych stosunkach zwrot ten odbić się musiał. Wszelka nadzieja rychłego urzędzenia Monarchii tak jak tego wymaga jej natura i jej dobro, zginęła na długo. Pierwiastek niemiecki, choć geograficznie z Niemiec wykluczony, uczuł się w sile większej niż kiedykolwiek, oparty o działa Kruppa i o rząd ks. Bismarka nie pojmował już zgoła jakby mógł nad wszystkimi w Austryi nie panować, jakby Czechy mogły zachować odrębną indywidualność w monarchii a Galicya być krajem polskim, kiedy Niemcy bombardowały Paryż i zajęły Alzacyę i Lotaryngię. Oni są z Bożej Łaski, oni są Niemcy, lud wybrany któremu jakiś Jehowa czy Odin wszystkie inne narody dał za urodzonych sług i niewolników. „Germania jedna będzie,“ to hasło i nadzieja którą tchnęły wszystkie dzienniki i mowy, które szeptały może w Wiedniu niektóre poselstwa. I spotęgowany, spanoszony duch niemiecki zaczął się domagać odwołania wszystkiego co się przez te wszystkie lata stało, odrobienia tego co nawet sam był zrobił, swojej niegdyś ukochanej konstytucyi Grudniowej. Rząd który w takim stanie rzeczy byłby chciał czy spór czeski kończyć, czy sprawę ugody z Galicyą dalej prowadzić, byłby wywołał burzę w Izbie, może burzę w stolicy, może i burzę dyplomatyczną. I to był powód że rozpoczęta w roku 1868 sprawa naszych żądań skończyła się na niczem: gorzej jak na niczem. Zmienione położenie bowiem spowodziło i zmianę gabinetu, a gabinet ożywiony tym samym duchem, pałający tą samą żądzą co niemiecka większość w wiedeńskim parlamencie i po za nim, z tym parlamentem pospołu spowodził zmianę konstytucyi. Skutkiem przewagi Niemiec w Europie, i wyrazem tej centralizacyi która przez dziwny jakiś obłęd tylu rządzących po sobie w Austryi ludzi wzdaje się im radą i środkiem na przyrodzoną niejednolitość państwa, był Reichsrath z bezpośrednich wyborów.

O gwałcie, zadany przez to wszystkim statutom krajowym, nie ma co mówić, jest zbyt oczywisty. Ale nie mniej

oczywistą jest i zmiana, jaką on w naszym położeniu wywołał. To znowu zwrot w dziejach naszego stosunku do monarchii i zwrot na gorsze, krok wstecz. Naprzód sejmy krajowe zeszły przez to do znaczenia dużych Rad powiatowych. Nie gniewalibyśmy się o to że mniej zajmując się ogólną polityką, więcej mogą się oddać sprawom uporządkowania kraju, ale nie możemy nie widzieć ani patrzeć obojętnie na samowolne naruszenie ich praw, a tego nie widzimy wcale, żeby odbierając Sejmom przyznany zakres działania i znaczenia, rząd był rozwiązał lub usunął wiszące spory z krajami. Żaden kraj nie stracił przez to tej politycznej ważności, jaką miał przedtem, każdy pozostał ze swoim zasobem sił, ze swoją sumą potrzeb i żądań, a jeżeli dziś milczą, to dlatego że się rezygnują do czasu, nie że się zgodziły i poddały na zawsze, i przy pierwszej sposobności, przy pierwszej zmianie wszystkie dziś przegłoszone kwestye polityczne podniosą się znowu gwałtowniej-sze może, trudniejsze niż przedtem. Czy więc rząd robiąc źle częściom, zrobił dobrze całości, to się jeszcze pokaże. A gdyby na tem tylko był koniec! Ale jak Parlament wrócił do formy a może i do ducha Reichstagu z roku 1848, (czy dla monarchii i dla dynastji szczęśliwej pamięci?), tak rząd znowu, mamy na to nieszczęściem wskazówki wyraźne, zdaje się chcieć wracać względem nas przynajmniej do tego ducha, który oży-wiał ks. Metternicha przed rokiem 1848, a Bacha po nim. Ministeryalne rozporządzenie, znoszące prawo sankcyonowane przez cesarza, objęte wyraźnie konstytucyjną ustawą dlatego, żeby Radę szkolną galicyjską ukrócić w jej atrybucyach, to fakt nie wielki ale w swoim rodzaju ciekawy, rzadki i wymo-wny. A czy ostatni w swoim rodzaju? Pragniemy szczerze ale wierzyć nie śmiemy. Minister, wysyłający ze swego ramienia dozorcę czy wizytatora szkół, z pominięciem władz nie już szkolnych ale nawet namiestnika, odważył się na krok tak śmiały, tak bezprzykładny, do jakiego nie posunie się nikt bez zastanowienia i zamiaru, i uwierzyć w to trudno, żeby krok ten nie był wypłynął z planu i nie był pierwszym (czy drugim) na drodze już obranej i wytkniętej.

I na tem dziś stanęła nasza sprawa z monarchią au-tryacką, to ostatni skutek naszych dziesięcioletnich słu-żnych, choć prawda że nie zawsze zręcznie prowadzonych za-

biegów o zaprowadzenie stałego, rzetelnego, sprawiedliwego między nami związku. Jesteśmy pobici. Pobici także w tem, co było dla nas ideałem polityki zagranicznej, skoro zamiast przymierza Enropy przeciw Prusom i ich aliantom mamy przymierze trzech cesarzów, i nawet mu się dziwić, nawet na nie narzekać nie możemy, bo w tym stanie rzeczy jest ono koniecznym warunkiem spokoju i odzyskania sił dla Austrii, o której byt i siłę nie mniej nam chodzi dziś jak przed dziesięciu laty.

A wewnątrz? u siebie? czyśmy się posunęli naprzód, czyśmy z tego znacznego przeciągu czasu i spokoju skorzystali? Zyskaliśmy wiele przez rządy ś. p. pana Gołuchowskiego, przez znaczną liczbę dobrych i zdolnych urzędników których on wykształcił, przez zamknięcie spraw serwitutowych, którego dokonał; zyskaliśmy przez troskliwość i Sejmu i Wydziału krajowego o drogi i szkoły; niektóre szczęśliwe powiaty zyskały podobno wiele na porządku i cywilizacyi, dzięki wyjątkowo dobrze prowadzonym Radom powiatowym. Ale prócz tego? Dwa nabytki, cenimy bardzo wysoko. Jeden nie politycznej natury, choć nie bez politycznego znaczenia jako bardzo piękny zakład dobrej woli cesarza, to założona przez niego Akademia Umiejętności, ognisko naszej umysłowej pracy, już dziś czynna i pożyteczna, a w przyszłości da Bóg warownia naszej oświaty i ducha, jeżeli zechcemy być mniej niż dotąd względem niej obojętnymi. Druga korzyść jest polityczną, jest stanowiskiem zdobytem i zajętem, i mamy nadzieję, podstawą do dalszego działania. Każdy czuje i widzi, że stosunek Galicyi nie do austriackich rządów, ale do Austrii, do panującego domu, do osoby cesarza, zmienił się bardzo w ciągu tych lat dziesięciu, zmieniło się to, co jest duszą i treścią każdego rzetelnego stosunku, nasze uczucie i nasza wola. Tej nieprzyjaźni, jaka w nas jest do dwóch innych państw rozbiorowych, tej dziś względem Austrii nie ma. Zmiana to wielka, sięgająca daleko, która może spowodować zwrot w całym naszym przyszlęm działaniu i nadać mu to, na czem mu zbyt często zbywało, wytknięty kierunek i stałą postawę. Nie łowiąc ryb przed niewodem, nie tryumfując przed czasem, uważamy przecież tę zmianę za najrzetelniejszą, za jedyną może polityczną korzyść, jakąśmy przez ten czas osiągnąć zdołali. Komu ją

zawdzięczyć mamy? Przedewszystkiem, sprawiedliwość i wdzięczność nakazują nam to wyznać, Cesarzowi. O ile tylko jego stanowisko konstytucyjnego monarchy na to pozwala, dawał on i daje nam przy każdej sposobności dowody względów, poszanowania naszej narodowości, dbałości o nasze dobro, których nie uznać byłoby niesprawiedliwie, niewdziecznie i brzydko, ufności, wiary w nasze słowo, którą zawieść byłoby brzydziej jeszcze. I ów niedoszły nieszczęściem przyjazd do Galicyi i wprowadzenie języka do szkół urzędów i sądów, i Akademii Umiejętności i wreszcie mianowanie Polaka namiestnikiem po śmierci hr. Gołuchowskiego, wszystkò to dowodzi, że Cesarz ma względem nas dobrą wolę i że my, choć nie w Ministeriach ani w Izbach, ale mamy w Austrii o kogo się oprzeć, mamy takich którzy nas i szanują i rozumieją i chcą z nami być w zgodzie. Podobnie dobrego usposobienia dowody dawał nam i daje w swoim zakresie stale, brat cesarski Arcyksiążę Karol Ludwik.

Ale uznając wdzięcznie, co z tamtej strony zrobiono, możemy przecież przyznać i sobie, żeśmy takie usposobienie wywołali i ułatwili przez to, żeśmy przez cały ten czas Cesarza nie zawiedli, i nie zboczyli z tej drogi którą uznaliśmy za dobrą tak dla krajowej jak i dla narodowej naszej polityki. Tę wierność raz przyjętemu kierunkowi uważamy za znak bardzo dobry, za dowód większej politycznej dojrzałości, a tę zmianę naszego stosunku do dynastyi za wielką korzyść, która w dzisiejszem położeniu państwa wszystkich swoich skutków objawić nie może, ale może je mieć i bardzo wielkie, jak się to położenie zmieni. Nie potrzebujemy dodawać, że do wytrwania w tym kierunku przykładamy jak największą wagę, i że miara naszej ufności i sympatyi do ministrów i parlamentarnych większości nie powinna wpływać na nasz stosunek do Cesarza i dynastyi, ani go naruszać.

Ale jeżeli w tym ogólnym kierunku naszej polityki nie pobłądziliśmy i nie mamy sobie dotąd nic do wyrzucenia, to w szczegółach za to pokaże się podobno inaczej. Którą ze spraw, dziesięć lat temu rozpoczętych, rozwiązaliśmy szczęśliwie i dobrze? Ruska, którą podówczas uważaliśmy bodaj czy nie za najważniejszą, stoi gorzej niż kiedykolwiek. Wzrost pruskiej i rosyjskiej potęgi odbił się i na niej, dodał sił stronnici-

kom schizmy i Rosyi, a bezpośrednie wybory do Rady Państwa dały im wyborny środek działania. Gmina, która wedle naszych ówczesnych wyobrażeń czy złudzeń miała stać się podstawą społecznego porządku i harmonii, stoi dziś na tem samem miejscu, ne którem stanęła w roku 1866. Zeszła tylko z porządku dziennego propinacya, ale powiedzmy szczerze, zrobiła tylko, jak mówią w teatrach *une fausse Sortie*. A czy przybyło nam dobrego rozumienia rzeczy, politycznego zmysłu i taktu, czy pokazały się między nami nowe i znaczące zdolności, czy wreszcie przybyło nam dobrej woli i względem siebie i do dobrego rozwiązania spraw naszych? Spokojniejsi jesteśmy, niż przed laty dziesięciu, nie kłócimy, nie oskarżamy, nie szkalujemy się tak bardzo, nie ma ani takich gwarów po dziennikach, ani takich demonstracyjnych a marnych klubowych i rynkowych zgromadzeń. Ale czy to rozumu i sumienności, czy obojętności i ospałości więcej? Oby nie to ostatnie. Politycznych błędów popełniamy mniej niż przedtem, ale czy to nasza zasługa czy tylko brak sposobności? Bo zebyśmy lepiej nasze (wewnętrzne przynajmniej) sprawy rozumieli i z lepszą do nich brali się wolą, tego nie znać, skoro wnioski administracyjnej reorganizacji kraju, obejmujący i gminę i powiat i centralny wreszcie zarząd kraju, a podający środek na ich niedostatki, na ich dzisiejsze organiczne defekta, tak mało ma dotąd zwolenników. Nowe zdolności? kryją się może (daj Boże) między młodszymi i jeszcze nieznanymi, ale między tymi, którzy już w czynnem publicznem życiu występują, ich nie znać. A jak się między żyjącymi i działającymi trafiają!, czy przynajmniej umiemy i chcemy ocenić je i spożytkować? Smutno powiedzieć, że nie zawsze; a dziś, kiedy rzeczy dawno przeszłe już namiętności budzić nie powinny, niech nam będzie wolno przytoczyć jeden na to dowód i przyznać się głośno do jednego wielkiego żalu i wielkiego zdziwienia. Mieliliśmy między sobą zdolność jedną polityczną, pisarską i krasomówczą, którą może mylnie ale zgodnie Europa uważa za zupełnie i bardzo wyższą. Zdolność ta była połączona z charakterem czystym jak łąza, i z patryotyzmem który się stwierdził całym życiem, które dlatego tylko było ciężkiem i trudnem, że było patryotycznym. W każdym innym kraju pan Klaczko zajmowałby znaczące, czynne i świetne stanowisko; ale my nie raczyliśmy

go używać, nie chcieliśmy nawet wybierać go do Reichrathowych komisij, pozwoliliśmy mu być w naszym gronie figurantem, powierzając czynne dole zdolnościom może nie zupełnie wyższym od niego, ale miejscowym. A ile tych zdolności w tym lat przeciągu ubyło! Pan Gołuchowski zaraz, najczynniejszy z natury swego położenia i dla Galicyi najpotrzebniejszy. Najwytrawniejszy, w najlepszej wychowany szkole, dyplomatycznie najzdolniejszy ze wszystkich, książę Leon Sapieha ubył także, bo choć żyje i daj Boże by żył jak najdłużej, ale się z publicznego życia wycofał. Adam Potocki, którego „lwia śmiałość i senatorska wspaniałość“ kryła takie złote serce i taką rzadką bystrość i zdolność polityczną taką rzadką u nas zwłaszcza, zdolność inicjatywy we wszystkim, co dobre, rozumne i pożyteczne. Jerzy Lubomirski, w którego idealizmie, może nie zawsze praktycznym, nie było mniej zdolności i mądrości jak szlachetności, oba wyrwani z pośród nas tak nagle, tak niespodzianie, tak przedwcześnie! A wiele naliczyłoby się tych strat wielkich, wiele postaci pięknych które świeciły i przyświecały a w ciągu tych lat jedna po drugiej pogasły. Jenerał Zamoyski, żywa historia emigracyjnych czasów, chodząca tradycya roku 1831go, *widmo Polski* za granicą, najwytrwalszy jak mówił Zygmunt Krasiński, najbliższy gieniuszu, jak możnaby dodać. Ksiądz Kajsiewicz, kaznodzieja po Skardze największy, wielka postać księdza i Polaka któremu nic do chwały nie brakło, ani blizn, ani policzków. Leon Rzewuski, dusza może zbyt w sobie zamknięta a przez to inteligencya nie występująca w czynnem życiu, ale wielka dusza i wielka inteligencya. Andrzej Zamoyski który jeden żyć i do życia budzić umiał w czasie kiedy wszystko obumrzeć było gotowe.

„I gdzież są teraz te Pany w żupanie

„U których w sercu cnót na króla stanie,

o kim dziś między nami powiedzieć można że to człowiek „podług miary Fidasza!“ Nauka straciła Szajnochę, Helclę, Libelta, Kremera, bogactwo krajowe przemysłnie a uczciwie pojmowane i pomnażane straciło Aleksandra Kurtza, gdzie spojrzeć straty, a nie wiedzieć kto je zastąpi, kto tak polską myśl i tradycję żywo i silnie utrzymać zdoła, jak oni

zastępowali dzielnie i pięknie znakomitych ludzi pokolenia które ich poprzedziło.

A dodajmy do tego znaczne zubożenie kraju przez szereg nieprzerwany klęsk elementarnych, i przez skutki obietnic i bankructw giełdy wiedeńskiej, dodajmy majątki szlacheckie zadłużone, w sporej części niemcom lub żydom sprzedane, grunta włościańskie przez nieopatrność, przez lichwy, przez weksle, przechodzące tysiącami w ręce żydowskie, ziemię usuwającą się nam z pod nóg i wymykającą z rąk, a z tego obrachunku pokaże się po latach dziesięciu smutny rezultat, że jesteśmy pobici, wszędzie i na wszystkich punktach pobici.

II.

Powyższe przypomnienie dziejów naszej prowincyi było nam potrzebne do lepszego przypomnienia własnych, o których głównie mówić chcemy. A kiedyśmy się na to trudne postanowienie i przedsięwzięcie zdobyli, to mówmy już zupełnie otwarcie. Czy mamy się przyznać do pewnej młodocianej illuzyi z którą zaczynaliśmy wydawać nasze pismo? Czemu nie: illuzya nie jest grzechem ani wstydem, a w jój przypomnieniu nie ma doprawdy żalu do nikogo, ani też apologii, téj mniéj reklamy dla siebie. Oto zdawało nam się wtedy, że mamy w kraju jeżeli nie gotowe stronnictwa, to przynajmniej elementa do nich gotowe i blizkie zupełnego połączenia. Zdawało nam się, że po wypadkach roku 63go, że w chwili kiedy wewnętrzny stan Austrii otwierał nam drogę do działania, nasze położenie do zrozumienia tak łatwe, rozumiane jest dość powszechnie, i że ludzie, którzy na sprawy zapatrują się jednako, radzi będą wszystkiemu co ich zapatrywaniu da wyraz, widząc w tem pewien przybytek siły dla siebie i swoich dążeń, i jaki taki środek działania. I w połowie mieliśmy słusność. Większość ludzi oświeconych w kraju rozumiała dobrze i zgodnie tak złe skutki tajnych sprzysiężeń i robót, jak konieczności i korzyści porozumienia i zgody z Austrią. Ale rozumiejąc rzeczy jednakowo, nie czuła pragnienia i potrzeby jednakowego postępowania, czyli nie była gotowym materiałem na stronnictwo, nie mogła go z siebie wydać.

A mówiąc to prosimy o wiarę i zaręczamy najsumienniejsz, że przed dziesięciu laty jak dziś nie myśleliśmy stronnictwa tworzyć, tém mniej niém kierować. Wiedzieliśmy, że one tworzą się same, a zebrania i stowarzyszenia, a narady i pisma wreszcie, są ich skutkiem, nie ich początkiem: i myśleliśmy że nasz powstający *Przegląd* jest skutkiem i wyrazem téj zmiany w polityce i opinii jaka u nas w zmienionych okolicznościach nastąpiła. Nie roszcując zaś sobie praw ani tém bardziej nie pragnąc stać u steru, pragnęliśmy tylko być téj polityki jedném z narzędzi, téj opinii jednym z głosów, nie głową stronnictwa patryotycznego, rewolucyjnego, przeciwnego, nie jego ręką nawet ale jego jednym palcem: że od kierowania dalecy, sami będziemy pod kierunkiem mądrzejszych i wytrawniejszych od siebie, przyjmując od nich wskazówki i rady, i pisząc tak, jak w każdéj chwili uzna za potrzebne ten patryotyczny i przeciwrewolucyjny obóz, sam reprezentowany naturalnie przez ludz co najrozumniejszych i co najlepszych. Mieliśmy nadzieję, że będziemy przyjęci łaskawie, jak zwykle przyjmowanym bywa ochotnik, który na żołnierza przydać się może, służbę swoją ofiaruje za darmo, a prosi o jedno tylko, żeby mu dano coś do roboty i powiedziano jak ma robić. W tych nadziejach doznaliśmy zawodu. Mieliśmy w ciągu naszego istnienia przyjaciół, mieliśmy obrońców dla których chowamy szczerą i wielką wdzięczność, każdy redaktor z osobna miał swoją chwilę powodzenia i swoją miarkę (czasem za wielką) pochwał i powinnowań, ale żywego stosunku pomiędzy pismem a publicznością (tą jęj częścią, z którą związku pragniemy), ale tego przyznania że o polityce polskiéj i austriackiéj, albo o sprawach galicyjskich, mówimy to co o nich myśli większość ludzi myślących i dobrze po polsku myślących, ale sprostowania i nakierowania jeżeliśmy kiedy od tego kierunku zboczyli, tego nie mieliśmy nigdy. A jednak, każda w téj większości jednostka zapytana z osobna, przyzna że o wszystkich sprawach i zasadach myśli tak jak my. Dla czego więc ten brak związku i tego *Fühlung*, na które charakterystycznie bardzo polskiego słowa nie mamy? Że my nie umieliśmy swoim piśmem zająć i zrobić je potrzebném, to widzimy i przyznajemy; (dla czego tak było o tém późniéj): ale nie my jedni byliśmy powodem. W odosobnieniu podobném choć nie tak wielkiém

zostawione są i inne pisma, *Czas* na przykład choć tak dawny, tak rozumny i tak zasłużony. Ztąd wniossek, że opinia, której nie chcemy nazywać konserwatywną ale przeciw-rewolucyjną, jeszcze nie czuje potrzeby swoich własnych publicystycznych organów, że znajduje się dotąd w stadium uczuć i instynktów dopiero, nie politycznego zapatrywania się na życie publiczne i jego konieczności, w stadium powolnego kształcenia się dopiero w każdej jednostce z osobna, a nie zbiorowego działania w stronnictwie, że na wspak temu co w naturalnym porządku rzeczy być powinno, pisma u nas wyprzedziły opinię, i zamiast być jej skutkiem i wyrazem, musiały być jej początkiem, związkiem i środkiem jej kształcenia.

Po latach, po nabytém doświadczeniu, tak sobie tłumaczmy obojętność dość powszechną względem *Przeglądu*. Na razie tłumaczyliśmy ją sobie tém, że pismo nowe wydawane przez ludzi w tym zawodzie nieznanych, do względów nie ma prawa. Jednak ta obojętność, wyznajemy, była nam przykrą i nawet trochę dziwną. Nie znani jako publicyści byliśmy wszyscy trochę, a jeden przez swoje dzieła nawet dobrze znani jako ludzie, i można było przypuścić, można było wierzyć, że lepiej lub gorzej ale pisać będziemy w dobrym duchu, uczciwym i polskim. U wielu może szkodziła nam nasza zła reputacya *arystokratów*, ale czyż u wszystkich? a z bardzo małymi wyjątkami obojętność znaleźliśmy u wszystkich. Nawet *Czas* (niech raczy wierzyć że piszemy to bez cienia żalu, owszem z serdeczną dla niego przyjaźnią i wielkiem uszanowaniem), on który później tyle razy i w najtrudniejszych dla nas chwilach, niósł nam pomoc tak życzliwie, tak odważnie i tak skutecznie, zrazu nie dał nam ani jednego słowa życzliwości i zachęty. Przecież nie mógł nam niedowierzać, przecież wiedział, że myślimy uczciwie jak on, po polsku jak on, jeżeli nie wiedział czy myślimy jak on ściśle po katolicku, to przecież mógł być pewnym, że nie myślimy jak protestanci, jak żydzi, ani jak bezwyznaniowcy? że bardzo Polacy musimy choć trochę być katolikami? A jednak i z tej strony nic oprócz milczenia.

„To nas cokolwiek zmieszało“, jak zmieszała poetę wieść odebrana na piramidzie, i wynikające z niej przeświadczenie, że dalej żyć będzie musiał „*in single blessedness*“. Ale cóż

było robić! Nie z taką fantazyą jak Italia, owszem z miną dość rzadką, powiedzieliśmy sobie z konieczności „*farà da se*“ i zaczęliśmy pisać jak najlepiej rozumieliśmy i umieli, w nadziei że przecież czytać nas złączą i że się przecież na coś przydamy. A przerzucając dziś nasze stare zeszyty, widzimy nie bez pociechy, żeśmy przecie w głównych jak w szczegółowych rzeczach stali po dobrej stronie. Nie żałujemy ani tego, żeśmy głośno i silnie wołali o gminę zbiorową, ani tego żeśmy nastawiali na zniesienie propinacyi, ani żeśmy pragnęli najgoręcej ugody z Rusinami w Galicyi jako pomostu do zgody z Rusinami wszędzie. Dziś wydaje się to niemożliwością, iluzją prawie dziecienną: jednak czy niemożliwość byłaby doszła do tego stopnia na którym dziś ją widzimy, gdyby ta dziecinna iluzya była wówczas zmieniała się w mężką i powszechną wolę? Ale na cóż się przyda dziś po niewczasie żałować, kiedy na tym kompasie zaległa noc zupełna: jeżeli kiedy jeszcze padnie na niego jaki promień słońca, będziemy mówili na nowo. Przestańmy na przypomnieniu, że za dobrych czasów *der freien Bahn* pomagaliśmy mało ale tyle ileśmy mogli, do wytłomaczenia konieczności związku polityki polskiej z austriacką i do korzystania ze sposobnej pory, do spiesznego a dobrego załatwienia tych spraw wewnętrznych, na których opiera się pomyślność w kraju a harmonią w społeczeństwie.

Ale niebawem zdarzyły się rzeczy, które nam kazały postąpić czy przemówić głośniej i ostrzej, zaznaczyć się wyraźniej w dwóch kierunkach naszej polityki, zając stanowisko przeciw-rewolucyjne w Polsce i w Galicyi, przeciw-centralistyczne w Austrii, a ówczesne nasze kroki miały wpływ znaczny na dalsze losy naszego pisma.

Jedną z tych okoliczności była uchwała 2 Marca.

Jeżeli jeden z redaktorów Przeglądu, ten mianowicie który dziś te słowa pisze, ma sobie do wyrzucenia, że postąpił niekonsekwentnie kiedy wbrew lepszemu instynktowi własnemu dał się przekonać, że powinien przyjąć wybór do Rady Państwa, choć przeciw tym wyborom głosował, to *Przegląd* jako taki nic sobie dzięki Bogu wyrzucać w tym względzie nie potrzebuje. Przeciwny wycofaniu adresu i wysłaniu delegacyi, przekonany i powtarzający zawsze że ów cofnięty adres powinien być wskazówką dla delegacyi i treścią jej starań i żą-

dań, kiedy się rzecz już stała i odstać nie mogła, *Przegląd* do sexessy i abstencyi nie namawiał nigdy, owszem jak mógł od nich odwozcił, delegacyi w działaniu nie przeszkadzał, osób nie podejrzewał i nie oskarżał. Jego marzeniem i pragnieniem była podówczas federacya, jak i dziś jest jego przekonaniem, że tylko federacyjna Austria może być zgodną ze swoją naturą, dobrą i silną. Ale skoro to na dziś dla zaślepionćj niechęci Niemców i Węgrów i dla zupełnćj ich w Państwie przewagi, jest niemożliwem, nam zaś na exystencyi Austrii i naszćj przy nićj, więcćj zależy niż na zupełnie dobrćm jćj urządzeniu, odłożyliśmy na bok ideały i absolutne teorye, a w dążeniach naszych ograniczyliśmy się na teraz — i zapewne na długo — do względnie dobrego w praktyce urządzenia Państwa i naszego w nićm stanowiska. Nie zdaje nam się, żebyśmy przez czas pierwszćj delegacyjnćj kampanii byli w czćm pobłądzili: raczćj już podczas tego sejmu, który po nićj nastąpił i uchwalił Rezolucyę. Lepićj było, ze względu na zasadnicze i na praktyczne stanowisko trzymać się *Czasu* i tak jak on chceć wyrażenia żądań sejmowych w adresie tylko. Nam się zdawało, że adres, jako napisany do osoby Cesarza, nie może o konstytucyi Grudniowćj, o jćj skutkach i o żądaniach kraju, mówić tak obszernie i tak ostro, jak tego stosunek nasz do tćj nowćj konstytucyi wymagał. Dla tego chcieliśmy prócz adresu jeszcze innćj uchwały Sejmu, która nie byłaby wnioskiem do Rady Państwa, ale tylko oświadczeniem wyliczeniem i żądań Sejmu i krzywd jakie mu ówczesna konstytucya zadała, a które bez doraźnych i wyraźnych skutków byłoby przecieź programem dla sejmu i kraju a drogoskazem dla delegacyi. Widzimy dziś dobrze, że ta myśl była zła bo była niejasna i połowiczna, bo mnićj może niepolityczna od *wniosku* była jego blizką i do niego prowadziła. Pisząc inaczej nie bylibyśmy na obrót rzeczy wpłynęli, ale bylibyśmy sobie oszczędzili wyrzutu, żeśmy złego jćj obrotu nie przewidzieli i przed nim nie przestrzegli. Ale oprócz tego błędu, znowu w tćj sprawie rezolucyjnćj sumienie nie oskarża nas o nic, owszem oddaje nam to świadectwo, że dzięki bystrości miesięcznego swego kronikarza, *Przegląd* i przewidział odrazu, że za rezolucyą pójdzie opuszczenie Rady Państwa, abstencya, a dla Rządu i Izby konieczność wynalezienia jakiegosć środka

jakiegoś *compelle intrare* na Sejmy oporne, i od wyjścia z Rady Państwa, od abstencyi odradzał stale i jak mógł najsiłniej. Przed sejmem też roku 1869 ustrzegł się zeszlórocznego błędu i tak odmówieniu wyborów do delegacyi, jak zaostreniu sporu przez powtórne uchwalenie Rezolucyi, sprzeciwiał się zawczasu.

Ale ten zwrot centralistyczny, który się zaczął kiedy hr. Belcredi ustąpił a bar. Beust przyszedł do władzy, a w którym kraj nasz po tylu doświadczeniach nie może nie widzieć zawsze powrotu znanej i wrogięj sobie dążności germanizacyjnej, sprowadził szkodliwą zmianę i w wewnętrznym u nas stanie rzeczy. Nie dość, że zmuszał gwałtem do opozycyi tych którzy zakończenie jęj wzięli sobie za cel i zadanie, nie dość że odejmował wiarę w rzeczywistość i w możliwość austryjacko-polskiego przymierza, jeszcze nadto otwierał nowe pole i dawał pożądaną sposobność tym wszystkim, którzy nie pojmują i nie chcą żadnego politycznego działania prócz opozycyi, których jedynym środkiem tego działania jest agitacja jawna, konspiracyja czy organizacja tajna, i negacya wszystkiego co jest, wszystkiego co bez rozruchów, otwarcie i spokojnie, i bez naruszania praw istniejących działa lub przynajmniej chce działać. Dla naszego narodu, który za niepodległości swojej nie lubił normalnego życia pod prawem i rządem, a po jęj utracie przywykł do negacyi wszystkiego, co rządem było, a prawem się mieniło, i do tajnego konspiracyjnego działania, które przez czas tak długi jedno wydawało mu się działaniem partyotyczném, wszystko co sprzyja tęg polityce, jest szkodliwém, bo nas utwierdza w rozprzężeniu, utrzymuje w anormalnych warunkach życia i działania, przyzwyczajają do negacyi władzy jawnej i jawnego choćby złego prawa, a do słuchania pokątnego, samowolnego, czasem i nie uczciwego despotyzmu. W roku zaś 1867 i 1868 byliśmy od 1863-go nie bardzo odlegli, i pełni jeszcze spiskowych tradycyj. Przypomnieć sobie, co było w tak świeżej pamięci, powołać do życia, co zaledwo żyć przestało, rzecz była łatwa. Na ludziach którzy politykę taką z rozkoszą i namiętnością prowadzą, nie zbywa nigdy i nigdzie, a zwłaszcza u nas: ludzi zaś, którzyby się do nięj i przez nią prowadzić dali, mógł licznie dostarczyć rząd sam, kiedy postępowaniem swoim zaczął na nowo wszystkich zmuszać do opozycyi. Zjawiały się też zaraz pewne oznaki,

odzywały się pewne po dziennikach głosy ukrywanéj lecz złe ukrytej radości, że „legaliści“ czy „biali“ (jak ich nazywano w roku 1863), ze swoją legalnością dostali się na manowce, że kierunek spraw, będzie musiała przejść w godniejsze energiczniejsze ręce: dawał się czuć ten niepokój, ta agitacya, która w żadnym razie sądzimy, nie byłaby się skończyła konspiracyą przeciw Austryi, ale która mogła być skończyć się opozycyą bezwzględną i reakcyą ze strony rządu. Zaczęły się więc te między nami walki *quorum pars magna* był *Przegląd*.

Współredaktor nasz p. Józef Szujski, powiedział w ich początku *Kilka prawd z dziejów naszych*, których konkluzyą było, że dziś już „konspiracya ma absolutną niesłuszność, „strona normalnej organizacyjnej prasy absolutną słuszność, że „czém *Liberum Veto* po konstytucyi 3go Maja tem byłoby „dziś *Liberum Conspiro*... tylko w straszniejszej formie. To „nie wolność, to socyalizm; to nie niepodległość, to pożarcie „przez Moskwę.“

Gniew powstać musiał: gniew tych naprzód, którzy z przeszłości wynieśli w najlepszej wierze cześć dla konspiracyi, jako jedynéj niby widoméj i wyraźnéj formy dążenia do niepodległości: gniew tych następnie już w wierze mniej dobrej, których konspiracya była jedyną w życiu chwałą zasługą i pracą, a wreszcie już bez dobrej wiary, gniew tych, dla których ona była nie tylko jedynym znanym środkiem ale na teraz nawet jedynym celem politycznego działania. Obojętność téż prasy galicyjskiéj, a raczéj neutralność zbrojna w jakiej się względem nas trzymała, przeszła zaraz w nieprzyjaźń i rozpoczęcie kroków wojennych. Byliśmy *legalistami*, którzy radzi że żyją w spokoju o Polsce nie myślą, i dla materialnego spokoju lub dobrego bytu prowincyi, poświęcają ideę i nadzieję ojczyzny. Byliśmy *Białymi*, którzy we wszystkich po kolei powstaniach nie umieli ani widzieć ani uczuć poświęceń i heroizmów, tylko się bali niepokojów i strat: byliśmy wreszcie ludźmi bez serca i Polakami bez czoła, którzy tak świeżo po przegranéj sprawie roku 1863 zamiast pochwalną mową a przynajmniej milczeniem uszanować nieszczęście, śmieli z bezbożnym cynizmem roztrząsać i wyliczać jéj błędy i złe skutki. Wreszcie oczywiście wypieraliśmy się i nie chcieli

ani Polski ani niepodległości, skorośmy się odrzekli i nie chcieli konspiracyi, jedyne go, a nie jedną ofiarą nie jednym wielkim czynem uświęconego tych dążeń wyrazu.

Dwie drogi nie rozeszły się od siebie dalej niż były przedtém, tylko się w swojej prawdziwej odległości widoczniej pokazały, każdy został na swojej. *Kilka prawd* nie przebrzmiało bez echa, ale nie nawróciły one podobno nikogo. Cenili je bardzo i wzięli do serca ci, którzy nawrócenia nie potrzebowali, inni szarpali je tylko i robili swoje. A tymczasem grunt pod opozycję i pod agitację uprawiał się coraz lepiej. Spulchniła go wybornie konstytucya grudniowa, odwróciła go Rezolucya, a postępowanie Izby wiedeńskiej z Rezolucją, a niesprawiedliwości, upokorzenia, zła wola, jakieśmy tam znosić musieli, przygotowały go tak doskonale pod siew, że już niczego nie brakło. Jakoż wyszli na pole siewcy z pełnemi garściami i workami, i zaczęli rozsiewać, naprzód oskarżenia nieudolności i niedołężności przeciw delegacyi, nieuczciwości, przeciw niektórym delegatom. Z tém równocześnie siali ziarno zerwania, opozycyi bezwzględnej, negacyi téj polityki austriacko-polskiej, która była jedyną rozumną, jedyną wiodącą przecież do jakiegoś celu, jedyną możliwą. Siały się równocześnie i ziarna tego niebezpiecznego blekotu, który bałamuci rozumy, a przekręca i przewraca pojęcia, i ze spółczeństwa robi jakiś dom waryatów, w którym wszystko przewrócone jest do góry nogami. Kluby i stowarzyszenia grające rolę jakiejś niby wyższej instancyi, apelacyi nad sejmem, jak, żeby one, a nie on były reprezentacją kraju, i usiłujące podciągnąć go pod swój trybunał i pod swoje rozkazy. Owacye wymyślane przy każdej sposobności, owacye, przy których lud stoi na ulicy, nosi pochodnie i słucha co mu prawią z balkonu, a oratorowie przy uroczystej uczcie wnoszą toasty, które łatwowierni i lekkomyślni biorą za polityczne kiedy w nich usłyszą jakiś szumny i górno-lotny frazes o Polsce. Różne mnożące się obchody pamiątkowe, znowu sposobność do mów, do wyprowadzania ludności na ulicę, To wszystko, czy w celu wywołania rozruchów, lub rewolucyi we Lwowie? Nie: ale w celu bezpośrednim opanowania sejmu, przejścia jego pod komendą klubów stowarzyszeń dzienników, i zmuszenia go do opozycyi

stanowczéj, do zerwania z rządem, a co daléj nastąpi, to się potém pokaże.

Cokolwiek byłoby mogło pokazać się w przyszłości, to, co już było pokazywało wyraźnie, że może nawet sami o tém nie myśląc, możemy dójść do niepokojów i rozruchów. Kto się uczył historii, kto zna cokolwiek naturę ludzi i społeczeństw, i kto sam miał sposobność choć raz na wypadki patrzeć, ten wie, że takie sądenie sejmów przez kluby, takie wyprowadzanie ludności na ulicę, nawet czasem bankiety i mowy, dźać się zwykły w wilię rozruchów i bliskość ich zapowiadać. Kto pamiętał wypadki warszawskie, tak świeże jeszcze, ten mógł wiedzieć, że obchody i demonstracye zamierzają niekiedy gdzie indziej i daléj, niż się wydaje. A kto miał oczy otwarte i widział, jaką solą w oku, jaką kością w gardle były dla Państw ościennych dobre stosunki Polaków z Austryą i dobre warunki ich życia w Austryi, ten mógł zaiste przypuszczać i bać się, że lada agent obcy skorzysta z lada obchodu, żeby wywołać rozruch, w szczęśliwym razie burdę, bójkę, o którą w wielkiem zbiegowisku ludzi zawsze łatwo, a wreszcie reakcyę, stan oblężenia i koniec polityki austryacko-polskiej.

Widzieć, że po roku 63-cim takie rzeczy powtarzać się mogą, było bardzo boleśnie, bo jeżeli ta nieszczęsna nauka nie była dostateczną, to cóż nas już nauczyć zdoła. A jednak czekać z założonemi rękami, aż się stanie to co się przewiduje, nie ostrzegać, nie uprzedzać, nie bronić się jak i dopóki można? To niepodobna. Ale co robić? Nie pomogły żadne słowa choćby najrozumniejsze i najwymowniejsze. Nie pomogły wymowniejsze i poważniejsze nad wszystko lekcye historii i doświadczenia. Cóż pomoże? Może ironija? broń to nieprzyjemnaj bo niska i godząca w niższe części ludzkiej natury i duszy, w miłość własną. Ale kiedy rozum i sumienie słyszeć i rozumieć nie chciały przez miłość własną, jak najczęściej, zagłuszone, to nie pozostaje nic, tylko w nią ugodzić i zabić jé i ludzkie wysokie o niéj rozumienie: a prócz tego obnażyć ją z tych wszystkich szat i przyborów w które się stroi, i zawstydzoną w tej nagości pokazać.

Przegląd zaczął wydawać *Tekę Stańczyka*. Kiedy zaczął sam nie wiedział, że podejmuje dzieło tak znaczące i skuteczne. Doniosłość jego poznał dopiero z wrażenia jakie spr-

wił. Wszystkie nożyce odezwały się naraz przerażającym, odurzającym, a może i trochę przecież oburzającym chórem, i nam redaktorom *Przeglądu*, i wszystkim do nas przekonaniami zbliżonym nadały we wspaniałej pogardzie swojej nazwę *Stańczyków*. Nazwę przyjęliśmy chętnie, nawet wdzięcznie, wiedząc z historyi, że przydomek dany w gniewie przez przeciwnika na wzgardę i urągowisko, staje się czasem tytułem chwały. Na śmiech przecież dano Holendrom pogardliwe w myśli dających a chwalebne na prawdę miano *des Gueux*. Nie porównujemy naszych małych rzeczy z tamtymi wielkimi, jednak wyznajemy szczerze, ta nazwa była nam miłą. Przypadkiem i niechcący przeciwnicy dali nam chrzest i imię jako stronnictwu. A nie tyle cieszyliśmy się z tego, że nam się to dostało, ile z tego, że tym razem może, jak nieraz przedtem, nadane imię nada spójność, całość, indywidualność, jednakim ale rozproszonym pojęciom i usiłowaniom, że da nietylko nazwę i sankcyę ale i rzeczywistą organizacyę stronnictwu: że po jednej stronie, nie pod naszym przewodnictwem ale za naszym po części pośrednictwem, zbiorą się w kupę wszyscy którzy rok 63 mają za największą klęskę porozbiorowej Polski i od klęsk podobnych na przyszłość chcą ją zabezpieczyć, po drugiej ci znowu, którzy w nim i w jego skutkach złego widzieć, raczćj przyznać nie chcą, bo wtedy musieliby widzieć i przyznać, że sami źle zrobili. Co o nas mówiono i pisano? mniejsza, wyliczać za długo, pamiętać i nie należy, i nie warto. Zdrada ojczyzny ozdobiona wszystkimi agrementami nieludzkości i wszelakięj podłości, oto krótka treść zarzutów. Co zaś *Stańczyk* zrobił, a przynajmniej chciał zrobić? Upomnieć patryotyzm lekkomyślny, który chcąc dobrze dobrze myśleć i działać nie umie: opamiętać patryotyzm sentymentalny, dziecinny, który pozór bierze za rzecz a frazes za czyn, wreszcie odsłonić patryotyzm fałszywy, faryzejski, któremu ojczyzna służy za pretekst, a celem mniej lub więcej świadomym jest zawsze *ja* tego lub owego człowieka.

Kiedy zaś obelg i oszczerstw nabierało się tyle, że czuliśmy potrzebę otrząść się jak koń kiedy go muchy obsiedą, dodał *Przegląd* do wszystkich swoich zbrodni jedną jeszcze, powtórzył na nowo, głośno i otwarcie, że rok 1863ci i każde powstanie bez warunków zwycięztwa, uważa za nieszczęście

i za grzech przeciw ojczyźnie, i wytłomaczył dla czego je tak uważa. Stało się to w artykule o *Sumiennosci Dzienników i Dziennikarzy*.

Czy plewając kłakol nie wyrwał *Przegląd* i pszenicy? czy używając niemieckiego wyrażenia, wylewając kąpiel i dziecka z nią nie wyrzucił, a powstając na hypokryzyę patryotyzmu nie zgorszył kogo, nie naruszył w nim patryotyzmu samego, myśli ofiary i przyszłości? Wiemy że szyderstwo Stańczyka bolało nawet ludzi poważnych i rozumnych, i niespokojnie braliśmy teraz do ręki te karty, z obawą czy tego grzechu na sumieniu nie mamy. Nie, i nie. Po latach, z głową wychłodłą i sercem wolném od namiętności, mamy przekonanie, że kto bez uprzedzenia Stańczyka przeczyta a rozumnie czytać umie, ten myśl jego rozpozna łatwo i od razu, ten odróżni na pierwszy rzut oka do czego odnosi się jego ironia i (powiedzmy otwarcie) jego pogarda, a gdzie powyżej tego wszystkiego jest jego miłość, jego cześć, jego serdeczne żale i jego pragnienia. Gdyby zaś *Teka* sama mogła jeszcze nie być komu zupełnie jasną i potrzebowała korektywu, komentarza, to ten zupełnie jest zrozumiały i stanowisko *Przeglądu* jasno tłomaczący, w artykule o *Sumiennosci Dzienników*. Ktoby jeszcze myślał i wierzył, że ojczyzny, walk o nią i ofiar dla niej szanować i kochać nie umiemy, ten niech go sobie przeczytać raczy.

A w tej sprawie, wspominamy z wdzięcznością i chlubą nie byliśmy sami. Poparci odważnie, po rycersku i po przyjacielsku przez *Czas*, znaleźliśmy poparcie u wielu, tak że przez chwilę jakąś zdawać nam się mogło, iż przyjdzie do połączenia i zjednoczenia usiłowań ludzi połączonych zasadami i przekonaniami. Tego skutku nie było: ale czy nie było żadnego po *Tece Stańczyka*? może to zarozumiałe złudzenie ale nie przyznając w tém sobie zasługi możemy powiedzieć, iż zdaje nam się, jakoby od tego czasu patryotyczny frazes bez myśli i treści był nieco przycichł, jakoby agitacye i demonstracye powtarzały się rzadziej, jakoby kluby i stowarzyszenia nie odgrażały się sejmom i nie powoływały ich przed swój sąd, i jakoby znana teoria znanego niegdyś Mierosławskiego o nieprzerwalności powstania i jego peryodyczném powtarzaniu (*Ce sera à recommencer*), od owego czasu po raz

pierwszy była się odezwała w tym roku dopiero z okazji rocznicy *szczęśliwego* powstania z roku 1863.

Ten rok 1869 był ważnym dla naszego Przeglądu. Naprzód przez *Stańczyka* podniósł jego znaczenie: u niektórych jego poważanie, u innych jego nienawiść. Ale zarazem przyniósł mu i znaczne szkody. Z trzech głównych jego redaktorów dwóch powołano do innego zajęcia, ważniejszego, a jeżeli dla nich było to szczęściem, to dla pisma było stratą, bo obowiązki profesorskie nie pozwalały im poświęcić Przeglądowi tyle czasu, uwagi i pracy, ile mu dać mogli przedtem. Nastąpiło też pewne osłabienie w piśmie, które dobrze widzimy i przyznajemy: nieszczęśliwe dla niego w chwili właśnie kiedy tak wzrastająca jego niepopularność jak i wzrastający wpływ, nakazywały właśnie wyteżyc wszystkie siły, żeby je zrobić coraz lepszym, coraz bardziej zajmującym, coraz potrzebniejszym. Ayło przeciwnie. Naprzód po zajęciu jakie obudził był *Stańczyk*, rozprawy naukowe lub literackie, z bieżącym życiem mniej związane, musiały wydawać się blado, a pismo któremu właściwi współpracownicy nie mogli już całej swojej pracy poświęcać, musiało i pomijać wiele rzeczy o których mówić mu należało i w wyborze artykułów być mniej trudnym.

I tu nasuwają nam się różne słuszne zarzuty które nam czyniono. Naprzód ten że kwestyj bieżących, w danej chwili żywo publiczność obchodzących, politycznych zdarzeń lub literackich nowości, nie traktowaliśmy ani dosyć na ilość ani dość gruntownie na jakość. Pismo miesięczne powinno wiedzieć co w przeciągu kilku najbliższych miesięcy stało się lub wyszło najciekawszego, i o tém mówić, powinno zawczasu starać się o artykuły w takich materyach, zamawiać je u piszących, i zawsze ich czytelnikom dostarczać: wtedy będzie i zajmującym i potrzebnym, a przez to znowu stanie się ważnym i wpływowym. Prawda niestety, wszystko prawda, pismo tak robić powinno, tylko nie zawsze robić tak może. Jeżeli własni redaktorowie niem wyłącznie zajmować się nie mogą, jeżeli u innych piszących nie ma dość łask, żeby w niem prace swoje ogłaszać lubili, jeżeli wreszcie nie jest dość bogatym żeby artykuły hojnie płacić mogło, rzecz prosta, że nie może zamawiać wtedy artykułów jakieby mieć chciało, ale musi ogłaszać te które ma. A my, choć ograniczeni na małą liczbę piszą-

cych, miewaliśmy prace o kwestyach bieżących, i prace, których zachwalać nie chcemy, ale o których wolno nam powiedzieć choć tyle, że złe nie były. Nie mówiąc o tych, które mówiły o kwestyach zbyt specjalnych, jak Gmina, Szkoła, Dzielenie Gruntów, Propinacya lub Hypoteka, przypominamy z wewnętrznych niektóre artykuły o Rusi: z szerszego zaś zakresu *Północny Związek Niemiecki*, *Listy z Francyi o Francyi*, po wojnie *Notatki z podróży* p. Klaczki i dla nas napisany przez bardzo znanego francuzkiego pisarza p. Sorel artykuł o powodach upadku pana Thiersa. *Listy z Pesztu*, z *Pragi*, wszystkie to były takie przedmioty z bieżącej historii, na czasie zajmujące i potrzebne. Albo powieści? Ile razy naprzykład staraliśmy się o nie, wiedząc że to potrzebna ozdoba i że nam brak jój abonenci zarzucają. Ale zkad ich wziąć niestety? Jest prawda kilka fabryk, w których gotowych powieści zawsze dostanie, ale do tych fabrycznych wyrobów mieliśmy nieco wstrętu, a sądziliśmy że i nasi czytelnicy nie bardzo ich łakną. Pragnęliśmy takich, a nasi czytelnicy zapewne także, które stawiałyby jakiś nowo dostrzeżony lub nowo obrobiony problemat psychologiczny czy też towarzyski lub społeczny stosunek, a nie były mechaniczném tylko przerobieniem, przeżuciem, rzeczy sto razy już napisanych. A o takie, napisane z prawdziwą intelligencyą, z artystycznym zmysłem, jakże trudno! Jednak udało nam się znaleźć je niekiedy. Na brak zaś powieści próbowaliśmy radzić sobie jak się dało, zapiskami z podróży, lżejszemi anegdotycznemi epizodami z historii: ale żebyśmy zawsze byli dawali rzeczy zabawne, tém pochwalić się nie możemy. Na to by zawsze było pełném rzeczy zajmujących, musi pismo być bogatém, czyli musi mieć dużo prenumeratorów: na to zaś by ich miało dużo musi z góry przynęcać ich dobrymi i zajmującemi pracami których bez nich zamówić i dostać nie może. Jest to błędne koło, w którem się kręcimy, a wyjścia znaleźć nie umiemy.

Zarzut drugi, jaki nam robiono i także słusznie, to, że na *Przegląd Polski* pisaliśmy zamało o Królestwie, Wielkopolsce i krajach Zabrzanych, a tylko o Galicyi samój. Uznając fakt z żalem i pokorą znowu do winy przyznać się nie możemy. Usiłowania nasze w tym kierunku były rzecz możemy śmiało, nieprzerwane przez całe te lat dziesięć: skutek ich był

bardzo przerywany, sporadyczny. Udało nam się kilka razy dostać (o Królestwie mianowicie) rzeczy pisane na miejscu i z dokładną znajomością stosunków, lub autentyczne i nauczające korespondencye z Poznania. Ale było ich mało. U siebie w redakcyi nie cbcieliśmy artykułów takich układać, chyba, że chodziło o streszczenie jakiejś większej grupy faktów już powszechnie znanych (jak naprzykład o Rządzie Pruskim i o Kardynale Prymasie). Dostawać zaś informacje częste i ciągłe czy z Warszawy czy z Prowincyi jest niezmiernie trudno. Brukową korespondencyę bez wartości i bez ważnych informacji lub spostrzeżeń dostać można. Ale ludzie, którzy wiele wiedzą i dobrze sądzą, pisywać nie mogą, nie mogą narażać siebie i dobrego jakie tem robią na skutki jakieby nie wątpliwie pociągnęło za sobą wykrycie ich stosunku z polskimi pismami w Galicyi. Nawet prosić ich o to nie ma się odwagi. A ztąd wynikło, że nie chcąc podawać czytelnikom rzeczy oklepanych i nie znaczących, a prawdziwie dobrych dawać im często nie mogąc, woleliśmy dawać rzadko i mało, ale to co wiedzieliśmy że było prawdziwem i dobrem. Często zaś z umysłu nie chcieliśmy mówić o sprawach Królestwa i krajów zabranych, bo wiedzieliśmy z praktyki, że głosy dziennikarstwa polskiego po za granicami państwa rossyjskiego, często zwracały na siebie uwagę rządu, skłaniały go do wprowadzenia lub przyspieszenia zmian uznanych tu za zgubne, do wstrzymania tych które witane były jako pomyślne. Ostrzegali o tém wielce, ostrożność i milczenie zalecali jako obowiązek, najpoważniejsi nawet z tych którzy mają prawo przepisywać nam jak o ich sprawach mówić mamy, z mieszkańców czy Królestwa czy Litwy czy Rusi. Nigdy więc przez niepamięć i niedbałość, nie zawsze przez niemożność, czasem i przez rozum i przez sumienie, przez wzgląd, żeby nie zaszkodzić, milczeliśmy o Rosyi i o losach polskich krajów pod jój panowaniem.

Ale myliłby się, ktoby sądził, że te rzeczy były powodem naszych niepowodzeń, lub że one przeszkadzały nam do rozwinięcia naszego pisma. Zebrać siły dostateczne, aby odpowiadały wymaganiom pisma miesięcznego zakroju Przeglądu, siły tchnące jednym duchem w artykule politycznym jak w literackich, w powieści czy w historycznym zarysie — na to potrzeba było zwycięstwa odniesionego w imię tych prawd,

któreśmy bronili! a my walczyliśmy i walczymy w zastępie, nie-mnożącym się wcale. To, cośmy przedewszystkiem jako cel nasz uważali, to, czegośmy jako chorągwi odstąpić nie mogli, owa chęć mówienia społeczeństwu, czego mu albo nie powiedziano, albo mówiono tylko półgębkiem i nieśmiało — nie bywało zaiste zachęcającem dla sił młodszych, aby stawały w naszych szeregach dla starszych, aby się łączyły na niewygodach naszej kampanii. Wielkie koryto bieżącej literatury naszej płynie zawsze jeszcze konwencyonalnym fałszem i pochlebianiem znarowionemu gustowi publiczności — a ta publiczność przełknie, jak tego tylekroć dawała dowód, zgubną doktrynę byle ocukrzoną patryotycznym frazesem, ale zakrztać się zawsze, ilekroć się jęć poda gorzką i smutną prawdę. Więc też nieliczni byli ci, którzy zgłaszali się do nas i chcieli wytrwać z nami, tém dla nas zaiste miłsi, że niewahali się na guzy razem z nami... ale nie mogący nam dać tyle pomocy — wystawić ile jęć pismo wymagało... Wszakże dosyć było umieścić u nas artykuł, aby uleść albo — zamilczeniu, albo sponiewieraniu przez dzienniki: wszakże niejedna rzecz, odróżniająca się głębokością w pojęciach od powodzi drukowanych komunałów w poezyi i prozie, ginęła w łamach Przeglądu bez reklamy dla autora, gdy największe nędze literackie urastały do wielkości w towarzystwach wzajemnej admiracyi nieprzyjaznych nam dzienników!

Dodawszy do tego dwa zarzuty, z których już ani brakiem sił, ani brakiem czasu, ani brakiem pieniędzy, a więc niczém wytłumaczyć się nie możemy, to jest, że zeszyty nasze prawie nigdy w terminie nie wychodziły, a korekta w nich była najczęściej zła, wyczerpie się podobno listę „grzechów naszego żywota“, nie mówiąc naturalnie o tych ciężkich które zarzucano nam niesłusznie.

A tu niech nam wolno będzie wspomnieć o jednym. Z jednej strony nazywano nas zdrajcami, arystokratami i ultramontanami. Z drugiej patrzano na nas podejrzliwie jako na wątpliwych katolików. Słowo więc o tem. Wyznajemy zupełnie że w pierwszych latach istnienia *Przeglądu* uważaliśmy wszelkie ostre i gwałtowne występowanie w rzeczach religijnych za szkodliwe i niebezpieczne, bo za mogące wywołać religijną kwestyę, której podówczas jeszcze u nas nie było, a wyzna-

jemy że i dziś pomimo dzienników bezwyznaniowych i pomimo że w społeczeństwie samem jest wiele pod tym względem złego, nie zdaje nam się jakoby po za temi dziennikami, w kraju samym, było przeczenie katolickiej wiary. Boimy się zaś że nieogłędna i namiętna gorliwość katolików mogłaby tę obojętność dzisiejszą, której nie bronimy wcale, zamienić nie w większą gorliwość ale w zupełną bezwyznaniowość. Dla tego spokojność łagodność i takt, wydają nam się dziś, jak wydawały się przed dziesięciu laty koniecznemi, nie dla tego żebyśmy zbyt umiarkowanymi byli, ale właśnie dla tego że nimi nie jesteśmy. Może to pojęcie interesów i potrzeb kościoła polskiego i powszechnego w Polsce jest mylne, ale w każdym razie nie w obojętności ma ono swoje źródło.

Nie będziemy wspominać co Przegląd myślał i pisał podczas wszystkich zakrętów i wykrętów jakie na drodze swojej spotykała sprawa uregulowania stosunku Prowincyi naszej do Państwa. Myślał, pisał, zawsze to samo, przestrzegał przed zerwaniem, przed abstencyą, przewidywał *Nothwahlgesetz*, skutku sprawiał mało, oto jego historia. Wolimy przypomnieć sobie inną jego kartę, o której zawsze nie bez dumy myślimy, o jego kronikach politycznych podczas wojny francuzkiej. W tem nieszczęściu całego świata, w tem zawałeniu się Europy, nie zdarzyło nam się czytać — (godzi się to powiedzieć o tem co nie nasze) — nie zdarzyło nam się czytać nic coby na razie tak było bystro powody nieszczęścia przejrzało i określiło, a tak trafnie wzrokiem, tak głęboko uczuciem objęło jego skutki. Po jakimś czasie, po namyśle, po pracy i wykryciu wielu źródeł, wyszły rzeczy obszerniejsze, bardziej nauczające, może i świetniejsze. Ale na razie nie przypominamy sobie nic w publicystyce europejskiej tak świetnego o Sedanie i upadku cesarstwa, jak p. Stanisława Koźmiana kronika z września i października roku 1870.

A kiedy to nieszczęście już się dokonało, kiedy król Pruski został Panem Europy, a żywioł niemiecki Panem Austrii, znalazły się i te nieskończone małe jednostki, i pisma peryodyczne w Galicyi w położeniu zupełnie odmiennem. Co miały robić, czego pragnąć, do czego dążyć, o czem mówić! O Polsce, jej sprawie, jej polityce i jej potrzebach? chyba mówić do Boga w modlitwie, bo na ziemi nikt tego nie słucha.

Finis Poloniae mówi Rosya i Prusy, a wtóruje Francya Anglia, i cała Europa. O Galicyi i jej stanowisku w Austrii? To stanowisko było z góry i na długo skazanem na to iżby było takim jak zechce dziennikarstwo wiedeńskie i lewica w Radzie Państwa, a Galicya ich woli swoją nie przełamie. Cóż więc pozostało do robienia ludziom a pismom do mówienia? Nic: tylko ten ciasny i mały a przecież tak ważny i wielki zakres wewnętrznych domowych spraw kraju, i większy od niego, największy ze wszystkich, zakres moralnego podniesienia własnego, ten zakres jedyny w którym zawsze działać i zdziałać coś można, w którym kraj i naród każdy jest zawsze swobodnym zawsze niepodległym, bo na tem polu nikt i nic nigdy przeszkodzić mu nie może. Potrzeba tylko dobrze czuć, i chcieć.

Pomiędzy temi zaś oznakami złego które nas o przyszłość kraju, o jego godność, o jego stan moralny i moralny zmysł trwożyły najbardziej, było, na pierwszym może miejscu, dziennikarstwo bez zasad politycznych i bez zasad moralnych, wywierające trwale bo przez cały szereg lat wpływ silny, a rzec można jedyny, na opinię powszechną. Co się stanie z wszelkiem działaniem politycznem jeżeli ono zależnem będzie od tego co powiedzą ludzie na prawdę nie mający politycznego taktu, tylko bystry instynkt konserwacyi i popularności własnej, ani politycznego programu i celu prócz wziętości dla swego dziennika a przez to dobrego interesu dla siebie? Co się stanie z rozumem i ze zmysłem politycznym kraju, jeżeli wychowany w takiej szkole co dnia będzie słyszał co innego, a nieszczęściem i czego innego słuchał? Co się stanie z jego pocuciem złego i dobrego, godziwości i niegodziwości, honoru i nikczemności, jeżeli karmiony codziennie kłamstwem, potwarzą, skandalem, tak do nich przywyknie, że w nich w końcu smakować zacznie? Co się stanie wreszcie z jego godnością i szcunkiem siebie samego jeżeli dalej będzie otwierał przystęp do swego ucha i rozumu, do swego postanowienia i postępowania, ludziom, których nie szanuje, o których mówi to sam otwarcie i przy każdej sposobności, a przecież pozwala im mówić o wszystkich sprawach ojczyzny, pozwala im na nie wpływać, przyjmuje ich insynuacje, zważa na ich sądy, i swoje na tych wyrabia?

Obawy te trapiły nas dawno. Nie dlatego, że dzienniki te i przeciw nam także wojowały oszczerstwem i kłamstwem, i nie od tego dopiero czasu: rzeczy to dawne, a im dłuższe tem gorsze. Próbowaliśmy raz na nie uderzyć, odsłonić sumienność dzienników i dziennikarzy, bez skutku. Może dla tego, myśleliśmy, że głos nasz ówczesny jako w obronie własnej podniesiony, mógł się wydawać uprzedzonym, stronnictwem, zatem nie dość wiarogodnym. Ale niebawem zaszły fakta, które wartość naszych organów Opinii wystawiły w jasnym i jaskrawym świetle: proces, w którym jedna strona oskarżała drugą o przekupstwo, a tamta odpowiadała oskarżeniem o prostą kradzież, w końcu zaś obie od skarg odstąpiły z obawy, jak mówiono, żeby zarzucane sobie nawzajem uczynki nie dowiodły się zbyt jasno i wyraźnie. Nam wydawało się to okropnem żeby ludzie którzy z zarzutów takich oczyścić się nie umieją, mogli choćby udawać tylko reprezentantów, ba kierowników polskiej opinii: okropniejszem to, że w takiej chwili, w obec tej oczywistej hańby, opinia ta nie wyparła się ich odrazu, ale dalej pozwalała im w imię swoje przemawiać, reprezentować się, i kierować. I zdawało nam się, że jeżeli co, tedy fakt taki, albo już nie na świecie, zdoła otworzyć jej oczy i zmusić niejako do lepszego szanowania i siebie samej i zwłaszcza sprawy której nie czyste ręce dotyczyć, o której skalane usta przemawiać nie powinny. I odezwaliliśmy się wtedy do Królowej Opinii z gorącą prośbą, żeby tych faworytów swoich odprawiła, z nimi się nie prostytuowała, ale żeby godności swej pamiętna zachowywała się poważnie jak przystoi tym co królować mają ochotę i roszczać sobie prawo. Jaki był skutek? Dla nas nawał, chór, gwar oklasków, powinszowań i podziękowań, sukces literacki (ostatni któregośmy pragnęli) większy nad zasługę. Ale faworyci faworytami zostali: te przyjemne grzeszki które jeden drugiemu wyrzucał, do których się jeden i drugi przyznawał, musiały chyba dodać im wdzięku w oczach królowej, bo zostawiła ich dalej na straży swojego honoru i dobra. Nikt ich nie odstąpił, nikt ich się nie wyparł, nikt im nie usunął ręki ani nawet surowego oblicza nie pokazał. Postąpiliśmy bardzo nieczęście. Potem hin podsuwał, dostarczał, protegował Łanskojów, Jermołowów i Momonowów, i nigdy też mądry łask Pani nie stracił. My żądaliśmy od Kata-

rzyny żeby była wzniosłą Jadwigą, a przynajmniej poważną i godną Anną Jagiellonką. Oczywiście nie mogliśmy osiągnąć nic prócz nienawiści i zemsty tryumfujących faworytów.

I znowu byliśmy pobici.

Że jednak człowiek tylko za swoją wolę i usiłowanie odpowiada nie za ich skutek, więc postępek ten musimy policzyć między zasługi *Przeglądu*. Czy miał on jeszcze jakie inne? Miał zawsze stateczną wierność swoim zasadom, ale czynnie występował już mało, bo w dzisiejszem położeniu Austrii czynność Galicyi musi być ograniczoną do spraw wewnętrznych a na zewnątrz być odporną tylko. na inicjatywę dla niej jedna pora już przeszła, a druga jeszcze nie nadeszła. Jedno chyba przyznać sobie możemy to, że wierność nasza we wszystkim stateczna, w jednym kierunku stała się gorliwszą i czynniejszą. Kiedy walka religijna wybuchła wściekle, wprowadzie nie między nami jeszcze, ale w całej Europie mniej lub więcej od Niemiec zależnej, kiedy ciosy swoje najpierwsze i najgwałtowniejsze wymierzyła na kraj i lud polski, kiedy rzeczy stanęły tak, że wybór jest między Papieżem a Bismarkiem, kościołem rzymskim a pruskim, katolickim i powszechnym, a rządowym i policyjnym, kiedy rozwinęła się tak szybko i gwałtownie, że wyglądać można lada dzień nowej zmiany, nowej konieczności wyboru pomiędzy religią jakąś a żadną, Bogiem a niczem, nasze katolickie przekonania stwierdziły się wyraźniej, a stwierdzając się utwierdziły się też silniej. Wprawdzie w tym stanie rzeczy pisalibyśmy w duchu katolickim nawet gdybyśmy katolikami nie byli, z mocy naszego uczucia polskiego, z mocy instynktu konserwacyi własnej, i tego zmysłu politycznego, który uczy, że nieprzyjaciół naszego nieprzyjaciół jest naszym przyjacielem, i nie pojmujemy doprawdy tych dzienników polskich, których uczucie patryotyczne nie ostrzega, że występując z nienawiścią jawną czy ukrytą do kościoła, ciągną wodę na pruskie i rosyjskie młyny i pomódz mogą do zmielenia polskiej duszy. Dla nas rzecz jest jasna. Politycznie tylko przy sprawie obchodzącej świat cały, przy wielkiej sprawie katolickiej, sprawa polska wypłynąć może z tej bezdenności, która ją pochłania i utrzymać się na powierzchni wód: duchowo utrzymać się i dźwignąć może tylko strzegąc pilnie swojej duszy, którą cudownie prawie przez wiek cały do-

chowała. Duszę zaś trzyma i krzepi tylko Bóg, i puścić ją może kiedy ona powie sobie i Jemu, że tej podpory, tego po-krzepienia nie chce i nie potrzebuje. Połączenie sprawy polskiej z katolicką, w teoryi powtarzane u nas do znudzenia, w praktyce mało i rzadko dokonywane, objawiło się w tych ostatnich latach jaśniej i wyraźniej niż kiedykolwiek w Poznańskim i Podlaskiem prześladowaniu, objawiło się jak żeby na ostatnie upomnienie, jak żeby sam Pan Bóg mówił: „teraz którzy z Polaków mają oczy niech patrzą, którzy mają uszy niech słuchają, a którzy *intellectum habent, intelligant*“.

W przyjęciu, przechowaniu, zastosowaniu natchnień tej wielkiej wskazówki Opatrzności Bożej widząc *conditio sine qua non* naszego życia i odrodzenia, widzimy też w nich jedno najczystsze źródło więcej patryotycznego działania wszędzie, w rzeczach wielkich i małych, w małym świecie rodziny i w wielkim świecie społeczeństwa, dla utrzymania i szerzenia narodowości, prześladowanej wraz z kościołem i wraz z kościołem liczącej na zwycięstwo, które w końcu odnieść musi przechowana tradycja prawd chrześcijańskich. Liczymy, że odwaga wyznawstwa da i tę poradność wyznawstwa, która podkopała pogaństwo starożytne i nowożytne podkopie, która nie lekceważy siły przeciwnika i nieczamyla się przed nią w asce-tycznej pogardzie, ale wychodzi śmiało na plac boju i przejmuje wszystko: co dobre u przeciwników, co daje siły i zasoby moralne, liczymy i na to, że budujące i świetne wyznawstwo jednych, da drugim ten *intellectus*, to zrozumienie położenia, którego dla siebie i dla wszystkich pragniemy tem goręcej, że go dotąd w Polsce nie dosyć widzimy. W tym duchu pisał *Przegląd* parę razy o sprawach prześladowanego kościoła. A mało miał w swoim życiu chwil tak szczęśliwych, jak kiedy mógł to połączenie widzieć i pokazać, własne sądy prostować, uprzedzenia odrzucać, ludzi i rzeczy widzieć wprawdziwszem, w najprawdziwszem i najlepszem świetle, i czołem uderzyć tam gdzie niedawno jeszcze przyganiał. Robiąc teraz nasz rachunek sumienia z zeszytów naszych lat dziesięciu, znaleźliśmy w nich nie jedno słowo ostre i namiętne o kardynale Prymasie Ledóchowskim. Usprawiedliwiać się nie chcemy, a odwoływać zbyt często, bo nikt nas nie posądzi żebyśmy dziś podobnie myśleli. Powiedzmy więc tylko że Jego postać

i postawa w obec prześladowczych rządów wydaje nam się największym tryumfem naszej zasady i sprawy, jedynym może tryumfem rzeczywistym, dotykającym jaki one w tych latach na polskiej ziemi odniosły.

Stan religijny narodu, jego stanu moralnego blizki a od tamtego wyższy bo obejmujący go w sobie stosunkiem zależności, najobszerniejsze dla nas pole życia i walki, a jedynym na którym dziś niektóre części Polski żyją zupełnie i walczą mężnie, i nasz do niego stosunek, niech zamyka ten przegląd naszych usiłowań. Chronologicznie nawet nic się w naszym piśmie od tego czasu ważnego nie stało i nic nie zmieniło.

Prawda, było jeszcze jedno przejście, bolesne bardzo, które nas poróżniło ze wszystkimi. To niżej podpisanego artykuł o *Porocyach* i jego skutki, gniew i zaprzeczenie całego kraju. W dziejach naszego pisma była to chwila jedna z najważniejszych, zatem dla samej historycznej dokładności wypadłoby ją przypomnieć. Ale jest jeden któremu nie wypada, który nie może, o tej sprawie mówić, bo był sam jej przedmiotem, to autor owego artykułu. Jako świadek byłby podejrzanym, instygatorem być nie może, sędzią nie powinien, adwokatem oskarżonego być nie chce, i zrzeka się obrony, z prawa appellacyi użytku nie robi, zachowując sobie tylko nadzieję, że kiedyś jakiś sąd kassacyjny zmieni dobrowolnie wyrok pierwszej instancyi. Pytano nas czy wspomnimy o tem zajściu choćby tyle ile potrzeba by pokazać jak u nas jeszcze daleko do solidarności w postępowaniu między ludźmi, skoro w tak trudnem i ważnem przejściu ona się nie objawiła? Nie: tego jakoby opuszczenia nas przez politycznych i osobistych przyjaciół, nie pamiętamy. Pamiętamy tylko, że mieliśmy dowody przyjaźni jawne, głośne, połączone z trudną ofiarą, od nieznanych i mało znanych, i od niektórych pism publicznych, a tego dobrego uczynku jednym nie zapomnimy nigdy.

A teraz dosyć: niech o tem mówi kto chce, tylko nie my.

Ale to wydarzenie wpłynęło znowu na losy i dzieje Przeglądu i wywołało w nich jeszcze jeden zwrot, ostatni. W tem rozdrażnieniu jakie przeciw nam panowało baliśmy się nawet mówić o bieżących krajowych sprawach, żeby głosem naszym nie przeszkodzić w opinii temu, czemu chcielibyśmy pomódz.

Milczenie absolutne jest oczywiście niepodobieństwem, ale nakazaliśmy sobie mówić o Galicyi i jej sprawach jak można najmniej. Stanowisko takie jednak długo utrzymać się nie da, i w ostatecznej konsekwencji swojej prowadzi do absurdu, albo do zaprzestania wydawnictwa.

Pismo Polskie, które przez granice rosyjskie nie przechodzi, które w Wielkopolsce wprawdzie czytanem bywā, ale nią głównie zajmować się nie może, które wychodzi w Galicyi i przede wszystkim dla niej, i ją głównie musi mieć na uwadze bo w niej choć się nie skupia ale jest jakieś polityczne działanie polskie, pismo takie któreby o Galicyi i jej sprawach milczało, straciłoby wszelką rację bytu. Zadawaliśmy też sobie pytanie czy ją mamy? czy tysiącę względów nie nakazywałoby nam raczej dać pokój i zamiast nowego zeszytu wydać oświadczenie że *Przegląd Polski* wychodzić przestał? Istotnie, pismo które przez dziesięć lat nie zdołało stać się potrzebnem, które zdobyło sobie czytelników i przyjaciół tak mało, że o własnych siłach stać ledwo może: którego koło czytelników zatrzymało się na pewnej bardzo skromnej mierze po za którą nigdy się nie rozszerzyło, a w ostatnich czasach jeszcze się ścieśniło, pismo takie musi mieć w sobie jakiś defekt organiczny. Czy są nim małe zdolności redaktorów, czy ich przekonania i dążności, czy ich osoby, nie wiemy, może to wszystko razem, ale coś być musi, bo skoro inne pisma utrzymywać się mogą, to mogłoby i to gdyby przekonaniom i smakowi czytających lepiej odpowiadało. Nie mogąc zaś ani dać sobie większych zdolności, ani zmienić naszych przekonań i osób, widząc że przekonaniom i upodobaniom publiczności nie odpowiadamy i prawdopodobnie już lepiej nie odpowiemy, zastanawialiśmy się bardzo czy nie byłoby lepiej dać wszystkiemu pokój? Pismo nie trzymane i nie czytane nie może mieć wpływu, nie mając go nie może być pożytecznem, nie ma prawa do bytu. Nadto, jeżeli przez dziesięć lat, mówiąc jak umiało najlepiej i jak można najsumienie o ogólnym kierunku narodowej i krajowej polityki i o wszystkich niemal jej szczegółach, nigdy prawie swojego zdania rozpowszechnić i drugim udzielić nie mogło, jeżeli nawet kiedy wytoczyło przed trybunał opinii sprawę dzienników lwowskich, z ich skandalicznym procesem w rękę, nawet wtedy

sprawę przegrało, a skutek pokazał, że publiczność przyznaje słusność *zasadom Dziennika Polskiego i Gazety Narodowej*, i im oddaje swoją ufność i swój szacunek po owym procesie jak przed nim, to rzecz jasna, że pismo to nie potrafi nic zdradzić, nic i nigdy dopomódz do tego co uważa za dobre. Jaki powód tej na nas niełaski? zapytywaliśmy nieraz sami siebie z podziwieniem, z obawą czy przypadkiem nie w nas jest wina. Obraza, oburzenie, tłumaczyłyby tę niechęć w ostatnim roku tylko, i w części publiczności, a ona była dawniejszą, ciągłą, i była (jeżeli nie niechęć to obojętność) powszechniejszą. Nienawiść niektórych rozumiemy łatwo: trudniej obojętność tych, którzy myślą tak jak my. Mówią niektórzy żeśmy byli zbyt surowi, zbyt wymagający, i zbyt hardzi. Surowi? a czyż mamy pobłażać, podchlebiać i głaskać, złe jak się stanie pokrywać milczeniem żeby się rozrosło? czy to przeznaczenie, czy to obowiązek ludzi którzy widzą i w goryczy serc swoich czują, że dziś w Polsce jest źle a chcą żeby było lepiej. Czy mamy się jedni drugich psuć i pieścić jak źli rodzice psują i pieczęcią dzieci, podchlebiać sobie jak dworacy ograniczonym królom aż do dnia kiedy dzieci i rodzice płaczą na te pieszczoty, a król najtępszy spostrzega się w końcu że Państwo stracił bo nigdy prawdy nie widział? Nie... pytaliśmy przed chwilą czy mieliśmy powód i prawo do bytu? Jeżeli żadnego innego to mieliśmy ten jeden bodaj, i tę jedną przed Bogiem i ludźmi zasługę, żeśmy byli surowi.

Hardzi? może szorstcy czasem pod wpływem oburzenia i smutku, ale przynajmniej nie dumni z siebie, nie zarozumiali, nie zakochani w sobie, nie czegokolwiek dla siebie pragnący. Wymagający? to prawda? wymagaliśmy wiele od swoich bo wiele dla nich pragniemy: wymagaliśmy w patriotyzmie rzetelności, w polityce rozumu, w nauce pracy i prawdy, w literaturze piękności, w życiu uczciwości i powagi jeżeli już nie godności i cnoty, a gdyśmy brak której z tych rzeczy widzieli „wnet nam serce jakaś bojaźń brała boża“, bojaźń o przyszłość. Pod jej wpływem narzekaliśmy może gorzko, gromili ostro. Ale dla czego? Bo mamy w sercu wysoki ideał Polski, a w głowie przekonanie że on wtedy tylko się urzeczywistni, kiedy człowiek każdy i czynność każda do niego będzie się dociągać czystością zamiaru i szlachetnością dzia-

łania. Względem Niemców, Amerykanów lub Greków bylibyśmy mniej wymagający, i mniej surowi. Żeśmy tem wymaganiem nie wiele sprawili, to wiemy, ale nie możemy ani go żałować, ani zmienić: ani wreszcie uwierzyć żeby dla niego właśnie *Przegląd* był się stał tak niepopularnym.

Jakkolwiek bądź, bez wpływu, bez czytelników, bez pieniędzy, oszkalowany, oczerniony, oplwany tak że nie zostało na nim jednej suchej nitki, jednego zdrowego nie zranionego nie obitego miejsca, cóż on ma robić? zwiesić głowę chyba, opuścić ręce, i przestać wychodzić? O mało też że nie przestał. Ale nie: wychodzimy i nadal wychodzić chcemy: wychodzimy, bo pamiętamy że główna myśl polityczna którą wyznajemy, związek polityki polskiej z austryacką, żyje jeszcze, a my mogliśmy się przecież do utrzymania tej myśli przyczynić. Wychodzimy, bo mówimy sobie, że jeżeli kraj nie zaszedł dalej na drodze agitacji, demonstracji, i bezwzględnej opozycji, a nie przeszedł na blisko leżącą drogę konspiraeyi, to może przecież po części i naszą także zasługą. Myślimy więc, może mylnie, żeśmy czasem przecie służyli i byli pożyteczni, a przypuszczamy, że w przyszłości jeszcze zdarzyć się mogą chwile w których usługi oddawać i pożytek przynosić bydziemy mogli. Skłania nas prócz tego do wytrwania w przedsięwzięciu względ jeszcze jeden: oto ten, że nad wszystkie niebezpieczne wpływy, nad wszystkie gorszące przykłady, boimy się jednego, zniechęcenia. Ten nietylko na drugich źle działać ale i nas samych mógłby zepsuć: bo kto się w jednym zniechęcić dał, ten pomału może zniechęcić się do wszystkiego, kto raz stracił odwagę i energię i ręce opuścił, ten może przywyknąwszy opuszczać je zawsze i z nich puszczać wszystko, a kto raz dobrowolnie jedną broń złożył, ten może później wszystką rzucić o ziemię. A więc nie: z obawy niebezpiecznego złego wpływu na siebie samych i na drugich, nie ustajemy i wydajemy *Przegląd* dalej. Nadewszystko zaś z jednego powodu. Doraźnego, zupełnego, wielkiego skutku, nie spodziewaliśmy się po nim nigdy, nawet w samych początkach, tem mniej dziś, po tylu latach i tylu doświadczeniach. Dziś wiemy, że co się robi dziś, to nie na dziś, ani na jutro nawet które jest w rękę Prus, Rosyi i prawdopodobnie Rewolucyi, ale na to pojutrze dopiero które jest w rękę Boga, a temu pojutrze

może przecież choć trochę przydać się zdołamy. Na dziś, słudzy i cząstka najmniejsza sprawy przegranej, nie mamy dla siebie innego pragnienia, innej ambicyi, jak z tą sprawą razem *być tą przegraną której cel daleki*, i z nią razem i w niej wygrać choćby po wiekach ale i na wieki: nie mamy innego hasła tylko: „*fais-ce que dois, adviennne que pourra*“.

Dla tego nieczytani, niesłuchani, pozbawieni niby racyi bytu, wychodzimy jeszcze, dla tego pobici zawsze i wszędzie, na całej linii i na wszystkich jej punktach dajemy się bić dalej.

St. Tarnowski.

LIST Z WIELKOPOLSKI.

W końcu maja i w połowie czerwca odbyły się w Poznaniu na wielkiej sali Bazarowej dwa wiece. Zaniepokojeni projektem do prawa o języku urzędowym, zebraliśmy się na dniu 30 maja, aby dać wyraz oburzeniu naszemu. Duchowieństwo i chłopci bardzo licznie się stawili z najodleglejszych kończyn Wielkopolski i Kujaw. Na wiecu tym przemawiali pp. Bukowiecki, Henryk Krzyżanowski, Dr Niegolewski, redaktor Przyjaciela toruńskiego Danielewski, a w końcu chłop Durlak z Twardowa z Paszewskiego. Ile razy mówcy potracili gorącej o stronę narodowych uczuć, tyle razy dwa tysiące słuchaczy głośniami okrzykami okazywało swe zadowolenie. Patrząc na ten zapał ludu, na to gorące przywiązanie do mowy ojczystej - zdawało mi się, że każdy z nich powtarza słowa poety wielkopolskiego:

„Miłą jest obca mowa, lecz miłszą sto razy
W którejm pierwsze w mem życiu usłyszał wyrazy,
Drogą mi ona będzie, a gdy śmierć w mym progu
Stanie, ojczystą mową polece się Bogu.“

Rezultat wiecu jednak nie zadowolnił nikogo. Zwołano go bardzo nagle, nie ułożono odpowiedniego porządku obrad, a na co najgłośniejsza, że nie zredagowano i nieprzedłożono zgromadzeniu petycji czy protestu do Izby Panów, że nie zredagowano adresu do króla i że nie wybrano deputacyi, któraby żałobę narodową zaniósła do tronu. Wygłoszono tylko rezolucyą, że zgromadzeni zgadzają się na obmyślenie nowych środków obrony (to jest na petycyą, adres i deputacyą) i że to wykona jakaś komisya, która wiec urządziła. Biedni wy Kujawiacy od Gopła, coście w liczbie 250, do Poznania przybyli

biedni wy patryoci od granic Brandeburgii i Szlązka, którzy po wiecu dopytywaliście się; „czy to już koniec wieca? gdzie jest protest, którybyśmy podpisali, gdzie są ci, co mają jechać do Berlina? Zamiast tego wszystkiego, kazano Wam przybyć do Poznania, by się Was zapytać, czy się „zgadzacie na obmyślenie nowych środków obrony?“ Zaprawdę, szkoda czasu i tego grosza ciężko zapracowanego, który poświęciliście na podróż. W rzeczy samej, nie było z pomiędzy stu wieców jakie się w Wielkopolsce odbyły, zgromadzenia niedołężniejszego, jakim był ów wiec majowy... Komisya bowiem, która go zwołała, winna była przynajmniej w wilią wieca zwołać wstępne zebranie do Poznania, na niem trzeba było przedłożyć wygotowany porządek obrad, trzeba było przeczytać protest i petycye i poddać je krytyce, a w końcu umówić się co do mówców. Powtarzamy raz jeszcze, że wiec ten był parodią wieca, był exemplum ad oculos, jak *nie trzeba* na przyszłość urządzać zgromadzeń. Zgubne następstwa zaimprovizowanego wieca wkrótce się też pokazały, Komisya cały tydzień układała petycją do Izby Panów i ujęła ją w taką formę, że nikt z Indu jej nie rozumiał. Do jej podpisywania mieliśmy tylko tydzień czasu, w skutek czego zebrało się tylko 150 tysięcy podpisów.

Lepiej urządzonym i obmyślonym był wiec drugi odbyty na tejże sali Bazarowej na dniu 17 czerwca. W dniu tym upłynęło 30 lat, jak Pius IX został obrany kierownikiem łódki Piotra św. Kilku księży i mieszczan poznańskich postanowiło dzień tak ważny uświęcić wiecem, by w Więźniu Watykańskim uczcić i Głowę Kościoła i wielkiego przyjaciela Polski. Wiec bardzo był świetny, bo zgromadziło się 1500 wiernych katolików z miasta i okolicy. Przeczytano najprzód i wysłano telegram do Ojca św. na ręce ks. Kardynała hr. Ledóchowskiego, poczem ks. lic. Chotkowski, znany kaznodzieja Wielkopolski, w porywających słowach roztoczył przed słuchaczami obraz życia Piusa IX. Ks. Dr. Kantecki by zbić zarzuty, jakie liberały poznańscy ciągle powtarzają przeciw Rzymowi, mówił o zasługach, jakie Kościół rzymski położył względem wszystkich ludów, a głównie około Polski. Kiedy wspomniał, że Pius IX ks. Kardynała Ledóchowskiego mianował Kardynałem, zebrani jednogłośnie wydali okrzyk: „Niech żyje nasz Kardynał Prymas!“ Nie pominął mówca i tej okoliczności, jak usilnie starał się Ojciec św. o zachowanie Unii w zaborze moskiewskim, jak światu całemu katolickiemu przypomniał uciśnioną Polskę, kiedy ogłosił świętymi dwóch jej męczenników zamordowanych przez schizmatyków: błogosławionego Andrzeja Bobolę i ś. Józefata Kuncewicza. Wspomniał także mówca i o tem, jak Pius IX opiekuje się w Rzymie seminarjum polskiem. Gdy mówca skończył, odczytano kilkadziesiąt telegramów i listów od osób które przystąpiły do uchwał wieca poznańskiego.

Z Prus Zachodnich redakcyja Przyjaciela (toruńskiego), Przyjaciela ludu (chełmińskiego), z Szląska pruskiego redakcyja Katolika i Moniki drogą telegraficzną oświadczyły solidarność z zasadami, na jakich się wiec oparł. W końcu zebranie uchwaliło:

- 1) że wiernie wytrwa przy Ojcu św. Piusie IX.
- 2) że trwać będzie przy Kościele rzymsko-katolickim, bo tylko na tym fundamencie można wzniesieć gmach lepszej przyszłości.
- 3) że te prawdy obowiązują się głosić słowem, czynem i pismem.
- 4) że wyraża cześć ku swemu Arcybiskupowi ks. Kardynałowi Ledóchowskiemu.

Z okrzykiem na cześć Piusa IX rozeszło się Zgromadzenie. Wiec ten był manifestacją zasad iście katolickich, bez żadnego pokostu liberalnego a był tem bardziej na czasie, że „Niepoprawni“ z obozu liberalnego w ostatnich czasach rzucili rękawicę katolikom, oskarżając ich o secesyję, zdrady, o brak patryotyzmu, wydobywając z arsenału przeszłość starą, zardzewiałą broń przeciw ks. Kardynałowi Ledóchowskiemu... Wiec ten w bengalskiem świetle przedstawił doskonale hypokryzję naszych liberałów, bo mimo hasła: „Naród z Kościołem, Kościół z Narodem“ żaden z nich nie zaszczycił Zgromadzenia swą obecnością. Każdy objaw życia katolickiego, postrachem jest dla nich, a jeśli niekiedy logika wypadków zmusza ich do zawarcia kompromisu z konserwatystami i katolikami, to ta jedność opinii i zasad i tendencyi pozorna tylko: lada okoliczność, najmniejszy wypadek rozrywa sztuczny cement, który chwilowo złączył dwa stronnictwa... Dziwi nas także, dla czego tylko kilku ze szlachty uważało za obowiązek zadokumentować na wiecu swe przekonania katolickie... Zygmunt Krasiński w jednym z swych pięknych poematów powiada, że widział falangę złożoną z szlachty polskiej ciągnącą z podniesionemi szablami „ku kopule Piotra“ jakby na ostrzach wstrzymać chcieli spadające mury; czyżby już w Wielkopolsce zaginęła tradycya takich rycerzy? Nie sądzimy!

Wspomnieliśmy, że do Izby Panów wysłaliśmy petycją w obronie języka ojczystego. 19 czerwca toczyły się tamże obrady w tej sprawie — i jak można było przewidzieć, przeważna większość głosowała za projektem do prawa o języku urzędowym. Z Niemców jedynie baron Senft-Pilsach i Kleist-Roezow oświadczyli się przeciw zmuszaniu ludności polskiej do używania języka obcego w stosunkach z władzami państwowemi. Z naszej strony przemówili pp. hr. Józef Mielżyński i hr. Mieczysław Kwilecki, i dali wyraz oburzeniu, jakim ludność polska jest przejęta z tego powodu. P. Mielżyński powołał się na przyrzeczenia królów pruskich, wedle których za-

pewniono nam poszanowanie mowy ojczystej, jak Fryderyka Wilhelma III, IV i teraźniejszego króla, przypominał Izbie słowa historyka niemieckiego Jana Müllera, który pięknie powiedział, że Pan Bóg dopuścił rozbiór Polski, by tym sposobem doświadczyć, jakimi zasadami moralnemi kierują się monarchowie, ale i te argumenta i piękne, a trafne słowa hr. Kwileckiego nie mogły w większości obudzić uczucia sprawiedliwości i słuszności dla sprawy naszej. Nie ulega wątpliwości, że i monarcha położy swe imię pod ten projekt — a w tej chwili język nasz wskazany będzie na banniczą w sądzie i w stosunkach z innemi organami państwowemi.

Że walka kulturalna wre u nas z całą zaciętością, świadczy o tem proces, jaki wytoczono p. Różańskiemu z Padniewa w sądzie trzemeszeńskim. Było to główną tajemnicą, że na początku tego roku ktoś z Kwieciszewa przesłał list p. Szuszczyńskiemu, kapłanowi apostacie zamieszkałemu z quasi-żoną panną Gajewską w Królewcu, i że w tym liście była suspensa z Rzymu dla odstępcy. P. Szuszczyński list ten przesłał prokuratorowi w Gnieźnie, żądając śledztwa. Dnia 2 czerwca odbył się w tej sprawie termin w Trzemesznie. Z treści oskarżenia okazało się, że p. Różański odebrał list z Rzymu do p. Szuszczyńskiego z poleceniem, aby go w właściwe odesłał miejsce i że teść p. Różańskiego pismo to oddał na pocztę w Kwieciszewie. List przeczytano publicznie na posiedzeniu sądowem; wedle niego p. Szuszczyński za wzięcie ślubu cywilnego; za przejście do obozu starokatolików suspendowany jest ab ordine et beneficio; w przeciągu 60 dni ma złe naprawić i wrócić drogą żalu i pokuty do obowiązków kapłana rzymsko-katolickiego.

Prokuratura upatrzyła czyn karygodny w tem, że p. R. jako człowiek wszechstronnie wykształcony nie mógł *być zwykłym listowym*, ale czyniąc krok ten z pewnością wiedział o treści listu, że zna ustawy najnowsze i że stał się z całą świadomością współnikiem i pomocnikiem we wykonywaniu praw biskupich, chociaż nawet wedle twierdzenia prokuratora Stolica biskupia jest opróżniona. (!) Oskarżonego znakomicie bronił adwokat p. Żółtowski; trafnie bardzo uwydatnił tę okoliczność, że ów corpus delicti z Rzymu pochodzi, a na Stolicę papieską nie masz u nas jeszcze ustaw majowych, dalej, że Papież jako episcopus episcoporum ma jurysdykcją nad całym światem katolickim. Audytoryum było przepełnione członkami wszystkich wyznań i narodowości — i głośno okazywało, że się zgadza na wywody obrońcy, ale innego zdania był sąd, który p. Różańskiego skazał na 3 miesiące więzienia. Oskarżony zapowiedział apelacją do wyższej instancji. P. Różańskiemu, który jest znany w całej Wielkopolsce z zacności, z pracy na polu narodowem i z tego, że jest zdecydowanym

katolikiem, towarzyszą jak największe sympatyje wszystkich uczciwych ludzi. Do uzupełnienia kroniki o Kulturkampfie dodaję jeszcze, że ks. Biskup Janiszewski, który wkrótce opuści więzienie gnieźnieńskie, oskarżony znowu został o udzielenie jakiejś dyspensy — że złożenie go z urzędu biskupiego przez trybunał w Berlinie jest tylko kwestyą czasu. Ks. Steltera proboszcza z Bledzewa za to, że sprzedał swój mająteczek, oskarżył Massenbach administrator rządowy majątku dyecezyalnego, że tym sposobem chciał skrzywdzić jego jako wierzącego. Dla czego ks. Stelter jest dłużnikiem p. Massenbacha? Ot — dla tego, że trzymając się stale zasad kościelnych, nie korespondował z nim, za co miał zapłacić kilkaset talarów grzywien. Egzekucye z tego powodu były bez skutku, ale nie bez skutku było oskarżenie p. Massenbacha, bo ks. Stelter przez sąd apelacyjny w Poznaniu został skazany na *miesięc więzienia*...

Wśród tych utrapień, które z łaski praw majowych jakoby z puszeki Pandory sypią się na nas, tem więcej boli serce, kiedy się widzi, jak księża niektórzy opuszczają znaki kościelne, i chronią się pod egidę państwa. Nowe odstępstwo trzeba nam znowu zapisać na tem miejscu. Na Kujawach pod Kruświcą jest od kilkunastu lat proboszczem w Piaskach ks. Brenk. Kapłan ten już dawniej zajął wątpliwe stanowisko wobec Kościoła, a od czasu, kiedy ks. Kolany przyjął w jego okolicy jedynie z ramienia rządu probostwo, związał z nim stosunki przyjacielskie i często go odwiedzał. Gazeta Toruńska zapytała wskutek tego ks. Brenka, czy uznaje prawa majowe, do czego też ks. Brenk w liście pisanym do redakcyi publicznie się przyznał. Bolesć wielka ogarnęła parafian, którzy wysłali doń deputacyę, by z ust jego własnych dowiedzieć się o jego odstępstwie, a kiedy, niestety, nabrali wszelkiej pewności, oświadczyli mu, że go parafia nie uznaje za swego pasterza i do Kościoła uczęszczać nie będzie! W kilka dni potem w drugie Święto Zielonych Świątek odbył się odpust w Pieraniu, gdzie słynie cudami obraz Matki Boskiej Kujawskiej. Zaproszony przez miejscowego proboszcza ks. Lizaka, przybył tam dotąd ks. Brenk, aby odprawić Summę. Zaledwie przybrany w szaty kapłańskie przystąpił do ołtarza, aby z Sanctissimum procesyę odprawić, przyskoczyło doń kilku z obecnych, pochwyciło go silnie, aby go zaprowadzić do zakrystyi. Tam zażądali, aby postawił Monstrancyą, co też uczynił, ale gdy nie chciał złożyć szat kapłańskich, zdarto je z niego i przemocą wywleczono na cmentarz. Okropna teraz odegrała się scena! Ks. Brenk popychany szedł pomiędzy dwoma szpalerami a uzbrojeni w kije bili go niemi.

— To nie książdz — to zdrajca.

— Zbeszcześcił i znieważył Matkę Boską Kujawską — wołano zewsząd.

— Śmierć mu!...

Wśród największego zamieszania wstępuje na kazalnicę miejscowy proboszcz, aby lud uspokoić. Ktoś z tłumu przerywa mu mowę. Mówca opuszcza ambonę i podobno miał uderzyć w twarz tego, który mu przerwał. Wypadek ten spowodował jeszcze większy tumult. Zamknięto drzwi kościelne, ktoś krzyknął:

— Gore! Ogień... i począł się ścisk wielki, i krzyk i płacz niewypowiedziany. Ks. Lizaka pochwycono także, wywleczono z Kościoła i znieważono go...

— Tyś taki dobry jak Brenk, wołano.

— Ludzi będzie bił po twarzy!...

Ks. Brenk i ks. Lizak wyrwali się w końcu z rąk rozniewnanego tłumu... udali się na probostwo, ale i tam nie byli bezpieczni, bo grad kamieni potrzaskał wszystkie szyby.

Nad wieczorem przybył komisarz policyjny z żandarmami, zabrał zranionego ks. Brenka na wóz i zawiózł go do Piasków.

Wskutek zajść w Pieraniu aresztowano dotychczas kilkanaście osób i osadzono w więzieniu inowrocławskim. Mówią powszechnie, iż gwałtów tych na obu księżach dopuścili się pątnicy z Kongresówki, którzy tłumnie na odpust przybyli.

Na zakończenie donoszę Wam, że p. hr. Plater dyrektor Tellusa (bank ten w r. 1873 upadł i wiele rodzin pogrążył w nędzy) został w ostatnich dniach przez Sąd karny Poznański skazany na dwa lata więzienia i na zapłacenie tysiąca talarów. P. Plater założył apelacyą przeciw temu wyrokowi.

Epsilon.

Przegląd Literacki.

Wspomnienia z Włoch napisał Józef Rogosz. Lwów 1876 w 8ce str. 270.

Literatura skandaliczna o jedną książkę została bogatszą. Jest nią książka p. Rogosza: *Wspomnienia z Włoch*. Co tylko się dało złego powiedzieć o kościele, duchowieństwie, rządach papieżskich, autor uczynił to z amfazą i lubością. Rządy burbońskie dostały także za swoje. Papież i Burboni neapolitańscy tak spodlili Włochy, zabili w nich wszelkie poczucie honoru, obowiązku, moralności, że podczas pobytu szanownego Autora z swoim przyjacielem p. Karolem dwóch tylko honorowych ludzi było na całym półwyspie: *il re galantuomo* i jego minister hr. Cavour, wszystko inne nie warło torby sieczki, nie wyjmując nawet Mazziniego i Garibaldeggo; dwóch tych ostatnich napiętnował także, aby w oczach czytelnika uchodzić za człowieka dalekiego od skrajnych pojęć, a tém samém pozyskać jego zaufanie co do wszystkich opowiedzianych w książce faktów. Autor tak jest skromny, że nigdzie sam nie występuje na pierwszy plan, woli własne swoje przygody, mniejsza o to czy prawdziwe, czy fałszywe, przypisać swemu przyjacielowi podróży, niż sobie. Za Karolem szaleje hrabina Alma, należąca urodzeniem i stosunkami do najwyższej arystokracji w kraju, na Karola piękna Guilletta w napadzie zazdrości rzuca się ze sztyletem i rani go lekko. Ten p. Karol to ideał honoru, taktu i zapału do wszystkiego, co piękne i zacne, jeżeli się kocha, to najczystsza miłością, jeżeli odbywa pojedynek, to o liczbę nieprzyjaciela mu nie chodzi, pięciu, dziesięciu, stu, więcéj nawet przeciwników się nie ulęknie, każdemu kolejno daje satysfakcyę, która się na tém kończy, że albo przeciwnik pokornie żębrze przebaczenia, alboznaczony potężnie, staje się przestrogą dla tych, którzyby Karola jeszcze wyzywać chcieli.

Jeżeli przyzwoitość nie pozwala już siebie w tak piękném świetle przedstawić, niechże to będzie przynajmniej przyjaciel; *dis moi, qui tu hantes, et je te dirai, qui tu es*, powiada przysłowie; jużci przyjaciel Karol tylko podobnego sobie mógł mieć przyjacielem, a domysli się czytelnik, że pan Karol i pan Józef to jedna i tasama osoba, tém lepiej dla przyjaciela pana Karola.

Włosi, według autora, to w czambuł próżniaki, tchórze, fanfaroni i podli; z jakiej przyczyny, powiedzieliśmy to wyżej. Podłość u nich nietylko w krwi, ale i w pojęciach. Na poparcie tego aksjomatu cytuje autor artykuł z prowincjonalnego dziennika, którego redakcyja gorszy się i piorunuje na Austryaków, że jak dzikie bydłęta rzucają się na czworoboki włoskie i takowe rozbijają, natomiast oddane są wielkie pochwały włoskiemu rycerzowi, który bezbronnemu i rannemu Austryakowi nos walecznie odgryzł. Bezstronny i przedmiotowy autor z równą sprawiedliwością opisuje i swoich współrodaków; zdrożności ich popelnione za granicą wiernie podaje, nie powodując się bynajmniej jakimś fałszywym wstydem, lub słabością narodowego uczucia. Przed nim podróżowali w tych stronach dwaj Polacy: jeden udawał księcia, a drugi doktor z profesyi, którego powieści i podróże były przed laty bardzo poszukiwane i czytane, (czemu nie było wypisać nazwiska?) jego sekretarza. Obaj goli, żyli przymysłem. I tak książę zwykle o kilkaset kroków szedł naprzód pieszo, wstępował do chaty, kazał sobie podać butelkę wina, wypijał ją do połowy, a obracając się do właściciela lub do właścicielki, zwykle włościan, mówił: „za mną idzie mój sekretarz, proszę mu dać drugą połowę, on też także zapłaci, bo ja z sobą pieniędzy nie noszę“, tu wychodzącym za nim z chaty, palcem wskazywał nadchodzącego sekretarza, poczem spieszenie się oddał. Sekretarz wypijał drugą połowę, a gdy przyszło płacić, zarzucał właścicielom szalbierstwo, że pragną, aby im za jedną rzecz dwa razy płacić, gdyż książę, pan jego miłościwy, hojnie sam za wszystko płaci, wzywał ich, aby udali się z nim za księciem, a rzecz się cała wyjaśni. Puszczano się więc za uciekającym, lecz ten taki miał charakter w nogach, że go dopędzić nie było można, kończyło się więc na przekleństwach, w czém sekretarz czasami włościanom dopomagał. Na tym jednym rysie nie koniec. Książę pan raz stoczył się z urwiska i wpadł w śnieg po pachy. Sekretarz zamiast go ratować, zaśmiał się tylko i powiedział do błagającego o pomoc: „mam tylko reńskiego w kieszeni, musiałbym się z tobą dzielić, lepiej użyć go całkowicie dla siebie, a ty pomóż sobie jak możesz.“ To powiedziawszy, puścił się do Turynu, nie oglądając się za siebie. Gdy stanął w wymienioném mieście, książę pan już tam był, a co dziwniejsza, czterech przyjął lokai. Jakże się to stało? Przejeżdżał jakiś Anglik, słysząc wołania o pomoc, kazał zatrzymać się powozowi, a dowiedziawszy się, że w niebezpieczeństwie jest książę, napa-

dnięty i zrabowany przez zbójców, nie tylko księcia pana wyratował, ale kilka tysięcy franków pożyczył, które za nadejściem pieniędzy z ojczyzny książę z podziękowaniem obiecał odesłać w miejsce przez Anglika wskazane. W Turynie sekretarz, jak gdyby nigdy nie między nimi nie zaszło, połączył się znowu z pryncypałem i sumiennie dopomógł mu do przetrwonienia pieniędzy angielskich. Prawda, że anegdotka całkiem interesująca? Doktorów piszących powieści i podróże, u nas nie wielu, można się domyśleć łatwo, o kim to mowa, ale zapytałby można, czy to tylko był doktor? W procesie między redaktorem Gazety Narodowej a autorem niniejszej książki, bodaj czy podobnego zarzutu autorowi nie uczyniono? W każdym razie, w kilka lat po tym procesie, mogły u publiczności zatrzeć się pojedyncze epizody, całość pozostała, nie potrzeba było wywoływać wspomnień w tym kierunku; gdyby nawet fakta nie były tesame, to już źle dla autora, że są podobne do zarzutów przed kilku laty mu czynionych.

Inna jest rzecz, jeżeli autor poświęca się dla sprawy, którą reprezentuje, fakta, które miały zajść w Rzymie i Neapolu na prawdziwości nie zyskają, ale stronnictwo byłoby niewdzięczne, gdyby poświęcenia się autora nie uznało. Kto wziął sobie za dewizę: mniejsza o mnie, byle stronnictwo moje tryumfowało, temu zasad odmówić nie podobna. Doktryna może być silną, a że jej wyznawcy są słabi, cóż to doktrynie szkodzić może!

Jakież to są te fakta w Rzymie i Neapolu? Opowiemy je potrosze, autor ręczy za ich prawdziwość, słyszał je od ludzi, których nazywa wiarogodnymi. Że sam jest wiarogodny, któż wątpi!

W Rzymie były drobnostkowe, ustawiczne drażnienia, których autor wprawdzie skreślić nie umie, ale które za to tém gwałtowniej czuje, kiedy aż do tego przychodzi przekonania, że rząd klerykalny, liberalnym być nie może, nie powiada wprawdzie jakiego rodzaju liberalnym, ale od czegoż domysł, rząd klerykalny wydać walki kościołowi nie może, a prawdziwy liberalizm właśnie tu spoczywa. Cóż, czy nie oryginalne i bystre spostrzeżenie? za odkrycie tej prawdy już świat autorowi wiele zawdzięcza.

W Neapolu za to są fakta: W Palermie żyje młoda i cnotliwa para; żona pierwsza piękność palermitańska, a cnotliwa jak ś. p. nieboszczka Lukrecya. Urzędnik policyi zakłada się, że ją mieć będzie w kilka tygodni, zachody daremnę, termin zakładu się zbliża, policyjnik o krok naprzód nie postąpił. Cóż wtedy robi? Podkłada pod łóżko męża pistolet i potem denuncjuje go, o przechowanie broni. Był to w r. 1848, w czasie stanu oblężenia. Pistolet znajdują, mąż nazajutrz ginie na szubienicy, żona dostaje pomieszania zmysłów. Wiarogodność tego faktu nikt nigdy nie stwierdził, ale ludzie wiarogodni tak utrzymują, wątpić zatem trudno, a może ów urzędnik policyjny sam go objawił, będąc człowiekiem liberalnym, a zmuszony tylko okolicznościami służyć despotom. Objawił go, aby cały świat wiedział, do czego

to prowadzą rządy policyjne i despotyczne. Było to z jego strony tym samym aktem poświęcenia, jak poświęcił się autor, opowiadając awantury księcia i doktora.

Drugi fakt gorszy; tu już sutanna w całej swój sromocie występuje. Duca di San G... (wszędzie autor dyskretny nazwiska nie zamieszcza, woli je wypunktować) ma córkę Corinnę, (zapewne dla uczczenia pamięci pani Staël) która nie ma żadnego posagu. Książę arystokrata, mezaliansuby nie zniósł, a równy bez posagu jęj nie weźmie; nie ma więc innęj rady, tylko oddać ją do klasztoru. Don Gaetano, kapłan pobożny, utrzymuje ojca w tém przedsięwzięciu. Dziewica jednak idzie za popędem serca, poznaje młodzieńca ubogiego, postanawia wydać się za niego, a ponieważ ojciec na związek nie pozwoli, zostaje tylko ucieczka. Corinna przed ucieczką pragnie spowiedzią i pokutą przebłagać Boga za czyn grzeszny, który dokonać zamierza. Przyjaciół ojca, don Gaetano najstosowniejszym jęj się wydaje do powierzenia mu tajemnicy. Ksiądz zamyśl jęj pochwała, wymaga tylko, aby przed ucieczką do niego przyszła, a on sam obmyśli, co będzie potrzeba. Gdy dziewczę książęce nazajutrz się zjawiło, chciał je dla siebie pozyskać a trafiwszy na opór, zamknął ją w kościelnych grobach. Przez dni kilka daremnie kochanek i ojciec szukają zbiega, przecież ktoś dosłyszał jęków ze sklepów podziemnych wychodzących, przybiegła żandarmerya, nieszczęśliwą wydobyto z lochów, głodem jednak tak się osłabiła, że bezzwłocznie skonała na rękach ojca, mając tylko tyle siły, że mu wszystko opowiedziała.

Zrozpaczony ojciec wpadł z rewolwerem do niegodziwego uwodziciela, pięć strzałów dał do niego, szóstym w siebie ugodził. Ojciec padł bez duszy, ksiądz był tylko ranny, a wyzdrowiawszy, dostał natychmiast kanonię — szkoda, że autor nie dowiedział się, czy dotąd jeszcze nie żyje i za ten czyn nie został biskupem.

Z opowieści podobnych składa się cała książka, dla amatorów skandalu to prawdziwa Kalifornia. Książka ta tém ponętniejsza, że napisana językiem czystym, potoczystym i swobodnym, talentu autorowi odmówić nie można, przychodzi tylko żałować, że go w innym kierunku nie wyzyskuje. Nie wątpimy, że znajdzie pokup, będzie to rewanż lwowski za liczny odbyty książek katolickich w Krakowie.

Kawałek Literata. Wizerunki społeczne z końca XVIII wieku w dwóch częściach przez I. J. Kraszewskiego. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolfa.

Państwa i narody upadają wskutek największego rozstroju moralnego, inteligentnego i społecznego. W epokach takich by-

wają pojedyncze wzory wielkiego heroizmu i poświęcenia, które gdyby przenikały powszechność, mogłyby cuda stworzyć, niestety ograniczają się one do jednostek, ogół zachowuje się albo apatycznie albo szaleje, brnąc z głupstwa w głupstwo, z rozpusty w rozpustę. Szał, bezmyślność panują wszechwładnie. W takim stanie umysłów najniepodobniejsze do prawdy i do przypuszczenia rzeczy, stają się rzeczywistymi faktami. Dla zabawy, dla skandalu, czasem nie wiedzieć dla czego ludzie forytują i psują rzeczy i ludzi, którzy w normalnym ustroju społeczeństwa na wierzchby się wydobyć nie mogli, którzyby wprost wydawali się niemożliwymi, nieprawdopodobnymi. Nigdy w Polsce więcej awanturników wszelkiego rodzaju i wszelkiej narodowości się nie uwiłajało, nie zyskało rozgłosu, fortuny i stanowiska społecznego, jak właśnie w końcu XVIII wieku, w mniejszej ilości niżli cudzoziemcy robili w ten sposób karierę i ziomkowie, tym ostatnim było trudniej, bo o ich pochodzeniu i przeszłości łatwiej się było przekonać, nie otaczał ich i urok cudzoziemskości, która zawsze, a mianowicie w tej epoce popłacała w Polsce niezmiernie. Miara sądu pod tym względem była całkiem różna, co u Polaka było gburowatością, to u cudzoziemca kwalifikowano prostotą, bezczelność swobodą, kłamstwo improwizacją lub darem inwencji i tak bez końca.

Wysnuć na tle tem powieść, zdawałoby się rzeczą bardzo łatwą, byle zmyślać, chcemy powiedzieć, improwizować sytuacje bez ładu i składu, a tem dobitniej i wyraziściej uwydatni się epokę, której znamiona skreśliliśmy wyżej. Tak jednak nie jest, dobrą powieść na tem tle napisać, jest rzeczą nadzwyczaj trudną, są drobne odcienia, które uchwycić i skreślić tylko geniusz potrafi, a bez tych odcieni, powieść musi zrobić zupełne fiasko, będzie z niej karykatura a nie wierny obraz czasów i obyczajów. Taką powieść należy rzeźbić a nie zamaszysto ciosać, gdyż więcej w formie niż w treści spoczywa cała jej wartość, zwłaszcza, jeżeli na tem tle snuli już wątek udolni i nieudolni. *L'est le ton qui fait la chanson* W kawałku literata zupełny brak tonów. Społeczność ówczesna polska a mianowicie warszawska, była głupia, lekkomyślna, więcej bezmyślna, prawda, miała jednak fantazję i pewne pojęcia artyzmu, piękna; mogła to fantazyja być dzika, bez pewnych artystycznych form atoli nie miała zwolenników w masach, chociaż pojedynczo temu i owemu podobać się mogła. Bez fantazyji i bez artyzmu nawet w owych czasach zrobić karierę, było niepodobieństwem.

Kawał Literata mógł być sobie ograniczony, zarozumiały, nieznający ortografii, a tem bardziej piewszych prawideł sztuki rymotworecznej, nie powiadam już poezyi, ale pewne coś, co dystyngnowany ówczesny świat wymagał i cenił, koniecznie posiadać musiał, bez tego przymiotu byłby na ówczesne nawet czasy karykaturą, przedmiotem pośmiewiska i lekceważenia, jeżeli nie

pogardy i obrzydzenia, szczególnie jeżeli to był Polak. Arogancja i pewność siebie mogła go uratować w przypadku jednym i drugim, przeprowadzić go przez całe życie, dać mu majątek i otoczyć szacunkiem przy śmierci, to nawet na owe czasy nie wystarczało, zwłaszcza, że ten szacunek przy śmierci, wypada jakoś na księstwo warszawskie lub pierwsze lata królestwa, gdzie społeczność znacznie się zreformowała i polepszyła.

Osnowa jest następująca: Tomko Chelmowski przy śmierci ojca który był kalefaktorem przy szkole białskiej, zwaną eufonicznie akademią, miał lat ośm, a za cały majątek dwie połatane koszule, chodaki związane sznurkami i kapocinę wytartą na wszystkie strony. Litościwy ówczesny rektor przyjął go za paupra, miał on buty czyścić bogatszym uczniom, po skończonej robocie wolno mu było chodzić na lekcye. Tomek niewiele się uczył, natomiast był wisusem pierwszym. Z kolegami się bił i niejednemu potężnego guza napędził, czasami brał ołówek czy pióro i pisał wiersze, w których nie było ani sensu, ani uczucia, ani natchnienia, ani ortografii, zaledwie, że końcówki się rymowały. Trzecię klasy nie skończył, nowy rektor wygnał go z zakładu, pozwolił jednak do szkoły uczęszczać. Wzięła go biedna mieszcanka białska, ale i tu długo nie popasał, poszedł na pisarza prowentowego, tu pisał do i dla córki ekonomia wierszki, które ekonom złożył, rymokletę dobrze boćkowskim wychłostał, a w dodatku wypędził. Po tej przygodzie dostał się za bakalarza w dom Podkomorzego, z którego córką z pierwszego łoża tesame zawiązał stosunki co z ekonomówną. Następstwa prawie tesame. Podkomorzy kazał mu manatki zabrać, w gnojnicach wywieść do pierwszej karczmy przy drodze i tam porzucić. Ztamtąd udał się do Warszawy, niemając co robić, zwiedzał osobliwości miasta, raz poszedł do pałacu ekspodkomorzego koronnego, brata królewskiego, a zadziwiony tem co widział, wyjął papier i ołówek i zaczął wierszem opisywać te cuda. Była to ramota, jak wszystkie płody naszego wierszoklety; idiotycznie głupi książę ex-podkomorzy naszedłszy go przypadkiem, kazał mu pokazać co robi, znalazł wiersze, bardzo ładne, zamianował autora nadwornym swoim poetą, przeznaczył roczną łafę, dał pomieszkanie, stół i okrycie, nadto przedstawił go królowi. Król i towarzystwo przez wzgląd na brata ruszali tylko ramionami, gdy im jakiś swój utwór odczytał, Trembecki jeden nie pochlebnie się o nim wyraził, co nasz autor wziął za *jalousie du metier*. Na nieszczęście, wiersze te dostały się do Węgierskiego, który *mutatis mutandis* zrobił z nich ardo dowcipny paszkwil na podkomorzego. Gdy w tak zmienionej formie dostał się ten płód napowrót podkomorzemu, ten sądząc, że oryginał i trawestacja z jednego i tegosamego pióra pochodzą, wygnał autora z domu z nakazem niepokazywania się na oczy. Tomek niewinny w tej sprawie, spotkawszy raz księcia jadącego konno,

rezolutnie pochwycił konia za cugle i prosił o wyjaśnienie gniewu księcia pryncypała. Książę zakłębion nie wierzył, ale pani wojewodzina przejeżdżająca tamtędy widziała wszystko, zaprosiła do swojej karety Tomka, a znalazzszy go jakoś odpowiednim swoim skłonnościami, ofiarowała mu u siebie posadę sekretarza a następnie i swoją rękę. Księżna de Nassau z domu Godzka kobieta fantastyczna, widząc taką bijącą niedorzeczność jaką przyjaciółka popełnić chciała, zapaliła się do tego przedsięwzięcia, aby mieć z czego się śmiać i co opowiadać towarzystwu. Tomko zostaje mężem wojewodziny, dobrej znajomej i eksprzyjaciółki króla, który w liście do niej nazywa ją *Madame la comtesse Thomas Chełmowska*, co niby tyle znaczyć miało, jak udzielenie Tomkowi tytułu hrabiowskiego, którego on też odtąd stale używa.

Pańskość trwała zaledwie kilka miesięcy. Tomkowi przy stariej żonie niedługo podobać się mogło, zaczął wzdychać za młodszemi. Traf chciał, że narzeczoną jego kolegi szkolnego fertyczną i ładniutką szwajcareczkę wyгнаła księżna de Nassau ze swego domu. Chełmowski, który miał niby to pisać poemat bohaterski Janinę na cześć Jana III, a narzeczoną owę Szwajcarkę uczony i zdolny Dobek Floryan mu pomagać, namówił żonę aby Szwajcareczkę dała u siebie schronienie. Zeszła go ekswojewodzina, jak raz Szwajcarce, zaraz po zgonie żony przyrzekał, prowadzić ją do ołtarza. Końcem tych amorów było, że naszego bohatera żona sromotnie wyгнаła, sama jednak katastrofy nie przeżyła, umierając w kilka dni po wypadku. Majątku po niej nie odziedziczył, bo cokolwiek miała, było tylko dożywociem. Zobaczył się znowu na bruku, goły jak turecki święty, ale z tytułem hrabiowskim i ogromną szkatułą, w której były pustki ale o której ci co ją widzieli, jaknajlepsze mieli wyobrażenie. Z tych powodów ów Podkomorzy, który go gnojnicami z domu wysłał, teraz sam go do córki ciągnąć zaczął. Maryasz do skutku przyszedł, Tomasz wziął za podkomorzanką folwark, spadek po matce, podkomorzy dla uniknienia rachunków z opieki dopłacił mu 100,000 Złp., za co nabyli dwie przyległe wioski, a autor twierdzi, że wiele większy majątek niż ten, co tu wyliczył, musiał zostawić dzieciom. Umarł Tomek kawalerem orderu Św. Stanisława i komisarzem cywilno-wojskowym.

Mezalianse powszystkie czasy się praktykowały, ludzie najniegodziwsi nieraz zyskiwali mir i majątek, w tem niema nic dziwnego, a w ówczesnych czasach stało to na porządku dziennym. Ale taki kloc, jak Chełmowski bez nauki i polityury, bez sprytu i znajomości świata, niemając nawet fizycznej męskiej piękności, aby mógł zostać mężem wojewodziny, być przez nią czule kochanym, bo wiarołomstwo jego stało się aż przyczyną jej śmierci, tego nawet na ówczesne stosunki zanadto, to nawet wśród tamtej społeczności niemożliwe. Tomko nie miał żadnego przymiotu zniewalającego kobietę, a nawet nie miał pozorów

tychże przymiotów. Tomek wierzył w siebie i szedł naprzód przebojem, istotnie, raz się coś udać może przy takim usposobieniu, ostatecznie bawiana prędzej czy później zdemaskują i jak pomiotło w kął wrzuca, w dodatku może nogą kopną. Żeby obrazek był prawdopodobny trzeba było autorowi koniecznie tego Tomka inaczej nastroić, należało mu przecież jakiś dodatni przymiot przyznać, chociażby spryt, umiejętność korzystania z ludzkich słabości, umiejętność pokrywania swoich niedostatków. Psychiczne strony bohatera prawie nic a nic nie wpływają na jego losy, wszystko robi *fatum*; dla czego, po co, nie wiadomo, czyby celem powieści miała być teorya: nie myśl, nie ucz się, nie pracuj, jeżeli los zechce, same gołąbki i to już pieczone, wleca ci do gęby! Ani w społeczeństwie chrześcijańskim, ani w materialistycznym, taka teorya obstać się nie może, a wypadki i doświadczenie co krok jej kłam zadają; wypadek pojedynczy, gdyby nawet był prawdziwy, nie może stać się zasadą. Powieść w tej formie psychicznie jest nieprawdziwą, moralnie co najmniej nieodgadnioną, jeżeli nie złą zupełnie. Powiadają, że tym, którzy wiele kochali, wiele przebaczoneb będzie, dlaczegóżby tym którzy wiele piszą, wiele ująć nie miało; tą zasadą musiał się autor powodować, puszczając w obieg niniejszą książkę.

Atlas do Historji powszechnej konia hr. M. Czapskiego wyszedł w Poznaniu u Żupańskiego r. 1876.

Zawiera on w 75 tablicach wszystkie rasy koni żyjących obecnie w różnych strefach i ziemiach, oraz wizerunki koni wraz z ich ubraniem od najdawniejszych czasów historycznych i przedhistorycznych. Wszystkie starożytne zabytki pędzla i dłuta przedstawiające konia i zaprząg, autor zużytkował do swojej pracy. Jestto dzieło pomnikowe, które przy naszej obojętności dla wszystkiego może przejść niepostrzeżone u nas, ale które za granicą wysokiego dozna uznania. Nikt na przyszłość nie będzie mógł pisać o koniu, żeby się tego atlasu nie poradzić. Zmarły autor nie szczędził pracy i kosztów, aby się z zadania wywiązać należycie. Za granicą podobne wydawnictwa uskuteczniają się zbiorowemi siłami, u nas dokonał to jeden człowiek z poświęceniem i z zamięłowaniem dla przedmiotu przez niego traktowanego. Polska słynęła po wszystkie czasy z zamięłowania do konia; najpiękniejszym dowodem dla potomności tego rycerskiego usposobienia narodu pozostanie: Historia powszechna konia.

W Preszburgu na Węgrzech odbędzie się 4 września b. r. powszechne zebranie antropologów i archeologów. Blizkie sąsiedztwo i nieustanne stosunki z Węgrami kongres ten powinien bardzo zainteresować naszych archeologów i bez wątpienia Polska na nim licznie reprezentowaną będzie.

L. Powidaj.

Przegląd polityczny.

Kraków 30 czerwca.

Ani śmierć Sułtana Abdul Azisa zadana nożyczkami ani kryzys ministeryalna w Stambule załatwiona także nowym sposobem, bo kilkoma strzałami z rewolweru, żaden z tych dwóch najważniejszych wypadków ubiegłego miesiąca nie wyprowadził jeszcze kwestyi wschodniej ze stanu fermentacyi, nie pomógł do wyklarowania się jej aż do dna. Wojska serbskie stoją już na granicy tureckiej, ultimatum wysłane do Wysokiej Porty, a pomimo tego jeszcze we wojnę, zwłaszcza na większy rozmiar, nikt bardzo nie wierzy, nawet Giełdy stosunkowo dość są spokojne. Z tem wszystkiem jednak sytuacja nie przestaje być groźną. Zaszły wielkie zmiany w ugrupowaniu się obok siebie europejskich potęg. Jestto już teraz rzeczą wiadomą, że Anglia działała w Stambule za porozumieniem się z Prusami, że więc w kwestyi wschodniej stoją po jednej stronie Anglia, Prusy a po drugiej Rosya; tylko Francya i Austria nie zupełnie określone mają stanowiska, zwłaszcza Francya, bo w polityce Austriackiej w ostatnich czasach silny widać zwrot ku Rosyi, Francya zaś prawdopodobnie, jeśli dalej ją prowadzić będzie p. Décazes pójdzie z odwiecznemi wrogami: z Anglią i Prusami. Wtedy więc stanęłyby w Europie przeciw sobie wyraźnie Wschód i Zachód, i co dalej z tego?... Otóż to jest dla nas główną cechą dzisiejszego stanu politycznego Europy, że choćby najgroźniejsze potęgi piętrzyły się przeciw sobie, choćby wobec najważniejszych wypadków, choćby w przeddzień Europejskiej wojny, my z obojętnością prawie pytać się możemy; i cóż dalej z tego będzie? bo wszystkie dziś do działania wy-

stępujące czynniki i siły są nam obce i wrogie, bo w tych grupujących się i przeciw sobie stawających obozach nie masz nigdzie a nigdzie miejsca dla polskiego i katolickiego sztan-daru, bo jak się jeden z najznakomitszych publicystów fran-cuskich wyraził: „dziś już w państwach nigdzie nie ma krzyża, tylko sanie berła.“ Możemy więc z obojętnością i wzgardą choć nie bez ciekawości przyglądać się dalej tej Europejskiej Nieboskiej Komedyi, a moglibyśmy dodać jeszcze jedną małą poprawkę do powyższych słów Venillota: że dziś już i berła nie znaczą tyle co masońska kielnia, bo ona już wszędzie za-panowała, nawet w Stambule gdzie dała świeże dowody nie-słychanej zręczności w knowaniu zamachów i spisków.

Widok to dla nas wcale nie nowy; przecie to co się dzieje i na co się zanosi jeszcze w Europie, to jest polska histo-rya od stu lat, „epoka podziałów i prześladowań religijnych pod przemocą Prus i Rosyi,“ dziś za nami reszta Europy wchodzi w tę samą epokę podziałów i prześladowań religijnych pod przemocą rozwielnionych Prus i Rosyi, co dla nas już od wieku nie jest niczem nowem. Wypadki same teraz taką idą kolejną, do tego zmierzają, iż wkrótce wszystko co uczci-wego jeszcze w Europie pozostało nasz los dzielić będzie, a kiedy ogólne położenie zrobi się z czasem zupełnie do naszego podobne wtedy my ostatni na świecie, staniemy się pierwszymi, bo będziemy wśród innych narodem najdoświadczeńszym, ma-jąc już za sobą stuletnią tradycję tego samego losu, który dla innych dopiero teraz się zaczyna. Smutna perspektywa, ale do innej konsekwencji wśród tego jakim rzeczy idą dzi-siaj torem, doprawdy że dojść trudno.

Nie można jeszcze wiedzieć czy za wysłanymi już Pio-nierami przeciw Turcyi za Serbią i Czarnogórą ukażą się wkrótce i wielkie mocarstwa na wojennym torze, nam się wy-daje prawdopodobniejszem, iż wojna się zlokalizuje jeszcze przez czas dłuższy na granicach Turcyi. Prędzej czy później jednak wojna powszechna jest rzeczą nieuniknioną, jeśli kwe-stya wschodnia, kwestya byzantinizmu ma być rozwiązana, bo jeśli jest jaka europejska najwyższych moralnych i materyal-nych interesów całego świata dotykająca kwestya, to ona, i nie da się załatwić samą dyplomacją, bo w niej jest na dnie kwe-stya religijna, która w ostatniej konsekwencji doprowadzić musi do bezpośredniego i stanowczego starcia się Caratu z Pa-pieństwem.

Wprzód jednak musi się zetrzeć jeszcze niemiecka potęga protestancka z Rosyą; w tę ważną fazę Europejskiej historii prawdopodobnie teraz wchodzimy, i tu dla nas w szczególno-ści nasuwa się najważniejsze pytanie. Czy w tem starciu schy-zmy z protestantyzmem znajdziemy się na wysokości naszego stoletniego doświadczenia, o którym mówiłem powyżej? czy

też przeciwnie pokaże się znowu i w tej ważnej chwili żeśmy niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli? Czy zamiast stać przy naszych koniecznych i jedynie nas godnych zasadach nie damy się uwieść jednej albo drugiej stronie, i popchnąć znowu silnie do jakiego nierozważnego kroku? ostatnie symptomata naszych usposobień nie są wcale pod tym względem zaspakajające. Pierwszy wiec poznański, (o którym szerzej mówi powyżej zamieszczony list z Wielkopolski) wykazał naocznie do jakiego stopnia jesteśmy „niepoprawni“ jak pruskie idey, pomimo że kraj znosi od nich tak srogie prześladowanie, w świeckich wyższych warstwach społeczeństwa obudziły mało co więcej nad gotowość do czysto narodowej i politycznej tylko opozycji przeciw chwilowym gwałtom i nadużyciom rządu, a jak pewna część tego społeczeństwa w najgłębszym gruncie sympatyzuje z pruską polityką antikościelną, i jak niektórzy Polacy gotowi nawet otwarcie uderzać na gorliwych wyznawców wiary zjadliwą bronią pruskiego kulturkampfu! Wszystko ustaje wobec takiej hańby i zdrady nietylko powszechnej katolickiej ale i naszej narodowej sprawy! jakież to przygotowanie na te ciężkie próby, które nas może wkrótce czekać?!

W Polsce pod rosyjskim rządem usposobienie tak zwanej intelligencji polskiej, nie mniejsze może wzbudzać obawy na przyszłość, już sama możliwość powstania pisma takiej barwy jak „Ateneum“ bardzo niemiły odśłania horyzont, bo świadczy o wielkiem zamęceniu religijnych pojęć i zatarciu się w nowem pokoleniu dobrych narodowych tradycji. A czyż takie usposobienie nacisk szyszmy wytrzymać zdoła? lub czy pokusom nabycia materyalnych korzyści kosztem wiary czoło stawić i oprzeć się potrafi?

Słowem nie można mieć tej pewności, czy w danej ciężkiej ważnej chwili przynajmniej my sami sobie dotrzemy placu. Do tych ogólnych kilku uwag o dzisiejszem położeniu, pozwalamy sobie dołączyć bardziej szczegółowe ocenienie kwestyi wschodniej, które nam łaskawie nadesłano:

Wojna w tej chwili kiedy piszemy może już wybuchła skoro książę Milan przyjął deputacyę ofiarującą mu Bośnię i wyjechał do obozu, wysyłając *ultimatum*. Byłby to wybuch wojny wbrew dotychczasowym zwyczajom, bo bez wstępnych form dyplomatycznych. *Ultimatum* lennika Porty, żądające przyłączenia Bośni jest właściwie tylko deklaracją wojny. Nie dziw, że nie zachował względów zwyczajami dyplomatycznymi wskazanych i bez ogródki powiedział odrazu o co mu chodzi, przewrót dokonany w Konstantynopolu dawał mu do tego pochop. Liberalna rewolucya w Stambule zdaje się, że się zatrzymała na dwóch *coup d'état* a raczej *coup de tête*. Skłonić do samobójstwa Padyszacha i przypadkiem na radzie gabinetowej wystrzelać ministrów przeciwnych konstytucyi, to był

początek przyznać należy wiele obiecujący. Jeśli liberalna młoda Turcyja nie dowiodła jeszcze zdolności konstytucyjnych, to przyznać należy, że spisek ulemów okazał wprawę i śmiałość konspiracyjną mogącą zawstydzić najczarniejszych z włoskich carbonarów. Lecz na krwawe te sceny zapadła kurtyna i dotąd niewiadomo czy Murad V utrzyma się na tronie, czy Mid-dat pasza ów gościnny prezes gabinetu po trupach swych kolegów objął wreszcie ster władzy? W każdym razie wojna serbsko-turecka nie będzie miała charakteru buntu amików przeciw rządowi W. Porty, ale zapasów Chrześcian tureckich z muzułmanizmem — zdeorganizowanym wprawdzie ale mogącym odnaleźć siłę w fanatyzmie. O wojnie regularnej nie może być mowy z jednej ani z drugiej strony. Wojsko tureckie niepłatne i niekarne — a siły Serbii i Czarnogóry nie o wiele wzmocnić zdołają ruch powstańczy. Dość jednak mają zapasu jedni, aby wojnę podjazdową pociągnąć europejskie mocarstwa w nowe zawikłania, dość fanatyzmu drudzy aby się chwycić rzezi Chrześcian.

Czy wobec tego rodzaju zapasów mogą mocarstwa zostać obojętnymi widzami? Zwłaszcza, że w kwestyi wschodniej wzięły na siebie odpowiedzialność przez ciągłą interwencję dyplomatyczną i widoczną zachętę dla powstańców. Początek wojny europejskiej kto wie czy nie zawisł od księcia Milana i księcia Mikołaja Czarnogórskiego. Żywiołów do wojny europejskiej nie brak. Szalony militarizm zbrojnego pokoju, nieznający grobli prawa międzynarodowego, jest jak fala wezbrana, która się piętrzy i rozbija o słabą zapórę trzech cesarskiego przymierza. Lecz któż jeszcze w trwałość tej zapory wierzy, nawet te organa co wieczny pokój zapowiedziały na podstawie tego systematu politycznego wołają teraz jak kruchym, jak nienaturalnym jest ten związek. Dość jednego strzału, aby wywrócić cały gmach sztucznej równowagi mocarstw, aby rozerwać tę prowizoryczną tamę polityki trójcesarskiej.

Wojna wszystki ich przeciw wszystkim — wielki kataklizm militarny, oto zapowiedzi najbliższej przyszłości. Przedmiot sporny jeszcze nieznan i nie wiadomo nawet, jaki będzie ostateczny motor dyplomatyczny, co otworzy ów krater wulkanu militarnego. To już nie polityka, w której można coś naprzód kombinować, to gra żywiołów wezbranych, co gdy się rozpocznie, nikt jej już kierować lub wstrzymać nie zdoła.

Jak się fale rozdziela, jak się ugrupują w obozy mocarstwa na wypadek wojny — to także już nie zawisło od względów dyplomatycznych i politycznych nawet interesów, ale od materialnej grawitacji sił, które prawem przyrodzonem dążyć muszą do pewnej równowagi. Mocarstwa, mające najsprzeczniejsze interesa, mogą się znaleźć po jednej stronie, kiedy państwa związane dawnymi sojuszami i dynastycznymi

związkami, mimo wiernych objawów przyjaźni zmuszone być mogą do starcia się z sobą. Kto bacznie śledził sytuację europejską w ostatnich tygodniach, dostrzedz mógł, że się już zaczyna to grupowanie wielkich zapaśników przyszłości. Sojusz niemiecko-rosyjski, najgroźniejszy dla resztek porządku europejskiego, wydaje się teraz zerwanym. Mógł on się jeszcze utrwalić w roku przeszłym, gdyby Rosya nie była wstrzymała zapędu ks. Bismarka na zachód. Europa dość wielka, aby się nią jeszcze mogły podzielić dwa zaborcze mocarstwa. Skoro jednak Rosya stawiała zaporę zaborczym dążeniom Niemiec i osłaniała poniekąd od grózb Kanclerza Zachód — podobny odwet na Wschodzie ze strony ks. Bismarka jest naturalnym. Straszne starcie szczepowe pangermanizmu a rosyjskim panslawizmem przewidywane oddawna, ale w dalekiej kiedyś przyszłości — może miałoby mniej groźne następstwa, gdyby nie w środku Europy, nie na granicach dwóch wielkich aglomeratów, ale na krańcach Europy, na Wschodzie wybuchło, jako równoważenie się wpływów dwóch imperializmów. W obecnej chwili kwestya wschodnia nie jest walką półksiężyca i krzyża, nie zamyka ona się w problematach, co się stanie z Turcyą, coraz bardziej ulegającą dezorganizacyi, ani co z buntującymi się poddanymi i lennikami Porty, ale kwestya wschodnia to przede wszystkim kwestya równowagi europejskiej, to próbiez wpływu i całego systemu politycznego w sytuacji, jaką stworzyła wojna francuska.

Nie ma specjalnego przedmiotu spornego do wojny europejskiej — może się znaleźć do niej tylko pozór, ale jeśli wybuchnie, to już w niej chodzić będzie o wszystko, o cały porządek polityczny Europy. Nie mamy żadnego powodu obawiać się wzruszenia dzisiejszego *status quo*, historyczni malkontenci moglibyśmy nawet wiele sobie wróżyć z tego wstrząśnienia świata i po dawnemu wyczekiwać katolicyzmu militarnego, spodziewając się i łudząc, że coś z niego dla nas wypłynąć może. Zostawmy jednak nieuleczalnym optymistom i marzycielom lub burzycielom z zawodu owe złudzenia, że z krwi może wypłynie odrodzenie świata, nowy, lepszy porządek. Zbliżające się wypadki zapowiadają tylko przewrót, po którym wśród zniszczeń i ofiar zostać może *tabula rasa*. Pożogi wojny nie są dla nas jutrzenkami przyszłości, kiedy do wojny nie są dla nas jutrzenkami przyszłości, kiedy do wojny nie prowadzi jakieś wyższe hasło prawa lub zasady, lecz tylko żądza zaborcza i równoważenie się materyalnych potęg.

Obojętni przeto widzami nam pozostać należy w obecnych tych zapasach żywiołów militarnego i głuchymi na wszelkie złudzenia, obietnice, pokusy, które niebawem odezwałyby się mogły od mocarstw, które systematycznie przeprowadzają zniszczenie naszej narodowości.

Ign. Skrochowski.

PRZEGLĄD EKONOMICZNY.

(Roczne bilanse i sprawozdania).

W ostatnich czasach odbyły się roczne obrady wszystkich większych instytucyj finansowych mających siedzibę w Krakowie, oraz Towarzystwa gosp. rolniczego.

Obrady te dają, razem wzięte, obraz wielorakiej czynności w zakresie t. z. organicznej pracy, obraz wielce pocieszający. Jeżeli bowiem w wielu gałęziach tej pracy jest u nas jeszcze odwieczny ugór, to z drugiej strony widzimy, że sprawy te, do których się wzięto, idą dobrze, że instytucye stoją na pewnych nogach, że krach chroniczny instytucyom naszym nie zaszkodził — że prowadzenie ich jest umiejętne i baczne — z czego snadnie wysnuć można wniosek, że jeżelibyśmy nareszcie wspólnemi siłami przystępować zaczęli do szerszych rolniczych, ekonomicznych, przemysłowych przedsięwzięć — w celu podniesienia sił i dobrobytu ogólnego — nie brakłoby nam do tego ani kapitałów ani inteligencji, ani wytrwałości — a tem samem, wobec powodzenia tylu znacznych instytucyj powinna ustać dosyć jeszcze upowszechniona u nas nieufność w samych siebie i niechęć do wspomnianych prac. Jeżeli chcemy, to potrafimy i nie damy się — to nas stać na praktyczność; oto wrażenie, jakie sprawia ten obraz rozwoju naszych instytucyj, na rocznych obradach przedstawiony.

Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń od ognia, gradu, na życie, przedstawia działalność pewną siebie i świadomą, mającą już za sobą 15 lat doświadczeń, a za podstawę milionowy fundusz rezerwowy, własną pracę dorobioną, będący zatem najlepszem świadectwem, że praca ta jest zdrowa. Jeżeli snują się po Galicyi jeszcze agenci obcych towarzystw ogniowych —

pole ich działania jest już ograniczone przeważnie na warstwy, które modlą się na wiedeńskich gazetach — żaden atoli światły obywatel nie może już dziś szukać zabezpieczenia po za krajem, wysyłać za granicę opłaty, narażać się w razie nieszczęścia na długie korowody, koszta i ryzyko — gdyż wobec Towarzystwa krajowego, wzrastającego z każdym rokiem w siłę i znaczenie, byłoby to prostym bezrozumem.

Przeprowadzona zmiana w statutach, że delegaci do Rady nadzorczej wybierani będą po obwodach — wzmocni jeszcze zaufanie całego kraju do tej instytucji.

Po raz pierwszy zdawano sprawę z czynności połączonego z Tow. wzaj. ubezpiecz. — Towarzystwa wzajemnego kredytu, o którym więc kilka słów powiedzieć należy. Nie często zdarza się myśl tak szczęśliwa, jaką było właśnie założenie tego towarzystwa. — Sprawa kredytu dla większej własności ziemskiej została przez to towarzystwo ułatwioną, tak, że dzisiaj tylko lekkomyślny, niesłowny, utracysz, albo też istny tylko niedołęga umysłowy, może jeszcze rozpaczć wśród zawiłanych interesów, jęczeć w szponach lichwy i nie umieć radzić sobie — gdy przeciwnie każdy rzetelny i światły posiadacz ziemski, choćby w najtrudniejszych znajdował się interesach, ma zupełnie ułatwiony wygodny, pewny i tani ratunek

Kredyt w tem towarzystwie, służącym wyłącznie członkom Tow. wzaj. ubezpiecz., opiera się wprawdzie na udziałach członków, lecz gdy tymże daną jest wszelka możność solidarności, wzajemnego poręczenia, przeto kredyt ten jest właściwie osobisty, polega na zaufaniu, na pewności, że produkcyjnie użytym będzie. Daną jest możność spłaty drobnemi ratami kwartalnemi, a procent jest obecnie niższy niż w wszelkich innych instytucjach, gdyż tylko $7\frac{1}{2}\%$. Tym sposobem każdy członek, a tem bardziej grupy członków wzajemnie sobie poręczających, mają tu otwarty kredyt na wszelkie potrzeby gospodarskie, kredyt który nie gniecie, nie nagli i nie ssie, przy którym można spać spokojnie, byle opłacić na termin małą ratę, dalszy procent i nowy wystawić oblig wekslowy. Potrzeba więc mieć dobrą opinią, potrzeba sąsiedzkiej przyjaźni i solidarności, potrzeba słowności — co wszystko każdy człowiek mieć może — ażeby z pomocą tego Towarzystwa interesa swoje można rozumnie polepszyć. Dotychczas jeszcze ekstrakta tabularne własności większych pokazują straszne rzeczy — nie tylko chłop ginie od lichwy — widzimy tam pożyczki na 30, 36 i 40 procent i kary konwencyjne — toż nic dziwnego, że rola, nawet w pomyślnych latach, nie jest w stanie opłacić długów, a cóż dopiero wydobyć się z nich. Dopiero dzisiaj Tow. wzaj. kredytu daje możność ratowania się gruntownego. Działalność i zadanie tego towarzystwa i finansowo korzystne

i pod względem moralności obywatelskiej wysoko-mądre, sięga też i sięgać będzie coraz dalej. Już p. Zieleniewski zrobił układ z dyrekcją, że członkowie, którzy przez Towarzystwo, z pomocą kredytu tegoż, będą nabywać maszyny i narzędzia — opłacać będą procent o 2% niższy, zatem tylko $5\frac{1}{2}$ — (zatem prawie tyle tylko, ile wynosi najniższy procent w Nat. Banku), on zaś resztujące 2% dopłacać będzie, — udzielając zarazem członkom swój drugi podpis; — dalej, działalność tego Towarzystwa domaga się skombinowania z *użyciem subwencji Towarzystw rolniczych* — o czem w swoim miejscu.

Niemniej rozległą działalność rozwija Bank galicyjski dla handlu i przemysłu i utworzony przezeń Zakład kredytowy ziemski, który przez t. z. „związki powiatowe“ może czuwać nad produkcyjnym użyciem kredytu, o czem pisaliśmy ostatnim razem. Najważniejszą dla kraju jest działalność Wydziału komisowego, który jest engroistą handlu zbożowego, oraz starania agencji oświęcimskiej w sprawie transportu i sprzedaży wołów. Przedmiot ten poruszony też został przez Bank na Tow. rolniczem. Wyrazimy tu życzenie, wielokrotnie objawiane, żeby Bank rozwinął szerzej wydział komisowy, żeby objął handel spirytusem, jajami, masłem, skórą i t. d., co wszystko jest w ręku żydowskich handlarzy, a co przez stosowne agencje, spółki rolnicze i t. p. mógłby Bank łatwo wziąć w swoje ręce. Wówczas też i sprawozdania targowe banku, dotąd wyłącznie zbożowe, mogłyby być ogólnymi sprawozdaniami targowemi, *Waarenbericht* — i mógłby bank stworzyć targowisko na główne produkty krajowe, dać popęd do wzrostu rozmaitych gałęzi produkcji — podczas gdy dotąd producenci, zwłaszcza drobni, najliczniejsi, zdani są na łaskę handlarzy, mających jakoby monopol w swoich rękach. Działalność ta wymagałaby ciągłych komunikacji z produkcją przez specjalny fachowy organ, który również dla Tow. rolniczego nieodzownie jest potrzebny.

Szczegół ten naprowadza nas do uwag nad Tow. gosp. rolniczem krakowskim, które na ostatnim nieco liczniejszym zebraniu, okazało zamiar i chęć odrodzenia się z zupełnego niemal zastoju, grożącego upadkiem Tow. — tak, że kwestya rozwiązania Tow. już żywo członków jego zajmowała. W celu obmyślenia środków ożywienia towarzystwa wybrany został osobny komitet — więc nie chcemy przesądzać z jakimi projektami zapewne wkrótce wystąpi — przypomnimy tylko na razie niektóre naglące środki: decentralizacja, zawiązywanie i zatrudnianie towarzystw i kółek powiatowych, utrzymywanie ciągłego czucia z członkami przez specjalny do tego organ będący zarazem organem handlowym wszelkich produktów rolniczych i przemysłu rolniczego — produkcyjne używanie subwencji na ułatwienie kredytu w Towarzystwie wzaje-

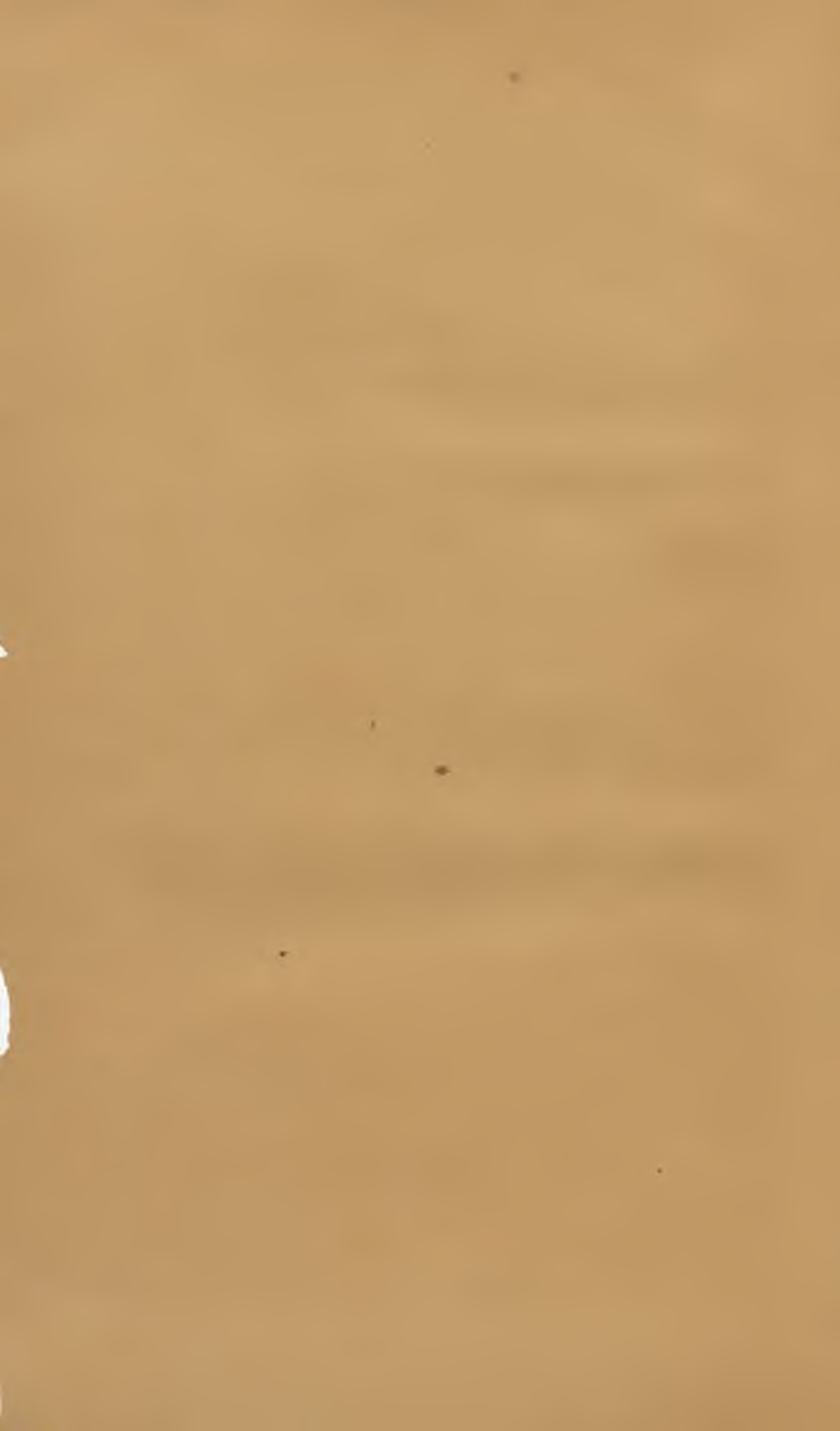
mnego kredytu, na wszelkie amelioracye i w ogóle potrzeby rolników, a mianowicie użycie subwencyj na opłacanie procentów za członków od pożyczek zaciąganych na cele produkcyjne w Tow. wzaj. kredytu — tak, że subwencya n. p. złr. 1000 posłuży do obrotu złr. 20.000 rocznie i żeli Tow. za członków płacić będzie 5% — sami zaś dopłacać będą tylko 2½. Jest to myśl arcyszczęśliwa, poruszona już w obradach Towarzystwa — i dziwić się istotnie trzeba, że odrazu nie została podjęta. Oczekując przeto organizacyi Towarzystwa — zapiszemy jeszcze z ostatniego zebrania rozprawę nad stanem gorzelnictwa, na podstawie referatu przez p. Majewskiego z Banku gal. dostarczonego. Rozprawę tę rozsyła Komitet Tow. roln. w osobnych odbitkach z Poradnika przem.-rolniczego — będzie ona zatem szeroko rozpowszechnioną podwójną drogą. Dlatego zapiszemy tu z niej tylko główne postulata:

- 1) konieczność produkcyjnego spożytkowania odpadków gorzelnianych przez racjonalny wypas wołów — dalej organizacyą handlu wołowego, o co do rządu kołatać należy, popierając odnośne zabiegi Banku galic.
- 2) stworzenie targu, odbytu na spirytus, przez urządzenie dwóch rektyfikacyj w Galicyi wspólnemi siłami właścicieli gorzelni.

Są to sprawy niezmiernej wagi, zważywszy, że gospodarstwa nasze muszą doznać reformy, zwrócić się do chowu inwentarza i pastewnych roślin — inaczej czeka je konieczna ruina; należy się więc spodziewać, że tak Tow. roln. jak i Bank galic. energicznie się zajmą temi sprawami przekazanemi Komitetowi przez ogólne zebranie i niecierpliwie oczekiwać będziemy chwili, w której o wcieleniu w czyn projektów tych będzie można donieść.

Inne sprawy poruszone również w ostatnim czasie, odkładamy z braku miejsca do przyszłego zeszytu.

Szczepański Alfred.



SOFOKLES

I JEGO TRAGEDYE.

(Tragiccy Grecy, przekład Z. Węclewskiego. Poznań 1875.)

I.

Grecya zostawiła po sobie niepożytej piękności i doskonałości pomniki w poezyi, sztukach i umiejętnościach; atoli nader była skąpa w szczegóły, któreby bliżej dały nam poznać osoby jej poetów, artystów, uczonych. Współczesnych świadectw o jej literackich znakomitościach tak jest mało, prawie jak nic, że dopiero późniejsi aleksandryjscy komentatorowie literaci, należący już do przeżywającej epoki, usiłowali brak ten zapęłnić, radząc się tradycyi, a najwięcej własnej wyobraźni; a tak potworzyły się nie już żywoty spisane przez naocznych świadków z tą drobiazgowością dzisiaj posuniętą aż do przesady, lecz legendy pełne zmyśleń, wizerunki pozbawione tego piętna podobieństwa, jakie się odgaduje nieznając nawet oryginału.

Krytyka przewiewając te greckie kłamstwa (w kłamstwie, jak i we wszystkim, Grecy byli mistrzami) przyznała autentyczność zaledwie kilku szczegółom lub rysom, i to tak nieznaczającym a przynajmniej tak powszednim, że z nich niepodobna utworzyć sobie wyobrażenia o całym człowieku, a człowieku niezwyklej miary, z jego fizyonomią, charakte-

rem, namiętnościami, słabościami, a nawet z dziwactwem trzymajacem się często tych poetycznych, wystrzelających nad popolitość postaci.

Współcześni Sofoklesa, największego z greckich tragiczków, mało podali o nim wiadomości, któreby miały cechę ścisłej prawdy; późniejsi są obfitsi, lecz jeszcze mniej zasługują na wiarę. Zwykle tak bywa w czasach wielkiej samodzielnej twórczości, że po za dziełem sztuki znika mistrz; gdyż dzieło tak zajmuje wszystkie umysły, że drobniejsze okoliczności dotyczące się osoby autora, mniej obchodzą szerszą publiczność, której wystarcza samo jego nazwisko, jeżeli je wie, a nawet niewiedząc o niem, kontentuje się samym utworem. Dodajmy i to, że Grek lubił ukrywać swoją indywidualność w dziele sztuki. ma on tylko sam przedmiot przed oczyma, atoli ze swoją osobą nigdzie nie występuje, podobnie jak będąc obywatelem Rzeczypospolitej, nie do siebie, lecz do państwa należy.

To nam tłumaczy uderzające ubóstwo żywotów tak poetów, jak sztukmistrzów starożytnych, zostające w rażącym przeciwieństwie z nowoczesnemi biografiami nieprzepuszczającemi lada miernostce, aby ją zaopatrzyć w pasport do nieśmiertelności.

O starożytnych geniuszach wiemy zanadto mało, o dzisiejszych wątpliwych znakomitościach za nadto wiele.

Żywot Sofoklesa, tego prawdziwego twórcy dramatu, urodzonego prawie na pięćset lat przed przyjściem Chrystusa, składa się tylko z drobnych i niepewnych szczegółów; chociaż dramat, jaki stworzył, mniejwięcej w tej samej formie i warunkach po dziśdzień się utrzymuje. Trafnie to wyraził wierszyk któregoś z późniejszych greckich poetów antologii na jego cześć złożony:

O ty! chorów śpiewaku, synu Sofillowy
Ty, cekropskiej tragedyi gwiazdo! Wkoło głowy
Twojej, czyś przy ołtarzu stawał, czy na scenie,
Błyszczał bluszcz acharneński jak sławy promienie.
Dziś Sofoklu twe zwłoki garść ziemi pokrywa,
Lecz w wieczność patrzy pamięć dzieł twoich, wciąż żywa.

Pochwała bynajmniej nieprzesadzona. Co większa, w kilku tych wierszach zawarte są główne rysy życia poety. Sofilos ojciec jego miał mieć warsztat kowalski; śnać człek zamożny, bo synowi dał staranne wychowanie. Szczególniej tenże okazywał wielki talent do muzyki, w której się ćwiczył pod najslawniejszym mistrzem, i tak się w tej sztuce usposobił, że po zwycięztwie pod Salaminą był wodzem chóru śpiewającego pieśń zwycięzką. Bardzo można temu wierzyć, że Eschylos był jego mistrzem w sztuce dramatycznej, tak, jak mógł być Kornel Rasynowi, lubo uczeń dalej zostawił za sobą starego mistrza, niż Rasyn zostawił za sobą Kornela. Zdanie Sofoklesa o tragediach Eschylosa, nosi również na sobie cechę prawdy, kiedy pewnego razu powiedział mu wręcz: „Eschylosie, robisz dramata, ale sam nie wiesz jak.“ Powiedzenie to było zapewne mniej szorstkie, bo Grecy umieli obwijać w bawełnę, atoli na dnie leżał tensam sens. Rzeczywiście Sofokles zrobił rewolucję w sztuce dramatycznej. Osoby Eschylosa mają w sobie coś olbrzymiego, przechodzą miarę ludzi, na których patrzymy, którzy tworzą społeczność. Są to legendarne wypadki, pełne okropności. Sofokles dramatem swoim bardziej zastosowanym do natury naszej sprawił, że jaśniejszy dzień, choć zawsze jeszcze smętny i straszny, zstąpił na scenę ateńską i oświecił postać człowieka szlachetną, pełną godności i wdzięku oddaną wszystkimi środkami sztuki, w jakie obfitował bogaty geniusz Sofoklesa dążący do idealnej piękności.

Był to niezwykle moment w dziejach tragedii greckiej, kiedy po raz pierwszy starły się ze sobą dwa te systematy i walczyły o palmę pierwszeństwa w teatrze. W publiczności byli stronnicy i starego Eschylosa, i zwolennicy młodego Sofoklesa; ożywiona walka gotowała się z jednej i drugiej strony. Archont Apsefion wahał się losować, podług zwyczaju, na sędziów mających wyrokować w tym sporze. Lecz właśnie w tej chwili ukazał się w teatrze bohaterski Cymon przybyły z dziewięcioma innymi wodzami republiki odprawić libacye przy ołtarzu Dionizosa za szczęśliwe opanowanie wyspy Scyros, zkąd przyniósł popioły Tezeusza. Korzystając z tego archont Apsefion zaproponował im, aby byli sędziami w tej sprawie dramatycznej; ten więc poważny trybunał,

którego obecność podwoiła współzawodnictwo aktorów, wydał wyrok przechylający się na stronę Sofoklesa, wyrok nie tylko ogłaszający zwycięstwo młodego poety, lecz i ustalający przyjście nowej tragedyi. Data ta tak jest ważną, że niepodobna jej niezapisać. Plutarch podaje ją na pierwszy rok 75 olimpiady, czyli na 468 rok przed narodzeniem Chrystusa.

Odtąd wzrastała sława Sofoklesa. Sam on rzadko występował w swoich dramatach, w czym Szekspir był mu podobny, poprzestając na roli ducha w *Hamlecie*. W dramacie *Tamyras* popisywał się na lutni, a w dramacie *Praczk* biorąc rolę Nauzykai, grą w piłkę.

Niewyjeżdżał on nigdy z własnego kraju i nieszukał protekcji po obcych dworach; wystarczała mu miłość i uwielbienie Ateńczyków. Umiał też służyć ojczyźnie nie tylko w zawodzie dramatycznym, lecz spełniał i inne posługi obywatelskie, jak poselstwa lub wyprawy wojenne.

O jego domowych stosunkach podają różne mało interesujące szczegóły. Czy z pierwszej żony Nikostraty, miał jednego, czy trzech synów; czy na starość pokochał się w Teorydzie, chociaż sam powiada, że w późniejszym wieku wymknął się z rąk tyrańskiego Erosa (miłości); czy syn wydał mu proces zadając pomieszanie zmysłów, co on zbił zwyciężko odczytując publicznie wstęp do tragedyi *Edyp w Kolonos*, wszystko to są drobiazgi suchej erudycji i wcale niemałują nam poety w stosunku do społeczeństwa, pośród którego żył i działał. Wszyscy biografowie powtarzają mniej więcej jedno i to samo, a jednak nierozjaśnia się mglista postać poety, aż do samej jego śmierci, przypadłej w dziewięćdziesiątym roku wskutek uduszenia się pestką jagody winnej, a jak inni chcą, z radości, że go obwołano zwycięzcą. Grecy lubili wyszukiwać niezwykłą śmierć dla swoich trzech tragiczków. *Eschylosa* zabija żółw wypuszczony z dzioba unoszącego się nad nim orła; *Sofokles* dławi się pestką winogronową; *Eurypidesa* psy rozdzierają — co zapewne ztąd pochodzi, że w ich wyobrażeniu tragiczny poeta nie mógł inaczej jak tragicznie umierać.

Sucha biografia Sofoklesa, rzuca tak mało światła, że aby zrozumieć poetę i człowieka wypada przypatrzeć się Atenom i jego społeczeństwu, aby módz sobie zdać sprawę

z tych świeczników, co wystrzelili talentem lub geniuszem, potrzeba z drobnych, rozrzuconych szczegółów złożyć pewną całość, aby jakotako na jej tle zorientować się i zrozumieć charakter greckich pisarzy.

II.

Wiadomo, że w starej rzeczypospolitej ateńskiej trzeba było być obywatelem i żołnierzem; dla poetów i artystów nie było osobnej kategorii w społeczeństwie. Tensam człowiek umiał bronić z trybuny lub na polu bitwy tę cywilizacyą, którą talent jego lub geniusz ozdabiał swemi dziełami. Jakkolwiek miano tam wielką cześć dla myśli, to czyn większą jeszcze odbierał. Powinność obywatelska górowała nad najświetniejszymi wyrażeniami artystycznymi, czyli lepiej mówiąc sam heroizm podobnie jak poezya, zdawały się być tłómaczeniem najwyższego ideału przechowującego się w duszy tego wyjątkowego plemienia. Poeta, co stworzył Oresteję i Eumenidy, zapominał o swoim autorskim tytule do nieśmiertelności, a kazał tylko położyć sobie na nagrobku: „Tu spoczywa Eschylos, który walczył z wrogiem na polach Maratonu.“

Dalej znowu stratega Sofokles powracając z jakiej morskiej wyprawy, daje przedstawienia swoich tragedyj i w potrzebie sam gra rolę, nawet kobiecą, jak o tem jego żywot wspomina.

Rzeźbiarz Sokrates bije się pod Delium, a wróciwszy przechadza się po placu publicznym i prowadzi rozmowę o Bogu i człowieku z otaczającym go tłumem. Słuchaczami jego, a często i oponentami są szewcy, przekupnie owoców, malarze, jakiś atleta, który później był poetą i nazywał się Eurypidesem. Rozmowy te spisywali przysłuchujący się jej młodzieńcy; z tych jeden był później hetmanem i historykiem odwrotu dziesięciu tysięcy Greków — a inny, młody rzeźbiarz, przytem muzyk, a nawet w potrzebie handlarz oliwą, i nazywał się Platon.

Dziwne pojęcia miał ten lud ateński o zawodzie artysty i myśliciela i o funkcji geniuszu. Nikt tam nieupominał

się o wyjątkowe stanowisko dla talentu lub geniuszu, o prawo wyłączające go od ogólnej pracy, jako istotę wyższą od innych śmiertelnych, i nie mającą nic wspólnego z powinnościami ciężącymi na współobywatelach. Zresztą w Atenach talent lub geniusz nie był jakąś osobną profesją; a mimo tego podziwiano go, zapewniając mu nieśmiertelną pamięć; atoli geniusz nikogo nie uwalniał od obowiązków społecznych, a głównie od pracy. Ateny miały wielką cześć dla pracy. Było to w tradycyi helleńskiej. Dawno już Hezyod powiedział: „Takiego nienawidzą Bogowie i ludzie, co żyje bez pracy, podobien do trutni wyjadających skrzętnym pszczołom miód zapracowany.“ (Prace i dnie). Solon uprawnił tę starożytną tradycją i ustanowił, aby każdy obywatel umiał jakie rzemiosło. Próżniactwo podlegało karze, pracowitość odbierała nagrodę. Najbieglejszy w swoim rzemiosle miał zadarmo obiad w prythaneum i miejsce zaszczytne na wiecach publicznych. Stoiczny poeta Kleantes z Assos, który napisał pełen wzniosłych myśli hymn do Zeusa, pracował po nocach, aby na życie zarobić, i służąc u ogrodnika nosił mu wodę. W dzień filozofował, w nocy był także filozofem. Zresztą niepojmowano, żeby geniusz był na zawołanie o każdej dnia chwili. Wiedzano dobrze, że natchnienie nawiedza najlepiej nawet usposobionego człowieka w pewnych tylko momentach, kiedy reszta godzin życia należała do powszednich obowiązków, przy których umysł mógł wypocząć, i znowu być zdolnym do tworzenia.

Niedość na tem; w dziwnem tem mieście literatura podlegała warunkom tak odmiennym od przyjętych u nas; geniusz nie tylko musiał się dzielić z najprozaicznijszem zatrudnieniem, lecz jeszcze był pozbawiony jednego z najdzielniejszych środków dźwigania literatury i sztuk pięknych, jaki się praktykuje w nowożytnym świecie — to jest protekcji i protektorów.

Przywykliśmy wiek wielkiego rozkwitu literatury i sztuki w Grecyi nazywać wiekiem Peryklesa, podobnie jak Augusta w Rzymie; atoli protekcya, jaką Perykles dawał swego czasu poetom, uczonym, sztukmistrzom wcale była innego rodzaju niż ta, jaką dawał August lub Mecenasy. Perykles nie miał w Atenach innej powagi, prócz porywającej

wymowy. Jeżeli chciał funduszu dla Fidiasza, aby mógł dokończyć Partenon, odwoływał się do zgromadzenia ludu, a ten dopiero głosował, uchwalając taki fundusz, lub odrzucając go. Wpływ zatem Peryklesa na wiek noszący jego nazwisko, wcale był niepodobny do nowożytnego protektora. Wszchemocność Peryklesa była tylko wynikiem jego wymowy, a nie powagi urzędowej, bo nawet nie był archontem. Trafnie tu da się zastosować słowo Eurypidesa w He-kubie, kiedy mówi: „przekonywające słowo, wszchwałdzca ludzi.“ W rzeczy samej Ateny były miastem „przekonywającego słowa“ tak jak Rzym najczęściej był miastem siły.

Perykles czerpał powagę ze swego charakteru i daru słowa, i używał jej na dobro sztuki i sztukmistrzów.

Raz tylko zachciało się mu odegrać rolę protektora i mieć na swoje usługi nie poetę, lecz filozofa, z którym się naradzał w ważnych okolicznościach; tym był Anaxagoras. Protektor namówił go, żeby porzucił kawałek roli, która go żywiła, bo on sam miał zająć się jego utrzymaniem. Ale protektor prędko jakoś zapomniał o filozofie, a ten popadł w taką nędzę, że z rozpaczki postanowił zagłodzić się na śmierć. Dowiedziawszy się o tem Perykles pospieszył doń, aby go odwieść od samobójstwa, i zastał leżącego z głową w płaszcz owiniętą, jak zwykle robili Grecy, kiedy mieli umierać. Ujrzawszy go Anaxagoras, rzekł słabym głosem: „Peryklesie! komu potrzeba lampy, niepowinien zapominać i o oliwie.“

Krom tego jednego przypadku, o jakim mówi Plutarch, nie mieli Ateńczycy pretensyi do protegowania myśli. U tego artystycznego ludu geniuszem nazywało się natchnienie mimowolne, niespodziane, coś jakby obecność przelatującego Boga w człowieku. Któżby się ośmielił protegować Boga? małożto ubóstwiać Go w jego objawieniu? Tak oni pojmowali płody swoich wieszczów, i do tak wysokiego odnosili je źródła. W Rzymie i później, aż do naszych czasów poeta musiał już zrobić się klientem możnych protektorów, i często służyć nie swojej, ale ich myśli. W Atenach obchodził się bez tego wszystkiego, i dziwnym sposobem nie cierpiał nędzy, ani na nią narzekał, ani ubolewał nad straconą łaską.

Nigdzie greccy poeci dobrego czasu nie jęczą nad swoją biedą, ani opłakują swoich Chattertonów-Klonowiczów.

Nie sądźmy jednak, żeby w Atenach poeta dramatyczny nie miał nagrody za swoje prace. Poeta upoważniony przez rząd do przedstawiania swych sztuk, który był zarazem i autorem, i dyrektorem, a niekiedy i aktorem, miał udział w zbiorowym dochodzie z przedstawień; w Atenach bowiem miejsca w teatrze były płatne, a nie jak w Rzymie bezpłatne. Opłata wynosiła obola od osoby; dawniej, póki zamiłowanie teatru nie rozszerzyło się w publiczności, wstęp kosztował drożej, bo jedną drachmę.

Ateny we wszystkim były polem walki i współzawodnictwa, nawet w dramacie. W pewnej oznaczonej porze roku poeci przedstawiali swoje sztuki przed publicznością, a sąd przysięgłych złożony z pięciu osób wybranych losem wyrokwował, komu się należy wygrana.

Współzawodnictwo między wędrownymi śpiewakami utrzymywało się od najdawniejszych czasów nawet u ludu wiejskiego; obyczaj ten odbił się później w tak zwanych idyllach będących wyrobem wykwintnej cywilizacji; są to poetyczne zmyślenia na tle przechowującej się tradycji. Rzecz pewna, że w pierwotnych wiekach Hellady, po miasteczkach i siołach Attyki przechadzali się poeci i walczyli ze sobą o lepsze wobec zebranej drużyny, która ich sądziła i obdarzała nagrodą. I tak pasterze kóz po górach dawali zwycięzcy kozę, a winiarze z góry Ikaru ubożsi czy mniej wspinali, płacili czarą słodkiego wina i wieńcem bluszczowym. Później, w wiekach rozkwitu Aten, kiedy się uregulował zwyczaj zapasów dramatycznych, a nawet zamienił się w instytucją publiczną, zdaje się, że sąd przysięgłych sądzący doraźnie przedstawioną sztukę i to pod żywym wrażeniem widzów, mógł czasem się mylić podobnie jak publiczność. Atoli o pomyłkach jego mało wiemy, a zresztą łatwo dałyby się uniewinnić. O jednej tylko wspominają pisarze starożytni; między innymi Diodor powiada, jako Dionizy tyran Syrakuzy miał manią robienia wierszy, nieszczęściem nic niewartych, a mimo tego zawsze je posyłał na konkurs ateński; wielokrotnie odrzucony, nie tracił nadziei, że kiedyś będzie przyjęty. Stałość ta, czy natrętny upór, spra-

wily, że go raz uwieńczono. Czy sędziowie dali się przekupić, czy też ulegli wymaganiom dyplomacyi, żeby potężnego pana nie obrazić? niewiadomo. Dość na tem, że chociaż publiczność śmiała się z tego uwieńczenia, niebawem przyklasnęła mu, jak tylko dowiedziała się, jaki sprawiło skutek. Dyonizy bowiem ucieszony ze swego wierszopiskiego zwycięstwa tak się uraczył, że aż z niestrawności ducha wyzionął. Odebrawszy tę wiadomość Ateńczykowie, mówili: „Och! czemuż nieprzewidzieliśmy tego przypadku! Dyonizy nie byłby czekał tak długo, i Syrakuzą od dwudziestu lat byłaby wolną.“

Postronni poeci rzadko stawali w rzędzie współzawodników; wogóle współubiegali się sami tylko współobywatele ateńscy, przynajmniej w rodzaju tragicznym, albowiem nie pokazuje się, aby po za obrębem Attyki uprawiano ten rodzaj poezyi.

Osobliwa rzecz, jak lud, poczytywany za bardzo lekki, umiał tak doskonale oceniać poważne utwory, co trzebaby przypisać tej rzadkiej okoliczności, że tam zlały się w jedno dwa odrębne żywioły, to jest: gmin i publiczność. W Atenach, jak się pokazuje, gmin był publicznością, czego nigdzie nie było i nie ma. Teatr Dyonizosa mógł pomieścić dwadzieścia tysięcy ludzi; a wszyscy interesowali się poezją i sztuką, i każdy był jakby urodzonym artystą, co nawet przebija się w ogólnym ustroju i zwyczajach.

Na kawałku ziemi mającym kilkanaście mil długości i tyleż szerokości mieszkał lud, któremu z trudnością przychodziło wyżywić się, ale który zdawał się nie dbać o dobrobyt materialny, tak dalece zaprzętała go czynność umysłowa. Na skąpym gruncie ciało nie opływało w rozkoszy, za to myśl bujała. Nieco wzgórków, nieco słabo sączących się potoków, wogóle grunt suchy i ogołocony; tylko tu owdzie bukiety mocno woniących krzewów i ziół, dających wyborny karm dla pszczoły; zresztą nic oka nie bawi, ani uderza wielkością, jedno tylko morze porywa myśl i rozszerza ją do nieskończoności; a morze to Salaminy pełne patryotycznych wspomnień, a nad tem wszystkiem owe z niczem nierównane niebo, które w poezyi ateńskiej zawsze odbiera ostatnie pożegnanie tak od umierającego herosa, jak od umie-

rającej dziewicy; i to powietrze tak płynne, tak czyste, tak świetlane, że z konturów architektury lub rzeźby nic w niem nie ginie, że każdy głos staje się donośniejszym.

Tak przynajmniej turyści opisują nam niebo Attyki, i nie mamy przyczyny zaprzeczać im, kiedy tyle cudów poezyi i sztuki odegrało się pod tem niebem.

Wszystko tam było nastrojone do życia publicznego.

Aż do czasów Peryklesa, a nawet i po nim, domy w Atenach wyglądały jak nędzne klitki, w których nie lubiano przesiadywać; jaki taki uciekał z tych „czarnych dziur“ i wynosił się na świeże powietrze. Ateńczyk nie lubił zamykać się w czterech ścianach. Jedne tylko świątynie i gmachy publiczne, należące do wszystkich, odznaczały się wspaniałością architektury. Ściśle rzecz biorąc w skład Aten wchodziły tylko trzy rzeczy: świątynia, teatr i plac publiczny czyli religia, sztuki piękne, wolność, bo co do reszty miasta, niema o czem i mówić, gdyż prawie go nie było. Młodziejsi obywatele zamieszkiwali zwykle poblizsze wioski, ocienione drzewami wyhodowanymi z ogromnym trudem. Jak u nas na północy życie upływa między czterema murami, tak przeciwnie w Grecyi wszystkie czynności odbywały się pod gołym niebem.

Sokrates przechadzając się po przylądku Sunium bitym falami, rozprawiał z przyjaciółmi i uczniami o najwyższych prawdach; niekiedy usiadłszy pod cieniem platanu, mędrzec nauczał, a głosowi jego wtórował „chór polnych koników.“ Nawet i regularne nauki szkolne odbywały się na wolnem powietrzu. Uczony Pauw w dziele swoim: *Badania filozoficzne o Grekach*, powiada: „Ogrody filozofów rozciągały się na ćwierć mili kwadratowej ciągnąc się od brzegów Ilissu aż do Cefizu. Epikurejczycy zajmowali środek; uczniowie Platona od północy, a Arystotelesowi od południa. Tak bliscy sąsiedzi żyli jednakże w zgodzie, nie zazdrościli sobie, chociaż jeden system od drugiego dzieliła aleja oliwników lub gaik mirtowy.“

Wiemy z klasyków greckich, jak namiętnie Ateńczycy kochali się w kwiatkach, w tych osobliwie, które rodziła ich uboga ziemia; róże i fiołki były w powszechnem użyciu,

miały one nawet stronę użytecznie praktyczną. Wieńce nie służyły tam tylko do ozdoby, lecz i do ubrania. Wieniec odznaczał urzędnika. Na biesiadach wieńczono się kwiatami. Sławne są przecież róże, które tak lubił i tak opiewał Anakreont, kwiatami strojono głowy idąc do świątyni; a nawet niewolnik, dopóki chodził w wieńcu, nie mógł być bity przez swego pana. Wyrażenie Pindara: „pięknie wieńczone Ateny“ nie jest bez znaczenia, bo maluje to, co było; nie tak, jak w nowożytnym świecie, gdzie ciągle używa się wyrażen: został uwieńczony, otrzymał palmę, uderzył w struny swej liry itp. a tego wszystkiego nie było w rzeczywistości, bo my tylko pożycziliśmy od starożytnych ich język, ale nie wzięliśmy rzeczy.

Jeżeli się zapytamy, dlaczego w Atenach tak nagłym i prędkim był rozkwit poezji dramatycznej? nie możemy tego sobie inaczej wytłumaczyć, jak że ten rodzaj wymaga słuchaczy, którzyby na równi stali z poetą. Dlatego też dramat grecki nie miał nic abstrakcyjnego, nic wykwinicie czułościowego, nie zamykał się w niedostępnej sferze psychologicznych zaciekań. Przeciwnie krąży w nim świeże powietrze i światło; ma w sobie coś słonecznego; jakaż bo tam gra kolorów pomieszana z grą najrozmaitszych tonów! Nawet poezja szydebną Arystofana; chociaż brnie po pas w śmieciu i błocie, lubi odetchnąć niekiedy świeżem powietrzem i wyciągnąć ramiona do poetycznego ideału.

Zazwyczaj najgłówniejsze przedstawienia sztuk dramatycznych przypadały w Atenach w miesiącu marcu; czuć to, jeżeli się nie mylę, odczytując greckie tragedye jakiejkolwiek treści, że w nich przeciąga jakby świeże i wonne tchnienie wiosny. Co chwila spotkać tam jakiś obrazek z natury wzięty, jakieś przypomnienie wrażenia odebranego pod otwartym niebem.

Atoli mówiąc tylko o samej tragedyi i o tych śmiałych rzutach, jakie się często w niej spotykają, wprawiając nas w podziw, śmiałości te mają właściwy sobie urok, urok naturalności, nie wiedzącej o sobie, a tem samem nie obrachowanej na efekt. Całkiem przeciwnie, jak się dzieje w utworach poezji nowożytnej, gdzie podobne śmiałości najczęściej są z góry obmyślane, z pewnością, że muszą sprawić wrażenie.

Z Eschylosem, Sofoklesem, Eurypidesem urodziła się poezya dramatyczna, i jak dobrze powiedział Schlegel, wyszła na świat cała zbrojna jak Pallas z głowy Zeusa. Nowy ten świat ukazał się w całej pełni rozkwitu, niby pierwszy poranek raju. Ta młodzieńczość natchnienia, połączona z największą różnaitością, sprawia, że tragedję grecką można uważać za najwspanialszą i najoryginalniejszą kreacyą. Wszystko się w niej znachodzi, jak wrząca namiętność, tak żywość kolorów, jak wysoka mądrość, tak i poufała prostota. Nie to jej główną zaletą, że poeta ciska między gmin poważną naukę historyi, polityki, moralności, religii, rzecz bowiem łatwa do zrozumienia, iż wobec publiczności, dla której dramat ma znaczenie instytucyi narodowej, poeta pojmuje swoją majestatyczną rolę i stara się podnieść do wysokości obowiązku. Niedarmo Aristofanes mówi w *Żabach*:

„Nauczycielem dorosłych jest poeta“.

To pewna, że tragedia grecka przejęła się powołaniem do wielkiego posłannictwa: umiała być i wykształcicielką i nauczycielką ludu. Łączy też ona wszystkie rodzaje poezyi: epopeję, idyllę, odę, a nawet satyrę, bo lud ateński tak samo nie umiał rozgatunkowywać rodzajów w poezyi, jak w życiu społecznem nic nie wiedział o tak zwanych specjalnościach.

W Atenach rozwijał się geniusz swobodnie, na wolnem powietrzu. I dlatego był twórczym, więcej twórczym niż gdziekolwiek i kiedykolwiek indziej, ma się rozumieć, w rzeczach umysłowych. O nim to, a nie o macedońskim zdobywcy dałoby się powiedzieć, że po nim zostało mało już co do zrobienia. Dramat, wymowę publiczną, nauczanie filozoficzne, sztuki piękne, wszystko to on stworzył. Grecya była szkołą ludzkości. Dziś jeszcze żyjemy jej tradycyą, jej przykładami; a ta żywotność myśli o wiele jest potężniejszą niż życie niejednego z dzisiejszych narodów, które albo zbyt ruchliwe, lub ospałe, umieją niszczyć, ale tworzyć nie są w stanie. Grecya — to matka idei zapładniających. Od czasu jej nie zdobyto się na twórczość, prócz w szczegółach: coś tu owdzie zmieniono, poprawiono, dodano jaką drobną ozdobę, ale kanwa ateńska została; albowiem choć niejedno

urodziło się po za obrębem tej republiki, umiała ona wciągnąć w siebie mocą niczem niedającej się odwrócić atrakcyi. Któż zebrał rozpiezchłe pieśni Homera, jeśli nie Ateny? Na tejto swobodnej ziemi filozofowie porodzeni na wyspach lub w koloniach na brzegach Azyi, myślą grzebią w zagadkach życia i przyszłości, i składają jej w hołdzie swoje systemata; słowem myślą dla niej, a przez nią dla całego świata. Gdzież, jeśli nie w Atenach Arystoteles umiejętność bierze w karby metody; Epikur ogłasza naukę rozkosznego żywota, Zenon obowiązku. Chociaż gdzieindziej udało się znaleźć jaki cenny kruszec, zawsze Ateny muszą wycisnąć na nim swoje piętno, skontrolować go i puścić w świat, jak monetę bitą dla przyszłości. Nieraz już próbowano porównywać epokę rozkwitu umysłowego Aten z innemi epokami literackimi — atoli zapomniano, że Ateny zawsze mogą mieć prawo upomnieć się o zabraną im własność; kwiaty bowiem wyhodowane w cieplarniach, choćby z największem staraniem, nigdy nie potrafią sprostać tym cudownym kwiatom, które zrodzone pod gołym niebem i na właściwym sobie gruncie, są płodem natury, a nie mozolnej kombinacyi ludzkiej.

Mniemam, że na tem tle choć pobieżnie rzuconem, łatwiej da się pojąć i sam dramat Sofoklesowy, i sam poeta.

III.

Profesor Zygmunt Węclewski, zaszczytnie znany filolog, przyjął na siebie niemałej wagi zadanie, przetłómaczenia tragiczków greckich: Eschylosa, Sofoklesa i Eurypidesa, przez co ma zapłacić brak, dotąd niezapłacony w naszej literaturze, a wcale dla niej niezaszczytny. Hr. Jan Działyński, właściciel sławnej Biblioteki kórnickiej, ofiarował opiekę swoją nad tem wydawnictwem greckich i łacińskich klasyków, na nieszczęście nieponętnych dla naszych księgarzy wydawców, którzy podejmują się wydań tylko takich książek, co wróżą natychmiastowy i prędki pokup. Znalazł się przeto szlachetny Mecenas niecofający się przed ofiarnością,

aby przynieść współziomkom to, czego nie mają, a co uznał za potrzebne.

Prof. Węclewski zaczął od tragedyj Eschylosa, i tom ten wyszedł przed dwoma laty, a w roku zeszłym ukazał się tom drugi: Tragedye Eschylosa. Brakuje tylko Eurypidesa, lecz i ten pospieszy za drugimi — i tym sposobem luka ta zapełnioną zostanie. Praca łamania się z każdym pisarzem starożytnym należy do najmozolniejszych zadań literackich. Któż o tem nie wie, a jednak nie bywa ona cenną — na miarę swojej wartości. Nowożytny czytelnik wymaga przedewszystkiem, aby tej pracy nie było znać w dziele, bo woli, aby mu lekko przyszło poznanie się z dziełem; trud myślenia odstrasza go. Z tego powodu, jeżeli starożytny utwór ma znaleźć czytelników, a właśnie o to najwięcej idzie, aby ich znalazł, okazała się nieodzowna potrzeba dwojakiiego rodzaju tłumaczeń: jednych, dosłownych, ściśle trzymających się porządku wysłowienia oryginału; drugich literackich z cechą stylu i tonu wyrobionego i nastrojonego do tonu i stylu autora, którego się przenosi na język nowożytny. Na pierwszy sposób wystarcza dobra, jędrna proza, na drugi, jeżeli się ma do czynienia z poezją, potrzeba wiersza, mniej więcej tej formy co w oryginale, a nadewszystko poetycznego natchnienia.

Jeżeli rzeczywiście idzie o to, aby tłumaczenie nie było abstrakcją, lecz wnikło w świat czytający, niezbędnym jest drugi z powyżej przytoczonych sposobów; jeżeli zaś ma służyć za pomocniczą wersją dla uczących się greczyzny, pierwszy wystarczy, a nawet, jak mniemam, przekład prozą jasno się wyrażającą, żywą i ukolorowaną, pociągnie nietylko studenta, lecz i każdego co ma chęć zaznajomienia się z autorem starożytnym.

Inny jest jeszcze sposób, który nazwałbym: materyalnie wiernym. Zasada się on na tak ścisłym trzymaniu się tekstu, że nie pozwala tłumaczowi myśleć w swoim języku, czyli mówiąc jaśniej, wyrażać myśl obcą naturalnym tokiem tego języka, którym tłumaczy. Z tego dobrowolnego poddania się wzorowi wynika ta niedogodność, że się otrzymuje słaby odcisk, i często tak zatarty, iż się w nim połapać nie można, a czytelnik pyta sam siebie: gdzież się podziały te

nieśmiertelne piękności, jakie spodziewałem się znaleźć? Tymczasem wszystko tu jest powtórzone i to ze skrupulatnością, co tylko ma oryginał; bo i miary wiersza, i porządek słów, ich przerzutnia, nawet harmonia — a jednak czytelnikowi nie wpada to do ucha, nie trafia do pojęcia, dezoryentuje go, męczy. Słyszy on brzmienie ojczystych wyrazów, ale te w takim idą szyku, tak się dziwnie grupują, że mu nie rozjaśniają ani myśli, ani w czystych konturach nie przedstawiają obrazu. Nareszcie przy bardzo natężonej uwadze, gdy schwyci jaką myśl lub obraz, cieszy się nimi, lecz powiada sobie: piękne to, ale czyżby się nie dało inaczej wyrazić, żeby wprost trafiało do mego pojęcia, oszczędzając mi trudu odgadywania. Przecież dzieło sceniczne z natury swojej wymaga jasności i potoczystości dykcji; i zapewne tego domagała się ateńska publiczność. Zapewne; lecz z drugiej strony tyle lat przedziela nas od greckich tragików, świat w nich przedstawiony tak od naszego odmienny, jak odmiennym jest charakter umarłego języka, który ma odżyć w naszym. Zresztą trzeba i o tem niezapominać, że tragedye Sofoklesa nie odznaczają się łatwością jasnego języka; używa on często wyrażen w znaczeniu więcej etymologicznem, niż w znaczeniu potocznej mowy, tak iż umysł musi pracować, aby z pod tej warstwy wygrzebać istotną myśl poety. Nie ma on ani tej jasności, ani płynności, jakiej wymagać można od scenicznego pisarza, aczkolwiek i on ma miejsca, w których widocznie chciał rywalizować z Eurypidesem łatwością dykcji i bogactwem wymowy.

Wzgląd na tę okoliczność zniewala do złagodzenia zdania o naszym tłumaczu tragików greckich, który miał do walczenia z ogromnemi trudnościami nie zawsze jasno wyrażającego się tekstu; lubo z drugiej strony, to, co nam dziś wydaje się zawile w słowie, leżącym jak gruba warstwa nad skarbem myśli poety, mogło być odkopaniem jak ów Schliemannowski „Skarb Pryama.“ Tragedye Sofoklesa nie straciłyby na tem, gdyby się dało ożywić je, a nie zabalsamować. Nie straciłiby na tem i dzisiejsi czytelnicy, gdyby pomysły poety ubrały się w przejrzystą sukienkę słowa. Nie przechodziłoby to możliwości tłumacza znającego wszystkie bogate własności naszej mowy, dającej się łatwo nagiąć do

trudnych wymagań, bez utracenia właściwej sobie cechy. Nie ma bowiem tak skomplikowanego pomysłu, ani formy, w której tenże byłby odlany, żeby się to nie dało odcisnąć w naszym języku, z dziwną swobodą zorganizowanym. Na to jednak potrzeba pewnego wyzwolenia się z pod litery tekstu, żeby nie być jego niewolnikiem, lecz panem; a raczej jednocześnie niewolnikiem i panem, bo tylko ten stosunek zdolny jest życie dać temu, co dzisiejszością żyć nie może. Poezya ma moc robienia tego cudu, a tego żywiołu nie brak przecież w Sofoklesie; inaczej niktby o nim dzisiaj nie słyszał, jak nie słyszymy o tylu innych, którzy jej nie mieli. Przez poezję rozumiem tu nie jakieś poetyzowanie na tle myśli Sofoklesowej, lecz ściśle jej oddanie poetycznym językiem. Pojmuję zaś ten język, kiedy go używamy do tłumaczeń, w ten sposób, że nie każde wierne powtórzenie słów oryginalnego tekstu jest tem samem wiernym odciskiem myśli autora, a właściwie jego poetycznego uczucia. Aby takowe osiągnąć, potrzeba wyrobić sobie styl odpowiedni, wziąć pewien ton, któryby harmonizował z tekstem, gdzie duch jest uwięziony w słowach; powtórzenie ich bowiem materyalne, literalne, jeszcze nie oddaje ducha.

Dość wziąć pierwszy lepszy wiersz z poezji jakiego klasyka i próbować go przepolszczyć. Czyliż ón nieda się wyrazić kilkoma sposobami? Zapewne; ale z tych kilku sposobów, jeden będzie tylko dobry, ten właśnie, który najnaturalniej i najdosadniej odda to, co autor chciał wyrazić, i wyraził po swojemu, lecz nie po polsku. Tłómacz Sofoklesa, wydając swoją pracę, więcej patrzył na tę materyalną niż duchową wierność. Ubieganie się jego za oddaniem każdego wyrazu tak obciążało dykcją, że czytelnik wciąż musi walczyć ze sobą, aby tym wyrazom nadać tok i zwroty właściwe, i dopiero pojąć, jaki pomysł lub obraz w nich siedzi. Dobieranie archaizmów lub gminnych prówincjonalizmów nie przyczynia się do wyjaśnienia rzeczy, ani też nadaje cechę polskości stylowi podartemu, bo niezwiązanemu logicznym ciągiem idących po sobie perycdów. Tłómacz użył trzynastozgłoskowego, bezrymowego wiersza, chcąc w przybliżony sposób oddać formę oryginału; piękna, poetyczna proza Irydyona lub Nieboskiej byłaby mu lepszą oddała

usługę. Najgorzej jednak wypłaciły się mu rymy, których użył w chórach i miejscach lirycznych; jest to prawdziwy zgrzyt Eumenid, a nie liryka słodko-brzęczącej pszczołki attyckiej.

Naprzykład weźmy pierwszy lepszy: śpiew choru:

Świetne przemożna Cypryda
 Zwycięstwo zawsze odnosi.
 Wzdy bogów dziejów nie głosi
 Śpiew mój: ni jako Kronida
 Lub Hades, mocarz ciemności,
 Albo Pozejdon, co ziemię
 Wstrząsa, we wniki miłości
 Wpadli, nie, słuszniej zaniemię!
 Lecz tych, co silnemi członki
 O rękę onej małżonki
 Dobijali się, i w boju
 Kułakowym otoczeni
 Pyłu chmurą, pełni znoju
 Starli się, włoży do piersi i t. d.

Pod tą warstwą zawiłych ciężkich wyrażen, obranych ze stylu poetycznego, spoczywa wiele pięknych rzeczy, które oddane innym językiem musiałyby przywiązać czytelnika. Wogóle płacze się w tym przekładzie mnóstwo przyimków, zaimków, przysłówków, łączników, wykrzykników, często niewłaściwie i nietrafnie użytych.

Oto są niedostatki tego tłumaczenia. Stokroć dla mnie przyjemniej byłoby mówić o jego pięknościach przez sam wzgląd na zasługę w podjęciu się tak ogromnej i tak męczącej pracy jak spolszczenie teikoin greckich, tem bardziej, że wydanie to ma bardzo wiele naukowych zalet. Oprócz wiadomości biograficznej o Sofoklesie starannie zebranej, oprócz poglądu krytycznego na dzieła Sofoklesa, który wyborne zawiera postrzeżenia, każda z siedmiu tragedij opatrzona jest wstępem, który przechodzi scenę po scenie, i niejako przygotowuje do spotkania się z samą tragedją. Na koniec do wszystkich sztuk dodane są *Uwagi i objaśnienia* tak filologiczne jak starożytnicze.

Nie można pod tym względem nic zarzucić staranności wydania. Widać, że tłumaczowi szło więcej o balast erudycji klasycznej, niż o śmiałe puszczenie Sofoklesowej łodzi na wody poezji polskiej. Nie przeszkadza to jednakże praktycznej użyteczności jego dzieła; nie tylko niepodobna zaprzeczyć, ale je owszem polecić wypada jako rzecz gruntownie obrobioną.

Co do pisarskiej obfitości Sofoklesa, która mogła współzawodniczyć z najobfitszymi pisarzami dramatycznymi dawnych i nowszych wieków, tyle możemy powiedzieć, że w ciągu długiego żywota; poświęcał się, jak podają, dramatycznemu zawodowi przez lat 63, i w tym długim okresie napisał coś około 131 dramatów, z których późniejsi krytycy odcieśli kilkanaście uważając je za apokryfy, Zostaje jednak dość imponująca liczba, bo przeszło 100. Domyślam się, że wartość tych utworów nie musiała być równa, kiedy z tej ogólnej sumy niezmiernie większa część przepadła bez śladu, a zachowało się dla potomności, tylko siedm tragedyj, idących po sobie w tym porządku, w jakim je podał rękopis ^{Laurentyński} (Medyceuszów). I tak: 1) Ajas 2) Dziewice Trachińskie 3) Filoktet 4) Antygona 5) Król Edyp 6) Edyp w Kolonos 7) Elektra. Ten porządek zachował tłumacz; w tymże porządku przebiegniemy każdą z osobna, wykazując jej budowę i zatrzymując się nad temi pięknościami, które Sofoklesowi dały nieśmiertelność, a stworzyły mnóstwo naśladowców we wszystkich wiekach i narodach, zdolnych do pochwycenia nici helleńskiej tradycji. To bliższe rozpatrzenie się w utworach wielkiego tragika, może oraz stać się zachętą dla czytelnika, że ten nie litując trudu, weźmie się do studyowania przekładu polskiego, nie dając się odstraszyć trudnościom, jakimi zraża i nuży chropawy i nienaturalny język, aczkolwiek powiada sam tłumacz (karta XXIII) że „w języku i wysłowieniu poety najpiękniejsza jest równowaga siły i wdzięku, jędrności i słodczy,”

IV.

„Treść do dramatów — powiada prof Węclewski — brał poeta z podań odnoszących się do wojen trojańskiej i tebańskiej

skiej, ale i attyckie podania, jakoteż z patryotycznych pobudek dzieje Salamińskich bohaterów niemniej często stanowiły osnowę jego utworów.“

Znany nam myt z Homera i Owidyusza o Ajasie, jest przedmiotem tragedyi tego nazwiska. Znamy już charakter tego bohatera, gwałtowne i dzikie jego męztwo, wybujałą pychę posuniętą aż do bluźnienia bogom, zgubną kłótnię z Odysseusem o zbroję po Achillesie, a nakoniec samobójstwo, na które sam się skazał z rozpacz. Ostatnie te momenta bierze Sofokles przypuszczając, że Ajas po sędzie wodzów greckich i po tryumfie jego współzawodnika Odyssa, zerwał się w nocy i w napadzie szaleństwa wyszedł szukać zemsty za doznaną obelgę. Atena opiekująca się greckimi wodzami, pomieszała mu zmysły, a on zamiast mordować Atrydów i Odyssa, mordował bydło i trzodę. Po tej rzezi wrócił do swego namiotu wlokąc za sobą jeńce, byki i owce, aby dalej pastwić się nad nimi, jakoż:

Tym łby ścina, owym dławiąc łamie kregi
I zabija; a innym skrępowanym chłostę
Daje, i we krwi trzody, by mężów, się pławi.

Nagle jednak wraca do opamiętania się i dopiero widzi, w jaką przepaść wtrącił go gniew bogów... Zmierzywszy ogrom swojej niedoli, postanawia odebrać sobie zhańbiony żywot. To postanowienie i wykonanie rozwinął poeta w tragedyi.

Z pierwszych słów prologu wiemy już, o co idzie, i jesteśmy zaciekawieni, jak się to dalej rozwinie. Poeta chciał odmalować w Ajasie uczucia obrażonej pychy, namiętność zemsty posuniętą aż do szaleństwa, lecz to wszystko uszlachetnił wprowadzając bóstwo obrażone, które karze występnego, i obudzając litość nawet w sercu wroga na widok tego nieszczęśliwca.

Sam dramat zaczyna się od przebudzenia Ajasa; już on widzi, w jakie popadł nieszczęście, z którego niema dla niego innego wyjścia, jak „piękną śmiercią zginąć,“ bo już mu niepodobna „żyć pięknie.“ W tem, co mówi, znać jeszcze resztki obłąkania a stan jego duszy podobny do morza nie

mogącego się uspokoić po burzy. Omylona zemsta, radość ztąd jego nieprzyjaciół, wszystko to miota nim jeszcze, aż wytrzeźwiony narzekaniami swych towarzyszy, widokiem pomordowanych zwierząt, wraca do przytomności i poznaje swą niemoc i hańbę, co go wprawia w niezmierną boleść, którą geniusz poety umiał pogodzić tak z bajeczną wielkością bohatera, jak z ogromem jego nieszczęścia. W tym wybuchu rozpaczliwych wyrzekań, widać już twarde postanowienie, jakie ma się niebawem spełnić. Z razu są to tylko patetyczne pożegnania, żalosne wykrzyki, smutne lub uroczne obrazy świata, z którym się rozstać mu przyjdzie; odtąd ciemności Erebu będą dlań jedynem światłem. Nie jest to jednak paroksyzm rozpachy, lecz rozmyślne postanowienie szukania w śmierci ucieczki od hańby. W pięknem tem stopniowaniu uczuć Grecy byli mistrzami.

Tekmessa, małżonka Ajasa, zaklina go, aby żył dla starego ojca i matki, którzy tęsknią za jego powrotem; aby żył dla syna i dla niej samej, którą chce osierocić i wystawić na obelgi wrogów; on jej przecież wydarł wszystko, a ona mu oddała całą swoją miłość. Miejsce to przypomina Andromachę, zatrzymującą u bram Ilionu małżonka swego Hektora, którego zgon przeczuwa. Ajas nic nie odpowiada, tylko chce widzieć swego syna, lecz dowiaduje się, że dziecko oddalono w słusznej obawie, aby nie patrzyło na szaleństwo ojca. Patetyczny to obraz, wzruszające położenie dziecka, które nie może pojąć ani tych scen okropnych, ani zrozumieć łez matczynych, ani tych przestróg, jakie da mu ojciec przed śmiercią. Kiedyś, po latach przypomną mu ten moment uroczysty, i moment ten w jego pamięci odżyje.

Ajas swego syna poleca Teukrosowi bratu swemu; on go ma wychowywać. Syn odziedziczy po nim jego zbroję i tarczę, a inne oręża mają być razem z nim złożone w mogile. Rozporządziwszy tak, każe dziecko oddać, odpycha czule błagania Tekmessy i kryje się w namiocie.

Twarda ta i niezłomna dusza mięknie jednak na głos natury, uczucia ludzkie nie są do niej nieprzystępne. Takie i tym podobne prawdy powszechne nadają charakterom kreślonym przez tragików greckich bardzo silny interes; zawsze

u nich w bohaterze, pół bogu, znajdzie się człowiek, i my się w każdym z nich poznamy; nie masz bowiem ani jednej wielkości, któraby nie miała tych zwykłych, naiwnych uczuć, jakie wszędzie się trafiają między ludźmi. To jednak godne uwagi, że indywidualne piętno charakteru Ajasa daje się dostrzec nawet w tych uczuciach, jakie on ma pospółu z ludzkością; bo jeżeli go wzrusza wspomnienie starych rodziców niepocieszonych po jego śmierci, to znowu wstyd byłoby mu stawać ze czci wyzutemu wobec starego ojca Telamona. Pożegnanie ze synem ma w sobie także coś dzikiego, co odpowiada grubej szorstkości obyczajów; słucha on go o tyle, o ile widzi w nim przyszłego dziedzica swojej sławy i zbroi, a może mściciela. Małżonkę Tekmessę traktuje z surową powagą więcej jak niewolnicę niż żonę. Ledwo w kilku wyrazach zdradza się niejake przywiązanie małżeńskie; ale on za nic wobec obcych świadków nie zdradziłby tej słabości. Ostatnią walkę bohatera stoczoną ze łzami i prośbami żony, zrećnie usunął poeta. Stałość Ajasa odnosi tryumf, ale przez podstęp.

Widzimy go występującego na scenę, na pozór już pogodzonego ze swoim losem; powiada on, że się dał zwyciężyć boleści i przedstawieniom swej małżonki; że gotów poddać się wyrokowi bogów, nawet uwielbiać Atrydów — co jest wyrazem najwyższej ironii. Tak usposobiony oświadcza, że idzie nad brzeg morza oczyścić się z nieczystej krwi, którą przelał, a oraz zagrześć w piasku ten miecz dotrzymany od Hektora, który mu wyświadczył tak haniebną usługę. Na te zapewnienia Tekmessa i chór nie mają nic przeciw jego odejściu, chociaż ostatnie słowa wyszły z ust jego, wróżyły katastrofę:

Ja bo się udam dokąd konieczność mię wzywa;
 Wy czyńcie, co wam każę, a wnet usłyszycie
 Może, żem już z niedoli, jeżeli jaka gniecie
 Mnie jeszcze, towarzysze, całkiem wybawiony.

Wybieg ten maluje niezłomną stałość duszy Ajasa. Zaraz też zmienia się sytuacja; scena staje się widownią przejścia z nadziei do obawy, z obawy do nadziei. Zaledwie bo-

wiem Tekmessa wraz z chórem oddaje się radości wskutek zapewnień Ajasa, kiedy nowe uderzają w nich trwogi. Go-niec donosi o powrocie Teukrosa, który każe pilne oko mieć na Ajasa, bo Kalchas wyróżył, że go czeka los okropny, jeżeli w tym dniu oddali się z namiotu. Na tę wiadomość wszystko spieszy za Ajasem, aby oddalić od niego grożące mu nieszczęście. Tu zmienia się scena, i przedstawia samotną okolicę nad morzem. Ajas wchodzi i zatyka miecz swój w ziemię. Następuje monolog, który możnaby nazwać najgłówniejszą sceną tej tragedyi i w niej, jak w ognisku, skupia się charakter bohatera. Sława jego, hańba, jakiej doznał, powody popychające go do samobójstwa — wszystko tu się zbiega.

Ajas w rozmowie z samym sobą, rad, że się już zabezpieczył, że śmierć może sobie zadać bez przeszkody. Widocznie lubuje się w tem rozpamiętywaniu, bo i żelazo świeżo wyostrzył, i wbił już w ziemię ten miecz dany mn od Hektora, którego nazywa swoim najlepszym przyjacielem. Potem zwraca się do potęg niebieskich: błaga Zeusa, żeby nie dał bezcześcić jego zwłok, i żeby je znalazł brat Teukros i przystojnie pogrzebał.

Dalej zwraca się do Eumenid i zaklina je, aby się jego krzywdy pomściły; a widzowie wiedzą, że te prorocze słowa nie będą próżne, albowiem wszyscy ci, co go zmuszają podnieść na siebie samobójczą rękę, padną pod ojcobójczym ciosem.

W wyzwaniach tych tak naturalnych, tak idących po sobie w prawdziwym porządku, niema nic, coby zakrawało na retoryczne apostrofy; a tem mniej ta, którą zwraca do Heliosa toczącego wóz słoneczny po sklepieniu niebios:

Heliosie, skoro ojców moich ziemię ujrzysz
 Powściągnij złote lejce i o mym obłędzie
 I zgonie, sędziwemu ojcu i macierzy
 Niebodze, daj wiadomość.....
 Ostatni raz i nigdy już później raz drugi
 O światło! o rodzinnej Salaminy niwy
 Święte, przybytku przodków ogniska, o słynne
 Aten miasto i współ wychowany rodzie

I was, zdroje i rzeki tu i pola Troi,
Was, żywicieli moich wołam i wraz żegnam!

Uczucia te i te wspomnienia, mogą zachwiać niezłomnym Ajasem; on je odpycha, a one wciąż wracają, a z nimi urocze obrazy życia, które zamierzył zniszczyć. Nie zapomina on o niczem w tem ostatniem pożegnaniu; dla każdej rzeczy ma łzy, nawet żegna znienawidzonej Troi rzeki i źródła. Prawdziwie słów braknie, ażeby godnie wystawić tą cudną poezją, o której oddanie kusił się niejednen poeta, tak jest porywająca głęboką prawdą. Kiedy kto dziś przedstawia bohatera umierającego na scenie, zwykle każe mu żałować jakiej namiętności będącej bożyszczem jego żywota; i tak jednym żal sławy, drugim zemsty nienasyconej, innym, a to najczęściej się zdarza, miłości. Przeciwnie umierający bohaterowie sceny greckiej żałują całego życia z wszystkimi najpospolitszemi jego powabami, i to właśnie trafia do przekonania tak króla, jak prostytutka. Niedarmo Homer pokazując nam w Hadesie cień Achillesa włożył mu w usta, że ziemską swoją sławę mieniałby chętnie za los prostego chłopca. Wogóle Grecy umieli malować tę słabość człowieka z niezrównanym wdziękiem; umierającemu żal tam najwięcej ubłogosławionej ziemi, gdzie powietrze takie lekkie, światło tak czyste, widnokrąg lśniący bogactwem barw. Trzeba i to dodać, że teatr był pod gołym niebem, a promienie słoneczne często padały z góry i oświecały najtragiczniejszą scenę; musiało to sprawiać ogromne wrażenie, kiedy Ajas okiem w słońce utkwionem wzywał Heliosa, a widzowie idąc za jego poruszeniem, mimowolnie oczy wzniesli ku słońcu, i tym sposobem fikcyę dramatu łączyli z żywą rzeczywistością, przez co złudzenie było zupełnem, bo ich przenosiło w te dawno minione heroiczne wieki. Widzowie mogli się czuć równiennikami tych tragicznych bohaterów dzięki geniuszowi poety i sztuczności przedstawienia.

Tymczasem chór podzielony na dwa orszaki pokazuje się na scenie; jedna część jego szukała Ajasa od wschodniej, druga od zachodniej strony, musiały się przeto obie spotkać w tem miejscu, gdzie Ajas się zabił. Pierwsza Tekmessa postrzegła jego zwłoki, i rzuciła na nie zasłonę. Wtem nad-

chodzi Teukros; przewiduje on nieszczęścia, jakie ściągnie na niego śmierć brata, i wierny jego ostatnim rozporządzeniom, zabiera się uczcić go obrzędem pogrzebowym. Lecz zaledwie przystąpił do religijnego obrzędu, przybywa Menelaos i zabrania pogrzebu.

Tutaj zaczyna się jakby druga sztuka mająca za przedmiot pogrzeb bohatera. Niektórzy krytycy zarzucali Sofoklesowi to przepoławienie tragedyi. Atoli trzeba przypomnieć sobie, jaką to starożytni przywiązywali wagę do pogrzebowego obrzędu, aby zrozumieć, że tam, gdzie się dla nas kończyła tragedia (na śmierci Ajasa), dla ateńskiej publiczności nie była skończoną; brakowałoby jej końca, gdyby nie wiedziała, co się stało z ciałem Ajasa. Tensam lud ateński, który skazywał na śmierć dziesięciu zwycięzkich strategów, za to, że zaniedbali pogrześć żołnierzy poległych w bitwie, nie byłby przebaczył poecie dramatycznemu, gdyby zapomniał o pogrzebie aktora grającego rolę Ajasa.

Rozmowa między Menelaosem a Teukrosem żywo się toczy i przypomina jakby szorstkość czasów homerycznych. Menelaos oddala się, a Teukros zmuszony myśleć o przygotowaniach do pogrzebu, zostawia te drogie zwłoki pod opieką Tekmessy i jej syna.

Lecz oto zjawia się Agamemnon i oto powagą swoją popiera dumne groźby swego brata Menelaosa. Wraca się Teukros i stawia dzielny opór tyranicznej potędze króla krolów. Obaj Atrydzi wybornie tu scharakteryzowani; w jednym powaga i moc rozkazu prawdziwie hetmańska; w drugim uniesienia władzy i nienawiści podrzędnej. Teukros obydwom stawia czoło i rozwija heroiczną odwagę i poświęcenie się w tej nierównej walce, w której zapewne byłby upadł, gdyby mu pomoc nie nadeszła ztamtąd, z kąd się jej najmniej spodziewał, to jest od Odyssa, który zjawia się na końcu i z całą zręcznością i wymową broni zwłok swego wroga przeciw nienawiści Atrydów, a nawet do tego stopnia posuwa swoją wspaniałość, że się ofiaruje pomagać Teukrowi w przygotowaniach do smutnego obrzędu, co tenże odrzuca przez wzgląd na dawną nienawiść między Ajasem a Odysem, i obawę, aby cieniów Ajasa nie obrazić.

Taka jest w składzie swoim ta piękna trajedia, która chociaż się nie liczy do najpiękniejszych, jakie po Sofoklesie do nas doszły, jednakowoż pełno zawiera miejsc noszących piętno twórczego geniuszu.

Ostatnie słowa chóru streszczają jej, że tak powiem, sens moralny:

Tak, oko człowieka wiele rzeczy docieka;
Lecz zanim co stanie się, oko nieczyje
Nieprzejrzy, co w łonie przyszłości się kryje.

Czyż to nieprzypomina w sposób uderzający Szekspirowskiej tak często przytaczanej myśli: „Są rzeczy w niebie i na ziemi, o których nie śniło się naszym filozofom?”

V.

Wybór tytułu nie był dla Greków rzeczą tak wielkiej wagi, kiedy często się zdarzało, że z treścią sztuki mało miał związku. Zdawałoby się, że służył on tylko do odróżnienia jednej sztuki od drugiej. Tak się też ma z tragedią noszącą napis: *Dziewice Trachińskie*. Cóż więc znaczy ten tytuł? Oto że scena odegra się w Trachis, w Tesalii; że chór będzie się składał z kobiet tego miasta. Jakież więc przedmiot tragedyi? Sama tragedia wytłómaczy. Widać że publiczność ateńska, nie dając się zaciekawiać jakim szumnym tytułem, mówiła sobie: zobaczmy. Otóż przedmiot *Dziewic Trachińskich* bardzo jest znany z mitologii greckiej. Poeta wziął myt Heraklesa, a właściwie śmierć jego, którą jak opowiada bajka, sprowadziła nań zazdrość małżonki Dejaneyry. O tej trajedii zwykle mniej mówią niż o innych utworach Sofoklesowych, a lubo należy do podrzędniejszych, gdy zważymy, iż w pierwszym rzędzie stoją same arcydzieła — to niniejsza żadną miarą nie zasługuje na lekceważenie, jakie okazał np. A. W. Schlegel, który nawet przypuszczał, że nie napisał jej Sofokles, lecz syn jego — w czem pomylił się, bo niepodobna niedostrzec uderzającego familijnego podo-

bieństwa między tą sztuką a innemi tragedjami Sofoklesa; jest to konar jednego i tego samego pnia.

Herakles winny przypadkowego zabójstwa, sam się wygnał, jak chcą prawa greckie, z ojczystej ziemi. Wygnanie jego miało trwać jeden rok. Na ten czas żonę z dziećmi przeprowadził do Trachiny i oddał je pod opiekę króla, sam zaś wyprawił się na nowe przygody, na które go skazał gniew Hery. Mija już piętnaście miesięcy, a on niewraca i nic o nim nie słyhać, rodzina stęskniona za nim zaczyna trwożyć się losem bohatera. Co zaś jeszcze więcej ją zatrwaza, to okoliczność, że kiedy swoich opuszczał, po raz pierwszy zrobił rozporządzenie dotyczące się drogich mu osób, jak gdyby przeczuwał jakie wielkie nieszczęście mające go spotkać w tej wyprawie; przytem spisał dawne przepowiednie, naznaczając bliski kres jego pracom i awanturom. Wzmianka o tem zrobiona na wstępie pozwala przewidywać bliski zgon Heraklesa.

Prolog ten rozpoczyna się żalem stroskanej Dejaneyry, która przed służebnicą zwierza się ze swoich cierpień i obaw. Ośmielona tem służebnica radzi jej, aby dla odszukania małżonka wyprawiła które z swych dzieci, mianowicie dorosłego już Hylosa. Dejaneyra skwapliwie chwytą tę radę, zwłaszcza, że w tej chwili wbiega Hylos. Lecz to nie przypadek wyprowadza go na scenę, bo w tragedjach Sofoklesa nic się nie dzieje przypadkiem. On bowiem przynosi matce szczęśliwą nowinę. Herakles żyje, jest blisko Trachiny, tylko na wyspie Eubei zatrzymał się przy oblężeniu miasta. Wiadomość ta lubo napełnia radością Hylosa, nieuspakaja matki. Lęka się ona, aby ta wyprawa nie była zgubną dla Heraklesa i powierza synowi tajemnicę tych wyrocznych tabliczek, jakie jej mąż oddalając się, pozostawił. Hylos dowiedziawszy się o tem tem gwałtowniej nalega, aby go matka wysłała dla odszukania ojca. Są to sceny proste, zwyczajne, domowe, ale niemniej przywiązują do siebie.

Tu kończy się prolog. Teraz widzimy Trachińskie dziewczę przychodzące pocieszać strapioną małżonkę. Śpiewy ich pełne wzniosłości religijnej, świetne obrazami i stylem, tworzą pewien kontrast z poprzedzającymi obrazami, tchną-

cymi naiwną prostotą. Przejście to w inny ton pokazuje bogactwo, jakim Sofokles rozporządzał.

Prędko też poeta sprowadza nas na ziemię i między zwyczajnych ludzi. Dejanejra widząc to współczucie dziewic trachińskich, zwraca się do przodownicy chóru i mówi.

Słyszac, jak słusznie wnoszę, że ból mi dojmuje,
Przybiegłaś, lecz jak duszę trawi i pożera
Nie doświadczaj! Trosk takich nieświadomaś teraz,
Bo młodość rzeźwa w owej osobnej krainie
Podrasta, kędy Bóg niedopieka posuchą,
Ni deszcz niewstrząsa niczem, ni wiatrów powiewy.
Znojów wolna, rozkosznie młodość błoga bieży,
Aż która już nie panną lecz żoną się zowie,
I współ ma w udziale noce pełne troski,
Kiedy to o małżonka lub dzieci w obawie.
O, wtenczas się przekona, baczna na swą dolę,
Jakie nieznośnych cierpień brzemie mi dokucza!

Wzruszający to ustęp. Jak bolesne a jak prawdziwe jest to porównanie spokoju młodych serc dziewiczych, z troskami matki i żony, a oraz jaki melancholiczny pogląd w tę przyszłość, jaka je czeka! Szkoda tylko, że ta nielitościwa wierszowana proza, najprozaiczniej zeszkrobała, jak patyna z brązowego antyku, cały urok poezji.

Dejanejra pogrążona w posępnych myślach o przecuciach, naraz jest przerzuconą w inny świat uczuć. Jakiś starzec z Trachiny donosi jej, że Herakles zwyciężył, i wkrótce tu stanie. Nowiny tej dowiedział się od Lichasa, towarzysza Heraklesowego, który w tej chwili przybył do miasta i zatrzymany przez gmin opowiada mu przygody wyprawy. Wkrótce też po doniesieniu tej dobrej wiadomości przybywa Lichas prowadząc za sobą grono branek, zdobywcę zwycięskiego Heraklesa. Dejanejra wypytuje Lichasa o przyczynę tak długiej zwłoki w powrocie małżonka? i dowiaduje się, że jeszcze pozostał w Eubei, gdzie chce złożyć objatę Zeusowi; nareszcie przyjmuje branki, które mąż jej przysyła. Widok ich napełnia ją politowaniem i jakąś niespokojnością, zdradzającą jakby budzące się uczucie zazdrości. Jedna

szczególniej branka zwraca jej uwagę cudną urodą, zachowaniem się pełnem godności i wyrazem cierpienia nad swoją niedolą. Któż ona jest? z jakiego rodu? Jestże to córka króla Eurytosa? Lichas unika odpowiedzi, a i branka zapytywana milczy. Dejanejra nie mogąc nic z niej wydobyć, mówi z łagodnością:

Przymuszać jej niebędę. Jak się jej podoba,
Niech czyni, niech do domu wnijdzie, żeby przykrość
Badaniem mem sprawiona, bólu co ją dręczy
Już dosyć, nie zdwoiła.

Wszyscy wchodzą do pałacu, a za nimi ma wejść i Dejanejra, gdy wpada goniec, i donosi jej, że wszystko, co Lichas mówił, jest kłamstwem, że ta branka nie chcąc powiedzieć swego nazwiska jest Jola, córka króla Euryta, że Herakles o posiadanie jej bój wypowiedział ojcu, że to nie branka, lecz żona jego. Mnóstwo świadków słyszało z ust Lichasa, musi więc być prawdą.

Całą tę intrygę z wielką zręcznością przygotował poeta; interes dramatu na chwilę niesłabnie, bo za każdą sceną widzów swoich przerzuca z uspokojenia do obawy, z radości do smutku. Dejanejra narzeka na swój los:

Och! biada mi niebogiej! jakaż dola moja!

A wtem pokazuje się Lichas i prosi swej pani o polecenia do męża, do którego wraca.

Sytuacya to naprężona. Dejanejra wymawia Lichasowi jego kłamstwa, wie już wszystko i chce wszystko wiedzieć; jestto krzyk gwałtownej zazdrości, bo się unosi, grozi. Przyciśnięty Lichas nie chce nic ukryć przed nią, wszakże i jego pan nie kryje się z tem, co robi.

Dejanejra niewątpiąc już o przeniewierstwie małżonka, nie gotuje zemsty, nie ma zawziętości, ani do swej rywalki, ani do tego, co ją zdradza. Boleść to obrażonej małżonki, a nie kochanki. Odcień ten z wielką delikatnością pochwycił poeta. Dejanejra boleśnie zastanawia się nad kwitnącą pięknnością Joli, kiedy jej wdzięki mają się ku zwiednieniu, widzi ona, jaka oziębłość czeka ją ze strony męża; widzi

szczęście domowe zniszczone przez to, że inna kobieta będzie dzielić z nim małżeńskie łoże, widzi, że na nic nie zdadzą się jej uniesienia i żale, i tak nurtując myślą w zrozpaczone m sercu, przypomina sobie, że ma jeszcze sposób, który uratować ją może. Jestto owa zatruta krew Centaura Nesusa, który umierając powiedział jej:

Bo gdy z trzewów dobędziesz moich krwi stężałej.

Posiędziesz urok, że nie będzie miała żadna

Z niewiast od ciebie więcej powabów dla niego...

to jest dla Heraklesa. Uroku tego użyć postanawia Dejanajra i krwią Centaura nakrapia płaszcz, który zamknięty w skrzynce posyła przez Lichasa mężowi.

Po odejściu tego posłańca nieprzewidziany wypadek wprawia ją w największą trwogę; sama nie wie, czy niepopęłniła zbrodni. Ten bowiem kosmyk wełny w krwi umoczony, którym ów płaszcz pocierała, nagle sam się spalił wystawiony na promień słoneczny. Mąż jej zginie, a zginie przez nią, przeczuwa to, i poprzysięga nie przeżyć męża.

Cóż to za bogactwo sytuacji w tym dramacie na pozór tak prostym i niewysilającym się na ruch, nie zbudowanym na intrydze!

Wypadki gradem się sypią. Hylos nadbiega i przynosi matce tą straszną wiadomość, której się najwięcej obawiała. Był on świadkiem okropnych męczarni ojca, w chwili, gdy ten odziany w ów płaszcz zbliżył się do żertwienego ołtarza; płaszcz zajął się od ofiarnego płomienia, a Herakles w szaleństwie bólu, porwał niewinnego Lichasa i roztrzaskał go o skały. Okropne te obrazy odmalował poeta z potężną prawdą. Na samym wstępie Hylos uderza w matkę piorunującym wyrzutem:

Matko! jednego z trojga, wiedz, życzyłbym sobie

Abyś albo nieżyła już wcale, lub żyjąc

Nazywała się matką innego, lub żebyś

Rozumu zkaąd nabrała więcej, niż dotychczas.

Razi tu brak synowskiego uszanowania; ale Grecya nie miała tej czci dla niewiasty, jaką ją otaczało chrześcijaństwo.

Tymczasem lamenty chórów rozlegają się na scenie...

W tym zamęcie pokazuje się latami zgarbiona staruszka — to mamka Dejaneyry. Opowiada ona ze łzami o śmierci Dejaneyry, na którą własnymi oczami patrzała, jak biegła po domu w obłąkaniu, dotykając każdego sprzętu, jakby się chciała z nim pożegnać na zawsze, jak zalewała się łzami na widok swoich niewolnic, jak się rzucała pod domowe ołtarze, jak kobiercami zdobyła łożę małżeńskie, jak się żegnała z niem, jak wreszcie obnażywszy ramiona i pierś zadawała sobie cios śmiertelny — cały ten obraz pełen poezyi natchnął Eurypidesa w scenie poświęcenia się Alcesty, a przechodząc literacką spuścizną dostał się Wergiliuszowi, który umiał go użyć w sławnym ustępie, malującym śmierć Didony.

Lecz wracam do tragedji domierzającej już do końca. Umierającego Heraklesa wnoszą teraz do domu. Jęki i narzekania tego męczennika należą do miejsc wyszczególniających się osobliwemi pięknościami. Żałobny orszak towarzyszący Heraklesowi składa się z mieszkańców Eubei, którzy go przenoszą do Trachiny. Poeta nic tu niezważa na miejsce tych odległości; zarzucano mu to, ale też z drugiej strony nierazi to widzów, poddających się dobrowolnie złudzeniu widowiska.

Herakles znękany gwałtownym bolem, zdaje się być jakby w omdleniu. Lecz syn Hylos będący przy nim pyta go, jak mu jest, a jeden ze starców, z obawy, aby Herakles się nie zbudził do nowych cierpień, odciąga go i zaklina, żeby milczał. Szczegóły te mają wdzięk prostoty i podnoszą już i tak prawdziwą i wzruszającą rolę Hylosa. Tymczasem Herakles przychodzi do zmysłów i wybucha skargami i jękami, naprzemian bohater i słaby śmiertelnik — prawdziwy typ tragiczny; forma idealna, w której odlewano człowieka. Śmiały ten obraz cielesnego cierpienia był dla tak olbrzymich artystów jak greccy tragicy tylko środkiem do pokazania niezłomności duszy, do wyrażenia godności naszej natury moralnej.

Cóż to za głęboko pomyślany ten ustęp, gdzie Herakles zwraca się do syna i mówi:

Idź dziecko, nabierz ducha, lituj się nademną,
 Co litość ludzi wzbudzam, i ot jak kobieta
 Łkam placząc. Och! nie może nikt z ludzi pomówić
 Mię o to, abym kiedy miał przedtem to czynić.
 Nie, wciąż bez narzekania znosiłem cierpienia;
 Dziś, po takiej przeszłości jakież duch niemęski
 Ogarnął mię!

Tu odsłania się i każe synowi, każe wszystkim patrzeć na swoje „ciało nieszczęsne“, aby się usprawiedliwić ze słabości łez wylewanych z bólu.

Sytuacja ta bierna zmienia się za moment, bo Hylos donosi mu o niespodziewanej śmierci Dejanejry i o jej niewinnym podstępie. Teraz otwierają się oczy Heraklesowi; pojmuje on, że na nim spełnia się dawna przepowiednia, że nie zginie od żyjącego człowieka, lecz od mieszkańca ciemnego Hadesu; a jego właśnie zabija krew dawno nieżyjącego Centaura. Jak bohater godny Olimpu robi rozporządzenia do swojej śmierci. Każe się żywcem spalić, a w końcu wymaga od syna, aby wziął za żonę tę piękną brankę Jolę, która spoczywała przy jego boku. Hylos opiera się nie chcąc żony, która stała się przyczyną tych wszystkich nieszczęść, jakie na jego głowę spadły; lecz w końcu woli ojcowskiej ulega i rozkazuje położyć go na pogrzebowym stosie, jak tego żąda Herakles. Ostatnia jego rozmowa z duszą, zdaje się ogłaszać tryumf ódniesiony nad cierpieniem:

„Nim ból mię porwie, ty moja hartowna duszo wraź mi w usta żelazne wędzidło; ucisz lamenta i jęki, abym z radością zwyciężył tę ostatnią próbę.“

VI.

Skąpe miał źródło Sofokles, z którego wysnuł swoją tragedya *Filoktet*, ale wogóle wyobraźnia greckich tragiczków była tak bogata w kombinacye, że nieraz z jałowego na pozór szczegółu, nieubarwionego rozmaitością zdarzeń, ograniczonego szczupłą liczbą osób, umiała wydobyć cały szereg

scen zajmujących i niespodziewanych. Tego rodzaju twórczością odznacza się *Filoktet*.

Zobaczmy, jakato odrobina wystarczyła poecie, do zbudowania potężnego dramatu.

Grecy ciągnąc na Ilion, mieli z polecenia wyroczni zatrzymać się przy jednej wyspie i tam ofiarę spalić na ołtarzu, na którym niegdyś Herakles składał ofiarę. O tym ołtarzu wzniesionym przez Jazona wiedział tylko Filoktet, towarzysz wypraw Heraklesowych. Gdy tedy Filoktet szukał tego ołtarza, wąż go ukąsił w nogę. Grecy przypisali to gniewowi Bogów, a nie mogąc znieść jęków Filokteta i smrodu jęczącej się rany, postanowili za radą Odysseja zostawić go na wyspie Lemnos, gdzie przeżył dziesięć lat. Tymczasem Grekom oblegającym Ilion przepowiedział wieśczech, że grodu tego niezdobędą bez strzał i łuku Heraklesa, po którym łuk i strzały dostały się Filoktetowi. W takiej okoliczności wyprawiono okręt na wyspę Lesbos, a na nim Odysseja, aby ten sprawca nieszczęścia zabrał Filokteta i do obozu dostawił. Sofokles bystrem okiem odkrył w tem podaniu przedmiot do tragedyi; pojął, jak żywy interes może obudzić to trudne poselstwo powierzone przebiegłości Odysseja. Mimo tego trzeba było stworzyć cały dramat, bo tylko dane miał miejsce sceny, pustynne Lemnos i dwie osoby: Odyssa i Filokteta. Tu zachodzi pytanie, jakim sposobem król Itaki a wróg Filokteta, potrafi przełamać słuszną nienawiść nieszczęśliwego wygnańca i zaprowadzić go pod mury Ilionu, gdzie jest niecierpliwie oczekiwany? Rozwiązanie tej trudności trzeba było wynaleść, a na tem wynalezieniu zasadzał się cały dramat. Rzecz to ciekawa, przypatrzeć się zbliżka, jak tę trudność Sofokles umiał pokonać. Zrozumiał on, że Odyssej żadnym sposobem nie może wprost traktować z Filoktetem, który go śmiertelnie obraził. Filoktet nie-tylkoby z nim nie gadał, ale by go zabił, będąc panem Heraklesowych strzał niechybiających celu. Wypadło więc znaleźć mu towarzysza, któryby pod kierunkiem Odyssa przeprowadził z Filoktetem tę delikatną sprawę. Lecz kogóż tu wybrać? Czy Diomeda, który, jako znany przyjaciel Odyssa nie mógłby mieć żadnego wpływu na Filokteta, jak go nie miał sam Odyssej. Czy może inny z wodzów lepiejby się na-

dał? Lecz i to nie; wszyscy oni bowiem należeli do opuszczenia Filokteta. Niepozostało więc, jak kogoś wynaleźć, do któregooby nietylko ów nieszczęśliwiec nie miał urazy, lecz owszem znalazł w nim echo swoich nienawiści. Osoba ta, mająca z góry nakreślony charakter wymaganiami samego przedmiotu, objawiła się geniuszowi poety w Neoptolemie, który świeżo przybyły pod Ilion, doznał pewnej niesprawiedliwości od Greków, odmawiających mu zbroi po jego ojcu Achillesie. Zresztą młodziutki, prosty, bez doświadczenia, łatwiej da się powodować radom Odyssa i w jego ręku stanie się jakby wędka, na którą złapie się łatwowierny Filoktet. Nie inaczej rozumował Odysej i Atrydzi; jednak lubo to wyrachowanie bardzo mądre, może zajść nieprzewidziany zwrot, który jak się to często w polityce zdarza, pomiesza ich szyki. Neoptolem właśnie jest synem tego Achilla, który „człowieka zdolnego ukrywać swój sposób myślenia, nienawidził jak bramy Hadesu“ (Ilias I pieśń.) Neoptolem niezdolny kłamać ani oszukiwać. pomimo przyjętego zobowiązania się, tylko ze wstrętem podda się chytrym radom Odyssa, które jakkolwiek niepodolają nieugiętości Filokteta, rozbijają się jeszcze o czysty, prawy i litościwy charakter młodzieńca. Poeta wierny wskazówkom natury ludzkiej, idąc krok w krok za nimi, potrafił, nie powiem stworzyć, lecz znaleźć akcją dramatu. Zagadka została rozwiązana. Działanie samo się zawiązuje przez proste zbliżenie do siebie tych trzech osób, tak różnych charakterem; od jednej wyjdą wszystkie pomysły mające cel osiągnąć, od dwóch drugich wszystkie przeszkody. Poeta, że tak powiem, puszcza je samopas, pewny, że z tej sprzeczności charakterów wywiną się najrozmaitsze sytuacje, wybuchną namiętności, i dyalog się ożywi. Cud to sztuki, a raczej cud tej prawdy, która powinna być i punktem wyjścia i ostatecznym celem kreacji artystycznej. Nawet wszystkie te piękności szczegółów rozsypane w tej tragedyi, mają źródło swoje w tych prawach natury człowieczej, będącej sprężyną działania. Jest to jakby nowe fatum charakteru i namiętności, które wynalazł geniusz Sofoklesa i postawił na miejscu dawnego Eschylesowego fatum robiącego z człowieka proste narzędzie nieubłaganego przeznaczenia.

Lecz przystąpmy do samej tragedyi:

Scena przedstawia pusty brzeg wyspy Lemnos. Okręt grecki stoi u brzegu. Od pierwszych słów wiemy, kto wylądował i w jakim zamiarze. Odysej przypomniawszy Neoptolemowi cel podróży, każe mu szukać jaskini, w której kiedyś zostawiono śpiącego Filokteta; zapewne i dziś jest ona jego mieszkaniem. Neoptolem odkrywa ją niebawem. Łatwo pojąć, dlaczego Odyś sam jej nie szuka, bo mógłby być poznany przez Filokteta, a toby odrazu cały plan zepsuło. Z porady Odyssa, Neoptolem zagląda do jaskini, nie znajduje w niej Filokteta, atoli wymienia przedmioty, jakie w niej znachodzi: łoże z suchych liści, ognisko nawpół przygasłe, kubek drewniany, a nakoniec szmaty z krwawą ropą. Szczegóły te budzą zajęcie. Widz odrazu zaciekawiony, przewiduje trudności w osiągnięciu zamierzonego celu, a niemniej uczuwa litość dla tego nieszczęśliwca kaleki, porzuconego na pustej skale, tak samo, jak się lituje Neoptolem. W kilku tedy wierszach przygotował nas poeta do tego, co ma nastąpić, do tej gry charakterów i wywiązującej się ztąd intrygi. Filoktet, kaleka, nie może być daleko od swojej jaskini. Odysej bojąc się nagłego z nim spotkania, każe jednemu ze swojej drużyny mieć na niego oko, a sam zostawszy z Neoptolem uczy go, co ma mówić i jak ma postąpić z Filoktetem, aby go oszukać i odebrać mu strzały.

Wypada ci duszę

Filokteta słów chytrych sztuką otumanić.

Rzeczywiście młodzieniec nie wie, o co właściwie chodzi. Jestto rys przezorności Odyssa, przewidującego, że z tej strony napotka na opór szlachetny; dlatego też do tych zwierzeń się obrał tę chwilę, w której potrzeba było natychmiast działać. Neoptolem wolałby zamiast chytrych podstępów użyć prostej przekonywającej namowy, a nawet gwałtu, przeto odmawia wręcz; lecz przebiegły Odysej umie go pokonać niezbitemi argumentami, powagą swego doświadczenia, a głównie wymową zręczną, podbijającą rozum, chwytającą za serce. Młodzieniec przystaje, a tryumfujący Odyś mówi:

„Język ludzki, nie czyn, nad wszystkim przewodzi.“

Odys, przygotowawszy Neoptolema do roli, jaką ma odegrać z Filoktetem, oddała się. Teraz wchodzi chór złożony ze starej drużyny Achillesowej, która miłością otacza młodzieńca i ciekawie wypytuje o przygody Filokteta, mieszkańca tej pustej skały, aby nad nim ubolewać i oburzać się na sprawców jego nieszczęścia.

„Nie dziwią mię one — mówi na to Neoptolem — snąc Bogowie niedozwolili mu wypuścić strzał morderczych na Ilion, dopóki by nie przyszła ostatnia chwila dla tego grodu, który przez nie zburzonym zostanie.“

Pobożna ta uwaga odpowiada religijnemu duchowi poety, oraz daje zaprzeczenie tym bluźnierstwom, jakie wkrótce wyciśnie rozpacz bohaterowi sztuki; nareszcie zdaleka przygotowuje cudowność rozwiązania, a wogóle łączy tragedją z tym nadziemskim rzeczy porządkiem, co tak wpływa i na podniosły charakter obrazów sceny greckiej, i tak łagodzi jej okropności. Filoktet nie jest już w naszych oczach nędznym kaleką zapomnianym przez ludzi i Bogów, lecz jakby człowiekiem przeznaczenia, zachowanym dla spełnienia najwyższych wyroków. Ważność jego rośnie, lecz przeto nie zmniejsza się sympatya obudzona dla tego męczennika.

Wzruszający to moment, gdy biedak przywlokłszy się z jękiem przed otwór jaskini, widzi to, czego od tylu lat nie widział — bo sobie podobnych ludzi, rodaków! Ucho jego upaja się dźwiękiem ich mowy, tej mowy, której nie spodziewał się usłyszeć w życiu! Sytuacya ta tak chwyta za serce, że się zapomina o aktorze, o bohaterze, o Greku — a widzi się tylko człowieka, wzbudzającego najprawdziwsze politowanie.

Pierwsze poruszenie Filokteta na widok ludzi tłómaczy się zdziwieniem, i zaraz potem ogarnia go litość nad zagnanymi na to skaliste pustkowia. Pytania jego spadają jak grad jedne po drugich:

Któż cię tu synu zagnał? Jakaż sprowadziła

Potrzeba?

Neoptolem grając wstrętą sobie rolę — odpowiada:

„Ja pochodzę ze Scyros.....

Wracam do domu; zowią mię zaś Achillesa
Synem, Neoptolemem.“

— Synu drogiego ojca! woła Filoktet, synu drogiej ziemi! wychowanku starego Likomeda, zkad plyniesz, co tu robisz?

— Przybywam na okręcie prosto z Ilionu.

— Jakto? więc nie byłeś w pierwszej z nami wyprawie?

— A tyż w niej byłeś?

— O synu! widzę, że mię nie znasz; nie wiesz kogo masz przed sobą?

— Mamże znać, kogo nigdy nie widziałem?

— Toż o nazwisku mojem, o głośniei niédoli, która mię niszczy, nigdy ty nie zasłyszałeś?

— Nic nie wiem o tem wszystkim.

Jakież to bolesne odkrycie dla nieszczęśliwego! Świat o nim nie wie; Grecya go zapomniła! Z jakąż dumą pełną oburzenia powiada ten nędzarz, stojący przed Neoptolemem:

„Ja jestem, a być może słyszałeś już o mnie —
Heraklesowej broni dziedzicem, ja synem
Pojasa, Filoktetem.

Widać, jaką to mu ulgę przynosi, gdy mu dalei opowiada, jak śpiącego Grecy porzucili na odludnej wyspie; jaka rozpacz go zjęła, gdy się obudził; jak odtąd choć kaleka musiał służyć sam sobie; głodu potrzebę łuk zaspokajał, lecz co strzała ubiła, po to sam pęzał; czy chciał się napić, czy drew urąbać na ogień — po wszystko się czołgał...“ Biedny!

Dziesiąty rok już z głodu umieram w ucisku
Żywiąc nienasyconą chorobę swem ciałem.

Okropna rzeczywistość maluje się w każdym szczególe.

Neoptolem wysłuchawszy skarg Filokteta, opowiada mu swoje przejścia i wcale się nie spodziewa, aby mogły zrobić takie wrażenie, jakie zrobiły na słuchającym.

I on także, Neoptolem, doznał krzywdy od Atrydów:

„Bo gdy śmierć przeznaczona dościgła Achilla...

— Jaki? więc umarł potomek Peleja?

— Umarł....

— Teraz nie wiem, czy pytać cię o twoje krzywdy, czy płakać zmarłego.

— Czy nie masz dość własnych cierpień?

— Więc mów dalej!

Neoptolem opowiada, w jaki sposób skrzywdzili go Atrydzi, i jak porzucił obóz pod Ilionem, aby wrócić teraz do rodzinnego Scyros.

Filoktet dziwi się, dlaczego Ajas Telamończyk nie ujął się za nim.

— Nie żyje już — odrzekł Neoptolem.

— A Nestor? toć on złym zamysłem często zapobiegł.

— Złamany nieszczęściem po stracie syna Antylocha.

— A Patroklos, ojca twego przyjaciel?

— I ten już nie żył!

Jakaż to smutna zwrotka! przypomina mi to ów bolesny wykrzyk Saula w tragedyi Alfierego: „Tam już wszystko wymarło!“ Krwawi się serce Filokteta tym zgonem najlepszych; i znowu pyta o swoich wrogów; lecz ci żyją, żyją wszyscy!.. Zrozpaczonemu nasuwa to bluźnierczą myśl przeciw sprawiedliwości Bogów: „Złych strzegą Bogowie; łotrów sprowadzają a co zacne i sprawiedliwe, posyłają do Hadesu.“

Neoptolem udaje, że się zabiera do odjazdu. Filoktet błaga go, żeby mógł z nim odpłynąć:

„Na rodzica, na matkę twoję, teraz dziecko,

I na wszystko, cokolwiek masz drogiego w domu

Błagam cię i zaklinam; nie zostaw jednego

I samego mnie, kędy łamię się z niedolą

Taką, jaką naocznie widzisz, i znasz z słuchu itd.

Jest to arcydzieło wymowy tragicznej, bynajmniej nie deklamatorskiej. Przytoczyłbym cały ten ustęp, gdyby tłómaczenie oddawało te wszystkie piękności.

Za każdym wahanem się Neoptolema, nieszczęśliwy silniej naciska; odwołuje się do wszystkich uczuć, do litości, wspaniałości, do miłości chwały, do religii; przechodzi

wszystkie tony zakłęb, przełożeń, pieszczot, ostrych nalegań, nawet grózb. Bo też owładło go naraz rozpaczliwe pragnienie ujrzenia ziemi rodzinnej, uściskania starego ojca, jeżeli jeszcze żyje...

Neoptolem zezwala na koniec zabrać go z sobą...

Uszczęśliwiony Filoktet wybucha radością, jakiej dawno już nie zaznał, i pragnie pożegnać tę niegościnną ziemię, gdzie dziesięć lat przecierpiał. Wtem wchodzi udający pana okrętu czy też kupca wysłaniec Odyssowy. „Przybywam wprost z Ilionu — mówi on — i tam słyszałem, że Grecy wyprawili okręta pod synami Tezeusza i sędziwego Fenixa, aby ciebie, Neoptolema, schwytać i przyprowadzić. Także Odysej z synem Tydeja puścił się na morze, aby dostać Filokteta; albowiem wieszczek Helenos wywróżył, że tylko za jego sprawą Ilion może być zdobyte.“ Słyszac to Filoktet napiera na Neoptolema o najspieszniejszy ołjazd, powiadając, że tylko sobie nieco ziół uzbiera, gojących jego ranę i łuk ze strzałami, dar Heraklesa.

Neoptolem z pobożną czcią całuje ten łuk, a Filoktet:

Wolno ci go wziąć w ręce, i napowrót zwrócić
Dającemu; i tem się pochlubić, że z ludzi
Sam jeden się dotknąłeś, w nagrodę twej cnoty;
Bo ja sam go dostałem za dobre uczynki.

Obydwaj wchodzą do jaskini, a chór rozwodząc się nad cierpieniami Filokteta porównywa je z męczarniami Ixiona; wkrótce obaj ukazują się na scenie. Filoktet jęczy z bólu, lecz się mu niepoddaje; dopiero w końcu zwalczony napadem choroby, pada i powierza straż heraklesowego łuku młodzieńcowi, polecając, aby nie dał go nikomu zabrać, przez ten czas, kiedy on będzie w śnie pogrążony, sen bowiem zawsze go napada po tych męczarniach bólu. Neoptolem widząc ogrom cierpienia wzrusza się nad śpiącym, i kiedy mu chór doradza, że teraz najsposobniejsza pora unieść go i zabrać mu strzały, syn Achillesa walczy ze sobą i czuje, że dłużej niepotrafi zdradzać tego nieszczęśliwca, który w nim ufność położył

Z przebudzeniem się Filokteta zdwaja się kłopot i pomięszanie Neoptolema ; dłużej niepodobna mu prawdy ukrywać ; płacze się w rozmowie i nareszcie powiada :

Nie zataję nic nadal. Ot, musisz do Troi
Do Acheów i synów Atreja popłynąć.

Cios ten nieprzewidziany spada jak piorun. Filoktet wybucha przeciw niemu, przeklina, w końcu, błaga, by mu strzały powrócił, bo jakżeż potrafi bez nich żyć na pustej wyspie? Ten łuk był jego żywicielem.

Neoptolem już już ma ulec — gdy naraz wpada Odyssej ; on, czuwający nad całą sprawą, wiedział, kiedy ma się pokazać ; nie jestto więc przypadkowe zjawienie się — wogóle podobnych przypadków niema u Sofoklesa ; u niego wszystko jest wynikiem logicznej konieczności. Wpadającego Odyssa Filoktet poznaje po głosie ; Odyssej nie wdaje się z nim w długie rozprawy, ani usiłuje go namówić, lecz tonem rozkazującym i groźnym powiada : „Ja każę, i słuchać ci trzeba, musisz z najdzielniejszymi wziąć gród Troi i rozorać go ; a jeśli nie pójdziesz dobrowolnie, wezmą cię przemocą !“ Filoktet widząc, co mu zagraża, chce sobie głowę roztrzaskać o skałę — lecz przytrzymany przez ludzi, miota obelgi na Odyssa, które on znosi obojętnie, wiedząc, że wściekłość ta przeminie. Chce go potem ująć ponętym obrazem chwały, jaka go czeka, gdy dokona tak wielkiego dzieła, jak zdobycie Ilionu ; lecz i to zaciętego nie wzrusza, w końcu mówi mu :

„Już nam ciebie niepotrzeba,
Gdy broń tę posiadamy. Toć jest w wojsku naszym
Teukros, który tej sztuki świadomy ; i ja też
Mniemam, że bronią władam.....
„Biada! woła Filoktet — „ty więc w moją
Broń strojny, wśród Argeów wojska się ukazesz?“

Nieszczęśliwy ucieka się do Neoptolema — ale Odys porywa go ze sobą i obaj odchodzą do okrętów.

Filoktet nie daje się zmiękczyć przedstawieniom i namowom chóru, żeby uległ; woli umrzeć z głodu, niż się poddać; w tem usposobieniu chowa się w swojej jaskini.

Odys z Neoptolemem ukazują się na scenie. W duszy Neoptolema zaszła wielka zmiana; przybywa on, żeby odrobić to złe, jakie wyrządził nieszczęśliwemu, i oddać łuk wzięty podstępnie. Odyssej grozi mu, że całe wojsko Argeów oburzy na siebie.

— „Nie strach mi niczego, chcę tylko naprawić, co przedtem przewiniłem.“

Tutaj obydwu rwą się do mieczów — lecz Odyssej cofa się, mówiąc:

„Calemu ludowi obwieszczyć to; on niech cię ukarze.“

Tymczasem Neoptolem wywołuje Filokteta z jaskini, i uspokoiwszy wzburzonego łagodnymi słowy, mówi mu:

Nieprzeklinaj dalej!

Oto masz, odbierz z ręki mojej tę broń swoją!

Odyssej znowu wpada, aby temu przeszkodzić, lecz już po niewczasie, bo łuk w ręku właściciela, który gotuje się wypuścić strzałę na Odyssa, i byłby to spełnił, gdyby go nie pochwycił za ramię Neoptolem. Tu stara się on przemówić do zmiękczonego serca Filokteta, ujętego zwróceniem łuku; powtarza mu słowa wyroczni, obiecuje mu wyleczenie z tej dotkliwej rany, słowem, naciska nań w imię sławy i własnego dobra. Straszna to próba na niezłomny upór Filokteta, który powiada, że mu gotów ulec, ale nie ulegnie ani Atrydom ani Odyssowi; co więcej, on sam zmienia swą rolę i wyrzuca synowi Achillesa, jak może własnej krzywdy zapomnieć? czemu nie wraca do Scyrosu, czemu go ze sobą tam niezabierze, jak dawniej przyobiegał? Wszakże mając w ręku łuk Heraklesa, mogą śmiało lekceważyć gniew wojska Argeów.

W całej tej sztuce ciągle jest mowa o tych strzałach Heraklesa, co uważam za niezbędne, jako przygotowujące do cudowności zjawiska, przecinającego mocno zadzierzgnięty węzeł uporem Filokteta, węzeł, którego nie jest w stanie rozwiązać ani przebiegłość Odyssa, ani słabość Neoptolema,

dającego się uwieść temu, którego sam chciał uwieść. Łuk Heraklesa nie może być zwrócony przeciw Grekom, lecz owszem pomóc im do wzięcia Ilionu. Sam Herakles pokazuje się Filoktetowi i objawia mu wolę Zeusa. Zjawisko to odpowiada duchowi religijnemu całej tragedyi, o której zdaje się myślał Horacyusz, kiedy naznaczał regułę użycia cudowności w liście do Pizonów:

Nec deus intersit, nisi dignus vindice nodus
Inciderit.....

(Dokończenie nastąpi).

Lucyan Siemieński.

PO DZIESIĘCIU LATACH.

(Dokończenie).

III.

Dokąd zaszliśmy przez ten lat przeciąg, gdzie i jak stoimy, z kąd i jakie grożą niebezpieczeństwa, z dzisiejszej teraźniejszości jaka jutro wyjść może przyszłość? oto ostatnie a najważniejsze pytania, jakie sobie stawiamy. Nie w nadziei zuchwalej, że je dobrze rozwiązać zdołamy: obliczyć i zważyć to co jest, przewidzieć, co być może, rzecz to trudna, której i najmędrzy z ludzi w przybliżeniu tylko dokaże. Jednak i zwyczajnym ludziom wolno jest o tych rzeczach myśleć i mówić; owszem myśleć i mówić powinni nawet kiedy są wśród nich wielcy, cóż dopiero kiedy ich nie ma, a prócz powinności jest i konieczność, bo o czymże człowiek ma myśleć, jak nie o tem jutrze które mu na sercu i głowie ciąży jak kamień. Czasem z takiego myślenia bywa i pożytek, bo choć zupełnej prawdy żaden z ludzi nie dojrzy, to część jej jaką każdy przeczuć może, jeżeli ma rozsądek zdrowy i serce na swoim miejscu. Ileżto razy u nas w Polsce zdarzały się takie trafne ocenienia dzisiejszej, a przewidzenia jutrzejszej chwili, ile razy mógł z nich być pożytek! Nie równając się z tymi poprzednikami zdolnością ani zasługą, dobrą chęcią przecież do nich po-

dobni, możemy zdaleka dążyć w ich ślady. Zatem dziś, w roku Pańskim 1876 jakie mogą być dla nas warunki położenia i życia, i jakie, nie śmiemy rzec nadzieje ale obowiązki i sposoby dorobienia się nadziei?

Ktoby na takie pytanie był chciał odpowiadać w lat dzie sięć po listopadowem powstaniu, byłby się pocieszał, że choć stracono wiele, wiele przecież zostało. Poszło wojsko i skarb, ministerya i konstytucya, uniwersytet warszawski i wileński i wołyńskie liceum, poszło w świat co było najlepszego i najdzielniejszego i najmędrszego w narodzie, kwiat, serce, tętno najsilniejsze jego życia przeniosło się za jego granice, a w kraju pozostał statut organiczny i książę *Warszawski* w Królestwie, Siemiaszko w Litwie, Bibików na Rusi, Mikołaj gniewny i mściwy wszędzie. A im do pomocy wiele przymusowej niewiadomości i ciemnoty, wiele dobrowolnej nieczynności, wiele pieniędzy, marnotrawstwa, zbytku i rozpusty, w Warszawie balety i kluby, na prowincyi jarmarki, w Berdyczowie bałagolstwo, a wszędzie prawie w męzkich pokojach karty i hulanki, w kobiecych francuszczyzna: źle było wtedy. Ależ było i czem się pokrzepić. Te głowy i serca, które za Polską żyjąc dla Polski tylko biły i o niej myślały, były wielkie, i prąd życia który z nich wychodził dostawał się i do pozostałych w kraju i na Zachodzie udzielał się cudzoziemcom. Politycznie było to widmo Polski tylko, ale to widmo stało ciągle i czekało chwili żeby stać się rzeczywistością. Złudzeń było wiele zapewne, czy w Mickiewicza nadziejach rychłego zwycięstwa, czy w księcia Adama i jego przyjaciół rachubach opartych na związaniu sprawy polskiej ze wszystkimi żywotnemi sprawami w Europie. Złego było wiele, i w działaniu przez spiski, i w skutkach, i emigracyjne Towarzystwa demokratyczne nie mogą się wyprzec że one głównie rozsiały te nienawiści społeczne które dziś kwitną, i że one sprowadziły rok 1846. A jednak mimo to wszystko piękny był jeszcze czas, kiedy stary książę Adam przez swoich powierników i wysłańców jak drugi Amfiloch „szukał nieprzyjaciół nieprzyjacielowi swemu“ po wszystkich stronach Europy, kiedy z Izb francuskich odzywała się co roku a z angielskich nie rzadko protestacya, jakoby obietnica że Polska nie zginie, a z francuzkich katedr odzywał się głos Mickiewicza na dowód że jej duch nie słabnął,

kiedy w ślad za ostatnimi kartami Tadeusza przekradały się do kraju pierwsze karty Przedświtu. Cokolwiek utracono, duch został, i w dziesięć lat po klęsce można było wierzyć, że po długiej nocy zaczyna się przedświt, który przez powszechne europejskie wypadki, przez wojnę wedle nadziei jednych, przez rewolucję wedle myśli drugich, zamieni się w dzień.

Przedświt ten zgąsł „z dymem pożarów“ roku 1846 i 1848, i nie stał się czem był powinien świtem jasnym w 1854:

I znowu w drugie lat dziesięć po klęsce ktoby był liczył siły i nadzieje, byłby mógł podnieść się na duchu; znowu nie wszystko było stracone, a było zyskane niejedno. Cesarz Mikołaj nie żył, jego następcą wprowadził groźnie zakazywał marzyć, ale był słabszy i na działanie patrzył przez szpary. Rosya była upokorzona, a zdawało się że była i okiełznana, i uwiązana. Interes Francyi „był wszędzie, gdzie sprawa dobra i cywilizacyjna,“ a koniec położony obcym panowaniom w jednym kraju zdawał się być początkiem ich końca w całej Europie. Oddychano, uczono się i bogacono w Warszawie, w Wilnie, w Kijowie, podnosiła się oświata i moralność, szlachetniała opinia, a z niemi podnosiła się i moc, szlachetniało życie, w Królestwie, w Wielkopolsce, w krajach Zabrzanych, nawet w Galicyi. Nie było wielkich poetów jak w poprzednim lat dziesiątku, wszyscy oni zeszli, ale poziom umysłowy i moralny był wyższy; nie było (sądziłyśmy wtedy) tajnych spisków jak przed rokiem 46, ale jawnego prawdziwego i skutecznego patriotycznego działania było więcej.

I znowu można było myśleć, że to Przedświt, w roku 1861 już już prawie się na niego zaniosło, ale się skończył Nieboską komedią roku 1863, po której został Psalm Żalu powtarzany przez tych wszystkich, którzy mają prawo mówić sobie „nie strach mówić ze mnie“ i mówić drugim „nie wcieliłeś się w to ciało, co tak cierpieć miało.“

A po tym już lat dziesiątku niewiedzieć doprawdy, co jeszcze straconem nie jest. Mówiłyśmy za każdym razem „nie mamy już nic do stracenia“ „gorzej jak jest być nie może,“ a za każdym razem traciliśmy tyle, iż po doświadczeniu wiemy już, że nigdy nie jest tak źle, iżby jeszcze gorzej być nie mogło. Tak i teraz. A mówimy nie o Galicyi, której jest nie źle a gorzej daleko być może, ale o Polsce całej; nie wszy-

stko stracone, ale choć gorzej zapewne być może, bo możemy stracić wszystko do reszty, to tak źle jak dziś od ostatniego rozbioru nie było jeszcze ani razu.

Ze wszystkich części Polski jedna tylko ma być na jakimś prawie oparty i swobodę bytu narodowego, zatem możliwość i powinność rozwijania go w sobie dla siebie i dla drugich, a ta jedna, wystawiona przez lat dziesięć na próbę, żeby pokazała co umie i co może, wyszła z tej próby bez tryumfu. W postępowaniu politycznem brakło jej często zręczności, w rządzie wewnętrznym (o ile ten był jej pozostawionym), energii i czynności, w kwestyach społecznych tego rozumu który przewiduje, i czasem tego publicznego ducha który poświęca, przyjmuje niewygodę dla zgody, nieprzyjemność dla wyjścia z nieładu. Ekonomicznie nie dźwignęła się także, po części prawda z niezależnych od niej powodów, po części nie z braku starań, bo podejmowano u nas prac wiele w tym kierunku, a niektóre nawet w dobrym duchu: ale po wielkiej części także nie posunęła się Galicya naprzód na tem polu — owszem wiele straciła z własnej winy, z pragnienia zarobku łatwego, szybkiego i wielkiego a bez pracy. Nasze spekulacye na giełdach zakończone smutno a czasem i nie pięknie upadkami w których zginęło wiele polskich pieniędzy, a trochę i polskiego honoru, nie liczą się do pięknych kart naszej historii. Poziom nasz umysłowy i moralny nie widać także żeby się podnosił. Są wprawdzie, i to wielka pociecha, prace poważne i ludzie poważni na polu nauki: stanowisko jej, jej wymagania i prawa pojęte są przez niektórych lepiej i głębiej a prowadzone sumienniej niż dawniej bywało. Nie możemy sądzić o tem, co się zrobiło i robi w zakresie nauk ścisłych i przyrodzonych, ale widzimy z radością, że historia polska naprzykład jest dziś lepiej znana, lepiej rozumiana, niż przed laty trzydziestu, niż przed dziesięciu nawet, że z nieustającym wydawnictwem źródeł, przybywa nam co dnia prawie podstawy do sądzenia siebie samych w przeszłości a znajomości siebie w teraźniejszości; że z młodych pracowników na tem polu wielu wstydziliby się (jak to nieraz ich poprzednicy robili) mówić na wiatr, stawiać twierdzenia i podawać fakta niesprawdzone, i tanim kosztem wyjść na historyków narodu nie znając jego historii. Postęp to rzeczywisty, przed którym z wdzięcznością i usza-

nowaniem schylamy czoło, a nie mamy powodu wątpić, że ten sam duch prawdy, ta sama potrzeba rzetelnej wiedzy, panuje i w innych naszych naukowych usiłowaniach. A nie zgrzeszymy podobno mówiąc, bo sami zasług tam nie mamy żadnych, że ten szczęśliwy zwrot w umiejętności polskiej zawdzięczamy w mierze podobno największej działaniu przykładowi i wpływowi byłego Towarzystwa Naukowego i dzisiejszej Akademii i jej zarządu. Trzebaby też być ślepym lub bardzo niewdzięcznym, żeby nie uznać tego podniesienia się sztuki, która jakżeby na pociechę w dzisiejszym upadku poezyi przynosi nam tyle chluby przed sobą i przed obcymi.

Nie zabaczamy też i tego, że o wychowanie publiczne jest starań wiele. Kraj łoży na nie kosztów ile tylko może, i nie tylko sejm, ale Rady powiatowe, ale w tych Radach włością nie nawet nie ociągają się, nie szcędzą, gdzie idzie o szkoły. Mnożą się też wszystkie: wiejskich przybywa ciągle, średnie nie mogą uczniów pomieścić, przybywają i szkoły nauczycieli, i szkoły żeńskie; a dzięki znajomości rzeczy i usilności niektórych ludzi podnosi się pojęcie i umiejętność nauczania i wychowywania. Pod tym więc względem niema w Galicyi upadku, owszem zdaje się, że jest rzeczywisty postęp, przynajmniej postęp, polepszenie woli. Ale i tu czy niemamy sobie nic do wyrzucenia? Wiem, że nigdy na tym świecie wszystko nie może być jak powinno, zwłaszcza nie w przeciągu lat dziesięciu; jednak czy w tych sprawach wychowania nie mogłyby rzeczy iść lepiej niż idą? Słysząc skargi naprzykład, że szkoły wiejskie mają nauczycieli umiających mało lub nic prawie, ale za to obalamuconych i bałamuących pojęciami anti-religijnymi i anti-społecznymi. Jeżeli tak jest, dziwić się nie można. Tych kilka świeżo założonych seminariów nauczycielskich nie miało jeszcze czasu wychować i wypuścić znaczniejszej liczby nauczycieli prawdziwie dobrych. Inni znów mówią, że w szkołach średnich religijna wolność służy częstokroć za pozór, pod którym nauka udziela się w duchu niekatolickim i niechrześcijańskim, że książki same nasuwają wątpliwości w rzeczach wiary, że małe chłopcy dysputują o bóstwie Chrystusa i woleją argumentami Renana. Jeżeli tak jest, znowu wina spada nie na nasze zapewne ale na wyższe władze szkolne, na system wynikły z ducha i dążności wszechwładnych Izb i dzien-

ników niemieckich. Ale czy my ze swojej strony robimy wszystko, co możemy, żeby złemu jeżeli ono jest zapobiegać? czy przy obsadzaniu posad nauczycielskich jedni, drudzy przy wyborach do Rad Szkolnych (zwłaszcza do centralnej, krajowej), zważamy dość na rozum, zdolność, zasady i uczciwe pojęcie powołania, u tych którym powierzamy bądź wychowanie, bądź jego kierunek? czy względy politowania, protekcji, przyjaźni, popularności, nie sprawiają czasem, że do czynności takich przypuszczamy i niezdolnych? Kwestya to zbyt obszerna, żeby ją tu na prawdę roztrząsać można i wymagająca osobnego i gruntownego zbadania, ale zbyt ważna, iżby ją milczeniem pominąć przy wyliczaniu różnych *habet* i *debet* naszego kraju.

A przypuściwszy nawet, że pod względem naukowym i szkolnym on idzie w górę tak widocznie i tak dobrze, że tylko patrzeć i dziwić się, to zostałoby jeszcze wiele znaków z których o naszym stanie umysłowym dobrze sądzić trudno. Wielu jest u nas ludzi, którzy czytają? Wiele wychodzących książek, któreby się na prawdę rozchodziły? Co lepsze, co rozumne i coś warte, to zalega stoły księgarskie przez całe lata i ginie w obojętności, nie w zapomnieniu ale w zupełnej niewiadomości publiczności która o książkach nie wie i wiedzieć nie chce. Gazeta, to jeszcze jedyny druk jaki bywa czytany, a i ta nawet! W Warszawie samej, pomimo cenzury, wychodzi pism kilkadziesiąt, i wszystkie jakoś żyją; u nas w warunkach daleko lepszych jest ich kilka tylko, a i te ledwo że wyżyć mogą. W tym stanie rzeczy handel księgarski, który iść i zysk jakiś przynosić musi, szuka naturalnie przedmiotów pokupnych; i charakterystycznym wcale znakiem czasu jest rozpoczęte na dość wielką skalę wydawnictwo tłómaczonych romansów francuzkich. Czas tłómacza, nakład wydawcy i pieniądz nabywcy traci się na głupstwa lub wszeteczeństwa takie jak powieści Gaboriau, takie jak *Salammbô* lub *Comtesse de Chalys*. To co przed laty czterdziestu Musset nazywał „Literaturą strupieszalą i smrodliwą,“ było czystem i szlachetnem w porównaniu tych rzeczy, które skwapliwie na język polski przełożone, dość skwapliwie są czytane. Wydawca, który je do czytania ofiaruje, ma ciężki grzech na sumieniu, bo nietylko zniża literaturę do roli finansowej spekulacji, nietylko przyczynia się do zepsucia smaku, ale oswaja wyobraźnię z brudem, umysł z głupstwem,

a zmysł moralny ze złem. Publiczność zaś, która tak ofiarowany towar przyjmuje, dowodzi, że ani pod estetycznym ani pod moralnym względem wiele od autorów i od dzieł nie żąda. Jest to symptomat zatrważający, zapowiadający upadek i literatury, i (gdyby miał potrwać) inteligencji czytających.

A przypuściwszy nawet, że pod tym względem obawiać się nie mamy czego, i że wszystko jest jaknajlepiej, to wtedy jeszcze nasuwałaby się wątpliwość jedna i pytanie ze wszystkich najważniejsze, czy nasz poziom moralny i patryotyczny podniósł się w tym okresie czasu? Poziom moralny? Gdzie? w życiu prywatnem czy w publicznem? i w którym stanie, w której warstwie narodu? Kiedy się słyszy o częstych u nas w dawniejszych czasach rozwodach i zgorszeniach, kiedy starsi ludzie opowiadają, że przed rokiem 1846 nie było jarmarku w obwodowym mieście, któryby nie był teatrem szulerstw, pijatyk i różnego rodzaju równie nieobyczajnych jak nieestetycznych hulank, że miasta większe były teatrem szalonych gier, bardzo częstych pojedynków i zalotności przechodzącej te granice w których ona jeszcze niewinną udawać może, myśli się, że przecie teraz lepiej, że tego wszystkiego jest mniej lub bardzo mało, żeśmy i w moralności i w cywilizacji postąpili. Ale na to uczucie pociechy czy chluby jest gorzkie lekarstwo. Pijaństwa, zawadyactwa, mniej zapewne, może i szulerstwa mniej, choć niektórzy twierdzą że jest i kwitnie, ale nieuczciwości pieniężnych, ale oszustw więcej podobno niż dawniej. Sprzeniewierzali się ludzie w stanowiskach poważnych, otoczeni takim szacunkiem i zaufaniem powszechnem, że każdy ręczyłby był głową za ich uczciwość; młokosy podpisywali fałszywe weksle, a jeszcze usprawiedliwiani bywali tem że złe nie bardzo wielkie, bo tylko podpis ojca lub matki sfalszowali! a z dwojga wolimy już chyba to co mniej podłe, wolimy tego kto z namiętności gra lub żyje w rozpuście, kto z grubijaństwa upija się i robi burdy, od tego, kto z zimną krwią oszukuje i kradnie. Nie tak huczna i nie tak widoczna, i nie tak szczęściem rozpowszechniona, niemoralność dzisiejsza jest brzydsza, jest nikczemniejszej natury. Dodajmy do tego, że w młodszych pokoleniach najlepsi mają wprawdzie przymiot wielki, uczucie obowiązku i chęć do pracy, ale zapału i pragnień mało, że średni mają skłonność do tej wygodnej legalnej policyjnej mo-

ralności, której ideałem jest zgoda z kodeksem karnym i z opinią, karyera i pozycja, a która jest tylko wyrozumowanym egoizmem, bez przywiązania do zasad, bez popędu do cnoty, bez myśli o czemkolwiek prócz siebie, a nie będziemy mogli naszym usposobieniem moralnem bardzo się cieszyć i chlubić. Cóż dopiero jak wspomnieć o tych nieszczęsnych z różnych stron kraju oszustach polskich zagranicą, od tego mniej jeszcze winnego, który przyciśnięty biedą sztuki swoje farbując ofiarą i cierpieniem za ojczyznę, aż do panicza z szumnym tytułem i nazwiskiem, który włócząc się z miejsca na miejsce zostawia wszędzie za sobą nieopłacone rachunki, długi karciane i opinię spadającą na Polaków w ogólności, o tych ludziach, którzy sami bez czoła winni są temu, że inni swoje nieraz spuszczać muszą? Zliczywszy to wszystko, a jeszcze i naszą wyrozumiałość, naszą zastarzałą a nielitościwą bezkarność, bać się przychodzi doprawdy, czy nie wyciera się u nas i nie ginie ta rzecz pierwsza i ostatnia, która strzeże osobistego i wspólnego honoru, wstyd. Astrea dawno odleciała do nieba, ale on został na ziemi jako stróż ostatni, smutny anioł który na złe zrezygnowany wstrzymuje i ratuje od tego już tylko co najgorsze, co ostatnie, od podłości i hańby. Dopóki ten został, jeszcze jest cześć, a do niej wszystko co stracone może zwolna powrócić i przyrósć. Ale niechże pamiętają i ci co brudy robią, i ci co brudom lub ludziom brudnym pobłażają, że jak *Sprawiedliwość* tak i *Wstyd* „*ultimus coelestium*“ może nas porzucić, a ten już z naszej własnej winy.

Moralność i godność w życiu publicznem? Te przeniewierstwa, o których wspomnieliśmy wyżej, jako popełnione przez ludzi przyodzianych charakterem publicznym (a taki charakter nosi na sobie czy bankier, czy adwokat, czy dyrektor jakiej spółki), wykraczają już z zakresu ściśle prywatnych stosunków. O wielkich grzechach, o przekupstwach w urzędach czy sądach naprzykład, dzięki Bogu nie słychać. Ale tendencyjne kłamstwa i potwarze niektórych dzienników nie świadczą dobrze o naszej moralności w rzeczach publicznych. Czy może nikt temu nie winien, nikt za to nie odpowiada, co one piszą i jak? Owszem winni i odpowiadają ci wszyscy którzy je czytają i ich słuchają, a nie zmuszą ich choć mogą, żeby były inne.

Nasz patryotyzm wreszcie? Oszczyrca i bluźnierca kto o nim wątpi? Być może; nie wątpimy też że jest wiele dobrego pod tym względem uczucia, i że nawet jest i dobra wola. Ale dostateczne może w teoryi, w praktyce to uczucie i ta wola jakie my mamy, nie wystarczają. Uczucie przestaje na tem, co jemu samemu czuć i poznać daje że ono jest, na rozczuleniu, na wzruszeniu, i rade że jest, mniema że spełniło swoje zadanie. Wola poprzestaje na pragnieniu, na teoryi, ale do starania, do praktyki, rzadko się podnosi. Może nie prawda? Powiedz młodzieńcze tak dumnie zaufany w swoje uczucie i w swoją wolę, bo ci serce bije kiedy czytasz Walenroda lub Dziady, czy masz tę dobrą wolę wyższą, która się nazywa staraniem, kiedy lekcye opuszczasz i nie uczysz się póki czas? Albo ten starszy, już pan swojej woli, który mówi sobie, że młodości przecie użyć trzeba, na czynne życie czasu dosyć, i między porą tańców a porą polowań, między przejażdżką zagranicę a przejażdżkami po kraju, łudząc się czasem że się czemś zajmuje, nic nie nabywa, nic się nie kształci, zapomina co wiedział, jeżeli się niepotrzebnych i złych rzeczy nie uczy? A gospodarz wiejski nawet ten przez siebie i drugich uważany za najlepszego człowieka, jeżeli jest nieporządny albo rozrzutny, jeżeli w skutku tego zmuszony sprzedać ziemię na której osiada żyd albo Niemiec, czy ma dość dobrej woli i dość patryotyzmu? A ty radco powiatowy, który się zaniedbujesz i czynności te lekceważysz jako za małe lub wyśmiewasz jako nudne? a ty wyborco, który do sejmu posyłaś ludzi niezdatnych albo i szkodliwych, sam nie wiesz dlaczego, boś się dał przegadać, bo drudzy zrobili tak samo, bo stosunki sąsiedzkie lub przyjacielskie przeważały inne względy i zagłuszyły instynkt rozsądku i sumienia? Nie skończyłoby się nigdy, gdyby się liczyć chciało wszystkie nasze codziennie popełniane grzechy uczynkowe i opuszczenia, tak powszechne, że na nie już nie zważamy nawet i za złe ich sobie nie mamy. Narzekamy, że wódką i lichwą żydzi psują i wywłaszczają chłopów, ale żydów na karczmach trzymamy; narzekamy, że Rosya i Prusy nie dają nam już mówić po polsku, ale sami mówimy po francuzku. Gdyby zaś tego wszystkiego nie było, to mielibyśmy dopiero ubytek złego, dopiero zero na termometrze patryotycznej dobrejwoli. A gdzież plus? gdzie dodatnia

czynna zasługa i cnota? A dopieroż ten patryotyzm głośny i deklamacyjny, który wiele mówi i wiele podchlebia, z wielkiej niby miłości ojczyzny admiruje wszystko, żeby sam był admirowanym, z małych ludzi robi wielkich, żeby sam większym się wydał i tumani sądy ludzkie, rzuca piaskiem w oczy, bo wie, że nie zaćmione oczy widziałyby go w jego rzeczywistej a opłakanej małości, ten patryotyzm bez wartości i zasługi, bez rzetelności i prawdy, który wszystkich uczy, widzi rzeczy fałszywo żeby sam dobrze widzianym nie był, który frazesem wojuje, bo frazes wypłaca się oklaskiem, a nawet pieniądzem, który tak kocha ojczyznę, że aż Boga znać nie chce, bo Bóg jest pierwszym przed ojczyzną i nad nią, i z miłości Polski niby szkalując i podkopując wiarę i Kościół robi przez głupstwo swoje tyle złego, jak żeby był przez Prusy i Rosyę umyślnie na to najętym, ten, który czując w gruncie jak mało myśleć i czynić umie „in seines Nichts durchbohrendem Gefühle“ szkaluje lepszych od siebie i mści się za to że sam dobrym, rozumnym i skutecznym nie jest — o ten! tak mało ma prawdziwej dobrej woli, że się chyba ostatni ze wszystkich podniesie i uszlachetni.

Nie, narzekać umiemy, rozczułać się lubimy, ale starać się, nawet lepsi, jeszcze nie umiemy. Nasz duch patryotyczny przez te lata się nie podniósł.

Czy nie podupał? Są, którzy się tego boją, i mówią, że ideał ojczyzny zaciera się pomału i rozplynać się może jak mgła: że zapału, wiary w przyszłość coraz mniej a nadziei nie ma wcale. Że niedawno jeszcze, kiedy młody człowiek marzył o przyszłości i układał w wyobraźni idealny obraz swego życia, u każdego koroną, szczytem tych marzeń, najpiękniejszą, ale konieczną w tem życiu chwilą, po za którą jnż pragnienia dalej nie sięgały, była niepodległość: on sam albo ginął w ostatniej zwycięskiej bitwie, albo po zwycięztwie używał tego szczęścia, którego wyobrazić sobie nie mógł, ale bez którego także nie wyobrażał sobie życia. Dziś ma to być inaczej: mają być jakieś początki rezygnacyi, osłabienia nadziei i pragnień, których ostatniem słowem musiałby być kiedyś w przyszłości koniec polskiej myśli i tradycyi. Czy tak jest? Nie widzimy i nie sądzymy. Prawda, że mniej jest może niż dawniej u młodych zapału i marzeń; dziwić się nie można, pokolenie

które myśleć zaczęło po roku 1863 i od dzieciństwa patrzy na tępienie resztek polskiego życia i żywiołu, który nawet bronić się nie może, trudno żeby było bardzo do nadziei skore i pochopne. A jeżeli spisek i zbrojne powstanie nie jest w ich pojęciu jedyną formą patryotycznego działania i obowiązku, jeżeli marzą mniej, sądzą chłodniej, a uczą się więcej, i lepiej do różnych życia zawodów sposobią, jeżeli robią to w myśli i zamiarze czynnej patryotycznej służby, to nie ma za co rzucać na nich kamieniem. Owszem naszym lotnym i bujnym fantazyom, naszym temperamentom nerwowym, naszym rozumom niestałym i łatwowiernym, trochę rozważi, trochę praktycznego zmysłu, trochę ciężaru i konsystencyi szkodyby nie przyniosło. A o grunt tych serc, o kierunek ich woli, obawiać się dotąd przynajmniej nie ma przyczyny. Chyba w jednym tylko razie. Jest jeden nieprzyjaciel chytrzejszy od wszystkich, jedna choroba zabójcza jak żadna, która gdyby broń Boże stała się zaraźliwą, mogłaby nas wymieść co do nogi, dobić Polskę zabijając jej ducha. Tą ospą, tym trądem, który na ducha pada i tak go zmienia, tak go szpeci, że jego pierwotnych przyrodzonych rysów poznać nie można, jest pozytywizm, który zjawił się w filozofii jak na komendę w tym samym czasie, kiedy w naukach przyrodzonych zjawiła się teoria exterminacji organizmów słabszych przez silniejsze, a w polityce teoria i praktyka wielkich aglomeracji, wielkich assymilacji, wielkich pochłonień i połykań i ta sama z królestwa zwierząt przeniesiona maksyma: śmierć słabym, śmierć i pożarcie przez mocnych, siła przed prawem.

Wszystko się to trzyma, a kto w swoich wyobrażeniach filozoficznych przypuszcza, że w świecie naszym nie ma nic prócz materyi i siły, kto śmierć człowieka uważa za śmierć zupełną, po której nic nie zostaje tylko zwłoki które się rozłożyć muszą, słowem kto bądź przeczy, bądź tylko nie przyznaje duszy nieśmiertelnej i osobistej w człowieku, ten w konsekwencji musi prędzej czy później dojść do tego, że straci wiarę w przyszłość narodu i zgodzi się na jego śmierć. Cóż go bowiem dotąd od śmierci broni? Nic tylko dusza. A jeżeli tej nie ma, jeżeli to prawda, że w świecie jest tylko materya i tylko siła, więc cóż nam zostanie? Ogromem materyi i prężnością siły Rosya i Prusy większe są od nas o tyle, że nas

zgnieść, zmiażdżyć i strawić koniecznie muszą; nie ma się co opierać, nie ma się co skarżyć, byłoby to to samo, co żalić się na prawo ciążenia ciał do środka ziemi, co protestować przeciw *dwa a dwa jest cztery*: niedorzeczność, szaleństwo, nie ma nic do roboty tylko upokorzyć się przed faktem dokonanym, zgodzić się i dać się pochłonać. Materyalista Trembecki, którego instynkt narodu nie darmo uznał odstępcą, dawno już, bo zaraz po rozbiorze odkrył tę logiczną prawdę i winał sobie i nam, że pierwiastki z naszego rozłożonego organizmu pójdą innym na posiłki i w nich odżyją, przemienione, przerobione na co innego. On był logicznym. Nasi nowocześni pozytywiści, którzy w Boga i w duszę nie wierzą, a chcą wierzyć w Polskę i jej przyszłość, są może od niego lepsi ale mniej z sobą zgodni. W ich nielogiczności odzywają się resztki sumienia, resztki tej przez nich zaprzeczanej duszy, i zadają gwałt ich rozumowaniom i teoryom, ale loiki w nich nie ma. Darma, jedno albo drugie, bo trzeciego nie ma: albo Bóg, Jego sprawiedliwość i miłosierdzie, dusza osobista nieśmiertelna bezwzględnie w człowieku, i dusza względnie na tym świecie nieśmiertelna w narodzie, a wtedy można wierzyć w Polskę, ją kochać, dla niej żyć, dla niej umierać—albo jeżeli tego wszystkiego nie ma, to organizm polityczny raz rozłożony musi „pójść obcym ciałom na posiłki,” wskrzesić go nie można, galwanizować miłościami, poświęceniami i tym podobnemi mrzonkami nie warto.

Że w tych latach właśnie, w tych czasach podupadłej po ostatnich klęskach odwagi i nadziei, ta filozofia przyszła i między nami szerzyć się zaczęła, to dopust Boży jeden z najcięższych i pokusa z szatańskich najgorsza. Dopust wytrzymać, pokusę odeprzeć i zwyciężyć trzeba koniecznie, albo skończyć. A ta zaraza szerzy się niestety i nie tu w Galicyi tylko, ale i w Warszawie, i gdzieindziej podobno. Dotychczas, cokolwiek robiliśmy niemądrego lub złego, mieliśmy prawo z czystym sumieniem i podniesionem czołem mówić z poetą:

„wspomnij, cośmy cierpieli pod chłostą tych mocarzy

„a duchaśmy nie dali“ —

dziś, gdyby ta pokusa spodlić, gdyby ta szatańska nauka opętać nas miała, dalibyśmy go sami dobrowolnie, i nie mielibyśmy prawa, nie mielibyśmy już nawet chęci prosić

„abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci“ —

Obok tego niebezpieczeństwa, które dziś jeszcze straszne nie jest, ale się takim stanie, jeżeli nas łaska Boża i miłość ojczyzny nie opamiętają, widzimy dla naszego patryotycznego ducha inne, w powszechnem w całej Europie osłabieniu patryotyzmów takim, że czasem zdaje się, jakżeby w żądzach używania i społecznych nienawiściach ginęło samo pojęcie ojczyzny. Dawniej rewolucjonista miał ojczyznę, znał ją i kochał, źle może, bezrozumnie, ale szczerze. Konwencya myślała o Francyi; nasze emigracyjne Towarzystwa demokratyczne myślały o Polsce. Dziś, kiedy we Francyi rewolucya podniosła wojnę domową wobec patrzących, tryumfujących i urągających Prusaków, dziś trzeba przypuszczać, że ona pojęcie ojczyzny i jej miłość zatraciła, trzeba wierzyć, że Krasiński dobrze przewidywał, kiedy Pankracemu mówić kazał, że „ojczyzna to stary przesąd i słowo, które trąci przeszłością.“ Czy u nas nie ma tak zwanych demokratów na wzór francuzkich bohaterów komuny? Daj Boże, żeby ich nie było, ale jeżeli są, to ich teorye i ich propagandy mogłyby w swoim czasie dla naszej idei i naszej miłości ojczyzny okazać się tak zgubnymi, jak były tamte dla Francyi.

Mamyż mówić o naszym duchu i stanie religijnym? Ktoby nas widział w chwili jakich uroczystych kościelnych obrzędów, jak wylegamy tłumnie na ulice chodząc procesyami, możeby się bardzo z nas zbudował, a u prostego ludu jest niezawodnie prosta i budująca pobożność; czy tak świadoma siebie, tak głęboko pojęta i tak gotowa na wszystko, jak na Podlasiu lub w Wielkopolsce? zapewne nie, ale jest przecież. Wiemy także, że między młodem duchowieństwem (w niektórych dycezyjach przynajmniej) jest i rozumu i nauki, i prawdziwego powołania, i gorliwości, i przykładnego życia, więcej niż bywało, a u wielu świeckich instynktem dochowywana katolicka tradycja, nabiera stałości i pewności wyrozumowanej świadomej siebie zasady. Ale nie mówiąc o jawnych i czynnych nieprzyjaciołach, którzy bądź przez polityczne, bądź przez filozoficzne doktryny nienawidzą Kościoła i w nienawiść podać go usiłują, jest u katolików samych tyle jeszcze strachu, żeby się katolikiem nie wydać i na zarzut „ultramontanizmu“ nie wystawić, tyle uprzejmości dla zdań przeciwnych i tyle wobec

nich pokory, tyle *wyższości nad zastarzałe przesady* i zaniedbania w zachowywaniu kościelnych przepisów, słowem tyle obojętności, przekonań i odwagi tak mało, że za dobry stanu tego żadną miarą uważać nie można.

Każda z napomkniętych tu naszych stron słabych, opisana w swoich powodach i skutkach, dostarczyłaby wątku na osobne, obszerne i smutne studium, a wiele innych pominęło się zupełnie? A ta bierność i bezwładność, która sprawia, że ludzie jednych przekonań w pewnych tylko chwilach czują potrzebę porozumienia i styczności, a zresztą chodzą zawsze luzem, każdy osobno, rozsypani jak piasek którego ziarka nie trzymają się siebie? a dobra szlacheckie i grunta włościańskie przechodzące w obce ręce? A ten brak zdolności okazujący się w każdej potrzebie, przy obsadzeniu każdej posady, gdzie nie najlepszego wybierać ale na najmniej złym zawsze przedstawiać mamy? A stanowisko polskich ministrów w Wiedniu tak mało znaczące i silne, że nawet ukrzywdzeniom naszych instytucyj, nawet bezprawnym wtrącaniom się władz centralnych w nasze sprawy przeszkodzić oni nie mogą? a ta nieprzełamana skłonność do politycznej komedii, która każe nam na przykład do przyszłych sejmowych wyborów mianować komitet przez głosowanie powszechne? I to gdzie jeszcze! we Lwowie, na Rusi, gdzie głosowanie powszechne, gdyby ludność do niego należeć chciała, wypadłoby na wsiacli tak jakby zechcieli świętojurcy, w miastach jakby zechcieli żydzi? i gdzie te wybory z dołu muszą albo być demokratyczną komedią odegraną na korzyść kilku agitatorów, albo wypaść źle i skład przyszłego sejmu oddać na łaskę wpływów bardzo niepewnych? A powiatowe wielkości i powiatowe solidarności? A podejrzenia i niechęci między wschodnią a zachodnią częścią kraju, jednostronne tylko jak twierdzi każda z nich, czy obustronne? A coraz otwartzsza, coraz bezczelniejsza rosyjska i schizmatycka propaganda świętojunców, na którą prawowierność biskupów poradzić nie może, a rząd, nie wiedzieć istotnie dlaczego nie radzi? Wszystko to dowody, że nam przez ten czas wiele sił nie przybyło, i że jeżeli w położeniu łatwym wegietujemy jakoś, bo nas nikt nie depcze i nie kosi, to położeniu trudnemu Bóg wie jakbyśmy podolać umieli i mogli.

A jeżeli źle się dzieje w tej części Polski, której się dzieje najlepiej, to cóż mówić o innych? Na Litwie i Rusi ubyłoby sił polskich tyle, a rosyjskich tyle przybyło, że kto tam żyje, utrzymuje polski dom i polską rodzinę, polską służbę, i ziemię w polskiem ręką, ten zrobił wszystko co mógł, spełnił cały swój obowiązek w zakresie jaki mu pozostał. W Królestwie, najmniej może ze wszystkiego balibyśmy się, dziwnie powiedzieć, rosyjskiego języka w szkołach i urzędach. Mieliśmy tu niemiecki przez lat dziewięćdziesiąt, i wiemy z doświadczenia, że język wprawdzie się tym sposobem bardzo psuje i szpeci, ale nie ginie. Czy może pokrewieństwo naszego języka z rosyjskim stanowić ma niebezpieczeństwo większe, większą możliwość assimilacji? nie sądzimy. Język bardziej wyrobiony może się od mniej wyrobionego popsuć, ale się na niego nie przerobi. Straszniejsza jest ta systematyczna dezorganizacja wszystkiego; administracji przez wcielenie „nadwiślańskiego kraju“ do cesarstwa i obsadzenie urzędów Rosyanami, sprawiedliwości i wszystkich stosunków prawnych przez zmianę kodeksu, wychowania przez urządzenie szkół i przez utrudniony do nich przystęp a w nich postęp dla Polaków, kościoła przez opróżnione stolice biskupie, i tak utrudnione stanowisko tych biskupów którzy są, wreszcie społeczeństwa samego przez umyślne zubożenie, wyrzucenie na bruk tysiąca rodzin, przez odjętą im możność starannego wychowania dzieci, przez szczepiony usilnie antagonizm między wsią i dworem, przez wszystkie te środki eksterminacji wprowadzane systematycznie, jeden po drugim, a co jeden to gorszy, co jeden to głębiej sięgający we wszystkie stosunki i wstrząsający wszystkimi podstawami bytu.

Jednak jest tam żywotność taka, że wszystkie te środki do zupełnego rezultatu nie doprowadziły, i da Bóg, że nie doprowadzą. Kwestyi włościańskiej, po której Rząd obiecywał sobie tak wiele, nie ma w Królestwie podobno wcale; majątki pomimo wszystkich ciężarów i trudności nie upadają, owszem idą w górę, tak przynajmniej mówią naoczni świadkowie i tak dowodziła ostatnia wystawa rolnicza w Warszawie. Uniwersytet warszawski i szkoły średnie pełne są młodzieży, która uczy się podobno na prawdę, i choć w rosyjskim języku, z polską myślą: to co pisać i drukować można, to ludzie czytają bar-

dzo. Słowem, nieszczęśliwe Królestwo tak wyniszczone, tak ze wszystkiego odarte, tak gwałtem przerabiane na kraj nadwiślański i tak przemocą zduszone, własnego i utrwalonego życia ma i rozwija więcej daleko od szczęśliwej Galicyi, której w życiu politycznem mało co, a w umysłowym i ekonomicznem nie nie przeszkadza.

Jednak są i tam niebezpieczeństwa, a nie mówiąc o tem największem, jakim są skutki dzisiejszego stanu rzeczy, gdyby on długo potrwiał, są i wewnętrzne. I zaraz jedno w Warszawie samej. Że ona rośnie, że z każdym rokiem bardziej staje się wielkiem miastem, to widoczne i to bardzo szczęśliwe. Wzrost ten zawdzięczamy w wielkiej mierze nagromadzeniu interesów handlowych, przedsiębiorstw wszelkiego rodzaju i znacznych bardzo kapitałów. Ale rozumiejąc i uznając zupełnie wszystkie korzyści, jakie ztąd na miasto i na kraj spadają, nie możemy przecież nie widzieć złych skutków, które prawdopodobnie nie wynikną ale wyniknąćby mogły. Miasta takie bardzo handlowne, wyrabiają sobie zazwyczaj życie własne, wielu krajom potrzebne, ale od swojego mniej zależne i z nim mniej złączone, a przez to nabierają jakiegoś kosmopolitycznego charakteru i ducha. Śmiesznie to może obawiać się go dla Warszawy, kiedy wszyscy wiemy, że ona, i to we wszystkich rzecz można warstwach swojej ludności, jest tak na wskroś polską, najbardziej może z całej Polski patryotyczną. Jednak w miarę mnożących się interesów i kapitałów wzrasta i znaczenie tych, którzy interesa robią a kapitałami obracają, i w Warszawie znaczenie ich już dziś jest bardzo wielkie. Ci zaś nie wszyscy są Polakami. Jeżeli ich wpływ będzie rósł dalej w tym stosunku, jak urósł od ostatnich lat dziesięciu, jeżeli z naszej strony będziemy mu się chętnie poddawali, czy wtedy nie moglibyśmy się obawiać takiego napływu obcych żywiołów i sił, że w końcu jużbyśmy go w tamach trzymać nie zdołali i ulegli zalewowi niezupełnemu zapewne, ale zawsze niebezpiecznemu? Czy w takim razie Warszawa nie straciłaby nieco z tego polskiego charakteru i ducha, którym dotąd świeci i innym przyświeca?

To jedno niebezpieczeństwo, i może najmniejsze ze wszystkich. Drugiem jest filozoficzny pozytywizm prowadzący koniecznie do politycznej rezygnacyi i abdykacyi, o którym mówi-

liśmy wyżej, a który i tam podobno grasuje. Dalszem znowu jest powolne i stopniowe oswojenie się z panującym żywiołem rosyjskim. Pozbawieni sposobu do życia u siebie Polacy licznie bardzo szukają go w Rosyi. Zdolniejsi podobno, lepiej wykształceni i uczciwsi, rzetelniejsi od krajowców, znajdują łatwo posady wysokie i znaczące jako adwokaci, urzędnicy, inżynierowie, i t. d. Żyjąc w Rosyi, mając tam zawód, oswajają się z nią, żenią się z prawosławnymi, zakładają rodziny już prawosławne, w końcu przywiązują się do Rosyi i są ogniskami propagandy nie polskiej między Rosyanami, ale rosyjskiej między nami, pijonierami asymilacji i fuzyi. Wpływ ich na pozostałe w kraju rodziny, na społeczeństwo w ogólności, mógłby z czasem być bardzo złym.

Że Wielkopolska ma nad nami wszystkimi wyższość ogromną w wyrobionym świadomym sobie patryotyzmie ludu wiejskiego, że w tej chwili właśnie daje dowody stałości i wierności wspaniałej, to tak wiadome, jak i to, że głównem jej nieszczęściem i niebezpieczeństwem jest napływ Niemców i utrata fizycznego posiadania ziemi, a siła moralna choćby największa osłabnie, jeżeli jej materyjalnej podstawy zabraknie. Jednak to co oni robią, od pierwszej chwili prześladowania Kościoła, aż do najnowszego prześladowania języka, jest najpiękniejszą bez kwestyi polską robotą tych lat ostatnich. Trudno patrząc na to co się dotąd dzieje, nie mieć nadziei i wiary, że taksamo pójdzie dalej, że choć ludzie świeccy nie stoją może na tej wysokości co duchowni, albo szlachta na tej co lud wiejski, przecież wytrzymają do ostatka i w końcu zwyciężą, że jak niegdyś pierwsi chrzest przyjęli, tak teraz tym powtórnym chrztem czy bierzmowaniem prześladowania i przykładem swoim odrodzą ducha katolickiego a utwierdzą polskiego w nas wszystkich. A przecież nie ma walki na świecie, w której zwycięstwo byłoby pewnem, nie ma jej bez niespokojności i obawy. Tu obawa jest dwojaka. Jedna, że lud pozbawiony stopniowo księży prawdziwych, a potrzebujący nabożeństw i sakramentów, pomału, gdyby to trwać miało, przyzwyczai się do księży rządowych, lub doprowadzony do rozpaczyny dopuści się tu i owdzie jakiego gwałtu (może i umyślnie wywołanego), a przez to narazi się na represyę tak srogą, że w końcu znużony i złamany ulegnie.

Drugą obawą przejąć musi każdego myślącego to postępowanie dziwne niektórych dzienników i ludzi, którzy chcąc walczyć z rządem pruskim na polu narodowym gotowi są przyjąć spokojnie to, co on robi na polu religijnem, i protestując ile mogą przeciw gwałtom dokonanyim na języku naprzykład, protestują półgębkiem tylko, lub wcale przeciw gwałtom zadawanym wierze, sumieniom i Kościołowi. Nie z katolickiego ale już tylko z politycznego stanowiska nie może być mniej zręcznego i szczęśliwego sposobu działania. Jestto to samo, co w wojnie odpychać sprzymierzeńców i rzucać najlepszą broń o ziemię, co broniąc oblężonej twierdzy zagwoździć swoje własne działa i to te jeszcze, które niosą najdalej. Żyd lub protestant byle miał żdźbło politycznego rozumu i trochę polskiego uczucia, wiedziałby, że dziś nigdzie w Polsce, a najmniej w Wielkiej, nie można odstępować katolickiej chorągwi, ani się jej wypierać, ani jej służyć nieszczerze, bo tam jest ten środek, to jądro jedynej wielkiej armii, która nieprzyjaciela może pokonać: że od niej się oddzielać i na własną rękę prowadzić forpocztowe utarczki, to znaczy dobrowolnie siły rozpraszać i ludzi siebie samych pozorem wojny, którego nieprzyjaciel się ulęknie: to znaczy robić tak, jak ci dowódcy, którzy chcąc koniecznie na siebie zwrócić uwagę i sobie zrobić sławę, rzucają się na nieprzyjaciela ze swoim korpusem w złym czasie i w złym miejscu, a przez to udaremniają plan walnej bitwy, która bez tej samolubnej i ciasnej zuchwałości mogła być wygrana. Żyd i protestant, byle z rozumem i z polskim sercem, wiedziałby to dobrze i takby postępował; nie wiedzą tylko i postępować tak nie chcą nasze polityczne i patryotyczne marodery.

A więc pod rządem rosyjskim wszystko zburzone i z ziemią zrównane, pod pruskim wszystko podkopane, podminowane. przygotowane do wysadzenia w powietrze; pod austriackim życia, energii, politycznej zdolności i publicznego ducha nie wiele a niebezpieczeństw bez liku — oto nasz stan dzisiejszy po dziesięciu latach, oto summa naszych sił, oto warunki, w których walczyć musimy o życie lub śmierć z dwoma najpotężniejszymi mocarstwami w Europie — a musimy naprawdę, choćbyśmy nie chcieli, bo one nas w pokoju nie zostawiają.

IV.

I co się z nami dalej stanie? Co teraz mamy robić? Ze wszystkich smutków naszego położenia najbardziej dręczący, jeżeli nie najgorszy jest ten, że sami sobie radzić i na swoje losy wpływać nie możemy, ale z założonemi rękami musimy stać i czekać tego co nam wypadki przyniosą. I to nie my tylko, którzy swojego rządu i państwa nie mamy i swojej woli wykonywać nie możemy, ale i narody niepodległe, i państwa zorganizowane, i wielkie mocarstwa nawet, żyją w podobnej niepewności jutra. Cała różnica, że one mogą coś działać, a przynajmniej łudzić się, że działają, że odsuwają chwilę przewrotu. Ale czują wszystkie, że ten przewrót przyjść musi, że podkopana z dołu socjalizmem i rewolucją, a u góry pozbawiona już wszelkiego prawa narodów, Europa w tym stanie długo trwać nie może. Czy ten przewrót nieunikniony spowodowany będzie wybuchem rewolucyi, czy sam brak prawa narodów i równowagi między nimi zmusi je do wojny powszechnej, czy jedno z drugim się połączy i jedno za drugim pójdzie, tego nikt nie przewiduje, ale każdy czuje, że musi przyjść coś, co położy koniec dzisiejszemu porządkowi rzeczy, a rozpocznie nowy. „Już się ma pod koniec starożytnemu światu, wszystko co w nim żyło, psuje się, rozprzega i szaleje.“ Tylko przy schyłku epoki rzymskiej byli barbarzyńcy, którzy nową mogli rozpocząć; dziś w Europie nie ma ludów nieznanych i świeżych, nie ma ich na całej kuli ziemskiej. A więc i na to wyjście, na ten sposób odmłodzenia naszego zgrzybiałego świata liczyć nie można. Czy może, jak chcą niektórzy, wystarczą na to zadanie barbarzyńcy miejscowi, europejscy, jakieś na wielką skalę wszędzie komuny, które zmiotą wszystko co jest, a zmiotłszy nie będą wiedziały co dalej począć, i wtedy Kościół rozpocznie z nimi to co zrobił już na wstępie wieków średnich z innymi, ucywilizuje, umoralni, i da Europie możliwość życia na nowo? Koniec taki byłby logicznym, przystawałby dobrze do początku. *Nieboska komedia* byłaby zupełną i sprawdzoną co do słowa. Ale przewidzieć co to będzie, zkąd przyjdzie, przeszkadzać temu lub na tych nieznanych wydarzeniach ciemnej przyszłości opierać swoje

widoki i rachuby, nie może nikt, bo jeżeli są tacy, którzy wypadki te przygotowują, to nie na tych, którzyby nimi podług woli kierować mogli. Tyle wiemy, że stoimy przed jakąś zmianą — jaka ona będzie, *was uns die nächste Stunde schwarzverschleiert bringt*," próżno i zgadywać.

A kto wie, czy w chwili, kiedy to piszemy, ta czarna zasłona nie zaczyna się rozdzierać, czy niebawem nie ukaże się to, co ona zakrywa, czy nie roztlil się już ten lont, który podpalić ma prochy i dzisiejszy stan rzeczy wysadzić w powietrze?

Dziesięć lat temu, kiedy wychodził pierwszy zeszyt Przeglądu, zatrząsł Europą grzmot rozlegający się z Sadowy i pchnął tę bryłę na nowe tory, zaiste nie proste. Co przyniosą jutro dzisiejsze wypadki na Wschodzie? Mogą przynieść przemianę jakąś większą od tamtej. Do przewidywań i kombinacji pole otwarte, a choć to robota najczęściej marna i w śmiech podana wypadkami wprost przeciwnemi tym, których się spodziewano, jednak przewidzieć się dadzą nie wypadki ale pewne alternatywy, jednak są fakta, które przewidywań nie potrzebują, bo są, są wynikające z nich pewne konieczności i obowiązki położenia i postępowania, które nie dadzą się dokładnie oznaczyć, ale dadzą się w przybliżeniu wskazać.

Faktem takim jest zaraz bliski koniec Porty Otomańskiej. Przypuszczam, że w tym roku jeszcze on nie nastąpi, że Turcy zwyciężą Słowian południowych, którym Rosya na razie nie będzie miała siły czy odwagi pomagać, że polityka angielska choćby z austryacką nie połączona zdoła jeszcze raz Turcyą zagalwanizować, a jakieś dyplomatyczne konferencye jeszcze raz zatrą tynkiem spróchniały i wałący się budynek — czy on dlatego długo postoi? Oczywiście nie; dawno świat mówi do Turcyi: „twoje mi śmiercią chore już oblicze," a dziś na to oblicze chore wystąpiły wszystkie oznaki konania. Choćby sztucznymi środkami ostatnią chwilę odwlec zdołano, siły i życie nie wróca. To jest fakt, a wobec niego jakie nasze położenie?

Takie, że działać nie możemy, a więc myśleć nie potrzebujemy? Zapewne, ale na błędy jest czas i miejsce zawsze, i w bezczynności zupełnej jeszcze je popełniać można. Furze siana wszystko jedno, czy komar na niej siedzie lub odleci,

ale komar nie powinien siadać tam, gdzie może nogę uwięzić lub skrzydło opalić. Zatem jak my biedne słabe komary latać mamy koło tej wschodniej świecy, z której lada chwila buchnąć może pożar?

Wiemy dobrze, że jak za Rzeczypospolitej, za naszych wojen z Turkami, wielkim błędem naszej prawie niebyłej polityki zagranicznej było to, żeśmy Słowian południowych poznać, podnieść i użyć nie umieli, żeśmy nie robili tego, co robi Rosya, tak od rozbiorów znowu utrzymanie Turcyi było jednym z kardynalnych punktów polityki polskiej, jedną z rzeczywistych potrzeb i podstaw. Rzeczy się zmieniły, dawny nieprzyjaciel stał się sprzymierzeńcem; uczciwość jego względem nas w czasie rozbiorów, których na wstyd *chrześcijańskim* (!) panom jeden po papieżu nie uznał, a za którą wdzięczność i poszanowanie winniśmy mu zawsze, a zwłaszcza wspólny nieprzyjaciel i niebezpieczeństwo z tej samej północnej strony sprawiły, żeśmy byli szczerze przyjaciółmi Turków; przekonanie zaś, że kwestya wschodnia musi doprowadzić do koalicji europejskiej przeciw Rosyi, kierowało naszemi uczuciami i postępami, i słuszność niezaprzeczoną mieli ci, którzy w roku 1854 po stronie Turków stali i sprawy ich polskimi legionami bronili. I dziś jeszcze słuszność byłaby ta sama, gdyby była ta sama możliwość wojny wszystkich przeciw Rosyi o Turcyę. Ale kiedy to bez Francyi możliwem nie jest, kiedy my ani Turcyi dopomódz, ani sprawy swojej do wschodniej przywiązać nie możemy, to wszelkie występowanie, wszelkie odzywianie się za Turcyą byłoby i niepotrzebnem i szkodliwem, byłoby tą pomocą komara zarozumiałą a śmieszną, której wóz nie potrzebuje, ale która mogłaby mieć złe skutki dla komara. Mówimy to z tego powodu, że słyhać jakoby tonąca Turcyja chwytała się brzytwy i w uciskach swoich szukać chciała ratunku nawet w formacyi polskich legionów. Jeżeli tak jest, znalazłaby zapewne ludzi pozbawionych gruntu pod nogami którzy zaciągnęliby się w jej służbę nie mając nic innego do roboty, i znalazłaby zawsze między nami takich, którzy przyjmą każdy stopień oficerski choćby najmniej rzeczywisty, najbardziej illuzyjny. Otóż o tem przestrzedz chcemy, że co przed laty dwudziestu miało polityczną myśl, a mogło mieć i polityczny skutek, to dziś znaczenia nie miałoby żadnego, i żadnego dla

naszej sprawy pożytku. Ówczesna wojna rozpoczęta nad Dunajem o Turcyę mogła być i powinna była skończyć się gdzieindziej i o co innego, ówczesne legiony mogły sobie robić nadzieję, że powiedzą im w końcu „marsz, marsz do ziemi polskiej“ — dziś, jeżeli nawet wybuchnie wojna powszechna, to tego charakteru ona nie przybierze, a wszelkie formacje polskie w Turcyi byłyby tylko illuzją pomocy dla Turków, illuzją legionów dla Polaków.

A więc cóż? Jeżeli Turcyja żyć nie może albo i nie powinna, więc cóż mamy robić? przejść życzeniami i sympatjami przynajmniej na stronę Słowian? Możliwv, gdyby oni byli sami. Ale wiedząc, kto ich pcha i prowadzi, kto z ich wygranej obiecuje sobie zwycięstwo i zdobycz, przystać do nich trudno, choćby najbierniejszą tylko sympatją. Żle im życzyć? Nie godzi się, bo i chrześcijanie, i uciśnieni, i Słowianie wreszcie. Pragnąć ich klęski byłoby niegodnie, przeszkadzać im w czemkolwiek, a choćby tylko przeciw nim się odzywać, byłoby nie politycznie, bo byłby to zaród nienawiści między nami a całym tym światem słowiańskim, który może przychodzi do życia, w każdym razie nowy powód do nieporozumień między nami a wszystkimi Słowianami w Austrii. Ale jak nie przeciwko nim, tak też i nie za nimi także. Cokolwiek oświadczenia się, to sprawia, że z czystym sumieniem możemy po żadnej stronie nie stawać. A pamiętajmy o tem, że politykę polską i jej widoki oparliśmy o Austryę, że dziś jak przed dziesięciu laty innego oparcia nie mamy, że nasza myśl, nasz głos, nasza siła, tylko dodane do jej sił coś znaczyć i do znaczenia dojść mogą. Gdybyśmy dziś wyrwali się i platonicznie po stronie Słowian stanęli, czy nie znaleźlibyśmy się czasem w sprzeczności z polityką austryacką? czybyśmy od głównej linii naszego postępowania nie zboczyli? Bośniakom i Serbom nie wielebyśmy pomogli, sobie moglibyśmy zaszkodzić wiele, przynajmniej w naszych stosunkach galicyjskich. Wszelkie oświadczenie się, wszelkie złamanie neutralności mogłoby pomóc się na nas w Austrii, sympatye tureckie nieprzyjaźnią

Słowian bardzo dla nas złą w chwili kiedy zjawi się na nowo, a zjawić się musi, kwestya ugody z Czechami: sympatye słowiańskie nieprzyjaźnią Węgrów, która mogłaby zrobić nam tyle złego, ile ich dzisiejsza łaska nie robi nam dobrego. Komu rozum i zmysł polityczny nakazuje neutralność, a komu Bóg dał że z czystym sumieniem bez zdrady swoich obowiązków i utraty swego honoru zachować ją może, ten niechże będzie neutralnym, i wdzięcznym że nim być może.

Oto zdaniem naszym najlepsza i najprostsza dla nas droga postępowania wobec zawitych wypadków na Wschodzie. Pomocy naszej nikt nie potrzebuje; życzliwości naszej Turkom dać nie możemy bo prześladują, chrześcijanom dalibyśmy ją z duszy serca, gdybyśmy mogli, gdyby byli sami: w tym stanie rzeczy nietylko musimy być obojętnymi w postawie, ale możemy być obojętnymi w uczuciu. W zupełności prawda ta zimna krew utrzymać się nie da, owszem burzy się i bardzo: ta obojętność uczucia przechodzi i w gniew i w oburzenie, i bez mała w nienawiść i wzgardę ostatnią, tylko te nie odnoszą się do Turków, ani do Słowian, ale do kogo innego.

Że Turcy barbarzyńcy i okrutni, to być może. Że Słowianie mają prawo wybić się na wolność i że zasługują na cześć, bo się za swoją ojczyznę biją, i dobrze, to pewna. Ale jak pomyśleć, że o ich trochę krwi przelanej upomina się świat cały, że trzech cesarzy i trzech kanclerzy zjeżdża się i naradza, że ich zwierzchnikowi podają warunki, a prawie rozkazy, jak ma nimi rządzić, jak pomyśleć, że broni, pieniędzy, dowódców dostarcza im jedno z wielkich mocarstw otwarcie prawie, a inne patrzą na to przez szpary, jak pomyśleć wreszcie, że to ludy, które niewiele w historyi świata znaczyły i swojej niewiele miały, pierwotne jeszcze, częścią dzikie, bez zasługi w Europie, bez wiekowych z nią stosunków, nawet bez tego najsłabszego tytułu do opieki, jakim są traktaty, i że za nich noty, groźby, konferencye, ultimata i interwencye sypały się na Turcyę jak grad, że o nich lada dzień zapalić się może wojna powszechna, i jak to porównać z sobą, z tem co się u nas działo przed laty trzynastu, pali się serce i jątrzy nie zawiścią do nich — owszem, szczęść im Boże — ale jakimś do Europy uczuciem, które stopień jeszcze, a mogłoby chyba stać się nienawiścią. Co Turcy robili? mordowali, palili, rabo-

wali? a u nas co? Równali z ziemią sioła i osady? A u nas co? Wiele wsi, wiele zaścianków zburzonych i zagładzonych? wiele tysięcy ludności wyrwanej z ziemi i przesiedlonej gdzieś na drugi koniec świata? tego już Turcy nie robili. Ale Turcy prześladowali chrześcijan? Doprawdy? Śmiech z tej chrześcijańskiej gorliwości, z tej filantropii czy miłości bliźniego, śmiech i przekleństwo. Nie, Turcy nie prześladowali tak jak wy niby chrześcijanie, Turcy nie pędzili gwałtem do meczetów, nie ogłaszali za muzułmanów ludzi, którzy chrześcijanami być chcieli, nie trzymali, bułgarskich czy bośniackich kobiet w śniegach i lodach, dopóki do meczetu nie wejdą i prorokowi nie oddadzą pokłonu, nie strzelali rotowym ogniem do tych, co w kościele zostać chcieli, Turcy nigdy tego nie robili, i po takich mordach i okrucieństwach Turcy nie kłamali, nie odprawiali nabożeństw dziękczynnych, nie sławili w miodowych słowach tryumfów swojej świętej cerkwi, nie bili sobie medałów na pamiątkę dobrowolnego nawrócenia chrześcijan na ich wiarę. Nie, Turcy nie byli ani tak okrutni, ani tak bezczelni, i kiedy różne mocarstwa europejskie w świętem uczuciu swojej chrześcijańskiej misji upominały się u nich o krzywdy Bułgarów czy Bośniaków, Turcy mieli prawo i powinni byli odpowiedzieć, że zmieniają swoje postępowanie, jak chrześcijanie dadzą im przykład, jak cesarz rosyjski przywróci unię (choćby tylko na Podlasiu i w Chełmskiem), jak cesarz niemiecki pozwoli biskupom bierzmować i święcić księży, księżom chrzcić, spowiadać i mszę odprawiać. I mogli jeszcze dodać, że oni mają wymówkę, bo i chrześcijanami nie są, i do sławnej europejskiej cywilizacji nie mają pretensyi, gdyby więc byli więcej złego zrobili, to ich wina byłaby zawsze mniejszą, a zrobili mniej złego. Tymczasem na nich o krzywdy i okrucieństwa mniejsze powstałi wszyscy; ręce nie oschłe jeszcze z krwi chrześcijańskiej rozdzierały szaty ze zgrozy, pisały skargi i groźby, zbierały pieniądze, wysyłały broń, skubały szarpie dla nieszczęśliwych uciśnionych chrześcijan, usta wykrzywione jeszcze ostatniem bluźnierczem kłamstwem o „dobrowolnem nawróceniu unitów“ bluźniły i kłamały dalej podnosząc wielki krzyk w obronie niby Chrystusa i chrześcijan — a świat cały słucha pokornie i udaje, że wierzy. Ale kiedy robiono nie to samo, tylko sto razy więcej, nie z nieznanymi półdzikimi lu-

dźmi, ale z tymi, o których Europa przecież wiedziećby coś mogło, bo im jest coś winna i znała ich dość długo, to wtedy nic: jeden chciał niby coś robić, ale się uląkł i schował, inny „miał prawo mieszać się w te sprawy, ale nie miał *obowiązku*,” wszyscy umilkli, wszyscy pozwolili sobie dać policzek. Nie ma lepszej miary do zmierzenia niezmierzonej podłości Europy, jak postawa jej w sprawie polskiej przed laty trzynastu, a postawa jej i Rosyi dziś w sprawie Słowian południowych. Rosya okrutna względem nas i nie mająca prawa powstawać na Turków, bo robiła więcej i gorzej niż oni, w tej sprawie ma i rozumu i godności więcej niż miała Europa w naszej. I nie byłoby dziwnem, gdyby najwięcej siły pokazał i zwycięstwo odniósł ten, kto ma tyle przynajmniej rozumu i charakteru, że wie czego chce, a to, co chce i ma za dobre dla siebie, umie i przedsięwziąć.

To przypomnienie i idące za niem wrażenie, że „coraz podłej na tej ziemi było,” oto co w obojętnem prawie usposobieniu czuć się nam daje najwyraźniej i najsilniej.

Co zaś pokazuje się najjaśniej jako dobry sposób postępowania w danych okolicznościach? Dotychczas widocznem jest to tylko, że one jeszcze dane nie są i mogą się różnie obrócić. Na teraz, mówią nam, niema prawdopodobieństwa wojny powszechnej. Austria nie chce państwa słowiańskiego w sąsiedztwie Węgier, zatem chce utrzymania Turcyi; Rosya chce jej zguby, ale czy że nie dość gotowa, czy że lęka się wielu nieprzyjaciół naraz, wojny dziś nie rozpocznie. Niemcy pośrednio tylko tą kwestyą dotknięte, widząc, że Rosyi sił i krajów nie przybywa, zachowają się spokojnie. Niema więc ani powodu, ani ochoty do wojny, ani nawet stron wojujących, Turcyja da sobie radę z Serbami i utrzyma się jeszcze na czas jakiś, możemy spać spokojnie.

Może to i prawda, na czas jakiś, na kilka miesięcy, do przyszłej wiosny naprzykład, ale czy prawda na długo? Ze wszystkich fikcyj, jakimi styl dyplomatyczny ludzi gabinetu i narody europejskie, najbardziej ułudną jest może fikcyja zawarta w znanej formule „*Status quo ante*.” Nie, nigdy po wypadkach nie wraca czysto i prosto stan jaki był przed wypadkami, i sprawa południowej Słowiańszczyzny raz rozpoczęta, wniosła w stosunki europejskie zmianę, która rozwinąć

się i dojrzeć musi, musi się skończyć albo tryumfem polityki rosyjskiej na Wschodzie, albo zupełną jej porażką. Jestto jak proces chemiczny, jak ferment przeobrażających się ciał, który zatrzymać się, zostać na miejscu, tem bardziej wrócić do dawnego naprawdę nie może.

Na dziś mówią nam o zupełnem porozumieniu Rosyi z Austryą. Porozumienie to może być tylko negacyjnem. Oparte na tem, że dziś jedna i druga nie chce wojny, a przeciwne naturze rzeczy, skoro jedna z nich dąży do tego czego obawia się druga, rzeczywistem i trwałem ono być nie może. Pociągnie czas jakiś, objawi się może śmielszem występowaniem dążności centralistycznych w Galicyi, ale zachować je nie zależy nawet od woli czy tych rządów, czy tych monarchów. Łączy ich dziś z sobą pragnienie pokoju, a może obawa że wojna obróciłaby się na korzyść sąsiada który dla obudwóch już dziś jest za mocny. Ale niech Serbia odniesie znaczniejsze korzyści w wojnie przeciw Turkom, zaraz przeciwny interes nakaze obu państwom przeciwne postępowanie; niech Niemcy zaniepokojone porozumieniem swoich dwóch sąsiadów zechcą naprawdę poróżnić ich i popchnąć do wojny, a sposób i pozor znajdą.

Wreszcie, rzecz najważniejsza i najpodobniejsza do prawdy, sprzymierzeniec sam zyskawszy w ten sposób nieco czasu do przygotowania, wyciągnąwszy kilka kasztanów z żaru rękami Austryi, wystąpi otwarcie z planem, o którym skrycie zawsze myśleć musi, może zrobić nad Dunajem w roku 1877 lub 78 to samo, co inny sprzymierzeniec zrobił nad Elbą w 1866; a wtedy! „Nie śmiem źle tuszyć, nie śmiem,“ ale lękamy się bardzo, że ci, którzy widzą w Rosyi ratunek Austryi, pamiętają dawne czasy cesarza Mikołaja i księcia Metternicha, ale nowszych znać i rozumieć, ale z ostatnich nauk swojej historii korzystać nie umieją. I jeżeli ich polityka, jak się to zdaje, zwycięży, to w krótkim czasie na innym teatrze i z innymi aktorami powtórzyć się może tensam dramat, którego akt ostatni skończył się w Nikolsburgu! Daj Boże. żeby Austrya nie odegrała w nim tejsamej roli co w tamtej, daj jej Boże ministra spraw zagranicznych (dzisiejszego lub jego zastępcę) któryby ją od tej roli a sam siebie od roli hr. Mensdorffa umiał ochronić.

A z tego wszystkiego wynika, że nie dziś to jutro przyjść mogą wypadki, które i na nasze położenie wpłyną, do których nasze postępowanie stósować się będzie musiało.

Miedzy takimi wypadkami stawia się odosobnienie i trudne położenie Rosyi. Widocznie poniosła ona już dotkliwą klęskę. Puściła w ruch Słowian południowych, a w chwili, kiedy tego ruchu już powstrzymać nie mogła, pokazało się, że nie może go popierać bez wojny, której na teraz rozpoczynać nie chce; że napotyka na swojej drodze silny opór ze strony Anglii, a opór ukryty ze strony Prus, i Austrii poniekąd aż do zjazdu cesarzów w Reichstadt. Po takiej porażce może Rosya swoją urazę stłumić i ukryć, ale nie może jej zapomnieć, i przy pierwszej zdarzonej sposobności postara się o odwet. A wtedy niektórzy przewidują zabór Galicyi jako satysfakcyę dla narodowej miłości własnej rosyjskiej upokorzonej tem, że na swoim nie postawiła i Słowian południowych opuściła, i twierdzą, że zmiana taka, nieszczęśliwa dla Galicyi, wyszłaby na dobre na wzmocnienie żywiołowi polskiemu pod rządem rosyjskim. Teorya ta mogłaby mieć za sobą pewne, nawet dość łudzące pozory słuszności, gdyby nie ten fakt, że w Galicyi są Rusini i Unicy, którzy z dniem zaboru byłiby przez rząd rosyjski i i swoich duchownych przeprowadzeni na schizmę jak Podlasianie, a przez to interes polski poniósłby szkodę, której liczebny wzrost sił polskich w Rosyi przeważyćby nie zdołał. Zresztą, kto mówi o zaborze Galicyi, ten wchodzi na pole hipotez mglistych i nieokreślonych, bo na pole zmian terytoryalnych, które z góry przewidzieć i oznaczyć się nie dadzą. Jaki zabór? Spokojny, bez wystrzału, drogą kompensat i układów między Rosyą i Austryą? A czy nikt trzeci nie sprzeciwiłby się tym facyendom? Drogą wojny? *Dubius* zawsze *belli eventus*, i jak zabór Galicyi przez Rosyę tak możnaby zarówno przypuszczać w takiej wojnie zdobycie Królestwa przez Austryę i na niem znowu budować gmach przypuszczeń i kombinacyi. A wszystko to gmachy i zamki na lodzie, których budowa dziś jest marną stratą czasu; dość będzie myśleć o zamkach, jak zamiast lodu będzie ląd pod nogami, jak jakieś zmiany terytoryalne rzeczywiście nastąpią a przynajmniej będą blizkie.

Jest przypuszczenie inne, zawarte bardziej w sferze praktycznego i łatwiejszego prawdopodobieństwa. Jeżeli Rosya „mó-

wią,“ zobaczy się przez czas jakiś odosobnioną i zagrożoną nieprzyjaznem usposobieniem całej Europy, natenczas szukając sił i sprzymierzeńców a nie znajdując po za granicami, zechce ich szukać w swoich granicach, zwróci uwagę na Polskę, z której każdy jej nieprzyjaciół tak łatwo może korzystać, opatrzy się że niemądrze, niezgodnie z własnym interesem z nią postępowała, i spróbuje naprawić co psuła od roku 1863. Zwrot taki, w dniu w którym Rosya uczułaby się naprawdę zagrożoną, byłby możliwym i logicznie przypuszczalnym. A wtedy co? jakby nam wobec niego zachować się wypadło? Gdyby znalazł się jakiś sposób wyjścia z dzisiejszego położenia, porozumienia się z rządem rosyjskim, i gdyby tego środka chwyciło się Królestwo tak jak tonący chwytą się brzytwy, któżby śmiał odradzać mu albo mu to brać za złe. Oni chcą i muszą żyć, oddychać, a wypompowano im powietrze; jeżeli go trochę zaczerpnąć mogą, śmiałyby był ktoby za to rzucił na nich kamieniem. Czy są dziś takie środki porozumienia? Nie wiemy, i nie sądzimy. Ale widzimy pewną skłonność do ich szukania, i tej skłonności mamy do powiedzenia dwa słowa. Pierwsze to, że cokolwiek jutro stać się może, dziś na kroki takie, a choćby tylko na najślabsze kroki z naszej strony zawczasie. Pomiędzy dwoma przeciwnikami równej siły, zawsze ten stawia się w położeniu gorszem, który robi pierwszy krok, bo tem daje poznać, że zgody bardzo potrzebuje. Słabszy i zwyciężony wprowadzie często pierwszy krok zrobić musi, ale powinien robić go wtedy dopiero, kiedy zwycięzca ustał w zapędzie i nie wie, gdzie i jak ma iść dalej. Wyciągać do niego rękę w chwili, kiedy upojony swoim tryumfem jeszcze się opamiętał i nie wytrzeźwił, to na nic; ręka będzie wyglądała jak wyciągnięta nie do zgody, ale po prośbie, on ją odepchnie z urąganiem, i jedynym zyskiem będzie wstyd. Na wszystkie więc pomysły, jakie się od lat paru zjawiają czasem w różnych broszurach, choćby na mądrzejsze i godniejsze od tych które się dotąd zjawily, jeszcze zawczasie.

A druga przestroga następująca: Jeżeli przyjdzie kiedy sposobna do układów chwila, pamiętajmy o tem, że rząd rosyjski chętnie ustąpi, nawet wiele, pod względem narodowym, byleśmy ustąpili pod względem religijnym. Zważywszy ucisk dzisiejszy, zważywszy, że jedność interesu polskiego z katoli-

ckim nie jest ani powszechnie, ani dostatecznie rozumianą nawet między katolikami samymi, że filozoficzne i polityczne doktryny doprowadziły wielu wprost do nienawiści katolicyzmu: że Kościół narodowy podobałby się może, jako patryotyczny niby, niejednemu płochemu umysłowi, że rząd mógłby tej ponęty użyć, wiedząc, że ten narodowy pozór długo nie potrwa, a Kościół od powszechnego i rzymskiego oderwany stanie się prędzej lub później ale koniecznie państwowym, rosyjskim, przypominamy, że układ na takich warunkach zawarty zabiłby Polskę, wyzułby ją z jej duszy, zaprzeczyłby całej jej historyi, z najdalej na wschód posuniętej strażnicy cywilizacji zachodniej zrobiłby najdalej na zachód pchniętą przednią czatę wschodniego, schizmatycznego, rosyjskiego ducha i porządku. Taby nie był targ taki jak głodnego Ezawa kiedy za soczewicę oddał swoje prawa, ale pakt taki jak Fausta z Mefistofelem: ty mnie dasz używanie życia, a ja tobie za to moją wolę i moją duszę na wieki.

A gdyby przyszło do takiej zmiany w postępowaniu Rosyi względem Polaków, gdyby ta nieroztropność i niezręczność dziś utrzymywana namiętnością, ustąpiła miejsca polityce prawdziwej i rozumnie prowadzonej, co przy wrodzonych zdolnościach i giętkości Rosyan niemożliwem nie jest, jak niezręcznym i smutnym mógłby się wtedy okazać ten krótki wzrok austriackich gabinetów i parlamentów, które nigdy szczerze i nigdy szczerze ustąpić nie umiały, które nigdy nie chciały zawrzeć z nami układu, które jeżeli rękę wyciągnęły, to na to żeby ją w tył cofnąć, które nawet kiedy co przyznały, to zawsze półgębkiem, zawsze z restrykcją, zawsze tak iż zdawało się, że przyznają na to, by czempędzej odwołać, dając, by odebrać. Gdyby Rosya, która pod tym względem zawsze była zręczniejszą, zrozumiawszy położenie zmieniła swoje postępowanie, to zmiana taka, lękamy się, nie byłaby bez wpływu na Galicyę. Znaleźliby się tacy, my pierwsi, którzyby z raz wytkniętej drogi nie zeszli i polityce austriackiej wiernymi zostali, ale czy wszyscy? za to ręczyć nie śmiemy. I dlatego przed błędami takimi, jak okrawanie Rady szkolnej w jej atrybucjach, jak wizytowanie szkół przez ministeryalnych wysłańców z pominięciem praw i władz krajowych, nawet najwyższej władzy Namiestnictwa, przestrzegamy jaknajusilniej i jaknaj-

goręcej, dla dobra nie nas samych tylko, ale dla dobra Austrii, i nie Austrii tylko, ale monarchii austriacko-węgierskiej.

W naszym przekonaniu bądź co bądź, jest ona dziś, jak była przed dziesięcioma laty, jedyną podstawą i jedynym oparciem, a cokolwiek się stanie, w wojnie czy w pokoju, wiemy, że w Austrii tylko i przy niej działać możemy skutecznie i w polskim duchu, i trzymamy się wiernie tego wielokroć w podejrzenie dawanego ale mądrego, słusznego i najrzetelniej dziś polskiego hasła „przy Tobie stoimy i stać chcemy.“ Stoimy dziś w niezmienionym stanie rzeczy, bo tu tylko na swoich nogach stać a przynajmniej stanąć na nich możemy, bo tu mamy byt ludzki i narodowy prawem strzeżony a dobrą wolą Cesarza zabezpieczony. Stać chcemy w razie, jeżeli się okoliczności zmieniają, jeżeli na przykład przyjdzie do wojny, bo ufamy, że w wojnie takiej Cesarz austriacki i jego armia będą po stronie dobrej, że ich zwycięztwo będzie zwycięstwem cywilizacji zachodniej nad wschodnią, katolickiej nad bizantyńską czy petersburską, prawa narodów nad ślepym popędem ras i mas, zatem zwycięstwem także polskiego ducha i interesu, może i materyalną polskiej sprawy korzyścią. W tych zawikłaniach, z których jutro Bóg wie co wypadnie, może wojna wszystkich ze wszystkimi, dla nas Polaków droga jest jasno i wyraźnie wskazana. Nie czepiać się Turków, nie bratać się z Serbami, nie oglądać się na te możliwe piękne obietnice, które Krasiński opisuje jako „*moskiewskie mamiidła*“, ale trzymać się tego państwa, którego ręce prawda zbyt często uzbrojone są dwojaką miarą i wagą dla różnych prowincyj państwa, ale którego głowa wierną jest prawom Boga i honoru. W razie wojny zwycięztwo Rosyi byłoby hasłem do rozpoczęcia tego dzieła słowiańskiej jedności, którego celem jest roztopienie, rozłożenie, strawienie i Polski i wszystkich innych słowiańskich narodów. A choć w skutek i trwałość tego dzieła na długo wierzyć nam trudno, przecież i krótkie jego trwanie mogłoby wystarczyć na to, by nas zgładzić, a przynajmniej bardzo osłabić i zmienić. Zwycięztwo Austrii byłoby zwycięstwem jedności narodowych nad jednością plemienną, równowagi europejskiej nad wszechwładnemi mocarstwami, zachodniej historii, tradycji, cywilizacji, nad wschodnią, katolickiej dynastji nad prawosławnym papieżem. Jedno otwiera z pe-

wnością wojskom rosyjskim drogę do Karpat a przez Karpaty do Dunaju i Bałkanów, to jest do panowania nad światem: drugie Austrii otworzyć może drogę do Warszawy. Którego z dwojga pragnąć, komu dobrze życzyć, komu wedle sił w danym razie pomagać, przy kim stać, to dla Polaków, dla katolików wątpliwem być nie może.

To na przypadek zmian. W jednej alternatywie, gdyby Rosya szukała zgody z Królestwem, nie zawierać jej kosztem religijnych ustępstw, któreby wyszły na odstępstwa, a pierwszego kroku do niej nie robić. W drugiej alternatywie, wojny, trzymać się Austrii i jej raczej niż innym wierzyć. Ale jest trzecia jeszcze możliwa, i jak się dziś wydaje najpodobniejsza do prawdy. Dajmy na to, że rzeczy zostają jak są, że przez lat parę lub kilka utrzymuje się *status quo* w Europie i w Austrii — cóż wtedy robić mamy? Oczywiście myślimy tu o nas w Galicyi tylko, bo wszystkim innym zostanie jedno to samo co dziś zadanie, starać się żyć i ducha w sobie zatrzymać. My zaś w Galicyi co w takim razie robić mamy? To co dotąd, tylko lepiej: energicznie, co robiliśmy niedołężnie, statecznie co robiliśmy lekkomyślnie, ciągle co sporadycznie, i wspólnie, co pojedynczo. Przedewszystkiem pamiętać, że w Austrii tylko dziś żyć nam wolno i że przy niej odżyć możemy. A jakkolwiek zdarzyć się może łatwo, że warunki tego życia staną się chwilowo trudniejsze i gorsze wskutek zawsze tych samych namiętności i doktryn parlamentarnych lub ministeryalnych, które może i z mniemanych wymagań polityki zagranicznej zechcą zrobić sobie wygodny pretekst do prowadzenia swego dzieła, to zmiana taka chwilowa i częściowa istoty i natury rzeczy nie naruszy, i prędzej czy później interes Austrii, mocarstwa zawsze wielkiego w Europie, będzie musiał zejść się z naszym. Zatem dbać jak dotąd o Austryę, o jej wewnętrzny spokój i wojskową siłę, o przychylność i dobrą wolę Cesarza; złą zaś chwilę, choćby bardzo przykrą, przeczekać cierpliwie i spokojnie. Nie szarpać się, nie hałasować, nie świecić i nie popisywać się z sobą; oponować, jeżeli tego potrzeba, ale w Radzie państwa tylko; po za nią zachować się jak najciszej i jak najspokojniej, przycichnąć, choćby dać o sobie zapomnieć. Bo tego możemy być pewni, że gdyby taka zła chwila reakcy niemieckiej wywołanej rosyjskimi lub pruskiemi żądaniami na-

deszła, to im więcej my o sobie, o swoich prawach i dążnościach polskich mówić, im więcej niemi świecić będziemy, tem ta reakcyja będzie gwałtowniejszą, tem głębiej sięgnie we wszystkie nasze stosunki, tem silniej zatrzęsie tem wszystkim, co już mamy. Zatem mówić jak najmniej i jak najciszej, robić jak można najwięcej a najnieznaczniej. Robić jak najwięcej, to znaczy dla młodych iść do urzędów administracyjnych, sądowych, do jakiegokolwiek ekonomicznej czy technicznej służby, zajmować wszystkie miejsca dobrze myślącymi a rzetelnie pracującymi; dla gospodarzy wiejskich to znaczy wiele rzeczy, a między innemi znaczy także wydobyć choćby stopniowe i powolne karczemy i szynków z rąk szkodliwych; dla wyborców wysyłanie do Rad powiatowych, do Rad szkolnych, do Sejmu ludzi, którzy nie tylko dobrze czuć ale i rozumnie myśleć umieją (mniejsza o to, czy pięknie umieją mówić); dla wszystkich ratowanie ziemi własnej przez porządek, włościańskiej przez zapory stawiane lichwie, ratowanie społeczeństwa i Polski przez powagę i rygor w rodzinie, żeby synowie nie wychodzili na lichych ludzi i lichych Polaków, przez powagę i rygor opinii, żeby nieczystym lub podejrzanym przewodzić nad sobą nie dawała, przez uczciwość i sprawiedliwość w stosunkach z ludem wiejskim, przez wierność Bogu i szanowanie Jego wiary. Dodajmy do tego, żeby każdy w swoim zawodzie i zakresie na prawdę pracował i żeby każdy oświecał się choć trochę, a będziemy mieli na złą chwilę do roboty dosyć, i robotę w której nam nikt nie będzie mógł przeszkadzać. Jeżeli trzeba będzie jakiś czas przeczekać, to z tem zajęciem będziemy mogli czekać cierpliwie, nie znudzimy się; doczekawszy się zaś lepszej pory przekonamy się, że zła chwila w ten sposób użyta, wyszła nam na dobre i że znajdziemy się o wiele silniejszymi, kiedy nam przyjdzie wziąć się znowu do silniejszej politycznej akcji.

Tej zaś nigdy, nawet w najgorszych warunkach, nie zaniedbywać, nie porzucać, ale spokojnie, cierpliwie a nieustannie choćby bez nadziei rychłego skutku robić to, co do dobrego wewnętrznego urządzenia kraju należy. A więc starać się o gminę, któraby umysłowych i materialnych sił miała tyle, iżby sprawy swoje na prawdę i dobrze prowadzić mogła, choćby ten skutek nie dał się osiągnąć inaczej, jak nieszcze-

snem i tak niebezpiecznem połączeniem obszarów dworskich z gromadami, choćby nawet pewną liczbę gromad i obszarów połączyć przyszło w jeden „okręg gminny“. — A więc starać się zaradzić na tę anomalię, że Rada powiatowa ma pewne atrybucye bez egzekutywy, pewne prawa, których ani wykonywać ani wykonania dopilnować nie może; anomalię, która w wielkiej części jest powodem tej anemii, na jaką choruje instytucya Rad powiatowych, tchnąć w nią życie, dać jej możność działania i jego zdolność choćby to stało się nawet kosztem zmniejszenia liczby Rad powiatowych; niech ich będzie mniej, ale niech będą w zasadzie lepiej opisane i opatrzone a w praktyce dzielniejsze. A więc poradzić na ten dualizm, na ten rozdział dwóch równoległych porządków władzy, płynących z dwóch źródeł, od siebie niezależnych, a spotykających i krzyżujących się z sobą nieraz z wielkim uszczerbkiem obudwóch a zwłaszcza kraju. Dwóch rządów nigdy być nie może, bo albo jeden musi być tylko udanym, albo obadwa będą chrome i niedostateczne. Niech będzie jeden rząd z dwóch źródeł wypływający, ale zlewający się w jedno i idący jednym korytem i jednym kierunkiem, nie krajowy osobno, osobno cesarski, ale jeden krajowy i cesarski razem, łączący oba te początki i oba interesa. Organizacya władz administracyjnych taka jak była opisana w dobrze znanym zarysie, a Sejmowi podana do uchwały przez pana Dunajewskiego, wydaje nam się być najlepszym planem urządzenia Galicyi w dzisiejszem jej położeniu; a choć wiemy, że w Wiedniu musiałyby rzeczy zmienić się znacznie na to, by u nas ten plan dobry mógł stać się rzeczywistością, to niemniej powinniśmy odrazu stale i ciągle do jego urzeczywistnienia dążyć. I nie dalej jak zaraz, w najbliższej przyszłości, w tej czynności ważnej, do której niebawem przystąpimy, w wyborach do Sejmu. Radziłbyśmy naprzód, żeby raz zwyciężonym został przypadek, który działał w nich zawsze i z tego samego okręgu wysyłał ludzi wprost przeciwnych wyobrażeń; lekkomyślność czy bezmyślność, która wybierała ludzi bez stałych i wyrobionych wyobrażeń, bez przekonań politycznych; żeby zwyciężonym był ten duch powiatowy, który wysyłał do Sejmu zbyt wiele może miejscowych powag i wielkości. Ale oprócz tego wszystkiego pragniemy bardzo, żeby te wybory odbyły się pod hasłem administracyj-

nej reorganizacji kraju, żeby wyborcy — jak już tarnopolscy dali im dobry i piękny przykład — tym kandydatom głosy swoje dawali, którzy się przyznają do zasad organizacji we wniosku pana Dunajewskiego objętych.

Na tę zaś zmianę w Wiedniu, która ociągnąć się może ale przyjść będzie musiała, czekać cierpliwie i spokojnie; nie przyspieszać jej środkami takimi, które właśnie opóźniłyby ją mogły, jak głośna a mało straszna opozycja, nie wywoływać jej środkami takimi, które i nam i państwu szkodziłyby mogły (takim byłoby naprzykład obcinanie budżetów wojskowych) bo złe ministerya nie potrafią nigdy zrobić nam tyle złego, ile zrobiłoby osłabienie państwa. Ale jak przyjdzie chwila, że gabinet dzisiejszy chwiać się zacznie, a będą pod ręką żywioły z których lepszy da się złożyć, wtedy bronić go i podtrzymywać nie mamy żadnego obowiązku ani powodu.

Oto zdaniem naszym konieczny i naturą rzeczy wskazany kierunek polityki polskiej w ogólności, i polityki polskiej w Galicyi. A z wszystkiego, co powiedziano, pokazuje się jasno, że *po dziesięciu latach* jest on taki sam jak był przed dziesięciu laty. Ta sama dla jednej potrzeba oparcia się o Austryę, ta sama dla drugiej pierwsza potrzeba wzmocnienia narodowości przez uporządkowanie administracji i ugruntowanie prawdziwego społeczeństwa, ta sama dla obu konieczność wystrzegania się kroków nieostrożnych jak opozycja gwałtowna, i kroków niebezpiecznych jak demonstracye i konspiracye. Linia drogi została ta sama, tylko trudności jej są nierównie większe. Gładką nie była ona nigdy, ale od tego czasu tak najeżyła się kamieniami, tak rozgrzęzła kolejami i wybojami, tak się zwężyła, i takie po obu stronach rozdarły się głębokie i strome urwiska, że jechać nią a nie zawadzić, wozu nie połamać, karku nie skrzywić, daleko trudniej. Dlatego też właśnie, że po doświadczeniach i na sobie mniej polegać możemy i zewsząd więcej widzimy niebezpieczeństw, powtarzając to co mówiliśmy wiele razy, powtarzamy głośniejsz, usilniej, bo przez te lat dziesięć straciliśmy wiele, nabyli mniej, a to, co nam jeszcze zostało przepaść może, jeżeli się dobrze do ratunku nie weźmiemy. Ziemi, praw, języka, nawet pieniędzy, wszystkiego nam ubyło, a bodaj czy i nie ufności w siebie i szacunku u drugich, czy nie ducha w ciele, a Boga w sercu. Wszyst-

kiego strzedz musimy, bo wszystko to już resztki i ostatki, ale tego dwojga najbardziej, żebyśmy sami i drudzy o nas powiedzieć mogli, co słusznie mówili o sobie nasi poprzednicy: „duchaśmy nie dali.“ A dajemy go, ile razy cześć swoją w jakikolwiek sposób poniewieramy, dajemy go, kiedy wpadamy w kosmopolityzm rewolucyjnych teoryj albo w kosmopolityzm zagranicznego życia obyczaju i mody, dajemy go, kiedy wmawiamy w siebie czy w drugich że nie ma pewnej dowiedzionej duszy w człowieku a tem mniej w narodzie, dajemy go zwłaszcza, kiedy złudzeni sofizmatami lub pokusami uwiedzeni odrzekamy się swojej wiary i Kościoła, i w *zmowie* bezwiednej i mimowolnej ale rzeczywistej z *Moskalem* i Prusakiem walimy w nie taranami lub rzucamy błotem: dajemy ducha wreszcie, kiedy go trujemy kłamstwem i potwarzą, kiedy go kazimy miłością siebie samych, gasimy ciemnotą, kiedy go dusimy rezygnacją, i kiedy go odhartowujemy zwątpieniem. Z tem wszystkim wojna bez wytechnienia i bez pardonu, oto środek najbliższy, codzienny, zawsze dostępny, a nieraz jedyny, dla „tej przegranej, której cel daleki,“ jeżeli ona chce do tego celu się zbliżyć i być kiedyś wygraną.

St. Tarnowski.

CZECHY I ROSYA.

Dr. Paweł Durdik „Sławjanofilska strana na Rusi.“ w czasopiśmie Osvieta.
Rok III. T. I. 1873. v Praze. Nro 2. str. 81.

Pod tym tytułem rozpoczynamy ogłaszać szereg artykułów, wyjętych z dzieł i czasopism czeskich, a odnoszących się do stosunku Czech i Rosyi. Mamy zamiar przytoczyć tu kilka takich dokumentów, częścią w dosłownym przekładzie, częścią gdzie rozwlekłość i mniej interesujące nas szczegóły tego wymagały, w streszczeniu. Niechcemy uprzedzać zdania czytelnika, niech sam czyta nasze cytata, niech je rozbiera według własnego zdania, fakta najlepiej przekonują, my z uwagami naszymi zatrzymujemy się do ukończenia zbioru powyższych artykułów.

Rozpoczynamy od rozprawy Dra Pawła Durdika ¹⁾, „o

¹⁾ Paweł Durdik ur. r. 1843 w Horzyczach. Gimnazjum skończył w Kralowymhradcu, uniwersytet w Pradze, gdzie w roku 1867 otrzymał stopień doktora medycyny. W rok potem powołany został na nadwornego lekarza księcia Repnina do Jagotina, w okolicach Kijowa. W r. 1869 przeniósł się do Moskwy, tam zdawszy powtórnie egzamin doktorski, został dyrektorem szpitalów w dobrach hr. Orłowa-Dawidowa w Ostradzie niedaleko Moskwy. Dr Durdik ogłaszał w czeskich czasopismach wiele artykułów odnoszących się do stosunków rosyjskich.

stronnictwie Słowjanofilskiem w Rosyi.“ Autor od lat kilku zamieszkuje okolice Moskwy, dokładnie więc zna stosunki tamtejsze, przypatrywał się im bowiem własnymi oczyma. Artykuł ten rozpoczyna on następującemi uwagami: Franciszek Palacky, *dosłowie k' Radhostcu* wspomina, że w Rosyi istnieje stronnictwo, dążące do przemienienia wszystkich Słowian w Rosyan; tym obrońcom panmoskwiczizmu odpowiada tak historyk czeski, w imieniu całego narodu swego: Nie widzę żadnej różnicy między nimi, a fanatykami niemieckimi i maddziarskimi. I odpowiadam im, że Czesi więcej jak od tysiąca lat, nie na to walczyli i wywalczyli swoją narodowość niezliczonemi ofiarami, by wyrzec się jej później za ladajakie dobre słowo Marzenia o utworzeniu jednego wszechsłowiańskiego języka są tylko marzeniami i niczem więcej. Z drugiej strony, w tem samem dziele wspomina Palacky, że poczucie słowiańskości w Rosyi ograniczało się pierwotnie na tak zwanych Słowianofilach, teraz zaś nabiera coraz większej siły i mocy. W Czechach słowo „*Słowianofil*“ oznacza i oznaczało zawsze ogólnie przyjaciela Słowian, w Rosyi ma ono inne zupełnie znaczenie. Tam Słowianofilami nazywają się ci, którzy chcą zmoskwiczenia reszty Słowian. Wojna francusko-pruska, skończona zjednoczeniem Niemiec, utwierdziła ich w tem przekonaniu, że Czechom nic innego nie pozostaje, jak dobrowolne rusyfikowanie. Przy końcu roku 1871 gdy zmarły niedawno Pogodin obchodził 50 letni swój jubileusz, książę Czerkaski sławiąc zasługi jubilata, zacytował sławny wiersz Puszkina, o zlanie się słowiańskich rzeczek w jedno rosyjskie morze. Środkiem tego morza ma być Moskwa, a do rzeczek liczą się Czesi, Serbowie Chorwaci i Bułgarzy i t. d. (o nas nie ma tu mowy, wiara w owoce obecnego systemu zanadto jest bowiem wielką). Przyjęcie wiary prawosławnej i kirylicy przez zachodnią Słowiańszczyznę, ma ułatwić ten asymilacyjny proces, jak tylko wypełnionemi zostaną oba te warunki, tworzące pojęcie słowiańskości, będzie droga dla rusyfikacyi otwartą i program słowianofilów na wpół wykonany.

Liczba ludzi o podobnych przekonaniach jest, jak na Rosyą, nie bardzo znaczna; w większej części należą oni do słowiańskich stowarzyszeń dobroczynnych w Petersburgu i Moskwie, będących niejako pośrednikami między Rosyą a zacho-

dnia i południową Słowiańszczyzną. Stowarzyszenia te nie używają wielkiej popularności, nie rozporządzają więc także znacznymi środkami finansowymi. Dochody ich są bardzo skromne, każdy członek płaci rocznie 5 rubli, niektórzy płacą więcej, a jeżeli doliczymy do tego koncerta i odczyty, urządzone w Petersburgu i Moskwie, to będziemy mieli obraz wszystkich źródeł majątkowych tych stowarzyszeń. Czasami który z autorów daruje Towarzystwu kilkanaście egzemplarzy swego dzieła — lecz i te rozprzedanemi zostaną pomiędzy członkami, tak że publiczność nie bierze w tem żadnego udziału. Do niedawna Stowarzyszenie to bardzo mało zajmowało się tureckimi Słowianami, najlepszy w tem dowód, że przez czas 12-letniego swego istnienia Stowarzyszenie słowiańskie nie udzieliło tyle zapomogi, ile *Gustav-Adolph-Verein* przez jeden rok; *Gustav-Adolph-Verein* ma przeszło milion talarów kapitału i organizuje między tureckimi Słowianami szkoły, szpitale, kościoły, jednym słowem robi wszystko dla widoków politycznych i nawracania na protestantyzm.

W Rosyi stosunki czeskie i południowo-słowiańskie są bardzo mało znane, a pojęcie i wyobrażenie 'o Słowianach wielce rozmaite; jedni przedstawiają sobie pod imieniem Słowianina syna natury w malowniczym stroju, przypominającym swoim krojem bandytów włoskich; żyje on w odległych górach nad przepaścistymi skałami i nuci pieśni tchnące nienawiścią przeciwko Turkom i t. d. Drudzy przy słowach „Słowiańska literatura“ ruszają ramionami i wspominają sobie z odrazą groźne czasy szkolne, w której musieli ślęczyć nad tak nazwaną starosłowiańską (cerkiewną) azbuką; inni czerpiąc swoje wiadomości z niemieckich i francuzkich książek, uważają ich za barbarzyńców, czasami nawet za „papieżników“ i ultramontanów.

Jestto charakterystyką państw absolutnie rządzonych, że odznaczają się one zupełnym brakiem życia politycznego. Życie to koncentruje się tylko w większych miastach i to w bardzo niewielkiej ilości, a kwestya słowiańska jest dotąd jeszcze przedmiotem rozmowy tylko w kołach zamkniętych garstki literatów i kilku profesorów.

Czasopisma ze słowianofilskim kierunkiem nie mogą się długo utrzymać; w roku 1870 przestał wychodzić redagowany

przez Pogodina dziennik polityczny *Rosyanin*, w roku 1872 *Zaria*. Za to powstało czasopismo *Beseda*, różniące się tem od poprzednich, że żąda tylko od Słowian jedności ducha, kierunku i myśli, jedności działania i polityki, z zachowaniem narodowej indywidualności pojedynczych szczepów słowiańskich. Słowianofilski dziennik *Moskwa* miał utalentowanego redaktora Iwana Aksakowa. Dziennik ten został założonym przez kupców moskiewskich w zamiarze bronienia swych interesów przed handlarzami zagranicznymi. Jednakże tak *Beseda* jak i *Moskwa* były przez rząd prześladowane. Pomimo całej swojej lojalności i wierności tak dla cara jak i dla prawosławnej wiary, pomimo wstrzymywania się od wszelkiej krytyki carskich ukazów, *gosudarstwiennyj sowiet* zawiesił oba te dzienniki.

Najstosowniej Słowianofilów nazwaćby można stronnictwem religijnem; chociaż ludzie świeccy, bardzo chętnie zajmują się oni kwestyami teologicznymi, jak np. Kirejewski, Chomjakow; nawet w artykułach historycznych prawosławie bierze górę — jak u Pogodina, Jelagina, Nowikowa, Hilferdinga. Aksakow w r. 1872 zamieścił w czasopiśmie *Prawosławnoje obozrienie* otwarty list do Döllingera, w którym wzywa go do przystąpienia na prawosławie. List ten został także na język czeski przetłumaczonym i rozesłanym do Pragi, gdzie nie zwrócono nań nawet uwagi. Słowem, z kwestyi politycznej zrobili słowianofile czysto-religijną.

Według słowianofilskich teoryj Europa dzieli się na dwa obozy czyli światy: zachodni i wschodni, łacińsko-germański i grecko-słowiański. Każdy z tych światów ma swoją odrębną religią, swoje pismo, swoje polityczne i socyalne zdania, swoją oświatę, swoje centrum — słowem bizantyńsko-słowiański świat różni się we wszystkim od Zachodu i dlatego te plemiona słowiańskie, które odstąpiły od zasad grecko-słowiańskiego świata, nie mają przyszłości. Całe zbawienie ich zależy na tem, by powrócili do starych bizantyńskich zasad, przede wszystkim do wiary prawosławnej, która na szczęście zachowała się w rosyjskim, zachodnią Europą nie popsutym jeszcze (!) narodzie. — Katolicyzm jest religią przeciw-słowiańską, jest największą klęską, jaka tylko mogła spotkać Słowian zachodnich. Przyjęciem wiary prawosławnej otwartaby została droga do dalszego zesło-

wiańszczenia się; wkrótce zaprowadzonaby została jedność piśma, co prowadziłoby do jedności języka, obyczajów, podań i wyobrażeń — a tak świat słowiański stałby się rzeczywistością.

Historją rosyjską dzielą Słowianofile na dwie wielkie doby: epoka pierwsza do Piotra Wielkiego, z rosyjskim człowiekiem niepopsutym, i od Piotra Wielkiego, od którego zaczyna się skaza wszystkiego, co bizantyńsko-słowiańskie. Wszystkie działania staro-rosyjskie powodowane były przyczynami czysto-religijnymi. Utrzymywano stosunki między Bułgarami tylko dla jedności wiary prawosławnej. Prawosławie ma wszystko zidentyfikować, całe wieki historycznego rozwoju mają być z jego pomocą zniszczone, a jak to przyjdzie do skutku, pocznie się w Europie era nowa, zapanuje prawdziwa, słowiańska cywilizacya na podstawie cywilizacyi starożytnej bizantyńsko-słowiańskiej.

Słowianofile uznają tylko dwa hasła: Wschód lub Zachód, Bizancyum lub Rzym. Prawosławie jest koniecznym warunkiem słowiańskości, katolicyzm jej zagubą; prawdziwy Słowianin jest zawsze prawosławnym, Słowianin-katolik jest rzeczą niemożliwą, wprost sobie przeciwną. Hus był prawosławnym (!) ¹⁾ i dla tego tylko wyłącznie był mężem narodu; naród czeski w walkach o swoją samoistność zachował ją tylko dzięki prawosławiu husytyzmu; cała historia zachodniej Słowiańszczyzny (a więc i Polski) i upadek jej samodzielności pochodzi tylko z przyjęcia katolicyzmu. Europa zachodnia odstąpiła od staro-słowiańskiego urządzenia demokratycznej gminy, w której pawała równość wszystkich i pozwoliła na wytworzenie się feudalizmu. Charakterystycznem jest, że staro-słowiańska równość wszystkich praw zachować się miała w tem państwie, w którym 16 lat temu było 23 milionów, prawem uznanych niewolników — a jeszcze przed 6 laty jeden z najzgorzalszych Słowianofilów, książę Czerkawski, odezwał się w Moskwie na zjeździe szlachty rosyjskiej: „Každy stan broni swoich przywilejów, dlaczegóż i my ich bronić nie mamy?“

(¹ W tym przedmiocie Hilferdnig wydał osobną historyczną broszurę, która wyszła także w Pradze w języku czeskim.

Słowianofile nienawidzą Rzymu łacińskiego z tejsamej przyczyny, dla której nienawidzi go lud rosyjski. Gorliwość dla prawosławia jest tak wielką, że mała zmiana w rytuale z r. 1666, była powodem utworzenia sekt rozkolników, których liczba wynosi obecnie 10—12 milionów.

Ciekawe są bardzo powody powstania sekty rozkolników i okoliczności im towarzyszące. W północnej Rosyi, w rytuale prawosławnym powstały drobne jakieś zmiany, które wkrótce weszły w zwyczaj całego ludu; tak na przykład przy mołebeniach wielkanocnych śpiewano *alleluja* dwa razy, krzyż robiono dwoma tylko palcami, procesya chodziła według biegu słońca, od wschodu na zachód, słowo Jezus wymawiało się Isus i t. d. W roku 1654 patryarcha Nikon poprawił cerkiewne książki i obrzędy według wzorów greckich. Odtąd *alleluja* śpiewać się miało trzy razy, żegnać się należało trzema palcami procesya miała chodzić z zachodu na wschód, a słowo Jezus wymawiać *Jisus*. Zmiana ta sprawiła w całym narodzie ogromną burzę: w Moskwie, w miastach i po wsiach lud zmuszał popów siłą do odprawiania nabożeństwa według dawnych reguł; z drugiej zaś strony tych, którzy nie usłuchali patryarchy, więziono i wysyłano na Sybir, lud uważał ich za męczenników „starej wiary.“ „Nikon niszczy starą wiarę — powiada jeden historyk rosyjski — i zasmucili się prawosławni w Moskwie i na Wołdze, i na północy i w Syberyi. Zmianę tę objaśniał sobie lud według własnego sposobu.“ Zkąd przyszły te nowości? kto namówił Nikona do niszczenia starej wiary? czyje to rozkazy on wykonywa? Pierwszym winowajcą był, ma się rozumieć, djabeł, „zawsze szukający kogoby pożarł, dawny nieprzyjaciel chrześcijańskiego rodu,“ — a drugim zaraz po nim — papież.... Historyk ten pisze: „W tym czasie Rosyanie byli strasznie rozdrażnieni przeciwko Polakom i rzymskiemu Kościołowi.... Mówiono wszędzie: Polacy i papież rzymski chcą przez Nikona zniszczyć ziemię rosyjską“ — i rozległo się po wsiach i miastach, po lasach i puszczach to hasło, które przed 40 laty, według słów Minina, przebudziło ze snu śpiących. Hasłem to było: ginie wiara prawosławna. Dotąd żyli jeszcze starce, którzy w młodości swojej oczyszczali z Mininem i Pożarskim Moskwę od polskich ludzi i rosyjskich złodziei. Natośmy więc — mówili — bronili ojczystą prawosławną cer-

kiew, by z odszczepieńcem Nikonem naśladować złą wiarę, i padłszy w śmiertelną przepaść kacerstwa, zginąć duszą i ciałem? — A gdy w tym czasie zaczęła panować cholera z ogromną śmiertelnością, a na niebie widzieć było można ogniste słupy i krwawe komety, to starce mówili: „patrzcie prawosławni — to znak Boży; Stwórca karze chrześcijan za to, że wielu z nich poszło w ślady jego nieprzyjaciela — wilka Nikona.“ W taki sposób około 13 milionów Rosyan odstąpiło od urzędowej cerkwi prawosławnej i nazywali się odtąd starowiercami. Według słowianofilskich teoryj poczya ludowa jest najgłębszą myślą, najgłębszem źródłem i dowodem rozwoju narodowego. Tymczasem ludowa poezja rosyjska jest najuboższą ze wszystkich słowiańskich; kilka narodowych legend i podań, kilka nie bardzo dźwięcznych bajeczek — to wszystko. W tym samym czasie w Czechach poezja ludowa stanęła u swego szczytu. Słowianofile utrzymują, że przewaga ich nad oświeconą Europą jest oczywistą; niestworzone rzeczy opowiadają o staro-słowiańskich zwyczajach i obyczajach, o miękkości zamięłowania w pokoju słowiańskich przodków swoich, o wolności staro-słowiańskiej kobiety i t. d. Słowem, Słowianofile puścili wolno cugle swojej wyobraźni, obdarzyli ówczesnego Rosyanina nadzwyczajnymi cnotami, o których on nawet nie myślał; patrzą oni na naród swój w zupełnie tensam sposób, jak lud rosyjski patrzy teraz na małpę, która według jego przekonania wszystko umie, wszystko wie i rozumie, tylko przed ludźmi swoją umięjętność ukrywa. Specyjalnem zajmowaniem się kwestyami religijnymi zaszli niektórzy Słowianofile do mistycyzmu, jak np. Konstantyn Aksakow i prof. Szewyrew; pierwszy bronił najskrajniejszego demokratyzmu, drugi — najzapaleńszy reakcyonaryusz; obaj występują na podstawie religijnego mistycyzmu. Jako za pierwszą własność Słowianina uważają oni *pokorę* i możność *cierpienia*, która zwykle przemienia się w nieczułość i zapomnienie o samym sobie. Pogodin widzi w tej pokorze główną różnicę między Rosyaninem a człowiekiem zachodnim; w czasopiśmie swoim *Rosyanin* tak powiada on o Iwanie Groźnym: „Co jest w nim wzniosłego, szlachetnego, dowcipnego, dyplomatycznego? Podlec, zwierzę, które dużo czytało, pełne przebiegów i chytryści — nic więcej

I takie stworzenie, które sponiewierało godność człowieka, znalazło swoich obrońców!...“

„Przebiegając nieszczęsne to panowanie jego, podziwiać musimy tę wielką, anielską, nadzwyczajną cierpliwość rosyjskiego narodu (nie wyjmując nawet bojarów), znoszącego tyrańskie rządy tego kata. Naród rosyjski widział w nim karę Boską za swoje grzechy i modlił się tak za niego, jak i za siebie, i długo, długo, bo do niedawna jeszcze odprawiały się po wsiach panechidy za cara Iwana Wasiliewicza Groźnego. Patrzcie, czem się szczyci rosyjska historia w porównaniu z historią Zachodu. W dziele swem „Peryod normandzki rosyjskiej historii“ powiada Pogodin: — „Lud na Zachodzie zwyciężony i upokorzony, wzięty jest w niewolę; u nas zaś został swobodnym jak był, dlatego nie był upokorzonym; innemi słowy nasz lud niósł lekkie brzemie, a zachodni był osądzony na ciężką robotę.“ Takie zapatrywanie się ciągnie się przez całą historią Pogodina. Przyznaje on czasami, że stan narodu nie był pocieszającym, ale zawsze umie to sobie wytłómaczyć: tego wszystkiego sam naród żąda, pochodzi to z jego pięknych własności. Znane jest zdanie Szewyrewa: „Naród rosyjski nie jest łakomy, ani zazdrosny; lata około niego ptak, on do niego nie strzeli, płynie ryba, on jej nie złapie — a żywi się sam najniezdrowszemi i najniebezpieczszemi pokarmami.“

Szczegółowo porównywa Pogodin Rosyą z Zachodem w czasopiśmie *Ruski Wiestnik* (r. 1863). „U nas nie było ani zachodniej niewoli, ani proletaryatu, nienawiści, dumy, nie było inkwizycyi feodalnego tyraństwa, za to był znaczny samorząd, patryarchalna wolność, rodzinna wierność; była władza gminna, zebranie gminne; słowem, w średnich wiekach było u nas to, o co się Zachód starać zaczął dopiero w wiekach nowszych, a nie osiągnął jeszcze dotąd i osiągnie dopiero w przyszłości.“ Wszystko tak bardzo było pięknem aż do Piotra Wielkiego, który tę moralną fizyonomią narodu swemi reformami zmienił. Panowanie Iwana Groźnego w dziwnym wprowadzie stoi kontrście z cytatem Pogodina — ale w tem właśnie okazuje się według słowianofilskiej nauki — cierpliwość ludu rosyjskiego. Słowianofilska *Beseda* podała raz taką krytykę dramatu Ostrowskiego: „Nie można tak żyć zawsze, jakby się chciało.“ „Nieszczęśliwa żona nie opuszcza męża swego, choć ten ją okro-

pnie katuje; ona słucha swego krewnego, który jej mówi: cierp, znoś wszystko w pokorze.“ Ile miłości zawierają te słowa — woła krytyk — on jej nie radzi: opuść go, odejść od niego, lecz nakłania do dalszego cierpienia. Bóg ześle dobre — dziękuj, złe — cierp! To zbiór wszystkich prawideł życia naszego! Tu właśnie autor naznaczył różnicę naszych narodowych wyobrażeń o stosunkach rodzimych, od wyobrażeń Zachodu; tam żony od nieludzkich i okrutnych mężów uciekają, u nas cierpią. Nie będziemy rozbierać, co w niektórych wypadkach jest lepszem, cierpieć czy uciec, zwracamy uwagę tylko na to, że i w Rosyi cierpliwość ta ma swoje granice: żona zamorduje znienawidzonego męża swego, prawdziwego kata, a przed sądem wyznaje: „Bóg mi to daruje; ale nie mogłam znosić tego dłużej, nie mogłam.“ (Zwykłą karą na to jest — Sybir) W dziele „Statystyka zbrodni w Rosyi“ prof. Anuczina zaznaczył ten fakt, że w statystyce morderstwa małżonków częściej żona zabija męża, jak na odwrót. „Panujący w niższych warstwach obyczaj, że wydają dziewczynę nietylko³ bez jej zezwolenia, ale często gwałtem, okrutne obchodzenie się męża z żoną, pragnienie żony, by uwolnić się od nienawidzonego męża — to są przyczyny, które objaśniają fakt przytoczony“ — powiada prof. Anuczina.

Kirejewski tak mówi o zachodnim człowieku: „Życie zachodniego człowieka nie ma najmniejszej podstawy; nie przenika go żadne ogólne przeświadczenie, nie może ono być ozdobione ani wznioślejszą nadzieją, ani głębokiem uczuciem... Tym sposobem Europejczyk zmuszonym jest do zaspakajania się na wpół zwierzęcą obojętnością dla wszystkiego, co jest wyższem od zmysłowych wartości i rachunków handlowych, lub musi się wrócić do tych wyobrażeń, które uduchowiały (oduszewniały) Zachód, jak długo o końcowym rozwoju abstrakcyjnego rozumu jeszcze nie wiedział.

Pogarda „zgniłego“ Zachodu, wynoszenie pod niebiosa „wybranego“ rosyjskiego narodu, opiewanie jego cierpliwości i pobożności w mistycznych refleksjach, odach i elegiach, wszystko to znajdujemy obficie w dziełach Słowianofilów, czyli innemi słowy, tem są wypełnione wszystkie ich poetyczne i historyczne utwory. „Złota przeszłość“ a „wielka przyszłość“ to są ich ulubione wyrazy. Przytem co rosyjskie, musi być

samoistne od stworzenia ziemi, musi się nieskończenie różnić od całego świata. ¹⁾

O narodowości mają Słowianofile szczególne pojęcie; twierdzą oni, że narodowość jest czemś niezmiennem, zapominając o tem, że w każdym narodzie, stojącym na pewnym stopniu czynności duchowej, suma wszystkich własności, tworzących narodowość, bywa rozmaitą w rozmaitych peryodach historycznego życia narodu. Towarzyskie i narodowe życie ma płynąć tylko w granicach ludowej tradycji; wszystko obce, co do granic tych przyniesionem zostało, jest grzechem przeciw narodowości i zgubą jej. Największym przeciwnikiem Słowianofilów jest Piotr Wielki, który przetworzył państwo zupełnie na nowych, z Europy przyjętych zasadach. „Piotr zaprowadził wojsko, flotę, pocztę, rzemiosła, uniwersytet, akademię, aptekę, szpitale, typografię, zakłady wojskowe, fabryki, porty, drogi w całym państwie — to właśnie zniszczyło naszą Rosyą, nasze złote moskiewskie cesarstwo“ wołają Słowianofile. Na dowód zaś starosłowiańskiej wolności kobiety, niech służy fakt, że Piotr W. wydał ukaz, aby kobiety wprowadzano także do towarzystw męzkich, gdyż dotąd żyły zupełnie odosobnione, jak u narodów wschodnich.... I stary klasyczny Grek inne miał wyobrażenia o świecie za czasów wojny trojańskiej, a inne za Peryklesa; tem bardziej zachodzić musiały zmiany w narodowości rosyjskiej; jarzmo tatarskie, moskiewskie państwo, stan niewolniczy, reformy Piotra — wszystkie te wypadki zawierały

¹⁾ R. 1853 gdy spalił się w Moskwie teatr, jeden z wieśniaków z narażeniem własnego życia, ocalił człowieka. Pogodin tak o tem pisze w swojej *Christomatie narodnago cztienia* 1853 str. 287: „W tym godnym uwagi fakcie, powiem więcej, w znakomitym wypadku widać zwycięztwo narodowego ducha. Tacy to są rosyjscy ludzie! Głęboko czasem upadną, jednakże przed innemi europejskimi narodami mają oni w pierwszym szeregu tę przedność, że zawsze zachowają w swem sercu Boską iskrę, zdolność wzniesienia się wyżej.“ Każda straż ogniowa w Europie może codziennie wskazać kilka takich bohaterskich czynów, na cóż własność tę przysądzać tylko wyjątkowo rosyjskiemu człowiekowi? Przy pożarze w Chicago i dziewczęta były jeszcze większemi bohaterkami.

(Przypisek autora Dra Durdika.)

w sobie nowe prawa i nowe stosunki, przedtem jeszcze nieznane. Dotąd np. jeszcze w języku rosyjskim, książkowym zachowało się 17 słów tatarskich. Wpływ na język rosyjski można widzieć w nazwiskach miast rosyjskich, jak Petersburg, Orenburg, Ranenburg (na Ukrainie) Dünaburg, Schlüsselburg, Lumburg, Oranienbaum, Petershof, i. t. d., z rosyjskiego nazwiska Jurjer stał się Derpt (Dorpat), z Koływań Revel, z Rakovor Bezenberg, Kukejnot Kokenhausen, a wszystkie te niemieckie termina są używane w rosyjskich naukowych książkach, z czego widać, że sami Rosyanie niemczą swoje dzieci — a przecież według Słowianofilów naród rosyjski najczystiej zachował swoją narodowość! Matka Lermontowa była Niemką, matka Żukowskiego Turczynką, Dzierżawin był rodem Tatar, Puszkina ze strony matki, Afrykaninem; ¹⁾ nazwiska samych Słowianofilów dowodzą, że narodowość może w sobie zawierać i żywioły cudzoziemskie, bo przecież Hilferding, Müller, Berg, Rennenkampf, Aksakow ²⁾ nie są imionami rosyjskimi. „Kto przyjmie prawosławie, staje się Rosyaninem“ oto panująca zasada. Słowianofilska *Teorya* (1869, zeszyt październikowy) pisze: „Jestto przesąd, że dzisiaj panująca dynastia pochodzi z domu holsztyńsko-gottorpskiego, nie jest rosyjska, lecz niemiecka. Najprzód naród rosyjski nikogo nie uznawał za Rosyanina, kto nie wyznawał wiary prawosławnej lub jednej z jej rokoslnickich sekt. Dom holsztyńsko-gotorpski, tak jak Wielka Carowa Katarzyna, w której nie było ani kropli krwi niemieckiej, przyjęciem prawosławia zruszczyła się zupełnie. Rosya jest przede wszystkim państwem demokratycznym i podobną jest w tem do Ameryki; kto przyjdzie i powie „Jestem bezwarunkowo wasz“, ten i zyskuje nazwisko Rosyanina.“ Uczony Dal, który napisał słownik języka rosyjskiego, był rodem Duńczyk, wyznania protestanckiego; dopiero przed swoją śmiercią r. 1873 przyjął prawosławie — i „złączył

¹⁾ Pradziad jego w 8 roku swego życia ukradzionym został na brzegu Afryki i przywiezionym do Stambułu. Poseł rosyjski posłał go w darze Piotrowi Wielkiemu, który kazał go ochrzcić.

²⁾ Aksakow pochodzenia tatarskiego; (aksak-kulawy.)
(Przyp. Autora.)

się w ten sposób z narodem, któremu siły swoje i naukę złożył w ofierze“ donosząc o jego śmierci dodały *Moskiewskie Wiedomosti*.

Historja uczy, że narodowy typ rosyjski jest konglomeratem, mieszaniną, tak jak typ angielski lub francuzki, w której łatwo się da rozpoznać przewagę jednych żywiołów nad drugimi. Tak np. w guberniach: włodzimierskiej, moskiewskiej, jarosławskiej, kostromskiej, przedstawiających dzisiaj najlepiej typ wielko-rosyjski, mieszkały dawniej plemiona fińskie. (Moskwa jest także pochodzenia fińskiego). We wschodniej części kostromskiej gubernii zachowała się jeszcze dotąd niewielka liczba Czeremisów, a zachodniej części jarosławskiej gubernii Korełów; w innych guberniach nie ma już śladu Fińczyków. Gdzież się oni podzieli? O bitwach lub wyniszczeniu krajowców na północy i wschodzie, nic nie znajdujemy ani w latopisach, ani w ludowych tradycjach; zniknięcie ich można tylko sobie wytłómaczyć zruszczeniem, zlaniem się z słowiańskimi mieszkańcami w jeden naród; a w takim razie trudno zaprzeczyć, że wzięli oni udział w utworzeniu narodowego typu, egzystującego obecnie w tych guberniach.

Jeszcze widoczniejszym jest wpływ obcych żywiołów na południowym zachodzie. Któż nie wie, z jakich różnorodnych etnograficznych pierwiastków utworzyło się kozactwo na Dnieprze, Donie i Uralu. Same nazwiska Torków, Berendejów, Kowujów i innych plemion torskiego pochodzenia, żyjących w gubernii moskiewskiej, znikły z pamięci ludowej, chociaż historia nic nie wie o ich wykorzenieniu lub przesiedleniu się, a twarze małoruskiego kozactwa silnie przypominają azyatycki charakter tych plemion. Dość znaczny rozdział plemienia wielkorosyjskiego od małorosyjskiego pochodzi najprędzej od rozwoju obcych mieszanin na wspólnej słowiańskiej podstawie. Mieszkaniec gubernii riazańskiej różni się od Moskwiczana, a więcej jeszcze od Kijowianina lub mieszkańca gubernii smoleńskiej.

Dalej jest historycznym faktem, że z wyjątkiem rodów książęcych, pochodzących od Ruryka, starodawne szlacheckie rody rosyjskie nie są pochodzenia rosyjskiego, lecz przesiedliły się do Wielkorosyi z obczyzny, jak z Polski, Litwy, z tatarskiej Hordy, z Grecyi, Niemiec lub Szwecyi. Starożytna

szlachta krajów leżących nad Wołgą nie jest rosyjskiego lecz tatarskiego pochodzenia.

W taki więc sposób wypadki historyczne oddziaływały na kilkomilionowe plemię rosyjskie; podobne zjawisko spotykamy także u Słowian zachodnich, mianowicie u Czechów. W Czechach wpływ narodu niemieckiego był bardzo znaczny; Czesi utworzyli sobie średni stan mieszczański, a to nie przyniosło przecież ujemy ich narodowości. *Otieczestwiennyye Zapiski* (1871 zeszyt czerwcowy), których redaktorem jest Krajewski, powiadają otwarcie: „Czesi przyjęli od Niemców niektóre dobre własności: zamiłowanie do pracy, wytrwałość w przedsięwzięciach, uformowali oni sobie stan trzeci, miłujące pracę mieszczaństwo, którego nie mają inne plemiona słowiańskie, a które utworzyć może niemałą przeszkodę germanizacyjnym zapędom, grożącym Czechom w przyszłości.“ Widzimy także u innych zachodnich Słowian, że narodowość cudzoziemców zwyciężała ich, a że swoją własną narodowość tracili z tego powodu, że nie miała ona tyle siły moralnej, by móc stawiać opór obcemu uciskowi. Że tutaj katolicyzm był rozstrzygającym czynnikiem, jak to głoszą Słowianofile, zdaje się nam rzeczą niepodobną; tu powtarzał się najprawdopodobniej znany fakt historyczny, zwycięstwo oświaty i — siły; tak Rzymianie ulegli Grekom, zachodnia Europa Rzymowi a Rosyanie, pomimo swej religijnej samodzielności — Zachodowi. Katolicyzmowi przypisują oni wygubienie starożytnych tradycji słowiańskich i twórczego ducha poezji ludowej u Słowian zachodnich. To jednakże działo się zupełnie naturalnie: naród czeski przyjąwszy chrześcijaństwo, przestawał wierzyć w bajeczne wyobrażenia dzieciennego wieku swego i zaczął się zajmować innemi przedmiotami. Archeolog i etnograf będzie z przyjemnością czytał i słuchał przedawne klechdy i powieści, zachowane jeszcze z pogaństwa słowiańskiego; jednakże człowiek myślący spojrzy także i na odwrotną stronę medalu; jeżeli np. dzisiejszy rosyjski muзик opowiada, że świat stoi na wielorybach, o ile sobie przypominam, dwunastu, to jest dowodem, że pole jego duchowej czynności zostało takim samem, jakim było przed 200 laty. Słowianofilów cieszy właśnie ten zastój i nienaruszalność tradycji ludowych; naród nie powinien brać udziału w socyalnym i politycznym rozwoju, gdyż

tak rozwijają się narody na Zachodzie, tworzącym we wszystkim kontrast ze Wschodem. Na Zachodzie widzimy starania przeprowadzenia dwóch zasad, najściślej osobistej wolności, i najgorliwszego udziału pojedynczej jednostki w sprawach publicznych — pojęcia te mają zostać narodowi nieznanymi; on nie śmie być „dotkniętym historią,” by nie stracił swojej czystości. Żywa czynność narodu samego, rozwój moralnych i materialnych sił jego, rozwój społecznego bytu, słowem, wszystko to, co zdobywa narodowi miejsce w dziejach oświaty, tego nie pragną Słowianofile. Naród ma być zdolnym tylko do religijnego fanatyzmu; *polityczny* fanatyzm jest płodem Zachodu i dlatego nie powinien plamić świata słowiańskiego, który zostać ma w zupełnem odosobnieniu od reszty Europy.

L. Sztur w swym „Przeglądzie Słowiaństwa“ (*Otieczestwiennija Zapiski* 1867) pisze: „Tam gdzie zachowanie narodowości stało się faktem, wszystkie ruchy społeczne przyjmują charakter polityczny. Tak głównie Czesi dali się uwieść konstytucyjnymi zachciankami Zachodu. Od r. 1848 stały się u nich hasłem te słowa: konstytucya i reakcya. Temi zachodnimi ideami, któremi błyska Rieger, a któremi Havliczek toruje sobie drogę, Czesi oddalają się coraz więcej od Słowiańszczyzny i ułatwiają *tylko sobie* własny swój rozwój, „u nich idea narodowości zwyciężyła nad ideą plemienności.“

Słowianofile utworzyli sobie jeszcze jedną teorią: każdemu narodowi jest *sądzono*, wykonanie pewnego historycznego celu, w historycznym swoim rozwoju ma on przeprowadzić pewną *ideę*. Tak Grecy przeprowadzić mieli ideę piękności, Rzymianie ideę prawa, Niemcy umiejętności i filozofii — Słowianom zaś przypadła w udziale idea ogólnej miłości, uskutecznienie prawdy chrześcijańskiej nauki i uczynienie jej podstawą swego społecznego ustroju; tym sposobem zniszczy się egoizm, stanowiący podstawę zachodniego społeczeństwa.

U Słowianina przewłada serce, uczucie nad chłodnym rozumem, czego dowodem są pieśni ludowe, a własności te oczyszczone mają podnosić do miłości chrześcijańskiej. Filozofia, historia i polityka żąda, potrzebuje dla odświeżenia swego nowych zasad, zasad miłości i pokory. Zachodnie narody europejskie wypełniły już swoje zdania; przyszłość należy do świeżego młodego, niepopsutego słowiańskiego plemienia, któ-

rego zadaniem będzie, odświeżyć gnijący Zachód wzbudzeniem w nim wiary, nadziei i miłości. Podobne zasady z hasłem „*odświeżyć zgniły Zachód za pomocą wiary prawosławnej*“ występują u pierwszorzędných Słowianofilów, jak u Kirejewskiego, Chomjakowa, Szewyrewa, Konst. Aksakowa i t. d.

Pierwszym, który naukę Słowianofilów ujął w pewne karby i uporządkował, był Iwan Kirejewskij († 1856), w fanatyzmie prawosławnym wychowany przez ojczyzna swego Jelagina. Podczas pobytu swego zagranicą Kirejewskij słuchał wykładów Schleiermachera, prof. teologii, jednakże prędko bardzo zauważył, że tenże zanadto rozumuje. W Berlinie poznał się osobiście z Heglem i Schellingiem, których uważał za jedyny wyraz europejskiej cywilizacyi, znanej mu z tej tylko strony. Filozofowie ci, tem są tylko pamięci godni — pisze Kirejewskij — że udowodnili niedostateczność czystego rozumu. I na tej ujemnej podstawie, do której doszła filozofia spekulacyjna, zbudował Kirejewskij swoją teorię. Imiona filozofów niemieckich znajdujemy często w jego artykułach pisanych bardzo zręcznie i przebiegle; jeden ustęp o życiu zachodniego człowieka przytoczyliśmy powyżej. Trzeba jeszcze wspomnieć, że na rozwój Kirejewskiego niemało wpływał także ówczesny stan społeczny; z tej także przyczyny i Gogol przy końcu swego życia wpadł w religijny mistycyzm, z którego już nigdy nie wyszedł.

Filozofia słowianofilska sprzeciwia się filozofii niemieckiej; ma ona rozgrzewać rozum i serce i wyleczyć przy tem choroby Zachodu. „Prawosławno-chrześcijańska dogmatyka ma być źródłem wiadomości i oświaty“ tak głosi Kirejewskij w swoim dwutomowem dziele; kierunek jego jest, jak sam go nazwał, prawosławno-słowiański. Ostatni jego artykuł pisany przed laty 18stu, zawierał takie ustępy: „My wrócimy do praw prawdziwej religii, wzniosłość spoimy z moralnością, wzbudzimy miłość prawdy, głupi liberalizm zastąpimy szacunkiem dla prawa, a czystość życia, wzniesiemy nad czystość słowa.“ Kirejewskij wyobrażenia swoje o świecie tak wyraził: „Korzeń oświaty rosyjskiej żyje jeszcze w narodzie, a co najważniejsza żyje w jego świętej prawosławnej cerkwi. I dlatego tylko na tej podstawie, i na tej wyłącznie, może powstać trwała budowa oświaty rosyjskiej..... Wystawienie tej budowy może przyjść

do skutku wtenczas, gdy ta warstwa naszego narodu, która wyłącznie zajęta jest tylko staraniem się o materyalne środki życia, przeniknięte dotąd ideami Zachodu, przekona się nakoniec o jednostronności europejskiej oświaty, gdy warstwa ta żywiej poczuje potrzebę nowych intelektualnych zasad, i spragniona zupełnej prawdy, zwróci do czystego źródła starodawnej wiary prawosławnej.

Nieograniczona władza dogmatyki jest hasłem słowiańskiej filozofii. Kirejewskij w dziele swem wylicza 23 przyczyn, dla których Rosya wyżej stoi od całej Europy, i mówi, że Europa bez Rosyi nie może egzystować. Starożytnego człowieka rosyjskiego obdarza takimi własnościami, że czytelnik pyta się, dlaczegożto Rosya pod względem duchowym nie przewodniczy Europie? Na to odpowiada Kirejewskij w ten sposób: „Stało się to najwyższą wolą Opatrzności. Opatrzności było widać potrzebnem, zatrzymać postęp oświaty rosyjskiej, najprędzej dla ochrony Rosyi od szkodliwej jednostronności, która bezwątpienia rozsiedliłaby się w niej, gdyby jego rozsądne wykształcenie zaczęło się przed ukończeniem intelektualnego rozwoju Europy.“ Rosyi jest więc *sądzono* czekać, *sądzono* przewodniczyć Europie. Fatalistyczne te pojęcia są tak niechrześcijańskie, jak usiłowania pozbawienia drugich plemion słowiańskich ich indywidualności. Według Kirejewskiego nie egzystuje żadna inna religia, prócz prawosławnej; powiada on: „Teraz nastał dla Rosyi czas do wypowiedzenia swego słowa w filozofii i pokazania tym *kacerzom*, że prawda nauki jest tylko w wierze prawosławnej.“ Filozofia Słowianofilów jest tylko prawosławną teologią.

W literaturze i rozwoju języka rosyjskiego Słowianofile zajmują miejsce romantyków w Niemczech; oni zajmowali się kształceniem historii ojczystej, piastowali i kochali swoją narodowość, niechęć do cudzoziemczyzny objawiała się u nich w niechęci do zachodu i jego „pogańskiej“ oświaty, w niechęci do reform Piotra Wielkiego. Odnaczali się głębokością uczucia, jedno tylko spojrzenie na Moskwę robiło na nich ogromne wrażenie. Prawosławie, samodzierżstwo, narodowość, kirylica, chrzest rosyjski.... to były słowa, którym przypisywali kabbalistyczne prawie znaczenie.

Miedzy nimi i narodem stała zaporą, wzniesiona przez Piotra Wielkiego; oni dawali pierwszeństwo grobom, pokrytym bizantyńsko-kijowską pomroką. Piotr zaś wołał na naród swój: „Uczcie się! Pracujcie! Ja daję przykład! Zjednamy sobie sławę, jeżeli nauczymy się zwyciężać cudzoziemców i zmusić ich do tego, by nie wazyli się nami pogardzać; weźmiemy ich naukę, za pomocą której tak nad nami panują, zyskamy brzegi morskie, zбоgacimy się ich handlem, zaprowadzimy u siebie przemysł, porobimy drogi, pokopie my kanały, przetłómaczymy wszystkie ich dobre książki na nasz język!“ (Sołowiew).

U Słowianofilów prawosławie odgrywa pierwszorzędną rolę, tak jak w ogóle we wszystkich stosunkach rosyjskich. W Rosyi jest prawo, że kto 7 lat nie był u spowiedzi, ten z cerkwi ma być wyłączonym; uniknąć tej klątwy można tylko pokutą klasztorną. Kto umrze w tym roku, w którym nie był u spowiedzi, ten nie ma mieć cerkiewnego pogrzebu, dlatego każdy zapisuje się przy spowiedzi. Studenci wszystkich świeckich fakultetów są cbowiązani choć przez jeden rok słuchać wykładów teologicznych i złożyć z nich egzamin. Książki, w których autor dotyka spraw religijnych, muszą przejść przez cenzurę duchowną. Tak np. dzieło Chopinowa „Nowe uwagi o starych dziejach Kaukazu i jego mieszkańcach“ — zostało na rozkaz synodu petersb. skonfiskowane i wyszło dopiero po raz wtóry z opuszczeniami. Podobnie stało się także z przykładem Leckyeya dzieła „Historja racjonalizmu w Anglii.“ Prokurator rządowy żądał jego zniszczenia, gdyż zaprzeczał zasadom wiary prawosławnej; wszakże sąd odesłał ją do cenzury duchownej. Pewien dotąd żyjący jeszcze Słowianofil powiedział, że cała oświata i wykształcenie dosięga swego najwyższego szczytu w okrzyku ludu rosyjskiego: „Gospodine pomiluj.“

Słowianofile i dla Czechów mieli szczególne znaczenie, gdyż wystąpili właśnie w tym czasie, kiedy u nas zaczęło powstawać i szerzyć narodowe i słowiańskie samopoznanie; przyczem, rzecz zupełnie naturalna, patrzyło się na innych Słowian jak na braci. Jak wtenczas tak i teraz uniwersytety rosyjskie posyłają na swój koszt uczniów do zachodnich krajów na studia, a po powrocie dają im petersburskie katedry.

Przychodzili więc i do Pragi uczeni rosyjscy dla studyowania języków i starożytności słowiańskich; podróż ich miała cel naukowy, *rząd* rosyjski nie miał z nimi nic wspólnego. W Pradze przyjmowano ich serdecznie, a oni opowiadaniem swemi o potędze i sile rosyjskiego państwa, może i pomimo-woli, otwierali drogę przyjemnym domysłem, że w Rosyi kwestya słowiańska cieszy się takim współudziałem, jak w Czechach ¹⁾.

Jednakże w *rzeczywistości rząd rosyjski względem kwestyi tej jest zupełnie obojętny — a całemu narodowi rosyjskiemu jest ona nieznana*. Sympatye dla Słowiańszczyzny są wprawdzie w Rosyi, ale ograniczają się one tylko na szczupłym kole literatów — na teraz nic więcej. Czytaniem książek i dzienników rosyjskich czytelnik czeski wytrzeźwi się z przyjemnych marzeń. Dopóki plemiona słowiańskie nie będą znać *rzeczywistych* wewnętrznych stosunków Rosyi, *wzajemność słowiańska* mieć zawsze będzie charakter idealny, fantastyczny i absolutny. Ciężkim byłoby bardzo grzechem względem narodu *tendencyjnym* wychwalaniem Rosyi *piastować* w kraju naszym *marzenia*; *ocknięcie się* w *rzeczywistości* byłoby tem bolesniejsze.

Około roku 1860 *Dień*, organ moskiewskiego słowianofilstwa, wydawany przez Iwana Aksakowa, wypowiedział otwarcie swoje względem nas zamiary: „My jesteśmy starszymi od was, posłuchajcie więc nas; nieposłuszeństwo wasze będzie dowodem, żeście się sprzeniewierzyli słowiańskiemu swemu pochodzeniu i że chcecie służyć egoistycznemu zachodowi... Przyjmcie język rosyjski za literacki i naukowy, w nim znajdziecie ognisko swych sił rozdrobnionych.“ Przyjęcie języka miało się stać z czysto moralnych (!) powodów, bez żadnych politycznych zamiarów. Najprzód przyjąć mieli język rosyjski Bułgarowie i Serbowie, za nimi reszta Słowian. „Słowianie

¹⁾ Rzeczywistość zaczyna już niszczyć te przesady; tak np. rosyjski uczony Duvernois przyjechał na koszt uniwersytetu moskiewskiego do Pragi, w celu studyów specjalnych; tam okrył się szerokim płaszczem słowiańskiej wzajemności dla dostania potrzebnych mu źródeł i dokumentów; powróciwszy zaś do Moskwy, nikczemnik ten wydał haniebne swe dzieło o Husie i czeskiej reformacyi. (Przyp. Aut.)

mogą *narzecze* swe zachować w administracyi, w sądach, szkołach, w poezyach z kolorytem miejscowym, kazaniach, kalendarzach i książkach ludowych“ ¹⁾. Poprzednie mistyczne refleksye ustępują, a los Słowian rozstrzyga się jasno i wyrażnie. Serbowie i Bułgarowie mogą wprowadzić utworzyć z czasem bogatą literaturę w swoim własnem narzeczu, ale jest ich mało, dzisiejszy zasób ich duchowy ubogi, a obecna specyalność nauk niszczy wszystkie najwspanialsze nadzieje przyszłości. W naszych czasach nauka stała się taką potęgą, że *bez niej utrzymać się nie może żadna narodowość*, a Serbom i Bułgarom, oswobodzonym i złączonym w jedno państwo (za pomocą Rosyi), pozostaje tylko do wyboru: albo tracić pomału swoją narodowość i przyjąć za język literacki serbski lub bułgarski, lub zachować swoją plemienną właściwość i przyjąć język rosyjski, który z każdym lat dziesiątkiem coraz bardziej staje się językiem światowym, tak jak niemiecki, francuzki i angielski. Podobną perspektywę otwiera *Dień* i zachodnim Słowianom: „Słowianie w Austrii zasługują *tylko na nazwę narodowości i muszą zawsze być pod jarzmem Niemców*, którzy z całą sprawiedliwością nazwani być mogą narodem, siedm bowiem narodowości: Polacy, Małorusini, Czesi, Słowacy, Chorwaci, Serbowie i Słoweńcy, składając więcej jak 15 milionów mieszkańców w Austrii, są jako jednostki tak słabe i nieliczne, że ani jedna z nich nie może utworzyć niezawisłego, silnego państwa z samoistną oświatą i literaturą w swym macierzystym języku. Jeżeli polska lub czeska literatura nazywają się kiedy bogatemi, czyni się to zupełnie względnie; one są bardzo ubogie i nieznaczne w porównaniu z literaturą niemiecką, angielską, francuską, włoską a nawet hiszpańską. Trzeba mieć zawsze w pamięci, że czeska i polska literatura w XV, XVI a nawet XVII i XVIII stuleciu, uprawiane były na daleko większą skalę, jak teraz. Co się tyczy południowych Słowian, to ci utworzą federacyą; wspólnym organem wyższego wykształcenia, może być w nich tylko język rosyjski. Słowianie w Au-

¹⁾ Małorusinom i Polakom i tego nie dano, podczas gdy w bałtyckich prowincyach Niemcy nietylko, że w tym względzie mają zupełną wolność, ale sami uciskają Estończyków i Łotyszów.
(Przyp. Aut.)

stryi nie chcą z patryotycznego uczucia przyznać, że stoją względem Niemców w stosunku narodowości do narodu. To przyprowadza ich do *nieporozumienia, jakoby należeli do jednego wielkiego 80milionowego plemienia*, jednakże nie zwracają na to uwagi, że z tych 80 milionów, 50 milionów należy do jednego rosyjskiego szczepu, który utworzył już sobie język piśmienny, i że reszta tych 30 milionów, jest rozdzielona na 8 narodowości, z których każda ma swoją własną literaturę, a wszystkie są w bardzo nieszczęśliwych zewnętrznych okolicznościach. *Zaprowadzenie rosyjskiego języka* posunie naprzód: najwewnętrzniejsze kwestye zachodniej i południowej Słowiańszczyzny, pogodzi plemienną nieprzyjaźń, zjedna równość z wpływem drugich narodów, madziarskiego, włoskiego i niemieckiego, a nawet wyprze je zupełnie.“

Tak słowianofiluje Iwan Aksakow. Łamański zaś powiada: „Jeżeli rosyjska oświecona publiczność życzy serdecznie pomysłności Słowianom, to powinna ona pomagać im nie tylko materialnie ale i duchowo, naród rosyjski bowiem różni się od swych ubogich i słabych współplemieńców nie tylko siłą zewnętrzną, ale moralną potęgą, i bogactwem sił duchownych“ (*Serbia i południowo-słowiańskie prowincye Austrii*).

Iwan Aksakow nie nazywa więc Czechów i Polaków narodem, ale narodowością! Dlaczego? dlatego, że mają niby bardzo ubogą i nieznaczną literaturę w porównaniu z literaturą niemiecką. Ale literatura rosyjska w porównaniu z literaturą niemiecką jest także bardzo ubogą, a przecież Aksakow zaleca rosyjski „światowy język“ zachodnim i południowym Słowianom. Ten sam Aksakow powiada dalej w swoim dzienniku *Moskwa* (1867, Nr. 86): „Ubogą jest nasza literatura, szczupły nasz rozwój duchowy. Wielkie plemie, państwo niezawisłe, siła zewnętrzna, możność materyjalnej obrony — to wszystko.“ Polacy mogliby być przynajmniej narodem, bo przecież ich literatura przynajmniej równa się rosyjskiej, pomimo tego, że Rosyan jest kilka razy więcej, jak Polaków? Czesi wiedzą, że należą do 80 mil. plemienia słowiańskiego, ale *nie wpadają* skutkiem tego w *nieporozumienie*, chcą bowiem *zachować swoją narodową indywidualność* Serbom i Bułgarom. — Powiada Słowianofil, że bez nauki nie może się utrzymać żadna narodowość, przez co uznaje potęgę nauki; pomimo tego

jednakowo rekomenduje im język, którego nauka jest uboga, w porównaniu z niemiecką literaturą bardzo uboga. Dalej nazywa Aksakow Madziarów narodem, a Czechów i Polaków narodowością! Na co żądać, aby każde plemię słowiańskie, bądź co bądź, tworzyło wielki naród? Przecież egzystują i małe narody w Europie bardzo dobrze, jak np. szwedzki, duński, flamandzki, pomimo wpływu francuskiego: dlaczego nie mógłby egzystować naród czeski, pomimo wpływu niemieckiego? Od *liczby* nie jest to zawisłem, 50-milionowy naród, którego język narzuca się jako światowy, nie ma nawet siły do zniszczenia w własnem państwie niemieckiego wpływu. Prof. Łamański zapomina, że u rozmaitych plemion sławiańskich jest rozmaity stopień oświaty, a że Czech i Serb odznacza się także siłą moralną i bogactwem sił duchowych. Wszakżeż Czech oddawna walczy z Niemcem, nie traci przytem ducha, a Serb oswobodził księstwo swoje od Turków własną inicjatywą.... Słowianom nie potrzeba teraz Hilferdinga ogólnosłowiańskiego języka, ale powszechnego zmysłu politycznego, ale wykształcenia praktycznego, zrozumienia swej politycznej korzyści i umiejętnej jej obrony. To powinno być teraz ich celem.

W naukowym względzie język polski i czeski równa się zupełnie rosyjskiemu, co każdy znawca tego języka mi przyświadczy ¹⁾. Wszystkie trzy języki doskonale mogą służyć za organ wyższego wykształcenia, a niema wątpliwości, że z czasem i język serbski dojdzie do takiej doskonałości, jak czeski, polski i rosyjski. Czego żąda się od języka światowego? By był twórcą myśli i wiadomości, interesujących całą oświeconą ludzkość, by odznaczył się znakomitością utworów, w nauce

¹⁾ My w Czechach jednogłośnie i otwarcie mówimy: co u nas dotąd wykonano, to są piękne początki, w każdym razie *początki*. Ale *tym* panom w Rosyi, którzy chcą mieć „język światowy“ i chcą go nam narzucić, pozwalamy sobie rzecz jedną przypomnieć. W Czechach umie każdy pisać i czytać: niech się ci panowie wpierw o to u siebie postarają, zanim zabierają się do rusyfikowania Czechów. Zaręczamy, że z tego św. Rosya będzie miała więcej pożytku, jak ze stania się języka rosyjskiego językiem światowym.
(Przyp. redakcyi *Oswiety*).

poezyi i filozofii. To tylko wyłącznie czyni każdy język językiem światowym. Czy język rosyjski ma podobne znaczenie? Na to odpowiada najlepiej Rosyanin *Turgieniew*, mówiące: „Rosyanie nic nie wynaleźli ani w sztuce, ani w nauce, ani w filozofii.“

Wróćmy jeszcze do Iwana Aksakowa. Jego *Moskwa* i *Moskwicz* egzystowały razem 22 miesiące, otrzymały podczas tego 9 *wygovorów* i dwa razy na 7 miesięcy były zawieszone, za trzecim razem Aksakow ogłosił upadek dziennika. Widząc, że rzeczywistość zupełnie różni się od słowianofilskich pojęć, Aksakow mówił otwarcie i wyliczał wszystkie wady dzisiejszej Rosyi. Rządu petersburskiego nie nazywał rosyjskim; z wielkiem rozgorączkowaniem pisał o nicości opinii publicznej w Rosyi, o braku religijnej wolności, o nieszczególnym stanie prawosławnego duchowieństwa, które trudno, tak jak ono jest dzisiaj, polecić zachodnim Słowianom.

Program Słowianofilów rozbierano także ze strategicznego stanowiska. Jenerał Fadijew, autor broszury „Uzbrojone siły Rosyi“ powiada, że do przeprowadzenia tego programu trzeba wojska, któreby się równało sumie wojsk wszystkich pięciu potęg europejskich. Dzisiaj Rosya płaci 170 milionów rubli rocznie na wojsko, na oświatę zaś tylko 8 milionów — zkąd więc wziąć środki na potrojenie tej sumy? System uzbrojenia rosyjskiego jenerała jest w części kopią pruskiej landwery, częścią dzisiejszego systemu wojsk francuskich; oryginalnemi w nim są tylko owe pilśniowe pancerze dla całego wojska, przez które żadna kula nie przejdzie, zwłaszcza gdy będą zmoczone wodą,“ które tyle wywołały śmiechu. Autor żąda koniecznie powiększenia sił zbrojnych Rosyi dla dwóch przyczyn: 1) że cała Europa zbroi się przeciwko Rosyi; 2) Rosya musi się pomścić na Europie za Sewastopol. Pomstę tę udowadnia wywodem, że mały naród np. Dania może się zadowolić reformami, wewnętrznym spokojem i rozwojem i zapomnieć swej krzywdy, ona wyszła z wojny rozerwaną, ale z czystym sumieniem. Wielki naród nie może tak postępować, on pouczony swemi nieszczęściami poprawia swoje niedostatki, ale nigdy nie wyrzeknie się tej myśli, że kiedyś znowu powstanie z odnowionemi siłami. Inaczej być nie może, człowiek jest najprzód mo-

ralnem stworzeniem, niezaspakajacem się samym tylko materialnym dobrobytem, stworzeniem żądającym *zadośćuczynienia moralnego* (to jest wojny). On nie może się zadowalać szczęściem mieszczańskim (str. 249 — 250).

Na tem kończy Dr Paweł Durdik swoją rozprawę; redakcja *Osviety* z swojej strony dodaje takie uwagi:

„Artykuł ten różni się bardzo od dzisiaj u nas pisanych, a nawet w swoim czasie w czasopiśmie tem ogłaszanych artykułów o Rosyi.

Rosya taką, jaką my jej sobie *życzymy*, jaką ją sobie w przyszłości wyobrażamy, różni się naturalnie ogromnie od Rosyi, jaką jest obecnie: my powinniśmy znać *prawdę*, w całej jej rzeczywistości i zmierzać do *ideału*. Idea *słowiańskiej* wzajemności nie powstała w Rosyi, w Czechach; czeski naród nie powinien się łudzić, że idea ta niewiem jakiego używa w Rosyi powodzenia, a Rosyanie niech się nie łudzą błędnem mniemaniem, że Czesi wzajemność słowiańską na to tylko wynaleźli, by oczekiwać od Rosyi swego zbawienia: na to są Czesi zanadto narodem, a mianowicie samodzielnym i wykształconym narodem, od dawnych wieków przywykli oni walczyć *sami za siebie i polegać tylko na własnych siłach*. Rosyanie niech rozumieją, że Czesi wypowiedziawszy ideę słowiańską wywiesili i Rosyi znamię zbawienia. *Musi być jasno i wyraźnie między nami i Rosyanami w tym względzie*, a do tego właśnie służyć ma rozprawa niniejsza. Kto mówi, że całe słowiaństwo musi *obrusiti*, ten nie wzniosł się jeszcze na wysokość słowiańskiej idei. Gdyby nawet idea ta przez *nikogo* w Rosyi należycie zrozumianą nie była, gdyby nie miała tam ani jednego przyjaciela, nie utraciłaby pomimo tego swej wagi, wzniosłości i wielkości, a my wyznawalibyśmy ją z gorętszem jeszcze przekonaniem. Tak! gdyby nawet do dzisiaj nie była jeszcze powstała, mamy to przekonanie, że nastąpiłoby to w niedalekiej przyszłości.“

Na tem i my kończymy streszczenie pierwszego dokumentu w sprawie, dla rozjaśnienia której, kilka uwag postanowiliśmy tutaj zamieścić. Z kolei teraz podamy parę odnoszących się do tej kwestyi ustępów z dzieł Palackiego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ksawery Stodulski.

LIST Z WIELKOPOLSKI.

Epilog do zajścia w kościele w Pieraniu, o czym w końcu ostatniego pisałem listu, odegrał się 11 lipca przed sądami przysięgłych w Bydgoszczy. Na ławie oskarżonych zasiadło 8 osób: były dziedzic dóbr Alfons Duszyński z Głojkowa, Józef Umiński urzędnik gospodarczy z Benkowa, Polikarp Marwicz, krewny biskupa chełmińskiego, właściciel dóbr rycerskich z Wałdówka, Wojciech Haber, gospodarz z Woli Wapowskiej (jeden z najzamożniejszych chłopów u nas), Wawrzyn Kaczmarzski z Radajewic, Kasper Podlaszewski z Parchania. Jan Wasilewski z Parchania i komornik Maciej Lewandowski z Szykorowa. Prokurator odczytał oskarżenie, z którego się dowiadujemy, że z duchownych na odpuście w Pieraniu był prócz ks. Brenka, ks. Würtz z Nowego Grabia i emeryt ks. Tryburski z Pakości. Cały przebieg sprawy zgadza się w głównych zarysach z moim referatem. Ks. Lizaka gdy zgiełk wszczął się w kościele, miał wedle oskarżenia uderzyć silnie w głowę parobek Wojciech Kaczmarzski, a kilka chwil później miał go schwycić pod gardło Kasper Podlaszewski. Gdy z ambony przemawiał, przerywano mu słowy: „*Niemiec wiarę zaprzedał, Luter, niech idzie do Brandenburgii.*” Księdza Brenka ścigano wyrazami: „*Zdrajca, siwa głowa, a Niemcom Kościół zaprzedał — chce się ożenić.*” Księdza Brenka miał uderzyć dwa razy w głowę oskarżony Maciej Lewandowski. Pp. Duszyński, Umiński i Marwicz mieli dać z łoży sygnał do rozpoczęcia zgiełku przez wiewanie kapeluszymi.

Prokurator oskarża najprzód obżalowanych o przeszkodzenie w nabożeństwie na dniu 5 czerwca w Pieraniu i o udział w publicznem zbiegowisku, w którym znieważono osoby. Skarga zarzuca trzem w końcu wymienionym panom, że podżegali lud,

reszcie oskarżonych, że czynnie dopuścili się gwałtów na dwóch osobach (na ks. Lizaku i ks. Brenku). P. Duszyński i p. Marwicz przyznają, że wiewali kapeluszymi, lecz nie było to haśle do rozpoczęcia zgietku, lecz znak, by pani Duszyńska opuściła kościół.

Świadków wezwano 40, z tych około 30 zawezwała obrona jako świadków odwodowych.

Najciekawsze są zeznania księży Lizaka i Brenka. Ks. Lizak oświadcza, że u ludu zjednał sobie szacunek i poważanie, lecz u szlachty nie miał miru od czasu, kiedy z 8 księżmi z dekanatu kruszwickiego odmówił podpisu pod adres do kapituły gnieźnieńskiej. (Adres ten zapewniał kapitułę, że pochwała całkiem jej stanowisko wobec rządu, kiedy oświadczyła, że nie może obrać na rozkaz naczelnego prezesa innego administratora, gdyż ks. Arcybiskup Ledóchowski prawowitym jest rządcą dyecezyi). Ks. Lizaka twierdzenie, że miał go uderzyć Podlaszewski, bardzo jest nieprawdopodobne, bo wielu świadków oświadcza, że Podlaszewski był przez cały przeciąg zamieszania w ich towarzystwie i zachował się spokojnie. *Mimo to ks. Lizak stwierdził przysięgą swe zeznania!*

Ks. Brenka zeznania i uwagi o Kulturkampfie (mówił z patosem przeszło pół godziny) świadczą, jak nisko upaść może kapłan przy schyłku życia. Między innemi wspomniał o tem, jakich środków używa stronnictwo „polsko-ultramontańskie,” by lud drażnić i podburzać.

Kapłan apostata wymienia pięć środków agitacyjnych: 1) Dziennikarstwo polskie „Schand- und Hetzblätter” jak *Gazeta Toruńska*, *Warta*, *Niedziela* i *dwa Przyjaciele* (*Chełmiński i Toruński*) 2) Wiece, towarzystwa 3) Księża majowi, którzy w kraju się zagnieździli „vom Kuhhirten bis zum Erzieher” 4) Ambona 5) książki ludowe. Gazety wymienione zapisują skwapliwie wedle ks. Brenka, wszystkie procesa, które sądy wytaczają księżom za przestępstwo praw majowych i otaczają skazanych na karę aureolą męczeństwa. Ale nie oni, lecz my, którzy stanęliśmy po stronie państwa, jesteśmy męczennikami.

Dziwne zaćmienie rozumu, okropne spodlenie charakteru! „O ile tylko człowiek śmiertelny może, o tyle zbezcześcił sobą i w sobie ducha katolickiego i polskiego” można z Krasieńskim powiedzieć o ks. Brenku.

O godzinie 10tej wieczorem ogłoszono wyrok, skazujący p. Duszyńskiego i Marwicza na *dwa lata* więzienia, Podlaszewskiego, Kaźmierskiego i Lewandowskiego na 6 miesięcy więzienia, Habera, Umińskiego i Wasilewskiego na 3 miesiące, a wszystkich solidarnie na koszt.

Surowa kara, jaka spotkała oskarżonych a zwłaszcza p. Marwicza, który przypadkowo znajdował się w kościele

(mieszka bowiem w Prusach Zachodnich i tylko w gościnie przyjechał do krewnych), oburzyła nas wielce, zwłaszcza, że jedyna jego zbrodnia na tem polega, iż z łoży kapeluszem miał wiewać.

„Il n'y a plus de jugs chez nous!“

Nie pochwała się rozruchu w Pieraniu, ale czemuż rząd nie miał równej miary i wagi wtenczas, kiedy żandarmi i policyanci wtargnęli w Trewirze do kościoła i nawet pałaszami ranili kilka osób, gdy zgromadzeni w kościele nie chcieli dozwolić, by wzięto od Ołtarza kapłana, nie uznanego przez państwo? czemu smutne zajście w Olawie na Szlązku, gdzie żandarm w świętokradzkie ręce wziął *Sanctissimum*, by je zanieść landratowi, zyskało nawet aplaus ministra Eulenburga? A przecież „justitia fundamentum regnorum!“

Druga sprawa o naruszenie spokoju publicznego toczyła się przed sądem w Ostrowie (tam, gdzie nasz ks. Kardynał dwa lata w więzieniu pokutował.) Oskarżono 12 mieszczan z miasteczka Sulmierzyc, że przed rokiem stawili opór policyi przy fantowaniu miejscowego ks. Sternarda. Ośmiu uwolniono, czterech uznano winnymi i skazano *dwóch na 1½, dwóch na rok więzienia.*

Do uzupełnienia obrazu kar, jakie się na nas w ostatnich czasach posypały, przytaczam, iż p. Eulogiusz Zakrzewski, były odpowiedzialny redaktor *Kuryera Poznańskiego*, skazany został za obrazę żandarma Mayera na 100 marek i p. Trembecki redaktor *Przyjaciela Ludu* wychodzącego w Prusach Zachodnich na cztery tygodnie, p. Paweł Miarka odpowiedzialny redaktor *Katolika* na Górnym Szląsku na trzy miesiące, za obrazę szląskich księży państwowych Pischla i Kentyego. Pisma nasze polskie kontrolowane są przez rząd z zapalem niezwykłym. Ustanowieni są osobni urzędnicy, których jedynym obowiązkiem jest tłómaczenie z gazet ustępów, mogących prokuratorowi „służyć za materyał do wytoczenia procesu.“ *Katolik* np. pismo wychodzące tygodniowo na Górnym Szlązku w Mikołowie, dostało tego zaszczytu, iż każdy numer tłómaczy się w Bytomiu, litografuje i w dwustu egzemplarzach rozsyła się prokuratorom, landratom, burmistrzom. Dostała mi się przypadkowo do rąk taka litografowana gazeta niemiecka, podpisana w końcu przez jakiegoś Koeppena, komisarza królewskiej Regencyi (*Königl. Regier. Commissar*). Półtorej stronicy zajmuje tłómaczenie *Gazety Górnośląskiej* wychodzącej w Bytomiu, reszta poświęcona 21 numerowi *Katolika*. Tłómaczenie wogóle niedokładne: wyraz „wiarusy“ tłómaczy np. pan Koeppen przez „Glaubenshelden.“ W końcu znajdują się słowa: „Das Uebrige der beiden Blätter

und auch die „Monika“ (wychodząca także w Mikołowie) bietet keinerlei Interesse.“

Für Uebersetzung und Inhalt
Beuthen O/S den 27 Mai 1876.

Koeppen.

Koenigl. Regier. Commissar.

Ponieważ mówię o Szląsku, wspominam o tem, że 10 i 11 lipca odbyło się w Raciborzu trzecie Zgromadzenie katolików szląskich. Przytaczam fakt ten dlatego, że na owym wiecu było kilkanaście osób z Wielkopolski, a dalej, że *po raz pierwszy urządzono dla Polaków górno-szląskich zgromadzenie w języku polskim*. Trzeba bowiem wiedzieć, że na Górnym Szląsku mimo kilkunastowiecznego oderwania od Polski jest wedle najnowszych urzędowych obliczeń 867,342 Polaków, którzy zachowali język polski. Godziło się więc, by i do nich przemówiono na wiecu w ojczystym języku. Zebranie dla Niemców trwało dnia 10 i 11, dla Polaków przeznaczony był 11 lipca. Posiedzenia odbywali niemieccy i polscy katolicy w całkiem osobnych miejscach. Na niemieckim wiecu mówił ks. Dr. Franz z Wrocławia, poseł do sejmu, o zgubnych skutkach liberalnej gospodarki we wszystkich stosunkach i na każdym prawie polu, ks. Riedinger tłumaczył, co to znaczy ultramontanin, hr. Stolberg, przewodniczący zgromadzenia, mówił o przywiązaniu do Ojca św., p. Dr. Hager, sławny konwertyta a obecnie redaktor katolickiej gazety „Schlesische Volks. Ztg“ o dziennikarstwie, a w końcu drugi konwertyta, ks. Micke z Wrocławia, o Kościele katolickim. Zgromadzonych na niemieckim wiecu było około 2 tysięcy. Zgromadzenie polskie odbyło się przy wielkim napływie Górno-Szlązaków; zebrało ich się około 4 tysięcy. Z mowców zasługują na wzmiankę p. Zaruba, obywatel z Raciborza, który mówił o Kościele katolickim, ks. proboszcz Myśliwiec z Grudzienka. Mowa jego należy do najpiękniejszych, jakie wygłoszono. Zbijał zarzuty liberalnych pism, że katolicy wywołali obecny Kulturkampf, i udowodnił przykładami, że „Kościół to ul, z którego biorą miód wszystkie narody.“ Po nim zabrał głos ks. Szajkowski z Mikołowa, współredaktor *Katolika* a odpowiedzialny redaktor *Moniki*. Mówił o języku polskim, o piękności jego, zachęcał do pielęgnowania go w kościele i przy ognisku domowem. „O bracia, wołał mówca, „mowa ojczysta, to po wierze, po religii największe dobro, największy skarb nasz. Ś. p. Libelt, który w przeszłym roku umarł w W. Ks. Poznańskim, powiedział, że *język to jest krew, która opływa ojczyste ciało narodu*. Każdy z nas wie, czym jest krew dla człowieka. Gdy żołnierz na polu walki kula ugodzi, ubiega mu krew i umrzeć musi, jeśli nie nadejdzie spieszna pomoc lekarska. Odbierz narodowi język,

a wytoczyłeś z ciała krew, a ten brak krwi sprowadzi nań śmierć niechybną.“ Wspomniał potem o pięknej literaturze złotego wieku i o literaturze obecnej, o starodawnych pieśniach śpiewanych po kościołach na Górnym Szlązku, zachęcił do czytania pism polskich, do uczenia dzieci katechizmu po polsku i zakończył słowy:

„Pokochajmy całym sercem, całą duszą język nasz polski i niech każdy zawoła: *Jeśli cię zapomnę ojczysta mowa moja, niech język przyschnie do ust, niech mi ręka uschnie, bo ja cię po wierze najbardziej miłuję.*“ Mowę tę wydrukował *Katolik* w Nrze 29. Po wiecu dziękowali wiarusy górnośląscy ks. Szajkowskiemu, że pierwszy raz w życiu słyszeli od niego, co to jest mowa polska i jak ją kochać trzeba. Nadmieniam, że księża górnośląscy niechętnie mówią po polsku i wogóle mało się troszczą o język polski, który wyssali z mlekiem matki. — P. Miarka, redaktor *Katolika*, mąż znany i w szerszych kołach z szlachetnych dążeń około podniesienia oświaty na Górnym Szlązku i z tego, że 21 miesięcy przesiadział w więzieniu za przestępstwa prasowe, mówił o wychowaniu dzieci. Zachęcał do religijnego i narodowego wychowania dzieci, najskuteczniejsze podawał do tego środki. Mowcę zgromadzeni obsypali kilkanaście razy rzesistemi oklaskami, którym końca nie było. Na zakończenie przemówił ks. Filippi o wyborach, które się odbędą na ś. Michał, i przypominał zgromadzonym, by obierali tylko posłów z wybitnem przekonaniem katolickiem.

Pierwszy wiec polski na Górnym Szlązku jest nadzwyczaj pocieszającym zjawiskiem. Odłączeni *pięćset* przeszło lat od swej macierzy Polski, przechowali Górnoślązacy tradycje staropolskie, mowę i ubiór polski, zachowali wiarę katolicką. Nie mieli i nie mają hetmanów, coby im przodowali w obronie wiary i języka: szlachta polska wymarła lub się zniemczyła, księża utracili poczucie polskie a mimo te wszystkie nieprzyjemne wpływy, mimo sieroctwo i opuszczenie, lud szlązki z swego wnętrza czerpie siłę odporną... i woła: *dum spiro, spero!* O ludu! „życie twoje stało się oczekiwaniem i rozdarcie — ogień piekieł palił ci stopy, blaski niebieskie raziły ci oczy, tłumy rwały cię na dół i drugie tłumy ciągnęły cię w górę, wtedy nadzieja Boska wszczęła się w sercu twojem“ i nie umarłeś, lecz głosem prawie milionowym wołasz: żyję i żyć będę.....

Lecz z hymnu do prostej zstępując powieści o naszej krainie łez i smutku donoszę, że liczbę wielką ruin z łaski Kulturkampfu powiększyło znowu rozwiązanie Zgromadzenia księży Filipinów na Jasnej Górze pod Gostyniem. Miejsce to cudowne, które dwieście lat opierało się różnym burzom, co nad niem przechuzały, nie zdołało się oprzeć liberalnemu pra-

wodawstwu XIX w. Księża Filipini wysłali z swego grona ks. Prejbisza i ks. Brzezińskiego do Berlina, by ci u Cesarza wyjednali cofnięcie ukaz u ministeryalnego. Jeśli zabiegi ich będą bezskuteczne, największą stratę poniesie lud wierny, który kilka razy do roku z dalekich stron spieszył do Matki Boskiej na Jasnej Górze, szukając i znajdując tamże pociechę.

Nowa znowu klęska nawiedziła okolice nasze, graniczące z Brandenburgią, w postaci szarańczy, które miliardami spadają na pola i w kilku minutach niszczą ze szczeniem zboża na obszarze kilku morgów. Wielka jest obawa, by ci nowi a niespodziewani nieprzyjaciele nie zapuścili zagonów i w dalsze strony, zwłaszcza, że nie znaleziono odpowiednich środków, aby ich całkiem wytępić.

Na zakończenie donoszę, że ks. Sylwester Suszczyński, który w przeszłym roku cywilnie połączył się węzły małżeńskimi z panną Gajewską, a obecnie mieszka w mieście Kanta, w Królewcu, uszczęśliwiony został niedawno synkiem. Dziecko jest silne i zdrowe.

Epsilon.

Przegląd Literacki.

Potocki Leon, Urywek ze wspomnień pierwszej mojej młodości. Poznań, u Żupańskiego 1876.

Księcia Eustachego Sanguszkii, Pamiętnik (1786—1815) wydał Józef Szujski. Kraków, 1876.

Lubo dość już wiele mamy pamiętników z ostatniej epoki, rozumiem tu koniec przeszłego i początek tego wieku, to przecież każdy nowy przyczynek do historyi politycznej lub obyczajowej Polski porozbiorowej, chwytny jest chciwie, choćby tylko dlatego, że odnosi się do czasu nader ważnego, do przełomu w dziejach nie tylko naszych ale i europejskich, że każda wybitna postać (a było ich więcej niż obecnie) miała sposobność odegrania jakiejś roli w życiu publicznem, a wreszcie, że chwila ta, jak zwykle epoki przewrotu stosunków, obfituje w charaktery i typy.

Łatwo jednak pojąć, że na to, aby pamiętniki jakie zajęły pierwsze miejsce w literaturze, trzeba, żeby ich autor był osobistością, której sąd jest dla potomności ważnym, albo przynajmniej, żeby opinie o ludziach i zdarzeniach wzięte z bezpośredniego doświadczenia miały wagę zeznania naocznego świadka czy uczestnika.

Szkoda, że nie zupełnie odpowiada tym warunkom książka, o której mowa. Roli politycznej nie odgrywał jej autor, chyba zaś na zbicie pewnego przesądu przytacza różne wielkie (?) wypadki dziejowe, których data schodzi się z rokiem jego przyjścia na świat 1799. Niestety w roku urodzenia Heinego i Leona Potockiego mnóstwo jeszcze innych ludzi ujrzęło światło, a przecie nie wszyscy byli znakomitymi, jakkolwiek wszystkim towarzyszyły te same prognostyki.

Znaczna część książki poświęcona jest wywodom genealogicznym i wykazom majątkowym. Rodzina Potockich zajęła w tej epoce wprawdzie stanowisko dość wpływowe, ażeby interesujący się historią ojczyzną i tej rodziny dziejów był ciekawym; lecz jakież cel mogą mieć rodowody wypisane *in extenso* z herbarzy, które każdy może czytać w oryginale?

Już to w ogóle wypisy zajmują miejsce nie małe w tych pamiętnikach. Przy rodowodach Kossakowski, przy opisach majątkowych Baliński, przy opowiadaniach Koźmian lub Rzewuski, poparci od czasu do czasu wyjątkami z gazet; wreszcie dokumenty całkiem zbyteczne n. p. inwentarz świątyni Sybili w Puławach, dla którego nikt podobno nie czekał aż na cbe-cne wydawnictwo; słowem mnóstwo rzeczy znanych i znanych nawet lepiej, niż się okazują w oświeceniu tych pamiętników. Czy autor przewidywał, że niedalekim jest czas, w którym zaginę wszystkie przytoczone przezeń dzieła?

Gdybyż przynajmniej to wszystko było uporządkowane i wspomnienie razem z wypisami stanowiły jeden ciąg! Wszak pamiętników główną cechą jest to następstwo chronologiczne, którego nitką czerwoną jest żywot autora. Wtedy nabierają one charakteru zeznań subiektywnych prawda, nawet często stronniczych, lecz z pierwszej ręki i tak spisanych, jak się w umyśle piszącego kolejno układały; to też stanowi jedną z podstaw wiarygodności pamiętników, to jest może wszystkich innych, lecz bynajmniej niniejszych. Tu bowiem autor utworzył sobie jakąś swoją teorią grupowania faktów i napomknawszy o niej, na wstępie uważa się potem za zwolnionego od przestrzegania jakiegokolwiek ładu. Od owej biografii przeskakuje do zdarzeń jego urodzenie poprzedzających i aż do wieku XVI, od opowiadania do rodowodów i nawzajem, a w głowie czytelnika zostaje potem kompletny chaos. Bądź co bądź pamiętnik do znaczenia historyi umiejętnej nie może mieć pretensyi, grupowanie zdarzeń nie jest rzeczą łatwą i bez wprawy naukowej osiągnąć się dającą, a nieudane próby w niekrytycznych zapiskach, tracą jasność i potoczność, główną rodzaju pamiętniczego okrasę.

Mimo to nie czytają się te karty bez interesu i to nie tylko owego ogólnego interesu do epoki całej przywiązanego, z którym słuchamy powtórzenia rzeczy nawet znajomych, jeśli nas żywo obchodzą, lecz także w kilku miejscach nie bez zajęcia specjalnego, zwłaszcza wtedy, gdy mowa o stronie dziejów obyczajowej.

Za takie oazy, lepiej powiedzmy: *rari nantes*... uważam opis dworu i życia starościny halickiej Ludwiki z Lubomirskich Józefowej Potockiej w Monasterzyskach, jakoteż obraz życia pańskiego w Tulczynie za świetnych czasów Szczęsnego Po-

tockiego, chociaż ten ostatni wzięty jest raczej z tradycji niż z własnych wrażeń.

Opowiadanie przechodzące w dzieje księstwa warszawskiego coraz bardziej wkracza w zakres polityki, a dochodzi aż do roku 1815. Dla tego, który o tej epoce nic innego nie czytał, może ono być zajmujące, zwłaszcza gdy znany łatwy styl autora *Wspomnienia o Kownie* i dzieł innych pod pseudonimem Bonawentury z Kochanowa wydawanych, samo czytanie książkę czyni wcale przyjemnem.

Z innem zupełnie uczuciem przebiega się drugi pamiętnik odnoszący się do tegoż samego ustępu naszych dziejów, tylko w przeszłość trochę dalej posuniętego. Daleki krewny Leona Potockiego, bo przez matkę wiodący ród swój zarówno jak tamten od hetmana Rewery, jest Eustachy Sanguszko jedną z tych postaci, które u współczesnych i u potomnych rozmaicie były sądzone, ale pominąć być nie mogą. Pamiętnik jego piętno nieposzlakowanej szczerości noszący rzuca silne światło na autora i przez to samo do ważnych publikacji należy.

Już z samego stylu, trochę ciężkiego i trudnego do czytania, wieje pewna rycerskość; brak wprawy do formy, nie brak myśli i sądów; człowiek to nie pióra lecz czynu, żołnierz, obywatel, ziemianin. Píše nie dla przyjemności, tylko dla pożytku dzieci, nie wszystko, co wie i co przeżył, tylko to, co uważa godnem zapisania, co służy do wyjaśnienia prawdy lub do wyciągnięcia nauki. O swej rodzinie i o sobie pisze tak mało, iż dla dogodności czytelnika musiał wydawca w przedmowie zestawić najpotrzebniejsze wiadomości genealogiczne i biograficzne. Zaczyna nie od swego urodzenia, lecz od chwili, kiedy jako 18-letni młodzieniec umiał już patrzeć na świat, kiedy począł być trybem w machinie życia publicznego, zapisuje tylko to na co patrzył et quorum pars fuit.

Znany epizod jego z piękną Julią, która umarła w Krakowie 1794 roku i dla której zobaczenia powstaniec Kościuszkowski przedziera się w sam środek obozu pruskiego, epizod ten, w którym nie brak nawet sceny grobowej, tylko że Romeo wyszedł z niej cało, stawia go w świetle egzaltowanej romantyczności. Lecz poeta nasz, który wiersze pisywał, a romanse w praktykę wprowadzał, musiał też być i praktycznie czynnym.

Politykiem wielkim nie był, to też prędko zbywa karierę swą poselską na sejmie 4-letnim, aby przejść do wojennej. Zaledwie 23-letni zostaje vice-brygadyerem w wojsku polskiem jeszcze przed 2gim rozbiorem i bierze udział w kampanii 1792 roku.

W pokryciu zupełnem milczeniem epizodu zielenieckiego jakaż przebija szlachetność! W tej to bitwie, jak czytamy w „Żywocie Tomasza Ostrowskiego,” gdy piechota moskiewska z opłotków zbytnie Polaków razić poczyniała, zawołał książę Sanguszek do Mokronowskiego: „Jenerale, to moja wieś, każ ją spalić!” i tem rozstrzygnął wypadek utarczki. Jak się oburza na króla, który po tej bitwie zielenieckiej zapraszany do obozu, zapytał przedewszystkiem, czy tam będzie miał „wygodę i kuchnię przyzwoitą.” To wszystko nie są obojętne szczegóły dla potomności, która chce sądzić charakter człowieka.

Upadek Polski, jak wszystkich dobrych obywateli i więcej może niż nie jednego z nich, pogrążył w smutku tego, który wychowany zagranicą, jeden może z wielu możnych panów ówczesnych przemysliwa nad narodowemi ułomnościami, a przylgnąwszy do tego, co nam jeszcze zostało, obstaje przy używaniu obcego sobie ojczystego języka, łamie się ze stylem, lecz pisze listy i pamiątniki po polsku, choć zawile i nieudolnie, a nawet wyraźnie przestrzega swe dzieci przed zaślepieniem, które jego wychowaniem kierowało.

W tymto czasie popełnił krok, który zapewne w niedobrem postawił go świetle: przyjął szarżę wojskową moskiewską, dla ratowania majątku wołyńskiego. Z czołem schylonem tak o tem pisze:

„W żadnym wypadku, tem mniej przed wami dzieci, usta „moje kłamstwa z siebie wydać nie potrafią. Wam tedy mówię, „iż to przeistoczenie sukni w rozpacz mię wprowadziło.... Se- „kwestr zdjęty na Białorusi, familii dobra oddane; po kilkonie- „dzielnym pobycie w Petersburgu biorę urlop na miesiący 6 i „wracam do Warszawy... Spytacie się, czemu nie ku Dnieprowi, „ale ku Wiśle dążyłem? Przywiązanie i nadzieja mnie tak skła- „da; na Pradze jeszcze pokornie wysiadam, kryję się pod mury „w mieście dawniej tak dla mnie przyjemnem, jak oszybkim „wilk zajęty siećmi. Każdy odgłos zatrzymuje mnie lub po- „pędza, mniemam choć w szarym surducie, iż razi przecho- „dników haft mój brygadyerski. Nakoniec wpadam do Mokro- „nowskiego, którego przyjaźń daje mi porę odetchnienia. Do „tego obrazu położenia mego łączyć sens moralny nie ma po- „trzeby, sam on się wykazuje.“

To też na pierwszą wieść o powstaniu Kościuszki rzuca piekący haft brygadyerski i bieży na odsiecz naczelnika pod Połańcem. Udział swój w powstaniu i chlubne dlań szczegóły bitwy Szczekocińskiej opisuje z niesłychaną skromnością.

I znów nie udało się; powstanie uległo nie odniósłszy skutku.

„Opasany zewsząd, nieomylnie przez Niemców wydanego „się widzę. Więc przebrawszy się na koń wsiadam, zmierzam „ku Tarnowu dla zrobienia sobie pieniężnego zapasu. W No-

„wem Mieście przebywam Pilicę. . . . Straciłem ojczyznę, osie-
 „rociałem w miłości, tracę oraz wstęp do domu ojca, gdyż ten
 „jest za kordonem rosyjskim. Cierpię nad moją i innych to-
 „warzyszów biedą. Wtedy snuje mi się projekt legionów, któ-
 „rego generał Dąbrowski później dokonał. Nim głowę nabitą
 „mając i już będąc pod Tryestem, wyczytuję tam w gazecie,
 „iż jeżeli się nie stawię u feldmarszałka Rumiancowa w krót-
 „kim już bardzo czasie, tedy zaocznie sądzonym i karanym
 „będę. Ścisła me serce obraz prześladowanego ojca, spieszę
 „do Rosyi i staję w Taszaniu. Srogość zwycięzcy brzegów Du-
 „naju wcale mnie nie miesza, otwiera on mi furtkę oswobo-
 „dzenia siebie powrotem do służby, lecz jej progu nie prze-
 „chodzę. Zatem w dom ojca z aresztem odsyła. A bytność
 „moja pogrobowa w Krakowie rozbraja gniew Imperatorowej
 „i na wykluczenie mnie ze służby stygnie. — Próżnuję, po-
 „luję trzy lata w Sławucie.“

Przy końcu tych trzech lat po małej emigracyi ożenił się i oddał gospodarstwu, lecz nie na długo. Piękny ustęp w pamiętniku poświęcony życiu wiejskiemu i rodzinnemu rychło daje miejsce opisowi nowej wojny. Znalazł się przy zajęciu Krakowa przez wojsko polskie i wtedy to nastąpiło oziębienie jego dawnych przyjaznych stosunków z księciem Józefem, oziębienie, z którego smutek przez całą resztę pamiętnika się przebija. Wkrótce odgłos surm wojennych Napoleona wszystkich inne zagłuszył. Wezwany od Napoleona do Wilna r. 1812 zajmuje Sanguszko odtąd stanowisko przy boku jego przez całą kampanią moskiewską, lecz wcale nie wydaje się zaślepionym wiarą w szczerłość cesarza. Owszem z całą trzeźwością krytykuje tak cesarza jak jego generałów, oburza się okrucieństwem, jakiego Francuzi dali dowody na Litwie i w Smoleńsku, a wśród zajmującego opisu wyprawy moskiewskiej podaje w kilku miejscach nader ciekawe szczegóły.

Epizod następujący z oblężenia Smoleńska rzuca światło na samą osobistość cesarza: „Tego dnia był upał niezmierny; siedział pan między łóżkiem a stolikiem rozebrany. Po drugiej stronie Murat, zdawało mi się, że był dobrze napitym, a Cesarz podochoconym. Wtem chłopą przyprowadzono wracającego od bagażów armii rosyjskiej. Po wielu pytaniach uczynionych mu o krokach nieprzyjaciela (gdy chłop o bożym świecie nie wiedział), kazał go pytać, czegoby dla siebie żądał. . . . Lecz chłop nic nie żądał, tylko powrotu do wsi swojej mówiąc, że się spieszy, gdyż jest zaręczonym. Ztąd go cesarz w bardzo rozwziętych wyrazach kazał zapytywać, w jakiej on jest poufałości ze swoją narzeczoną. Nakoniec nie mogąc i w tym względzie nic od niego wybadać, dał mu parę napoleonów z dodatkiem, abym go na drogę opatrzył kopnięciem nogą.“

Na relacyą Sanguszki o małej stosunkowo stracie pod Smoleńskiem, na wzmiankę, że szczęście widocznie służy wojsku francuskiemu i że król neapolitański sam był świadkiem, jak dnia wczorajszego dano kilkadziesiąt razy ognia kartaczami do jego awangardy, a z tej tylko jeden kanonier miał rękę ubitą — odezwał się Murat: „Prawda, jeszcze kanonier „z tych b . . . co byli z nami w Egipcie i co mnie zowią Muratem, nie królem. Wtem Napoleon: To z tych to także b . . . „co i mnie zowią Bonapartem do tej pory! Poczem rozgadał „się Pan obszernie; myślałem, że przed Tamerlanem lub Atyllą „stoję“ dodaje Sanguszko.

Ale ważniejszem jest, co mówi o stosunku Napoleona do Polaków od chwili klęski moskiewskiej:

„Pierwszy tydzień pobytu naszego (w Moskwie) spływał „na strzeżeniu się od pożaru jak i od zbytków własnych żołnierzy, tudzież na wyszukaniu kwater, gdyż dla ognia codziennie przenosić się wypadało. Po tym tygodniu ile tylko „mogłem, najmniej odstępowałem dworu w pewności, iż w tym „czasie orzech zgryść się powinien, tyczący się Polski. Uważałem od Witebska i Smoleńska jeszcze, że Polska ciężyla już „Napoleonowi. Okropny buletin Smoleński nie dostał mi się „w ręce aż w Moskwie. Pierwszy w nim artykuł opiewa: Generał Zajączek ranny, Rosyane zwyczajni pogardzać Polakami, zadziwieni byli, gdy ich zastali tak dalece odważnymi. „Jad tego wyrazu przeszył mnie na wylot. Uważałem, że to „jest krzywdą przez piszącego buletin t. j. Napoleona nam „uczynioną i że jej podstęp dąży, ażeby pohlebiając się Rosy „pokój stał się łatwiejszym do zawarcia, ofiarując nas jej zemście. Przed stołem właśnie tę gazetę przeczytałem. Zułem „milcząc złość w sobie przez ciąg obiadu; zapytany po raz „kilka o powód mojej ponurości, nakoniec wystrzeliłem z należytem uczuciem i tak twardo o tym artykule Monitora mówię i jego bezczelności, że Ségur i Turenne sądząc, iż mi „niewiadomym jest autor buletynu, przez życzliwość szczypali „mnie z stron obu. Marszałek Duroc starający się zrazu rzecz „złagodzić, skrócił biesiadę stołową. Widząc, iż nasz interes „już na dno jest spuszczonym, przyznam się, cieszyłem się „niepewnością pokoju i życzyłem niemal jakiejś klęski, by „znowu potrzeba nas było! Nadewszystko lękałem się zawarcia traktatu. Ale nie mogłem wróżyć, iż ten człowiek wielki, „i Włoch do tego, tak dalece zbałwanieje i opuści się, by mu „w niepamięć poszły pierwsze potrzeby życia ludzi, którymi „dowodził, by nad spodziewanie obrót jeszcze gorszy ta wyprawa wzięła i dla nas jak gdyby przez pokój zakończoną „była.

„Nieodstępny stałem się sali służbowej. Dawniej przecież „na codziennej audyencji jakimkolwiek wyrazem lub ukłonem

„zaszczycił Cesarz każdego z Polaków będącego przy nim. „Przez cały zaś czas bawienia w Moskwie nie zdarzyło mi się „słyszeć, by przemówił do którego z naszych. Aleksander „Rozniecki wynosząc się wcześniej z Moskwy miał u niego audyencyą; nie wiem co się tam stało, lecz wyszedł z niej „ogromnie zwarzony. Ten zamiysł upokorzenia nas już miał „gotowym, bo pod Wiazmą jeszcze przybyły oficer od gwardyi polskiej ze spiesznym raportem nagle przez Napoleona „odesłany zostaje. Niezręczny, w oczach jego przez rów skacząc, z konia spada. W furję wpędza się Napoleon i z tego „nieboraka rozciągając sprawę do Polaków, wywodzi: iż nie- „jesteśmy ludźmi, byśmy sobą rządzić mogli, żeśmy oddani „do szaleństwa pasyom i t. d. Po trochu prawdę mówił, ale „plótk, co mu ślina przyniosła. Gdy nas tak porządnie osma- „rował, wychodzę z koła otaczającego go i z pokornym ukło- „nem oświadczam, iż ten oficer choć z gwardyi polskiej, jest „Francuzem, Laroche zwanym. Parsknął grubym śmiechem na „to moje przedstawienie, lecz by przy swoim poniekąd utrzy- „mał się, rzekł: iż widzi, że suknia tworzy mnicha. — „Ale nie jeźdźca — odpowiedziałem — Najjaśniejszy Panie.“

Już to w ogóle im dalej, tem bardziej chłonał Sauguszko w zapale dla Cesarza i wielkiej armii. Co kartka spotykamy utyskiwania nad lekkomyślnością, jakiej dowody tysiąc razy dawali Francuzi i ich wódz, nawet nad ich okrucieństwem w wyprawie moskiewskiej: „Bitny naród francuski, wytrzy- „mały, mianowicie w marszach, przepada za lada wygodką. „I zdaje mi się, iż gdyby w Rosyi chaty pożarem nie były „spłonęły, jeszcze liczniej z nich, niż z pola dostawaliby się „w ręce moskiewskie. Rozboje w marszu i napady przez swoich „tak dalece się zagaęciły, iż bez skrupułu i pod okiem Na- „poleona rozbijano.“

Opuszczenie Polaków przez Napoleona nazywa po prostu „zdrożnością“, lecz uwagi nad błędami kampanii 1812 r. kończy pigynie: „Nie dla tego często wyrzucam Napoleonowi wy- „kroczenia, bym go płonnie kaził, lecz okrom iż złych postęp- „ków wielbić nie mogę, igrzysko losu i przeznaczeń tak szcze- „gólnego człowieka winno służyć za skuteczną naukę.“ A gdzie- „indziej dodaje: „Uwagi nad nierozmysłem, niezręcznością, w opi- „sie zdarzeń nadzwyczajnych wprawiając czytelnika w zasta- „nowienie tworzą w nim rozum, lecz . . . na pochyłe drzewo „wszystkie kozy skaczą; dosyć okaże się lepów dla pisarzy „uradowanych osiadać Napoleona przy jego schyłku, zamiast „zgłębianie kary bożej i palca Stwórcy, którym oczywiście go „wyniósł, jako i zgromił. . . Przekonany jestem, iż był obłą- „kanym. Wojownika i wodza w dzień bitwy pewnie nie masz „nad Napoleona.“

Po powrocie z Moskwy wziął Sanguszko jeszcze udział w powstaniu 1812 r., którego lekkomyślne podjęcie następnie ocenia: „Ile ten krok szanownym bywa, a mianowicie u nas „bywał, gdy w swojej porze zrobiony — o tyle, gdy choć szczerze „płą siłą wojskową nie jest popartym (przy ogołoceniu obywateli z koni, broni, a mających w pośród siebie nieprzyjaciela) ma tylko dźwięku podzwonnego brzmienie i próżność. „Bo każdy ruch pospolicity bez systemu, bez zasad początkowych i miejscowych obejść się nie może i prosta uwaga ni „szczy wtedy ten środek, że dobrowolne poruszenie się mieszańców wystawia ich na pastwienie się przytomnego nieprzyjaciela. Nakaz zaś w tym przedmiocie od rządu, chociaż „ten rząd jest napastowanym, uniewinnia go od obcej pomsty „przez winne posłuszeństwo swej władzy “

Pomijając te względy, główną winę składa na brak inicjatywy ze strony ministra wojny. „Książę, gdy nie miał nogi „w strzemieniu lub mniej nateżoną miał głowę bojowym szczykiem, pospolicie bywał opieszałym, lubił swe zwyczaje, wygody i zabawy.“ A trzeba wiedzieć, że Poniatowski był jego przyjacielem, ideałem jego serca do tego stopnia, że nawet gdy osiągnąwszy wysoki szczybel władzy, nagłem oziębieniem stosunków zraził przyjaciela swej młodości — ten ostatni choć ciężko dotknięty i upokorzony, jeszcze wszelkimi sposobami go broni sam przed sobą i przy każdej okazji podnosi piękne jego strony jak n. p. z okazji nieporozumienia między księciem Józefem a Kościuszką w powstaniu 1794, nieporozumienia, które przypisuje szlachetnym jedynie pobudkom.

Widząc że „nie udało się i nie uda“, porzucił wreszcie i ruchawkę w r. 1812 i wrócił na Wołyń, w przeciwnym wypadku zagrożony utratą całej swej i rodzinnej fortuny. I tu główny zarzut przeciw patryotyzmowi Sanguszki. Koźmian w pamiętnikach wyraźnie twierdzi, że bez dymisji odjechał; „Żywot Ostrowskiego“ nawet podaje mowę ks. Józefa na Radzie Konfederacyi mianą, gdzie jako zdrajcę miał potępić Sanguszkę. Pamiętnik nasz powiada wprawdzie, że dymisya formalna była, lecz i tak autor widać miał pewne skrupuły, kiedy się z tego kroku tłómaczy, iż go uczynił nie „według serca, „lecz jako w tyczącym się szczególniejszej familii rozumowi dał „się powodować“ i że prawdziwego za to żalu doznaje. „Ten „żał kojony jest jedynie uwagą, iż was dzieci i osoby, których „los znajdował się w opiece mojej, nie ogołociłem ze wszystkiego. Ale gdybym mógł był przewidzieć, iż odjazd mój przyniesie tyle umartwienia księciu, ile go uczuł, niezawodne i nagłość oddalenia się od niego byłbym zaofiarował dawnemu „przywiązaniu. Nakoniec co do mnie, człowiek z imieniem, „majątkiem, przytem i rządny, nie bywa wolnym od napaści

„zazdrosnych, które łakomie chwytają za każdy nawet pozór, „by rozszerzać jad swojej zawiści.“

Takim okazuje się ks. Sanguszko w tych pamiętnikach, w których prócz pięknych rad dla dzieci, jest mnóstwo drobnych a ciekawych rysów, jeszcze więcej zamilczeń i szczegółów, które trzeba umieć czytać „między liniami.“ Nie wstydzi się będąc panem milionowej fortuny żyć długi czas z całą rodziną w własnym domu „kartofłami i bursztówkami“ jak chlebem powszednim, dla tego tylko, że rumieniła go sama „myśl zarwania kogo, z przyczyny pewności uczynienia mu zawodu.“ A nie mówi tego z chełpliwością lecz do dzieci tonem najprawdziwszej prostoty. Owszem ile razy tok rzeczy, w których często jego zdanie wybitny wpływ miało, zmusi go do przytoczenia własnych sądów lub odpowiedzi, czyni to z skromnością nie częstą na świecie, tłumaczy się jak z czego złego: „Przytoczyłem tu rozmowę Napoleona ze mną, powiada raz, „nie dla tego, bym w jej treści uwielbiał zdanie moje, ale dla „okazu, że Napoleon nie był tak niedostępnym, jakim go wystawiano.“

A że szczerem jest, prócz tonu mowy, który się czuje, ale wykazać go dowodami tak trudno, najlepszem świadectwem inne pamiętniki z tej epoki, które jak to skonfrontować wydawca zadał sobie pracę, stwierdzają całkowicie wiele faktów opowiedzianych. Nie dość, miewa Sanguszko nieraz i dokładniejsze od innych wiadomości, jak o owej kasie wojennej, dla której ocalenia Kościuszko tak długo trzymał się granic austriackich, podczas gdy generał, opisując obroty wojenne 1794 roku, nic o tem nie wspomina i o odkryciu przez pułkownika Sierawskiego brodu pod Studzienką, który ocalił Napoleona przy przejściu Berezyny, a którego wynalezienie Thiers przypisuje generałowi Corbineau.

Ze szczegółów zaś nowych zupełnie podniesiemy ustęp o patryotycznem usposobieniu chłopów galicyjskich i ubóstwieniu dla naczelnika powstania 1794; lub wiadomość tłumaczącą postawę Schwarzenberga w czasie odwrotu Napoleona z Moskwy: „Tu mogę przytoczyć, bo mam za rzecz pewną iż co „dziennie naczelnikowi austriackiemu dostawiana była suma „5.000 czerwonych złotych na ręce Kamburleja, gubernatora „wołyńskiego, od pani z Engelhardtów Branickiej, ażeby ten „Styru nie przechodził i tym sposobem pięć dni był utrzymanym.“

Żeby zaś dokończyć obrazu autora pamiętnika, dodajmy jeszcze jeden rys charakterystyczny a tym jest to prawdziwie polskie i szlacheckie przywiązanie do konia własnego chowu. Gdy w pochodzie za Napoleonem dzień cały „rasztakował“ w Mohylowie, „przejechałem się także — powiada — na sła-

„wnym karym mego stada; ten koń dzielny z piekła byłby „księcia wyrwał nie tylko z tej nieszczęśliwej Elstry, ale także przeciwne zdarzenie, iż na nim nie siedział.“ A gdy opowiada, jak ks. Józef pod Tarutyno spadł z konia, pospiesza dodać: „nie ze stada mego.“

St. Tomkowicz.

Kronika bibliograficzna.

I. POLSKA.

Po ś. p. Aleksandrze Fredrze, podług jednozgodnych doniesień dzienników lwowskich miały pozostać następujące dzieła, dotąd nie drukowane i nie przedstawiane: „Wychowanka“ komedia w 5 aktach wierszem; „Nie chcę się żenić“ komedia; „Nitta et Compagnie“ komedia; „Brytan Bryś“ komedia; „Dwie bliźny“ komedia; „Rewolwer,“ komedia; „Wielki człowiek do małych interesów“ komedia, „Komedia zwierząt czyli Bajęda,“ wierszem; motto: każdy dudek ma swój czubek, quot capita tot non-sensus; „Poezye ulotne“ niedruk., między niemi „Szewc z Uhnowa“ powiastka; „Polowanie,“ o! którym Pol wspomina w „Roku myśliwca“; „Trzy po trzy“ pamiętnik. Jest także poemat mniejszy: „Jeszcze Polska nie zginęła.“ Oprócz tego liczne poezye okolicznościowe.

W ostatnich czasach doniosło jedno z pism lwowskich, że komedyj pozostało nie siedm, lecz siedmnaście. Mamy nadzieję, że rodzina jak ogłosiła autentyczne daty z życia wielkiego pisarza, zechce i w tej mierze wiarygodne ogłosić szczegóły i nie długo każe nam czekać na przedstawienie i ogłoszenie tej cennej spuścizny.

Roczniki Towarzystwa Przyjaciół nauk Poznańskiego. Tom IX. Nakładem Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego. Poznań. Czcionkami N. Kamieńskiego i Spółki. 1876. Tom IX tej cennej a niestety zanadto mało u nas rozpowszechnionej publikacyi, na którą, nim podamy obszerniejsze sprawozdanie, już teraz zwracamy uwagę publiczności, zawiera:

Jan Stanisław Jabłonowski wojewoda ruski i zatarg jego z królem Augustem II. Napisał *Kazimierz Jarochoński*. — Wspólności rodowe, tworzenie się herbów i nazwisk familijnych w Polsce. — Wiadomość o nieznanym synodzie dyecezyalnym Jana Odrowąża Sprowskiego, arcybiskupa w Gnieźnie, 1456. Napisał X. *Dr. Łukowski*. — Autentyczność kamieni Miko-

rzyńskich, zbadana na miejscu przez *Dra Kazimierza Szulca*. — Karol Libelt. Napisał *Stanisław Koźmian*. Szoari i rapsody arabskie w Egipcie. Napisał *Józef Kościelski*. O żywiole religijnym w dziełach Szekspira. Napisał *Stanisław Koźmian*. Popularny wykład o przejściu Wenery przez tarczę słońca, miany na publicznem posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego w r. 1876 przez *Dra Mateckiego*. — Sprawozdanie z czynności Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego. Od grudnia 1874 do lipca 1876 r.

Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego ozdobiony licznymi drzeworytami. Rok 1876. Tom I. Kraków, w drukarni Wł. L. Anczyca i Ski.

Pierwszy wydany okazał tom tego pożytecznego i pięknego Towarzystwa, które tylu już zyskało sobie zwolenników w kraju i zagranicą, a w przyszłości zapewne jeszcze więcej pozyska i niewątpliwie rzetelne krajowi odda usługi, zawiera następujące rzeczy:

Część I. Przedmowa komitetu redakcyjn. Zagajenie pierwszego walnego zgromadzenia Tow. Tatrzańskiego, przez prezesa hr. Reya. Statut Tow. Tatrzańskiego z siedzibą w Krakowie. Regulaminu obrad i czynności ogólnego zgromadzenia i wydziału Tow. Tatrzańskiego. Sprawozdanie z czynności Tow. Tatrzańskiego za czas od dnia 3 sierpnia 1873 r. do 28 maja 1876 r. Zestawienie przychodu i rozchodu funduszków Tow. Tatrzańskiego; Ważniejsze pisma wystosowane do Tow. Tatrzańskiego. Skład Tow. Tatrzańskiego.

Część II. Morskie Oko, przez El...y. W Tatry, przez Wł. L. Anczyca. Rzeźba Tatr, przez Prof. Dra Nowickiego. Przyczynnik do klimatologii Tatr, przez Dra D. Wierzbickiego. Życie pasterskie w Tatrach, przez X. A. W. Sutora. Wycieczka na szczyt Gerlachu, przez X. J. Stolarczyka. Szczawy Sławkowskie (Szmeks), przez H. Müldnera. Huculy przez X. Sofrona Witwickiego. Wysokość Czarnohory i gór przyległych; Formacja geognostyczna Czarnohory i ważniejszych gór na Pokuciu. Pierwszy rocznik klubu alpejskiego francuzkiego, przez Wł. hr. Koziebrodzkiego. Bibliografia karpacka, przez H. Müldnera.

Dr. Anatoli Lewicki. Mieszko II. Kraków. 1876 str. 122. 8vo. (Odbitka z V tomu Rozpraw i Sprawozdań wydziału historyczno-filozof. Akademii Um.) Monografia ta napisana „trzeźwo“ z dzisiejszego stanowiska nauki, chociaż nie jest ostatniem w tym przedmiocie słowem, uważaną być może za ważny przyczynek do początkowej historii polskiej, prostuje bowiem na podstawie samodzielnych studyów i sumiennego badania źródeł błędy poprzedników i wykazuje sprzeczności w ich zapatrywaniach zawarte. (Przegląd krytyczny II. 6.) Później podamy obszerniejszą ocenę tej pracy.

J. I. Kraszewski. Z siedmioletniej wojny. Opowiada-

nie historyczne. Warszawa 1876. 2 tomy. Powieść ta jest jakby dalszym ciągiem „Hrabiny Cosel“ i „Brühla.“ Recenzent Przegl. kryt. (II. 6.) przyznaje jej nawet wyższość nad wspomnianymi powieściami historycznymi, które tyle budziły zajęcie, a to głównie z powodu bardzo szczęśliwego wyboru głównej postaci. Autor pisze z wielką swobodą i rozporządza licznym zasobem faktów historycznych.

Chotkowski ks. Wł. Sieroty, obrazek współczesny. Cena 1 mrk. Poznań. Nakładem Tytusa Daszkiewicza 1876. Str. 256 in 12o.

Merunowicz Teofil. Wewnętrzne sprawy Galicyi. Lwów. Nakładem księgarni Wł. Bełzy 1876. Str. 130 in 8o. (Odbitka z Gazety Narodowej).

Warnka Stanisław. Franciszek Deak. Szkic biograficzny. Poznań. M. Leitgeber i Ska. 1876. Str. 52 in 8o. (Odbitka z Dziennika Poznańskiego).

Rakowicz Dr. O interesie depozytowym. Odczyt miany na V sejmiku Spółek zarobkowych Polskich w Krotoszynie. Poznań. Czcionkami J. Leitgebera 1876. Str. 40.

Przygoda Chopina. Opowiedział według niemieckiego oryginału autor dzieła: „Chopin i utwory jego muzyczne.“ Poznań M. Leitgeber i Spółka 1876.

Czapski hr. Maryan. Nieco o przyrodzie pszczoły. Przy sposobności świeżo wyszłej z druku „Anatomii Pszczoły“ Girdwojnia. Poznań. Żupański. (Odbitka z Ziemiańska). 1875.

Romanowicz Tadeusz, referent spraw statystycznych w magistracie. Wiadomości statystyczne o mieście Lwowie. Rocznik II. Nakładem gminy miasta Lwowa. Lwów 1876.

Popiel Paweł Dr b. prof. szkoły głównej warszawskiej, *Jan Zamoyski* w Padwie i Wenecyi. (Odbitka z Przeglądu Polskiego). Kraków 1876.

Król ks. M. Sieroty Zebrzydowskiego. Powieść. Tarnów 1876.

Zaleski Bronisław. Z życia Litwinki. Poznań. Żupański. 1876.

Kraszewski I. J. Powieści historyczne. Stara Baśń. Powieść z IX wieku. Nakładem Spółki księgarzy warszawskich. Kraków. 1876. 3 tomy.

Lenartowicz Teofil. Wybór poezyj, 4 tomy. Nakładem autora. Kraków 1876. Druk W. Anczyca.

A. E. Odyniec. Listy z podróży. Tom III. Warszawa. Nakład Gebethnera 1876.

Polecać tej pięknej książki niepotrzebujemy; zapisujemy tylko z radością, że budzi nadzwyczajne i powszechne zajęcie.

Uwaga Redakcyi. O niektórych z powyższych książek podamy później obszerniejszą recenzją. Au-

torowie i nakładcy, którzy życzą sobie, ażeby o dziełach przez nich napisanych lub wydanych podana była recenzja albo przynajmniej wzmianka, zechcą w interesie własnym nadesłać 1 egzemplarz Redakcyi (ul. Grodzka 58).

II. FRANCUSKA.

Claudio Jannet. Les Etats-Unis contemporains ou les mœurs, les institutions et les idées depuis la guerre de la sécession. Paris E. Plon. 1876.

Przed przeszło czterdziestu laty Tocqueville w swej niezrównanej pracy: *La démocratie en Amérique* przedstawił nam obraz pełen życia i światła demokracji w ogóle, a przede-wszystkiem wzrostu i rozwoju demokracji w Stanach Zjednoczonych. Dzisiaj przy zmienionych czasach i okolicznościach widzimy w wyżej przytoczonej pracy p. Claudio Jannet niby odwrotną stronę tego medalu.

P. Jannet widocznie ze szkoły p. Le Play czasem zbyt może ostro sądzi, zbyt pedantycznie trzyma się teorii Le Playa o hierarchicznym ustroju społeczeństwa, która o ile w ogóle trafna, jest w szczegółach nieraz przesadzoną. Ale z tem wszystkiem *Historya Stanów Zjednoczonych* jest bardzo dobrą i użyteczną książką. Wiele można się z niej nauczyć, a przede-wszystkiem tej prawdy, że społeczeństwo nie mając żadnych wyższych podstaw, oparte jedynie na wzajemnym interesie, społeczeństwo, którego bogiem jest pieniądz, a jedynym celem wzbogacenie się, prędko bardzo upada i gnije. — Tocqueville mógł jeszcze wierzyć w przyszłość tego społeczeństwa, ale potrzeba było tylko jednej wojny, ażeby cały stan rzeczy się zmienił. Podstawy moralne, które utrzymać starali się założyciele niepodległości amerykańskiej, runęły już, a z niemi poszły w zapomnienie i dawne zwyczaje, obyczaje i instytucye. Niedawno jeszcze młode, społeczeństwo amerykańskie prędko zgrzybiało, a bodaj czy ma dość w sobie żywiołów do nowego odzicia i odmłodnienia.

Rimbaud Alfred, *la Russie épique. Etude sur les chants héroïques de la Russie, traduites ou analysées pour la première fois.* Paryż 1876.

Rosya od początku tego wieku posiada drukowane zbiory epickich pieśni *bylinami* zwanych Kirsza Daniłowa, Rybnikowa, Kirejewskiego i Hilferdinga, oraz wiele opracowań i studyów. Atoli w całej zachodniej Europie dotąd nader mało zważano na ten dział rosyjskiej literatury, dla tego uznania godną jest praca p. Rimbaud, znanego już na polu badań rzeczy rosyjskich, który przez tłómaczenia i rozbiór znaczną część potę-

żnego materiału uczynił przystępną i wyjaśnił czytającej publiczności Zachodu. Dzieło rozpada się na cztery części: I epopeja legendarna, czyli ściśle narodowy obszar podań kijowskich i nowogrodzkich, II epopeja historyczna (pieśni o Igorze i inne z XVI—XIX wieku), III epopeja przychodnia, czem objęte są wędrowne baśnie, podania i kościelne legendy, IV epopeja małosruska. Autor oparty na badaniach rosyjskich raczej referuje i własnych teoryj nie stawia.

Choisy Aug. ingén., l'art de bâtir chez les Romains. Paris 1875.

Technik z powołania udziela nam w tem pysznem dziele wyniki swych badań nad głównymi zabytkami budownictwa starych Rzymian. Zajmuje on się technicznymi środkami rzymskich murarzy, a zatem nie tyle artystyczną co rzemieślniczą stroną architektury starożytnej. 24 wybornie rysowanych, przez różnych artystów sztychowanych tablic i 100 wśród tekstu rozdzielonych drzeworytów objaśnia i zdobi dzieło.

Rocquain Fél., Napoleon I et le roi Louis d'après les documents conservés aus archives nationales. Paryż 1875.

Od czasu wyjścia dzieł Lanfrefya, Barnyego, Charrasa i t. d. już i w samej Francyi rozpowszechniło się przekonanie, iż aureola, jaką wielbiciele otoczyli postać Napoleona, pod niejednym względem jest złudną. Teraz widzimy dla czego listów króla Ludwika holenderskiego do cesarza nie pomieszczono w owej *Correspondance de Napoleon I*, która miała uświetnić imię cesarza, a która mimo zręcznych opuszczeń i tak nie całkiem zakrywa brzydkie rysy jego charakteru. Tu już wyjawia się niemoralna prawdziwie strona jego ambitnego umysłu. Brutalność, jakiej od cesarza doświadczała Holandya i jej nominalny król, przechodzi wszelkie wyobrażenie, a rezygnacya tego króla okazuje się nie wynikiem woli własnej, lecz wymuszona użyciem wprost zbrojnej perswazyi. Listy te sięgają od roku 1806 aż do zrzeczenia się króla Ludwika r. 1810.

III. ANGIELSKA.

William Stigand: Life, works, and opinions of Heinrich Heine. London 1876. Longmans, Green et Comp. 900 str.

Pochlebia narodowej dumie Niemców, że Anglicy zaczynają się zajmować nawet drugorzędnymi ich poetami i przyznają, że Stigand (konsul angielski w Boulogne) rozumie poetę i zna rzecz dokładnie. Nie mogą mu jednak darować dość nieprzychylnego dla nich usposobienia. I tak chcąc wytłómaczyć Anglikom, dla czego Heine bywa czasami nieokrzesany i wyuzdany, prosi ich, żeby nie zapominali, że Heine pisał nie dla Anglików, lecz dla publiczności niemieckiej, która, „jak powszechnie wiadomo,“ odznacza się „brakiem wiary, dzikością

obyczajów i smaku i której rząd w rzeczach wiary daje się powodować zwolennikom Feuerbacha i D. F. Straussa.“ Połowę tej sporej książki zajmuje przekład poezyj Heinego, nie zbyt dobry.

IV. NIEMIECKA.

Berühmte Liebespaare. Neue Folge. Von Fr. v. Hohenhausen. Leipzig. Bernhard Schlicke. 1876.

W tej nowej seryi obrazów biograficznych, zalecających się treścią i formą, przedstawiona jest miłość wielu znakomitych osób, między innemi: Fryderyk W. i tancerka Barberina; hr. Walewski i Rachel Felix; Goethe i Minna Herzlieb; Alfred de Musset i Georges Sand; lord Byron i lady Karolina Lamb; Ludwik XIV i wdowa Scarron.

Aspasia. Ein Künstler- und Liebesroman aus Alt-Hellas von Robert Hamerling. Hamburg. Richter. 1876.

Pierwszy ten romans znanego poety co do osnovy nie jest bez zarzutu i nie wiele nowego podaje; zwrócił jednak na siebie uwagę pięknoscą języka, bogactwem myśli i obrazów. Pomimo starań autora, ażeby dla sławnej kochanki Peryklesa sympatya czytelników pozyskać, trudno uwielbić kobietę, dla której prawem najwyższem jest piękność, rozkosz i używanie. W obrazie świata starożytnego pominął autor to, co stało się przyczyną jego upadku.

Franenstädt Juliusz, Neue Briefe über die Schopenhauer'sche Philosophie. Lipsk 1876.

Pod tym tytułem wydał autor, znany rozpowszechniacz zasad Schopenhauera, nowe dzieło w tym samym przedmiocie, które jednak od poprzednich „Listów“ z 1864 znacznie się różni. Już to nie owa bezwzględna uległość, lecz krytyka nauk mistrza. Wprawdzie ma ona służyć do „ułatwienia czytelnikowi Schopenhauera zrozumienia zasad jego,“ lecz sam mistrz gdyby żył, podobno nie bardzo byłby zadowolony z tego apostoła, zwłaszcza, że egzegeza teoryi jego, krzywiąca wiele jejże podstaw, sama nie jest wolna od ważnych sprzeczności. Książka ta wszakże interesuje jako dowód odstępstwa, które spotyka Schopenhauera nawet od najwierniejszego z uczniów.

Döllinger, Ungedruckte Berichte und Tagebücher zur Geschichte des Concils von Trient. Oddział 1 i 2. Nördlingen 1876.

Pomimo ukazania się w ostatnich czasach wielu publikacyj odnoszących się do historyi soboru trydenckiego, jak Sickela, Calenzia i Theinera, wiadomem było, iż we włoskich zwłaszcza archiwach jeszcze wiele skarbów było do odszukania i te Döllinger w znacznej części teraz wyzyskał. Książka jego po wstępie rozbierającym dotychczasową historyografią tego soboru,

przytacza cały szereg aktów nowych i nieznanych, szereg, który jeszcze nie jest ukończony.

Kahl Wilhelm, über die Temporalien sperre besonders nach bayrischem Kirchenstaatsrecht. Erlangen 1876.

Niniejsza rozprawa habilitacyjna, wkraczająca głęboko w Kulturkampf i dzisiejszy ruch umysłów w Niemczech, stara się dogmatycznie uzasadnić istotę odejmowania temporaliiów, przechodzi dzieje tej instytucji i zastanawia się nad jej zastosowaniem obecnem w Bawaryi.

V. FLAMANDZKA.

Historia szkoły malarskiej w Antwerpii. Na pracę pod tym tytułem rozpiśało miasto Antwerpia konkurs do 15 maja 1877, celem uczczenia 300 letniej rocznicy urodzin Piotra Pawła Rubensa (ur. 28 czerwca 1577). Dzieło ma obejmować najmniej 400 str. in 8vo i ma być pisane w języku flamandzkim. Nagroda 3000 franków i 50 egzemplarzy dzieła.

VI. SZWAJCARSKA.

Briefe denkwürdiger Schweizer. Lucern. Gebr. Räder 1875.

Zbiorek ten poświęcony szwajcarskiemu towarzystwu badaczy historii w dzień zgromadzenia dorocznego w Lucernie (d. 13 i 14 września 1875), a wydany staraniem Dr. T. Liebenaua archiwisty lucerneńskiego, zawiera 37 luźnych listów ludzi z najrozmaitszych zawodów i z najrozmaitszych epok (1267—1851). Jeden list pisany po włosku, dwa po francusku, tyleż po łacinie — reszta po niemiecku. Niektóre są dość ciekawe. Wilhelm *Tugginer* zdaje sprawę o śmierci Karola IX, którego był świadkiem. Ludwik *Ffeiffer* pisze (d. 24 września 1567) o wojnie Hugenotów. „Landamann“ Melchior *Lussi*, poseł na sobór trydencki, opisuje między innemi „wspaniały wjazd poselstwa polskiego“ i z niechęcią i goryczą mówi o pretensyi poselstwa bawarskiego, które przed szwajcarskiem pierwszeństwo mieć chciała i w ogólności o sporach o pierwszeństwo. Inne listy pisali Jörg *Tschudi*, J. C. *Kopp*, J. G. *Müller*, H. *Zschocke* i t. p.

(Revue des Questions Historique X. 4. Literarisches Centralblatt Nr. 27 u. 28. Magazin für die Lit. d. Aus. Nr. 27 u. 28).

Przegląd polityczny.

Kraków 30 lipca.

Ktoby chciał zapisywać skrupulatnie wszystkie wypadki ubiegłego miesiąca, a zwłaszcza wszystkie jego zmieniające się co chwila przewidywania i wyrachowania, wszystkie głosy dzienników i wszystkie obawy opinii przerażonej wybuchem tego wulkanu, który się nazywa kwestyą wschodnią, ten miałby już dość materyału na spory tomik współczesnej historyi. Przejście granicy tureckiej przez Serbów i Czarnogórców, niepewne wiadomości z pola walki, w której obie strony przypisują sobie ciągłe zwycięstwa, kiedy obie zdają się nie posuwać naprzód: Węgry zaniepokojone możliwością słowiańskiego państwa w swoim sąsiedztwie, Kroacya i Czechy patrzące na tę możliwość z gorącym pragnieniem, niespokojność giełd, niespokojność dzienników zwłaszcza wiedeńskich, z których jedne odgrają się Rosyi i pragną krucjaty nowoczesnej w obronie Mahometa, drugie rozważają różne pro i contra zaboru Bośni przez Austryą, pogłoski o niedoleżności i blizkiej abdykacyi nowego sułtana, dążenie Wołoszczyzny do wydobywania się z tureckiego lennictwa, urlop i wyjazd ambasadora rosyjskiego ze Stambułu — wszystko to pomieszczone z sobą, przewalające się bezładnie jedno przez drugie, oto elementa tego chaosu, oto mgliste, zamazane, a bardzo zapchane tło, na którem rysowały się w liniach również niewyraźnych i nieśmiałyich główne sceny „naszego widzenia“ w ciągu tych ostatnich kilku tygodni. Te zaś sceny, te punkta główne, które głównymi zostaną i później, kiedy z chaosu

ułoży się porządnie ugrupowany obraz, ta postawa Anglii tak śmiała i energiczna, że wygląda prawie jak „przebudzenie się lwa,” tego strasznego lwa Brytańskiego, który niegdyś przemawiał przez usta Elżbiety, Cromwella i Pitta, a w ostatnich czasach mruczał spokojnie i cicho jak zasypiający domowy kot przez usta Palmerstonów, Russellów i Gladstonów, że aż ludzie w siłę jego głosu i w bystrość jego wzroku wierzyć przestali. Drugim punktem jest widoczne zakłopotanie Austrii i widoczne w pierwszej chwili przerażenie Rosyi zaskoczonej wypadkami, nieprzygotowanej na tak stanowczy opór ze strony Anglii, przerażenie widoczne i w postępowaniu rządu i w postawie dzienników. Wreszcie z tych dwóch niepewności, z tych dwóch zakłopotañ czy zastraszeñ, wynika punkt trzeci, najważniejszy i najstalszy może moment w wypadkach tego miesiąca, bo stanowiący o wypadkach dalszych, nie na długo zapewne ale znowu na przeciąg najbliższych miesięcy, zjazd dwóch cesarzów w Reichstadt.

A to wszystko, to ostatnie zwłaszcza, jakżeż znowu niejasne i niepewne, jak niezdolne wypadkami ovladnąć i pokierować, jak nieprzydatne do tego, żeby być podstawą czy trwałej polityki, czy tylko przewidywań i kombinacyj! Jasnem i wyraźnem w tym zjeździe Reichstadtzkim jest tylko to, że dwa mocarstwa, które na Wschodzie mają interesa wprost sobie przeciwne, które na tem polu nigdy porozumieć się i w zgodzie być nie mogą, w tej chwili tak obawiają się wojny, tak jej nie chcą, a tak czują jej nieuniknioną konieczność, że nie wiedząc już, jak tej konieczności uniknąć, rzucają się sobie w objęcia i przyrzekają sobie wzajemnie nie robić nic, stać na miejscu, bo każdy ich krok mógłby a raczej musiałby doprowadzić je do zderzenia. Jedno i drugie państwo znalazło się w tem dziwnem położeniu, że na swoich naturalnych sprzymierzeńców w tem dziele zażegnania wojny liczyć nie mogło. Dla Austrii sprzymierzeńcem takim w sprawie wschodniej była Anglia, ale ta trzyma rękę na rękoiści i gotowa pałasz z pochwy wyciągnąć. Rosya sprzymierzeńców takich miała w Słowianach, ale dla tych trzebaby zaraz wyjść w pole; w Prusach, ale na te liczyć nie można, bo pod pozorem, że same nie są bezpośrednio w grze interesowane, rade są zostawić sprzymierzeńca w odosobnieniu i z gorszymi kartami w ręku. Kiedy więc nie dało się dojść do celu, do usunięcia wojny, odłożenia jej na potem, za pomocą sprzymierzeńców, cóż pozostało? nic, tylko próbować szczęścia u przeciwnika. — „Ty chcesz końca Turcyi, masz chętkę na Konstantynopol, popierasz Serbów, dostarczasz im broni, pieniądze i oficerów? — A ty się tego wszystkiego boisz i nie chcesz ani mnie w Stambule, ani silnego serbskiego państwa obok swoich Kroatów? — A więc powinniśmy się bić?” —

„Prawda. Ale gdybyśmy się bili, ja nie wiem, czy zwyciężę.— „Ja także nie.“ — „A więc kochany nieprzyjacielu, dajmy sobie pokój, nie bijmy się, i bądźmy przyjaciółmi aż do czasu, kiedy jeden z nas nabierze pewności a przynajmniej nadziei, że zwyciężyć i na swoim postawić potrafi.“ — „Dobrze, uściskajmy się.“

Oto zjazd Reichstadtzki, po którym obie strony obwieściły Europie pokój, ciesząc się, że „tout est pour le mieux dans le meilleur des mondes.“ Czy szczerza ta uciecha? Wątpimy, żeby którykolwiek z naturalnych urodzonych przeciwników w kwestyi wschodniej łudził się na prawdę nadzieją trwałego pokoju, choćby tylko nadzieją utrzymania tego pokoju udanego, jaki był przed wybuchem wojny serbskiej. Temu wierzymy chętnie, że ona, jeżeli jak się zdaje, skończy się zwycięstwem Turków, będzie pewnym derywatywem, klapą bezpieczeństwa, konduktorem odciągającym piorun wojny powszechnej, i że jeżeli Turcy stłumią powstanie w Bośni a dojdą do Belgradu, Austria wtedy wda się w sprawę Serbii i Czarnogóry, nie da naruszyć ich granic ani ich półniepodległości, i powie wtedy: „Nie zagrzewałam was do wojny, nie robiłam wam obietnic, ale ratuję i oddaję wam to przynajmniej, coście mieli, a coście przez własną nieostrożność i obce namowy stracić mogli.“ Plan taki byłby zrozumiały i rozumny, logicznie dobry, poprawiałby stanowisko Austrii w południowej Słowiańszczyźnie a podkopywałby tam stanowisko Rosyi; ale nieszczęściem rzeczy trafne i słuszne w logice, nie zawsze są dobre w praktyce, i gdyby nawet plan taki się powiódł, gdyby przyszedł do materialnego wykonania, to skutki jego, wątpimy, czy byłyby takie, jak się to zdaleka przypuszczać daje. Ludy, które zdawna do zupełnej niepodległości i wielkości tęsknią, które niedawno wierzyły, że ją osiągną, nie wracają ani chętnie ani łatwo do roli małego lennika; za uratowane dobro swojej dawniejszej odrębności wdzięczne nie będą, wszystko, co nie jest niepodległością zupełną i rozszerzeniem granic, będą sobie miały za upokorzenie i krzywdę, i patrząc zawsze krzywo na Austryą za to, że tylko ich byt dzisiejszy ocaliła, będą zawsze marzyły o czemś więcej, zawsze czekały dobrej pory do urzeczywistnienia swoich marzeń. Do tych marzeń i pragnień Rosya przemówi znowu, kiedy tylko zechce, kiedy się uzna gotową do wojny; Słowianie zapomną, że ich tym razem zawiodła, usłuchają jej obietnic, i powtórzy się znowu ta sama sprawa, tylko wtedy już się nie zakończy bratnim uściskiem dwóch cesarzów w Reichstadt.

Dość powszechnie pojmują u nas dzisiejsze wypadki na Wschodzie jako porażkę, nieledwie jako klęskę polityki rosyjskiej. My tymczasem nie widzimy dotąd, żeby wypadki te

obracali się na jej szkodę, ale raczej obracają się na jej korzyść. Że Rosya zniosła dotkliwe upokorzenie, kiedy rozniciwszy powstanie w Bośni i Hercegowinie a wojnę w Serbii i Czarnogórze, cofnęła się przed groźną postawą Anglii, to pewna. Przyznała się tym sposobem do tego naprzód, że przez swoich dyplomatów w Londynie i Konstantynopolu źle była o sytuacji politycznej uwiadomiona, powtórę przyznała się, że nie była gotową, że dziś nie była na siłach do prowadzenia wojny. Takie „confiteor“ dla żadnego państwa, a dopiero dla tak wielkiego, i tak pełnego miłości własnej, tak bardzo lubiącego drugim imponować, miłem być nie może. Powtórę, mogła zaszkodzić sobie u Słowian południowych; szkoda łatwa do naprawienia, ale zawsze jakaś. Wreszcie, aż do zjazdu w Reichstadt była w położeniu trudnem, bo zdawała się zupełnie odosobnioną w Europie. Ale to wszystko są nieprzyjemności chwilowe, upokorzenia miłości własnej, nie rzeczywiste porażki polityki rosyjskiej lub szkody dla rosyjskich interesów. Na ostatnie, na owo odosobnienie, poradziła ona sobie już zrećnienie i prędko tem przeciwnem naturze ale na razie bardzo potrzebnem i przydatnem porozumieniem z Austryą. Drugie, wpływ i popularność u Słowian, jeżeli nawet straciła na teraz, to odzyska, kiedy zechce, robiąc im te same co teraz obietnice a dotrzymując ich lepiej niż teraz. W tem zaś odłożeniu wojny na później ma ona korzyść rzeczywistą, korzyść ogromną, tę, że zyskuje na czasie, że może swobodnie gotować się do wojny i podnieść ją w chwili, kiedy jej to dogodnem będzie. Wszystko, aż do przebiegu wojny, aż do zwycięstw tureckich, zdaje nam się owszem obracać na korzyść Rosyi. Czy kto myśli, że tryumf Serbów i Czarnogórców byłby jej tak bardzo na rękę? że jakieś silne państwo słowiańskie, jedno lub więcej, powstające na południu, a powstające samo, bez niej, o własnych siłach zwyciężające Turków, zdolne utrwalić się i żyć, oparte o Bałkany jak o fortecę a dochodzące do Bosforu i do Adryatyku, wchodzi w jej zamiary i godzi się z jej pragnieniami? Co za naiwność! Byłoby tak może, gdyby Rosya robiła, co mówi, gdyby występowała w obronie krzyża przeciw księżycowi, cywilizacji przeciw barbarzyństwu, wolności i prawa przeciw gwałtowi i prześladowaniu, byłoby tak, gdyby Rosya była Polską. Ale kiedy jej chodzi o plemienne zjednoczenie całej rasy słowiańskiej, żeby nad całą zjednoczoną sama panowała, i o posiadanie Bosforu, to oczywiście Serbia czy Czarnogóra, Bośnia czy Bułgaria, dość silna na to, by się na niepodległość wybić i rozszerzyć mogła, by mogła utworzyć w Europie nowe państwo, Turków wypędzić i zająć Konstantynopol, byłaby dopiero klęską prawdziwą, klęską stanowczą, niepowetowaną i na wieki dla Rosyi, dla jej polityki, dla jej interesu, dla

jej wielkości marzeń o panowaniu nad światem przez panslawizm i tureckie morza. Bo wtedy kwestya wschodnia byłaby rozwiązana i skończona; nie byłoby ani pozoru mieszania się w te sprawy ani nadziei zdobyczy; dla Słowian niepodległych, ukonstytuowanych w państwo, nie byłoby potrzeba Rosyi, jej pomocy i jej interwencji, a każdy najmniejszy jej krok w tę stronę byłby krokiem do nieprzyjaźni i wojny. Rosya straciłaby w takim razie całą swoją racya bytu na Wschodzie, całą podstawę i nadzieję swojej polityki, cały pozór, a na długo, jeżeli nie na zawsze, cały cel działania. Tego ona nie chce. Słowiańszczyzna wiecznie pragnąca, tęskniąca i burząca się, wiecznie uciśniona i prześladowana, wiecznie pobita, a słaba, niezdolna sama dać sobie rady, a przeto zwracająca ku niej oczy i pozwalająca mieszać się w sprawy wschodnie w imię i wiary prawosławnej i głosu krwi słowiańskiej, i uczuć ludzkości i cywilizacyi — to jej ideał, to jej potrzeba, to narzędzie jak żadne do osiągnięcia celu. Słowiańszczyzna zwycięzka, niepodległa i silna, zaraz przestałaby być narzędziem, a wtedy cel usunąłby się gdzieś tak daleko, że może nigdy osiągnąćby się nie dał.

Dlatego zdaje nam się, że jeżeli rosyjska miłość własna może cierpieć nieco na dzisiejszych wypadkach, to rosyjska polityka i rosyjski interes mogą ich sobie tylko winszować. A polityce tej przyznać trzeba, że zapchawszy się w położenie trudne, zręcznie umiała się z niego wywinać. Pobłądziła zdaje się cała dyplomacya rosyjska: i kanclerz książę Gorczakow, kiedy kwestyą wschodnią rozdmuchał, i generał Ignatieff, kiedy nie widział, co się gotowało w Stambule, i jego londyński kolega hr. Szuwałow, kiedy nie widział, co się działo w *Foreign Office*: ale po tym błędzie i rząd rosyjski i publiczność postępuje zręcznie i naprawili już znaczną część tego, co było zepsute. Rząd przez zjazd w Reichstadt, przez to, że zyskał na czasie a uniknął i wojny i odosobnienia: publiczność i dziennikarstwo przez to, że nie ustają w sympatyach dla Słowian i grają tę rolę, której rząd w tej chwili musiał zaprzestać: zastępują go nad Dunajem, a zarazem oddają mu tę usługę, że on może wskazywać Europie tę wzburzoną opinią, ukazywać się gwałtownie partym do wojny, przesadzać zasługę swoją w utrzymaniu pokoju, i wreszcie domagać się jakiejś satysfakcyi, jakiejś korzyści, koniecznej dla uspokojenia narodu, doprowadzonego do największej namiętności widokiem cierpień braci po krwi i po chrzcie.

O ile więc z końcem zeszłego miesiąca, po owej rewolucyi w Konstantynopolu i po śmierci niesławnej pamięci sułtana Abdul-Azisa, położenie Rosyi wydawało się bardzo trudnem, o tyle w ciągu tego miesiąca przez własną jej zrę-

czność i przez wypadki poprawiło się ono znacznie, a zjazd w Reichstadt wyszedł niewątpliwie na jej korzyść. Pragniemy bardzo, iżby to samo dało się słusznie powiedzieć o drugiem państwie reprezentowanem przy tym zjeździe: pragniemy, ale nie jesteśmy bez obawy, żeby to, co Rosyi wychodzi na dobre, nie wyszło w tej samej mierze na złe Austrii. Wojny wprowadzie podobno w tym roku nie będzie: to zawsze coś, to dobrze: ale jeżeli ona odłożona tylko, czy zwłoka ta będzie z pożytkiem Austrii? czy ci, z którymi ona miałaby wojować, nie prowadziliby jej w lepszych warunkach? czy całe zachowanie się Austrii w tej sprawie nie dowodzi jakiejś zgubnej zawsze niejasności pojęć a chwiejności woli? a daj Boże jeszcze, by nie dowodziło przynajmniej jakiejś w rządzie samym niejedności i pojęć i woli! Minister spraw zagranicznych występuje zawsze i aż zanadto ostentacyjnie w roli przeciwnika Rosyi, jedzie do Reichstadt w usposobieniu tak śmiałym i stanowczym, jak żeby w jego „attyli“ był tylko jeden fałd, ten, w którym siedzi wojna: a tymczasem cesarz wyjeżdżając z Reichstadt zwiastuje pokój. Stało więc jakieś porozumienie? Więc ktoś w czemś ustąpić musiał? Ale kto? i w czem? Pierwsza zapewne ustąpić musiała polityka ministra spraw zagranicznych, ale czyjej i jakiej, i do jakiego stopnia, i czy polityka austriacka nie ustąpiła za wiele? To najsmutniejsze, i to może powód główny tej niejasności w dzisiejszem położeniu Austrii, że szamocze się w niej polityka węgierska z rosyjską, z ubocza porusza ją i niemiecka, a odzywa się nawet turecka za austriacką przebrana, a najmniej widzi się i poznaje politykę austriacką. Węgierska, jak od lat dziesięciu ciasny zawsze obejmowała horyzont i w sprawach wewnętrznych monarchii widziała zawsze tylko chwilową dogodność czterech milionów Madjarów, tak i teraz, jeżeli jej pozostawioną będzie decyzja, gotowa w rozwiązaniu sprawy wschodniej widzieć tylko niebezpieczeństwo państw słowiańskich w sąsiedztwie Węgier, a nie zdobędzie się na kombinacyą taką, któraby zapewniła i utrwaliła wpływ Austrii na południowym Wschodzie Europy: nie zrozumie tego, że celem jest przewaga Austrii na Dunaju i nie dopuszczenie żadnego silnego państwa do panowania nad jego ujściami, będzie pamiętała tylko o tem, żeby Krowaci albo Słowency albo którzykolwiek inni nie doszli z czasem do równego Węgrom znaczenia. A gdyby nie ta ciasna i krótkowidząca węgiersko-niemiecka polityka w sprawach wewnętrznych Austrii, fałszywa jak zazdrość a niepłodna jak samolubstwo, gdyby nie dualizm i nie wszystkie jego skutki, możeby dziś Austria nie obawiała się tak bardzo, że sprawa słowiańska rozwiąże się na korzyść Rosyi, możeby sama sprawę tę mogła wziąć w rękę, możeby Słowianie

południowi od niej rozwiązania tego oczekiwali. Kiedy mniemani ludzie stanu mówią, że dobra polityka patrzy na dziś tylko i na najbliższą korzyść lub wygodę, mówią jak dzieci albo ślepi. Kto dalej nie patrzy a wypadków przewidywać i uprzedzać nie umie, ten wygodzie dzisiejszej poświęca swoje przyszłe bezpieczeństwo, i w dzień, kiedy przychodzą wypadki łatwe do przewidzenia i konieczne, bo wynikające z natury rzeczy, on wobec nich znajduje się w położeniu trudnem, jest nieprzygotowany, bezsilny, jeżeli nie z góry pobity, dlatego, że o nich zawczasu pomyśleć nie chciał lub nie umiał. Nie chciała Anglia nigdy podciąć nóg Rosyi, ma teraz niebezpieczeństwo w Konstantynopolu i na granicach Tybetu: oby to samo nie sprawdziło się na Austrii i na tej polityce węgierskiej i niemieckiej, która w niej rządzi. Inna znowu, która nie rządzi jeszcze ale rządzić by może nie chciała, zapomniała wiele, nie nauczyła się niczego, wierzy zawsze w święte przymierze, w legitymizm księcia Metternicha i cesarza Mikołaja, i pomimo, że Prusy dążą do zjednoczenia wszystkich krajów niemieckich, Rosya do pochłonięcia wszystkich plemion słowiańskich, wśród czego oczywiście na Austryę miejsca już nie zostaje, ona marzy naiwnie o ocaleniu Austrii przez rosyjskie przymierze. Ta, gdyby broń Boże do władzy przyszła, dałaby się uwieść do jakiejś interwencji, i doprowadziłaby Austryę do tryumfów takich, jak polityka hr. Mensdorffa w księstwach Nadelbiańskich: łatwo-wiernie dałaby sobie narzucić jaką Bośnię lub Heregowinę, za co drudzy oczywiście mieliby słuszne prawo żądać jakiej kompensaty, którejby ona, jak słuszenie, chętnie nie przyznała. Polityka hr. Andrassego ma przynajmniej tę zaletę, że nie dopuszcza do żadnych interwencji: „Occupation veut dire „compensation“ miał się raz wyrazić pan minister spraw zagranicznych, „et je n'en veux pas.“ Epigony świętego przymierza gdyby mieli radzić i stanowić o losach Austrii, możeby nawet tego instynktu nie mieli. Zjawiająca się tu i owdzie po dziennikach pogłoska o przyłączeniu Bośni do Austrii dla nich może nie byłaby bez powabu: Bośnia wydałaby się może łatwym i znacznym nabytkiem, który opłaciłoby się okupić odstąpieniem której z prowincyj austriackich: kompensatą otwierającą drogę, usuwającą ostatnie tamy panslawizmu, w którym utonąłaby musiały i Węgry i Austrya.

Jak ona wybrnie z dzisiejszych trudności? Można było, i było łatwo, uprzedzając je, i zamiast niemieckiej i węgierskiej prowadząc wewnątrz politykę austriacką, to jest i niemiecką, i węgierską, ale i słowiańską. Nie zrobiło się tego, kiedy był czas, dziś zaczynać za późno. Dziś myśleć tylko o tem, żeby w wojnie, która pomimo wszystkich zjazdów zawsze przyjść może a kiedyś przyjść musi, nie dać się po-

bić. Ale jeżeli tym razem Austria jej uniknie, jeżeli uratuje *statu quo* dla Serbii i Czarnogóry, a parę lat czasu spokoju i wolnego działania dla siebie, niechże pamięta, że wyłączenie Węgrów i Niemców w Austrii panowanie toruje drogę jej głównemu nieprzyjacielowi, pansławizmowi, lepiej i szybciej daleko niż przypuszczenie Słowian austriackich do sprawiedliwej miary znaczenia i wpływu: i że to ostatnie mogłoby Austrii dać sposób rozwiązania po swojej myśli tej wielkiej i trudnej i groźnej w Europie kwestyi spuścizny tureckiej.

O naszym do tej sprawy stosunku wspomniał już w zeszycie niniejszym jeden z naszych współredaktorów ¹⁾: możemy zatem pominąć tę stronę rzeczy i skończyć nasz przegląd miesięcznych wypadków: a skończyć najgorszem wspomnieniem, zapisaniem najboleśniejszego faktu. 13 lipca język rosyjski wprowadzony został do spraw sądowych w Królestwie Polskiem. Czego tu więcej żałować, nad czem bardziej się oburzać, sami nie wiemy. Ostatni ślad narodowej odrębności Królestwa oficjalnie zatarty: sądownictwo, które było chlubą i szczęściem tego kraju, przez rozum, przez nieskazitelność, przez szybkie i słuszne sądy, które było zabytkiem dawnej zdrowej i doskonałej administracyi, zawodem, szkołą lub przykładem dla wielu, dla wszystkich rękojmią, bezpieczeństwem i dowodem zdrowia i zdolności narodu, zniesione. Postępowanie prawne, proste, łatwe, jasne i szybkie, ustępuje miejsca zawiłym wykrętom i manowcom formalistycznej procedury rosyjskiej: ludzie zaci, zdolni i zasłużeni, pokrzywdzeni, oddaleni: ci, co w ich miejsce przyszl, choćby najlepsi nawet, nieświadomi stosunków prawnych tego kraju: kraj pozbawiony rzeczy najważniejszej, dobrej organizacyi sprawiedliwości: strony skazane na to, by własnych spraw nie rozumiały i dochodziły ich po rosyjskich instancjach używanymi tam środkami, wskutku tego społeczeństwo całe narażone na demoralizacyą, na oswojenie się z przedajnością, na zubożenie, na zgłupienie w przymusowem oddaleniu od wszelkiej czynności i służby: i to wszystko nie przez pomyłkę i błędne pojęcie rzeczy, ale umyślnie, ze świadomością, z zamiarem, zrobione dlatego, że jest złe i zgubne! I rząd, który tak postępuje, nazywa się rządem? I rząd, który tak postępuje, śmie występować gdzieindziej w obronie prawa i cywilizacyi? I rząd, który tak postępuje, nazywa się śmiało i głośno prawym i chrześcijańskim? A co dziwniejsza, może się nawet uważa za rząd mądry! Czyż nie wie tego, że rząd każdy jest odpowiedzialnym? A nie mówimy tu o odpowiedzialności przed parlamentami, która w Rosyi nie znana,

¹⁾ Patrz: *Po dziesięciu latach*, dokończenie.

ani o odpowiedzialności przed Bogiem, bo ta na tym świecie nie widzialna nikogo tam znać nie straszy. Ale jest inna, polityczna i historyczna, której żaden rząd nigdy jeszcze nie uszedł, i nie było jeszcze w historyi świata tego przypadku i przykładu, iżby rząd jakiś, który umyślnie dezorganizował i rozprzęgał kraj i społeczeństwo, nie podkopał zarazem i siebie.

Od Redakcyi.

PRZEGLĄD EKONOMICZNY.

Jak w polityce pomimo kwestyi wschodniej daje się czuć nieuchronna *saison morte*, a nawet wojna wcale nudnie się wleczce, tak i zresztą w stosunkach ludzkich czas kanikularny wywiera swój wpływ, objawia się pewną ciszą na zewnątrz, lubo wszystkie zwykłe koła maszyny społecznej ruchy swoje odbywają. W czasie kąpeli i villegiatur, kiedy wszyscy chronią się do cienia, kiedy niema nikogo co by bodaj nie wmawiał w siebie, że używa wypoczynku — wypoczywają też i ci ludzie, a tak ich niewielu, którzy w sprawach ekonomicznych coś mogą, coś chcą i na których sprawy te czekają. Lecz i oni czekać muszą, bo w obecnej porze nie mieliby wcale, albo też samych głuchych słuchaczów. Najwięcej, jak u nas, sprawami temi interesowani rolnicy, ignorowaliby w tej chwili, a nawet nie doszedłby do nich żaden głos, żaden projekt — żadnej nawet nie czytają gazety, ani telegramów o wojnie, bo ich wyłącznie zajmuje kwestya bytu — *żniwa*, które się już rozpoczęły na dobre. A jednak nie brak i w tej chwili objawów, które wiele dają do myślenia, dotkliwie dojmują i nie pozwalają spokojnie używać kiefu.

W roku krachu 1873 kosztował talar najwyżej zlr. 1 74 kr. — obecnie w czwarty rok po krachu płać się już zlr. 2. Waluta austriacka w stosunku do złota t. j. do funtów szterlingów, do marek niemieckich i franków spada niesłychanie. Jest to poniekąd protekcya dla austriackiego eksportu, gdy bierze dawne ilości mające znacznie większą wartość, lecz jest to klęska dla ogromnego importu i objawem wcale niepomysłnym sytuacji Austro-Węgier. Podają bowiem wprawdzie jako naturalną przyczynę tego stanu rzeczy deprecya-

cyą srebra wskutek wzrostu produkcji i dowozu tego metalu, lecz gdyby tylko ta przyczyna działała, w takim razie waluta austriacka powinna stać dobrze wobec waluty rosyjskiej również na srebrze opartej. Tymczasem ruble dochodziły już do 1 złr. 74 kr. i utrzymują się ciągle wysoko. Jest to zatem oznaka, że nie spadek wartości srebra, wpływa przeważnie na spadek waluty austr. — lecz że takowa spada wskutek innych przyczyn. Chroniczny i jak dotąd nieuleczalny krach, arcytrudna i niebezpieczna sytuacja polityczna, oto przyczyny braku zaufania do papierów austriackich. To od czego zaufanie zależy, produkcya, rolnictwo, przemysł, nie może w Austrii przyjść do siebie mimo wszelkich recept uzdrowienia (Sanirung) proponowanych przez organa centralistyczne, których atoli rząd żadną miarą akceptować nie może. Zresztą recepty te miały na uwadze załedwo niektóre interesa, niektóre papiery i koleje, domagały się pomocy z góry, lecz istotnych środków ratunku nikt jeszcze nie wymyślił i nie podał. Zaufania wmówić się nie da, pobudzić ruchu kapitałów bez zaufania się nie da, podnosić produkcji bez kapitałów nie można, nie można też i dlatego, że niesłychane zubożenie spowodowało znaczne zmniejszenie się konsumcyi, więc nie ma dla kogo produkować, tem bardziej, gdy mnóstwo wartości z czasów hiperprodukcji dotąd leży, z każdym dniem beczennieje, nie może znaleźć odbytu i bankructwa tak w Wiedniu jak i po prowincjach są ciągle na porządku dziennym. Wogóle ruch przemysłowy na stałym łądzie, prócz Francyi, zatrzymał się; Niemcy wprawdzie nadrabiają miną i wprowadzeniem waluty złotej, lecz o ile w gruncie rzeczy cierpią, dosyć przytoczyć niektóre przykłady. Po kopalniach węgla wstrzymano roboty, bo zapasy nie ubywają, zapasy żelaza sprzedają prawie po cenie produkcji, (z czego atoli Austria wskutek kursów pieniędzy korzystać nie może), największe *werki* i fabryki rozpuściły połowę robotników i robią tylko pół dnia, ceny żywności rosną równolegle z wzrostem nędzy proletaryatu. Tylko kulturkampf galwanizuje sztucznie stosunki niemieckie — lecz pożyczki kolejowej 100 milionów nie zdołano pokryć subskrypcją — przy dotknięciu zatem czuje się chorobę i rany.

Jeżeli dawniej ceny zboża uważano za jednostkę normującą stosunek wartości, to dzisiaj niemniej trzeba zwracać uwagi na dwa jeszcze artykuły jako główne, zasadnicze motory wszelkiego obrotu: żelazo i węgiel.

Co do zboża, wiadomo, że południowo-rosyjskie, od niedawna dowożone koleją i amerykańskie, na olbrzymich nowych przestrzeniach produkowane, robią już europejskiemu targowi ogromną konkurencją. Co do węgla zaś i żelaza do powyższych przykładów dodać tu można jedną liczbę: przywóz t. j. konsumcyi na stałym łądzie żelaza angielskiego, które potrzeby

stałego ładu może w $\frac{9}{10}$ częściach zaspokaja, zmniejszyła się w r. b. do 15 lipca w porównaniu do roku ubiegłego, który był już trzecim po krachu, o 1.058.252 centnarów. Nie potrzeba innego dowodu ogromnej stagnacji.

Z samej Austrii niemniej wymowną będzie inna liczba: od trzech lat zaciągnęła w Czechach własność większa (mająca tam i wiele fabryk) długu hipotecznego 86.000.000 złr., a długu bieżącego wekslowego ma 30.000.000 złr.

Ze sprawozdania rocznego Tow. wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie okazuje się również smutna rzecz: ilość polic asekuracyjnych wzrosła, a równocześnie wysokość ubezpieczonych wartości umniejsza się; coraz więcej ludzi widzi potrzebę ubezpieczenia swojego mienia, ale mienia ogólnego jest coraz mniej!

Jakiż odmienny obraz przedstawia zgębiona Francya. Miliardy jej zadały cios fatalny Niemcom, a ona sama dźwignęła się już pod względem zasobności do niezmiernej potęgi; pomimo nieustalonej sytuacji politycznej kredyt i zaufanie publiczne zdają się nic nie wiedzieć o wczorajszych niedledwie klęskach. Na świeżo rozpisaną pożyczkę 120 milionów fr. podpisano w kilku dniach $6\frac{1}{2}$ miliardów; dochody niestałe w pierwszym półroczu b. r. przewyższyły preliminarz o 70 milionów! Najbogatszy to w Europie kraj i niestrudzona praca. To też może rząd rzeczypospolitej pozwolić sobie wystawę powszechną w Paryżu, bo Paryż nie przestał być stolicą świata, a niema dnia, żeby duch francuski z nowym jakim nie wystąpił wynalazkiem, które światu całemu okazać można, a które potem Niemcy rozdrabniać i przerabiać będą.

Wracając do Austrii ubolewać trzeba nad ekonomicznem i finansowem gospodarstwem, w którym dosłownie lewa ręka nie wie co robi prawa. Stwierdził to sam p. minister Depretis wobec deputacyi galicyjskiej w sprawie cła zbożowego. Deputacyą wysłały Izby handlowe oraz Towarzystwa rolnicze, które również uznały, że cło przywozowe od zboża na granicy Galicyi rolnictwu galicyjskiemu nie pomaga, a handel zbożowy i młynarstwo rujnuje. Przedstawiono p. ministrowi „proceder, jakiego rząd węgierski używał dotychczas: że mimo ograniczającej taryfy cłowej pomagał młynom węgierskim, mianowicie peszteńskim ułatwiając im sprowadzanie zboża rumuńskiego lub rosyjskiego w ten sposób, że im wolno bez poprzedniego podawania do władz sprowadzać zboże zagraniczne za złożeniem kaucyi, która zwracaną bywa, jeżeli w ciągu sześciu miesięcy, a w niektórych wypadkach i po dłuższym terminie 77% maki za jeden centnar cłowy zboża przez którykolwiek urząd cłowy wywieziono.“ Młynom naszym odmawiano dotąd tych ułatwień uzasadnionych i dozwolonych w ordynacyi cłowej. Pana ministra *zadziwiło* to postępowanie rządu węgierskiego wypytywał czy tylko pewnem jest, że się tak dzieje — co

mu też udowodniono i w osobnym memoryale wyłuszczone. Węgrzy uwolnili już swoją granicę od cła zbożowego konwencją rumuńską, mimo to domagają się zatrzymania tegoż cła na granicach Galicyi, z czego się pokazuje, że uważając się za zupełnie odrębne państwo dbające tylko o swoje specyficzne interesa, chcą niedopuszczać konkurencyi sąsiedniego państwa a raczej jednej jego prowincyi Galicyi.

Sprawy te zależą od losów wiszącej ugody węgierskiej — tymczasem zaś po wprowadzeniu konwencji handlowej rumuńskiej (o której już pisaliśmy) dozna nasz przemysł ulżenia przez swobodę, którą nasze młyny w drodze administracyjnej uzyskają. Jest w Austrii 31.000 młynów, które reprezentują olbrzymi przemysł, — zasługują przeto na względy. Tymczasem dotąd zboże węgierskie było o 70 c. opłaty cła tańsze od naszego, a prócz tego znane transytowe taryfy kolejowe wymyślone na pożytek Prus, dobiły nasz handel zbożowy. W samem Krakowskiem zachwiało się 27 młynów — niektóre likwidują.

Do umniejszania się mienia w Galicyi przyczyniają się też corocznie klęski elementarne, które przy dobrem gospodarstwie alboby się wcale nie wydarzały, albo też doniosłość ich byłaby ograniczoną. Są to mianowicie: powodzie, jako skutek nieuregulowania koryta rzek, a między nimi i Wisły — pomimo ukończonych już w tej mierze rokowań z rządem rosyjskim; tępienie lasów, tak strasznie już wyciętych, przez korniki i inne szkodniki, o czem władze dopiero jak się zdaje po fakcie się dowiadują; a wreszcie pożary. Rokrocznie idą z dymem całe gospodarstwa i krescencye i kilkanaście miast — w ostatnim czasie spłonęły Radziechów, Sokal, Kossów i t. d. Jest to skutek braku na prowincyi wszelkich przepisów budowlanych i braku wszelkich przyborów ratunkowych. Jeżeli u nas dałby się usprawiedliwić przymus ubezpieczeń ognio-
wych, postawienie ubezpieczenia n. p. za warunek wybieralności na wójta, to niemniej władze rządowe i autonomiczne winny energiczniej popierać zaopatrywanie się gmin wiejskich i miejskich w przybory ratunkowe, oraz tworzenie się ochotniczych straży pożarnych, których rozwój wielce jest tamowany brakiem środków finansowych, a które gdziekolwiek już są, znakomite oddają usługi.

Ale czegokolwiek się dotknąć, potrzeba pieniędzy, potrzeba pracy — a tu pieniędzy niema i ludzi niema.

W bankach, w kasach oszczędności są pieniądze leżące, deponują ludzie kapitały obawiając się ich użyć — boją się kredytu — bo czasy niepewne. W filiach Banku Narodowego zdarzają się dnie, że niema ani jednego weksłu do eskontu; co, uwzględniając nawet trudności ograniczające możność kredytu w tym banku, jest niemniej objawem ekonomicznej sai-

son morte. Kasy oszczędności mają gotówki do zbytku, nie wiedzą co z nią robić, znaczniejszych wkładek nie przyjmują — a przecież kiedy szło właśnie w tych dniach o знижение eskontu w Krakowskiej kasie oszczędności, wniosek upadł. Jest to ze strony wielkiego wydziału i dyrekcji kasy oszczędności konserwatyzm wcale nieracjonalny, jest to zajmowanie stanowiska, że tak powiemy przez porównanie, fiskalnego, a ten fiskalizm, tak jak każdy inny jest mylnym. Pochodzi on bowiem ze względu na to, żeby ogólnego rocznego zysku przez знижение eskontu nie zmniejszyć. Okażemy zaraz o ile względ ten jest mylny, lecz najpierw musimy zrobić uwagę, że względ taki przystoi i jest na miejscu w każdej prywatnej instytucji, lecz nie w kasie oszczędności, instytucji publicznej, obywatelskiej, której zadaniem jest: regulować stopę procentową i robić konkurencją in minus bankom prywatnym. Obawę umniejszenia zysków motywują tem, że знижение eskontu pociąga za sobą знижение stopy procentowej od wkładek, więc wkładki się usuną. Otóż najpierw wkładki się nie usuną, bo masa wkładek drobnych, tej podstawy kas oszczędności, nie szuka zysków ale bezpieczeństwa — kasa oszczędności wiedeńska płaci tylko 3% a jest wkładkami mimo to zasypana. Powtóre tańszy eskont podniesie ruch wekslowy i musi się sprawdzić to prawo, którego doświadczyły już wszystkie państwa zniżywszy opłaty pocztowe i telegraficzne, przez co uzyskały właśnie większy roczny dochód. Ilość transakcyj daje rezultat, suma mnóstwa drobniejszych zysków, a nie większy zysk przy niewielu obrotach. I taka też zresztą manipulacja jedynie kasom oszczędności przystoi. Na tem samem prawie polega n. p. konkurencja, jaką robi nafta amerykańska o kilka tysięcy mil sprowadzana naftcie tutejszej: tam jest produkcja en gros, więc drobny zysk, przy olbrzymim obrocie przynosi miliony, podczas gdy u nas produkcja na małą skalę jest droższa i wymaga koniecznie większych zysków, aby nie upaść.

Przypuściwszy zresztą, że większe kapitały zaczną się z kas oszczędności cofać — co w dzisiejszym niepewnym czasie wcale nie jest prawdopodobnem — to cóż ztąd? pozbędą się kasy oszczędności zapasów niepotrzebnych — a nadto przyczynią się do żywszego obrotu bądź to w produkcji samej, do której kapitały wracać zaczną, bądź w obrotach papierów zupełnie i przesadnie zaniedbanych, które znowu nabywać zaczną. Zdaje nam się więc, że takie postępowanie nie przyniosłoby kasom oszczędności żadnej szkody, a postawiłoby je dopiero na właściwem stanowisku instytucyj obywatelskich, rzetelnych regulatorów transakcyj kredytowych.

Wszakże Tow. wzajemnego kredytu zniżyło już eskont na $7\frac{1}{2}\%$ — czyliż nie powinna kasa oszczędności być tutaj pierwszą?

W wydziale kasy przeważają głosy ludzi z zawodu bankierów — i ta okoliczność tłumaczy nam niechęć do obniżenia eskontu. Nieprzeto iżbyśmy ludzi tych posądzali o interesowność, o obawianie się, żeby to obniżenie nie oddziaływało niebawem i na eskont prywatny, więc na ich szkodę; lecz cały horyzont finansowy bankierów, cały zwykły tok ich myśli i zwyczajów idzie właśnie w tym kierunku, który patrzy na największy możliwy zysk przy każdym pojedynczym interesie, który wyłącznie daną chwilę bierze na uwagę, według chwilowego, telegraficznego pulsu postępuje, zmienia taktykę choćby kilka razy na dzień. Jest to właściwe i konieczne dla każdego bankiera — ale dla tego też ludzie ci zasiadając w wydziale kasy oszczędności nie mogą mimowoli wyzuć się z siebie samego i wcielić się w instytucję, która wcale nie powinna być bankierską. Są podobne sytuacje i w innych stosunkach ludzkich. Tak n. p. we Francyi istnieją w każdym departamencie trybunały wybieralne, do rozsądzania polubownego sporów handlowych i przemysłowych — otóż do tych trybunałów *niewolno* wybierać prawników, adwokatów — dlaczego? dlatego żeby zamiast łatwej zgody, nie było długich korowodów i procesów. Zachodzi tu ten sam psychologiczny motyw.

Eskont w Anglii wynosi obecnie między 1 do $1\frac{1}{2}\%$ — toć jeżeli u nas zejdzie na 7 lub 6, nie będzie to jeszcze ani ryzyko ani tryumf, ale będzie zawsze oznaką, że konsulowie czuwają. Zresztą spróbujmy miesiąc, dwa, trzy, a zobaczymy, czy się wypadnie cofnąć, czy pójść dalej.

Szczepański Alfred.

ALEKSANDER FREDRO.

Są osobistości tak wybitne, tak znane, tak zrosłe z życiem narodu, w które współcześni z takim wpatrywali się upodobaniem, że gdy przyjdzie zapisać ich zgon, łatwiej wyrazić własne uczucie, jak powiedzieć coś o nich nowego. Są to postacie. Taką postacią w naszym narodzie był, ba, jest i pozostanie na zawsze Aleksander Fredro.

Tak często każą nam entuzjasmować się dla mierności i pogrobową czią otaczać wrzekome potęgi, na to tylko, aby w żyjących sztuczny obudzić zapał, że gdy rzeczywista strata dotknie społeczeństwo, odczuwa się ją tem silniej, a zarazem przejmuje obawą, ażali zdoła się ją przystojnie opłakać, należycie uczcić, a niespospolitować hołdami, któremi otaczano osobistości dnia jednego i wyśrubowane na chwilę wielkości.

Talent wielki, mąż znamienity, nazwisko starożytne a czynami i dziełami uwiecznione, uznanie i uwielbienie ogółu, wpływ na współczesnych—oto czynniki, które jak zwykle tak i tu, składają się na stworzenie tego, co nazwałem postacią, a co pozostaje chwałą i chlubą narodu. A przecież, gdy mowa o Fredrze, czuje się, że to jeszcze nie wszystko, że się jeszcze czegoś nie wypowiedziało, że w tej postaci jest coś więcej, co ją odróżnia i wyszczególnia, a jest przyczyną tej ogólnej czci, tego współczucia, które na wieść o śmierci tego męża odezwało

się w całej Polsce. To coś więcej, to wdzięk, to urok, na których zbyt często zbywa i najwybitniejszym postaciom, a którymi tak hojnie obdarzonym był Fredro. Bezsilne, czcze i blade są słowa, rozumowania i rozprawy, wobec tej prawdy, że Fredro był postacią uroczą, pełną wdzięku, która przemawiała do wyobraźni i do serc, która miała w sobie siłę magnetyczną, przyciągającą i przywiązującą do niej ogół. Nie ma zakątka ziemi polskiej, gdzieby imię jego wymówione nie rozpromieniło oblicza, nie zaiskrzyło oka polskiego. I jemu jednemu może w naszych czasach danem było, być wielbionym, kochanym, a przecież uniknąć banalnej popularności. Dopełnia to, tak pod względem moralnym jak i estetycznym tej postaci, a w tym delikatnym odcieniu tkwi jakby cząstka tego piękna, którego on w życiu, na scenie i w literaturze był mistrzem. Używał on czci, która sama otacza znakomitość, nie zaś popularności, za którą zawsze gonić trzeba. Gdzie rzeczywista przyczyna tego wyjątkowego niezwykłego uroku? To coś więcej, które przywiązaniem było do osoby Fredry, a które nadaje jego osobistości artystyczne wykończenie, na pozór tylko jest przypadkowem, ma ono zawsze rzetelną, głębszą, moralną przyczynę, jakąś wielką prawdę, która harmonią i świetnością czaruje. Tą prawdą w duszy Fredry, było najszlachetniejsze na tej ziemi uczucie, miłości ojczyzny. Miłość Polski stworzyła i wykuła z jednego kruszcu Fredrę takiego, jakiego wszyscy wielbiliśmy, jakiego podziwialiśmy zawsze, jakiego dziś serdecznie opłakujemy. Miłość Polski kierowała jego życiem, jego czynami, natchnęła jego dzieła; ona wyrzeźbiła artystycznie tę postać a dlatego, że iskrą ożywiającą ją, było tak wzniosłe uczucie, nabrała ona tego wyjątkowego uroku, tego wdzięku i tej przyciągającej siły, która — w narodzie nieskłonny do jedności — złączyła wszystkich w jednym uczuciu czci i uwielbienia. Ta wielka miłość ojczyzny jest przyczyną, że taka sympatyczna harmonia panuje między osobistością a dziełami i że promień poezji spada na tego męża, w każdej epoce jego życia. Ciągłość i nieprzerwalność tego wzniosłego uczucia, rozpoczyna się u Fredry od najmłodszych lat; znalazł on ją w kolebce po zasłużonych i znamienitych przodkach. Kiedy pierwsza a jedynie rzeczywista od rozbioru ojczyzny, zabłysła nadzieja politycznego

uratowania jej, Fredro prawie jeszcze dzieckiem, pospieszył tam, gdzie jej zbawienie i losy zdawały się rozstrzygać. Siła iednego uczucia, byle szlachetnego, dostateczną jest, aby stworzyć poetę. Fredro był poetą nietylko w dziełach swoich, ale także w czynach, był poetą niebędąc marzycielem, tak jak był pełnym wdzięku, nie goniąc za popularnością. Ślad poetyczności tej duszy, tkwi w jej uwielbieniu dla człowieka i epoki wielkich czynów wojennych. Wielki to zaiste był człowiek, do którego dość było się zbliżyć, aby wobec przyszłych pokoleń otoczonym być aurołą poezyi; wielka epoka, do której było dość, nawet w małej części należeć, aby nabrać uroku; ten człowiek i ta epoka na wszystkich współdziałaczy zlewały promienie, przemawiające żywo do wyobraźni ludzkiej. Urok żołnierza napoleońskiego i adjutanta ks. Józefa, nie przestał nigdy otaczać Fredrę, a odrysowywał się z niezrównanym wdziękiem, na jego pięknem czole; w całym życiu, tak jak w każdym jego utworze czuć, że wspaniała epoka piorunujących czynów, niezatarte wycisnęła na nim piętno i stanowcze wywarła wrażenie, które on przekazał potomnym. Nie ma w jego utworach frazesów o Cesarzu, jego zwycięztwach lub klęskach, ale jest w nich żołnierz napoleoński — jest i adjutant ks. Józefa. Z tego pierwszego a silnego wrażenia, pochodzi rycerskość w życiu i rycerskość w komedjach Fredry. Żołnierz przede wszystkim — bo to wyczytać można w każdym jego wierszu — żołnierz nietylko z krwi i kości, ale i z upodobania, Fredro po tragicznem zakończeniu wspaniałej epopei wojennej, porzucił przecież służbę wojskową; nie mogła ona już odpowiadać ani wzniosłemu ani poetycznemu jego usposobieniu, a rzeczywista nadzieja odbudowania ojczyzny spełzła była na niczem. Fredro wraca wtedy do domu przodków i osiada na rodzinnym zagonie. Rzecz godna uwagi, jak wszystkie wznioślejsze natury, silniejsze charaktery i znakomite osobistości czuły zawsze u nas, po wielkich narodowych katastrofach, że w zagonie spoczywało zbawienie ojczyzny, jak wszystkie serca gorąco miłujące Polskę, w zagonie szukały pociechy po gorzkich lub krwawych zawodach i z zagonu starały się wysnuć jakąkolwiek przyszłość.

Wtedy rozpoczyna się owa epoka życia Fredry, w której zetknął się on bezpośrednio z narodem swoim, w której

wywarł na nim znamienity wpływ, sam zajaśniał talentem niezwykłym i jeżeli nie dał początek, to przecież niezawodnie dał rzeczywistą i silną w Polsce podstawę instytucji, zajmującej od niepamiętnych czasów w społeczeństwach niemałe miejsce. Najważniejsza to dla potomnych, najświetniejsza, najdonioślejsza strona żywota Fredry. Za pomocą dzielnego środka — o którym różnić się mogą zdania — stało się to, o czym tylko jedno może być zdanie, stało się to, co się zawsze dzieje z wyjątkowemi, bogato uposażonemi, słowem niepospolitemi osobistościami: — Fredro zaważył w dziejach umysłowego życia narodu. Zapewne nie cały w tem jest Fredro, nie powie się o nim wszystkiego, mówiąc tylko o jego teatrze, ale teatr Fredry dał go nam poznać, przekazał go nam takim, jakiego uwielbialiśmy, a dziś oplakujemy wszyscy.

Nic nie odstręcza bardziej i słusznie natur niepospolitych od teatru, jak przesadne mniemanie o jego znaczeniu, jak fałszywe a zbyt często obłudne stawianie go na równi ze świątynią i z instytucjami wyższego rzędu moralnego. Teatr przecież był, jest i będzie potrzebą ludzkości a dobrze zrozumiany, był jest i nieprzestanie być jedną z jej szlachetnych potrzeb. Są wyjątkowe położenia, w których teatr — jak każdy środek ratunku — byle uczciwie użyty, wyjątkowego także nabiera znaczenia. Tam, gdzie okoliczności, wrogie działanie lub nieprzyjazne wpływy ograniczają życie narodowe coraz ciaśniej — szym kołem; tam, gdzie jedyną podstawą teraźniejszego bytu a przędzą przyszłości, pozostał język a i ten prześladowanym jest w życiu publicznem, tam narodowa ważność teatru wzrasta, bo bezsprzecznie nic bardziej nie ochrania mowy ojczyстей od żywego słowa, a nic bardziej ojczyzny od mowy ojczystej.

Taką dla Polski, szczególnie w Galicyi, była chwila, w której Fredro zaczął pisać i wystawiać swoje komedye. Niewątpliwie tak dzielny, tak samorodny talent, musiał czuć potrzebę stwierdzenia się na zewnątrz; ale nie pomyłę się, wyrażając przekonanie, że znowu tu główną dźwignią, iskrą ożywczą, była głęboka, niczem niezachwiana miłość Polski, chęć służenia jej i ratowania jeżeli już nie materialnego to duchowego jej bytu; widoczną tu jest owa przewodnia nitka, która w harmonijną całość łączy wszystkie epoki ży-

cia i wszystkie strony tej postaci. Tylko gorące uczucie dla Polski mogło wlać tak wyłącznie, tak sympatycznie, tak prawdziwie polskie życie we wszystkie utwory i postacie wskrzeszone lub stworzone wielkim talentem Fredry. Komedyje Fredry są polskie nie patryotycznym frazesem ale treścią; silna ta natura odznacza się jednością tak w życiu, jak w dziełach, blichtr jest jej wstrętnym.

Znamienite dzieła prawdziwego talentu mają to do siebie, że zrozumiały dla ogółu i odczute przez niego, nastrezczają przecież sposobność do nigdy niewyczerpanych uwag i spostrzeżeń. O Fredrze jako komedyopisarzu da się wiele i przez długie lata mówić; niewyczerpany to przedmiot, bo głęboki. Przyznaję jednak, że w tej chwili — nawet gdybym uważał to miejsce za właściwe do krytycznego rozbioru — nie umiałbym nic powiedzieć wobec tego, co Tarnowski na parę miesięcy przed śmiercią znamienitego komedyopisarza, wygłosił przed warszawską publicznością, składając jakby tknięty przeczuciem, wieniec na otwierającym się grobowcu. *Przeгляд Polski* odesłać musi czytelników do tych rozbiorów ¹⁾.

Nie krytyczny więc pogląd na teatr Fredry chcę rzucić, ale raczej wykazać, jak utwory jego natchnione gorącą a zdrową i czerstwą miłością ojczyzny — będąc arcydziełami sztuki — stały się zarazem czynem patryotycznym.

Komedyje i postacie Fredry będąc na wskrós polskiem i to do tego stopnia że, zdaniem mojem, grane być mogą tylko przez Polaków, nie stworzyły w Polsce teatru, który już przedtem tam istniał, ale stworzyły teatr polski, którego nie było. I przed Fredrą były komedyje, były dramata po polsku pisane i grane, były w ustach osób występujących nawet patryotyczne tyrady, ale postacie nie były polskie — były one albo konwencyonalne, albo obce, albo z obcych naśladowane. Fredro stawiając na deskach natury wyłącznie i na wskrós polskie, dał początek teatrowi polskiemu, dał mu racją bytu, dał mu byt rzeczywisty. Od Fredry dopiero i dla Fredry należało brać u nas w rachubę życia społecznego i narodowego teatr, bo już nietylko brzmiały w nim dźwięki mowy ojczystej, ale

¹⁾ *Biblioteka Warszawska* z maja, czerwca i lipca r. b.

wiał z niego duch polski. Nic jaśniejszego nie rzuca światła na tę postać, jak ta polskość jego teatru; po niej dochodzi się do źródła twórczej siły Fredry. Śmiało twierdzić można, że Fredro ochronił teatr polski od nieuniknionego upadku, bo przemienił jego sztuczne życie w rzeczywiste, a bodaj czy nie jego utworom i ich świetnym w Warszawie przedstawicielom zawdzięczamy, że w chwili, w której zawistna i mściwa ręka wszystko waliła i niszczyła, ocalał teatr polski; nie runął, bo stał już na silnej podstawie talentu Fredry, który nawet barbarzyńców czaruje.

Tak więc Fredro i on jeden nie tylko odmłodził, nie tylko urokiem swojego talentu osłaniał, ale przede wszystkim nadał racją bytu teatrowi polskiemu, którego znaczenia narodowego w naszym położeniu nikt nie zaprzeczy. A czy da się obrać, ile on ocalił ducha polskiego, uczucia polskiego, myśli polskiej, temi tysiącami wieczorów, podczas których z komedyj jego tryskały na wszystkie warstwy społeczeństwa duch, myśl i uczucie polskie!? Niewątpliwie w tem długim, mozolnem, szlachetnem dziele, ratowania polskości dla przyszłości, Fredro niepoślednie, jedno z pierwszych miejsc zajmuje, tak siłą swojego talentu, jak siłą swojego uczucia i tą wyjątkową a potężną dźwignią, której on tak biegle a zanie używał. Przed Fredrą teatr w Polsce był aspiracją, dobrą chęcią; on zrobił z niego rzeczywistość. Taka przemiana gdzieindziej miałaby znaczenie estetyczne i umysłowe, u nas musiała mieć wyższe narodowe. Był to jeden z objawów żywotności po upadku; było to owo, jak niektórzy twierdzą — rośnięcie po śmierci paznogci, które my przecież wielce cenić winniśmy, skoro one dotkliwie wrogów drapią i przed wrogami bronić się nam dopomagają.

Fredro tworząc u nas prawdziwą komedią, zetknął nasz naród w tylu innych rzeczach zacofany, ze strefami najwykwintniejszych społeczeństw, bo znamienita komedia wkracza już w owe strefy i daje ich przedsmak ogółowi.

Jest strona teatru Fredry nader dla nas zbawienna. Nasze porozbiorowe społeczeństwo, jak już nieraz zauważano, zanadto, zbyt wiele rozmiłowało się we łzach i lamentach. Nie mogło być inaczej ponieważ, i w tych łzach było wiele szczerych, w tym lamentach wiele prawdziwej i szlachetnej

boleści; skłonni przecież zawsze do przesady, przesadziliśmy i łzami i lamentem i odwoływaniem się do litości i miłosierdzia ludzkiego, staliśmy się beksami, co gorsza, nieraz graliśmy boleść; w tych potokach łez zatopiliśmy niejedną myśl dodatnią, a tym lamentem przygłuszyliśmy niejedno dobre, zdrowe, mądre słowo, wpadliśmy z nich w rodzaj ekstazy, która była poprostu beczynnością, zaczęliśmy wierzyć, że wypłacemy sobie ojczyznę. Smutkiem i żalobą naszą, nudziliśmy nieraz, niecierpliwiliśmy często, a sami miękliśmy w nich i tracili potrzebny w takich, w jakich my znajdujemy się okolicznościach, hart duszy. Tego chorobliwego smutku, tej obfitości łez i ostentacyjnej żaloby, mamy zbyt może liczne ślady w całej porozbiorowej literaturze. Najnieszczęśliwszy naród nie może żyć tylko łzami i westchnieniami; potrzebny i jemu śmiech do zdrowia, ale musi on być szczerym, uczciwym, samorodnym, rodzimym. Twórcą tego porozbiorowego śmiechu był u nas Fredro. Śmialiśmy się i zawsze śmiać się będziemy tym śmiechem, bo jest on na wskrós polskim, bo jest w nim ciepło polskie, bo jest uczciwym, przystojnym, a tem samem zdrowym i dającym zdrowie. Błogosławiony ten śmiech! Błogosławiony jako przeciwważenie owej smutku i łez obfitości; on nas ożywia, elektryzuje, on przypomina nam i świadczy, że żyjemy, bo naród, który tak serdecznym śmiechem się śmieje, nie tylko nie umarł, ale z pewnością nie umiera. Fredro uratował Polskę od ogólnej melanhonii; winniśmy mu wdzięczność chorego dla lekarza.

I zaprawdę śmiech fredrowski ma dla nas większe, głębsze znaczenie; on przypomina nam warunki rzeczywistego życia, on nas odrywa od smętnej a jałowej kontemplacji i zwraca w kolej normalną, ucząc, że nie rozpaczać, ale przedewszystkiem żyć trzeba, będąc narodem. Szlachetny to, nie bezmyślny śmiech, szlachetny, bo źródło jego czyste, krystaliczne. Komedia Fredry jest zabawną i uczciwą, bawi a nie burzy, rozwesela a nie psuje, karci a nie waśni i to nadaje jej drogocenne społeczne znaczenie; jej to niewątpliwie zawdzięczamy że w epoce cynizmu i bezwzględного wyuzdania na scenie, w epoce, w której assafetida zastąpiła sól attycką, mniej lub więcej udatne próby polskiej komedyi, nie wyszły z korbów pewnej przyzwoitości i uczciwości; obchodzą się one wprawdzie zbyt często bez soli attyckiej, ale też

nie używają assafetydy. Tę dodatnią stronę współczesnej komedyi polskiej zawdzięczamy jej pierwowzorowi, i jemu może przypisać należy, że pozioma, obrzydliwa, płaska, zatruta polemika dzienników tegoczesnych nie przerzuciła się na deski naszej sceny. Skromny i niebogaty teatr polski pozostał dotąd, dzięki Fredrze, uczciwym. Uczciwość i moralna wyższość teatru Fredry nienajpośledniejszymi są jego laurami. Należał on do tej silnej i zdrowej generacyi, która umiała nie być nudną, pozostając uczciwą i zacną; najwyższy to stopień artyzmu, ale jeszcze większa zasługa moralna. Fredro jako komedypisarz był zawsze obywatelom, Przejętym on musiał być na wskrós tem uczuciem, skoro sam do końca zachował o niem silne przeświadczenie, którego ślady znajdujemy w pięknym wierszu pozostałym po nim. Możliwość przytoczenia go w całości poczytujemy za zaszczyt dla nas ¹⁾.

1)

STARY ŚPIEWAK.

Nie drwicie sobie z mej starej bandury,
 Że posklejana od dołu do góry,
 Jaki pan, taki kram.
 Nie drwicie sobie, że mój głos już stary,
 Mało w nim sztuki, ale dużo wiary,
 Śpiewam, co w sercu mam.
 Nie łajcieżę mnie, Wy uczone wieszczę
 Jeżeli czasem odezwę się jeszcze,
 Wszakże to cichy śpiew...
 A za dawniejsze, dawniejsze przewiny,
 Żem kiedyś sięgał po wasze wawrzyny,
 Niech zmięknie słuszny gniew.
 Niedgdyś młodemu czucie w piersiach grało,
 Że to natchnienie, zamarzyłem śmiało,
 Nuż śpiewać tak i siak!
 Aż głos wasz zagrzmiął o Mistrzowie sztuki!
 „Cicho z oklaskiem! tu barwy nauki,
 Tu poezyi brak!“
 Wprawdziem nauki nie nabrał w obozie,
 Tam się machało w pospolitej prozie
 Wzdłuż i szerz — jak Bóg dał.
 Chcieć więc być wieszczem bez doktorskiej czapki,
 Zdroju waszego nie łyknąwszy kapki,
 Był to błąd — był to szak.

Lecz nigdy, nigdy, to potomność przyzna,
Fałszu, zawiści, oszczerstwa trucizna,

Nie tknęła moich strón.

Jakiebaż były mej myśli natchnienia,
Zawsze jednako, aż przez dno sumienia

Czysty ich płynął źródój.

Karciłem niemi złych ludzi głupotę,

Kochałem niemi Boga, prawdę, cnotę,

Współbraci i kraj mój!

Pięknie po długim i świetnym zawodzie móźdz to śmiało powiedzieć o sobie! Pięknie, bo prawdziwie. A jaka przestroga, jaka nauka dla myśli i dla ducha polskiego! Nauka i przestroga, które są zarazem pełnem miłości zgromieniem tych wszystkich, co szargają ducha polskiego i myśl polską w fałszu, zawiści, oszczerstwa truciznie... ojcowska rada, aby aż przez dno sumienia, patrzeli na ojczyznę i jej sprawy.

Przytoczony wiersz dotyka nie najmniej ważnej strony życia Fredry, jego zamilczenia.

Ażeby nic nie brakło do świetności, do aureoli tej postaci, trzeba było porwania się na nią zawiści czy też płytkości sądu. Nie zabrakło tego nigdy w naszym społeczeństwie. Czyż

Zamilkłem — milczę — uwierzyłem, wierzę,

Że w niskiej tylko kręciłem się sferze,

Że prac moich lichy plon.

Lecz nigdy, nigdy, to potomność przyzna,

Fałszu, zawiści, oszczerstwa, trucizna

Nie dotknęła moich strón!

Jakie bądź były mej myśli natchnienia,

Zawsze jednako aż przez dno sumienia

Czysty ich płynął źródój.

Karciłem niemi złych ludzi głupotę,

Kochałem niemi Boga, prawdę, cnotę,

Współbraci i kraj mój.

Stłukliście lutnię w mojem młodem ręku,

Niechże przynajmniej bandury pobrzęku

Nie ściga już wasz gniew.

Jeżeli dziś śpiewam, to tylko pacierze,

Za wiernych jeszcze Ojczyźnie i wierze,

Łabędzi to mój śpiew.

może być coś korzystniejszego dla prawdziwej wielkości, dla prawdziwego talentu, jak targnięcie się na niego pseudowielkości i mierności. To jakby kamień probierczy, to ogniowa próba, to cień, który uwydatnia światło. Nie obeszło się bez płytkich, czczych, niedorzecznych a przesadnych krytyk, nie obeszło się bez krytyków, którzy nie tylko zapoznali, ale usiłowali sponiewierać talent Fredry. Powinszować im zaprawdę można znawstwa. Dziś pozostała tylko ich śmieszność, ale wówczas była to bezmyślna śmiałość, która *stłukła lutnię w młodem ręku* jedynego polskiego komedyopisarza. I tu do prawdy podziwiać można siłę niszczącą lub tamującą każdego ujemnego czynnika! Ileżto razy prawdziwy rozum czuje się bezsilnym wobec głupoty, a jak często nad nim odnoszą zwycięstwo niedorzeczność, płytkość i zaślepienie! Są to wprawdzie tryumfy dnia jednego, stykające się ze sromotnym upadkiem, przecież dostateczne, aby spalić, obalić, zniszczyć dzieła mądrości, lub zamknąć usta głoszące prawdę i piękno. Zamknęły one w domowym areszcie złotoustną muzę Fredry i stworzyły na scenie polskiej wielką, niczem dotąd niezapełnioną próżnię. Bujnie u nas kwitnie sztuka dziwaczna, uwielbiania w dziedzinie piękna mierności i nicości, przy zapalczywym ściganiu i prześladowaniu rzeczywistej wartości talentów. W tych nierycerskich turniejach popisywać się lubią, wszystkie a liczne niedorzeczności naszego umysłowego organizmu, wszystkie brudne namiętności naszego charakteru, popisują się one hałaśliwie, gadatliwie a dotkliwie dla dobrej naszej sławy.

Ukłucia szpilek i ukąszenia komarów o tyle mają zapewnione w dziejach miejsce, o ile w nich pozostają ukłuci lub pokąsani. Odmówiono zuchwale a raczej naiwnie wszystkiego Fredrze, odmówiono nawet tego, czem błyszczy na wieki, ducha i treści polskiej, a dziś z całej tej bezmyślnej krytyki, pozostał tylko wielki dla krytykujących wstyd, bo sława Fredry stała się niespożyta. W olbrzymią śmieszność przemienił się dziś wyrok, odsądzający Fredrę od talentu i polskości, a już za życia wielki komedyopisarz srodze pomszczonym został, bo gdy komedye jego coraz wyraźniej wstępowały w szczęsną dziedzinę nieśmiertelności, detraktorów jego i niefortunnych krytyków dzieła, usuwały się w ponurą ciemność zapomnienia, a podczas gdy jego utwory nabierały z każdym

dniem wiecznej świeżości, odgrzewać musiano sławę tamtych przy ogniu agitacyj a na patelni popularności.

Aczkolwiek niedołężne, poziome, niedosięgające wyżyn przedmiotu, krytyki owe zdołały przecież wyprzeć z teatru polskiego muzę Fredry, lecz na sromotne ich upokorzenie próżnię zapełniły tylko te skrytykowane fredrowskie utwory, a przed jego muzą karmioą osem i żółcią, zapalono kadzidła i nieprzebłaganą błagano o przebaczenie. Fredro zamilkł, ale wszystkie polskie teatry trzęsły się od oklasków dla jego komedyi i była to najpiękniejsza zemsta; cóż bowiem piękniejszego, jak oklaskami wysykać dekraktorów.

Nie brakło więc już za życia żadnego rodzaju chwały naszemu komedyopisarzowi; nie brakło mu zaślepionych przeciwników i krótkowidzących krytyków, doczekał się ich poniżenia i starcia, brakło mu tylko pochlebców, bo ich nie potrzebował. A przecież zamilkł skromnie, a ta skromność, czy też właściwa prawdziwym talentom i wykwinntym naturom nieśmiałość, dziś wydaje się i bądź co bądź wydawać się w przyszłości musi wspaniałą dumą.

Zamilkłem — milczę, uwierzyłem — wierzę

Że w niskiej tylko kręciłem się sferze,

Że prac moich lichy plon.

Tak mógł mówić Fredro, ale potomni wobec nieśmiertelnych jego utworów już nietylko wierzyć w to, ale zgoła zrozumieć tego nie będą mogli. To co poeta niewątpliwie szczerze, już bez żalu i żółci powiedział o sobie, wydawać się musi ogółowi najsrozszą ironią, najdotkliwszą chłostą tych, co kiedyś poważyli się wstrzymać lot jego orli.

Dlaczego Fredro zamilkł? Czyż tak prawdziwy, tak samorodny, tak czerstwy a pełen siły talent mógł uwierzyć w swoją nicość, czy powinien był zważać na pisk gadzin krytyki, czyż nie należało mu iść naprzód pomimo, czyż świetna jego fantazyja nie powinna go była porwać i czyż godnem było jego wyższego usposobienia odczuć tak żywo coś tak niskiego; jak mogło coś tak poziomego zatrzymać w biegu coś tak niepospolitego? Są to tajemnice artyzmu i artystycznych organizacji, które szanować należy a nie łatwo profanom zbadać; one są nieodłączne od sztuki i artystów, one są właściwością

ich odrębnego świata. Talent artystyczny, jak wysokich szczytów mięszkańcy, lada czem da się spłoszyć.

Daremna jest chęć wytłomaczenia sobie podobnych zjawisk, lepiej umieć je odczuć. Dość, że na wieczną pamięć zapisać trzeba, że krytyka polska zniewoliła do milczenia jednego naszego komedyopisarza. Jest to najświetniejszy dotąd jej laur. O ile mało mamy w sobie twórczości, o tyle więcej mamy skłonności do zabijania jej lub stawiania jej zapór bezmyślną krytyką. Zamilkł Fredro dla współczesnych, zamilkł dla publiczności. Milczenie było jego jedyną, węzłowatą, jakby napoleońską odpowiedzią; ale siła twórczości nie zamarła w nim, nie zamilkła, tworzył dalej, tworzył dzielnie i zawsze w tej samej myśli.

Jeżeli dziś śpiewam, to tylko pacierze

Za wiernych jeszcze ojczyźnie i wierze

ale w cichości, niemal w tajemnicy, w ukryciu przed profanami i ludzkimi sądami.

Wszakże to cichy śpiew!

Tworzył, bo tworzyć musiał i zostawił ojczyźnie pośmiertną spuściznę, podobno bogatą, obfitą, której cała publiczność polska oczekuje z miłością, z czcią pobożną, z natężoną uwagą i ze szlachetną ciekawością, oczekując od niej nowych sił i odmłodzenia nie tylko sceny ojczystej, ale ducha i myśli polskiej.

Ile jednak straciło nasze pokolenie, ile literatura ojczysta, ile zdrowie nasze, w skutku zranienia artystycznej natury Fredry i zniewolenia jej tem zranieniem, do tworzenia w cichości i odosobnieniu? Trudno obliczyć.

Ileżto talent jego byłby rozrzucił w schorowane i rozstrojone społeczeństwo nasze spostrzeżeń, prawd, nauk, ile doniosłego z wad i zdrożności śmiechu, gdyby się był z niem bezpośrednio stykał i brał z niego wzory.

Dlaczego Fredro nie dał się do końca przebłągać? Dlaczego wobec tak niewątpliwego, świetnego tryumfu, trwał w swem postanowieniu? Nie do mnie należy roztrząsać, wolę dziś to postanowienie uszanować, bo pewny jestem, że po-

budka była szlachetną, że ze szlachetności jego natury pochodziła.

Powiem tylko, że w dziedzinie teatru obok wzniosłych porywów i wzruszeń tyle jest płaskich namiętności, tyle niższego rzędu czynników, a obok szlachetnej, artystycznej gry duszy, tyle rozstrajających nerwowych emocyj, iż łatwiej zrozumieć jak żałować, że postać okryta już pewnym majestatem, że postać, która jest ozdobą i chlubą narodu, cofnęła się przed powtórnem wstąpieniem w te szranki, w których dziwnie a często dziwacznie, piękne i wspaniałe spotyka się z poziomem a poetyczne zachwyty rozbijają się o pospolite przeszkody.

I słusznie zaprawdę uczynił Fredro, że nie rzucił swojego wsławionego nazwiska na pastwę dzisiejszych zjadliwych a czczych polemik, że nie zniżył go schodząc w arenę tych błahych a przecież gorszących zapasów, że nie poddał przedmiotu do walk i sporów tym, którzy do niego nie dorośli. Być może nareszcie, że Fredro wyborny znawca polskiej natury, wiedział, że u nas łatwiej umarłym jak żyjącym przebaczą talent i niezwyklej miary zdolności.

Fredry milczenie, mogło być dla nas przykrem, ale jak całe jego życie, nie było bez wdzięku i uroku; była w niem ta siła woli, którą odznaczało się pokolenie, do którego należał a którego tak świetnym i sympatycznym był między nami przez długie lata, przedstawicielem.

Ogłoszony przez rodzinę zaraz po zgonie znamienitego męża wiersz, rzuca światło na pierwszorzędnej doniosłości uczucie u każdej a szczególnie u niepospolitej indywidualności, na wyobrażenia i przekonania religijne Fredry. Krótki ów wiersz wyraża je najzupełniej, najdokładniej. Fredro jak niemal cała współczesna mu młodzież, owiany ostatniem tchnieniem wolteryanizmu, dotknięty został najzupełniejszą niewiarą. Lecz tęgość i czerstwość jego rozumu spieszenie i najzupełniej sprowadziły go z błędnej drogi. Różne i rozliczne bywają środki, za pomocą których dusza ludzka wyrwa się z objęć sofizmu i fałszu; być może, że wielkie, przeważające w całym życiu Fredry uczucie miłości ojczyzny, wpłynęło także stanowczo na jego religijne przekonania. Tak bystry umysł nie mógł sobie wyobrażać Polski bezbożnej i nie katolickiej i przez gorące przywiązanie do niej wrócił zapewne do szczerzego wyznawstwa

wiary ojców. To pewna, że do ostatnich chwil Fredro żywił i wyrażał głośno przekonanie o nierozdzielności bytu Polski od katolickiej podstawy. Że tę prawdę odczuwał zawsze instynktownie, (nawet wtedy, gdy sam, jak mówił, nie wierzył, świadczą pięknie i szlachetnie jego komedye. Nigdzie i nigdy nie obraził on w nich uczucia religijnego, bo czuł, że byłby tem samem obraził uczucie polskie. Nigdy muza jego komiczna nie ośmieliła się dotknąć nawet lekko, nawet ostrożnie przedmiotu tak niewstrzemięźliwie a nieraz haniebnie wyzykanego, przez nowoczesny teatr. Jedyna w jego komedych postać księdza, kapelan pułku huzarów, jest postacią zabawną, ale pocziwą i sympatyczną. Wielki to dowód delikatności i zacności jego polskiego pocucia.

Kto miał — w ostatnich czasach coraz radsze — szczęście i zaszczyt, zbliżenia się do Fredry, ten tylko zdoła dopełnić sobie obrazu tej pięknej postaci. Zbliżenie to wywierało niczem niezatarte wrażenie. Ile w tym mężu było orlejskiej wyższości ile jędrnego rozumu, ile młodzieńczego zapału dla piękna, ile gorącej miłości dla tego, co się stało treścią jego życia; trudno wypowiedzieć. Nigdy może wyobrażenie powzięte z dzieł i czynów o osobistości, nie było do tego stopnia odpowiedniem rzeczywistości jak tutaj. Widząc go, mówiąc z nim, stawali ci przed oczyma i cześnik, i Gucio i major, miałeś przed sobą żołnierza napoleońskiego i nieraz wykwintnie wesołego adjutanta ks. Józefa. Jaka werwa, co za ogień w oczach, uprzejmość i wytworna prostota w obejściu, serce gorące, bystry dowcip, humor fredrowskich komedya wszystko to zlewało się w całość przyciągającą i sympatyczną. W każdym jego słowie czuć było tę głęboką miłość rzeczy publicznej, którą odznaczała się jego generacya; w każdym wierszu napisanym w cichości a łaskawie ci przeczytanym, przebiegała myśl o ojczyźnie, o jej ranach, niebezpieczeństwach, potrzebach, nadziejach. A ten smutek, który go często ogarniał, czyż potrzeba mówić, że powstawał w znacznej części na widok rozbicia, sponiewierania i znikczemnienia tego, co nad wszystko ukochał, czemu całym swoim żywotem tak pięknie i wytrwale wiernym pozostał. A jak szlachetne, jak pełne ognia było jego oburzenie na waśnie, zboczenia i błędy tego społeczeństwa, od którego się usunął, którego przecież nie przestał miłować,

z którem wspólnie bolał, którego kroki pilnie i uważnie ze swojego śledził zacisza.

Ileżto razy zetknięcie się bezpośrednie z dzisiejszymi ludźmi, wznieca niesmak, zwątpienie, odejmuje odwagę. Wychodząc od tego złamanego cierpieniami starca, czułeś się młodszym, rzeźwiejszym, silniejszym do pracy i walk; jakaś nadzieja cię owiewała i ożywiała, nabierałeś odwagi i chęci wytrwania. Ożywczy wpływ wywierał Fredro na tych, którzy do niego się zbliżali, ożywczem było zetknięcie się z jego rozumem, sercem i wnioskami uczuciami, zetknięcie się z tą harmonijną, z jednego szlachetnego kruszczu ulaną postacią.

Ostatni czyn Fredry w zakresie publicznym, najlepiej świadczy, że miłość Polski była przewodnią jego życia nitką. Znekany wiekiem i cierpieniami, usiadł na skromnem krześle poselskiem lwowskiego sejmku. Chciał on w tem rozbiciu wszystkiego co polskie, w tych strasznych dla nas czasach, dać ze siebie przykład, chciał wskazać i niejako powiedzieć, że skoro okoliczności tu tylko coś robić pozwalają, należy w tym lwowskim sejmie ratować, co się jeszcze da ratować i tu pracować dla przyszłości, ale tak, jak on to czynił, przyjmując mandat bez chorobliwej ambicji, bez ukrytych myśli, unikając zatargów i waśni, godnie i zanie, z troską o rzecz publiczną a nie o siebie.

Fredro był częścią i to najcelniejszą chwały i sławy narodowej; wszystko, co się jego tyczyło, obchodziło żywo naród cały, miał on tę piękną za życia pociechę, że każdy zaszczyt, który na niego spadał, był zaszczytem dla narodu. Tak też rozumiała Polska¹⁾, odznaczenie zbyt często błahe — w tych jednak warunkach niezwykle i doniosłe, którem w swej pieczołowitości o język narodowy i jego literaturę monarcha, twórca Akademii, obdarzył Aleksandra Fredrę. Każdy czuł, że ta wielka wstęga, o którą nikt się nie starał, zawieszona obok najchwalebniejszych, bo na polu bitew zdobytych oznakach, była czemś więcej jak orderem, bo uczczeniem i uszanowaniem polskiej mowy i polskiej oświaty w ich najświetniejszym z żyjących przedstawicieli. Wielka wstęga na szlafroku ¹⁾ Fredry

¹⁾ Wyrażenia tego użył sam Fredro.

nie była nagrodą za zwykłe zasługi, nie była zaiste dogodzeniem próżności, lecz stała się jedną spójnią więcej między wspaniałomyślnym monarchą, a krajem i narodem.

Strata ludzi tej miary, tego znaczenia i tej wartości, chociażby złamanych wiekiem, chociażby bezczynnych, milczących lub tworzących w cichości, jest zawsze dla społeczeństw wielką, dotkliwą. Każdy też żywo uczuł, że z ośmdziesięciosześćcioletnim Aleksandrem Fredrą, zeszło do grobu coś z tradycji, honoru, zacności i sumienia Polski. Takie postacie schodząc na wieki z widowni, stwarzają zawsze moralną próżnię, tem większą, im mniej widzi się żywiołów do jej zapełnienia.

St. Koźmian.

OBECNE PRZEŚLADOWANIE RELIGII KATOLICKIEJ W PRUSACH ¹⁾.

(Ciąg dalszy).

Pseudobiskup Reinkens.

Nim opuścimy rok 1873, wypada nam jeszcze koniecznie wzmiankę uczynić o zajściu, które nadzwyczaj wydatnie charakteryzuje usposobienie rządu nie przebieającego w środkach, gdy chodziło o dokuczenie Kościołowi. Jak od samego początku, kiedy z monachijskimi profesorami rząd spisek przeciw Kościołowi zawiązał, tak do tej chwili nie przestał liczyć na to, że mu się uda przełamać zwarte szeregi katolików wywołaniem rozdzielenia, które mu w wyprawie jego „przeciw Rzymowi” przedsięwziętej, „pożądane” będzie mogło oddać usługi. Do dziś dnia to dziecko intrygi i spisku zawiodło oczekiwania rządu, chociaż je pielęgnuje z macierzyńską troskliwością kosztem katolickiego Kościoła, z pogwałceniem własnych praw i zasad. Sekta, która sama wyrosła z niewiary, z negacyi, nie może jako sekta religijna zdobywać przekonań ludzkich, nie ma siły, nie ma życia, a „państwo absolutne” natchnąć jej nie może tem, czego samo nie posiada.

„Starokatolicy” czyli neoproteſtanci nie byliby pewno przystąpili do odegrania tej świętokradzkiej komedyi wyboru

¹⁾ Patrz Przegląd Polski. Lipiec 1876.

i konsekracyi biskupa dla siebie, gdyby nie byli parci przez rząd pruski do tej śmieszności.

Już w roku 1871 na kongresie „Starokatolików“ odbytym w Monachium mówiono obszernie o tworzeniu i zawiązywaniu nowych gmin czyli parafij „starokatolickich.“ Doellinger, ojciec ich, oparł się temu. Jakie powody kierowały zdaniem Doellingera wtenczas, trudno zaiste odgadnąć. Albowiem przez odrzucenie dogmatu sam się już był wykluczył z Kościoła katolickiego. Powiedział: *a*, teraz zaś, gdy przyszła chwila powiedzieć: *b*, zawahał się. Czy wtenczas nie przemawiała przez usta jego głęboko w duszy jego utajona nadzieja powrotu marnotrawnego syna do ojca? Bądź co bądź, przemówienie jego w tej materji jest zbyt ważne i charakterystyczne, abyśmy je w najwydatniejszym ustępie przynajmniej mogli pominąć. Powiada co do materji:

„Skoro tylko postawicie ołtarz przeciw ołtarzowi, plebana przeciw plebanowi, gminę przeciw gminie, podążycie do schizmy; prawa możecie mieć wtenczas tylko, kiedy wypełniacie i powinności; teraz zaś wtrącacie się na tor, na którym zapewnienia wasze, że należycie do Kościoła katolickiego, okażą się illuzją, bo *uczynki zawsze słowom kłam zadadzą*. Dalej niepodobną jest rzeczą, przyznawać sobie prawa całkiem z sobą sprzeczne, to zaś czynicie, utrzymując z jednej strony, że należycie do Kościoła katolickiego i przywłaszczając sobie jego prawa, jego pasterstwo duchowne, jego dobra, a z drugiej strony przypisując sobie prawo zakładania osobnych gmin, osobnych parafij; jeżeli jesteśmy i pozostać chcemy członkami Kościoła katolickiego, to się samo przez się rozumie, że musimy Kościół katolicki i w jego obecnej konstytucji, w jego kształcie uznać, a *nawet i piastuna* władzy kościelnej aż do pewnego punktu. Jeżeli tego nie uczynimy, to staniemy jako nieprzyjaciele całej masy katolickich ludów..... Jedyną prawną podstawą jest obrona konieczna. Skoro który z was tak zostanie przyparty, iżby sumieniu swojemu gwałt musiał zadać, natenczas zachodzi konieczna potrzeba obrony; lecz skoro tylko tę granicę przekroczymy, natenczas cały świat nam powie, że twierdzenie nasze, jakobyśmy do Kościoła katolickiego należeli, zawiera w sobie rażącą i nierozwiązaną sprzeczność, jeżeli równocześnie obok niego inny zakładamy Kościół, czyli jak świat

powie, *sektę*.... Proszę was przedewszystkiem, abyście nie czynili nic takiego, co by was przed światem wystawiło jako ludzi, którzy sami z sobą są w sprzeczności, którzy chcą pozostać katolikami i równocześnie sektę zakładają..... Czyż mniemacie, że państwo gminy wasze, które bez papieża, bez biskupów i po największej części i bez kapłanów zakładać chcecie, uzna za Kościół katolicki, a dotychczasowemu Kościołowi katolickiemu, który zawsze jednak *wielkim Kościołem katolickim* pozostanie, uznania tego odmówi? Albo czyż się spodziewacie po państwie, że dwa obok siebie istniejące Kościoły katolickie uzna? Ani jedno, ani drugie nie nastąpi; ale jeśli zaczniecie zakładać gminy i parafie, będą je rządy uważać za to, czem w istocie są, i traktować poprostu jako *sektę*.... Myśmy w Kościele pozostać powinni! Wierzajcie mi, jam całe życie na studyach dziejów Kościoła przepędził, jam wszystkie rozdzielenia, sekty i herezye przetrząsał; znam ich początek, przebieg i koniec, znam także i wszystkie Kościoły nie tylko katolickie, ale także grecki i protestancki, Kościoły Anglii i Ameryki, wiem, do czego rozdzielenie musi konieczniedoprowadzić, i na mocy tej wiedzy przestrzegam was, abyście nie robili tego, co cały świat katolicki zowie sektą i co w „*rzeczy samej sekty będzie*.“

Ostatnie tylko słowa, oparte na znajomości historii, spełniły się wcześniej; ale w przewidywaniu co do rządów i zwolenników swoich pomylił się grubo. Jednym i drugim przypisywał Doellinger więcej logiki i uczciwości, aniżeli jej w istocie mieli. Nie powinnoż to było jemu samemu oczu otworzyć? Co się w głowie Doellingera pomieścić nie mogło, to najwyższy trybunał berliński zadekretował: *Sekta od Kościoła katolickiego oderwana jest także Kościołem katolickim*. Rozumowanie ojca „Starokatolików“ było niewątpliwie logiczne, ale uczynki jego taksamo się sprzeciwiały prawdom logiki, jak jego zwolenników, z tą tylko różnicą, że sam na pół drogi stanął i ich także na tym punkcie w powietrzu wiszących chciał zatrzymać. Wypadki były silniejsze od jego słowa. Kto ogień podłoży, nie zawsze jest w stanie zakreslić granice pożarowi i powiedzieć: dotąd, ale nie dalej.

Niedługo się także namyślali „Starokatolicy.“ Widoki i obietnice rządu pruskiego silniej pociągały ku sobie, aniżeli

logika Doellingera, której sam nie był wiernym. Jakoż na kongresie kolońskim, który Doellinger z oburzeniem opuścił, wybrali sobie w roku 1873 Reinkensa, byłego profesora historii kościelnej w uniwersytecie wrocławskim, a niedoszęłego kandydata na katedralne probostwo poznańskie, na biskupa, młupując wybory biskupów pierwszych chrześcijaństwa wieków. Nie znalazłszy w całym świecie katolickim biskupa, któryby bez zachowania jakichkolwiek form kanonicznych wybranego kapłana śmiał konsekrować na biskupa katolickiego bez dycezyi, bez gminy nawet pewnej, udał się do Rotterdamu, gdzie go jansenistowski biskup Heykamp z Deventer dnia 11 sierpnia konsekrował na biskupa „starokatolickiego“ dla całego cesarstwa niemieckiego.

Nim do tej świętokradzkiej komedyi przystąpiono, zapewnił aktorów tych rząd, że ich biskupa odpowiednio udotować nie omieszka. Roboty te odbywały się poufnie i potajemnie. „Starokatolicy,“ aby przed światem zachować urok, że tylko w „dobrej sprawie“ swojej całą pokładali nadzieję, taili troskliwie swoje sekretne układy z rządem, udawali wielkie oburzenie, a mianowicie, prof. Schulte, gdy Franciszek Florencourt te tajne praktyki wyjawiał. Wkrótce jednakże okazało się wszystko prawdziwem. Pan Schulte ani się nawet nie zarumienił, bo ta epoka kłamstwa stępiła wrodzone uczucie wstydu do szczytu.

Że garstka sekciarzy, napuszonych i zarozumiałych doktrynerów, podbechtywanych i widokami doczesnemi przez mocarzów świata nęconych i wabionych puściła się tym szalonym torem, nie zadziwi nikogo, kto zna źródło, rozwój i koniec wszystkich odszczepieństw, które się w ciągu 2000 lat od Kościoła odrywały. Ale, żeby rząd taki jak pruski, światły i przeźorny, a chwilowo tak potężny, nie mówię, nie wstydził się, bo to uczucie jest mu od dawna obce, lecz dał się uwieść doktrynerskim zachciankom, wystawił się na oczywistą śmieszność, okupioną wyraźnem pogwałceniem praw krajowych, aby sobie utworzyć sprzymierzeńca „przeciw Rzymowi“ i potęgę zwolennika tego tak przecenić, jak się to w obecnym przypadku stało:— taki krok musiał każdego rozsądnego człowieka w zdumienie wprowadzić, bo go tylko tłumaczy nienawiść i zawziętość przeciw Kościołowi katolickiemu posunięta aż do stopnia zaślepienia. Bo cóż rządowi po sprzymierzeńcu, który

na własnych nogach stać nie może? Cóż po wojowniku, dla którego rząd sam warownie i terytorya kosztem moralnym i materyalnym zdobywać musi? Zamierzonego celu nie osiągnął i nie osiągnie, a wszystkie przekleństwa złego uczynku już zaczyna sprzątać i długo jeszcze sprzątać będzie musiał. Jestto prawdziwie akt swawolnej przemocy, która, nie poczuwając się do żadnej odpowiedzialności moralnej, a dufając jedynie w siłę fizyczną, nie wzdyga się w zuchwałej rozpuszcie dopuszczać się wszelkiego bezprawia na swoim przeciwniku, bo pewna, że jej to bezkarnie ujdzie.

Takie tylko motywa mogły skłonić rząd pruski do uznania Reinkensa biskupem katolickim w Prusach. Jakoż rozkazem gabinetowym z dnia 19 września 1873 uznanie Reinkensa biskupem katolickim w Prusach wyrzeczone przez króla zostało. W dniu zaś 7 października złożył w ręce ministra Falka wobec świadków przysięgę homagialną.

Rozkaz gabinetowy zawierający uznanie Reinkensa biskupem katolickim zachował tę samą formę, jakiej przy wszystkich innych biskupach katolickich używano. Rotę przysięgi zaś zmieniono w dwóch punktach. Najpierw przez dodatek, że się zobowiązuje nie tylko do wierności i posłuszeństwa królowi, ale nadto do sumiennego zachowywania „wszystkich praw państwa.“ Jakkolwiek dodatek ten w istocie, w zasadzie nie unieemożebniałby wogóle biskupowi katolickiemu złożenia tej przysięgi, bo a priori przypuścić niepodobna, aby państwo mieniące się być chrześcijańskim stanowiło prawa sprzeciwiające się wyraźnie przepisom Ewangelii ś., to jednak ze względu na to, co już było zaszło i miało nastąpić, czyli ze względu na prawa majowe, żaden biskup katolicki, ani administrator dycezyi przysięgi tak sformułowanej złożyć nie był i nie jest w stanie. Powtórę przez uchylene ustępu odnoszącego się do złożonej już przysięgi Papieżowi i Kościołowi, który brzmiał: „Przyrzekam tego wszystkiego tem niezłomniej dotrzymać, im pewniejszy jestem, żem się przysięgą Jego Świątobliwości, Papieżowi i Kościołowi złożoną do niczego nie zobowiązał, coby się przysiędze wierności i uległości względem Waszej królewskiej Mości sprzeciwiać mogło.“ Urzędowa prasa pruska tłómaczyła szczególnie opuszczenie przytoczonego co dopiero ustępu tą okolicznością, że rząd chciał odjąć na przyszłość

biskupom możebność zasłaniania się wobec wymagań praw krajowych przysięgą złożoną Papieżowi i Kościołowi, że zatem posłuszeństwo prawom świeckim przynależne ma w niej swoje granice. Dziwna rzecz, że rząd pruski względem Reinkensa widział potrzebę zachowania takich ostrożności, o jakich przy przysięgach odbieranych od biskupów katolickich nie myślał. Zdawałoby się, jakoby rząd czuł, że Reinkens już jako kapłan związany jest przysięgą złożoną Papieżowi i Kościołowi. Od biskupów bowiem katolickich, którzy po dekretach soboru Watykańskiego przysięgę homagialną składali, jak biskup Monasterski w październiku 1870 i Hildeshejski w tym samym miesiącu 1871, nie wymagał tego bezpieczeństwa i przyjął przysięgę podług dotychczasowego formularza.

Reinkens nie tylko przysięgę podług nowo ułożonego formularza złożył, ale nadto w protokole przy tej okoliczności spisany oświadczył, że „gdyby wbrew wszelkim oczekiwaniom miał wniknąć w kolizyą z tą przysięgą, w tej chwili wolałby *urząd swój złożyć*, aniżeli ją w czemkolwiek naruszyć.“ Od-tąd ma być ta rota przysięgi i przyrzeczone postępowanie wzorem dla biskupów katolickich.

Węzeł gordyjski sprzeczności, na który Doellinger zwracał uwagę, a który najwyższy trybunał berliński dekretem swoim przeciął i rządowi drogę utorował, powtarza się teraz w każdym kroku i naraża rząd na ciągłe sprzeczności, nie-konsekwencye i oczywiste gwałcenie prawa. Mimo najoczywistszego odszczepieństwa, mimo zupełnego ukonstytuowania się sekty przez wybór osobnego i oderwanego od Rzymu biskupa, uważał rząd i uważa do tej chwili „starokatolików“ na mocy owego wyroku za członków Kościoła katolickiego i przyznaje im prawa, które tylko Kościołowi katolickiemu przysługują. To uporczywe sprzeciwianie się oczywistej prawdzie, na którą świat codziennie patrzy, wystawiło rząd na śmieszność, a co gorsza, na pogwałcenie prawa krajowego. Jeżeli bowiem rząd „starokatolików“ uważa za członków Kościoła katolickiego, tego Kościoła, który konstytucya pruska i całe prawodawstwo pruskie zna pod imieniem „rzymsko-katolickiego“, jakim prawem mógł natenczas dla katolików osobnego, przez Stolicę Apostolską ekskomunikowanego biskupa uznać? Stosunki prawne tego Kościoła katolickiego uregulowane są konkordatem

zawartym pomiędzy Stolicą Apostolską a Prusami w bulli „de salute animarum,“ która rozkazem gabinetowym z dnia 23 sierpnia 1821 ogłoszona została w „Zbiorze praw“ i stanowi, jak się ten rozkaz gabinetowy wyraża, „Statut dla Kościoła katolickiego, zobowiązujący tych wszystkich, których dotyczy.“ Statut ten ustanawia dla Prus ośm biskupstw, których dyecezye ściśle ogranicza, określa prawidła, podług których kapituły za współudziałem rządu mają biskupów wybierać, Stolica Apostolska wybranych potwierdza, a potwierdzonych dopiero może rząd uznać za biskupów katolickich. W taklitylko sposób mogą biskupi zostać rzeczywiście biskupami katolickimi w Prusach, a takich biskupów zna tylko prawo pruskie ośmiu. Tymczasem rząd uznał dziewiątego, dla którego w Kościele katolickim Prus podług zobowiązującego Statutu nie masz ani miejsca ani dyecezyi. Co więcej, uznał biskupa niewybranego podług prawa przez kapitułę, ale przez garstkę ludzi świeckich, niepotwierdzonego przez Papieża, lecz przeciwnie ekskomunikowanego. Ileż tu praw jednym aktem pogwałconych!

Gdyby rząd nie sprzeciwiał się oczywistej prawdzie, gdyby „starokatolików“ uznał za to, czem rzeczywiście są, t. j. za osobną sektę, za osobne stowarzyszenie religijne, jakich w Prusach jest dosyć, natenczas chociażby niejednego, ale dziesięciu biskupów był uznał, nie byłby przynajmniej własnych praw, których ma być stróżem, w tak krzyczący sposób pogwałcił. Czemuż tedy rząd wikłał się w to nieskończone pasmo sprzeczności, którego żadna bystrość rozumu nie zdoła rozwiązać i gwałt oczywisty przecinać musiał? Czemuż się „kręcił i wił, jak węgórz w węciorku“ — są słowa posła Mallinckrodta —? Wstydu już się dawno pozbył, nie był więc dla niego przeszkodą, bo tylko fizycznej sile, której się nie obawiał, gotów był ustąpić. Brnął więc dalej na drodze gwałtu, byle tylko swego dopiąć. Cóż to był za cel wielki, który kosztem prawa, uczciwości i logiki okupował? Oto *zatrucie* Kościoła katolickiego w Prusach, wlanie weń ducha całkiem mu obcego, przeciwnego i przeistoczenie go z czasem na coś, co zowią *Kościółem narodowym*. Ani prawa majowe w tym samym duchu ułożone ani wszystko, co rząd dotąd w tej mierze zrobił, nie wydawały mu się tak skutecznym środkiem do osiągnięcia zamierzonego celu, jak właśnie sekta „starokatolików,“ jeźli

mu się uda wmówić w masy ludu katolickiego, że to nie jest sekta, że to jest prawdziwy Kościół katolicki. Lud bowiem patrząc na te same formy w nabożeństwie, w obrzędach, we mszy, w sprawowaniu Sakramentów św. i t. d. do jakich był nawykł, czyż nie mógł być z łatwością narażony na złudzenie i mniemanie, że pod temi samemi formami zewnętrznemi ukrywa się i rzecz ta sama? Jakże było przypuścić, że lud się pozna na tej perfidy, która mu w tem samem na pozór złotem i świętem naczyniu zamiast łask niebieskich truciznę podaje? Czyż to w rzeczy samej nie był praktyczniejszy i skuteczniejszy sposób przelewania zarazy herezyi niepostrzeżenie w serca wiernego ludu i oszukiwanie go aż do chwili, w której ta komedia świętokradzka już nie będzie potrzebną? Postępowaliż elektorowie Brandenburscy inaczej w szesnastym wieku z ludem katolickim swoich krajów? Jeżeli się wówczas manewr ten udał, czemuż się i teraz nie ma powieść pomyślnie, jeśli tylko zręczną obłudą będzie prowadzony i siłą fizyczną popierany? Postępowałże rząd pruski inaczej z Czerskim i Rongiem? To są odwieczne tradycye krzyżackie, które tylko czyhają na chwile pomyślne do zadania Kościołowi katolickiemu ciosu śmiertelnego.

Oto są tajne i ukryte cele, dla których osiągnięcia rząd Pruski wobec mówców katolickich, którzy go nieubłaganą logiką przypierali do muru, musiał się „kręcić i wić, jak węgorz w węciorku“ i słuchać gorzkich prawd, jakie mu powieździeli w dniu 29 stycznia 1874 Piotr Reichensperger, a szczególnie Mallinckrodt w tych słowach: „Twierdzę przeto i z tego ciężki rządowi robię zarzut — co więcej, wobec reprezentacyi kraju, wobec całego kraju oskarżam ministra spraw duchownych, który nie przestaje powtarzać, że prawa państwa muszą koniecznie być szanowane, jego właśnie oskarżam o *pogwałcenie prawa*. Pogwałceniem tem jest najwyższy rozkaz gabinetowy z dnia 19 września 1873, zawierający uznanie biskupa Reinkensa, kontrasygnowany przez ministra spraw duchownych. Nicbym nie miał przeciw temu, żebyście uznali biskupa „starokatolickiego,“ a nawet i dziesięciu; nie troszczyłbym się o to, żebyście go hojniejszą, niżście to zwykli dla innych wyznań czynić, uposażyli dotacją, ale, jeżeli wybranego „starokatolickiego“ biskupa uznajecie za „katolickiego“ i sta-

wiacie go w rządzie dotychczasowych biskupów rzymsko-katolickiego Kościoła, natenczas jest to pogwałceniem prawa pruskiego.“

W tym przynajmniej razie rząd celu swego nie osiągnął, ale znalazł to, czego nie szukał i nie chciał t. j. obalił w ludności katolickiej wszelkie zaufanie do rządu. Dziś, chociażby rząd prawdę mówił, lud katolicki jednak mu nie uwierzy. „Starokatolicy“ są w oczach ludu katolickiego sektą i nią pozostaną, chociaż najwyższy trybunał inaczej zadekretował. Słowa Ojca ś. wypowiedziane w Encyklice z dnia 21 listopada 1873, w której ekskomunikę imienną rzuca na Reinkensa, inny znalazły odgłos w sercach ludu katolickiego, aniżeli dekreta trybunału Berlińskiego. Sekta ta przestała już być groźną, nie wzrasta, nie szerzy się i Kościołowi katolickiemu krom grabieży, jakiej się za pomocą rządu na domach Bożych katolickich dopuszcza, innej szkody nie jest w stanie przynieść. Ale ponieważ nie tylko się połączyła z jawnymi prześladowcami Kościoła, ale nadto w pierwszych jego szeregach walczy, i w dyecezyach, w których się znajduje, na biskupów i wiernych katolików wiele ściąga utrapień i ucisków, jednym słowem, ponieważ w całym przebiegu tego prześladowania żywy i wydatny bierze udział, przeto nie wypadało nam pominąć wypadku, przez który ci sekciarze się ukonstytuowali i w całej zupełności usiłovali małpować Kościół katolicki. W dyecezyi Kolońskiej, Paderbornskiej, Limburskiej, Wrocławskiej i Warmińskiej wiele biskupom i katolikom wyrządzili psoty i szkody.

Wypadałoby nam tu jeszcze pomówić o trzech osobistościach, które w tym czasie dały katolikom powód do wielkiego zgorszenia i smutku t. j. o Richthofenie i Kuencerze, kanonikach Wrocławskich i Dulińskim, kanoniku Gnieźnieńskim i ocenić ich postępowanie. Pomijamy to jednak z dwóch powodów. Najpierw pierwszy opuścił sektę „starokatolików“, został 1876 protestantem i wkrótce potem wskutek oparzenia się olejem skalnym w Lipsku umarł. Dwaj zaś ostatni każdy w swoim rodzaju potwierdzili na nowo starą prawdę, że ciężkie próby i doświadczenia nie zawsze tworzą ludzi, ale regularnie pokazują, czem są. Krom bowiem tego, że pierwszy odznacza się dwulicowością, a drugi wywieraniem zemsty osobi-

stej w porze dogodnej, nie wywarli obaj wływu żadnego na prześladowanie samo. Powtóre, obaj trzymają się jeszcze zewnętrznie choć na cienkim bardzo włosku Kościoła, nie chcemy przeto przedstawianiem ich wybryków utrudzać im drogi do zupełnego powrotu i naprawienia złego.

Nowe wybory.

Wypadek wyborów do Izby poselskiej, o których wypadało nam kilkakrotnie wzmiankę już uczynić, a zwłaszcza, gdyśmy wyjaśniali powody zniewalające rząd wobec opozycji episkopatu do utrzymania dotychczasowej większości Izby poselskiej, należy wprowadzić co do akcji samej w rozwoju prześladowania do roku 1874; ale zaszedł jeszcze w ciągu roku 1873 i zakończył się na schyłku tegoż roku zajściem charakteryzującym bardzo wydatnie położenie i plany rządu i zapowiadającym wyraźnie dalsze i surowsze w tym kierunku postępowanie. Dla lepszego przeto zrozumienia wypadków roku 1874 wypada nam koniecznie przedmiot ten kilku uwagami objaśnić.

Rząd widząc, jak nadspodziewany z strony katolickiej znalazł opór, wyteżył wszystkie swoje siły, użył środków zwyczajnych i nadzwyczajnych do agitacji i wywarcia nacisku, aby mógł uzyskać taki skład Izby, która rozpoczętego przezeń dzieła nietylko nie zniszczy, ale je owszem popierać będzie. Publikacja korespondencji pomiędzy Papieżem a Cesarzem posłużyła rządowi szczególnie do wpędzenia protestantów wierzących do jego obozu. Wydawało im się bowiem, że końcowym szczególnie ustępem Papież do ich wiary mieszać się zamysła. Było to dla nich niejako dowodem, że rzeczywiście Papież czyli hierarchia kościelna wdziera się w niewłaściwą sobie sferę, a rząd ma prawo energicznemi środkami tego rodzaju uroszczenia odeprzeć. Co tylko zatem w tym kierunku było jeszcze konserwatyzmu, rozprysło się na atomy pod temi wrażeniami i pod naciskiem wywieranym przez wszystkie urzędowe organa, i prawie znikło.

Zbyteczną gorliwością, jaką rząd w tym kierunku rozwinął, osiągnął, jak się zdaje więcej, aniżeli sam pragnął. Stron-

nictwo konserwatywne, bez którego monarchicznym krajem niepodobna prawie rządzić, rozbił temi manewrami do szczytu. Z 111 członków tej frakcyi, która jeszcze w roku 1870 liczyła 129, wyszło z tych wyborów zaledwie 11. Natomiast liberały narodowe (Nationalliberale) zyskali 50 krzeseł więcej, a resztę postępowcy. Tak pisma urzędowe, jak książę kanclerz sam, przypominały potem ciągle liberałom, że zwycięztwo swoje zawdzięczają rządowi, a książę Bismark powiedział wprost, że na jego „imię wybrani zostali“ — musieli się tedy chcąc nie chcąc poczuwać do wdzięczności. Do Izby panów, gdy rządowi stawiała opór w sprawie ordynacyi powiatowej, wprowadził rząd tyle żywiołów liberalnych, ile było potrzeba, aby temu kierunkowi dać w tej Izbie przewagę zupełną. Wszelki zatem konserwatyzm wyrzucił rząd sam z ciał prawodawczych gwałtem. Słusznie przeto wówczas zrobiła Kreuz-Ztg tę uwagę „że jeszcze jedno takie Pyrrhusowe zwycięztwo, a zginiemy.“ Czy rząd pragnął taki osiągnąć wypadek wyborów, a przynajmniej w takich rozmiarach? O tem możnaby z wielu powodów powątpiewać.

Co zaś rządowi w tym wypadku wyborów najwięcej dokuczyło, to był stosunkowo największy wzrost frakcyi Centrum. Liczyła bowiem dotąd 52 członków, a z wyborów wyszła w liczbie 89. Argumenta rządu i większości Izb, których przy każdej nieledwie okoliczności używali, jakoby ich zasady podzielała szczupła tylko garstka katolików „ultramontańskich, duchem jezuickim zarażonych,“ ale nie ludność katolicka wogóle, musiały odtąd wobec tak wydatnego faktu zamilknąć. Wybieg ten, do którego się szczególnie „cesarscy katolicy“ uciekali, okazał się tem, czem w istocie był, oczywiście kłamstwem. Katolicy jedni nie dali się ani naciskowi zawojować ani podstępom i szaleństwu narodowemu uwieść. Owszem publikacya korespondencyi Papieża z Cesarzem otworzyła im na dobre oczy, zwarła ich szyki w tem ściślejszą falangę i gdzie tylko liczne było podobieństwo, swoich przeprowadzili kandydatów. Odtąd rząd się już nie mógł zasłaniać, że lud katolicki nie podziela opozycyi biskupów, odtąd cały świat wiedział, że to było kłamstwem. Tę broń wytrąciły mu wybory z ręki; musiał o nowym wybiegu pomyśleć. Adres księcia Raciborskiego czyli „cesarskich katolików“ stracił odtąd swoją wartość także i po-

szedł w kąt. W tym nowym składzie Izby poselskiej, miał rząd zdecydowaną większość na każde zawołanie, miał popularne i wygodne narzędzie, wzmocnienie zatem opozycji, choć bardzo nie mile, nie rujnowało jego roboty, bo był zdecydowany gwałtem wszystko przeprowadzać.

Wśród takich okoliczności został sejm dnia 12 listopada zagajony. W mowie od tronu, którą w zastępstwie cesarza, a potem księcia Bismarcka odczytał minister finansów, p. Camp-hausen, znajduje się złowrogi ustęp zapowiadający surowsze jeszcze od dotychczasowego prześladowanie. Ustęp ten przytaczamy w dosłownem tłumaczeniu:

„Uchwalone podczas ostatniej sessyi sejm u prawa, regulujące stosunki państwa do wielkich korporacyj religijnych ściślej i jaśniej, niż to było dawniej, znalazły ku wielkiemu ubolewaniu rządu nieuzasadniony opór w biskupach rzymsko-katolickiego Kościoła. Rząd, im silniej jest przekonany, że życia religijnego rozmaitych wyznań prawami temi bynajmniej nie narusza, z tem większą stanowczością, niezachwiany owym oporem, i nadal prawa te przeprowadzać będzie i zawczasu obmyśli wszelkiego rodzaju środki, aby poruczone swej pieczy interesa od jakiegokolwiek szwanku zachować. Żywi on to przekonanie, że reprezentacya kraju w rozwiązaniu tej kwestyi silnie popierać go będzie.“

Rząd czując większość Izby za sobą i to większość gotową na wszelki wypadek brnąć za nim choćby po uszy, nie taił także swej zuchwałej przemocy i już w mowie od tronu pogroził im: „quos ego.“ Chwilowo zatem były wszystkie szanse po stronie rządu i są dotychczas. Lecz, czyż katolikom wobec tych groźnych wideków godziło się milczeć i czekać, aż zapowiedziane gromy na nich spadną? Lud katolicki, który prawdziwie nadzwyczajne zrobił wysilenia w obronie swej wiary, pragnął także wiedzieć, co jego reprezentanci w jego interesie uczynią. Powtóre dotychczasowe doświadczenie, jakiego rząd w przeprowadzaniu praw tych doznał, ich techniczna wadliwość, niedołężność, w wielu przypadkach śmieszność, na jaką powagę swoją naraził, opór biskupów i całej ludności katolickiej, widok nieprzejrzanego pasma gwałtów, jakich się będzie musiał dopuszczać, a im dalej, tem gorzej: wszystko to razem mogło w frakcyi centrum wywołać nie nadzieję, ale przynajmniej

jakieśkolwiek przypuszczenie, że rząd i większość Izby nie będą zamykać oczu na te wydatne i krzyczące fakta, że to jest chwila dla obu stron dogodna do odwrotu. A chociaż się nie spodziewali, żeby głos ich pomyślny odniósł skutek, to jednak mniemali, że wypełnią przynajmniej swoją powinność względem rządu, gdy go jeszcze w tej chwili do upamiętania wzywać będą i względem ludności katolickiej, gdy jej przed oczy stawią dowód najoczywistszy, co rząd z ich religią uczynić zamysła. Także frakcja centrum miała powody do wystąpienia zaraz na początku grudnia z dwoma wnioskami, z których jeden podał Piotr Reichensperger, a drugi Mallinckrodt. Pierwszy brzmiał:

„Izba oświadcza rządowi, że — jak tego smutne doświadczenie obecne dowodzi — zakłóconego od r. 1871 pokoju kościelnego nie można na tej drodze przywrócić, na którą najnowsze ustawodawstwo i odpowiednie mu postępowanie administracyi w sprawach kościelnych wstąpiło, ale jedynie przez powrót do zasad długimi laty przeszłości wypróbowanych.“

Zgodnie z tą rezolucją Reichenspergera, wnosi Mallinckrodt projekt do prawa, dwa tylko paragrafy obejmującego:

§ 1 „Ustawy z dnia 11 maja 1873 o kształceniu i obsadzaniu posad duchownych, z dnia 12 maja 1873 o kościelnej władzy dyscyplinarnej i założeniu trybunału dla spraw kościelnych, i nareszcie z dnia 13 maja 1873 o granicach prawa użycia kościelnych kar i środków karności, znoszą się niżej.

§ 2. Minister spraw duchownych odbiera polecenie wykonania tej ustawy.“

Dnia 10 grudnia przysły te wnioski obok innych przedmiotów pod obrady Izby. Był to ostatni akt, którym frakcja centrum wzywała rząd i Izbę do odwrotu. Do głosu przypuszczono tylko Reichenspergera, po nim przemówili przeciw wnioskowi minister Falk i jeden liberał i zamknęto dyskusję. Obydwie mowy, wnioskodawcy i ministra, są każda w swym rodzaju charakterystyczne. Określają bowiem wybitnie całe położenie w końcu roku 1873; zasługują przeto choć na krótką wzmiankę.

Mowa ta p. Reichenspergera, którą wniosek swój uzasadnił, należy do najświetniejszych i najgruntowniejszych, jakie

w całym swoim parlamentarnym zawodzie powiedział. Mówi na wstępie, że Niemcy poniżenie i upadek swój zawdzięczają swarom i niezgodom religijnym. Prusy pierwsze dały piękny przykład uznania samodzielności wyznań religijnych, zapewniły sobie tem uporządkowaniem pokój wewnętrzny i wzrosły do tej nadspodziewanej potęgi. Po zwycięstwach roku 1866 rząd sam to uznał jawnie, że temu pokojowi religijnemu pomyślność swoją zawdzięcza, „że i na polu religijnej tolerancyi i wolności, są słowa Staatsanzeigera, „sprzątają teraz Prusy owoce, które ich monarchowie od wieków zasiali.“ W latach zaś 1870 i 1871 katolicy, których dziś rząd za nieprzyjaciół ojczyzny ogłasza, nic nie ustępowali w miłości ojczyzny innym wyznanom, a w ofiarności o wiele je przewyższyli. Przechodząc potem do mowy od tronu, wyraża swoje zadziwienie, jak można było w niej powiedzieć, że prawa majowe w „niczem życia religijnego nie naruszają“ i dla tego „opór biskupów niczem nieusprawiedliwiony.“ Przyjmuje dla honoru rządu, że w istocie takie ma przekonanie o tej rzeczy. „Ale, powiada dalej, takie właśnie usprawiedliwianie tych praw jest niebezpieczne, powiem więcej, jest potworne, bo tem samem zajmuje rząd stanowisko jedynego i najwyższego sędziego w rzeczach religii, decyduje, na czem zależy życie religijne, co mu zagraża niebezpieczeństwem, a co nie — decyduje wbrew temu, co w tej mierze oświadczają wyraźnie biskupi Kościoła katolickiego i wszyscy jego członkowie, co nawet znaczna liczba ewangelików oświadcza, co, mówię, wypowiadają w najdobitniejszy sposób, na jaki człowiek zdobyć się może, pod naciskiem licznych strat i prześladowań, jakie oświadczenie to na nich ściąga. Mniemam, że rząd, wnosząc te prawa majowe, nie przypuszczał, że im sumienie tak stanowczy opór stawi. Tego sobie inaczej wytłómaczyć nie umiem, jak tylko w ten sposób, że rząd był pewnym, że sumienia wcale już nie masz, a jeżeliby głos swój podniosło, wobec srogości prawa umilknie — zdanie, które w czasach, jak nasze, samolubstwem zatrutych, tym szczególnie, którzy z chrześcijaństwem już rozbrat zrobili, samo się nasuwa.“

Następnie roztrząsa wszystkie zarzuty przez rząd katolikom czynione, wykazuje ich niedorzeczność, przytacza, jak rząd z jednego takiego fałszywego stanowiska strącony, prze-

skakuje na drugie, a potem znowu do pierwszego wraca i tak bez końca. Zestawia wszystkie krzywdy Kościołowi katolickiemu już wyrządzone, oświadczając, że to jest nagroda, jaką się rząd katolikom za ich szczery udział w wojnie francuskiej i ofiarność odwdzięczył. Przechodząc do praw majowych, karci sposób, w jaki przez rząd wniesione, a przez Izby uchwalone zostały i dowodzi, cośmy już wyżej wykazali, że są w sprzeczności z pryncypalną zasadą konstytucyi, a następnie, że są pozbawione znaczenia zobowiązującego, jednym słowem, że są nieważne do tej chwili. Wytykając niezgodność tego ustawodawstwa z nauką chrześcijańską, a w szczególności owe veto naczelnego prezesa, powiada wśród niepokoju lewicy, a przykładami centrum pomiędzy innemi: „Już wtenczas przyjaciele moi i ja zwracaliśmy waszą uwagę na to, że ta zasada nietylko życie religijne wyznań na szwank naraża, ale nadto, co jest tak oczywistą jak światło słoneczne, odmawia i zaprzecza Kościołowi, ba chrześcijaństwu nawet w ogóle, prawa egzystencyi. Pytam was się, czyż nie możecie pojąć tego, że chrześcijaństwo, że Kościół chrześcijański pozbawionym jest prawa egzystencyi, jeśli mu przepisy prawne powiadają: nie godzi ci się ogłaszać Ewangelii bez wysokiego pozwolenia zwierzchności, nie godzi ci się sprawować Sakramentów bez wysokiego pozwolenia urzędowego naczelnego prezesa.... Jeżeli prawo powiada: wbrew woli naczelnego prezesa nie wolno żadnej funkcji duchownej sprawować, to nie pojmuję, jak można jeszcze wątpić, że tem samem zaprzeczacie prawa egzystencyi każdemu Kościołowi, a na jego miejsce stawiacie zwierzchność świecką. Każdy zaś chrześcijanin wierzy, że Kościół chrześcijański posłannictwo swoje odebrał od Boskiego założyciela swego, od tego, który chrześcijaństwo czyli dobrą nowinę Ewangelii przyniósł na świat, bez pozwolenia, ba, wbrew nawet zakazowi żydowskiego Sanhedrin, króla Heroda i Piłata, który Apostołom i ich następcom polecił roznosić Ewangelią po całym świecie bez trwogi, bez oglądania się na groźby ludzi, na groźby prawa, choćby wśród męczeństwa po wszystkie czasy (oho! na lewicy). Tak jest w rzeczy samej. Zastanówcie się, panowie, choćby chwilę bacniej nad tą myślą, która wam się tak dziwną wydaje. Ja rzeczywiście mam to przekonanie, że prawo jak obecne, ten tylko jest w stanie przedłożyć i za niem głoso-

wać, kto Boskiego posłannictwa Kościoła ani, chrześcijaństwa w ogóle nie uznaje. Jeśli je bowiem uznaje, to powinien je także uszanować i nie stawiać mu ze strony władzy świeckiej przeszkody w spełnianiu swego posłannictwa; skoro zaś nie, natenczas wypowiedziecie: nie jesteśmy już chrześcianami!“

Przedstawia im dalej, iż wie bardzo dobrze, dlaczego nie słuchają rady Straussa i nie chcą jawnie swych przekonań antychrześcijańskich wypowiedzieć, aby, jak ich Alfred Dove pouczył, nie utracili mas zwolenników, przywiązanych jeszcze do tych „chrześcijańskich zabobonów i cudów,“ których zwolna do antychrześcijaństwa niepostrzeżenie doprowadzą. Przejściem chwilowem do tego celu ma być mrzonka „Kościoła narodowego niemieckiego,“ którego niedorzeczność dobitnymi przykładami dowodzi.

Następnie przechodzi do charakterystyki prawa z dnia 12 maja o wykonywaniu dyscypliny kościelnej i zwraca silnie zaraz uwagę na treść paragrafu pierwszego, który przecina węzeł katolickiego Kościoła Prus z Papieżem, a następnie z całym Kościołem katolickim i obala artykuł wiary. Lud katolicki Prus odepchnął od siebie te zdradzieckie insynuacje rządu i ostatnimi wyborami manifestował jak najwyraźniej wolę swoją pozostania w jedności Kościoła. Krom wielkiej rewolucyi francuzkiej żaden rząd nie posunął się w swoim prawodawstwie kościelnem do tak szalonych wyskoków w tej mierze, jak rząd pruski. Wyrzuca potem rządowi pogwałcenie praw krajowych przez uznanie „pseudobiskupa Reinkensa,“ a szczególnie zarzut w mowie tronowej biskupom zrobiony, że ich opór nie jest uzasadniony. Broni nietylko biskupów, ale w ogóle zasady chrześcijańskiej biernego oporu. Zwracając wreszcie uwagę na niebezpieczeństwa, na jakie rząd całe państwo, a mianowicie społeczeństwo naraża przez takie bezwzględne niszczenie wszelkich zarodków i zabytków chrześcijańskich, powiada przy końcu: „Pamiętajcie panowie“ że skoro światło wiary przyświecać przestanie, przyjdzie nareszcie chwila, w której wam płomień skalnego oleju zabłyśnie (śmiej na lewicy) i ukaże może już nieco zapóźno przepaść, do której doszłiscie.“

Ta wspianiała i pomnikowa mowa nie przebrzmiała wprawdzie bez wrażenia, ale była w skutku głosem wołającego na

puszczy. Poseł Reichensperger dopełnił tylko swojej powinności względem Kościoła, ludności katolickiej i swego kraju w ogóle, wzywając jego rząd w ostatniej jeszcze chwili do odwrotu z drogi, która do zguby prowadzi. O przekonaniu przeciwników mowy być nie mogło, bo wybrani „na imię kancelarza“ zdecydowani byli naprzód, jak mają głosować.

Po tej długiej mowie zajął głos minister Falk. Wobec przychylniej sobie większości Izby łatwo mu było odpowiedzieć kilku popularnemi frazesami, fałszywie zastósowanemi i zyskać głośnie „brawo,“ ale wobec rzeczy samej nie było innego wyjścia, jak uciekać się znowu do dogmatu „nieomyślności papieża.“ Przyznaje, że się tak silnego oporu ze strony biskupów katolickich nie spodziewał, nie przypuszczał bowiem, aby „biskupi, dla których w największej części Prusy są ojczyzną, mniej mieli poszanowania dla praw ojczystych, aniżeli dla skinnienia męża, po za granicą ojczyzny żyjącego.“ Taka właśnie frazeologia była i jest najulubieńszą strawą dla pseudoliberalów narodowych. Mówi potem wiele o prowadzeniu się tych biskupów na Soborze watykańskim i zowie ten opór „rokoszem, rewoltą.“ Gdzie i jak może, dotyka nawet osobistości biskupów, jak arcybiskupa Ledóchowskiego i Martina, biskupa Paderbornskiego, aby ich wartość i wyższość moralną, jaką wobec niebezpieczeństw im grożących okazali, w Izbie poniżyć i jako awanturnicznych rokoszan wystawić.

Zaklina się i zaręcza, że rząd nie miał i nie ma myśli, ani zamiaru wiarę, religią katolicką naruszać i niszczyć i zowie to poprostu, „nieprawdą,“ „kłamstwem.“ Takim przekręceniem prawdy można było lud katolicki uwieść. Wziąwszy jeszcze na uwagę, że i w konfesyjonele niewątpliwie nieprawdę tę rozsiewano, nie możemy się dziwić, że ludność katolicka tak została obalamucona. Takim wpływom przypisuje minister liczny i stanowczy udział ludności katolickiej w wyborach i wzrost frakcyi centrum. Już się teraz nie ucieka do dawniej często powtarzanego argumentu, że do zasad, jakie ta frakcyja głosi, przyznaje się tylko mała garstka „jezuickich ultramontanów.“

Wyrzuca potem posłowi Reichenspergerowi, że śmiało twierdzić, iż prawa majowe, przez sejm przyjęte i sankcyonowane, są „nieważne.“ Z ust jego wypowiedziane takie słowo wobec całego kraju tem szkodliwszą ma doniosłość, im wyższą

sam w sądownictwie piastuje godność (jest radcą najwyższego trybunału).

Nareszcie w poczuciu przemocy nie oglądającej się na żadne prawo, na żadną słuszność, oświadcza Izbie, że o odwołaniu mowy być nie może, że rząd, który ma środki do pokonania oporu, nie myśli zawierać pokoju kosztem swej najwyższej władzy. „Przeciwnie, skoro panowie po świętach powrócicie, przedłoży wam rząd nowe projekta do praw, „które będą praktyczną odpowiedzią na wasze obecne wnioski.“ W końcu wzywa Izbę do odrzucenia tych wniosków.

Podczas kiedy jeszcze minister mówił, podał poseł Virchow z towarzyszami wniosek: „aby Izba w pewnem oczekiwaniu, że rząd zdoła utrzymać poszanowanie ustaw krajowych, przeszła nad wnioskiem Reichenspergera do porządku dziennego.“

Potem przypuszczono jeszcze do głosu pseudoliberalą Loewe i zamknięto dyskusję. Jako współwnioskodawcy wolno było jeszcze w obronie wniosku przemówić posłowi Windhorstowi. Prócz członków centrum i Polaków ani jeden poseł za wnioskiem tym nie głosował.

Godzina dochodziła już 5 po południu, a o 11tej przed południem rozpoczęła się sesya. Na porządku obrad był jeszcze wniosek Mallinckrodt'a o zniesienie praw majowych. Wnioskodawca sam zachorował, Izba już była znużona, wniesiono tedy o odroczenie tego wniosku, dopóki wnioskodawca nie przyjdzie do zdrowia. Izba czyli większość jej, aby nie słuchać prawd sobie niemiłych i jak najkrócej rzecz ubić, odrzuciła odroczenie. W skutek tego poseł Schorlemer-Alst, który także wniosek ten podpisał, cofnął go oświadczając, że chęć przystąpienia o tak późnej porze do obrad nad tym wnioskiem ukrywa zamiar odrzucenia go prawie bez dyskusji.

Przytaczamy umyślnie tę drobną okoliczność, która bardzo wydatnie charakteryzuje skład i usposobienie większości Izby poselskiej.

Minister zaś spraw duchownych, dziękując niejako Izbie za dotychczasowe głosowanie i zagrzewając zarazem do wytrwałości w tym kierunku, przedłożył jej projekt do prawa o małżeństwie cywilnem. Na wiadomość samą krzyknęły wszystkie „liberalne stronnictwa“: Brawo! W krótkim uzasadnie-

niu tego projektu oświadczył, „że nie względy na Kościół ewangelicki wywołały potrzebę takiego prawa, ale obecny rozwój stosunków pomiędzy państwem a Kościołem katolickim.“ Rząd bowiem nie może tego ścierpieć, aby duchowni katolicy przezeń nie uznani, wypełniali akty ministeryalne z polecenia Kościoła, które tylko z ramienia rządu wykonywać mogą.

Z takimi widokami i zapowiedziami coraz surowszych praw, coraz większego ucisku i prześladowania, wstąpili katolicy Prus w progi roku 1874. Prócz wygórowanej surowości praw, prócz gwałtowniejszego postępowania władz administracyjnych, odznacza się prawodawstwo tego roku rewoltowaniem ludu katolickiego przeciw duchowieństwu. Dotychczasowe prawodawstwo burzyło głównie biskupów przeciw papieżowi, a duchownych przeciw biskupom; tu i owdzie tylko były widoczne rachuby na zrewoltowanie ludności katolickiej przeciw duchowieństwu. Ustawodawstwo zaś roku 1874 i 1875 nosi wyraźnie takie piętno na sobie. Nim się jednakże przedstawieniem tego przedmiotu zajmujemy, policzmy w krótkich wyrazach spustoszenia, jakie rząd pruski dotąd w Kościele katolickim Prus zrządził.

Wiele dziesiątek lat często upłynie, nim takie przeistoczenia i zmiany zajdą, jakich katolicy w Prusach doznali. Całą ich winą było i jest przekonanie rządu pruskiego, że katolicy nie są i nigdy nie będą szczerymi przyjaciółmi cesarstwa niemieckiego, na którego czele stoi cesarz protestant. Kiedy ich w tej mierze przerobić nie można, a tego zdania jest i rząd i większość ludności protestanckiej, natenczas nic innego nie pozostaje, jak ich religią wytępić. Do osiągnięcia tego celu użył rząd wszystkich sił intelektualnych i materyalnych, jakie tylko miał do dyspozycji. Cel musiał być ukryty, wyjawienie go bowiem jużby było przegraną. Musiało się tedy wszystko odbywać pod pozorami popularnemi. Ztąd to pasmo nieprzejrzane obmierzonego i nie zrównanego kłamstwa, które tak wybitnie te wypadki charakteryzuje.

Najpierw w czerwcu i lipcu dokonany gwałt na uczniach Gimnazjum braunsbergskiego w sprawie Wollmanna. Rozpoczyna się tedy prześladowanie od dzieci, jak za narodzenia Zbawiciela naszego.

wali się do obu Izb sejmu, rządu i króla z prośbą o odwrócenie od Kościoła i kraju tych wewnętrznych swarów i niepokojów, jakie ztąd wyniknąć muszą; napróżno liczne stowarzyszenia katolickie i deputacye przedstawiały rządowi niesprawiedliwość tych praw: — wszystko nic nie pomogło. Rząd przekonany, że katolicy cesarstwu niemieckiemu, którego korona na głowie protestanta spoczywa, nigdy szczerze nie będą przychylni, postanowił bądź co bądź albo ich do odpadnięcia od jedności Kościoła czyli do schizmy skłonić, albo religią ich do szczytu wytępić.

Już z końcem roku 1873 wszyscy biskupi takimi zostali obłożeni karami pieniężnymi, że ich żadna egzekucya ściągnąć nie była w stanie, uwięzienie zatem jednego po drugim było już tylko kwestyą czasu. Duchowni zaś już zapełniali we wszystkich katolickich prowincjach więzienia. Wszystkie źródła wychowania nowych pokoleń kapłańskich i chrześcijańskich już zostały zatamowane. Seminaria, konwikty, alumnaty, gimnazya, wszystkie instytuta wychowawcze katolickie, nawet sierót, a w Poznańskim i ochronki zwinięte, aby, jednym słowem, nigdzie więcej nie dawano nauki religii katolickiej i nie wychowywano po katolicku.

Podstępnie i misternie założone sidła na duchowieństwo katolickie, aby je przeciw episkopatowi poburzyć, potargała stateczna wierność duchowieństwa. Oswobodzone „na wewnątrz“ i „zewnątrz“ duchowieństwo nie ugięło swego karku pod złote jarzmo pogańskie i okazało ściślejszą łączność z swoimi biskupami, aniżeli kiedykolwiek. Ani adres „cesarskich katolików“ ani korespondencya Papieża z Cesarzem, w milionach egzemplarzy rozsiana po kraju, nie zdołały obalamucić katolików wiernych. Co w tylu adresach i deputacyach wypowiedzieli swoim biskupom, w wyborach ostatnich potwierdzili czynem.

Spustoszenia, jakie dotychczasowe prześladowanie zrządziło, są wielkie, ale wiara, nadzieja i miłość katolików, które się w chwili niebezpieczeństwa tak świetnie uwydatniły, jeszcze większe. Krzywdy zatem, jakich katolicy w tym krótkim czasie doznali, musiały ich boleć, ale odwaga i mężstwo mogły tylko wzrastać wobec ożywionego ducha katolickiego.

Ksiązę kanclerz zrozumiał, że Kościoła katolickiego zwalczyć nie można w Prusach. To nie jest sprawą lokalną. Wy-

wierał tedy na wszystkie państwa w tym kierunku nacisk, aby go w tej walce wspierały. Ztąd zjazdu w Wiedniu i w Berlinie króla włoskiego z cesarzami, austryackim i niemieckim. Prasa urzędowa i liberalna nieprzyjazne Kościołowi nadawała znaczenie tym zjazdom. Austria uległa niestety temu naciskowi i przystąpiła także w r. 1874 do tego rodzaju prawodawstwa w granicach jednakże umiarkowańszych, wyżej już dotkniętych. Poruszone zaś przez kanclerza agitacye w tym kierunku w Anglii nie powiodły się.

Rok 1874.

Podczas kiedy rząd silił się na to, aby wyłomy, jakie opór biskupów i duchowieństwa w niedołężnem prawodawstwie zeszłego roku zrzucił, jakkolwiek podreparować i nowe środki surowości na poskromienie opozycji przygotować, prześladowanie kroczyło swoim trybem na wszystkich krańcach okolic katolickich Prus. W Morkowie n. p. pod Lesznem, której proboszcz właściwy przed niejakim czasem dostał pomieszania zmysłów, sprawował nowo wyświęcony X. Loga obowiązki duchowne pod dozorem X. Dziekana Theinerta. W wigilią nowego roku ledwo Ksiądz z Kościoła powrócił do swego mieszkania, przybył egzekutor z poleceniem albo ściągnąć 200 tal. kary albo winnego do więzienia przyprowadzić. Ani pieniędzy ani przedmiotów odpowiednich do fantowania nie znalazłszy, zabrał egzekutor X. Logę z sobą, wśród płaczu i krzyku parafian licznie zgromadzonych, do Leszna na czteromiesięczne więzienie. W wielu bardzo parafiach taki nowy rok zgotował rząd katolikom.

Dnia 4go stycznia zaś odebrał arcybiskup wezwanie od sądu apelacyjnego, aby się w dniu 14 t. m. stawił na 11tą godzinę w sądzie, gdzie ma być z polecenia trybunału dla spraw kościelnych przesłuchany. Wezwanie to zawierało zarazem zagrożenie, że w razie niestawienia się, nowy zostanie wyznaczony termin, na który ma być przymocą sprowadzony. Jednakże, chociaż X. arcybiskup się nie stawił, sąd zagrożenia nie wykonał i postępował bez słuchania go dalej.

Co minister spraw duchownych zapowiedział krótko przed Świątami Bożego Narodzenia, z tego się także zaraz po świętach wywiązał. Już bowiem dnia 19 stycznia wniósł nowe dwa projekta do praw, które są rzeczywiście następstwem zawodu, jakiego rząd doznał na prawodawstwie upłynionego co dopiero roku. Jeden z tych projektów obejmuje prawo o zarządzie wakujących biskupstw katolickich, a drugi deklaracją i uzupełnienie prawa z dnia 11 maja 1873 o kształceniu duchownych i obsadzaniu posad duchownych.

Z obawy, że i te szalone prawa nie będą w stanie pokonać oporu biskupów i duchowieństwa katolickiego, udał się rząd pruski o pomoc do władzy centralnej cesarstwa, czyli prezydent ministerstwa pruskiego książę Bismarck, wezwał pomocy kanclerza cesarstwa niemieckiego Bismarcka. Na początku marca wniósł książę kanclerz do rady związkowej projekt do prawa „o banicyi sług Kościoła,” który w kwietniu przez parlament niemiecki przyjęty został. Podług konstytucyi bowiem cesarstwa niemieckiego zbywało rządowi pruskiemu na kompetencyi do tego rodzaju prawodawstwa. Musiał tedy tę czczą formalność zachować i kazać je przyjąć przez radę związkową i przez parlament niemiecki.

Podczas, kiedy rząd i wszystkie ciała prawodawcze zajęły się gotowaniem nowych ciosów na Kościół katolicki, zbliżała się chwila dla arcybiskupa Ledóchowskiego pójścia do więzienia, gdzie się już kilkudziesięciu młodych kapłanów znajdowało. Jakoż nazajutrz po uroczystości Oczyszczenia N. M. Panny dnia 3go lutego, pomiędzy godziną 4—5 rano, przyaresztowała go policya i wywiozła do zwyczajnego więzienia sądowego w Ostrowie. W sobotę poprzedzającą zawiadomiono arcybiskupa o bliskim uwięzieniu go, co tylko jednej osobie zakomunikował, aby otaczających go osób na niespokojność nie narażać. Policya, której nie było tajem, jak żywy udział bierze ludność katolicka w losie arcybiskupa, przygotowała na wszelki wypadek środki ostrożności. Podczas, kiedy dyrektor policyi, pan Staudy udał się wraz z dwoma urzędnikami policyjnymi do pałacu arcybiskupiego, stała już w pobliżu na stokach fortecznych kompania piechoty, a na Śródcie mały oddział konnicy, który dorózkę wiozącą arcybiskupa konwojował aż do dworca kolei żelaznej; mosty zaś na Śródcie i

Chwaliszewie były przez policją obstawione. Ostrożności były zbyt znaczne, bo arcybiskup sam, nie chcąc nikogo na surowe kary prawa karnego narazić, dochował sekretu o bliskim swoim aresztowaniu.

Ledwo upłynął miesiąc, spotkał ten sam los biskupa Trewirskiego. Tu w inny sposób odbyło się aresztowanie. Radca ziemiański przybył dnia 6 marca przed wieczorem do biskupiego pałacu w towarzystwie urzędnika policyjnego celem przyaresztowania i odstawienia X. biskupa do więzienia. Po przeczytaniu rozkazu aresztowania pozostawił radca ziemiański biskupowi do woli, czy się chce stawić do więzienia bez eskorty policyjnej lub nie. Na oświadczenie X. biskupa, że tylko przemocy ulegnie, wyraził radca ziemiański ubolewanie, że w takim razie będzie musiał rekwirować policję. Prośby jednakże kilku obecnych przyjaciół i księży skłoniły X. biskupa do zgodzenia się na to, że pójdzie w towarzystwie radcy ziemiańskiego. W mgnieniu oka rozniosła się wieść po mieście o aresztowaniu X. biskupa. W tej właśnie chwili kończyło się kazanie w katedrze, na które wierni licznie się zebrali, całą zatem drogę, którą X. biskup przechodzić musiał do więzienia, zapełniły tłumy ludu i towarzyszyły mu wśród płaczu. Tak postępował X. biskup w towarzystwie radcy ziemiańskiego, dwóch swoich braci, członków kapituły i innych duchownych wśród ludu wiernego, tworzącego po obu stronach ulicy, szpaler do przeznaczonej mu celi, udzielając na wszystkie strony błogosławieństwa.

Mniej więcej w podobny sposób odbyły się później aresztowania X. arcybiskupa Kolońskiego, biskupa Padebornskiego i Monasterskiego.

Nim jednakże wisząca i nad resztą biskupów kara ta spadła, korzystali jeszcze z pierwszego w tym rodzaju wypadku i wkrótce po uwięzieniu arcybiskupa Gnieźnieńsko-Poznańskiego, dopóki się sami jeszcze na wolnej znajdowali stopie, ogłosili z tego powodu wspólnie list pasterski. Dokument ten wydany przez biskupów stojących na progu więzienia, tuż przed ogłoszeniem praw surowszych jeszcze daleko od tych, których padają ofiarą, ma zbyt wielką doniosłość, abyśmy go pominąć mogli. Brzmi w dosłownem tłumaczeniu:

„Odezwa wydana przez niżej podpisanych biskupów Kościoła katolickiego Prus do Szanownego Duchowieństwa i wszystkich Wiernych ich dyecezyj.

Pozdrowienie i błogosławieństwo w Panu.

Dnia 3 b. m. uwięziono naszego drogiego Brata Miecysława, Najprzewielebniejszego Arcybiskupa Gnieźnieńskiego i Poznańskiego, i do dalekiego wywieziono więzienia. Jedyną jego winą było, że wierny powinnościom przywiązany do peruczonego mu przez Boga pasterstwa dusz, wołał wszelkie znieść cierpienia, aniżeli wydać na pastwę wolność Kościoła Chrystusowego i zaprzecić się prawdy, którą Zbawiciel krwią swoją najdroższą zapieczętował.

Smutny ten wypadek woła na nas, którzy jeszcze z pozostawionej nam na chwilę wolności korzystać możemy, abyśmy Wam, Szanowni współbracia w kapłańskim zawodzie, i Wam wszystkim, kochani dyecezyjanie, w tej groźnej chwili przesłali kilka słów nauki i upomnienia.

Przedewszystkiem winniśmy to prawdzie, której sługami jesteśmy, winniśmy Wam, Najmilsi w Panu, nad których zbawieniem czuwać mamy, w obec Boga, świadka i sędziego sumień, tudzież wobec świata całego, podnieść głos uroczysty protestacyi przeciw podwójnemu oskarżeniu: że jesteśmy rewolucjonistami, rokoszanami przeciw zwierzchności świeckiej, żeśmy tym buntem narazili bez litości, bez sumienia Kościół katolicki Niemiec, duchowieństwo i lud, na te ciężkie obecne utrapienie i niebezpieczeństwa.

Nie! My nie jesteśmy buntownikami! Przeciwnie, zawsześmy nauczali i do ostatniego tchu życia nauczać i wyznawać będziemy, żeśmy we wszystkich godziwych rzeczach do poszanowania i posłuszeństwa względem władzy świeckiej, do wierności i miłości względem ojczyzny, którą nam Pan Bóg dał, przykazaniem boskiem w sumieniu obowiązani; tej prawdy nie tylkośmy nauczali, aleśmy ją nadto zawsze i w całej zupełności wykonywali i za łaską Boga bez oglądania się na cokolwiek bądź wykonywać będziemy aż do zgonu.

Ale ten sam Bóg, który nas zobowiązuje do posłuszeństwa i wierności winnej królowi i ojczyźnie, rozkazuje nam nie

nie czynić, w niczem nie brać udziału, nie nie pochwalać, niczego milczeniem nawet nie pominąć, co się sprzeciwia odwiecznemu prawu Bożemu, nauce Jezusa Chrystusa, Jego Kościołami i naszemu sumieniu. Nowo zaś wydane prawa kościelno-polityczne obrażają w kilku istotnych punktach przez Boga nadaną wolność, przez Boga ustanowioną konstytucją i przez Boga objawioną naukę Kościoła katolickiego i dla tego nie możemy, i nie godzi nam się przyczyniać się z naszej strony do ich wykonania, stósownie do słów apostoła: „*Więcej trzeba słuchać Boga, niż ludzi.*“ Dzieje Apost. 5. 29.

Przed ogłoszeniem jeszcze tych praw wypowiedzieliśmy kilkakrotnie te słowa w obec tych, w których było mocy odwrócić tę klęskę, prosząc i błagając, aby tego rodzaju prawami, których nie, żadna rzeczywista potrzeba kraju się nie domaga, sumieniu naszemu, duchowieństwu i wiernych katolików najstraszliwszego nie zadawali gwałtu; aby przeciw słowom naszym, stwierdzonym świadectwami najznakomitszych zdaniem całego świata katolickiego teologów i kanonistów, dano wiarę; że praw tych nie można pogodzić z religią katolicką i z całą istotą Kościoła katolickiego.

Lecz głosu tego nie słuchano; od żadnego uprawnionego przedstawiciela Kościoła, od żadnego biskupa, nawet od żadnego wiernego katolika świeckiego, który jest obeznany z nauką swej wiary, nie zasiągano rady; jedynie słuchano tych, którzy właśnie od kościoła katolickiego odpadli, tak nazwanych „starokatolików“ i niektórych uczonych protestantów, którzy wiary i życia Kościoła katolickiego nie rozumieją, a nadto może przesadami i niechęcią ku niemu są uprzedzeni. Ztąd musiało nastąpić to, co nastąpiło. My przeto nie mamy winy w wywołaniu tego smutnego i zgubnego konfliktu, jaki ztąd powstał pomiędzy dwiema od Boga dla dobra ludzkości danymi władzami, między Kościołem a ustanowioną przez Boga zwierzchnością świecką, który sumienia milionów wiernych i sumiennych poddanych w takie zamieszanie wtrącił. Isć wiernie za głosem sumienia, najświętsze powinności przywiązane do poruczonego nam od Boga urzędu wypełniać, wiary swej uczynkami się nie zapierać, na podstawie boskiego i ludzkiego prawa społeczywającej, historią, traktatami i słowem królewskim zaręczonej wolności Kościoła i sumienia chrześcijańskiego bronić, wdzie-

ranie się władzy świeckiej w dziedzinę Kościoła odpierać, to nie jest buntem, to nie zdradza usposobienia rewolucyjnego. My, jako i nasze wierne duchowieństwo, oraz i wierny lud katolicki, nie jesteśmy rowolucyonistami, nie byliśmy nimi nigdy i nigdy nimi nie będziemy.

Myśmy mieli bez litości, bez sumienia, duchowieństwo i powierzone nam owieczki w obecne utrapienia potrącić; wypowiedzmy myśl tę całkowicie, przez stawiony prawom majowym opór, mieliśmy ściągnąć na siebie winę zupełnego może zniszczenia Kościoła katolickiego w Prusach. Lecz Bóg wie, ileśmy już ucierpieli i ile cierpimy nad utrapieniami, które tylu dzielnych i sumiennych kapłanów już nawiedzały, i jak gorąco pragniemy, aby utrapienia te na nas samych tylko spadały i żadnej z powierzonych nam owieczek nie dotknęły. Ale to nam nie daje prawa do działania wbrew naszemu sumieniu. Co więcej, gdyby nawet, co niechaj Pan Bóg odwrócić raczy, w ukochanych dyecezyach naszych, w których Kościół od wprowadzenia chrześcijaństwa tak świetnie zakwitnął, na szkodę, a nawet zatracenie dusz wielu miał zostać zniszczony, natenczas lepiej, że to z obcej nastąpi winy w chwili, w której my poświęceniem mienia i życia damy świadectwo wierze katolickiej, anizeli, żebyśmy sami, czego się od nas domagają, do podkopania fundamentów Kościoła rękę przykładali i udział brali w praktykach, które pracują nad zniszczeniem wolności jego, nad sfalszowaniem wiary i konstytucji jego, nad powolnem ale pewnem przeistoczeniem jego samego, na podstawie zasad całkiem niekatolickich, w duchu niekatolickim, pod ludzającym pozorem zachowującym jego formy zewnętrzne.

Chrystus, Syn Boży, nie założył Kościołów narodowych, ale jeden tylko Kościół dla całej przez niego odkupionej ludzkości, aby wszystkich ludzi bez różnicy narodowości w jednej wierze, w jednej miłości połączyć. Chrystus, Syn Boży, nie powierzył ogłaszania swej nauki, szafowania swemi łaskami, kierowania religijnem i kościelnem życiem mocarzom świata, ale apostołom i ich następcom; a dla zachowania jedności ustanowił nad nimi wszystkimi najwyższego pasterza i biskupa w osobie Piotra św., który żyje w następcy swoim, papieżu, dlaczego katolikiem być tylko można, dopóki się z nim w żywej pozostaje jedności. Tylko na Piotra św. i resztę aposto-

łów i ich prawych następców złał Zbawiciel potrzebne do zachowania i wzrostu Kościoła pełnomocnictwo i łaski, im tylko zapewnił swą boską pomoc po wszystkie dni, aż do skończenia świata.

Ci, którzy te urzędy sprawują i ich pomocnicy powinni być wszędzie i zawsze gotowi do wyrzeczenia się rzeczy ziemskich, żyć tylko dla Boga i dla swego urzędu. Prawidłom ich postępowania nie mogą być rozkazy i względy ziemskich monarchów, niezmiennie czasu opinie, ale jedynie nauka Chrystusa, odwieczne zasady przez niego objawionej i jego Kościołowi powierzonej prawdy. To jest nasza wiara katolicka.

Nowe zaś prawa polityczno-kościelne, uważane tak w całości, jak w związku z zasadą, na jakiej oparto stosunek Państwa do Kościoła, niweczą istotę konstytucji kościelnej, przez Boga daną i absolutnie potrzebną samodzielność Kościoła Chrystusowego w najwłaściwszej jego dziedzinie, i czynią go zawisłym od każdorazowej władzy świeckiej, od panujących w ministeriach zdań i opinii i od interesów, któremi się stronnictwa i większości ciał politycznych kierują. Godziż się biskupom katolickim do wykonania praw takich rękę przykładąć, godziż im się na to milczeć? Jakże można było się spodziewać, aby takim ustawom, które zresztą i dotychczasowym prawom się sprzeciwiają, nie stawili oporu, do jakiego ich powinność i sumienie zniewalają?

Nic nie zdoła niesłuszności wdzierania się tego rodzaju władzy świeckiej w wewnętrzną dziedzinę Kościoła lepiej wyświecić nad fakt, że rząd niedawno człowieka, który się powszechnie znanych zasad kościoła katolickiego wyparł, biskupem katolickim uznał i potwierdził.

Tak nazwany „Starokatolicyzm“ tak co do swego początku, jak istoty niczem innem nie jest, jak zasadniczem zaprzeczeniem katolickiego artykułu wiary o nieomylnym urzędzie nauczycielskim Kościoła. Jemu nie chodzi bynajmniej jedynie lub głównie o wiarę w nieomylność wyroków Stolicy Apostolskiej w rzeczach nauki wiary i obyczajów — jakkolwiek w rzeczy samej Piotr i katedra jego nauczycielska nieustraszoną jest opoką prawdy, na której Chrystus Kościół swój założył — ale o to przedewszystkiem mu chodzi, czy w Kościele katolickim zdanie prywatne pojedynczego indywi-

duum, czy też żywe, Duchem św. natchnione ciało nauczycielskie ma prawo o rzeczach wiary decydować. Niemasz bowiem faktu jaśniejszego nad ten, że cały Kościół katolicki, jego głowa wraz z członkami, wszyscy biskupi katolicy całego świata bez wyjątku i wszystkie ludy katolickie sobór Watykański za powszechny i prawdziwie ważny uznają, a następnie uważają „starokatolicyzm“ za zupełne zbłąkanie się od zasad katolickich i odszczepienie się od Kościoła katolickiego. Zamiast fakt ten oczywisty przyznać i tak nazwanym „starokatolikom“ prawa osobnego stowarzyszenia religijnego nadać, zatwierdza rząd w skutek panującej dziś zasady, z której i prawa majowe wypłynęły, zdanie „starokatolików“, jakoby nie przestali być członkami kościoła katolickiego, co więcej, sprowadza jednego z nich w charakterze „biskupa katolickiego“ do Kościoła naszego. Nie jest to niczem innem, jak formalnem przeniesieniem wyobrażeń i stosunków protestanckich na Kościół katolicki. Jak w łonie protestantyzmu stósownie do pojęć protestanckich różnorodne znajdować się mogą kierunki umysłu i wyznania wiary i w rzeczy samej się znajdują, tak i do Kościoła katolickiego ten sam stan rzeczy ma być wprowadzony; w nim mają się także pomieścić nietylko różnorodne wyznania wiary, ale nadto tym wyznaniom odpowiedni biskupi, a może i papieże — jako przedstawiciele tych różnorodnych wyznań. Od czasów, kiedy cesarz Konstancyusz Kościołowi katolickiemu arykańskich narzucił biskupów, kiedyż świat coś podobnego widział?

Zaprawdę, jeżeli systemowi, który takie przynosi owoce i prawodawstwu, które przykładą siekierę do korzenia Kościoła katolickiego, odmawiamy naszego współudziału, natenczas z powierzonymi nam od Boga duchownymi i wiernymi nie postępujemy sobie bez serca i bez sumienia, ale czynimy jedynie to, co nam sumienie czynić nakazuje; serce nasze dość się zakrwawia na widok okropności spustoszenia, które ma nawiedzić nasz Kościół św. i lud katolicki.

Cóżby nas też innego, jeśli nie gwałt sumienia, potęgą wiary naszej i nieubłagany głos powinności, było w stanie skłonić do ściągania na siebie najcięższych utrapień i ucisków bez żadnej nadziei w pomoc ludzką? Cóż nas bowiem czeka? Utrata mienia, więzienie, być nawet może, przedwczesna śmierć

w więzieniu. A naszych dobrych, statecznych w wierze kapłanów jaka przyszłość? Utrata posad, wypędzenie z parafii, surowe kary i więzienie. Cóż czeka nasz lud katolicki, jeżeli pozbawiony swych biskupów i kapłanów, coraz mniej będzie mógł doznawać pociech swej św. religii? — Tylko ze zgrozą pomyśleć o tem możemy.

A oto już znowu przygotowano nowe dla Kościoła wrogie prawa, i przedłożono je w projekcie reprezentacyi kraju, prawa, których nieuchronnem następstwem być musi, skonfiskowanie majątków kościoła katolickiego, zawieszenie kapituł, — od których domagają się rzeczy, jakich bez ciężkiej obrazy sumienia wykonać nie mogą, a wykonane nawet byłyby jednak bez znaczenia i wagi — dalej zupełne zniszczenie prawej administracyi kościelnej, jednym słowem: zniszczenie istotnego warunku egzystencyi Kościoła katolickiego w Prusach.

I tośmy biskupi mieli lekkomyślnie i zuchwale sami gwałtem na Kościół ściągnąć? Cóżby nas, pytamy się raz jeszcze, do powzięcia postanowienia takiej doniosłości było w stanie skłonić, jeżeli nie wiara i sumienie i jasne rozpoznanie powinności, jakie na nas ciąży.

Nie wzdygano się nawet twierdzić, że pobudkami naszego działania były: ambicya, żądza panowania, chęć nabycia ziemskiej władzy i nieprzyjazne usposobienie względem monarchii i cesarstwa. Ukochani Chrześcijanie! Wy wiecie, jak niesprawiedliwemi są te oskarżenia. Nie było pewno czasu, w którymby przeciw biskupom podnoszono podejrzenia tak nieuzasadnione, zarzuty tak pozbawione wszelkiej nawet materyi, jak obecne. Zaprawdę, ani nami, ani Ojcem ś., obsypanym zniewagami i obelgami, nie kieruje ambicya ni żądza panowania.

Jeżeliśmy napominali wiernych, aby do Izby poselskiej parlamentu niemieckiego wybierali mężów, na których liczyć było można, że będą obrońcami praw Kościoła i wolności sumienia, to zaiste krok ten nie jest nieuprawnionem i niedozwolonem mieszanem się do spraw świeckich, ale obowiązkiem wykonywaniem pozostałych nam jeszcze atrybucyj do obrony praw naszych.

O ziemskie rzeczy nie ubiegamy się. Nie żądamy niczego

więcej, jak tylko tego, aby nam było wolno żyć podług prawideł wiary naszej w pokoju.

Również nie wstrzymuje nas zaiste duma i wyniosłość od poddania się władzy rządowej we wszystkim, co tylko bez dopuszczenia się grzechu uczynić możemy. „Dumni książęta Kościoła“ istnieją tylko w wyobraźni tych, którzy nas tak nazywają. My biskupi katoliccy przebyliśmy szkołę gorzkich doświadczeń, a dalecy od chęci poniżania korony i władzy państwa, zawsze gotowi jesteśmy do względów i ustępstw w rzeczach dozwolonych w duchu tego, który przyszedł na świat, aby słowem i przykładem nauczać pokory i wszystkim pokój przynieść! Ale nie wolno nam niczego czynić, niczego przyznawać, niczego w milczeniu przyjmować, co się sprzeciwia naszej wierze, naszemu sumieniu.

A teraz, Bracia kochani, Katolicy drodzy, przyjmijcie jeszcze potrójne upomnienie, z ojcowskiego pochodzące serca, gdyż może niezadługo przemawiać do Was nie będziemy mogli. Wyście dotąd w jedności, stałości i wierności w najściślejszem połączeniu z episkopatem i opoką Piotra, z Waszym Kościołem wytrwale trzymali. Za to wypowiadamy Wam ponownie uznanie i podziękowanie w imieniu Jezusa Chrystusa. Wytrwajcie nadal w Waszej świętej wierze katolickiej, w Waszej miłości i wierności dla Kościoła św. Cierpcie i zniescie raczej wszystko, niżbyście się w najmniejszej odrobinie zaprzeć mieli Kościoła i jego nauki!

Wkrótce nadejść mogą czasy, a dla wielu z Was, czcigodni kapłani pańscy, już są, w których przyjdzie Wam udowodnić, żeście prawdziwymi kapłanami, którzy nietylko sprawują pełną tajemnic ofiarę nowego przymierza, ale nadto gotowi są sami siebie za prawdę nauki, za wolność Kościoła Bożego złożyć na ofiarę.

Nadejść mogą czasy, w których prawi, przez Ducha św. ustanowieni biskupi, lub też z ich ramienia urzędujący zastępcy nie będą mogli rządzić Kościołem Bożym. Przyjść mogą czasy, w których parafie katolickie pozbawione zostaną pasterzy dusz i nabożeństwa. Skoro wtenczas nadarzy Wam się, mili Dyecezyanie, zrzeczność słuchania mszy św. odprawianej przez prawowitego kapłana i przyjmowania Sakramentów śś., korzystajcie z niej tem gorliwiej, nie oglądając się na prze-

szkody i trudności. Kapłana zaś, który nie pozostaje w jedności z Waszym biskupem i najwyższym pasterzem Kościoła, unikajcie!

Jeżeli bez Waszej winy zostanieie ofiary mszy ś. i sakramentów śś. pozbawieni, w wierze jednak statecznie wytrwacie, natenczas łaska Pana Boga wszystko zastąpi. Wtedy utwierdzajcie się w wierze nawzajem. Wychowujcie i pouczajcie, rodzice chrześcijańscy, dziatki wasze z podwójną troskliwością w wierze katolickiej, aby w niej statecznie wytrwały, a Wyście sami, gdy czasy nawiedzenia miną, mogli na nie bez żalu spoglądać.

Drugiem naszym napomnieniem, a raczej wyraźnem przykazaniem Boga, Zbawiciela naszego jest: żaden ucisk, żadna krzywda, które Wam znosić przyjdzie, nie powinny Was grzesznym gniewem unosić i przywieść do tego, abyście uszanowanie i winne władzy posłuszeństwo, tudzież miłość chrześcijańską względem Waszych współobywateli w najmniejszej rzeczy obrazić mieli. Odznaczajcie się teraz właśnie przed wszystkimi wiernem wypełnianiem powinności; teraz, Najmilsi, nadeszła właściwa chwila, w której czynem udowodnić musicie, jak niesprawiedliwe były oskarżenia, jak bezzasadne podejrzenia, żeśmy buntownikami, że niekochamy ojczyzny. Czynem udowodnijmy, jak szczerze i uczciwie rachujemy się z powinnościami sumienia naszego, nie tylko w stosunku naszym do Boga, ale także do państwa i władzy świeckiej. Taką mamy, upomina nas apostoł, dać odpowiedź na oskarżenia tym, którzy nas lżą i raczej znosić, niż wyrządzać krzywdę.

W końcu jest to naszym ostatniem i najusilniejszym napomnieniem: nie chwiejcie się nigdy w zaufaniu Waszem w Boga, a całą nadzieję pokładajcie w modlitwie! Uciekajcie się w tym czasie, w którym żadnej na tym świecie nie znajdujemy pomocy, do *boskiego serca* Zbawiciela Waszego, który świat pokonał i nas nieopuszcza; ono jest niezdobytą warownią i zawsze przystępną w niedoli ucieczką. Temu boskiemu sercu, pełnemu miłosierdzia i miłości polecamy, oddawajmy i poświęcamy wszystkie pieczy naszej powierzone dusze zawsze i po wszystkie czasy, teraz i na wieki.

Uciekajcie się do Matki miłosierdzia, wzywajcie potężnego wstawienia się tych wszystkich braci i patronów naszych

w niebiesiech, którzy tron Najwyższego otaczają, aby dni utrapienia skrócić raczył. Proście szczególnie o to Pana Boga w którego mocy jest wszystko, aby raczył oświecić umysły tych, którzy nas i wiarę naszą całkiem zapoznają, i serca ich zwrócić ku pokojowi, abyśmy znowu, jak ojcowie nasi, i my za lepszych czasów, w bezpieczeństwie i spokoju podług wiary naszej żyć mogli.

Módlcie się za panującego nam, Najjaśniejszego cesarza i króla i za naszą drogą ojczyznę; módlcie się za Kościół św. i głowę jego, Ojca św. Módlcie się za wszystkich biskupów i kapłanów, a osobiście za uwięzionego już brata naszego Najprzewielebniejszego arcybiskupa Gnieźnieńskiego i Poznańskiego, aby go łaska Boża pocieszała, krzepiła i rychło wolnością udarowała.

Błogosławieństwo Boga wszechmogącego, Ojca, Syna i Ducha św. niechaj spłynie na Was i pozostanie na zawsze. Amen.“

Odezwę tę datowaną w miesiącu lutym 1874 podpisali wszyscy biskupi Prus. Zawiera ona tak dla duchowieństwa pozbawionego zwierzchnika, jak i dla Wiernych ogołoconych z pasterzy, instrukcją, która do tej chwili praktyczności swej nie straciła. Odpiera z godnością, ale nie mniej z wydatną stanowczością fałszywe, a krzywdzące charakter biskupi zarzuty, jakimi rząd przez usta ministra spraw duchownych i przez motywa przedłożonych co dopiero projektów hojnie biskupów obsypał. Na takie jawne obelgi nie dozwalał im milczeć wzgląd na katolików. Charakterystyka przedłożonych ciałom prawodawczym projektów zmierzających widocznie do zupełnego wytępienia religii katolickiej, otwarcie i wybitnymi rysy napiętnowana, zapowiedziała rządowi od razu, że i te środki, również jak poprzednie, cierpienia katolików tylko pomnożą, ale stałości ich nie złamią. I tu zatem na samym wstępie miał rząd niewątpliwą pewność, że i nadal gwałtem tylko coraz groźniejszym i straszliwszym zamiary swoje urzeczywistniać może, a katolicy wytkniętą drogę, którą w czasie tej całej burzy mają postępować.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ICEK

ARENDA RZ W WIEKU XVIII.

DROBNOSTKA HISTORYCZNA ¹⁾).

Jeżeli dziś nieraz usłyszeć można skargę na żydowską część naszego społeczeństwa, na nieprzyjazne jej postępowanie względem reszty, na wyzyskiwanie tej reszty, a zwłaszcza ludności rolniczej, w sposób bardzo niesumienny — to równie często spotkać się trzeba z odpowiedzią, że to nie jest winą żydów, lecz logicznem następstwem polskiej przeszłości. Przez wieki, aż do czasów niedawnych, żyd w Polsce był ofiarą szlacheckiej swawoli i ucisku. Postępowano z nim srogo i niesprawiedliwie, i dlatego tylko nie przywiązał on się do tej nowej ojczyzny, dlatego pozostał jej obcym, niechętnym, i dlatego tym długowiekowym uciskiem zdemoralizowany, wetuje dziś to, co dawniej ucierpiał.

Prawodawstwo polskie odpiera ten zarzut najzupełniej. Wykazuje, że stosunkowo do ubiegłych wieków i ducha, który je ożywiał, nigdzie w Europie nie uzyskali żydzi praw tak dla

¹⁾ Plik aktów, na których podstawie rzecz niniejsza została spisana, dostał się w ręce piszącego zakupnem razem z pewną ilością dawnych papierów familijnych kilku rodzin wołyńskich. Wszystkie akta są uwierzytelnionemi kopiami ksiąg grodzkich, powołane zaś listy i prośba poddanych oryginałami.

siebie korzystnych, jak w Polsce. Nic innego także w tym względzie nie świadczy przeciw naszej przeszłości. Ani w publicznem, ani w prywatnem życiu narodu niema śladu tych gwałtów, ucisku samowoli, którym żydzi w dawnej Polsce mieli podlegać. Słowem: niema faktów.

Jeżeli zaś fakt jaki odgrzebie kto czasami, świadczy on zwykle o czemś wręcz przeciwnem, niż o gwałcie i samowoli polskiej szlachty względem żydów. Na dowód niech posłuży jedno z takich bardzo drobnych zdarzeń, które tem właśnie nabiera znaczenia, iż samo sobą świadczy, że nie było wyjątkowem, nadzwyczajnem, ale że było niezawodnie jednym z zwykłych i często powtarzających się.

W województwie wołyńskiem, w dawnym powiecie łuckim, znajduje się wieś Skurze, zwana często także Skurcze. W wieku XVII majątek ten należał do rodziny Charłęskich, a dzień 10 kwietnia 1609 roku był datą ważnego dla tej miejscowości zdarzenia. Oto ówczesny właściciel Skurza, Jan Charłęski z Charłęża, podkomorzy łucki, wystawił akt fundacyjny nowo wzniesionego kościoła. „Wiedząc powinność chrześcijańską“ — mówi w tymże akcie pan podkomorzy — „starać się o zbawienie dusz naszych dziateczek i poddanych, mnie od Pana Boga powierzonych, a osobiłwie aby się cześć i chwała Panu Bogu w Trójcy świętej jedynemu odemnie i od moich za dusze rodziców moich miłych, a potem za nas samych w tymże kościele odprawowała — funduję tenże kościół“ itd. Po tych pięknych słowach, dalej po dokładnem opisanu wszystkiego co ma stanowić własność kościoła, co przeznaczono na utrzymanie plebana, kantora i dzwonnika, zwraca fundator całą troskliwość na to, aby tak kościół, jak majątek Skurzecki uchronić od popadnięcia w jurysdykcję innowierczą. Prawo patronatu zastrzega naturalnie dla siebie i swych spadkobierców, „potomków i szcządków“, jak ich w akcie nazywa, lecz tylko dla katolików. Gdyby majątek dostał się do rąk innowiercy, „wyrodka domu Charłęskich“, ksiądz biskup łucki ma prawo onego potomka raz i drugi „admonować“, a gdyby napo-

mnieniem tem gardził, fundator „ekskluduje go od podania plebana kościołowi Skurzeckiemu.“ Tenże sam biskup łucki i jego następcy otrzymują na taki wypadek prawo wyraźne konferowania „majątności przy tym kościele leżącej“ któremukolwiek z dalszych powinych fundatora, t. j. „Charłęskiemu wiary kościoła katolickiego.“ „A gdzieby“ — kończy akt fundacyjny — „*quod Deus avertat*, żadnego katolika *ex utroque sexu* w domu moim niestało, (abo żeby *extra fidem sanctae Romanae ecclesiae* był), tę majątność Skurcze i z kościołem Skurceckim przyłączam do katedry kościoła łuckiego.“

Cały ten akt, świadcząc wymownie o gorliwości religijnej pana podkomorzego łuckiego, dowodzi również, iż względy ludzkości nie były mu obce. Fundacya kościoła miała pomagać „zbawieniu dusz poddanych“, a zastrzeżenie, iż majątek w ręce innowiercy przejść nie może, miało ubezpieczyć doczesną tychże poddanych pomyślność. Bo w czasach, kiedy nie opieka prawna, lecz osobisty charakter właściciela stanowił o losie poddanych, słusznie można było przypuszczać, iż szczerze usposobienie religijne będzie najpewniejszą rękojmią sumiennego z drugimi postępowania.

Przez następnych lat kilkadziesiąt zostawało Skurcze w posiadaniu męzkich potomków podkomorzego łuckiego. Ale już pod koniec wieku XVII przeszło w dom Pilawitów Potockich, a w pierwszej połowie wieku XVIII należało do rozległych majątności Michała Potockiego, wojewody wołyńskiego. W tej wielkiej fortunie miało oczywiście Skurcze daleko mniejsze znaczenie, jak niegdyś w imieniu skromniejszym Charłęskich, zaczęło poszło, iż pod opieką wojewodzińską zdarzyła się nieraz sposobność pożałować ojcowskich rządów podkomorzego. Pan wojewoda, który używał zawsze sławy człowieka prawego i religijnego, folgował mimo to rozmaitym czasów swoich obyczajom, które z jednym i drugim przymiotem niekoniecznie się zgadzały. Należało do nich nierzadkie we wschodnich prowincjach kraju wypuszczanie majątków żydom w dzierżawę¹⁾, i nie

¹⁾ Że ten obyczaj nie był w całej Polsce upowszechniony, świadczy np. Wawrzyniec Surowiecki. W wydaniu r. 1807 dziełka: „Uwagi względem poddanych w Polsce i projekt do ich uwolnienia“, powiada wyraźnie, że „obmierzone to

dość staranne troszczenie się losem poddanych. Pan wojewoda oddał Skurze w dzierżawę Ickowi arendarzowi. Szacowny ten prototyp istniejącej po dni dzisiejsze kasty, gospodarował w sposób dla poddanych i dla samego majątku bardzo uciążliwy. Gęste skargi na arendarza, przez poddanych Skurzeckich wnoszone, zostawały bez skutku. Icek posiadał zaufanie wojewody i umiał skarbić sobie jego względy. Zamiast wejrzeć w gospodarstwo Skurzeckie, na które płakał gorzko biedny lud, pan wojewoda przemożnym wpływem swoim popierał gdzieindziej sprawę Icka.

Świadczy o tem własnoręczny list młodego podówczas Michała Wielhorskiego, starosty Sieleckiego, pisany dnia 8 marca 1747 r. do wojewody Potockiego. Jestto wyraźna odpowiedź na list wojewody. Zacząwszy od szumnego tytułu „*Monseigneur*“ i umieściwszy w kilkunastu wierszach mnóstwo wyrazów szacunku, wdzięczności a nawet „ucaławania nóg“, oświadcza starosta: „Interes arendarza Skurzeckiego zaleciłem rządcom dóbr moich, ażeby był jak najprędzej uspokojony; prawda, że z bankrutami ma sprawę, a osobiwie z jednym najniepewniejszą, jednakże będę miał w pamięci obmyśleć mu satysfakcyą, któremu dałem deklaracyą, aby się do mnie referował, jeżeliby go chciano zwodzić, w czym żeby nie inkomodował JWWMć Pana Dobrodzieja.“

Sprawą, o której mowa, były wierzytelności Icka u żydów Horochowskich. Zamożny arendarz Skurzecki był, jak widać, bankierem całej okolicy. Żydzi Horochowscy, dłużnicy Icka, straciwszy wiele skutkiem niepomyślnego handlu, nie mogli uiścić się z długu w czasie w sposób należyty. Icek nie należał do wierzycieli wyrozumiałych, poruszył więc wszelkie sposoby, aby jak najprędzej dojść swej własności.

Młody starosta Sielecki dotrzymał przyrzeczenia i zajął się gorliwie sprawą przez wojewodę zaleconą. W ciągu dwóch lat wyekwował wszystkich dłużników, z wyjątkiem jednego, owego „najniepewniejszego bankruta“, kupca Abramka. Ściągnięto zeń wprawdzie także znaczną część długu, lecz reszty kilkuset zło-

systema dziedziców ruskich, długo nieznane w Polsce, zaczyna się już teraz mocniej rozszerzać.“

tych, z powodu rzeczywistego ubóstwa dłużnika, na razie żadną miarą wydobyć nie można było.

Przyciśnięty Abramko szukał rozmaitych sposobów ratunku. Według dawnego prawa żydzi w sporach między sobą zdawać się mogli na sąd własnego kahału. Icek jednakowoż nie chciał uznać wyroku tego sądu. Inne prawo oddawało żydów osiadłych w majątnościach szlacheckich dworskiej jurysdykcji. Za decyzją urzędu zamkowego w Horochowie oddawał Abramko Ickowi „kramnice i do mieszkania swego dopuszczał się interesować.“ Lecz „Icko acceptować tego przez swoją zwykłą zuchwałość nie chciał, wszelakim sądom tak dworskiej jurysdykcji jako i żydowskiej stawić się wzbraniał i żadnego zgoła sposobu sprawiedliwego nie uważał.“

W ciągu tej sprawy umarł wojewoda wołyński. Skurcze przeszło na własność najstarszego syna z pierwszego małżeństwa wojewody z Zofiją Czerniecką, Feliksa Wincentego, podówczas starosty krasnostawskiego, później kasztelana nakielskiego. Icek spodziewał się widocznie, że nieograniczone fawory ojca zachowa względem niego syn i przeto wcale sposobów postępowania nie zmieniał. Zaufany w dotychczasowej bezkarności, a nierad z wyroków horochowskich, przedewszystkiem zamierzył sam sobie uczynić sprawiedliwość. Przy końcu roku 1748 przytrzymał na drodze dwóch żydów, kupców horochowskich, którzy z nim żadnej sprawy nie mieli i nic mu winni nie byli. Zabrał im towar wartości półtora tysiąca złotych, oświadczając, że wetuje tym sposobem krzywdę, jaką poniósł w sprawie swej z Abramkiem.

Byłto gwałt jawny, niczem nie usprawiedliwiony. Żydzi horochowscy, którzy dla Icka sympatyi mieć nie mogli, jużto z powodu wzgardzenia sądem kahalnym, jużto dla srogości względem niektórych współwyznawców okazanej, podnieśli oczywiście wielki lament. Starosta sielecki, temi prośbami i żałami naglony, ujrzał się zmuszonym wystósować znowuż do starosty krasnostawskiego list, upominający się bardzo stanowczo o zadośćuczynienie dla swoich żydów, zaprawny nawet pewnym odcieniem goryczy, który osobiwsze stanowi przeciwieństwo z wyrazami szacunku i uniżoności, jakich pełen list tegoż samego pana Wielhorskiego, przed dwoma laty do ojca starosty krasnostawskiego pisany.

W tym samym zapewne czasie doszedł rąk pana Potockiego akt inny, skarga poddanych skurzeckich na Icka arendarza. Odzywając się niejednokrotnie bez skutku do ojca, spróbowali teraz u syna żebrać miłosierdzia, uskarżyć się na swą niedolę. Wymowna ta skarga brzmi w całej osnowie jak następuje:

„Jaśnie Wielmożny Miłościwy Panie i Dobrodzieju nasz!

„My uboga gromada Skurzecka, poddani JW Pana, zanosimy pokorną suplikę, skarżąc się na niewiernego Icka Josiewicza, arendarza skurzeckiego, który przez wszystkie lata arendy swojej wielką nam czyniąc dolegliwość, nieznane krzywdy i uciemżenia wyrządzał, tak że nas w całej wsi JW Pana wniwecz obrócił i nie mało ze wsi powyganiał, że dla jego rządów po cudzych dotąd tułają się kątach; bo naprzód pola zdawna i grunta według osady każdemu nadane, wszystkie nam poodbierał, i z tych po ciężnemu każdemu po złotych cztery, pięć i więcej brał na siebie. Ogrody puste, których 50, te na siebie obracał, które do gromady należą, a kiedy puścił z nas komu, to nietylko iskop ale i szostak bity i kurę brał. Człek ubogi gdy sobie zarobił pług, i ten mu dać musiał; pokłony i iskopie, pułannicy co dają do dworu, za niego nastało kur osiem, kapłunów dwa i pół gęsi, półmacek owsa i żyta, i jemu iskop dawać muszą. Po spustów kilkanaście gorzałki, choćby człek niechciał brać, narzuca i gwałtem w koryta leje, a potem dobytki zabiera i exekucją agrawuje, tak że wieś cała od chudoby odpadła. Zasiewając na siebie gruntów wiele, na żązyny, obżyny iść każe i pańszczyzne sobie robić. Wygon koło karczmy poorał sobie, tak że dobytku niema gdzie wygnać gromadę, na którym po styrcie zboża miewał, jako przeszłego roku styrtę jęczmienia miał, teraz żytem zasiał. Las spustoszył pański, wycinając młodociane drzewo na ogrodzenie swoich obszarów. Iskop kiedy przyjdzie, prosząc który człek aby wytchnął, to póty nie pojedzie, póki nie weźmie człek kilkunastu kwart gorzałki i nie da mu kur dwoje. Z cerkiewnych pół iskop bierze. Jeden człowiek z żoną na przywóz sobie z popem wódki kwart dziewięć, za to arendarz sobie dać kazał dwa korce pszenicy, czterdzieści złotych i za drugie czterdzieści złotych narzucił gorzałki a popowi wziął konia. Za spust wódki, w którym miejskich

„garcy trzy, każe sobie płacić po taleru bitym; na wesele albo „chrzciny po spustów kilkanaście narzuca. Chudoby bierze tak: „co warta złotych trzydzieści, to w dziesiątku, rachunku nie słu- „cha aż do roku i dalej odkłada. Romaniukowi Iwanowi na we- „sele narzucił spustów ośmnaście wody nie gorzałki, za którą „wziął złotych sto dwa, a jeszcze siedemdziesiąt winien i wołu „wziął, co wart był złotych pięćdziesiąt ukraiński, a wziął go „za trzydzieści. Waśko Buczak dał złotych dziewięćdziesiąt „i pięć, a jeszcze chce od niego złotych czterdzieści, a ten nie „pija. Pawlukowi wziął wołu w złotych dziesięciu, a wart był „złotych dwadzieścia. Matwijowi za strużkę wziął krowę z by- „kami, za które byki wziął złotych sto, i ten tułając się umarł. „Motki swoje narzuca. O które krzywdy kilkanaście suplik „i za świętej pamięci J. W. P. podawaliśmy, ale zawsze za- „pobiegł, żeśmy nie mieli przystępu i te supliki Pana nie do- „chodziły, co chciał z nami robił. O co pokornie żebrzemy „łaski Pańskiej, aby w to wejrzeć raczył, a my Pana Boga „prosić będziemy za szczęśliwe panowanie i życie długoletnie „J. W. Pana.“

Po dłuższym szeregu krzyżyków umieścił pisarz prośby nazwiska pryncypalnych suplikantów: „Moskal Łeśko, Chwe- „sko Łośki, Pawluk Tymosz, Krawec Riczko, Semeniuk Isko, Moskal Iwan, Mełnik Michałko, Leget Kryk, Postapeć Waśko, Buczuk Łucko, Charliński Macko, Potapciów Chwesko, Wasyl Zapyroj, Hrycko Prystupa, Iwan Awriluk, Iwan Czernia¹⁾.

Tym razem skarga trafiła dobrze. Pan starosta krasno- „stawski postanowił przedewszystkiem wejrzeć dokładnie w za- „żalenia poddanych. Na „sąd przyjacielski“ uproszono dwóch „poważnych obywateli, pana Jerzego z Wigurzyc Wigurę, cze- „śnika żydaczowskiego i pana Gabryela Zabokrzyckiego. A że „skarga donosiła o przestępstwach „uczynkowych,“ które pod- „padały jurysdykcji starościńskiej, udzielono panom „przyjacio- „łom“ „mocy starościńskiej.“ W marcu 1750 roku przeprowa- „dzono na miejscu szczegółową indagacyą, sprawdzono zażale-

¹⁾ Suplikę tę drukujemy dosłownie, nawet tam, gdzie jest wi- „doczne opuszczenie lub niewłaściwe wyrażenie. Czytelnicy „zechcą uwzględnić tę wyrozumiałość dla szacownego ory- „ginału.

nia składane pod przysięgą i przekonano się, że skarga istotnych nadużyć Icka bynajmniej nie przesadzała.

Siedząc przez lat dwadzieścia na arendzie skurzeckiej — opiewa wyrok sądowy — Icek, „*uti alter haeres*, rządził się, gromady ciężko uciemiężał. I tak wiele z jego okazyjej ludzi poszło, po których pozostałe rzeczy, bydła, konie, odzież, zboża i gotowe i w polu zasiewy brał i na swój pożytek obracał, ludzi bił, krwawił, kaleczył, gorzałki po pięć spustów, sześć, nie mając pozwolenia kontraktem, narzucał nietylko na gromadę, ale i hospodyńów, wpół z wodą, nie mając gdzie lać, w koryta szpetne wylewał; hospodyna skurzeckiego zbił; dziesięciny z półroboczych, co z nich pańszczyznę robili, nie mając tego w kontrakcie, nienależycie brał.“ Wyliczywszy dalszy szereg nadużyć, orzeka wyrok: „A po wykończonym juramencie od gromad, zważywszy sąd przyjacielski: uznawszy tak ciężką pańską ruinę i gromady, nakazuje, aby niewierny Icko za panowanie i rządy w dobrach pańskich lepiej niż pan dziedziczny, za tak wielką dezolacją oddał do skarbu pańskiego JWJMci Pana starosty krasnostawskiego i wyliczył złotych polskich tysięcy ośmnaście; za kaleczenie, bicie, krwawienie i różne zbytki żydowskie nad hospodynem i gromadą chrześcijanami, za tak wielką wagę sąd przyjacielski nakazuje, aby tenże niewierny Icko na kościół skurzecki złotych trzysta, a na cerkiew skurzecką złotych dwieście oddał i wyliczył.“

Prócz tych kar musiał Icek zapewne stracić także dotychczasową arendę. A jakkolwiek poddać się musiał wyrokowi, nie spieszył wcale z wykonaniem włożonych na siebie zobowiązań. W dwa lata później znajdujemy go na innej arendzie, mianowicie „w dobrach wsi Łobaczowce, także w województwie wołyńskim a powiecie łuckim leżących, JWgo Karczewskiego kasztelana konarskiego dziedzicznych.“ Z sum przyznanych staroście krasnostawskiemu wyrokiem sądu przyjacielskiego, był Icek ciągle jeszcze dłużnym dwanaście tysięcy złotych, a że nie spieszył z ich oddaniem, świadczy wyrok sądu grodzkiego włodzińskiego „*ad affectationem juridicamque requisitionem*“ starosty krasnostawskiego, mocą którego woźny generał województwa wołyńskiego w r. 1752 tegoż Icka w Łobaczowce „z żoną, dziećmi *ac cum omni supelle-*

ctili, ad ulteriorem decisionem negotii, in summa dwunastu tysięcy złotych polskich aresztował i prawnie przyporęczył.“

Przyporęczenie tyczyło się właściciela majątności, w której Icek podówczas zamieszkał i którego jurysdykcji podlegał. Tym sposobem stawał się pan kasztelan konarski odpowiedzialnym za Icka wobec pana Potockiego.

Wszedłszy raz pod jurysdykcją starościńską, postępowała sprawa zwolna i z oporem. Icek używał wszelkich możliwych wykrętów, a p. kasztelan konarski, nowy jego opiekun i jurysdator, okazał się tak oględnym, jak niegdyś wojewoda Potocki. „Przyporęczenie“ niewiele pomogło. Bezpiecznie i spokojnie siedział Icek w Łobaczówce, a p. starosta krasnostawski, za dawniejsze jego sprawy pociągany do odpowiedzi, ujrzał się w położeniu wcale nieprzyjemnem. Sprawa z żydami horochowskimi dotąd nie była załatwioną. Icek wyniosłszy się ze Skurza, nie myślał oczywiście o żadnem zadośćuczynieniu. Pan Wielhorski, upominając się zrazu wprost u p. Potockiego o krzywdy swoich żydów, kiedy ten nawet swojej własnej należytości nie był w stanie odebrać, poszedł nareszcie także na drogę sądową.

Cała akcja skupiła się w grodzie łuckim, którego starostą był podówczas Stanisław Kostka na księstwie koreckim, Kalwarii i Olexińcu książę Czartoryski, Łowczy wielki koronny, łucki, radoszycki etc. starosta. Pan starosta Potocki, wezwany o sprawiedliwość z Icka, jako swego dawnego poddanego przez pana starostę Wielhorskiego, w r. 1753 wydał przez tenże gród łucki równocześnie dwa pozwy: najpierw kasztelanowi konarskiemu o dostawienie Icka „do wskazania win prawnych na nim;“ dalej staroście sieleckiemu do odebrania tegoż samego Icka, a uwolnienia starosty krasnostawskiego od wszelkiego procesu. Sprawa miała się sądzić na roczkach grodzkich łuckich na kadencji marcowej przed starostą księciem Czartoryskim.

Na dniu trzecim marca zapadł istotnie wyrok, skazujący pana Piotra Karczewskiego na wydanie Icka *cum omni suppellectili* panu Potockiemu, i na zapłacenie luitu, tj. grzywny sądowej. Jedno i drugie, pod zagrożeniem kar surowych, konstytucjami opisanych, miał wypełnić pan kasztelan konarski w tymże grodzkim urzędzie łuckim na dniu 3 kwietnia 1753 r.

Lecz nie wypełnił. Pan Potocki, który całkiem świeżo postąpił na godność kasztelana nakielskiego, wysłał na dzień naznaczony do Łucka swego ekonoma, Ignacego Szawrańskiego, skarbnika buskiego, który po odebraniu Icka miał go oddać bezzwłocznie w ręce starosty sieleckiego. Ponieważ jednak jaśnie wielmożny kasztelan konarski wyrokowi prawomocnemu się sprzeciwił, Icka nie oddał i luty nie zapłacił, nie pozostało skarbnikowi nic innego, jak przed urzędem i księgami grodzkimi uroczysty założyć protest. Wskutek tego urząd grodzki przydał mu woźnego generała, który tamże w kancelaryi łuckiej „*in frequentia plurimae nobilitatis*“ na jaśnie wielmożnym Piotrze na Beresteczku Karczewskim, kasztelanie konarskim „względem sprzeciwienia się dekretowi grodzkiemu łuckiemu, wieczną banicję *voce sonora* obwołał i publikował.“

Takiżsam dekret zagroził drugiemu kasztelanowi, Potockiemu. Starosta Wielhorski raz dekret uzyskawszy, że Icek ma mu być wydany, domagał się tego wydania bez względu na zaszłe okoliczności. Jeszcze w ciągu tegoż roku 1753 zmuszonym się ujrzał kasztelan Potocki przed urzędem grodzkim w Łucku zamanifestować i zastrzec, iż dla tego tylko panu Wielhorskiemu Icka nie wydał, ponieważ nie może go odebrać od Kasztelana Karczewskiego, i że wyda bezzwłocznie, skoro wyrokom sądowym zadość się stanie.

Otóż tak dla całkiem osobistej i nieczystej sprawy pospolitego arendarza jeden z wysokich dygnitarzy, senator, ujrzał się baunnitą, drugi senator omal nim nie został, kilku najznakomitszych obywateli prowincyi stanęło wrogo przeciw sobie, włączyło się, manifestowało i protestowało po grodach, sądy ferowały wyroki na wstyd zacnej i znakomitej szlachty, a główny winowajca bezpiecznie arendował w Łobaczówce prawdopodobnie w takisam sposób, jak dawniej gospodarzył w Skurzem.

Ale naostatek przebrała się miarka. Już w kwietniu następnego 1754 roku ujrzał się Icek zmuszonym do zawarcia dobrowolnej ugody z pokrzywdzonymi przez się przed pięciu laty żydami „obywatelami horochowskimi.“ Przyszła takowa do skutku na zamku horochowskim. Icek musiał zapłacić szkody zrabowanych na drodze żydów kwotą kilku tysięcy złotych, a ci natomiast — orzekał wyrok — „powinni będą sta-

nąć do grodu i autentycznie wspomnionego Icka skurzeckiego tak z zaboru jako z prawnego procesu i innych wszelkich pretensyj, oraz jasnie wielmożnego JMć pana Starostę Krasnostawskiego kwitować deklarują i powinni będą.“ Skutkiem tego odwołano także banicyą na kasztelana konarskiego ogłoszoną.

Jak widać z aktu tego, sprzykrzyła się panu Karczewskiemu protekcyja niespokojnego arendarza, któremu zapewne Łobaczówkę opuścić przyszło, gdyż w intytulacyach nazywa się już tylko byłym skurzeckim arendarzem.

Do Skurza nie wrócił także. Pocziwa intencya podkomorzego Charłęskiego, fundatora kościoła, zwichnięta w ciągu lat dwudziestu wskutek arendy Icka, znalazła zapewne zadośćuczynienie w latach następnych. Inne zadośćuczynienie znajduje w tym drobnutkim szczególnie historycznym przeszłość nasza, osławiona nieraz nad wszelką miarę i słuszość właśnie pod względem stosunków społecznych. Co do żydów, nie ucisk zarzucić jej można, ale chyba zbyt wiele łagodności. A co do włościan, jeżeli dzisiaj razi, iż krzywdę chłopów sąd przyjacielski w wieku XVIII zapłacić nakazał ich właścicielowi, staroście i Panu Bogu, to zauważać należy, że o tym samym czasie na całym kontynencie europejskim był chłop wszędzie własnością pana i panny za niego płacono. Bądź co bądź, ten wyrok sądowy był dla poddanych Skurzeckich prawdziwym dobrodziejstwem, bo uwalniał ich odrazu i stanowczo od plagi arendarza. A i to można powiedzieć, że dzisiaj jeszcze byłby nieraz wyrok podobny takiemsamem dobrodziejstwem dla niejednej gminy, uciskanej, niszczonej, jak niedys Skurze, przez arendarzów za pomocą wódki, podrobionych weksłów i legalnej pomocy sądowej.

B. Kalicki.

SOFOKLES

I JEGO TRAGEDYE.

(Tragiccy Grecy, przekład Z. Węclewskiego. Poznań 1875.)

(Dokończenie).

VII.

Utrzymują, że żadna z tragedyj Sofoklesowych nie była z większym przyjętą zapalem przez Ateńczyków, jak *Antygona*, gdyż zasługę dramatycznego poety miano wynagrodzić godnością stratega.

Wiele świadectw zgadza się na to, że Sofokles mianowany wodzem wojska i floty Ateńskiej w wyprawie na Samos, miał sobie tę godność nadaną wskutek przedstawienia Antygony: zapewne nie dla tego, żeby w wierszach dostrzegli osobliwych zdolności na jenerała, lecz że w ten sposób wynagradzali talent, jak to już wpierw spotkało poetę Phrynichusa; taki bowiem był obyczaj u tego ludu dowcipnego i lekkiego, który z namietnością do sztuki i poezyi łączył wszystkie kaprysy władzy absolutnej, i jak najpoważniej traktując sprawy polityczne, niespuszczał z oka swoich zabaw, rozrywek, przyjemności.

Cóż ma w sobie ta Antygona, że w takie uniesienia wprowadzała Ateńczyków? Przecież tyle innych tragedyj tegoż

poety nie ustępuje jej w niczem, a niekiedy przewyższa umiejętniejszą i głębszą kompozycją i doskonałością wykończenia? Oto w *Antygonie* znalazło się to, czego inne nie miały; tragedia ta uderzała heroicznem malowidłem człowieka, który ażeby spełnić prawo moralne, nie tylko poddaje się dobrowolnie nieszczęściu, ale szuka go, poświęca się, oddaje życie. i przez ten czyn najszczytniejszy daje świadectwo godności człowieka i jego ziemskiemu posłannictwu. Zdaje się że to, a nie co innego, tak zachwyciło w *Antygonie*.

Przedmioty do dramatu greckiego były brane, jak już widzieliśmy przy innych tragediach, z historii kilku bajecznych rodów, mających jakby przywilej, budzenia natchnień w poetach i entuzjazmowania publiczności ateńskiej. Dzwonne to przeznaczenie arystokracji dochowało się i na tegoczesnej scenie; od rodów *Edypa* i *Atreusa* tradycja do dziś się przeciąga, i niema prawie tragedyi, żeby jej nie napępiały nieszczęścia lub zbrodnie którego z wielkich historycznych rodów.

Rzecz dzieje się w *Tebach*, gdzie panował *Eteokles*; na *Teby* uderza z wojskiem argejskiem brat jego *Polinejkes*. *Eteokles* ginie; a na miejsce jego rząd bierze w swe ręce *Kreon*, i kazawszy przywoicie pogrzebać ciało *Eteokla*, zabrania najsurowiej grzebać zwłoki *Polinejkesa*, jako podnoszącego oręż przeciw ojczyźnie.

Lecz była tam *Antygon*a, siostra *Polinejkesa* i *Eteokla*, która nie zważając na zakaz władzy, postanowiła pochować ciało drogiego jej brata, i to szlachetne wykroczenie przypłaciła życiem.

Ażeby zrozumieć, czem ten przedmiot mógł tak bardzo interesować *Ateńczyków*, trzeba przenieść się w świat ich wyobrażeń co do świętości pogrzebu i żałobnych obrzędów. Niepogrześć zwłok umarłego, było jedno, co go skazywać na stuletnie błąkanie się nad brzegami *Styxu*, a oraz gwałcić prawa bóstw podziemnych, wydzierając im w ten sposób duszę należącą do nich. W czynie takim była i bezbożność i barbarzyństwo, dwie zbrodnie wstrętne Bogom i ludziom. Dla tego też czuwać nad zwłokami przyjaciół i krewnych, aby te nie były sprofanowane, lecz owszem pochowane uczciwie i podług religijnych przepisów, było jednym z głównych

obowiązków pobożności. Te uczucia i ta wiara stanowią rdzeń „Antygony“, i wszędzie się spotykają tak w historyi greckiej, jak w poezyi, która często bywa dowodniejszym świadectwem, niż sama historia. Niespotykamyż np. w Homerze tych nieustannych bójek przy zwłokach bohatera, zacięcie staczanych w obawie, aby nieprzyjaciel nieporwał ich i nie dał psom i sępom na pożarcie? A jakże często widzimy te wzruszające ceremonie pogrzebowe, kiedy matka, żona, siostry, przychodzą drogą zwłoki obmywać, namaszczać, okadzać, i przygotowywać na stos, mający je w popiół zamienić? Czemże kończy się Iliada, jeżeli nie widokiem ojca, który przychodzi wykupić ciało syna, i płacząc, całuje rękę, która go zabiła? We wszystkich niemal tragediach powtarza się ta sama ważna kwestya pogrzebu. Jeżeli więc sprawa tego rodzaju mogła interesować w „Antygonie“, obracającej się głównie koło tej kwestyi — to ani wątpić, że nierównie więcej działał na Ateńczyków despotyzm Kreona i poświęcenie się Antygony, przedstawione w sposób tak przemawiający do współczucia. Dziśaj nawet czytając Antygonę podzielimy prawie te same wzruszenia, jakie niegdyś wywoływała na scenie ateńskiej. Obyczaje, prawa, religia, mogły się zmienić z biegiem wieków; atoli pod inną formą, zawsze żyć będzie w sercu człowieka to uczucie, które sięga po za grób, każe się zadumać nad drugim życiem czekającym po śmierci, a przeto smutnym szczątkom zostawionym na tym padole nadaje pewne piętno poszanowania i świętości.

Początek tej tragedyi odrazu zaostcza ciekawość i podbija uwagę widza na tę grę, jaka się przygotowuje między heroizmem rodzinnej powinności a tyrańskim prawem państwa, depcącym świętości domowego ogniska.

Antygona siostrę Izmenę wyprowadza z pałacu, i zdaje się być pod wpływem mocnego wzruszenia; bo oto Kreon królujący w Tebach, zabrania pochować zwłok Polinejesa, i ktoby śmiał to uczynić, będzie przez lud ukamienowany. Wszakże, choćby się miała na największe męki narazić, spełni na zwłokach brata to, co jej nakazuje przywiązanie i święte prawo religijne. Zamiar swój powierza Izmenie, i niewątpi, że ona połączy się z nią w tym czynie. Lecz Iz-

mena odmawia; nie przeto, żeby nieczuła miłości braterskiej; tylko że czuje się zbyt słabą do stawienia czoła przemocy. Między siostrami toczy się spór w ożywionej rozmowie, gdzie występują różnice tych dwóch charakterów, lubo tchnących jednym i temsamem uczuciem. Jedna gotowa poświęcić się bez względu na rozsądne ludzkie uwagi, bez względu na grożące niebezpieczeństwo, zapala się i unosi; druga, równie kochająca brata, lecz mniej heroiczna, poddaje się gniotącej tyranii, i na wyrzuty siostry odpowiada tylko skargami i płaczem na los prześladowczy.

Antygona niedając się wstrzymać prośbami i zaklęciami Izmeny, spieszy spełnić szlachetny, lecz niebezpieczny obowiązek.

Na scenę występuje chór starców, którym Kreon ogłasza swój ukaz co do zwłok Polinejesa. Mowa jego pełna maksym moralnych i politycznych, doskonale charakteryzuje zwykle przemowy despotów, gdzie sofistyczny wybieg maskuje gwałt przemocy, gdzie nieludzki wyrok ubiera się w blichtry sprawiedliwości i dobra państwa. Na to, a nie na co innego, zwołał on radę starców, których zdania zasięga, a prawo już wykonywa. Niepotrzebne mu ich zezwolenie, chce, by go chwalili; i chór bije mu czołem. We wszystkich tragediach greckich chór odgrywa tę rolę; ma on uczucie porządku i sprawiedliwości, lecz zarazem bywa bojaźliwy, ostrożny, przenikniony tem sobkostwem, które zwykle cechuje ogół; duchy dzielniejsze, wybrane, zawsze tworzą mniejszość tak w świecie rzeczywistym jak na scenie.

Zaledwie ukaz Kreona został podany do powszechnej wiadomości, już nastąpiło wykroczenie. Akcja prędko się posuwa.

Jeden ze strażników postawionych przy zwłokach Polinejesa, aby nikt nie śmiał do nich przystąpić i pogrzebać, donosi Kreonowi, że o wschodzie słońca znaleziono ciało posypane ziemią i pochowane z obrządkiem religijnym; lecz kto był sprawcą, niewiedzą. Chór bojaźliwie domyśla się, że może Bogowie mieli w tem udział, co oburza Kreona dalekiego od podobnej łatwowierności; strażnikom zaś grozi najsroższymi karami, jeżeli sprawca nie zostanie odkryty.

Ten sam strażnik, figura nieco komiczna, który wychodząc z pałacu Kreona, zarzeka się nigdy tu nogą niepostać — wraca po jakimś czasie, nie sam, lecz z winowajcą złapanym na gorącym uczynku. Tak Kreon jak starce chóru w tym winowajcy poznają Antygonę. Zwłoki Polinejsesa znowu leżały porzucone na pastwę psom i ptastwu; straż postawiona na bliskim wzgórku miała je na oku — gdy w tem, zerwał się wichur i podniósł takie tumany kurzawy, że nic nie było widać dookoła; dopiero z ustającą zawieruchą:

„Ujrzelśmy dziewicę, co szerzyła skargi
 Żałosne, by ptaszyna w głos, kiedy zobaczy
 Gniazdeczko swoje puste, piskłat pozbawione.
 Tak i ona, gdy trupa zoczyła nagiego,
 Uderzyła w lamentsy i przekleństwa straszne
 Miotła na tych, którzy czyn ten popełnili.
 I niebawem w swych rękach zniosła piasek suchy,
 Ze spiżowej, misternie ozdobionej czary
 Lejąc, trzykróć ofiarą uczciła zgasłego.“

Opowiadanie swoje kończy tem, że aczkolwiek mu przykro spełniać tę srogą powinność — jednakowoż *prima charitas ab ego*; oszczędzając drugich, samemu można wpaść w biedę — a on tego sobie nie życzy.

Jakże to sobkostwo pospolitej duszy dalekiem jest od heroizmu Antygony! Sofokles umie znachodzić takie kontrasty, ale nie goni za niemi; same one się nawijają, aby tem żywsze zajęcie budziła Antygona.

Następuje ważna chwila oczekiwania, co dziewczę odpowie na to oskarżenie i jak się Kreon względem niej pokaże.

Tu zawiązuje się wielkich piękności dyalog między panem śmierci i życia, a stojącą przed nim ofiarą:

KREON.

Ciebie, co głowę zwieszasz na dół, ciebie pytam,
 Wyznajeszli, czy przeczysz, żeś czyn ten spełniła?

ANTYGONA.

Przyznaję się do czynu, i wcale nie przeczę.

KREON.

... Nie w długiej mowie, lecz zwięźle mi powiedz,
Wiedziałaś o zakazie, by tego nie robić?

ANTYGONA.

Jakżeż nie miałam wiedzieć, kiedy był publiczny?

KREON.

A jednak przeciw prawu tyś śmiała wykroczyć?

ANTYGONA.

Nie ogłosił mi praw tych ni Zeus, ani Dike,
Która wespół z Bóstwami podziemnymi mieszka.
Toć oni dali ludziom ustawy w tym względzie.
Niemiałam zaś rozkazów twych za tak potężne,
Żebyś w nich napisane, wiekuiste Bogów
Przykazanie mógł jako śmiertelnik pogwałcić.
Nie od dziś, nie od wczoraj, od wieków istnieje
Prawo ich, i nikt niewie, od kiedy się wszczęło.
Niechciałam więc ze strachu uleść pysze człeka,
I łamiąc przykazanie ściągnąć na się karę
W sądzie bóstw. Toć o tem, że umrę, wiedziałam
I bez twego ukazu. Jeśli zaś wcześniejsza
Śmierć mię zabierze, zyskiem to owszem nazywam.
Bo jakże temu, który jak ja tyle nieszczęść
Doznał w życiu, śmierć zysku nie miałaby przynieść?
Toż nie mam sobie za nic bólu, że los taki
Mnie dostał się w udziale; nie, gdybym musiała
Zostawić syna matki mej niepogrzebionym,
Pękałoby mi serce. Reszta mię nie trapi,
Choćbyś ty mię pomówił nawet o szaleństwo
I zadając nierozum, sam był nierozumny.

Język ten jest prosty i wzniosły zarazem. Antygona nie ratuje się żadnym wybiegiem, żadną wymówką; nie robi się dumną i wyzywającą, a jednak poniża tyrańską zapamiętałość Kreona. Niema ona owych uniesień, zwykłych u ofiar teatralnych. Za to Kreon unosi się, widząc jej spokój niezłomny, na co ona mu odpowiada:

„Czy czego więcej chcesz, niż ujawszy mię, zabić?”

Zdaje się, iż tyran chce ją wpierw przekonać, nim ją zamorduje. Przed chwilą obwiniał ją, teraz sam się broni. Jednakowoż mimo sofizmatów, któremi mydli oczy, bezbożność i okrucieństwo zdradza się w każdym jego słowie; czy gdy powiada, że lud tebański jednego z nim zdania, a ona przeczy, mówiąc, że strach zamyka mu usta, lecz w cichości pochwała jej czyn; czy gdy jej zarzuca, że na równi kładzie obrońcę ojczyzny (Eteokla) i wroga (Polinejesa) — ona zapytuje, czy ta różnica uwalnia od powszechnego a boskiego prawa grzebania umarłych? Nakoniec gdy Kreon mówi:

„Wróg nieprzestaje wrogiem być nawet po śmierci.“

Antygona odpowiada sławnym wierszem, w którym maluje się tkliwa jej dusza, wyprzedzająca uczucia chrześcijańskie:

„Nieumiem nienawidzić, tylko kochać razem.“

W dalszym toku tego dramatycznego śledztwa, przybywa wezwana przez Kreona Izmena. Niedawno widział on ją mocno wzruszoną i pomieszaną, i ztąd podejrzywa ją o współudział w zbrodni. Izmena niebroni się od zarzutu; owszem powiada, że nie miała dość odwagi, aby wziąć udział w poświęceniu się Antygony, która ze swojej strony odpycha narzucającą się Izmenę:

Wraz zemną ty nie umrzesz, a czegoś nie tknęła,
Niechciej sobie przywłaszczać. Dosyć, że ja umrę.

Mówi do niej z pewną szorstkością, nie chcąc zapewne niewinnej narażać na śmierć, a może, żeby nie mieć współzawodnika do palmy męczeńskiej.

Naprawdę Izmena chce zmiękczyć serce Kreona dla tej, która miała zostać małżonką jego syna Hemona. Okrutnik niczem się niedaje wzruszyć, równie jak Antygona nie chce przyjąć żadnej ulgi w swoim losie, któremu się poddała:

Już ja oddawna umarłam —

Ty żyjesz, by mi oddać ostatnią przysługę.

Kreon niezdolny pojąć tego szaleństwa obu sióstr, każe je odprowadzić do pałacu, gdzie o ich losie postanowi.

Atoli zjawia się nowa postać na scenie; jest to Hemon, syn Kreona, narzeczony Antygony, który przychodzi bronić swej oblubienicy. Silne namiętności i uczucia grają w jego słowach, obok nieśmiałości młodocianej i czci powinnej dla ojca, co w tem większą wściekłość wprawia Kreona, grożącego mu, że w jego oczach każe zabić Antygonę. Hemon wręcz oświadcza, iż potrafi uniknąć tego widoku, bo oczy ojcowskie więcej go nie zobaczą. Ukryte znaczenie tych wyrazów nie może ujść przenikliwości chóru, lecz tyran uniesiony gniewem puszcza je mimo uszu. Chór bojaźliwie wstawia się za Izmeną i uzyskuje ułaskawienie dla niej; co się zaś tyczy Antygony, której nie śmieją bronić owi tchórzliwi starce, Kreon rozkazuje ją zamknąć w skalistej pieczarze,

Żywności dawszy nieco tylko, by ujść grzechu
I zabezpieczyć miasto całe od zakały.

W tem uwięzieniu może pozna, że na nic się nie przyda wielbić Bogów podziemnych.

Charakterystyczny język despoty; mięszanina srogości z resztkami zabobonu — zgoła religia godna tyrana.

Wtem strażę wprowadzają Antygonę; idzie ona, aby być zamurowaną w pieczarze. Ostatnie rozwinięcie jej charakteru dopełnia się w scenie niezrównanych piękności. U dzisiejszego poety Antygona byłaby stopniowo doszła aż do pogardy śmierci, a ostatnie jej wyrazy tchnęłyby szumną apostrofą do heroicznej odwagi. Przeciwnie dzieje się u Sofoklesa. Jego Antygona odrazu wpada w zapał, jakto zwykle się zdarza, kiedy duszę owionie jaka myśl szlachetna. Z tego stanu uniesień przechodzi do spokojniejszego zastanowienia się nad swoim czynem i nad skutkami, jakie pociągnie za sobą; w końcu, gdy już czyn spełniony i dokonana ofiara — rzuca tęskne spojrzenie poza siebie; płacze młodych lat tak nagle przeciętych; żałuje tego słońca, którego już nie ujrzy; żal jej tego małżeństwa i macierzyństwa, jakiego nigdy nie zaznała: zgoła wszystkich słodczy i przyjemności życia. Przelotne te wspomnienia i marzenia miękczą jej duszę, która dotąd nieokazała najmniejszej słabości — a gdy już staje u kresu swego przeznaczenia, budzi się jak-

by ze snu, siły ją opuszczają, rozpacza, umysł jej błąka się — bo oto spotyka ją najsroźsza boleść; odwołuje się do ludzi, mniemając, że w sercach ich znajdzie dla siebie współczucie — gdzie tam! chór starców tebańskich odpłaca jej obojętnością.

Dopiero obecność Kreona stawia ją na tej wysokości, z której zeszła na chwilę. Znowu roztacza ona sprawę swoją przed Tebańczykami, dowodzi im sprawiedliwości swego postępuku, a niegodziwości dosięgającej ją kary; w końcu opuszczona od przyjaciół, wątpi w opiekę bogów:

Och! biedna! od przyjaciół opuszczona, żywa
Zstępuję do umarłych podziemnej mogiły.
Jakiegoż dopuściłam się względem bóstw grzechu?
Jak biedna mam się jeszcze oglądać na bogów?
Kogo o pomoc prosić? gdy będąc im wierna
Jam zarzut bezbożności ściągnęła na siebie!
Lecz jeżeli to za dobre uchodzi u bogów,
Przyznam, że zasłużenie cierpię za przewinę;
Jeżeli zawinili zaś owi, niech większych
Mąk niedoznają, niż mnie sprawili bezprawnie.

Nie zrównany ten geniusz grecki w malowaniu zapasów duszy z boleścią. Jego tragiczni bohaterowie nigdy nie przestają być ludźmi; ich zwycięstwa opłacają się łzami, przez co kochamy ich tem mocniej, i tem mocniej podziwiamy.

Wiele miejsca zabrało nam rozwinięcie charakteru Antygony, panującego nad całym dramatem. Resztę scen, lubo obfitych w piękności, krótko tylko naszkicujemy.

Ślepy wieszczek Tejrezyas prowadzon przez pacholę, staje przed Kreonem, aby mu ogłosić gniew bogów w odpowiedniach, jakie się mają nad nim spełnić. Groźne słowa wróżbity jak zrazu wzburzyły gniew Kreona, tak w końcu napełniły go strachem. Kreon żałuje swego postępuku i radby go naprawić — lecz już za późno; bo gdy wszedł do pieczary, gdzie kazał wtrącić Antygonę, znalazł ją nieżywą, a obok niej Hemoną, który się w jego oczach zabija... Nie na tem jeszcze koniec tragicznych katastrof: Eurydyka, żona Kreona, obecna opowiadaniu o śmierci swego syna, jak tylko

usłyszała tę bolesną wiadomość, oddaliła się ze sceny w milczeniu.

Było to zwyczajem tragików greckich w ten sposób wyrażać gwałtowność boleści, nadmiar rozpacz, nieumiejącej znaleźć słów; sztuka też słów tych nieszukała. W poezji wychodziło to na jedno, co w malarstwie rzucenie zasłony na twarz Agamemnona, gdy Ifigenia szła na ofiarę. — Chór tylko zauważał to wyjście, i ostrzegł widzów o tym niemy wyrazie śmiertelnej boleści. Niebawem też doniesiono, że królowa sobie śmierć zadała... Kreon widzi, jaką przepaść wykopał pod sobą:

Niewiem gdzie stanąć, gdzie obrócić oczy!

Wszystko wysuwa się z rąk!

Nad stosem tych ofiar tragicznych Chór ogłasza sens moralny: to jego właściwa rola, z której niepowinienby wychodzić:

Najśnadniej roztropność do szczęścia przywodzi.

Przeciwko bóstw prawom bluźnić się niegodzi;

Na pysznych spada kara, ta butnych zapłata,

Co uczy mądrości ich na stare lata.

VIII.

W żadnej tragedyi starego greckiego teatru niema tyle artystyczności co w *Królu Edypie*. Jest to powszechne zdanie estetyków.

Rzeczywiście zdanie to oparte na słuszności. Straszna katastrofa w rodzaju tych, w jakich się lubował ponury geniusz Eschylosa, urozmaicona pełnemi życia sytuacyami, szerokiemi rozwinięciem namiętności i charakterów, w czem celował Sofokles — nareszcie poruszająca tonem naiwnym a patetycznym, czem znowu odznaczał się Eurypides: zgola wszystkie własności trzech tragików starożytności, zbiegły się w tem arcydziele sceny ateńskiej.

Cóż w niem widzimy tak nadzwyczajnego? Oto przewrót losu nagły, niespodziewany, przerażający; przewrót,

który człowieka stojącego na szczycie szczęścia i wielkości, czystego w sumieniu, czującego się w niewinności swojej bezpiecznym, prowadzi do odkrycia okropnej tajemnicy — i ten, co był przedmiotem powszechnej czci i podziwu, staje się celem zgrozy i politowania; z wyżyn królewskich spada w przepaść poniewierki i nędzy — a wszystko to nie dzieje się w moc owego nieubłaganego fatum, lecz przez wolną wolę człowieka. Fatum i wolność, te dwie główne sprężyny tak świata starożytnego, jak starożytnej tragedyi, zbiegają się i walczą ze sobą w tej sztuce, która nietyle uderza szczytnemi pięknosciami, jak raczej niezmiernie subtelną budową, gdyż geniusz artystyczny miał tu do pokonania wiele okoliczności niepodobnych do prawdy.

Scena przedstawia dziedziniec królewskiego pałacu w Tebach.

Król Edyp widzi zgromadzonych u ołtarzy mieszkańców grodu z kapłanami, niosącymi różdżki oliwne.

Edyp zapytuje co to znaczy:

Dlaczegoż zalegacie gromadnie tu stopnie
Ołtarza, uwieńczeni gałęzmi błagaczy? (modlących się).

Odpowiada mu na to zapytanie kapłan:

„Gród oto, jak sam widzisz, już nazbyt wstrząśnięty,
Niezdola głowy wzniesć nad toń zabójczej fali;
Giną marnie zawiązki owoców na polach,
Giną pastewne trzody i w żywocie matek
Giną dzieci; bo ziejąc zérem bóg, mór straszny
Do miasta wpadł i ono udręcza, że Kadma
Dom w pustkę się zamienia, a Hadesa czarny
Przybytek bogacieje w jęk i narzekanie“ —

Po odmalowaniu opłakanego stanu miasta, trapionego morową zarazą, zwraca się ów kapłan do Edypa, nazywając go, nie już Bogiem, lecz „najpierwszym z ludzi“, bo do niego lud w każdym nieszczęściu ucieka się i znajduje radę i pomoc, jak tego już w różnych przypadkach doświadczył.

Rozrzewniony Edyp odpowiada:

O biedne dzieci! wiem, wiem dobrze, z jaką prośbą
Przyszłście do mnie. Świadom jestem doskonale,
Że wszyscy wy cierpicie; lecz chociaż cierpicie,
Nikt z was tak wielkich cierpień jak ja nie doznaje,

bo każdy cierpi za siebie — ja cierpię za wszystkich. Śliczne słowa w ustach pana miłującego swój naród! Lecz on już pomyślał, jak zapobiec tej klęsce, i brata swej żony Kreona, wysłał do Delfów dla zapytania wyroczni. Dziwi się, że go dotąd niema z powrotem. Wtem oznajmniają mu o przybyciu Kreona. Sama jego powierzchowność ożywiona, twarz pogodna, czoło uwieńczone wawrzynem, zwiastują odpowiedź pomyślną.. Scena ta w wysokim stopniu budzi oczekiwanie.

Kreon z razu wyraża się dość zawile i niejasno, jakby niechciał wszystkiego powiedzieć w obecności tylu świadków. Lecz na naleganie Edypa mówi otwarcie, pod jakimi warunkami Bogowie przez usta wyroczni Delfickiej obiecują uwolnić Teby od morowego powietrza. Warunek ten nakazywał oczyścić się miastu z krwi przelanej; ukarać śmiercią lub wygnaniem mordercę króla Lajosa, dotąd nieukaranego. Edyp niedokładnie obeznany ze szczegółami tego dawnego morderstwa, wie tylko, że Lajos w drodze do Delfów zabity był przez rozbójników, lecz aby dojść sprawcy, trzeba mieć inne poszlaki. Dlatego obowiązuje się ściśle dochodzić tej zbrodni, od której odkrycia zawisło dobro całego kraju.

Jest tu dość nieprawdopodobieństwa, aby Edyp ożeniony z wdową po Lajosie, i już jakiś czas panujący w Tebach, dopiero teraz wypytywał każdego o szczegóły tego wypadku. Lecz to się da tem uniewinnić, że choć wie dobrze o zabójstwie Lajosa, ale, że wyrocznia nakazuje wysledzić zabójcę, aby odwrócić zarazę, więc bada, w nadziei natrafienia na pewniejszy ślad. Zresztą były to rzeczy nieuniknione na wstępie, aby widzom dopomóc jeżeli się czego domyślają... Przed zgromadzonym ludem występuje Edyp i zapowiada: jeżeli kto wie, z czyjej ręki padł Lajos, lub jeśli był współnikiem mordu, a nawet mordercą, niech prawdę wyzna, a on zbrodniarza obłoży straszną kłatwą, choćby był w własnym jego domu.

Ktokolwiek on jest, męża tego zakazuje
 W tym kraju, w którym władzę i tron dźmierzę, wszystkim
 Przyjmować w domu swoim, przemawiać do niego,
 Pozwalać uczestnikiem mu być w modłach do bóstw
 I w ofiarach, i wody ofiarnej używać.

Jest to najzupełniejsza klątwa. Nieszczęśliwy król nie wie, kogo ona dosięgnie. Miejsce to sprawia ogromne wrażenie. Następująca rozmowa zasiewa ziarno podejrzeń tak przeciw Kreonowi, jak przeciw samemu sobie w sercu Edypa.

Chór bowiem nalega na niego, aby się radził wieszczka Tejrezyasa, po którego on już posłał za poradą Kreona; a ta okoliczność naprowadzi go później na domysł uknu tego spisku na jego tron i życie.

Nakoniec przyprowadzają Tejrezyasa, tego powiernika i tłumacza bogów, który sam jeden z śmiertelnych miał dar odgadywania prawdy. Jego przybycie na scenę już zapowiedziane, oczekiwane z upragnieniem gorączkowem, jest prawdziwem *coup da théâtre*. Jak tylko wieszczek dowiaduje się, poco go przywołał Edyp, wyrzuca sam sobie, że przyszedł, przeklina swój dar wieszczcy i niechce odpowiadać; lecz kiedy Edyp z prośb przechodzi do pogrózek i obelg, obwiniając go w uniesieniu gniewu, że to on jest owym zabójcą Lajosa i boi się przyznać do zbrodni, natenczas wieszczek nieposiadając się w gniewie, rzuca mu w oczy tę straszną prawdę:

„Kalającym gród ten zbrodniarzem, ty jesteś.“

Lubo Tejrezyas w dalszym ciągu wywodzi okoliczności dotyczące się Edypa, i naprowadzające na niemylny dowód, że on był tym zabójcą, — to jednak nieotwiera mu oczu. Sofokles zręcznie to wymija, zaprzatając umysł Edypa podejrzeniami, których celem jest Kreon — podejrzeniami powziętemi od dawna — co jest jednym więcej dowodem, z jakim artyzmem umiał Sofokles snuć tkanę tak prostej na pozór fabuły.

Cała ta scena między Edypem a Tejrezyaszem pełna życia i naturalności, iskrzy się namiętnymi porywami obydwóch stron, aż w tem gwałtownem starciu się wychodzi

na jaw straszna tajemnica. Tacy wieszczkowie, prorocy, czy to w Biblii, czy w zmyśleniach Homera bywali częstokroć przedmiotem pogardliwego niedowierzania, a nawet nienawiści; bo też i to zdarzało się, że podając się za natchnionych duchem bożym, nie byli wolni od pychy i od całkiem ziemskich widoków. Podwójny ten ich charakter oddany jest po mistrzowsku w pomienionej scenie.

Zresztą niemoże być nic zręczniejszego, lepiej pomyślanego, jak to wprowadzenie Tejrezyasza współczesnego tym wszystkim zbrodniom, dokonywanym przez parę pokoleń w domu Labdekidów. Ukazanie się jego powiększa jeszcze okropności tej strasznej tajemnicy. Ileż to żywiołu dramatycznego w tym jednym kontraście między ślepcem, któremu są odkryte najskrytsze tajemnice, a tym królem tak bystro i jasno rzeczy widzącym, który niezna sam siebie! Biedny ten Edyp, on nawet nieprzeczuwa, że urągając ślepcie staro wieszczka, sam wkrótce będzie nią dotknięty.

Chór swoim zwyczajem rozprawia o fatalnej potędze wyroczni i jest pewnym, że kara dosięże zbrodniarza, atoli winowajcy nie widzi w Edypie, ani też przypuszcza, żeby Kreon spiskował przeciw królowi. Chór zawsze wierny swej pośredniej roli, nieprzechyla się ani na tę, ani na drugą stronę.

Wtem nadchodzi Kreon, mocno wzruszony, aby się wytłómaczyć z podejrzeń niesłusznie na niego rzuconych.

Tu następuje cięta rozprawa między Edypem a Kreonem, który wybornie się broni i każdym słowem trafia do przekonania, lubo Edyp uderza weń natarczywemi zarzutami. Jeden zimny i spokojny, drugi gwałtowny, niecofający się przed niczem: — dwa te sprzeczne charaktery wybornie modelują się w ożywionym dialogu:

KREON.

Więc czego chcesz? czy myślisz wyrzucić mię z kraju?

EDYP.

Nie; o wygnaniu wcale nie myślałem; umrzesz!

KREON.

Pierwej mi dowiedz, za co mam ponieść tę karę?

EDYP.

Co? stawiasz opór jeszcze słowem i niewierzysz?

KREON.

Zapewneś rozum stracił.

EDYP.

Mam go, ile trzeba.

KREON.

Miejże wzgląd na mój własny.

EDYP.

Ty byłeś zdrajcą.

KREON.

A jeśli jesteś w błędzie?

EDYP.

Zawsze ulec musisz

KREON.

Przenigdy złemu władcy!

EDYP.

Och grodzie mój! grodzie!

KREON.

I o mnie gród ma pieczę, nie o ciebie tylko.

„Uciszczie się królowie!“ woła chór do kłócących się.

Wtem na odgłos tej kłótni wchodzi Jokasta i wyje-
dnywa u Edypa, że mu darowuje życie. Kreon oddała się,
a Jokasta zostawszy sam na sam z mężem dowiaduje się,
że przyczyną tej kłótni były słowa wieszczka Tejrezyasza.
Z tego wywiązuje się opowieść Jokasty o pierwszym jej
małżonku Lajosie, któremu wyrocznia powiedziała, że um-
rze z ojcobójczej ręki; on zaś, aby ująć temu smutnemu
przeznaczeniu, kazał własnego syna zgładzić, a tym czasem,
to, czego się niespodziewał, spotkało go, bo był zamordo-
wany w drodze przez rozbójników. Ten szczegół na pozór
nieznaczący, zdaje się otwierać oczy Edypowi. Pyta on
w jakim miejscu, jak dawno zabity był król Tebów? Chce
wiedzieć, ile miał lat, jak wyglądał, ile ludzi miał ze sobą
w podróży — a za każdą odpowiedź, coraz więcej poznaje,
że nie kto inny, tylko on mógłby być tym zabójcą! — każ-
de jej słowo wprawia go w większe pomięszanie i niepokój.
Nakoniec zebrawszy jej wskazówki, zaczyna przewidywać,

że ta straszna klątwa, jaką rzucił był na zabójcę Lajosa, spada całym brzemieniem na niego.

Przerażona tem odkryciem Jokasta zbiera ostatnie siły, aby dać małżonkowi objaśnienia, jakich od niej wymaga.

Od jednego ze sług Lajosa, który mu towarzyszył w podróży, a który szczęściem uszedł śmierci, dowiedziała się Jokasta o szczegółach tego wypadku. Atoli tego człowieka tu nie ma; bo gdy przybył do Tebów i zastał Edypa na tronie, rzucił się do stóp swojej pani, Jokasty, aby go wysłała na wieś, i zrobiła go trzód pasterzem. Ona zezwoliła, pomimo, że sługa ten wart był lepszej nagrody.

Edyp koniecznie chce sprowadzić tego pasterza.

Jokasta pyta go, co mu tak cięży na sercu? a on opowiada jej historią swego życia. Syn Polibosa z Koryntu i Meropy uchodził za najprzedniejsze paniątko, kiedy jakiś pijany człowiek nazwał go znajdą, czy podrzutkiem; próżno rodzice zapewniali, że tak nie jest, nic niepomogło, bo ten wyraz wpił się w jego duszę. Skrycie tedy poszedł radzić się wyroczni Delfickiej. Foibos wyrawdzie nie odpowiedział na pytanie, tylko to obwieścił, że przeznaczeniem jego ożenić się z matką, a ojca własnego zabić. Edyp nie wrócił już do Koryntu, lecz poszedł w świat najdalej od tego miasta, aby uniknąć przepowiedzianego sobie nieszczęścia. Owoż w ciągu tej wędrowki, w miejscu opisanem przez Jokastę, tó jest gdzie się rozchodziły trzy drogi, spotkał męża jadącego na wozie, którego woźnica nie chciał się z nim minąć i spychał go z gościńca; nastąpiło starcie się. Edyp powalił woźnicę; jadącego pana kijem zabił na miejscu, resztę sług również uśmiercił.

Jeżeli ten nieznany mu podróży przezeń zabity, był Lajosem, czemże jest dla Jokasty ten nowy małżonek? Zmuszony ustąpić z tronu, wraca on do swojej ojczyzny, do Koryntu, gdzie, jak mówi wyrocznia, ma spełnić dwie najstraszniejsze zbrodnie? O! niechże go bogowie ustrzegą od tej zmayı i pozwolą mu umrzeć pierwej, nim się zbeczcze! Jeden szczegół zostawia mu jeszcze trochę nadziei: słyszał od królowej, że nie jeden człowiek, lecz wielu należało do zabójstwa Lajosa — a Edyp przecież był sam jeden, kiedy się mścił zniewagi; nie może więc być zabójcą

Lajosa. Dowie się on prawdy od sługi, który uszedł z tej zabijatyki i dotąd żyje.

Lubo Jokasta chce wmówić w Edypa, że wyrocznie często bywają zawodne i kłamliwe, on jednak nie daje się całkiem przekonać. Jokasta ucieka się do modłów i błaga tego samego Foiiba, składając na jego ołtarzu wieńce, pałac kadzidła — choć przed chwilą lekceważyła jego wyrocznie.

Wtem posłaniec przybywający z Koryntu donosi, że dawni poddani ojca Edypa, Polibosa, który właśnie umarł, powołują go do tronu. Jokasta odbierając tę wiadomość, widzi w niej nowy dowód, jak kłamie wyrocznia przepowiadająca Edypowi, że własnego ojca zabije. Edyp, który na to przychodzi, widzi się uwolnionym od ojcobójstwa i podziela zdanie żony, że wyrocznie często się mylą. Jedną go tylko rzecz niepokoi, aby matki swej nie pojął za małżonkę. Posłaniec, któremu powierza tę obawę, chce go całkiem uspokoić i odkrywa mu tajemnicę, że Meropa nie jest jego matką! Sam on bowiem wiedząc, że Polibos nie miał potomstwa, przyniósł mu pacholę znalezione w Kiteronie, któremu zdjął pęta z nóg — a pacholę to podrzucił jakiś pasterz, mający należeć do służebników Lajosa.

Edyp zapytuje starców tebańskich, czy który z nich nie znał tego pasterza? Chór domyśla się, że jest ten sam, po którego posłano, aby go wybadać.

Jokasta pojmuje całą okropność położenia.

Edyp pyta ją:

„Co sądzisz, że wezwany właśnie przez nas człowiek
Jest tą osobą, żono, o której on mówi?“

Ona odpowiada:

„Ej! niezważaj na to
I nad tem, co rzekł, darmo niełam sobie głowy!“

Jokasta zaklina, żeby prawdy niedochodził; lecz Edyp pomieszanie żony przypisuje dumie obrażonej, że poślubiła człowieka podłego pochodzenia — i odrzuca jej rady.

Poeta ciągle utrzymując go w tem zaślepieniu, przeprowadza przez wszystkie tortury zabijających odkryć.

„Nieszczęsny! obyś nigdy nie wiedział, kim jesteś! — woła Jokasta, widząc niezłomny upór Edypa, który gwałtem chce mówić z pasterzem; i dorzuca te znaczące słowa: „Och! nieszczęsny! takim tylko mogę cię odtąd nazywać, i już inaczej nie nazwę!“

W ponurem milczeniu oddala się królowa; milczenie to przeraża chór starców. Edyp nie zważa na to i wszystko przypisuje dumie niewieściej; choć on z niskiego rodu, ale szczęście wyniosło go na stopnie tronu; czuje się on wielkim sam przez się, on zbawca Tebów, i może niedbać o świećtność rodu.

Takiemi myślami krzepi się Edyp, gdy w tem prowadząją starego pasterza. Pod naciskiem natarczywych pytań pasterz wyjawia mu tajemnicę: nie kto inny, tylko sama Jokasta złożyła nowonarodzone chłopię w ręce pasterza, aby je zaniósł w góry i porzucił; lecz on ulitował się i życie zachował dziecięciu. Usłyszawszy to Edyp wchodzi do pałacu szukać tej, której nie może nazwać ani swoją małżonką, ani matką. Nikt nie śmie mu jej wskazać. On szturmuje do drzwi małżeńskiej komnaty — zamknięta — drzwi wysadzone jakież przedstawiają widok... Oto królowa powiesiła się na powrozie.

Sceny tej nie ma w przedstawieniu, jest tylko opowiedzianą:

„On, skoro ją spostrzegł,
Nieszczęsny przeraźliwie ryknął i rozwiązał
Powrozu węzły, a gdy na ziemi leżała
Biedna, straszny nam widok stanął przed oczami.
Ot, złotolite spinki, w które się stroiła,
Wyrwawszy z jej odzienia, Edyp podniósł w górę
I wbił je sobie w oczy, tak się odzywając:
Ponieważ niewidziały, jaki srom znosiłem,
I jakim mord popełnił, niech nadal pociemku
Na tych, których oglądać grzechem było, patrzą
I tych, których pragnąłem poznać, nie poznają.“

W opowiadaniu tem zbiegają się dwie katastrofy śmierć Jokasty i oślepienie się Edypa.

Biedny ślepiec przerażony ciemnicą, w którą sam się pograżył, błaga swoich poddanych, aby go z kraju wygnali.

„Czempredzej mię zatem

Ztąd uprowadźcie, mnie, co jestem katem

Strasznym, okropną kłatwą obciążonym

U ludzi i u bóstw znienawidzonym.“

Chór odpowiada mu na to: „Kreon nadchodzi — on sam jeden odtąd jest królem tej ziemi.“

Znaczące wyrazy; one nam pokazują nieszczęście Edypa z nowej strony: przestał być królem, jest tylko poddanym Kreona, którego tak niesłusznie podejrzewał i niemal śmiercią chciał zgładzić. Edyp mógłby się odeń spodziewać krwawego odwetu; lecz Kreon pokazuje się nadpodziw wspaniałym, jeden tylko kładzie warunek, że wprzód poradzi się woli Boga, zanim coś o nim postanowi.

Tymczasem Edyp błaga go, aby pogrzeb sprawił Jo-kaście. Cóż stanie się z dziećmi, z tym kazirodnym owocem? O synów się nie troszczy, bo ci dadzą sobie radę — ale

„Ale o córki moje, o biedne dziewczęta,

Co nigdy nie siadały do stołu bezemnie;

Z którymi się dzieliłem wszystkim, com pożywał,

O nich miej pieczę! one mi pozwól uściskać

Jeszcze raz i opłakać z niemi ich niedolę!

Idź królu, zacne plemię idź! Gdy ich się dotknę

Rękami, zdawać mi się będzie, że posiadam

Je tak, jak wówczas, kiedym widział je oczyma.“

Słowa te wzruszają Kreona, tak samo jak musiały rozrzewnić ateńską publiczność. Jakoż każe on wprowadzić dzieci. Edyp objawia najwyższą wdzięczność Kreonowi za ten dowód litości nad sobą. Dzieci porywa w ramiona, to przytula do serca, to znowu odpycha, sam nie wie, czy ściska dzieci własne, czy siostry? W tem starciu się sprzecznych uczuć, straszna prawda! Biedne istoty! jakżeż on ubolewa nad ich przyszłością obciążoną mimowolnie zbrodniami rodziców! Czyż je kto przyjmie do swego grona, czy się wda z niemi? Będą mogły pokazać się na jakiej uroczystości, żeby nie wrócić do domu oblane wstydem i łzami? Nareszcie

gdy wyrosną na panny, znajdzieź się kto, coby się odważył hańbę ich poślubić? Nigdy! nigdy! młodość ich zwiędnieje w osamotnieniu i nie wyda owocu!

Trzeba tu zauważać, że myśli Edypa daleko odbiegły od jego własnej niedoli; już on nie dba o siebie; własne nieszczęścia i cierpienia nic go nie obchodzą, troska jego przeniosła się na te drogie istoty.

Charakter jego choć starty na miazgę nie zmienił się do ostatka. Zawsze męski duch w nim pozostał; ma siłę woli i rozkazu. Kreon każe mu wnieść do pałacu, chce żeby pozostał w Tebach; on niezłomny domaga się, żeby z kraju precz go wygnał.

— Dobrze — odpowiada Kreon, lecz dzieci odbiorę.

— Och! nieodbieraj!

Na to Kreon zniecierpliwiony rzuca mu surowe słowo: „Nie kuś się, żebyś zawsze miał wygrywać; twoje wygrane nie dały ci szczęścia w życiu.“

Tem powiedzeniem zamyka Kreon ludzką stronę tragedyi, to jest tę, którą odegrały namiętności; rolę zaś Opatrznościową, boską — właściwie fatalistyczną zakończy chór owem zdaniem Solona o Krezusie, poczytywanym za najszcześniejszego z śmiertelnych:

„Więc śmiertelnika, póki ostatniej wygląda

Godziny życia, niech nikt wpierw szczęsnym nie mieni

Aż dojdzie do dni kresu, niedoznawszy nieszczęścia.“

Zastanawiając się nad tą tragedją, pełną zawilosci wynikających ze zbiegu nadzwyczajnych wypadków, trzeba uchylić czoła przed tą olbrzymią rolą Edypa przeprowadzoną z tak głębokim rozmysłem, z taką, że tak powiem, zręcznością, przez te wszystkie szkopuły pozornych nieprawdopodobieństw, co chwila zastępujących drogę; że napróżno nowożytni dramatycy, uderzeni oryginalnością bajki, łamali sobie głowę, aby to i owo poprawić, z większą niby prawdą oddać rolę Edypa — i nigdy się im nie udało; zawsze przy Edypie Sofoklesowym zostało piętno prawdy natury ludzkiej; w danych warunkach nie mógł Edyp być innym, tylko takim, jak go grecki poeta stworzył.

Przechował się szczegół u jakiegoś scholiasty czy komentatora, że arcydzieło to upadło na konkursie teatralnym w Atenach, nie mogąc wytrzymać współzawodnictwa z jakąś sztuką Philoklesa. Tymczasem o tej sztuce świat milczy, kiedy *Król Edyp* do dziś żyje. Publiczność często się myli — lecz nienadługo; zapewne prędko musiała się ta tragedia zrehabilitować w opinii publicznej, kiedy Aristoteles postawił ją tak wysoko w swojej Poetyce.

IX.

Pomiędzy tragedją *Król Edyp*, a *Edyp w Kolonos* wiele lat upłynęło. Sofokles napisał tę ostatnią w późnej starości. Jak we wszystkich starożytnych sztukach, tak i w tej góruje fatum, które przy swoim warsztacie każe pracować namiętności, woli i wolności człowieczej. Atoli w sztuce, o której mam mówić, tyrańska ta potęga zmienia barwę i przybiera rolę dobroczyńcy, opiekuna: słowem, pogodzona z Edypem, uspokaja jego zakłócone sumienie; daje mu pociechę w ślepotcie i tułaczce, otaczając pieśzcotami dwóch kochających córek; nareszcie pozwala mu złożyć głowę w upragnionej mogile. Już tu mniej strasznych i ponurych obrazów; mniej przerażenia, a natomiast rozlewa się jakaś pogoda religijna; niebrak wzruszeń tkliwych i łagodnych; rysy są miększe; nad krwią gorącą przeważa dojrzałość rozsądku; widocznie starość geniuszu wycisnęła swoje piętno na całym dziele.

Że *Edypa w Kolonos* pisał Sofokles w późnym wieku, stwierdza jeszcze i to podanie, jako syn go oskarżył był o umysłowe niedołęztwo, bądź że źle zarządza majątkiem. bądź że chciał uprawnić nieprawę dziecko, z krzywdą synów — dość że przed sądem stanąwszy stary poeta, rzekł: „Jeżelim Sofokles, nie mogę bredzić bez sensu; jeżeli zaś bredzę, nie jestem Sofoklesem“ i aby lepiej odeprzeć zarzut, jakoby cierpiał pomieszanie zmysłów, odczytał z tej tragedyi świeżo napisanej precudny ustęp, opiewający piękności Kolonu. Przepyszny ten pejzaż *a la manière antique* mu-

siał zaimponować sędziom, jak i dziś imponuje po dwudziestu kilku wiekach.

Tragedya ta jednak była dopiero w kilka lat po śmierci poety przedstawioną w teatrze.

Sam widok ślepego starca, wspartego na ramieniu dziewczęcia, pierwaj nas wzrusza, nim jeszcze dowiemy się z ich ust, że to Edyp z Antygona.

Dwie te postacie zjawiają się na wzgórzach Kolonu — panuje tu głucho milczenie pustyni, bo to święty gaj poświęcony Eumenidom; ustroń tę napełniają wonią rozkwiecione wawrzyny, bluszcz pnje się i wije po oliwinkach o łyszczącym liściu, a słowik rozwodzi rzewne melodye. Miło tu żyć, miło i umierać — a jednak głos ludzki nie powinien przerywać ciszy tajemniczego bugaja; stopa człowieka nie śmie granicy świętego miejsca przekroczyć.

Posłuchajmy, co mówi ten starzec do prowadzącej go dziewczicy.

„Do jakiejż przybyliśmy ziemi, córko starca
Ślepego, Antygono, do jakiego grodu?
Któż skromnym datkiem dzisiaj uraczy Edypa
Tułacza, co o mało prosząc, choć mniej jeszcze
Niż mało weźmie, na tem też chętnie przestaje?“

Edyp chce zostać w tem miejscu; córka dodaje te słodkie wyrazy:

„O biedny mój rodzicu,
Tu usiądź! tu na skale tej nieociosanej,
Bo jak na wiek twój drogę odbyłeś daleką.“

Edyp niepokoi się, niewiedząc w jakiej stronie przebywa; Antygona powiada mu, że zdaleka widać baszty grodu, zapewne to Ateny. Z tej niepewności wyprowadza ich jakiś nieznamy człowiek, który do nich się zbliżył i oświadczył, iż się znajdują w świętym bugaju Eumenid, i że wkroczywszy w to miejsce, zgwałcili prawo zakazujące wstępu komukolwiek. Edyp nie chce ustąpić i powiada, że go tu los zaprowadził, a więc na krok się nie ruszy. Ów nieznany Kolonejczyk nie śmie go rugować, lecz o sprawie tej donosi swoim współobywatelom; zastanawia go jednak ta okoliczność,

że Edyp dowiedziawszy się od niego, jako władzcą tego kraju jest Tezeus syn Egeusa, żąda widzieć się z nim i pomóc. Kolonejczyk oddała się, aby zwołać współobywateli, a ślepy tułacz zanosi modły do Eumenid:

„O groźne i wyniosłe bóstwa! kiedy w waszym
Przybytku na tej ziemi najpierwej spocząłem,
Nie miejcie gniewu do mnie, ani też do Feba,
Który, gdy mi obwieścił, te srogie cierpienia,
Dodał, że kiedyś, kiedyś znajdę wypoczynek,
Stanąwszy w tej tu stronie, gdzie będę podjęty
Gościnnie; i w przybytku bogiń dobroczynnych
Skończę dni nieszczęśliwe; tym, co mię podjęli
Przynosząc szczęście błogie, a tamtym zagładę,
Co mię w świat wyprawili i wygnali z kraju...

„Znakiem spełnienia tej przepowiedni będzie trzęsienie ziemi, grzmot i piorun. Wiem teraz, że to za waszą sprawą Eumenidy, droga zaprowadziła mię do świętego gaju. Sam przypadek tu mię nie zaprowadził. Spełniając więc wieszczbę Feba, niech już raz pożegnam ten żywot, jeżeli sądzicie, żem się już dość naciерpiał. Wzywam was, słodkie córy z krwi starej Skotosa! i was wzywam Ateny, czcigodny grodzie, ulitujcie się nad Edypem, a raczej nad jego marą, bo tylko to z dawnego Edypa zostało!”

Po tej modlitwie do bóstw tego gaju, naraz podnosi się ton tragedyi. Ów nędzarz, ślepiec, olbrzymieje w naszych oczach, a nad nim unosi się owa tajemnicza potęga, która go na proch starła, a teraz ofiarę swoją stawia nad brzegiem upragnionego grobu. Jak zaś Edyp otrzyma ten grób, jaka ztąd pomyślność lub niedola czeka ziemię Attycką? Zobaczymy w dalszem rozwinięciu sztuki. Teraz poeta tylko do pół uchylił zasłonę, i ciekawość podrażnił. Wysoki zmysł artystyczny Greków umiał ekonomicznie używać środków interesowania i utrzymywać niemi uwagę do końca.

Nadciaga chór starców mających straż nad świętym gajem, i ci wywołują zeń ślepego tułacza, rozkazując mu precz ustąpić, jeżeli nie chce doznać zemsty obrażonych Eumenid.

Edyp radzi się córki, co począć? a ta mu przedstawia, że nie godzi się gwałcić miejscowych zwyczajów. Chór starców zapewnia, że nic go złego nie spotka, jeżeli wyjdzie za obręb poświęcony. Antygona wyprowadza ojca, prosząc by się oparł na jej ramieniu, przywykłem do tej posługi.

Był to stary obyczaj, przechowywany między bohaterami Homera, że nigdy nie śmiano pytać o nazwisko przybyłego gościa, zapewne z obawy zrobienia mu przykrości przez odświeżenie bolesnych często wspomnień. Delikatność ta właściwa heroicznym obyczajom, mogła być nieznaną gminowi, a może też poszła w zaniechanie za czasów Sofoklesa. Owi też starce koloniaccy, jak się domyślam, ludzie prostej kondycyi, bez ogródki pytają swego gościa kto on jest? Edyp wzbrania się, oni naciskują; nareszcie za namową córki wyznaje, że jest synem Lajosa, Edypem.

Odkrycie to napęnia ich przerażeniem. Z bojaźni stają się okrutnymi dla tego nieszczęśliwca, któremu każą ustąpić z tej ziemi, aby obecność jego nie ściągnęła na wszystkich gniewu Bogów. Antygona dotąd milcząca, występuje z energią lirycznego wzruszenia, i w starcach obudza politowanie: „Mając wzgląd na nieszczęśliwego ojca

„was proszę

I prosząc oczy nieślepe ¹⁾ podnoszę

Ku waszym oczom.“

Czuje ona, że wymową pięknych ocz, prędzej wzruszy ich, niż wymową słowa.

Chór acz zmiękczony tą jej odezwą, nie przestaje lękać się gniewu bożego. W położeniu tem Edyp występuje jakby przemieniony moralnie. Już inny to człowiek niż w poprzedniej tragedyi; tam on przeklinał samego siebie, brzydził się samym sobą. Teraz rozpacz jego przybiera piętno cichego, lecz głębokiego smutku; widać, że zdał sobie sprawę ze swoich postępków, że czytał we własnem sumieniu, a nieznajdując w niem wyrzutów wskutek popełnionych zbrodni, czuje się niewinnym. Będąc takim, dlaczegóżby miał

¹⁾ Tłómacz napisał *nie ciemne*, a więc jasne?

upadać pod brzemieniem zbrodni, popełnionych przezeń, lecz nie z jego winy? Opuszczony od rodziców od pierwszej chwili przyjścia na świat, czyż wiedział, że broniąc się od napaści zabije ojca; czyż wiedział, że przyjmując rękę Jokasty własną matkę bierze za żonę? Gdzie jest chęć z wiedzą, tam tylko może być przewinienie. Nieprzewinił on zatem, nie jest zbrodniarzem, lecz nieszczęśliwym.

Okoliczność ta natchnęła tułaczowi przepyszną odpowiedź. Broniąc swej niewinności, przypomina Koloniatom obowiązek przestrzegania praw gościnności; a jeżeli stanął pośród nich, to nie na to, aby ściągnął karę niebios:

„Bo czysty tu i zbożny przybywam i szczęście
Przynoszę miastu temu.“

W słowach tych czuć i majestat królewski i czystość duszy.

Starców przejmuje cześć i uszanowanie dla tego wygnańca; z kosturem żebraczym w rękę, tak on wielki, a może i większy, niż żeby w niej dzierżył berło królewskie. Jednakże nieśmiejac stanowić o losie Edypa, zdają się na sąd swego władcy, którego przybycia oczekują, albowiem wysłany człowiek musiał Tezeusza zawiadomić, że Edyp pragnie z nim mówić.

Żeby rozbudzić na scenie interes, bo samo oczekiwanie na Tezeusza nie jest wystarczające, zwłaszcza, że chór starców i Edyp powiedzieli sobie wszystko, co mieli powiedzieć; — Antygona postrzega kobietę w „tesalskim kapeluszu“ pędzącą cwałem na rumaku. Oczy jej śmieją się do Antygony. Któż to taki? To druga Edypowa córka, to Ismena, która już rzuca się w objęcia ojca i siostry. Upojony radością tak niespodziewaną pyta ociemniały nędzarz, co ją tu sprowadza; dla czego przybywa? — Przybywam dla ciebie! odpowiada Ismena.

— A więc tęskniłaś za mną?

— Miałam jeszcze drugi powód przybycia — mówi Ismena — chciałam cię uwiadomić o tem, co się dzieje u nas w Tebach. Edyp zwraca się myślą do swoich synów: gdzież oni są, gdzież te młode i rzeskie chłopaki? I nie uważając na odpowiedź Ismeny wymijającą i smutną, starzec rozwo-

dzi się o swoich synach: „Jakżeż ich charakter i sposób postępowania podobny do obyczajów Egipcyan! Tam zazwyczaj mężczyźni pilnują domu zajęci przy warsztatach tkaniem płótna, gdy tymczasem ich żony ciągle są za domem, zajęte staraniem o utrzymanie rodziny. Podobnie córki moje! Oni, których powinnością mieć o mnie pieczę, siedzą w domu jak bojaźliwe niewiasty, a was natomiast obarczają wszystkimi kłopotami o nieszczęśliwego ojca. Jedna, odkąd wyszła z dziecięcych lat i sił cokolwiek nabrała, zawsze się tuła i jest nieszczęśliwą razem ze mną; podpira moją zgrzybiałość, znosi głód, bosą nogą chodzi po ciernistej drodze, i gardzi rozkoszami Tebów, aby opiekować się ojcem. Tyś to moja córko, wymknąwszy się z tebańskiej stolicy, przybyła mię uwiadomić o tem, co wyrocznia o mnie mówi; zawsze nieodstępna od boku ojca wygnanego z ojczyzny. Powiedz mi teraz Ismeno, co masz ojcu swemu obwieścić?”

Ismena wstrzymuje się od opowiadania tych przygód i cierpień, jakich doznała, szukając ojca w różnych stronach; samo ich wspomnienie byłoby odnowieniem cierpienia. Opowiada mu tylko o braciach, którzy zrazu ustąpiwszy tronu Kreonowi, teraz kłócą się z sobą o panowanie. Polinejkes wypędzony przez Eteokla, schronił się do Argos, gdzie wszedł w przymierze i z zebranem wojskiem ciągnie przeciw swojej ojczyźnie. Ismena dodaje, jako głos wyroczni Delfickiej zapowiedział, że od Edypa, choćby umarłego, zależeć będzie zbawienie i pomyślność dawnych jego poddanych, i że gniew jego spadnie na nich, gdyby się ośmielili najechać tę ziemię, gdzie spoczną jego kości. Z tego powodu Kreon rozkazał szukać wygnanego Edypa, nie żeby go wrócić do Tebów, lecz by go zatrzymać na granicy tebańskiej.

Edyp rzuca przekleństwa gromy na swoich synów za to, że pozwolili go wygnąć wtedy, kiedy już niepragnął być wygnanym, i kiedy sam żałował, że się skazał na niezastuloną karę. Tu znowu porównywa obojętność synów z poświęceniem się córek. Nigdy, przenigdy niepostanie jego noga w Tebach; a jeżeli Ateńczykowie nie odmówią mu przytułku i pomocy, jego obecność pośród nich, będzie kraju tego zbawieniem, a dla wrogów Edypa zagładą.

Chór starców radzi staremu królowi tebańskiemu złożyć błagalną ofiarę Eumenidom za to, że ich święty przybytek naruszył. Atoli wątłe siły i ślepotą niedozwalają mu spełnić tego obrządku; zdaje więc to na jedną z swych córek. Ismena oddalając się w głąb bugaju po niezbędne do tego obrzędu przedmioty, zostawia Antygonie czuwanie nad ojcem

„bo kto rodzicami

Się trudzi, nie powinien uważać na trudy.“

Chór starców ostrzega Edypa o zbliżaniu się Tezeusa, czyniącego zadość jego wezwaniu.

Tezeus przychodząc na spotkanie królewskiego wygnańca, okazuje współczucie i zajęcie się nieszczęśliwym. Zaprasza go do swego pałacu z nieudaną gościnnością; lecz Edyp nie przyjmuje zaprosin, chce zostać i umrzeć w gaju Eumenid; nigdzie, jedno w tej ziemi spoczną jego popioły; nigdzie, jedno tu napoi się krwią swoich prześladowców. Przyrzekłszy biednemu tułaczowi bronić go od przemocy tych, coby chcieli wyrwać go z tego miejsca przytułku, dodaje Tezeusz: „Samo imię moje ustrzeże cię w mej nieobecności od wszelkiego gwałtu“ — To powiedziawszy oddała się.

Tutaj chór w precudnej piękności lirycznych strofach opiewa rozkoszną okolicę Kolonu; poeta użył najżywszych barw, żeby skreślić ten pejzaż, niedostępny ociemniałym oczom Edypa.

Co za szkoda, że tyle świeżości i krasy spełzło w tłumaczeniu, które, choć rymowane, dalekie jest od poezyi. Lecz nie mając innego, poprzestajemy na tem, jakie dał p. Węclewski, i pozwalamy sobie parę drobnych zmian, łagodzących szorstkość stylu:

Do najcudniejszej z okolic tej ziemi
Rycerskiej, druhu zaszedłeś tu w strony
Piękne Kolonu. Słowik pieszczonemi
Jęki napełnia ot ten jar zielony;
Słowik bluszczy lubi ciemny, lubi święte
Owocorodne, na słońca promienie

Niewyśławione, i nigdy nie tknięte
 Wichrem lub burzą, boga zagajenie,
 Kędy Dyoniz zwykł chadzać natchniony
 Orszakiem boskich mamek otoczony.

Tu kwitnie wiecznie piękny kwiat narcysu,
 Wieńczący niegdyś dwie wielkie boginie;
 I krokosz złoty; a woda Kefisu
 Błędnym wężykiem szemrząca wciąż płynie
 Nie wysychając; co dzień z rześistemi
 Deszczu strugami bujność pól przyspiesza;
 I na równinach gładkich jak pierś ziemi
 Rozległe łany skrapia. To też rzesza
 Wdzięcznych muz temi nie gardzi niwami,
 Ni ty, Cytero z złotemi lejcami.

Pochwały te uroczej Attyki ciągną się jeszcze przez
 dwie strofy, gdzie mówi o drzewie oliwnem, które bez upra-
 wy samo rośnie, które nawet najezdnik szanuje; Oliwnik
 nigdy nie zginie, bo opiekuje się nim Zeus i łyszczącooka
 Atena. Innym cennym darem tej ziemi jest rumak, tudzież
 potęga na morzu. I jedno i drugie zawdzięczamy Pozejdo-
 nowi. Rumaka nauczył on zażywać wędzidłem; a wiosł do
 żeglugi po morzu:

„wiosło toń rozbija,
 Gdy tłum Nereid w płasach się uwija.“

Możnaby przypuszczać porównywując te strofy z Goe-
 towską pieśnią: „*Kennst du das Land, wo die Citronen
 blühen?*“ że niemieckiemu poecie natchnął ją Sofokles,
 z różnicą miejscowości; natchnienie pięknościami Attyki,
 przeniosło się na Italią.

Prowadząc dalej wątek dramatu przerwany poetyczną
 apostrofą, zbliżamy się do ważnego wypadku, do którego
 jesteśmy już przygotowani: Kreon z licznym orszakiem
 wpada na scenę, aby uprowadzić Edypa. Stary król przy-
 muje go z imponującą powagą i z góry nabiera:

„Zuchwalcze, co na wszystko targasz się, i pozór
Słuszności każdej rzeczy umiesz nadać chytrze...”

Lecz Kreon oświadcza mu, że Ismena jest już w jego mocy; a posuwając dalej okrucieństwo grozi, że mu wydrze i Antygone.

Starce Koloniaccy każą mu precz ustąpić; lecz zbyt słabi, aby mogli opór stawić zbrojnemu zastępowi Kreona, z oburzeniem przypatrują się, jak nieszczęśliwa dziewczica przez najeźdźców porwaną zostaje, wzywając napróżno pomocy Ateńczyków; widzą i rozpacz ociemniałego starca pozbawionego ręki, która go wspierała, oka które go prowadziło, serca które utrzymywało przy życiu. Chór starców woła o pomoc; Antygona wleczona przez Kreonowych zbiorów krzykiem napełnia powietrze; ślepy ojciec niewiedząc, w jakim kierunku uprowadzają córkę, zaklina ją, żeby wyciągnęła doń rękę; lecz Antygona, choć słyszy głos ojca, nie może zbliżyć się do niego, będąc w mocy porywców. Tu występuje Kreon urągając i beczeszcząc nieszczęśliwego Edypa, pozbawionego jedynej podpory swego kalectwa i starości. Co więcej, zapowiada, że i jego samego gwałtem uprowadzi ze sobą; gdy w tem znajdujący się w pobliżu Tezeusz wpada i zmusza najeźdźnika, żeby mu wskazał, gdzie są uprowadzone dziewczice.

Edyp zapewniony słowem Tezeusza, że albo zginie, albo on mu córki odbije z rąk porywców, oczekuje rozwiązania. Za chwilę chór go uwiadamia o zbliżających się córkach. Pierwszy krzyk Antygony wyraża gorące życzenie, aby Bogowie dozwolili ociemniałemu ojcu oglądać wybawcę jego dzieci. Edyp w radosnem rozrzewnieniu woła:

Przybliżcie się do ojca dzieci i uściskać
Się dajcie, czegom nigdy już się niespodziewał...
Przytulcie się do boku ojca, mocno, córki
Z stron obu, i wytchnijcie po tulacze, którą
Nieszczęsne przebyłyście teraz bez rodzica...

Córki przypominają mu, że Tezeusz jest obecny, że temu zbawcy należy się dać posłuchanie. Edyp zastawia się uczuciem rodzicielskiem, będącem pierwszą serca potrzebą,

co i Tezeusz podziela; a potem opowiada, że jakiś człowiek nieznanym siadł był na Pozejdona ołtarzu i domagał się krótkiej rozmowy z Edypem. Edyp z niektórych wzmianek domyśla się, że to musi być jego syn niegodziwy. Nie chce za nic przypuścić go do siebie. Antygona błaga za bratem:

On syn twój ojcie! zatem chociażby był zbrodni
Najbezbożniejszej względem ciebie się dopuścił,
To niegodzi się tobie złem za złe odpłacać;
Niech on sam się ukarze!...

Dołożywszy kilka jeszcze wymownych argumentów w obronie brata, powiada:

Więc ustąp nam! Prosić się długo niewypada
Tym, co żądają słusznej rzeczy, ani tobie
Doznawszy dobrodziejstwa, nieumieć być wdzięcznym.

Przedstawienia te uśmierzają o tyle zaciętość Edypa, że zezwala, aby ów nieznajomy stanął przed nim.

Tezeusz oddala się, a wnet okazuje się Polinejkes.

Uderza go widok ojca nędzarza; sam nie wie, czy zacząć od opowiadania o swojej niedoli, czy płakać nad starcem.

W odzieniu tak okropnem, że brud szaty starej,
Plugawej, do starego ciała się przylepił,
Żrac członki; gdy rozwiany przez wiatr, nieczesany
Włos buja koło głowy oczu pozbawionej.

Co za plastyka w oddaniu tej postaci króla żebraka!

Widok sióstr cierpiących razem z ojcem, wzrusza go; teraz dopiero czuje jak bardzo przewinił; i zalewając się łzami błaga ojca, aby go tak nieodprawiał, lecz bodaj słówko przemówił.

Edyp milczy.

Polinejkes ucieka się do sióstr o wstawienie się za nim. Antygona pyta go o powody przybycia w te miejsca? „Mów, mów jak najszerzej o sobie; wyznania twoje mogą ojca pobudzić do litości i język mu rozwiązać.“

Polinejkes wyznaje, że został z kraju wygnany dlatego, że chciał zasiąść na tronie ojcowskim prawem starszeństwa; atoli wygnał go brat Eteokles. Teraz on w Argos znalazł

sprzymierzeńców i z wojskiem ciągnie na Teby. Że zaś wyrocznia przepowiedziała, że ci, za którymi Edyp się oświadczy, zwyciężą, więc przychodzi go błagać, aby się za jego stronę oświadczył, a mając taką pomoc, jak nie Eteokla zrzuci z tronu, i ojca napowrót do Tebów wprowadzi.

Edyp usłyszawszy to, wybucha gniewem, i nie odpowiada wprost synowi, lecz z pewną pogardą zwraca mowę do obecnych osób: „Synowie moi wyrzucili mię z ojczyzny; nie mam synów; mam tylko córki:

Gdybym tych córek nie miał, które opatrują
Mnie, byłbym dawno życie przez ciebie postradał;
Lecz one, karmicielki moje, mnie ratują,
Los dzieląc ze mną mężnie, nie po niewieściemu.
Was zaś kto inny spłodził; ja was się wypieram.“

Nieugięty w swej grozie starzec przeklina Polinejkesa, a przekleństwa jego niezatrzymują się na niczem; tu na ziemi pragnie, aby się obaj bracia pomordowali nawzajem; a na tamym świecie, aby ich pochłoneły otchłanie Tartaru.

Biedny młodzieniec czuje, że klątwa ojcowska spełni się na nim; uchyla głowę przed grozą losu, jaki go czeka, błaga tylko siostr, aby gdy on polegnie, a one wrócą do domu, niezapomniały o nim, nie dały zwłok jego znieważyć „lecz złożcie do grobu i ostatnią wyświadczyć posługę“ a przez to przyczynicie sobie chwały, jaką już macie, poświęcając się dla ojca.

Antygona zaklina brata, którego pieszczotliwie nazywa „swojem dzieckiem,“ aby nie narażał się na okropne skutki tych przekleństw, jakie Edyp rzucił na jego głowę i odstąpił nieszczęśliwego zamiaru najechania własnej ojczyzny. Lecz darmo, stało się, i Polinejkes nie może się cofnąć. Oddała się więc unosząc za sobą przekleństwo rodzica, łzy siostr i czułe napomnienia Antygony. Ostatnie jego słowa tchną spokojną rezygnacją:

Czy tak lub owak stanie się, to w mocy boga.
Za wami błagam bogów, by was nigdy żadne
Nieszczęście nie spotkało! Wszyscy bowiem wiedzą,
Żeście nie zasłużyły na to, co cierpicie.

W tem błysło na niebie, zagrzmiało i piorun uderzył. Chór starców przeraża się, a Edyp sam jeden spokojny przeczuwa zbliżający się kres swoich ziemskich męczarni. Po kilkakroć zaklina, aby jak najspieszniej dano znać Tezeuszowi. Te preludya zwiastujące koniec przeciągają się aż do przybycia króla Ateńskiego. Edyp daje swe ostatnie polecenie przed zbliżającym się zgonem: On tylko i nikt więcej nie ma być świadkiem jego śmierci; on jeden będzie znał miejsce, gdzie spoczną jego popioły, i tajemnicę tę tak ważną dla pomyślności Aten, ma powierzyć swemu następcy, a ten ją poda swojemu.

„A teraz

Udajmy się na miejsce już owo, bez zwłoki!
 Wy córki, pójdźcie za mną! Będę waszym teraz
 Niezwykłym przewodnikiem, jak byliście moim.
 Nie dotykajcie mnie, lecz idźcie i pozwólcie
 Samemu mi odszukać miejsce święte, kędy
 Przeznaczono mi, abym spoczął w tej tu ziemi.
 Tu, tędy, tędy idźcie! Bo tędy prowadzi
 Podziemna mię Bogini i Hermes przewodnik.
 O światło zgasłe! Niegdyś świeciłeś ty dla mnie,
 A dziś na moje ciało padasz raz ostatni!
 Bo tutaj dokonany idę żywot ukryć
 W podziemiu Hadesowem! Z przyjaciół najdroższy
 Szczęście niech sprzyja tobie i twemu krajowi
 I wszystkim sługom twoim, a w pomyślnej doli
 W pamięci mię zgasłego miejcie, wciąż szczęśliwi!“

Między tym solennym pochodem na miejsce śmierci, a przybyciem sługi, który opowiada szczegóły zgonu Edypa, Chór śpiewa kilka strofek lirycznych polecających nieszczęśliwego króla — tułacza Bogom podziemnym.

Proste jest i szczegółowo dokładne to opowiadanie. Naturalność z podniosłością tonu, podobieństwo do prawdy z cudownością, oto są cechy charakterystyczne tego opowiadania, w którym Sofokles okazał się wielkim malarzem. Widzimy tu, jak Edyp bez niczyjej pomocy trafia na miejsce przeznaczone sobie na grób. Poeta opisuje je ze ścisłością topograficzną, może mniej nas obchodzącą, lecz dla

ówczesnych Ateńczyków bardzo powabną ¹⁾). Dalej maluje nam, jak Edyp zrzućciwszy swoje żebracze łańchmany, oczyszcza się i gotuje do tej tajemniczej śmierci, na którą zdaje się, że sami patrzą bogowie. Tu następują sceny pełne poetyczności, religijnego pokajania i prawdziwie majestatyczne.

Obie córki słysząc grzmot i uderzenie piorunu — mówi ów sługa —

„Zadrżały z przerażenia i przypadłszy ojcu
Do kolan, rozplakały się i nieprzestały
Rękami bić się w piersi i narzekać głośno;
A rodzic, skoro gorzkie ich szlochy usłyszał,
Obiedwie ramionami objął i tak mówił:
„Od dziś dnia już nie macie, dzieci moje, ojca;
„Widzicie, dogorywam i już odtąd o mnie
„Mozolić się, kłopotać nie będzie wam trzeba.
„Ileście wycierpiały dla mnie, wiem; lecz słowem
„Tem jednym wam za wszystkie trudy się wywdzięczę,
„Że niepodobna, aby was więcej kto sercem
„I duszą, niż wasz ojciec kochał, bez którego
„Już nadal resztę życia przepędzicie same.“

Streszczam już dalszy ciąg długiej opowieści.

„Długo tak zostawali w objęciach, szlochając wszystko troje; nakoniec przebrało się łez — nastało głęboka cisza. Niewiedzieć z kąd dał się głos słyszeć, głos wołający: Edypie! Edypie spiesz się; długo każesz czekać na siebie.“ — Naglony Edyp przywołuje Tezeusza i wymaga na nim, aby mu przyrzekł, iż nigdy córek jego nie opuści, i robi dla nich wszystko, co będzie z ich dobrem. Poczem każe córkom oddalić się, i zabrania im dochodzić tego, co się stanie. Jeden tylko Tezeusz może być świadkiem. Myśmy się oddalili posłuszni jego woli; a po chwili obejrawszy się po za siebie, już niedostrzegliśmy na tem miejscu Edypa:

¹⁾ Tłomacz pozwolił sobie mówiąc o „gruszy wypróchniałej“ użyć wyrazu dwuznacznego, a nieużywanego w naszym języku.

Król tylko sam nad czołem trzymając dłoń, oczy
Zasłaniał, jakby mu się było ukazało
Strasznego coś, że nie mógł znieść tego widoku.

A tak Edyp zeszedł ze świata sposobem cudownym,
jak nikt z ludzi śmiertelnych.

Zazwyczaj tragedia grecka nie ucina się tak od razu
jak nasza. Przeciąga się ona nad swój zakres lirycznymi
wybuchami rozpaczy córek Edypowych. Jest to obraz naiwny
i wzruszający nawału uczuć objawiających się obłąkaniem,
żalem, śmiechem i płaczem i innymi sprzecznościami boleści.
Naprawdę Antygona z Ismeną powtarzają, że tak szczęśliwa
śmierć jak zgon ich ojca, łez nie potrzebuje, pomimo to nie
przestają szlochać; to znowu napierają się widzieć jego
grób, zapominając, że tego im sam ojciec zabronił; straciwszy
starca tułacza, nazywają się opuszczonemi, bez podpory
w życiu, a jednak któż był jego podporą, jeżeli nie
one? Słowem, życie ich wystawione dotąd na tyle gorzkich
prób, wydaje się teraz w różowym kolorze, jak mówi Antygona:

„Więc miały powab nawet przeciwności;
Były milemi te wszystkie przykrości
Znoszone przy nim...”

Nakoniec, kiedy głos pocieszyciela, głos szlachetnego
Tezeusza trafia im do serca, uspokajają się i zanoszą do niego
prośbę, aby ich do Tebów odesłał, bo tam powołuje je święty
obowiązek czuwania nad braćmi tak zawziętymi przeciw
sobie, że gotowi się pozabijać.

Tym sposobem Sofokles kończąc to arcydzieło pisane
w późnym wieku, związał je ze sztuką stworzoną w młod-
szych latach, to jest z heroiczną śmiercią wiecznie poświę-
cającej się Antygony.

X.

Dyonizos (Bachus) na grobie Sofoklesa trzyma w ręku
larwę kobiecą.

— Czyja to larwa? pyta przechodzień.

„Może Antygony, a może i Elektry, odpowiada poeta. Wybieraj, bo jak jedna, tak druga jest arecydziełem.“

Choć epigram Dioskorydesa może za nadto podniósł te dwie tragedye nad inne sztuki Sofoklesa, niemniej jednak między jedną i drugą zachodzi podobieństwo; wzniosły charakter tych dwóch postaci sprawia, że Antygona zdaje się być siostrą Elektry; równie jak tamtej, obce jej są przyjemności i uciechy wiosny życia, równie jak tamtej nie brak jej na męskiej energii w walce z niedolą i uciskiem, i równie jak tamta, na to żyje, aby opłakiwać ojca zamordowanego zdradą; oskarżać obecnością swoją, nękać ustawami żałami, przestraszać groźbą i bez przerwy używać mściciela na otaczających ją morderców, pośród których dni pędzić zmuszona; a wkońcu, gdy ten mściciel długo oczekiwany gotów jej niedopisać, niepoddaje się rozpacz, niewątpi o dobrej sprawie, i sama bierze ją w bezsilne ręce.

Elektra napęłnia sobą całą sztukę, której użyczyła tytułu ¹⁾. Widzimy ją w każdej scenie; jej namiętności, to materiał z którego wynikają najrozmaitsze położenia i przejścia aczkolwiek wysnute z bardzo prostego pomysłu, którego wynalazcą był Eschylos. Sofokles zajęty genialnymi kombinacjami mającemi oddać całą skalę uczuć Elektry, prawie nie dodał do akcji *Choeforów* Eschylosowych. Widocznie nie chciał on za pomocą zawikłanego kłęбка intrygi lub niespodziewanych efektów, obudzać tej ciągle drażnionej ciekawości, o jaką wówczas nie ubiegano się, a jaka dziś tak bardzo w sztukach teatralnych popłaca.

Mimo tego, już pierwsza scena nasuwa mnóstwo pytań. Jakież to miasto wpół oświecone pierwszym brzaskiem wschodzącego słońca? Co to za jedni ci skradający się młodzieńcy, i ten starzec, i co tu robią?

Kilka wierszy wystarczy, aby zająć wyobraźnię, i tem samem obudzić oczekiwanie.

Synu Agamemnona, wolno ci na własne

Oczy teraz oglądać to, czegoś wciąż pragnął;

¹⁾ Przypominamy czytelnikom, że mamy także znakomity przekład *Elektry* p. Ant. Małeckiego. (P. R.).

Oto masz stare Argos, do któregoś tęsknił
 Oto jest Orestesie, boga wilkobójcy
 Licejski rynek, a tam po lewej świątynia,
 Wspaniała Hery.... Gród masz przed sobą Myceny.
 A to dom Pelopidów w morderstwa obfity.
 Ztąd niegdyś po zabiciu twojego rodzica,
 Wyniosłem cię, odebrawszy z rąk rodzonej siostry,
 I wychowałem na mściciela ojca....

„więc Orestesie i ty Pyladzie — mówi stary piastun — radźcie zwawo, co mamy robić. Blask słońca budzi już świegocące ptastwo, gwiazdy nocne toną w błękicie, przeto nim ztąd odejdiesz, trzeba coś postanowić. Niemożliwą jest zwłoka w naszym położeniu, trzeba działać.“

Rzadko który dramat wchodzi tak jak *Elektra* odrazu *in medias res*. Orestes dziękuje swemu przywiązanemu i dziel-nemu piastunowi, którego tłómacz nazwał *pedagogiem* chcąc zanadto być wiernym, i porównywa go do starego rumaka, który pomimo starości zachowuje krew gorącą, a w niebezpieczeństwie strzyże jeszcze uszami. Poczem w głównych rysach rozwija plan jaki ułożył. Jest to ostatnia narada przed rozpoczęciem działania. Foibos (Apollon) rozkazał Orestowi zemścić się na mordercach swego ojca (Agamemnona), ale pod warunkiem, żeby na nich nie uderzył wstęp-nym bojem, lecz podobnie jak oni postąpili z Agamemnonem, użył chytrości i podstępu. Zobaczymy jak Orestes zastósuje się do tej wyroczni. Stary jego piastun, *alias* pedagog, zmieniony wiekiem i teraz nie do poznania, ma przedstawić się Egistowi i Klitemnestrze jako cudzoziemiec z Focydy, wyprawiony do nich od Fanoteja z doniesieniem, że Orestes zeszedł gwałtowną śmiercią, spadając z rydwanu na igrzyskach pytyjskich. Po tej pierwszej wiadomości nadejdzie druga stwierdzająca ten wypadek, przysła im bowiem przygotowaną popielnicę z popiołami Orestesa. Sam Orestes ją przyniesie, a tak wszedłszy w dom swoich wrogów, będzie czyhał na sposobność wykonania zemsty.

Wtem z głębi pałacu dochodzi ich jęk: „biada mi! biada!“

Czyżże to głos? serce jego zgaduje że to głos siostry, Elektry. Orestes zapominając o tem, co ma robić, idzie za

wzruszeniem, i chciałby zostać w tych miejscach, aby napaść się głosem siostry, lecz odciąga go stary piastun, i skłania do wylania ofiary na grobie Ojca, bo to zapewni ich przedsięwzięciu zwycięstwo. Oddalają się, a Elektra wychodzi z pałacu i w długim monologu lirycznym wylewa swoje żaloby, zwracając się do słońca:

O święta światłości i wy wietrzne tonie,
Rozlane nad ziemią! częstoście słyszały
Me skargi jęklive i razy, co dłonie
Mej piersi bez liku do krwi zadawały.

Gdy zaś noc przyszła, łzami oblewała łożę, płacząc zabitego ojca. Chór dziewic Myceńskich przychodzi ją pocieszać, lecz ona nie chce być pocieszoną; przeciwnie ślubuje boleści, pragnie zawsze jęczeć i płakać jak w swoim kamiennym grobie niepokieszona Nioba. Porównywa się do „jęczącej ptaszyny,“

„Która Itysa w swej piersi żalosnej
„Itysa płacze wciąż, zwiastunka wiosny!“

Po tylu latach z myśli jej nieustąpiły, ani zbladły te krwawe obrazy, na jakie patrzyła, kiedy pod toporami cudzołożników padał ojciec jej, król królów, jak dąb podcięty, a jakże gorzkie życie jej w domu! Dzień, w którym ojca jej zabito, obchodzą tam uroczyscie, świętecznie; a ona musi się kryć ze swemi łzami, i ciągle słyszeć wyrzuty, że Oresta wykradła i skrycie gdzieś wyprawiała. Takie to znosi dzień w dzień męczarnie, a tymczasem Oresta jak nie widać tak nie widać! I teraz nawet jeśli wyszła przed bramę pałacu, to tylko dlatego, że Egist wyszedł w pole.

Tu występuje Chryzotemis, siostra Elektry, niosąc w rękach ofiarę grobową i strofuje Elektrę dlaczego głośno rozwódzi swe żale, a nie ukrywa ich w głębi, jak ona to robi. Wszak i ona boleje nad tem, co się wokoło niej dzieje, ale roztropność każe zwinąć żagle, a nie coś niby działać, a w gruncie nic nie szkodzić.

Tą uległością siostry pogardza Elektra: Nie zazdroścę tobie, jeżeli opływasz we wszystko, schlebając naszym wrogom. Wolę się karmić własną boleścią i uchodzić za najgorsze dziecko u mej matki.

— A czy wiesz, jaka cię czeka kara? odpowiada Chryzotemis. Oto zamkną cię w więzieniu gdzie już nie zobaczysz słońca. Dlatego, nim Egist powróci, chciej się opamiętać.

— Niedbam o życie, mówi Elektra, lecz za nic nie przystanę do tych zbrodniarzy.

Chryzotemis zabiera się odnieść ofiarę żałobną na grób Agamemnona. Zapytana kto posyła tę ofiarę? opowiada, jako Klitemnestra miała sen, w którym widziała pierwszego swego małżonka, jak wziął berło, które teraz dzierży Egist, i wbił je w domowe ognisko, aż z tego berła wystrzeliła gałąź zaciemniająca całą ziemię myceńską. Senne to widziadło przeraziło Klitemnestrę, więc ją wysłała z ofiarą.

Elektra ją zaklina, aby na grobie ojca nieskładała tej ofiary, lecz ją rzuciła na wiatr, bo ta ofiara pochodząca od zabójczyni bynajmniej nie ucieszy nieboszczyka. Raczej ty utnij włosy, i błagaj na kolanach, aby ojciec z podziemnych krain przybył nam w pomoc i zesłał Orestesa, który wrogów w proch zetrze.

Chryzotemis przyrzeka pójść za jej radą i oddała się do grobu Agamemnona.

Tu wychodzi na scenę Klitemnestra i napada na Elektrę, że nigdy nieprzestaje jęczeć i szkalować swej własnej matki. „Nieprzeczę ja, mówi ona, żem zabójczyni męża mego a twego ojca, lecz go Dike zmiotła, a nie ja sama jedna, bo ten twój oplakiwany ojciec zasłużył na to, dając na ofiarę twoją rodzoną siostrę Ifigenią.

— Nie zabiłaś ty męża, odpowiada Elektra, za poświęcenie córki na ofiarę Bogom, ale że cię do tego podmówił ten, z którym dziś łożę dzielisz.

Bo jeśli płacić

Za mord będziemy mordem, a wyrok na ciebie

Zapadnie sprawiedliwy, ty najpierwsza zginiesz.

Dalej rzuca jej w oczy niegodziwe obchodzenie się z dziećmi, tak z nią samą, jak z biednym Orestem, który gdzieś tuła się w cudzych ziemiach.

Klitemnestra każe jej milczeć: „Cóż myśleć o córce, która zelżywem słowem mnie matkę znieważa?“ Zanosí potem modlitwę do Feba, błagając go, aby od niej oddalał każde

nieszczęście, a zlewał je na jej wrogów. Czego zaś jeszcze sobie życzę, pokryję milczeniem, albowiem ty, jako Bóg, powinienes o tem wiedzieć.

Wchodzi piastun (pedagog), pyta o królowę, a pozdrawiając ją opowiada to, co już mniej więcej wiemy z pierwszej sceny, że Orestes już nie żyje i że odniósłszy pięćkrotne zwycięstwo na wozowych wyścigach, tracił o słup, oś pękła i on wleczony był przez konia. Trupa spalono i niebawem przyniosą jego popioły.

Obecna temu bardzo szczegółowemu opowiadaniu Elektra, nie wiedząc nic, że to wszystko jest udaniem, wpada w rozpacz wołając:

„O mój Orestesie!

Najdroższy, śmierć zadałeś mi ty umierając,
Bo wydarłeś mi z duszy na zawsze nadzieję
Jedyną, co dotychczas mnie nie opuszczała,
Że żyw powrócisz kiedyś i pomścisz się śmierci
Rodzica i krzywd moich! A teraz gdzież pójdę?
Ja sama opuszczona, sierota po tobie
I ojcu?“

Gdy Klitemnestra oddaliła się, udając boleść ze straty syna, a w duchu ciesząc się z tego zdarzenia, Elektra z rąk samego Orestesa przyjmuje popielnicę, w której mają być złożone popioły drogiego jej brata. Wzruszający to moment, kiedy ona obejmuje urnę i mówi:

„Pomniku najdroższego mi z ludzi, ty szczątku
Jedyny Orestesa! wyprawiając ciebie
Nie tak się spodziewałam och! nie tak powitać,
Bo w proch obróconego trzymam teraz w rękach,
A z domu cię w pełniłości zdrowia wyprawiłam!

W całej tej scenie podwoiła się boleść Elektry, jakby po raz drugi traciła ukochanego brata. Widzimy w niej więcej niż zasmuconą siostrę, bo matkę oplakującą jedyne dziecko: Przypomina ona sobie, z jakim staraniem pielęgnowała niegdyś chłopczynę, jak go wyrwała z rąk zbójceckich, jak wyprawiła w kraj obcy, jak się poila nadzieją, że wróci kiedyś... a tymczasem on już nie żyje, zgasł gdzieś daleko, obcą

pogrzebiony ręką.... Wszystko teraz stracone, wszystko skończyło się, wszystko zamknęła ta popielnica, którą teraz przyciska do serca, jakby pragnęła z jego popiołami zmieszać swoje popioły! Taką jest w treści ta cudowna skarga, sławna w całej starożytności, której wysoką poezją najlepiej objaśnia anegdota podana przez Aulu-Gella: Aktor Polus straciwszy ukochanego syna, występował na scenie w roli Elektry, i w rękę niósł urnę z popiołami własnego dziecka. Nie udawał on, nie odgrywał roli, ale myśl poety wyrażał prawdziwym bólem, który rozdzierał serce ojcowskie.

Orestes widząc te żale rozwodzone nad swemi popiołami, domyśla się, że to jedna z jego siostr. Ale która? Chór dziewic nazywając ją po imieniu, objaśnia mu to.

— Czyś ty Elektra? Twojaż to postać? pyta Orestes, i rozczuła się nad jej młodością, wdziękami zwiędłemi w łzach i cierpieniach. Elektrę dziwi to niezwykle zajęcie się jej osobą, wyciąga go na słowo, zadaje pytania, i doprowadza do odkrycia tajemnicy, której mu dłużej ukryć niepodobna. W dyalogu tym, zręcznie prowadzonym, oczekiwanie rośnie za każdym słowem. Streszczam go nieco, żeby czytelnik łatwiej mógł schwycić ten jego charakter:

ORESTES.

Nieszczęsna! im więcej na cię patrzę, tem bardziej żałuję.

ELEKTRA.

Jedynys z ludzi, co ubolewasz nademną.

ORESTES.

Bo też sam jeden boleść ci przynoszę.

ELEKTRA.

A to jak? byłżebyś nasz krewny?

ORESTES.

Wytlómaczyłbym się jaśniej, gdybym mógł ufać....

ELEKTRA.

I owszem, są to osoby wierne, możesz się zwierzyć.

ORESTES.

Więc odsuń tę popielnicę, a dowiesz się.

ELEKTRA.

Przebogi! nie zmuszaj mię do tego.

ORESTES.

Zrób o co proszę, a niepożakujesz.

ELEKTRA.

Zaklinam cię; nie odbieraj mi.

ORESTES.

Nie mogę!

ELEKTRA.

O ja biedna! i ciebie nie mam mój Orestesie, i grób mi twój odbierają!

ORESTES.

Nie mów tak! niepotrzebnie się dręczysz.

ELEKTRA.

Niepotrzebnie? kiedy brata już nie mam!

ORESTES.

Nie przystoi płakać ci po nim.

ELEKTRA.

Czy jestem go niegodna?

ORESTES.

Bynajmniej! ale te popioły nie obchodzą ciebie.

ELEKTRA.

Jakto? popioły Oresta?

ORESTES.

Właśnie że nie Oresta — wszystko udano.

ELEKTRA.

Więc gdzież jest grób tego nieszczęśliwego?

ORESTES.

Nie ma go nigdzie, bo kto żyje, grobu nie ma.

ELEKTRA.

Co mówisz?!

ORESTES.

Czystą prawdę.

ELEKTRA.

Więc Orest żyje?

ORESTES.

Widzisz, że oddycham.

ELEKTRA.

Więc to ty nim jesteś?

ORESTES.

Spojrzyj na ten pierścień ojcowski, a przekonasz się czy mówię prawdę.

ELEKTRA.

O dniu najmilszy!

ORESTES.

Co najmilszy, to najmilszy!

ELEKTRA.

Twójże to głos słyszę?

ORESTES.

Jak widzisz. —

ELEKTRA.

Pójdź w moje objęcia!

ORESTES.

Na zawsze w nich zostanę...

Jak widzimy, Orestes nie mógł już dłużej ukrywać się przed tą siostrą, opłakującą jego mniemane popioły; i choćby ten nieroztropny krok miał go na śmierć narazić, odkrywa się przed nią w obecności dziewic myceńskich. Jakaż to niespodziewana radość rozpromienia oblicze Elektry! po łzach żałoby płyną łzy szczęścia. Córką Agamemnona przyciska do serca jedyną ukochaną istotę, jaka jej została na tym padole, gdy przed chwilą miała ją za straconą na zawsze. Sam Orestes, lubo widzi, że uniesienia siostry mogą zdradzić jego obecność, stara się zrazu powściągnąć takowe, lecz siły mu niedopisują, bo jak Elektra, tak i on nie mogą się oprzeć wybuchom radości, tak naturalnym po długim niewidzeniu się. Chwilę tę przedstawia piękna grupa znaleziona w Herkulanum. Elektra wsparta na bracie, słucha go z wyrazem słodkiej radości, z którą się mięsza wyraz smętny, melancholiczny; widać, że boleść doznanych nieszczęść wycisnęła tak głębokie piętno, że nawet nadmiar szczęścia niemoże zetrzeć jego śladów.

Niewiem czy jest gdzie bogatsze źródło do czerpania pomysłów dla rzeźbiarza, jak w greckich tragediach. Zdawałoby się, że poeta był w porozumieniu z sztukmistrzem, bo tak mu wszystko przygotowywał, że tylko potrzebował wziąć bryłę marmuru i dłuto, aby tworzyć cudowne posągi.

Lecz wracam do rzeczy: Elektra dowiaduje się, że ten człowiek, który doniósł był Klitemnestrze o śmierci Orestesa, jest owym piastunem, któremu ona niegdyś powierzyła maleńkiego Oresta, aby go uprowadził i wychował w obcej ziemi. Teraz gdy go poznaje, wdzięczność unosi ją, i wita jakby drugiego ojca tego starca, co życie bratu jej zachował.

Nie można powiedzieć, żeby Elektra nie miała tej czułości serca, będącej główną pięknoscią niewiasty, ale też z drugiej strony, umie ona być mściwą i okrutną, a nawet w pewnych momentach szorstką. Uosobiona to namiętność, łatwo zapominająca się w swoich uniesieniach. Widocznie Sofokles miał zamiar taką ją przedstawić, kiedy on, zawsze taki oględny, żeby nie dać przykładu zgorszenia — odważył się na ową scenę, w której Elektra odpowiadając Klitemnestrze, usprawiedliwiającej swoje postęпки, wyrzuca jej w oczy wszystkie zbrodnie i bezwstydy, jakimi się splamiła. Niewchodząc w słuszność oskarżeń i zarzutów, czujemy pewną odrazę do tej córki Agamemnona, wytykającej własnej matce wszystkie jej zdróżności i zbrodnie. A nakoniec, gdy już nadeszła chwila expjacyi, i towarzysze Orestesa weszli do pałacu, aby zamordować Klitemnastkę — Elektra, która zostaje na scenie, słyszy jęki wychodzące z głębi pałacu:

— Och! synu! synu! woła Klitemnestra — litości nad matką!

Elektra odpowiada: Nie miałaś sama litości nad nim, ani nad jego ojcem.

Znowu słyhać głos Klitemnestry: Och! jam raniona!

— Popraw! jeżeliś niedobił.

Ta srogość Elektry jest oburzającą, a nawet pod pewnym względem niezgodną z słodkim i czystym duchem poezyi Sofoklesowej, która umie szanować te delikatności uczucia, wrodzone niezsutym naturom.

Powszechnie to przekroczenie granicy, jakiej Sofokles niezwykły był przekraczać, przypisują tej okoliczności, że ten sam przedmiot wziął był Eschylos do swoich *Choeforów*, a on jako piszący po nim, wziął sobie za powinność szukania innej drogi, aby się nie zetknąć ze swoim poprzednikiem. Żeby się nie pokazać naśladowcą tragedyi napisanej

na ten sam temat, geniusz Sofoklesa stworzył *Elektrę* namiętną, dał jej serce czułe i kochające, a zarazem mściwe i okrutne. Ta sama obawa, żeby nie pójść śladem poprzedników, sprawiła, że Eurypides, który także napisał *Elektrę*, zrobił ją jeszcze nienawistniejszą i okrutniejszą, bo nawet pozbawił ją tej patetycznej czułości, jaką miała dla brata; tej czułości i przywiązania, które zacierały niejako parę nie miłych wrażeń już w scenie wyrzutów, robionych Klitemne-strze, już w scenie kiedy matkę zabijano, a ona podlegała matkobójców.

Niniejszy przegląd Sofoklesowych siedmiu tragedyj nie tyle miał na celu szczegółowy rozbiór tłumaczenia p. Węclewskiego, co raczej przysposobienie i przysporzenie czytelników Sofoklesowi.

Podnosząc miejsca piękne, sceny najgenialniejsze, dając pojęcie tej wspaniałej architektoniki, szkicując te idealne a zawsze ludzkie postacie i charaktery, mniemałem, że tym sposobem potrafię tych zaciekać, którzy go jeszcze nie czytali i nie studyowali.

Ażali ta skromna praca odpowiada zadaniu? nie do mnie sąd należy. Jedno tylko radbym przypomnieć polecając Sofoklesa, mianowicie młodym pisarzom, którzy obiecują sobie rodzaj dramatyczny, że w tym niezrównanym Greku chodzi w parze wielki rozum z wielkiem sercem. A jak cudownie w innej okoliczności wyraził się Zygmunt Krasiński: „*Rozum jest kwiatem, który na sercu rośnie.*“

Sofoklesowe tragedye właśnie są z gatunku tych kwiatów; właściwiej mówiąc: one tym kwiatom dały początek.

Lucyan Siemieński.

WALKA KAZIMIERZA JAGIELLOŃCZYKA Z MACIEJEM KORWINEM O KORONĘ CZESKĄ ¹⁾.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROZDZIAŁ II.

Gotowość młodego króla węgierskiego do wojny z Czechami, z wielkim zapalem wynurzona niegdyś w jego liście do papieża Pawła II, nie ostygła nawet podczas rokowań Stolicy Apostolskiej z Kazimierzem Jagiellończykiem. W jesieni 1466 roku Maciej stanął z wojskiem w pobliżu Moraw i wyraźnie szukał okazji do kłótni z Jerzym. Jak wszystkie pogranicza w ówczesnej Europie, tak i pogranicze morawsko-węgierskie było uprzywilejowanym miejscem niemal codziennych rozbojów, które tem trudniej dawały się poskramiać, że bandami rabusiów dowodzili najczęściej ludzie szlacheckiego rodu, nie rachujący się ściśle z władzą królewską. Na te więc gwałty zaczął się Maciej skarżyć, przybierając ton coraz ostrzejszy i coraz bardziej ubliżający dworowi czeskiemu ²⁾. Trwało to

¹⁾ Patrz Przegląd Polski, Czerwiec 1876.

²⁾ Palacky IV. II. 406—412.

przez całą zimę i niezawodnie przyszłoby już wówczas do wojny między monarchami, gdyby straszliwy napad Turków na Siedmiogród i południowe Węgry nie był odwołał Macieja do Budy. Następnie wybuchło powstanie w Siedmiogrodzie, a pod koniec r. 1467 Maciej musiał prowadzić wojnę z hospodarem wołoskim ¹⁾. Wszystkie te wypadki odwróciły jego uwagę od sprawy czeskiej, do której zabrał się ponownie na wiosnę roku 1468 nie tylko z własnej ochoty, ale oraz na prośby wszystkich nieprzyjaciół Jerzego. Najwcześniej odwołali się do niego po chybionych zabiegach w Krakowie Rongoni i Erklens w imieniu Stolicy Apostolskiej, potem biskup Protazy w imieniu związku katolickiego, nareszcie cesarz Fryderyk, znękany w Austrii orężem królewicza Wiktoryna, a nie mający pomocy z Niemiec. Od roku 1459 cesarz miał z Maciejem załatwić o tron węgierski, które skończyły się wprowadzić traktatem pokojowym w roku 1463, ale ten traktat bynajmniej nie umorzył przedmiotu sporu. Cesarz wydał Maciejowi koronę Śgo Szczepana, którą od lat przeszło dwudziestu zatrzymywał w swoich rękach, a nie dosyć że wziął za to grube pieniądze, lecz nadto zastrzegł sobie po nim następstwo tronu, dla większej zaś pewności położył warunek, aby Maciej po śmierci chorowitej Katarzyny Kunegundy, córki Jerzego Podiebradzkiego, z której nie spodziewał się i rzeczywiście nie miał potomstwa, nie żenił się powtórnie bez zezwolenia cesarza ²⁾. Otóż gdy Fryderyk zażądał od Macieja posiłków przeciw Jerzemu, przedewszystkiem uchylił ten uciążliwy dla króla węgierskiego warunek, co wychodziło poniekąd na to, że się zrzekł pretensyj do Węgier; oprócz tego przyrzekł wyjednać mu u książąt niemieckich godność króla rzymskiego, która wiodła bezpośrednio do godności cesarskiej. O koronie czeskiej prawdopodobnie wcale nie było mowy, zwłaszcza że sprzymierzeńcy postanowili zaprosić do wojny z Czechami Kazimierza Jagiellończyka, a więc musieli zostawić mu koronę, którą i legat papieżki i panowie czescy już kilkakrotnie ofiarowali byli królowi polskiemu. Przytem Stolica Apostolska, wzywając powtórnie Macieja do wojny z heretykami, nie powołała go na

¹⁾ Katona XV. 224—229; Długosz XIII. 416—419.

²⁾ Pray Anuales III. 282—298; Długosz XIII. 244.

tron czeski; również i Związek katolicki chciał w nim mieć tylko obrońcę, nie pana, częścią, ażeby nie narażać sobie króla polskiego, częścią znowu że wiedział, jak twarde były rządy Macieja w Węgrzech ¹⁾. Ale któż tego nie odgadywał, że ten, co pozbawi korony króla heretyka, sam ją przywdzieje? Załatwiwszy jak najspieszniej sprawy w Siedmiogrodzie i na Wołoszczyźnie, Maciej zwołał w początkach Marca sejm do Jagry, aby wyjednać u Stanów zasiłki na wojnę czeską. Ale Stany węgierskie nie sprzyjały ambitnym widokom swojego króla, który zamiast zasłaniać ojczyznę od Turków, wybierał się na boje z chrześcianami, i nie uchwałyły ani podatków, ani pomocy w ludziach. Nie odstraszyło to jednak Macieja od przedsięwzięcia, jakkolwiek ciężkiego, ale obiecującego mu wielkie korzyści; 31go Marca wypowiedział naprzód wojnę Wiktorynowi w obronie cesarza Fryderyka, 8go Kwietnia zaś wydał w Preszburgu manifest, w którym wystąpił jako protektor Związku katolickiego przeciw wszystkim jego ciemnizyicielom jakiegokolwiek bądź stanu i godności. W pięć dni potem wyruszył w pole z wojskiem, wprawdzie nielicznym, bo tylko sześćnaście tysięcy wynoszącem, ale doskonale uzbrojonem i wyćwiczonem. Było to jego wojsko nadworne, które utrzymywał własnym kosztem, składało się z wyborowych najemników, przeważnie polskich i czeskich, i miało dzielnych dowódców, między którymi szczególnie się odznacжали rycerz czeski Franciszek Hag, książę serbski Paweł Kinisza i Błażej Podmanicki słowackiego pochodzenia ²⁾.

Zabierając się z tak małemi siłami do wojny czeskiej, Maciej przewidywał liczne trudności i starał się im zapobiec. Zalecił Związkowi katolickiemu, aby natychmiast wypowiedział Jerzemu rozejm i połączył swoje siły z wojskiem węgierskiem; wezwał cesarza do czynniejszego działania, niż jakim tenże monarcha zwykł się był popisywać, i zażądał od Stolicy Apostolskiej jak najskuteczniejszego poparcia, przez które przede wszystkim rozumiał zasiłki pieniężne. Pragnął też zjednać

¹⁾ Palacky IV. II. 504—505.

²⁾ Palacky IV. II. 507 — 509, 512 — 514. Katona XV. 294; Bonifini *Rerum hungar. decades IV cum dimidia Posonii* 1744. dec. IV. lib. I. 429—433.

sobie Kazimierza Jagiellończyka; a nie była to rzecz łatwa usunąć odrazu wielorakie przeszkody, jakie od lat dziesięciu zawadzały dobremu porozumieniu obydwóch królów.

Ród Hunyadów nie był ani stary, ani znakomity. Dla tego magnaci węgierscy opierali się wyniesieniu na tron Macieja Korwina, a uznali go królem tylko pod naciskiem, wywartym na ich wota przez niższą szlachtę i wojsko, którem się otoczyło jego stronnictwo. W parę miesięcy po jego obiorze, w Marcu 1458 roku, już powstały w Węgrzech zamieszki celem zrzucenia Macieja z tronu. Jan Iskra, dowódca zbrojnych band czeskich, które od czasów cesarza Albrechta II i Władysława Pogrobowca wywierały w tym kraju niemały wpływ na sprawy publiczne, pojechał do Polski i na sejmie piotrkowskim w miesiącu Maju zachęcał Kazimierza Jagiellończyka do opanowania Węgier, do których król polski rościł te same, co do Czech, pretensye. Odpowiedziano mu, że król, zajęty wojną z Krzyżakami, nie może podjąć się wyprawy do Węgier, jednakże nie zrzeka się prawa do tego królestwa i po ukończeniu walki z Zakonem uczyni to, co mu wskaże wola Boga, zawsze słuszną sprawę wspierającego ¹⁾). Ale Maciej prędko stłumił rozruchy w kraju, a wojna pruska, która od tego czasu jeszcze przez ośm lat się ciągnęła, zapewniła mu na długo bezpieczeństwo ze strony Polski. Natomiast nie zabrakło królowi innych powodów do kłótni. Bandy czeskie, niebezpieczne dla Macieja, jako obce wojsko, którego magnaci zawsze mogli za pieniądze użyć przeciw królowi, srodze dawały się przytem we znaki ludowi węgierskiemu. Maciej postanowił uwolnić siebie i kraj od tej plagi i już w pierwszym roku swego panowania rozpoczął z bandami wojnę, która skończyła się dopiero w Styczniu 1467 r. całkowitem ich wytępieniem ²⁾). Pomiedzy tymi żebrakami, jak ich nazywano, czyli bracią, jak się sami tytułowali, było nie mało Polaków, którzy w razie klęski uciekali do Nowego Targu i innych miast polskich, leżących na granicy węgierskiej, a w dogodnej porze znowu czynili łotrowskie wycieczki do Węgier. W odwecie za to Węgrzy spustoszyli dwukrotnie z rozkazu Macieja ziemię

¹⁾ Długosz XIII. 225—226.

²⁾ Palacky IV. II. 411.

Spiską w roku 1464 i 1465. Za drugi napad Spiża gotował Węgrom srogą zemstę Przeclaw, starosta lubowelski; ale senatorowie polscy obawiając się, ażeby ztąd nie przyszło do prawdziwej wojny, pohamowali zapęd starosty, a dla naprawienia szkód obustronnych zaproponowali drogę układów. Nie życzył sobie i Maciej wojny z Polską, bo miał dosyć kłopotu z Turkami, przystał więc chętnie na tę propozycję i wyprawił dwóch radców swoich do Bardyowa. Przy tej sposobności strony chciały także porozumieć się względem pretensyj Kazimierza Jagiellończyka do korony węgierskiej, lecz to skomplikowało sprawę, tak iż oprócz zawarowania wzajemnej spokojności na pograniczu, nic nie uchwalono, a wszystko odłożono do nowego zjazdu, który jednak nie przyszedł do skutku ¹⁾. Waśnił też królów ich stosunek do gospodarów naddunajskich, których obaj uważali za swoich lenników. Szczególnie chodziło Maciejowi o zhołdowanie Stefana Wielkiego, hospodara Wołoszczyzny, ażeby na każde zawołanie mieć w nim dzielnego pomocnika przeciw Turkom. Lecz Stefan wolał raczej tytularne zwierzchnictwo Kazimierza Jagiellończyka, który oprócz uznania swojej władzy nic zgola od niego nie wymagał, aniżeli z rzeczywistym ciężarem połączoną supremacyą Macieja Korwina. Nie składał mu więc hołdu, a w r. 1467 dosyć jawnie popierał powstańców siedmiogrodzkich. Król węgierski postanowił go za to ukarać i pod koniec tego roku wpadł z licznem wojskiem do Wołoszczyzny; 15go Grudnia przyszło pod Banią do krwawej bitwy, w której bardzo wielu Węgrów poległo, a Maciej trzy rany odniósł, lecz i Wołosi ponieśli niemałe straty. Obie strony przypisywały sobie zwycięstwo i na znak tego Maciej posłał zdobyte chorągwie wołoskie do Budy, a Stefan węgierskie do Wilna, gdzie bawił podówczas król polski. Po tej bitwie Maciej cofnął się zaraz do Węgier, kontent, że prośby Związku katolickiego o pomoc przeciw Jerzemu pozwoliły mu bez wstydu opuścić Wołoszczyznę; jednakże Stefan obawiał się powtórnego napadu Węgrów i słał do Kazimierza częste listy, dopraszając się posiłków. Pomoc polska okazała się wkrótce niepotrzebną, gdyż wmięszanie się Macieja do spraw czeskich uwolniło hospodara od niebezpieczeństwa; ale Kazimierz nie

¹⁾ Długosz XIII. 341, 343—344; Katona XV. 115—116.

omieszkiał upomnieć się u dworu węgierskiego o najechanie swojego hołdownika ¹⁾.

W takim stosunku zostawali do siebie obaj królowie, gdy w połowie Kwietnia przybył do Krakowa z Preszburga Protazy, biskup ołomuniecki. Na pierwszym posłuchaniu udzielenem sobie w obecności wszystkich panów radnych, opowiadał naprzód szerokimi słowy, jak potężne król Maciej zgromadził siły przeciw Jerzemu, jak liczne mają przyjść mu w pomoc zastępy Krzyżowców niemieckich oraz wojska cesarskie, a Zdenko Sternberg, jakotoż i inni panowie czescy, już się z nim połączyli. Zatem wzywał Kazimierza, aby przystąpił do ligi i przy jej pomocy odebrał Jerzemu należące się sobie prawem dziedzicznym królestwo czeskie, na które Maciej chętnie go poprowadzi. W końcu ostrzegał króla, że jeżeli nie skorzysta z dogodnej chwili, wielką ściągnie na siebie niesławę, gdyż skutkiem jego opieszałości mógłby Czechy kto inny zagarnąć. Wszystko to przekładał Protazy sposobem przyjacielskiej rady od siebie raczej, aniżeli w imieniu tych, co go przysyłali. Dopiero na drugim, poufniejszem posłuchaniu, do którego król przypuścił tylko pięciu senatorów, wystąpił jako agent Macieja i cesarza Fryderyka. Obaj monarchowie chcieli się spowinowacić z Kazimierzem Jagiellończykiem, i Protazy prosił go, aby Maciejowi dał w małżeństwo starszą swoją córkę Jadwigę, a Maksymilianowi, synowi cesarza, młodszą Zofię. Dotknął przytem pogłosek, krążących na dworach austriackim i węgierskim, jakoby Kazimierz po owładnięciu Czech zamierzał opanować dla swoich synów Węgry i Austryą. Ale Maciej i Fryderyk, dowodził biskup, nie łatwo ze swoich państw dadzą się wyrugować; jeżeli zaś Kazimierz zawrze z nimi przymierze i wejdzie w związki pokrewieństwa, z ochotą zastrzegą jego synom dziedzictwo po sobie, gdyby sami mieli zejść bezpotomnie. W każdym razie atoli król polski bezpieczniej zapewni swojemu domowi panowanie w Węgrzech i Austryi przez córki, jak przez synów. Missya biskupa ołomunieckiego niezawodnie wydała się Kazimierzowi i jego radzie wielce podejrzaną, gdyż po rozważeniu czynionych przezeń propozycji dano mu bardzo szorstką odpawę. Ani o przystąpieniu do

¹⁾ Długosz XIII. 416—419; Katona XV 233—237, 244—248.

ligi przeciw Jerzemu, ani o małżeństwie królowny Zofii z Maksymilianem nie wspomniał król ani słowa. Odpowiedział tylko, że nie wypada mu przyjąć za zięcia Macieja, który na wzór jawnego nieprzyjaciela wielkie szkody Polsce wyrządził, dwa razy zniszczył mieczem i ogniem ziemię Spiską, a świeżo podniósł oręż na hospodara Stefana; dopóki to wszystko nie zostanie powetowanem, nie może być mowy o skojarzeniu bliższego związku z królem węgierskim. Co do królestwa czeskiego, przypomniał biskupowi, że mając je sobie ofiarowane od papieża i panów czeskich, nie odrzucił ofiary, ale postanowienie w tak ważnej rzeczy odłożył do sejmu walnego, który ma się zebrać na św. Bartłomiej; jeżeliby zaś kto poważył się tymczasem sięgnąć po koronę czeską, zaufa Bogu i ludom swoim i nie dopuści, aby wydzierca długo ją posiadał ¹⁾.

Biskup Protazy bawił w Krakowie od połowy kwietnia do połowy maja, kiedy Maciej stał już z wojskiem w Morawach. Interwencya węgierska była dla Jerzego ciężkim i niespodziewanym ciosem. Maciej bowiem tak dobrze potrafił aż do ostatniej chwili ukryć swój zamiar, że gdy jeszcze przed wypowiedzeniem wojny posłał w pomoc cesarzowi kilka tysięcy ludzi, którzy wyparli Wiktoryna z Austrii, Czesi nie mogli zgadnąć, z kąd się wzięły te posiłki. Z tem wszystkiem Jerzy nie stracił odwagi i spieszenie przygotował się do obrony. Około 17 kwietnia obaj królowie spotkali się ze sobą na czele swych wojsk w okolicach Znojma. Jerzy górując nad przeciwnikiem liczbą piechoty, chciał stoczyć bitwę w otwartem polu; Maciej zaś, którego armia składała się prawie z samej konnicy, wolał trapić nieprzyjaciela podjazdami i odcinać mu dowóz żywności. Z pod Znojma Węgrzy cofnęli się ku miasteczku Ławie nad Tają, gdzie założyli oszańcowany obóz; o milę od nich stanęli Czesi w Dyjakowicach. Blisko przez

¹⁾ Długosz XIII. 421—423; Eschenloer II. 126. Wedle Długosza biskup Protazy przybył do Krakowa 8 kwietnia, a 11 miał posłuchanie u króla, co być nie mogło, gdyż biskup jeszcze 9 kwietnia bawił w Preszburgu; wreszcie o kilka wierszy wyżej Długosz mówi, że król dopiero 13 kwietnia przyjechał do Krakowa z Nowego miasta Korczyna. W ogóle trzeba mieć się na ostrożności z chronologią Długoszową, w której pełno jest błędów.

trzy tygodnie zachodziły codzienne utarczki, ale do stanowczej bitwy ani razu nie przyszło; jednocześnie toczyły się między królami układy pokojowe, do których Jerzy szczerze się skłaniał, pragnąc odwrócić wstrętą sobie wojnę religijną. Ale Maciej stawiał bardzo ciężkie warunki, mianowicie, aby Jerzy z całym narodem poddał się bezwarunkowo stolicy apostolskiej, a przyszłemu arcybiskupowi pragskiemu, którego papież zamianuje, odstąpił dobra kościelne w Czechach, aby zwrócił katolikom pozabierane w ubiegłym roku zamki, wsie i miasteczka, przypuścił cesarza do traktatu pokojowego, a spory z nim oddał pod sąd arcybiskupa ostrzychomskiego, wreszcie, aby wynagrodził Węgrom szkody i koszta wedle oszacowania legatów papieżkich. Ze wszystkich tych warunków najtrudniejszymi do wykonania były niewątpliwie dwa pierwsze, lubo i ostatnie wcale się nie różniły od takich, jakie tylko zwycięzca dyktuje zwyciężonemu. Nie dziw, że rokowania speliły na niczem. Tymczasem w obozie czeskim zabrakło żywności, w skutek czego Jerzy musiał wyruszyć z Dyjakowic. W ślad za nim udał się Maciej, lezz skoro spostrzegł, że tamten chciał go przymusić do bitwy, znowu się oszańcował pod Znojmem. I tu, podobnie jak w okolicach Ławy, odbyło się nie mało krwawych utarczek podjazdowych, ale wielkiej bitwy Maciej znowu potrafił uniknąć. Jerzy nie mógł dłużej dotrzymać placu, rozpuścił zgłodniałe wojsko, a sam wrócił do Czech, rozkazawszy Wiktorynowi zamknąć się w mieście Trzebiczowie i ztamtąd obserwować nieprzyjaciela ¹⁾.

Za powrotem do Czech Jerzy zaraz wyprawił do Polski Wojciecha Kostkę z Postupic, który przybył do Krakowa nazajutrz po wyjeździe biskupa ołomunieckiego i 16 maja miał posłuchanie u króla. Kostka dziękował Kazimierzowi za przeszłoroczne starania jego posłów około pokoju, a chociaż strona przeciwna nie dotrzymała rozejmu, który oni ustanowili, prosił jednak w imieniu swojego pana, zawsze, jak mówił, ufającego królowi polskiemu, aby tenże powtórnie podjął się pojednania Jerzego z jego nieprzyjaciołmi. Pojednanie to obejmowało dwie rzeczy: stłumienie wojny w Czechach i wyproszenie u papieża stosownego miejsca, gdzieby Jerzy, całkiem

¹⁾ Palacky IV. II. 514—515, 523—527.

bezpieczny o swoją osobę i godność, mógł się usprawiedliwić ze wszystkich win, jakie mu zarzucała stolica apostolska. Nagrodą tej pracy miało być zapewnienie jednemu z synów królewskich panowania w Czechach po śmierci Jerzego, o co Jerzy miał się postarać u stanów czeskich. Nosił on się dawniej z myślą założenia dynastyi Podiebradzkich i chciał przekazać koronę starszemu synowi swojemu Wiktorynowi, ale od chwili, jak się utworzył przeciw niemu związek panów, myśl ta stawała się coraz niepraktyczniejszą, a podczas wojny domowej i za wmięszaniem się do spraw czeskich króla węgierskiego Jerzy całkiem jej zaniechał. Już drugiego dnia po odbytem poselstwie usłyszał Kostka najprzychylniejszą odpowiedź króla polskiego i odjechał z Krakowa uradowany, złożywszy ten sam dowód bezinteresowności, co niegdyś posłowie Kazimierza w Czechach — nie przyjął darów, które król posłał mu był na pożegnanie do gospody. Missyą pojednawczą powierzył król znowu Jakóbowi z Dębna i Stanisławowi Ostrorogowi, ale w miejsce Długosza wybranym został Mikołaj Skop, kasztelan oświęcimski. Długosz pełnił wówczas obowiązki nauczycielskie przy synach Kazimierza Jagiellończyka, zresztą nie przypadała mu zapewne do smaku rola pośrednika między stronami, z których o tyle jednej sprzyjał, o ile drugiej nie cierpiał ¹⁾

Ledwie królewicz Wiktoryn stanął ze swoim wojskiem w Trzebiczowie, gdy Węgrzy opasali to miasto i zaraz przypuścili szturm, którego Wiktoryn nie mógł odeprzeć tak ze względu na przeważające siły nieprzyjaciół, jak dla pożaru, wznieconego przez nich w mieście, i cofnął się do sąsiedniego klasztoru Benedyktynów. Tu Maciej trzymał go całe trzy tygodnie w najściślejszem oblężeniu, licząc na pewne, że Wiktoryn pomimo warowność murów klasztornych będzie się musiał poddać, jeżeli nie zechce zginąć z głodu. W istocie niedostatek straszliwie dokuczał załodze; wojska zaś, które przyprowadził był ku odsieczy naprzód królewicz Henryk, a potem Jerzy, nie zdołały przełamać linii węgierskich. Wtedy Wiktoryn, natchniony rozpaczliwą odwagą, zrobił w nocy z 5 na 6 czerwca wycieczkę, przebił się z częścią załogi przez wojsko nieprzyjacielskie i szczęśliwie dotarł do obozu czeskiego.

¹⁾ Długosz XIII. 424—425.

Obleżenie klasztoru trwało jeszcze przez jakiś czas, ale po ucieczce Wiktoryna nie miało już dla Macieja wartości. Dał więc temu pokój i ruszył do Berna, gdzie mieszkańcy powitali go, jako oswobodziciela; następnie otworzył mu bramy Ołomuniec; w krótkim czasie właściwym panem Moraw był Maciej, nie Jerzy. Na szczęście króla czeskiego działania innych jego nieprzyjaciół nie szły w parze z postępami Macieja. Austriacy słabo wspierali Węgrów, czasem nawet szarpali ich z tyłu; panowie czescy, zamiast wszystkie siły swoje połączyć z wojskiem węgierskiem, jako tego pragnął Maciej, ubijali się na sposób partyzancki w Czechach z dowódcami Jerzego; również na własną rękę wojowali Szlązacy w okolicach Turnowa, gdzie poczynili wprowadzić ogromne szkody, lecz niebawem ponieśli dotkliwą klęskę od husytów. Stolica apostolska gorliwie popierała Macieja, ale raczej moralnie, jak materyalnie. Papież ogłosił 20 kwietnia dwie nowe bulle, z których jedna zabraniała katolikom towarzyskich i handlowych stosunków z husytami, a druga udzielała odpustu ochotnikom, idącym na wyprawę do Czech, oraz wszystkim dającym składki pieniężne na wojnę czeską. Z bullami temi pojechał do Niemiec w charakterze legata Wawrzyniec Rovarella, biskup ferrarski, lezz skutek nie opłacił należycie jego starań. Z Austrii, Szwabii i innych krajów niemieckich pociągnęły do Czech wcale nieliczne zastępy krzyżowców, podobne raczej do band rozbójniczych, tak iż nie tylko husyci, ale i katolicy z oburzeniem wspominali o barbarzyństwach tej dzikiej hałstry; nie wiele też było pożytku ze skarbon odpustowych, do których bardzo szczupłe wpływały datki. Maciej tak był rozdąsany na swoich sprzymierzeńców, że w drugiej połowie czerwca, może zresztą chcąc ich tylko postraszyć, słuchał uprzejmie poselstwa Wojciecha Kostki, który zapraszał go na zjazd z Jerzym w celu układów pokojowych; dopiero zabiegi bawiących przy nim biskupów węgierskich odwiodły go od tych rokowań. Jeżeli jednak skłaniał się wówczas do pokoju, to po zajęciu Moraw myślał tylko o wojnie i postanowił udać się do Węgier, ażeby większe sprowadzić ztamtąd siły przeciw Jerzemu. Przed odjazdem zwołał do Ołomuńca członków związku katolickiego, między innymi także legata Rudolfa, wyniesionego w początkach tego roku na biskupstwo wrocław-

skie po śmierci Jodoka, i żądał od wszystkich dokładnego wykazu, ile wojska mogą utrzymać pod bronią. To otrzymawszy, zobowiązał ich na piśmie, aby zawsze wiernie mu pomagali i bez jego wiedzy nie wdawali się w żadne z królem czeskim układy. Nareszcie uradzono wyjednać u papieża zbieranie na wojnę osobnej dziesięciny w Niemczech, Węgrzech i Polsce, a u cesarza powołanie do broni wszystkich książąt rzeszy. Dla podniesienia ducha w katolikach zaczęto rozgłaszać, że uzyskano już jedno i drugie ¹⁾).

Rozbudzony tym sposobem w nieprzyjaciółach Jerzego zapal do wojny, niekorzystnie wpłynął na pojednawczą interwencją Kazimierza Jagiellończyka. Dnia 5 lipca posłowie jego odwiedzili naprzód Macieja w Ołomuńcu, z kąd natychmiast pojechali do Pragi, dowiadujemy się bowiem z listów Macieja, pisanych 12 tego miesiąca, że przybycie ich dodało ducha Jerzemu. W Pradze, gdzie dłużej bawili, dopraszali się jakichś bliższych i jak się zdaje, przedwczesnych rękojmi przyszłego panowania Jagiellonów w Czechach, gdyż dostali od Jerzego odpowiedź, że póki żyje, nie ustąpi nikomu królestwa, ale na wypadek swojej śmierci zapewni je za zgodą stanów potomkowi Kazimierza, co obiecuje stwierdzić aktem urzędowym, byle król polski pogodził go z papieżem i położył kres wojnie. Powtórnie przybywszy do Ołomuńca, posłowie polscy postawili następujące żądania: zawarcie rozejmu aż do 2 lutego 1470, oddanie zaborów, przez obie strony poczynionych, do wiernych rąk trzecich osób, uznanie Kazimierza Jagiellończyka arbitrem w rzeczach świeckich, nareszcie pojednanie Jerzego z papieżem, któremu Jerzy gotów był całkowite, jak utrzymywali, ślubować posłuszeństwo. Ale w Ołomuńcu nie było już ani śladu pokojowego usposobienia; obaj legaci, Rovarella i Rudolf, twierdzili, że nie można ufać Jerzemu, gdyż on żadnych obietnic nie dotrzymuje i znanym jest powszechnie, jako krzywoprzysięzca. Jeżeli jednak na prawdę czuje się skruszonym, niech naprzód odda katolikom w zakład zamek pragski, Karlsztejn, Kladzko, Szpilberg i Hradysz, a potem dopiero

¹⁾ Długosz XIII. 427—430; Rajnald 450—451; Eschenloer II. 126—127; Historia Wratisl. 189—190, 191—192; Katona XV. 317.

będzie mowa o układach. Zamek praski bronił stolicy, w Karlštejnie przechowywały się insygnia władzy królewskiej, Kladzko zamykało drogę ze Szlązka do Czech, jak znowu miasto Hradysz z Węgier do Moraw, a Spilberg trzymał w szachu miasto Berno. Ma się rozumieć, że wobec warunku, podanego przez legatów, nie można było nawet myśleć o rokowaniach, i posłowie polscy nic nie sprawiwszy, wrócili do domu. Wkrótce potem, 3 września Maciej wyjechał do Węgier, oddawszy naczelne dowództwo nad wojskiem Zdenkowi Sternbergowi ¹⁾.

Wygórowane żądania legatów papieżkich dają się po części wytłómaczyć nieszczęściami, które właśnie w tym czasie zaczęły jedno po drugim spadać na Jerzego. Zamki Hojerswerda w Łużycach i Frankensztejn na Szlązku poddały się związkowi katolickiemu; jeden z synów Zdenka ubiegł Polsce dziedziczne miasto Podiebradzkich; ale najdotkliwiej dała się uczuć utrata klasztoru hradyskiego pod Ołomuńcem — marszerujący ku tej twierdzy z posiłkami i żywnością Zdenko Kostka pobity został na głowę przez Franciszka Haga; tego samego losu doświadczył Ścibor Towaczowski, oraz królewicz Wiktoryn, i klasztor poddał się nieprzyjacielowi. Śmierć i odstępstwo zabrały Jerzemu najwierniejszych przyjaciół: Jan Rosenberg połączył się z katolikami, Zdenko Kostka umarł z rany, odniesionej w bitwie; pomarli też Prokop Rabsztejn, kanclerz królestwa, Burjan Trecza, przywódca utrakwistów stanu rycerskiego, Michał z Michałowic i inni, na których mężtwie, lub radzie król szczególnie polegał. Przywalony temi klęskami, Jerzy znowu odwołał się do uczynności Kazimierza Jagiellończyka i wyprawił na sejm piotrkowski, który się otworzył pierwszych dni października, znanego nam przeora Pawła z prośbą nie o samo tylko pośrednictwo w Rzymie, lecz oraz o zbrojną pomoc. Sprawując to poselstwo, przeor Paweł nie omieszczał wspomnieć, że rozejm styczniowy, skuteczniejszy przez pełnomocników polskich, zamiast pomóc, zaszkodził Jerzemu, chcąc tym wyrzutem niejako pobudzić króla do naprawienia błędu. Przybył także na ten sejm poseł legata Rudolfa, Baltazar kanonik wrocławski, i żądał od Kazimierza, aby pozwolił

¹⁾ Długosz XIII. 430; Katona XV. 341—342; Hist. Wratisl. 190—191.

głosić w Polsce klątwę i krucyatę przeciw Jerzemu. Król przechylał się w duszy na stronę Jerzego, zwłaszcza gdy ten przyrzekł wyjednać Jagiellonom panowanie w Czechach drogą legalną, którą Kazimierz zawsze przekładał nad gwałtowne wdarcie się na królestwo przy pomocy zbuntowanych panów katolickich, i niezawodnie w tym kierunku chciało mu się w tych czasach z większą niż dotąd stanowczością zabrać głos w sprawie czeskiej, co widać po części z jego narad w tym przedmiocie z Zakonem krzyżackim. Ale nie pozwalały na to okoliczności. Kazimierz Jagiellończyk był jeszcze za ubogi w zasoby materyalne, ażeby się połączyć z Jerzym przeciwko całej lidze katolickiej, a za uczciwy, ażeby stanąć po stronie jego nieprzyjaciół. Nie przyrzekając tedy, ani odmawiając pomocy, o którą prosił Jerzy, odpowiedział jego posłowi, jak również Baltazarowi, że wyśle do Rzymu poselstwo, które po drodze wstąpi do Wrocławia i Pragi z bliższymi wiadomościami o zamiarach królewskich. Missya poselska została powierzona Jakóbowi z Dębna i Pawłowi z Główni, dziekanowi krakowskiemu, którzy jednak nie rychło, jak zobaczymy, puścili się w drogę ¹⁾. Niezawodnie pochodziło to ztąd, że po ostrych bullach kwietniowych, wymierzonych przeciw Jerzemu, jako też wobec świeżych zwycięstw, odniesionych nad nim przez katolików, król polski nie chciał narażać sobie papieża i związku katolickiego ujmowaniem się za potępieńcem w tak niewłaściwej ku temu porze. W zachowaniu się jego względem nieprzyjaciół Jerzego wyraźnie przebiegała chęć, aby ci zawsze mniemali, że potrafią go z czasem przeciągnąć na swoją stronę. Podczas sejmu mieli Wrocławianie jakiegoś ajenta w Piotrkowie, przez którego dowiadywali się od arcybiskupa gnieźnieńskiego o postanowieniach królewskich. Arcybiskup oznajmił im, że król zamierza wyprawić posłów do papieża i cesarza dla poparcia praw swoich do korony czeskiej, i ostrzegł ich, aby ze swojej strony nic nie czynili, coby mogło tym prawom ubliżyć ²⁾.

Po srogich klęskach zaświtały Jerzemu znowu pogodniejsze chwile. Pod koniec roku poddało mu się Konopisko,

¹⁾ Długosz XIII. 433—436; Palacky IV. II. 547—550.

²⁾ Eschenloer II. 140.

przeszło od paru lat oblegane. Wiktoryn opanował w Morawach miasto Ostrawę, a jeden z wodzów Jerzego, Wilczek, zaczął na nowo pustoszyć Austryą. Nieprzyjaciół zaś doczekał się nadto ubytku sił, albowiem część wojska węgierskiego musiała wrócić do ojczyzny, zagrożonej od Turków, nie mało też zaciężników opuściło Sternberga z powodu niewypłaconego żołdu. Oprócz tego poczęło się chwiać przymierze Macieja z cesarzem. Maciej nastawał na cesarza, aby stósownie do swojej obietnicy wyjednał mu w Niemczech godność króla rzymskiego; ale cesarz, który uczynił tę obietnicę jedynie dla uzyskania pomocy węgierskiej przeciw Czechom, wcale nie myślał o dotrzymaniu słowa. Wywiązało się ztąd wzajemne zniechęcenie, które tak daleko zaszło, że Maciej zaczął skrycie wspierać przeciw cesarzowi malkontentów austriackich i sztyryjskich, a ten znowu postanowił udać się do Rzymu niby dla wypełnienia ślubu, który uczynił był w 1462 podczas buntu wiedeńskiego, w gruncie zaś, aby tam kopać dołki pod swoim sprzymierzeńcem. Ale że na pozór stosunki obojga były jeszcze przyjacielskie; dla tego cesarz odjeżdżając, porucił swoje kraje opiece Macieja i pozwolił mu użytkować z ich dochodów, za co Maciej zobowiązał się nie zawierać z Jerzym sejmiku bez pozwolenia cesarza. Do Rzymu przybył cesarz w wilią Bożego Narodzenia, i wtedy dopiero Rzymianie przekonali się, że żyje, czemu nie chcieli wierzyć, twierdząc, że żadnym znakomitym czynem nie dał znaku życia o sobie. Bawił w Rzymie dwa tygodnie i po całych dniach miewał narady z papieżem i kardynałami, żądając, jak utrzymywano, od stolicy apostolskiej zapewnienia sobie i swojemu synowi dziedzictwa w Węgrzech i Czechach. Na nic się jednak nie zdały ani te narady, ani oznaki uniżonego szacunku, jakie cesarz publicznie okazywał papieżowi. Paweł II nie dał się wciągnąć do żadnych układów na szkodę Macieja, najdzielniejszego pomocnika swojego w walce z niewiernymi i heretykami, i cesarz z niczem musiał odjechać. Nim wrócił z Rzymu, rozpoczął się w miesiącu lutym 1469 sejm Rzeszy niemieckiej w Ratyzbonie pod przewodnictwem legata Rovarelli i komisarza cesarskiego. Radzono nad uzbrojeniem i wyprawieniem do Czech znacznego wojska w pomoc Maciejowi. Zwyczajnym trybem sejmów niemieckich bardzo wiele mówiono i pisano, ale do żadnej poży-

tecznej uchwały nie przychodziło, aż nareszcie 10 marca niespodziewana wiadomość z Czech nagle położyła koniec rozprawom. Maciej uzyskał od swoich stanów podatek, ofiarowany mu z życzeniem prędszego ukończenia wojny czeskiej, i w początkach stycznia wyruszył do Moraw, gdzie przybycie jego zdawało się zapowiadać katolikom nowe nad husytami tryumfy, poddał im się bowiem warowny Szpilberg. Od tej chwili pewny posiadania Moraw, przedsięwziął Maciej wyprawę do Czech, gdzie chciał nasamprzód opanować, albo przynajmniej zniszczyć kopalnie srebra w Kutnohorze, zkąd królowie czescy największe czerpali dochody. Jerzy pospieszył na obronę swoich skarbów i zaskoczył Węgrów pod Wilemowem, w miejscu zewsząd zamkniętem górami, gdzie wobec przeważających sił czeskich zagroziła Węgrom niechybna zguba. Stało się to ostatnich dni lutego. Przekonany o niepodobieństwie walki, Maciej wdał się w układy z Jerzym i ku wielkiemu oburzeniu Czechów potrafił weń wmówić, że pogodzi naród czeski ze stolicą apostolską, i to na zasadzie kompaktatów. Obietnica Macieja nie została nawet spisana w formie aktu. Jerzy wypuścił go z matni na słowo. Zatem królowie ustanowili rozejm do 3 kwietnia we wszystkich krajach korony czeskiej, a 24 marca mieli się z sobą zjednać w Ołomuńcu dla ułożenia wieczystego pokoju ¹⁾.

Wiadomość o tem rzuciła na nieprzyjaciół Jerzego niesłychany popłoch. Legat Rowarella, uniesiony gniewem, poczytał ją za fałszywą i coprędzej opuścił Ratyzboną dla zobaczenia się z Maciejem; w Żytawie chciano ściąć gońca, który przywiózł od Macieja rozkaz wstrzymania kroków nieprzyjacielskich, sądzono bowiem, że rozkaz był podrobiony przez Jerzego, i mówiono, że sprawa heretyków źle musi stać, skoro na takie figle się biorą. Umiarkowańsi jednakże katolicy cieszyli się, że ustał rozlew krwi chrześcijańskiej, i błogosławili oczekiwanemu pokojowi. Na dworze polskim rozważano tę rzecz ze stanowiska politycznego i obawiano się, ażeby układy Jerzego z Maciejem nie zaszkodziły widokom Kazimierza Jagiellończyka. By temu zapobiec, wyprawiono na

¹⁾ Długosz XIII. 438—440; Eschenloer II 145—149; Rajnald 464—468; Palacky IV. II. 551—552, 561—565.

zjazd ołomuniecki tych samych posłów, którzy w przeszłym roku wyznaczeni byli do Rzymu. Mieli i teraz tam jechać, a według pierwotnej marszruty wstąpić także do Wrocławia, lecz zadaniem ich było bronić wszędzie praw swojego pana do królestwa czeskiego. Przybywszy tedy naprzód do Wrocławia, przypominali radzie miejskiej i legatowi Rudolfowi prośby papieża Pawła II i całego związku katolickiego, zanośzone w lipcu i sierpniu 1467 do Kazimierza Jagiellończyka, aby ze względu na dziedziczne prawa swoich dzieci objął królestwo czeskie, na którem papież miał go zaraz potwierdzić. Król polski, mówili posłowie, nie odrzucił tych prośb, ale wziął rzecz do namysłu, ażeby po naradzie ze stanami swego królestwa dać papieżowi odpowiedź, z którą właśnie obecne poselstwo udaje się do jego świątobliwości; król zaś żąda tymczasem od Wrocławian uroczystego zapewnienia, że bez jego wiedzy i woli nikogo swoim panem nie uznają. Odrzekli na to Wrocławianie, że dobrze pamiętają, co się działo w owych miesiącach roku 1467, i chętnieby widzieli na tronie czeskim Kazimierza Jagiellończyka, ale ponieważ zostają pod opieką stolicy apostolskiej, uczynią to, co im papież rozkaże. Posłowie nie zdołali wymóc na nich lepszej odpowiedzi i rozgniewani pojechali z Wrocławia do Nowego miasta w Morawach, gdzie się zobaczyli z Jerzym, wybierającym się na zjazd ołomuniecki. Wkrótce potem wyruszył do Ołomuńca legat Rudolf z dwoma radcami wrocławskimi ¹⁾.

Nie 24 marca, jak było umówione, lecz dopiero w drugim tygodniu kwietnia zaczęły się rokowania ołomunieckie i potrwały do 1 maja. Powodem opóźnienia były narady króla Macieja ze stronnictwem katolickiem w Bernie w obecności Rovarelli i dwóch posłów cesarskich. Katolicy starali się wszelkimi siłami odwieść Macieja od zawarcia z Jerzym pokoju, z którego wróżyli sobie niewątpliwą zgubę. Rovarella podobno groził mu nawet klątwą w razie gdyby to uczynił. Maciej wahał się i na przemian już to niby przychyłał się do życzeń swoich sprzymierzeńców, już znowu okazywał niechęć ku wojnie, z której ani chwały ani korzyści nie odnosił, tak iż nikt nie mógł zgadnąć jego prawdziwej myśli. Ale powiernicy jego

¹⁾ Eschenloer II 152—154.

już wówczas, jak się zdaje, przekładali panom czeskim, że jeżeli nie chcą być opuszczonymi od Macieja, trzeba, aby się z nim ściślej, niż dotąd, połączyli węzłem. Tak więc w obawie i niepewności pojechali wszyscy z Maciejem do Ołomuńca ¹⁾. Jerzy ze swoimi stanął kwaterą w poblizkiej wiosce Wojciecha Kostki, gdyż nie chciał przyjąć ofiarowanego sobie mieszkania w klasztorze hradyskim, który był w rękach Węgrów. Królowie spotkali się z sobą w namiotach, wystawionych w polu między tą wioską a miastem, narady zaś ich pełnomocników odbywały się w Ołomuńcu. Gdy jednak w namiotach królewskich panowała uprzejmość, prawie serdeczność, w Ołomuńcu natomiast wszystko zapowiadało niepomyślny przebieg zjazdu. Za przybyciem pełnomocników Jerzego obaj legaci papieżcy, Rovarella i Rudolf, nie tylko się usunęli od wszelkiej z nimi styczności, ale Rovarella rzucił nadto interdykt na całe miasto. W końcu Maciej zmusił legatów, aby przynajmniej byli obecni jego osobistym naradom z posłami Jerzego. Ci ostatni zażądali od Macieja stosownie do obietnicy wilemowskiej pogodzenia swojego pana z papieżem. Nastąpiła obustronna wymiana zdań na piśmie, z której atoli nic się nie przechowało, oprócz warunków, postawionych przez Rovarellę, a te jak niebo od ziemi były różne od tego, czego się Jerzy spodziewał. Legat wymagał od króla czeskiego bezwarunkowego poddania się Kościołowi, t. j. wyrzeczenia się kompaktatów, wyłączenia husytyzmu, zwrotu dóbr duchownych i wydania Rokiczany, głowy duchowieństwa husyckiego, którego katolicy pogardliwie nazywali papieżem czeskim. Na tej podstawie miał przyjść do skutku pokój religijny. Inne warunki były następujące: król węgierski zatrzyma wszystkie swoje zdobycze w Czechach, panowie katolicy odzyskają dobra, zabrane im w czasie wojny, nareszcie Jerzy pojedna się z cesarzem. Wobec tak nieumiarkowanych żądań zaszła w negocjacyach przerwa, po której Jerzy oświadczył, że chciałby osobiście z legatem się porozumieć. Ale ten nie przystał na osobistą rozmowę z królem heretykiem i posłał doń arcybiskupa ostrzychomskiego. Co sprawił arcybiskup, nie wiadomo, jak również nieznanym jest dalszy przebieg rokowań ołomu-

¹⁾ Palacky IV. II. 571—572.

nieckich. W ostatnim tygodniu kwietnia pełnomocnicy Jerzego podali te punkta ugody: legaci zdejmą klątwę z utrakwistów, oraz interdykt z miejscowości katolickich, dochowujących wiary Jerzemu, i postarają się o glejty dla poselstwa, które Jerzy wyprawi do Rzymu, Maciej zaś poczyni ze swojej strony kroki, aby prośby poselstwa zostały wysłuchane; tymczasem rozejm będzie przedłużony do Zielonych Świątek roku przyszłego. Rozumie się samo przez się, że jak Jerzy nie mógł przyjąć warunków Rovarelli, tak znowu stronnictwo katolickie odrzuciło propozycje czeskie, i zjazd spełził na niczem, tylko zawieszenie broni przedłużono do końca bieżącego roku. Ale i ten lichy rezultat nie byłby może osiągnięty, gdyby nie starania posłów polskich, którzy ciągle przemawiali za pokojem. Wiedzieli oni, czego pragnął Jerzy, na jakich warunkach chciał się pojednać ze stolicą apostolską; więc skoro nakładano strony do zgody, musieli być pewni, że interes Kazimierza Jagiellończyka na tem nie ucierpiał. Tem bardziej byli zaniepokojeni wojennym zapałem katolików i zagadkowością Macieja, który w Ołomuńcu tę samą odegrywał rolę, co w Bernie. Wkrótce pokazało się, jak dalece były ich obawy uzasadnione. Nie mogąc zbadać Macieja, uprosili legata Rudolfa, ażeby zgromadził u siebie członków związku katolickiego. Gdy się to stało, wystąpili z taką samą mową, jaką byli mieli we Wrocławiu. Odpowiedziano im, że związek katolicki dosyć uczynił dla króla polskiego, lecz obecnie potrzebuje pomocy i pana. Posłowie udali się do Jerzego z zawiadomieniem, że jeżeli dobrze zrozumieli powyższe słowa, zanosি się podobno na wybór nowego króla; na co Jerzy, zwracając się ku swoim, gorzkim odpowiedział żartem, że jak się wybierze jednego w Ołomuńcu, a w Pradze czterech synów Kazimierza Jagiellończyka, będą Czechy miały naraz sześciu królów. Posłowie polscy wcale się nie pomylili. Od początku zjazdu stronnictwo katolickie myślało o zadzierzgnienu owego ściślejszego węzła, którym połączyć się miało z dotychczasowym swoim protektorem, i już 12 kwietnia na tajemnej naradzie uchwaliło obrać Macieja królem czeskim; albowiem katolicy — mówił Zdenko Sternberg — tylko w ten sposób potrafią odplacić dobrodziejstwa Macieja i zapewnić sobie nadal jego opiekę. Zawiadomiony o tej uchwale król węgierski i proszony o łaskawą decyzją, wzdragał się

przez jakiś czas, nasuwając różne trudności, między innemi i tę, że Kazimierz Jagiellończyk mógłby się przeciw niemu połączyć z heretykami; potem stawiał warunek, aby mu zapewniono zbrojną lub pieniężną pomoc ze strony rzeszy niemieckiej, a nareszcie poprzestał na obietnicy legatów, że będą się o to starali, i 17 kwietnia dosyć wyraźnie dał do zrozumienia, że przyjmuje wybór. Inicjatorami tej sprawy byli Zdenko Sternberg i legat Rudolf; Rovarella nie chciał z początku do niej się mieszać, nie mając w swoich instrukcyach odpowiedniego upoważnienia, ale w końcu przystał i on do chóru. Po tym wypadku, jakkolwiek w tajemnicy chowanym, obecność posłów polskich w Ołomuńcu nie była na rękę związkowi katolickiemu i legaci radzili im, aby przyspieszyli swą podróż do Rzymu. Na odjezdnem posłowie nie omieszkali jeszcze raz przypomnieć legatowi Rudolfowi, panom czeskim i Wrocławianom, że wedle ich własnego zeznania, tron czeski należy się dziedzicznem prawem potomstwu Kazimierza Jagiellończyka. Ci odpowiedzieli, że Polacy się mylą, że związek katolicki nigdy takiego prawa nie przyznawał Jagiellonom, tylko drogą wolnego obioru zapraszał ich na tron i tej wolności chce bronić mieniem i życiem ¹⁾.

Nieprzyjaciele Jerzego oburzali się na grzeczność, okazywaną mu przez Macieja. Otóż przy ostatniem z nim spotkaniu się 20 kwietnia Maciej dał widowisko, które nie pomału ucieszyło katolików, a zmartwiło i zawstydziło kacerzy. Jerzy pierwszy przybył na miejsce, i za zbliżeniem się Macieja odszedł, aby go powitać, na jeden strzał łukowy od swego namiotu. Według zwyczaju Maciej powinien był natychmiast zsiąść z konia i postąpić ku Jerzemu; zamiast tego udał, jakoby mu się koń spłoszył, i nie przywitawszy Jerzego, popędził ku swojemu namiotowi. Przy obiedzie dla rozerwania królów kazano się potykać ich błaznom; gdy błazen Jerzego zachwiał się i ktoś wyciągnął rękę, by go podtrzymać, Zdenko Sternberg wyciął policzek nieproszonemu aljantowi, wskutek czego omal nie pobili się wszyscy biesiadnicy, i królowie nie w najlepszym humorze się pożegnali. W parę dni potem Jerzy

¹⁾ Długosz XIII 440—441; Eschenloer II 155—159; Palacky IV, II, 573—575, 578—583.

wrócił do Nowego miasta, aby tam czekać końca układów. Rezultat ich ogłoszono katolikom 1 maja, a 3 tego miesiąca odbyła się w katedrze ołomunieckiej uroczysta elekcya Macieja. Obecni prałaci, panowie i deputowani niektórych miast złożyli mu hołd zaraz po ceremonii elekcyjnej; dla odebrania przysięgi od reszty swojego stronnictwa Maciej nakazał zjazdu, Szlązakom i Łużyczanom na ś. Wit do Wrocławia, dokąd sam się udał pod koniec maja, Czechom i Morawcom na ś. Jan do Berna. Dzień elekcyi zszedł w Ołomuńcu na wspaniałych ucztach i zabawach; lud pił na rynku wino, lejące się strumieniami z rur podziemnych; stół biesiadny Macieja jaśniał od złotych i srebrnych naczyń, których wartość znawcy oceniali przeszło na dwakroć sto tysięcy złotych. Katolicy cieszyli się z obioru Macieja, rokując sobie blizkie pod jego wodzą zwycięztwo nad heretykami; ale martwiło ich, że nowy król nie chciał używać tytułu królewskiego; zapytany o powód, odpowiedział, że nie była jeszcze po temu pora ¹⁾.

Położenie Macieja wobec dworów, interesowanych w sprawie czeskiej, mało co różniło się od tego, w jakim zostawał Jerzy w chwili swojego obioru, a ze względu na usposobienie krajowców było nawet gorsze. Papież Paweł sprzyjał mu niewątpliwie, ale z potwierdzeniem jego elekcji, jak zobaczymy, wcale się nie spieszył; książęta niemieccy byli dlań obojętni, cesarz Fryderyk nie cierpiał go z całego serca, a ze strony dworu polskiego Maciej spodziewał się jawnego oporu swojemu wywyższeniu. W krajach korony czeskiej mógł wprowadzić liczyć na wierność związku katolickiego, jednakże nie wszyscy katolicy należeli do związku: wielu trzymało się Jerzego, inni znowu nie życzyli ulegać Maciejowi, jako panu. Gdy przybył do Wrocławia, obywatele tego miasta, uniesieni radością, złożyli mu hołd, nie czekając zapowiedzianego zjazdu wszystkich Szlązaków i Łużyczan. Ci zaś daleko mniej byli skwapliwi i chcieli się wstrzymać ze swoim hołdem przynajmniej do koronacyi elekta. Lecz Maciej przymusił ich do tego aktu pogroźką, że kto nie przyjdzie dobrowolnie, tego on odwiedzi w domu z bronią w ręku; jakoż w istocie pozaciągał na rynek

¹⁾ Eschenloer II. 160—161.

wrocławski armaty i kazał wojsku sposobić się do wyprawy ¹⁾. Dając tym sposobem krajowcom do zrozumienia, że w potrzebie poprze swoją elekcyą orężem, nie zaniedbał, ma się rozumieć, starań o uznanie jej za granicami Czech. Zapewne zaraz po swoim obiorze wyprawił poselstwo do Rzymu, usiłował zjednać sobie cesarza i wchodził w układy z książętami Rzeszy, mianowicie z książętami bawarskimi, palatynem reńskim i elektorem brandenburskim. Z tym ostatnim widział się we Wrocławiu i proponował mu ścisłe przymierze w celu wzajemnej obrony przeciw wszelkiemu nieprzyjacielowi. Ale Brandenburczyk ofiarował Maciejowi tylko swój głos elektorski w sprawie elekcyi ołmunieckiej, stanowczo zaś wymówił się od przymierza, które, jak sądził, miało być przedewszystkiem wymierzone przeciw królowi polskiemu. ²⁾ Od wszystkich tych kroków Macieja dziwnie jakoś odbijają polecenia, z jakimi przyjechali 16 czerwca do Krakowa posłowie jego Jan Zajac i Dobiesław Czarnohorski. Ci usprawiedliwiali naprzód wybór Macieja opieszałością Kazimierza Jagiellończyka w przyjęciu korony czeskiej, oraz licznymi kłeskami, jakich katolicy doznali od Jerzego. Chociaż jednak elekcyja została dokonana, a Maciej odebrał już od wszystkich katolików przysięgę wierności, gotów jest — mówili posłowie — w razie oporu ze strony króla polskiego załatwić z nim tę sprawę po przyjacielsku. Co większa, jeżeli Kazimierz Jagiellończyk zaprzyjaźni się z Maciejem i wyda stosownie do życzenia Stolicy Apostolskiej wojnę heretykom, którzy w połowie już są zwyciężeni, wtedy Maciej odstąpi całej sprawy i nie tylko nie będzie mu przeszkadzał w osiągnięciu korony czeskiej, lecz owszem pomoże mu w tem dla dobra wiary katolickiej. Jakkolwiek król był mocno obrażony elekcyą Macieja, wysłuchał jednak łaskawie jego posłów, nawet obdarzył ich kosztownymi szabami; lecz propozycye Macieja zbył krótkimi słowy, że odpowie na nie za porozumieniem się z senatorami, którzy podówczas nie licznie byli zgromadzeni w Krakowie. Jeżeli to poselstwo nie było powtórzeniem już przed rokiem bezskutecznie próbowanego, a po wypadkach ołmunieckich wcale niemądrego spo-

¹⁾ Eschenloer II. 166.

²⁾ Długosz XIII. 442.

sobu, ażeby obałamucić dwór polski, należałoby przypuścić, jak sądzi Palacki, że tron czeski miał posłużyć Maciejowi za szczebel, po którym chciał się pięć wyżej — na królestwo rzymskie, a następnie na cesarstwo. Byłoby więc do wytłómaczenia, że pragnąc w tym celu zapewnić sobie pomoc Kazimierza Jagiellończyka, Maciej z ochotą oddawał mu Czechy. Ale chociaż zabiegi jego o koronę cesarską nie ulegają wątpliwości, to z drugiej strony nie da się twierdzić dla braku dowodów, że nie chciał połączyć na swej głowie trzech koron, które już nosili jego poprzednicy, Zygmunt Luksemburczyk i Albrecht Habsburg. Jeszcze posłowie Macieja nie wyjechali z Krakowa, gdy nadeszła wiadomość, że na sejmie w Pradze, złożonym w pierwszych dniach czerwca, stany czeskie obrały królewicza Władysława następcą Jerzego. Usłyszawszy to, jeden z posłów, Jan Zajac radził, ażeby król przyjął wybór syna, jeżeli Jerzy ustąpi z Pragi i Karlsztejnu, co znaczyło, jeżeli za życia zrzecze się władzy na korzyść Władysława; Maciej zaś, mniemał poseł, dałby się najłatwiej odwieść od popierania swojej elekcji, gdyby król polski dał mu córkę w małżeństwo. Mówiąc to, Zajac był tylko tłómaczem własnych życzeń, które atoli, jak widzimy, wcale się nie sprzeciwiały temu, co posłowie przekładali w imieniu Macieja.¹⁾ Wybór syna Kazimierzowego na królestwo czeskie, jakkolwiek już od roku obiecywany dworowi polskiemu, wypłynął bezpośrednio z chybionego zjazdu w Ołomuńcu. Jerzy, zawiedziony w nadziei pojednania się ze Stolicą Apostolską za pośrednictwem Macieja, gorzko żałował błędu, popełnionego pod Wilemowem, i pragnął odwetu. Sejm pragski dzielił uczucia swojego króla i wystosował do Macieja, oraz do stanów węgierskich pisma, wielce zbliżone do tak zwanych listów wypowiednich. Postanowiwszy zaś na nowo rozpocząć wojnę z Maciejem, Jerzy chciał pozyskać sobie w Kazimierzu Jagiellończyku nie neutralnego tylko przyjaciela, jak było dotychczas, ale zbrojnego sprzymierzeńca, i pewnym był, że dopnie tego przez ogłoszenie Władysława swoim następcą. Wybór królewicza odbył się w obecności posłów polskich, Stanisława Marszałkowicza i Jerzego Lubrańskiego, których Kazimierz wy-

¹⁾ Długosz XIII. 443—444; Eschenloer II. 169—170.

prawił był do Jerzego, aby się dowiedzieli o szczegółach rozejmu, zawartego w Ołomuńcu. Należy mniemać, że ci posłowie nie mało się przyczynili do skutecznego elekcyi. Warunki jej były następujące; Jerzy zatrzyma przy sobie rządy królestwa aż do śmierci, król polski zaś wyjedna w Rzymie pokój utrakwistom, a gdyby tego nie mógł dokazać, będzie bronił Jerzego od wszelkich nieprzyjaciół i nie opuści go w żadnem niebezpieczeństwie; po śmierci Jerzego Władysław zachowa jego wdowę i synów przy ich dobrach i godnościach, panów czeskich, wiernych Jerzemu, potwierdzi na piastowanych przez nich dworskich i koronnych urządach, a usunie tych, którym Maciej w Ołomuńcu porozdawał różne dygnitarstwa, nareszcie ożeni się z córką Jerzego Ludmiłą, która miała wówczas lat jedenaście, więc o parę lat była młodszą od Władysława. Z urzędową wiadomością o elekcyi przyjechali do Polski w pierwszej połowie lipca Ścibor Towaczowski, Bieniasz Weitmil i przeor Paweł. Zastali Kazimierza Jagiellończyka w Radomiu, gdzie się naradzał z senatem o zabezpieczeniu kraju na przypadek najazdu węgierskiego, z czego się pokazuje, że wcale nie wierzył w zapowiedzianą przez Macieja gotowość odstąpienia korony czeskiej i już wtedy przewidywał, że bez wojny z nim się nie obejdzie. Elekcyą królewiczą Władysława sama przez się uradowała zgromadzenie radomskie; ale gdy zaczęto roztrząsać jej warunki, z pomiędzy których posłowie czescy wyszczególniali ostatni, tyczący się małżeństwa królewicza, jako taki, od którego głównie zależała ważność elekcyi, panowie radni podzielili się w zdaniach. Jedni byli za tem, aby w zupełności dogodzić życzeniom Jerzego i stanów czeskich; lecz ci stanowili mniejszość. Większość zaś, do której należeli biskupi, wzdrygała się na myśl połączenia węzłem małżeńskim prawowiernego księcia z urodzoną heretyczką. Biskupi rzucili nawet interdikt na Radom, co jednak niezadługo odwołali, obawiając się króla, który, jak wiadomo, nie żartował ze swoim duchowieństwem. Stało wreszcie na tem, że ostateczną odpowiedź na warunki elekcyi odłożono do sejmku, który miał się zebrać w Piotrkowie 21 października, a tymczasem wyprawiono do Czech Jana Tarnowskiego, wojnickiego, i Stanisława Wątróbkę, sądeckiego, kasztelanów, aby się starali uchylić owę *conditionem sine qua non* elekcyi i wyje-

dnali królewiczowi koronacją za życia Jerzego. Natomiast Kazimierz Jagiellończyk przyobiecał Jerzemu posiłki wojenne i w istocie zaczął się niebawem zbroić. Z jednej strony stan jego skarbu w tym czasie o tyle był się polepszył, że dług najemnemu rycerstwu, które w Prusach służyło, jeszcze parę lat temu wynoszący 270,000 czerwonych złotych, przez częściowe wypłaty został do 20000 zredukowany; z drugiej strony zbrojna interwencja polska nie mogła już wówczas mieć charakteru wyłącznie antykatolickiego, gdyż królowi nie chodziło o popieranie odszczepieńców czeskich, lecz o zabezpieczenie praw swojego syna ¹⁾).

Licząc na rozejm, Maciej rozpuścił był większą część swojego wojska. Kiedy więc około 8 lipca na nowo zawrzała wojna, nie mógł dać rady nieprzyjacielowi, który wszędzie bezkarnie pustoszył i mordował. Najwięcej ucierpieli Szlązacy, gdyż Maciej, odjeżdżając z Wrocławia na zjazd berneński, nie zarządził w ich kraju żadnej obrony; przeklinali go tedy i wchodzili z Jerzym w tajemne umowy; tym samym sposobem starali się ująć niebezpieczeństwa niektórzy panowie katoliccy. Aż do ostatnich dni lipca dopisywało Czechom szczęście, gdy w tem ciężki cios dotknął Jerzego. Pod miasteczkiem Weselem wpadł w ręce Węgrów bądź zdradą, bądź przez własną nieostrożność królewicz Wiktoryn, zawsze odważny, ale nieprzezorny, i został odesłany do Wyszogrodu nad Dunajem, gdzie zresztą używał wszelkich wygód, jakkolwiek był pilnie strzeżony. Wypadek ten mocno przeraził stronników Jerzego, a król polski zatrzymał w domu wojsko, które w znacznej liczbie miało iść w pomoc Czechom i już gotowe było do wymarszu. Odtąd nie słychać w Polsce o żadnych przygotowaniach wojennych na korzyść Jerzego; interwencja skończyła się na demonstracyi, która jednak całkiem wystarczyła do poważnienia Kazimierza Jagiellończyka z Maciejem. Kazimierz, zapytany od niego o powód zbrojenia się, odpowiedział, że nikomu nie zdaje sprawy ze swoich czynności. Wskutek tego, jak się zdaje, nie doszedł zjazd Węgrów z Polakami, mający się odbyć w Kiesmarku na Narodzenie Matki Boskiej, a nie-

¹⁾ Długosz XIII 445—446; Eschenloer II. 177; Palacky IV. II. 602.

wiadomo, w jakim czasie i z czyjej inicjatywy zapowiedziany, czy po owem czerwcowem poselstwie Zająca i Czarnohorskiego, więc na życzenie Macieja, czyli raczej po wzięciu w niewolę Wiktoryna, a zatem prawdopodobnie na żądanie dworu polskiego. Za drugim przypuszczeniem przemawia poniekąd sam skład legacji polskiej, do której wybrani byli przedniejsi dostojnicy, mianowicie Jan biskup krakowski, Jan z Tęczyna, kasztelan krakowski, Dersław z Rytwian sandomierski i Stanisław Ostroróg kaliski, wojewodowie, wreszcie Długosz, nauczyciel synów królewskich. Posłowie polscy bardzo wystawnie przyjechali do Podolińca i tam czekali na Węgrów, ale gdy ci nie stanęli, słusznie obrażeni wrócili do domu. Tym sposobem upadły nadzieje związku katolickiego, który już był obiecywał sobie, że Kazimierz wyda córkę za Macieja i połączy się z nim na zgubę heretyków ¹⁾.

Nieszczęśliwa przygoda Wiktoryna tylko na krótko wstrzymała zwycięski pochód broni czeskiej, albowiem utracono w nim męznego żołnierza, lecz bynajmniej nie wodza. Zastąpił go z korzyścią królewicz Henryk, ostrożniejszy i szczęśliwszy od brata. Ten ścisnął oblężeniem zamki Jana Zająca, który w jednym z nich przesiadywał ze swoją rodziną; chciał go Henryk pojmać, ażeby w zamian za jego wolność wydobyć z więzienia Wiktoryna. Lecz Zając umknął, a na obronę jego zamków wybrali się Szlązacy i Łużyczanie. Ledwie jednak ruszyli z pod Żytawy, wnet poszli w rozsypkę, gdy ich zawiadomiono o zbliżaniu się w wielkiej liczbie Czechów. Ci pobili nieprzyjaciół pod Żytawą i skierowali się ku Szlązkowi, stojącemu otworem, ponieważ Franciszek Hag, któremu Maciej porucił był obronę tego kraju, nie śmiał ich zaczepić, doznawszy niedawno porażki w Czechach pod Nachodem. Na Szlązku powtórzyły się sceny z epoki wojen husyckich, kiedy mieszkańcy musieli się opłacać nieprzyjacielowi, aby zasłonić swój dobytek przynajmniej od pożogi, jeżeli nie od rabunku. Wrocławianie drżeli, obawiając się oblężenia, choć za silnemi siedzieli murami, a cały Szlązk złożył im, że poddali się rządowi króla węgierskiego i przez to sprowadzili na kraj nieszczęście. Działy się te rzeczy we wrześniu pod nieobecność

¹⁾ Długosz XIII. 449. Eschenloer II. 178—179, 185.

Macieja, który zbierał w tym czasie w Węgrzech świeże wojsko. Wróciwszy ztamtąd w miesiącu październiku, ściągnął wszystkie siły pod Hradysz, aby zdobyć nareszcie to miasto, oddawna już oblegane. Pod koniec miesiąca ogłodzona załoga była bliską kapitulacyi, gdy nadciągnął królewicz Henryk i 2 listopada zadał Maciejowi walną klęskę, tak iż ten samotrzeć uciekł z pola bitwy w ślad za pierzchającym wojskiem i ledwie oparł się w Skalicy; Czesi zaś poczęli pustoszyć przyległe okolice Węgier, szczególnie dorzecze Wagu i dopiero na schyłku listopada wrócili do kraju. Następnie prawie całkiem ustała zawierucha wojenna, gdyż niesłychanie ostre mrozy, trwające bez przerwy od ś. Andrzeja aż do kwietnia, nie dopuszczały żadnej znaczniejszej wyprawy. Tak więc rok ten ubiegł Jerzemu bardzo pomyślnie, a w Polsce wielce się ciesząco z pobicia Macieja ¹⁾.

W sam dzień bitwy hradyskiej przybyło do Piotrkowa podczas sejmu liczne i okazałe poselstwo od Jerzego, które 5 listopada miało posłuchanie u króla. Jerzy zgadzał się na koronacyą Władysława za swego życia, lecz żądał koniecznie, aby razem z królewiczem koronowaną była Ludmiła, jako jego narieczona, i wyraźnie zastrzegał, aby młody elekt objął rządy państwa dopiero po śmierci swojego teścia. Zuowu tedy rada królewska podobnie jak w Radomiu, na dwoje się rozszczępiła: jedni byli za najściślejszem przymierzem i powinowactwem z Jerzym, drudzy opierali się temu z religijnych pobudek. Nim jeszcze Czesi przyjechali do Piotrkowa, słuchał król sprawozdania Jakóba z Dębna i Pawła z Główni, którzy świeżo wrócili byli do Polski i składali rachunek ze swoich czynności w Rzymie. Donosili, że wiedli zacięte spory z posłami Macieja, którzy prosili papieża, aby go potwierdził na królestwie czeskiem i przysłał mu koronę, gdyż tej, którą Jerzy przechowywał w Karlsztejnie, nie można było dostać. Przeciwno tym prośbom, gorliwie popieranym przez Gabryela Rongoniego, protestowali posłowie polscy, dowodząc, że królestwo czeskie należy się potomstwu Kazimierza Jagiellończyka tak prawem dziedzicznym, jako też na mocy elekcji pragskiej. Papież wyrzekł niby, że wybór Macieja stał się bez jego wie-

¹⁾ Długosz XIII. 447—449; Palacky IV. II. 608, 611—613.

dzy i woli; aby jednak żadnej stronie się nie narazić, za żadną wyrażnie się nie oświadczył, mówiąc, że dla bliższego rozpoznania praw obu królów przyśle osobnego legata, a tymczasem wynurzył życzenie, aby król polski połączył się z węgierskim przeciw heretykom. Z tego powodu i Kazimierz Jagiellończyk oznajmił posłom Jerzego, że stanowczą odpowiedź na żądania ich króla musi odłożyć do przybycia legata. Posłowie, nie radzi ze zwłoki, opuścili Piotrków, a w powrocie do Czech wstąpili do Krakowa, chcąc poznać przyszłego pana swojego. Jakoż Władysław bardzo im się podobał dla roztropności i dowcipu, czem już nieco dawniej przywiązał był ku sobie Ścibora Towaczowskiego, tak iż ten stał się jednym z najgorliwszych jego stronników. Dla zatarcia przykrego wrażenia, jakiego niezawodnie należało się spodziewać w Czechach po chybnem poselstwie Jerzego, Kazimierz Jagiellończyk wyprawiał do Wrocławia jakiegoś księdza z poleceniem, mającem dowodzić, jak bardzo wszystkim w Polsce leżała na sercu pomyślność bratniego narodu. Oświadczył bowiem ów ksiądz Wrocławionom w imieniu króla i całego senatu, szczególnie zaś arcybiskupa gnieźnieńskiego, że ponieważ wcale niepotrzebnie stali się sprawcami wojny i zniszczenia królestwa czeskiego, muszą zatem postarać się, aby wojna ucichła, a szkody zostały Czechom wynagrodzone. Jeżeli nie uczynią zadość temu żądaniu, któremu dziwić się nie powinni, gdyż synowie króla polskiego są dziedzicami czeskimi, król zabroni swoim poddanym handlować z Wrocławiem. Wrocławianie odrzekli, że nie z ich winy wszczęła się wojna, słuchali we wszystkim papieża, któremu każdy prawy chrześcijanin powinien być posłusznym pod utratą zbawienia; dla tego nie mogą wojnie zaradzić. Byli jednak w wielkim strachu, ażeby pogróżka króla się nie ziściła. W tymże czasie wyruszyli z Piotrkowa Stanisław Wątróbka i Mikołaj Skop do Czech, Stanisław Wiślicki do cesarza Fryderyka, Jan Wątróbka do panów węgierskich ¹⁾. Pierwsi dwaj zapewne pojechali w sprawie owego utrapionego małżeństwa królewicza Władysława z Ludmiłą; na inne dwa

¹⁾ Długosz XIII. 451—453; Eschenloer II. 191—192; Historia Wratisl. 217. Pawła z Główni nazywa Długosz w tem miejscu Pawłem z Wąsoszy.

poselstwa rzucają niejakie światło wypadki, o których będzie niżej.

Zwycięztwa Jerzego podniosły go znakomicie w opinii publicznej. Najzawziętsi jego nieprzyjaciele, jakimi byli np. Wrocławianie, poczęli żałować skutków nierozważnego fanatyzmu, a legat Rudolf ze łzami narzekał, że stolica apostolska źle była powiadomioną o siłach heretyków ¹⁾. Przychylny Jerzemu Albrecht, książę saski, już w miesiącu czerwcu próbował pogodzić go z cesarzem, którego położenie zaprawdę godnem było opłakania: do buntu Styryjczyków przybył w tym miesiącu straszny napad turecki na Krainę, a we wrześniu jeszcze srożej przez tych barbarzyńców została spustoszoną Sławonia. Lecz Maciej pokrzyżował zamiar Albrechta przez udzielenie cesarzowi pomocy. Tem usilniej zaczął Jerzy krzątać się w Niemczech około wyboru nowego cesarza, o czym na różnych dworach niemieckich nieraz myślano z powodu niedołęstwa Fryderyka. Było dwóch kandydatów do korony czeskiej: Maciej, który chciał tego dopiąć przez układy z samymże Fryderykiem, i Karol Śmiały, książę Burgundyi, którego właśnie na przekor Maciejowi ze wszystkich sił popierał Jerzy i w tym celu znosił się głównie z domem brandenburskim. Oprócz tego podsycał nienawiść przeciw Maciejowi w arystokracji węgierskiej, która nie cierpiała swego króla tak dla twardych jego rządów, jako też dla dumy i wzdgardy, z jaką często traktował najpoważniejszych jej członków. Mniej uprzywilejowanym warstwom ludności dogadzała wprawdzie sprężystość i bezwzględna, a szybka sprawiedliwość Macieja, ale i tu szemrano, że dla wojny czeskiej, na którą ciągle domagał się podatków, zaniedbywał daleko pilniejszą wojnę turecką. Przed powrotem Macieja do Węgier w miesiącu wrześniu knowano tam jakiś spisek celem zrzucenia go z tronu, do czego i Jerzy i Kazimierz Jagiellończyk zarówno gotowi byli przyłożyć rękę. Spiskiem tym kierowali, ma się rozumieć, magnaci, podobno Mikołaj Varday i hrabiowie Pösing ²⁾. Może więc z tą, albo z inną tego rodzaju sprawą zostawało w związku poselstwo piotrkowskie, wyprawione, jak widzieliśmy, nie do

¹⁾ Eschenloer II. 194—196.

²⁾ Palacky IV. II. 597—602.

Macieja, lecz do panów węgierskich. Maciej jednak zawsze w porę umiał wytropić wszelkie przeciw sobie zamachy, po czem spiskowcy przestraszeni zwykle nie stawiali oporu żądaniom jego na sejmach. Tak było w zimie tego roku na sejmie budzińskim, który pomimo ucieczki króla z pod Hradysza uchwalił ogromny podatek w ilości 800,000 dukatów na wojnę turecką i czeską, a ponieważ od Turków nie groziło w tym czasie niebezpieczeństwo, cały więc ten zasiłek miał pójść na żywienie wojny w Czechach, mającej się na nowo rozpocząć za nadejściem wiosny ¹⁾). Nim jednak do tego przyszło, zdarzył się wypadek, który stanowczo wpłynął na dalszy przebieg sprawy czeskiej. W pierwszej połowie lutego 1470 Maciej udał się do Wiednia dla jakichś układów z cesarzem, które miały się zakończyć małżeństwem jego z córką cesarską Kunegundą. Nic zresztą o tych układach nie wiadomo; najlepiej w tym względzie powiadomiony Długosz mówi tylko, że całkiem się rozbiły z powodu, iż Maciej żądał od cesarza zwrotu pieniędzy, zapłaconych w r. 1463 za koronę węgierską, jakoteż niektórych miast i zamków, zostawionych wówczas w posiadaniu cesarza, oraz wynagrodzenia szkód, poniesionych przez Baumkirchera, przywódcę powstańców austriackich. Wywiązała się ztąd kłótnia między monarchami tak gwałtowna, że Maciej, nawet nie pożegnawszy swojego gospodarza, w największym pośpiechu odpłynął statkiem do Preszburga, jak się zdaje, w połowie marca ²⁾). Odtąd nie było już mowy ani o małżeństwie jego z Kunegundą, ani o wyniesieniu go na tron cesarski; przeciwnie niefortunny ten zjazd wiedeński sprowadził nowe kombinacye polityczne; cesarz Fryderyk zapragnął sprzymierzyć się z Kazimierzem Jagiellończykiem, a po pewnym czasie i z Jerzym Podiebradzkim.

W miesiącu maju zawitał do Nowego miasta Korczyna, gdzie przesiadywał wówczas król Kazimierz, Aleksander biskup forlijski. Ale polecenia, dane mu od papieża, były tylko powtórzeniem tego, co posłowie królewscy słyszeli już w Rzymie. Paweł II oświadczał przez swojego legata, że jakkolwiek życzył

¹⁾ Pray IV. 61.

²⁾ Długosz XIII. 455.

Jagiellonom korony czeskiej, nie może jednak odsądzić od niej Macieja, który tyle przysług wyświadczył kościołowi i niejednokrotnie Czechów poraził. Wzywał zatem powtórnie króla polskiego do wojny z heretykami i radził, aby przez małżeństwo córki jak najściślej sprzymierzył się z Maciejem. Wreszcie rozkazywał legatowi udać się osobiście do Jerzego, gdyby to królowi polskiemu miało być pożytecznem. O ile wiadomo, Kazimierz wcale nie korzystał z pośrednictwa legata, gdyż daleko miłszą była mu propozycja cesarza, z którą w tymże czasie przyjechał Rafał Leszczyński, szlachcic polski herbu Wieniawa, ale już od lat kilkunastu zostający w służbie cesarskiej. Leszczyński opowiedział królowi zajście swojego pana z Maciejem w Wiedniu, a wspomniawszy o poselstwie Wiślickiego, zażądał, aby król wysłał do cesarza pełnomocników dla zawarcia z nim przymierza i związków powinowactwa, które wedle słów posła cesarz Fryderyk miał niby przekładać nad przyjaźń wszystkich innych monarchów. Przy tem ostrzegał króla, aby zdaleka trzymał się od Macieja, gdyż inaczej wpaśnie w sidła jego chytryści. Poselstwo Leszczyńskiego obudziło w Kazimierzu Jagiellończyku nadzieję uzyskania dla swego domu nie tylko czeskiej, lecz i węgierskiej korony. Wyprawił niezwłocznie na dwór cesarski Derśława z Rytwian i Stanisława Ostroroga dla ułożenia przymierza, którego warunki miały być następne: po pierwsze aby Fryderyk, lub też syn jego Maksymilian pojął w małżeństwo córkę królewską, a królewicz Władysław cesarzównę Kunegundę, powtóre aby cesarz pomógł królowi do nabycia Czech i Węgier. Jednakże wchodząc w tak blizkie stosunki z cesarzem, Kazimierz Jagiellończyk nie chciał bynajmniej psuć sobie szyków u jego nieprzyjaciela Jerzego, na którym już tyle korzyści potrafił był wymóc. Wysłał więc do niego Jakóba z Dębna i Stanisława Szydłowieckiego, kasztelana żarnowskiego, z poleceniem, aby wyjeźdnali Władysławowi koronacją za życia Jerzego, naturalnie z uchyleniem projektowanego małżeństwa królewicza z Ludmiłą, a za to mieli przyczynić się do przeciągnięcia na stronę Jerzego panów czeskich, trzymających z Maciejem, i obiecać, że Kazimierz dołoży wszelkich starań u stolicy apostolskiej, aby Czechom udzielonym był pokój religijny na podstawie kompak-

tatów ¹⁾, Dotychczas bowiem, jak widzieliśmy, dwór polski zadnych w tym względzie kroków nie czynił.

Już po zamknięciu sejmu budzińskiego Maciej wyprawił do południowych Czech kilka oddziałów jazdy, lecz wojna właściwa rozpoczęła się dopiero po świętach wielkanocnych, a głównym jej teatrem w tym roku były Morawy. Szczęście ważyło się na obie strony. W miesiącu maju udało się Czechom zdobyć pod Hradyszem dwie wieże oblężnicze węgierskie i wprowadzić do miasta obfitą żywność, ale w następującym miesiącu musieli się cofnąć przed wojskiem Macieja i utracili swego wodza Hrabanię, który się dostał do niewoli. W początkach lipca zgromadziły się pod Niemieckim Brodem znaczne siły czeskie, któremi Jerzy osobiście dowodził, i ztąd ruszył pod Berno. Podczas tego marszu Maciej pobił inne wojsko nieprzyjacielskie, zamierzające połączyć się z Jerzym; natomiast Szlązacy, idąc w pomoc Maciejowi, pierzchnęli przed armią czeską, która od Berna posunęła się ku Kromiryzowi, chcąc ubiec to miasto husyckie za porozumieniem się z mieszczanami, przychylnymi Jerzemu. Lecz zamiar ten nie powiódł się, gdyż Węgrzy w porę o nim się dowiedzieli. Następnie Jerzy uwolnił od oblężenia Hradysz i kilka innych miast, ale nie zdołał wywabić Macieja z jego obronnej pozycji pod Szpilbergiem, aby stoczyć z nim bitwę w otwartym polu. Dopiero gdy Jerzy ze swego obozu pod Malenowicami ruszył w połowie sierpnia dalej na północ, zamierzając, jak sądzono, wtargnąć do Szląska, Maciej opuścił swoje stanowisko i szybkim marszem wkroczył do Czech. Tu Węgrzy w najokrutniejszy sposób zniszczyli okolice Czesławy, Kutnohory i Kolina. Jednakże bardzo nie długo dokazywali; na ratunek uciśnionego ludu pociągnęły wojska z dwóch stron: jedno od Pragi pod dowództwem królowej Joanny Podiebradzkiej, z drugim powracał Jerzy od granicy morawskiej. Maciej lękając się, aby nie był wzięty we dwa ognie, co tchu uciekł do Moraw, gdzie blisko

¹⁾ Długosz XIII. 454—456. O tej ostatniej obietnicy historyk nasz zamilczał z powodu, iż wspieranie odszczepieńców uważał za czyn tak niegodny prawowiernego monarchy, że pomimo całą surowość swoich sądów o Kazimierzu Jagiełłończyku, wołał ten fakt zataić.

cały wrzesień przepędził na rozkwaterowaniu wojsk po różnych miastach, a potem wrócił do Węgier i tam przez całą zimę zabawił. Była to ostatnia jego wyprawa przeciw Jerzemu ¹⁾.

Ze względu na wydatki i straty w ludziach, przeszło od dwóch lat ponoszone, Maciej nieszczególnie wyszedł na wojnie. Był wprawdzie panem Szląska, Łużyc i połowy Moraw; ale te kraje poddały mu się dobrowolnie, sądząc, że przy jego pomocy łatwo się pozbędą króla heretyka i pójdą pod rządy prawowitego pana. To zaś, co Maciej zdobył orężem, jak np. Szpilberg, Trzebiczków i klasztor hradyski pod Ołomuńcem, nie mogło uchodzić za świetny plon tylu trudów i kosztów. Bezowocna wojna zaczęła po mału ostudzać w stronnictwie katolickiem nienawiść ku Jerzemu, a zarazem przychyłność dla króla węgierskiego. Książęta Oleśnicy prosili Kazimierza Jagiellończyka, aby ich pojednał z Jerzym; Wrocławianie błagali Macieja, by swoją obecnością zaradził ich nieszczęśliwemu położeniu, lub pozwolił im zawrzeć z Jerzym pokój na własną rękę ²⁾. Co większa, zaszły jakieś nieporozumienia między Maciejem, a przywódcą związku katolickiego Zdenkiem Sternbergiem i Maciej odebrał jego synowi Jarosławowi namiestnictwo w Sześciomieście łużyckiem ³⁾. Wogóle cechą ówczesnego usposobienia katolików było niezadowolenie z Macieja i pragnienie pokoju, a w skutek tego upowszechniło się przekonanie, że sprawa czeska może być załatwioną tylko w drodze dyplomatycznej. W drugiej połowie lipca odbył się u cesarza Fryderyka w Bielaku (Villach) zjazd, na którym zgromadzeni byli prawie wyłącznie przyjaciele Jerzego, a mianowicie Albrecht Achilles, margrabia brandeburski, Zygmunt, książę Tyrolu, posłowie Karola Śmiałego i niektórych książąt niemieckich, oraz posłowie polscy Dersław z Rytwian i Stanisław Ostroróg. Dokładnych wiadomości o tym zjeździe nie posiadamy; wiadomo tylko, że zapadły na nim jakieś uchwały celem utrzymania Jerzego przy koronie i okiełzania ambicyi króla węgier-

¹⁾ Palacky IV, II. 623, 630—643.

²⁾ Eschenloer II. 211.

³⁾ Palacky IV. II. 653. Sześciomieście nazywano Górne Łużyce, gdzie były miasta: Gorlice, Budyszyn, Żytawa, Lubień, Lubawa i Kamieniec.

skiego ¹⁾. Przez wzgląd na papieża, cesarz niechciał wystąpić przeciw Maciejowi otwarcie; nie przeszkodziło mu to jednak zabrać się wspólnie z Kazimierzem Jagiellończykiem do podziemnej roboty w Węgrzech, która tak gładko poszła, że pod koniec tego i w początkach następującego roku panowie węgierscy, a na czele ich najzaufańsi doradcy Macieja Jan Vitez, arcybiskup ostrzychowski, i siostrzeniec tegoż, znakomity łacinnik Janus Pannonius, biskup Pięciokościelny, dosyć głośno mówili o detronizacji swojego króla, atoli nie na korzyść cesarza Fryderyka, jak ten podobno sobie układał, lecz w zamiarze wyniesienia na królestwo jednego z synów Kazimierza Jagiellończyka. To dążenie monarchów do jednego celu stanęło na zawadzie skojarzeniu ściślejszego między nimi przymierza przez związki małżeńskie ich dzieci. Kazimierz nie potwierdził nawet traktatu, przywiezionego z Gracu przez Ostroroga i Dersława z Rytwan, dlatego, że Fryderyk, pisząc się w nim królem węgierskim i zastrzegając, ażeby jedna strona nie kuśliła się drugiej wydzierać jej krajów, godził, jak się zdawało Kazimierzowi, na jego prawa do Czech i Węgier ²⁾. Ale na położenie Macieja wobec spiskowców okoliczność ta wcale nie wpłynęła. Widząc, że wojna czeska wybornie dogadzała ich celom, zresztą już sam zrażony bezskutecznymi wyprawami, Maciej postanowił pojednać się z Jerzym. Podane przezeń warunki pokoju były następujące: Jerzy będzie panował w Czechach aż do śmierci, a po nim wstąpi na tron Maciej, ten zaś wypuści z niewoli Wiktoryna i uczyni go panem Szląska i Moraw, oraz na przypadek bezpotomnego zejścia swego zapewni jemu i jego braciom następstwo tronu czeskiego; nakoniec wyjedna w Rzymie potwierdzenie kompaktatów, co daleko łatwiej, jak się spodziewano, miało przyjść Maciejowi, aniżeli królowi polskiemu. Ale Jerzy wolał ugodę z Kazimierzem Jagiellończykiem, która o tyle była korzystniejszą od układu z Maciejem, że nie rozrywała całości królestwa czeskiego i niewątpliwie utrzymywała na tronie ród Podiebradzkich, lubo w linii żeńskiej. Wyprawił tedy jeszcze raz do króla polskiego przeora Pawła, żądając przyzwalającej odpowiedzi na warunki elekcyi

¹⁾ Palacky IV, II. 646.

²⁾ Długosz XII. 460, 463—464. Dogiel I. 163—164.

królewicza Władysława i zapowiadając, że w przeciwnym razie będzie musiał zawrzeć traktat z Maciejem dla uzyskania pokoju skołataniem swojemu państwu. Tymczasem propozycje węgierskie, roztrąsnięte na zjeździe w Polnie przez pełnomocników Jerzego i Macieja, poszły następnie pod obrady sejmu czeskiego, złożonego w Pradze 14 lutego 1471, i byłyby ostatecznie przyjęte, gdyby nie zapobiegli temu posłowie polscy Jakób z Dębna i Michał opat łysogórski. Ci jeszcze podczas sejmu piotrkowskiego, odbytego w listopadzie zeszłego roku, otrzymali byli od króla rozkaz udania się do Jerzego i do papieża z poleceniami, dotyczącymi elekcji Władysława. Przybywszy w sam czas do Pragi, tyle dokazali, że stany czeskie, jakkolwiek spragnione pokoju, zdecydowały się odłożyć zawarcie traktatu z Maciejem aż do powrotu posłów polskich z Rzymu. Ma się rozumieć, że posłowie osiągnęli ten rezultat nie łajaniem i zarzucaniem Czechom zmienności umysłu, jak chce Długosz, ale niezawodnie obietnicą, że król polski zaspokoi żądania Jerzego ¹⁾. Jakoż nie mogło być inaczej, zważywszy, że pojednanie się Jerzego z Maciejem, zapewniając temu drugiemu ekspektatywę tronu czeskiego, a zarazem krzyżując zamiary malkontentów węgierskich, zamykało przez to drogę do Czech i Węgier domowi Jagiellońskiemu.

Gdy położenie Jerzego tak dalece się polepszyło, iż mógł wybierać między dwoma sprzymierzyńcami, którzy obaj ofiarowali mu swoje orędownictwo w Rzymie dla odzyskania kompaktów, gdy zresztą i cesarz gotów był się przyczynić do pokoju religijnego w Czechach na tej podstawie, a z pomiędzy członków Rzeszy niemieckiej najgorliwiej wzięli się do tego książęta sascy, złączeni z Jerzym nowym nowym węzłem powinowactwa, ostateczne uśmierzenie burzy czeskiej zawisło od stolicy apostolskiej. Jeszcze 31 grudnia 1470 Paweł II dowiedziawszy się, w jakim celu wyprawieni byli do Jerzego z Nowego miasta Korczyna posłowie polscy Jakób z Dębna i Stanisław Szydłowiecki, pisał do Kazimierza Jagiellończyka, iż nie wierzy, aby ludzie, obiecujący heretykom wyjednanie potępionych przez stolicę apostolską kompaktów, byli jego posłami, uważa ich raczej za samozwańców, których jako takich,

¹⁾ Długosz XIII. 464—465.

jeżeli są poddanymi polskimi, król powinien surowo ukarać ¹⁾. Ale gdy nie zadługo jeden z tych samozwańców wraz z opatem Michałem przybył z sejmu pragskiego do Rzymu i gorąco zaczął się wstawiać za Jerzym, za którym i sascy posłowie jednocześnie zanieśli prośby swych panów, papież zmiękł o tyle, że nie odrzucił wprost przywiezionego przez Sasów projektu pokoju religijnego w Czechach, jakkolwiek wyraźnie opartego na kompaktatach, lecz poddał go pod obrady kardynałów. Drugim objawem łagodniejszego usposobienia papieża względem Jerzego był rozkaz, wystosowany do bawiącego podówczas w Niemczech legata Franciszka Piccolominiego, późniejszego papieża Piusa III, aby się wcale nie mieszał w sprawę następstwa tronu czeskiego ²⁾. Oczywiście nie wiele już rachowano w Rzymie na możność pokonania Jerzego orężem; zresztą wisiało wówczas nad światem katolickim daleko większe niebezpieczeństwo od Turków jak od heretyków czeskich. W lipcu 1470 Turcy zdobyli wyspę Eubee, gdzie tak mnogie, powiada Długosz, znaleźli skarby, że chrześcijanie mogliby byli opędzić niemi uzbrojenie armii, zdolnej do wyparcia barbarzyńców z Europy. Od tej chwili napady tureckie, których dodał doświadczały Węgry i prowincye byłego cesarstwa bizantyńskiego, poczęły grozić z achodniej Europy, a przedewszystkiem Włochom. Ale Jerzy Podjebradzki już nie doczekał się upragnionego pokoju: właśnie podczas rokowań posłów polskich i saskich ze stolicą apostolską umarł w Pradze 22 marca 1471, a śmierć jego znowu na lat kilka uwikłała Czechy w wojnę domową i zagraniczną.

¹⁾ Dogiel I. 21 — 22; Theiner Vetera monumenta historica Hungaricam sacram illustrantia t. II. str. 416.

²⁾ Rajnald 502 — 505.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Julian Sutowicz.

Przegląd Literacki.

Z ŻYCIA LITWINKI

(1827 — 1874).

(z Listów i notatek złożył Bronisław Zaleski, Poznań. Nakładem
J. K. Żupańskiego 1876 roku.

Zajmujący, bardzo ładnie napisany żywot, zajmującej, sympatycznej osoby, i więcej niż zajmującej i sympatycznej, bo niepospolitej talentem, charakterem, uczuciem, nawet kolejami i smutkami życia. Nie jeden z czytelników naszych pamięta widziane przed parą laty na krakowskiej i lwowskiej wystawie piękne Szachy, dziwnie artystycznego pomysłu i wykonania. Po jednej stronie Turcy z całym przyborem wezyrów, baszów, agów i janczarów, krzywych szabel, buńczuków, niewolników i wielbłądów; po drugiej król Jan na czele swoich Polaków, z hetmanem przy boku, z husarzami, skrzydłami i proporcami, z giermkami, pachołkami i nawet z obozowymi ciurami: a to wszystko tak wyraziste i żywe, tak pełne właściwego sobie charakteru i fizygnomii; od króla do chłopca i od Padysza-cha do niewolnika murzyna, każdy tam tak doskonale był sobą, tak nosił wyraźnie wszystkie cechy swojego pochodzenia, powołania, nawet indywidualnego charakteru, że w tych figurkach maleńkich ale po rycersku śmiałych, po królewsku wspaniałych, po żołniersku marsowatych, po staropolsku szlacheckich, i po Grottgerowsku chłopskich, zaklęta była prawie wielka Epopeja wiedeńska. A pomyślane to było z taką poe-

zyą w wyobraźni, z taką w sercu miłością tych typów, czasów i ludzi, wykonane z taką biegłością, z takim mistrzowskim pokonaniem wszystkich trudności, że patrząc na te Szachy nabierało się bardzo wysokiego wyobrażenia o ich autorze, który oczywiście musiał być prawdziwym i bardzo znakomitą artystą.

Wiedziało się o nim tyle, że to nie autor, ale autorka, nie artysta lecz artystka: niektórzy, nieliczni, znali nazwisko i niektóre okoliczności jej życia: wkrótce usłyszeli że umarła. Ale jaka ona była na prawdę, gdzie i jak się kształciła, czy i co więcej prócz szachów zrobiła, o tem tu u nas nikt nie wiedział. I nadal na zawsze może rzeźbiarka Szachów byłaby powiększyła szereg tych artystów, których ocalone dzieła podziwiamy, o nich samych nic prawie nie wiedząc, gdyby książka, o której dzisiaj mówimy, nie była opowiedziała życia *pani Heleny Skirmunttowej*.

Ona to bowiem, autorka znanych nam Szachów, jest tą *Litwinką*, z której Listów i Notatek pan Bronisław Zaleski ułożył ten żywot, sam w sobie nie mniej zajmujący jak budujący, opisany z tym wdziękiem, z tym delikatnym zmysłem artystycznym, jaki znamy dobrze ze wszystkiego, co szanowny ten autor pisze, a należący się słusznie i pamięci czcigodnej artystki wygnanki i publiczności polskiej, która wiedzieć i pamiętać winna i o wygnance, która dla sprawy naszej cierpiała, i o artystce, której talent jest nam zaszczytem i chlubą, i wreszcie o szlachetnej cnotliwej niewieście, której życie może być dla wszystkich przykładem.

Gdzie więc urodziła się i kształciła się, jak żyła, czem była ta artystka? czy ubogą dziewczyną, której wrodzona zdolność walczyć musiała z wszystkimi przeciwnościami losu, czy ktoś przypadkiem poznał się na talencie i otoczył go opieką? Nie: życie miała ona zupełnie zwyczajne, a aż do wygnania swego, z wyjątkiem złego zdrowia, zwyczajnie i po prostu, po wiejsku szczęśliwe: niezwykłą była w niej tylko zdolność i dusza. Helena ze Skirmunttów Skirmunttowa była córką zamożnych rodziców, żoną zamożnego obywatela, za którego wyszła z szczerą, wzajemną miłości. Miała dzieci, z których starsze szczęśliwie wychowała, najmłodsze tylko dzieckiem odumarła, miała matkę serdecznie kochaną, krewnych i przyjaciół gorąco i wiernie do niej przywiązanych. Mieszkała na wsi, w sąsiedztwie tych przyjaciół i krewnych, w okolicy, gdzie rodzina jej zakorzeniła i rozrosła się od wieków, w tej Pińszczyźnie, której bory, trzęsawiska, wywroty drzew i leniwe wody miały dla niej urok i stron rodzinnych i jakiejś osobnej, sobie właściwej poezji. Miała w sercu szlachetne i wysokie pragnienia, miała sferę zadań i obowiązków, w której czynność i energią swoją mogła wywierać; miała sztukę, którą uprawiała z wielkim za-

pałem i z pięknym skutkiem: miała więc wiele warunków i elementów szczęścia. Ale koleje życia były normalne i zwyczajne: a samo jej nieszczęście nawet, wygnanie, spadło na tyłu ludzi w tych czasach, że nie przestając być wielkiem, za niezwykajne niestety uważać się już nie może.

Najwyraźniejsza a przynajmniej najgłośniejsza strona jej życia, powołanie artystyczne, objawiło się późno i prawie przypadkiem. Było wprawdzie od dzieciństwa usposobienie, pociąg, nawet zdolność widoczna, ale nie właściwie skierowana do malarstwa. Młoda panienka uczyła się rysunku, malowała nawet, ale malowała tak, jak jeździła konno, dla przyjemności, i całe to malarstwo nie wyszło zdaje się z granic dylettantyzmu. Później dopiero, już zamężna, pani Skirmunttowa zagrożona chorobą oczów musiała wyjechać [na kuracyą za granicę. Sławny jakiś okulista w Wiedniu zalecał jej, żeby oczów nie męczyła: a gdy znudzona obcem miastem, samotna, zamknięta w pokoju, potrzebowała czemś zająć się i rozerwać i chciała malować, lekarz tego wprawdzie nie zakazywał, ale twierdził, że modelowanie z gliny lub wosku byłoby dla jej osłabionych oczów bezpieczniejszem od rysunku i malowania. I ten wyrok lekarski rozstrzygnął o jej powołaniu. Z ochotą, ale nie domyślając się większej w sobie zdolności, wzięła się do dzieła, znalazła dobrego nauczyciela, który rychło poznał się na jej talencie i rozwijał go usilnie: studia, kopie, nauka anatomii, wreszcie pierwsze własne próby (jakieś figużki Wojewody i i równego jemu szlachcica na zagrodzie, potem Chrystus na krzyżu) — oto na czem zeszedł jej pobyt w Wiedniu, po którym już jako artystka, przez współbraci zupełnie za taką uznana, jako rzeźbiarka, wyjechała do Włoch.

Trwała ta podróż zagranicą do dwóch lat, po których wróciła znowu na Polesie, na wieś, do dawnego domowego życia, z którem godziła, jak mogła, swoje artystyczne powołanie i zajęcie. Szersza publiczność wie tylko o jej szachach, ale nie jeden wiejski kościół, nie jeden dwór ziemiański koło Pińska, przechowuje roboty, które, po szachach sądząc, mogłyby być ozdobą wszystkich muzeów. Między temi robotami zaś, najwięcej rzeczy kościelnych, zwłaszcza krucyfiksów, a po tych najwięcej zdaje się portretów osób krwią i sercem blizkich. Sławy żadnej: o talencie jej wiedzieli tylko sąsiedzi i niemieccy lub włoscy przyjaciele artyści. I żadnego o sławę starania: dzieła jej nie pokazywały się na wystawach, żadne z nich nie poszło nigdy na sprzedaż, lecz każde dostawało się darem do kościoła lub do przyjacielskiego domu. Tak, otoczona rodziną, przyjaciółmi, i swojemi robotami żyła szczęśliwie aż do roku 1863.

Uwięziona, oddana pod sąd, skazaną została na wygnanie do Tambowa. Za co? za to, że był Murawiew, że nieszczęście całej Litwy spadło na nią, na jej męża, na całą

rodzinę. Listy jej z roku 1861 i 1862 pełne są patryotycznego zapału, zrazu nawet dobrych nadziei, ale im bliżej wybuchu, tem też nadziei mniej, i pragnienia wybuchu nie znać w nich wcale, tylko obawę. Nie zdaje się więc, iżby była należała do przygotowujących i organizujących powstanie. Do więzienia dostała się z następującego powodu. W stronach jej krył się oddział Trauguta, i miał się z jakimś innym połączyć. Uwiadomienie o tym drugim należało mu przesłać. W braku kogo innego podjęła się ona tej posługi. Traugutta nie spotkała, ale podburzeni przez rząd chłopci dostrzegli ją w lesie, i donieśli, a choć nie znaleziono przy niej żadnego dowodu, żadnej poszlaki nawet, sama ta okoliczność, że jeździła w las, wystarczyła na zrabowanie jej domu i zesłanie samej do Tambowa.

Listy jej z podróży i z miejsca samego pełne są spokoju, cierpliwości, czasem nawet dziwnej pogody. Z najnieszczęśliwszych ona nie była, to prawda, bo i z tej strony Uralu, i podróż odbyła z większą niż inni wygodą, i zbyt wielu przesłaćdowań i grubiaństw nie zniosła, i wreszcie mąż jej otrzymał pozwolenie przeniesienia się z Kostromy, miejsca swojego wygnania, do Tambowa. W porównaniu z innymi więc los jej był jeszcze znośniejszym. Ale też jak ona to czuje, i jak sobie nieledwie wyrzuca! jak piękne i budujące są jej zapiski z wygnania, w których powtarza często, że Bóg musi bardzo lekko szacować jej siły, kiedy ją tak oszczędza. Oszczędzaniem przykrości, lekkim krzyżem nazywa to, co ludzi na samą myśl dreszczem przejmuje: wygnanie, rozłączenie ze swoimi, przymusową sprzedaż majątku a przez to oczywiście i zubożenie.

Nie będąc w kategorii najciężej skazanych, dostała wraz z mężem pozwolenie powrotu na Litwę w roku 1867: ale nie do własnego już domu, ten był sprzedany, ani na stały pobyt. Jak wielu wracającym z zesłania Litwinom, kazano im mieszkać w Królestwie lub gdzieindziej, byle nie w Litwie. Mąż jej miał przypadkiem posiadłość w Krymie koło Bałakławy, winnicę, i na tej poszedł gospodarować; ona udała się za nim i tam w miejscu, które jej było dość miłe, między mężem a dorastającą córką, przeżyła swoje ostatnie lata. I tu powstały ostatnie jej rzeźby: Giedymini i Mendog, wykonane na prośbę córki i dla niej, jeszcze jeden czwarty z rzędu krucyfiks, i wreszcie znane nam Szachy, zaczęte dawno jeszcze przed uwięzieniem, a teraz na nowo podjęte i ukończone.

Nie możemy się wstrzymać od podania tu niektórych wyjątków z listu, w którym o Szachach mówi, a z których poznać można, jak pojmowała stronę polską swojego zadania. Oto na przykład jak objaśnia niektóre swoje myśli: „Podano mi przed „laty Traktacik staroświecki polski, gdzie autor usilnie dowo- „dził, że figura królowej jest późniejszym wynalazkiem fran- „cuskim, i że wedle wskazówek perskich i indyjskich działanie

„tej figury oddaje się wojownikowi. Przeto najwłaściwszym wy-
„dał mi się Stanisław Jabłonowski, wierny przyjaciel, a przy
„Elekcyi poplecznik króla Jana, tudzież wojownik dzielny
„i mąż prawy.“ Albo znowu jak opisuje swoje śliczne pieszki,
z których każdy miał przedstawiać inny typ narodu i wojska
polskiego: „Pierwszy z nich, Pachółkiem nazwany, z konfede-
„ratką na głowie a gardłaczem skałkowym w dłoni, dziecinnej
„jeszcze ufności i zapału pełen, przedstawia zbiorowy typ tej szla-
„checkiej młodzi, co trochę bezmyślnie pędziła naprzód, byle
„naprzód. Drugi, chłop, młody jak tamten, wyraża znowu typ
„inny, bardziej kmicemu stanowi właściwy, dzielność w boju
„rozważną, ostrożną, wyczekującą.“ Trzecim jest *Ciura* „woło-
kita obozowy.“ „Wiadomo jak ciury byli plagą hufców i obo-
„zów polskich: wadzili, bruździli a w hulaszce ochocie paso-
„żytnie wyczekiwali obłowy. Starzeli nie w służbie żołnierskiej
„ale w służbie Bachusa, sami Sylenowie w rogatywkach i kon-
„tuszach z wylotami. Siedzi też ciura na beczce, obydwie ręce
„buńczucznie wsparłszy na kolanach, z suknią beładnie roz-
„piętą i nagiemi piersiami, czapka na tył głowy spada, wzrok
„wyzywający, usta otwarte jakąś piosenkę hulaszczą nucą. Ró-
„żnym od niego zupełnie jest czwarty Poleszук czyli Pinczuk.
„Wypoczywa ów cichy smętny zmęczony pracownik ziemi i boru,
„leśny mieszkanięc zielenistych bagien, czujnego posłuchu, głę-
„bokiego oka i serca. Może to potomek owych prawych Kry-
„wiczau wiernych Litwie. Jakby nie bądź, dałam sobie prawo
„odtworzenia z uczucia i z pamięci ziomka swego. Pod Sobie-
„skim przecież żyli tacy, on i im panował, a przetrwali ta-
„kimi po dziś dzień. Daj Boże trwać tak jak oni.“ I dalej
o innych podobnie, a kto się Szachom przypatrywał tak jak
trzeba i kto je dobrze pamięta, ten przyzna, że i Pinczuk
i Ciura i śliczny Pachółek i wspaniały król Jan i dzielny
Husarz odpowiedzieli zupełnie zamiarowi artystki, że ręka nie
zawiodła bujnej wyobraźni i polskiego uczucia.

Słowo jeszcze o początku Szachów. Myślała o nich pani
Skirmunttowa dawno, ale jakoś zaniechała. W Tambowie do-
piero, słysząc, że wywożeni na Sybir lepią sobie szachy jak
i z czego mogą, wróciła do dawnych pomysłów, z tym zamię-
rem niby, żeby odlane w wielu egzemplarzach Szachy jej słu-
żyć mogły do wygody i rozrywki wygnańców. Tego pożytku
oczywiście być z nich nie mogło: sama robota musiała trwać
tak długo, że przez ten czas każdy kto chciał już się o jakieś
szachy wystarał. Ale za tę myśl pocziwą była nagroda, bo
dzieło w niej poczęte przydało się nie wygnańcom tylko na
rozrywkę, ale narodowi całemu na zaszczyt, bo są nie wielkim
zapewne, ale bardzo skończonym, w swoim rodzaju najpiękniej-
szym klejnocikiem w skarbcu jego sztuki.

Choroba, która panią Skirmunttową przedwcześnie porwała, rozwinęła się wkrótce po ukończeniu szachów, w schronieniu rodzinnem pod Bałakławą. Po źle leczonej anginie przyszedł kaszel, który wkrótce okazał się groźnym: różne używane środki nie pomagały, niebezpieczeństwo rosło, tak że wypadło koniecznie przewieźć chorą gdzieś w łagodny południowy klimat. Z wielką trudnością ledwo zdołano dowieźć ją do Pyreneów: a dziwnem zrządzeniem to samo miejsce było miejscem śmierci jej i Grottgera. Umarła w Amélie-les-Bains 1go Lutego 1874.

Oto w krótkich słowach wiadomość o życiu znakomitej a tak mało znanej artystki, wiadomość wyciągnięta oczywiście z książki p. Bronisława Zaleskiego. Do tej odsyłamy czytelników naszych po więcej, a należy się wiedzieć więcej o osobie tak niezwyklej talentem, a tak czcigodnej życiem i cierpieniem. Kto zaś podejmie lekki trud przeczytania małego tomiku, ten w nagrodę zapozna się z zajmującą i sympatyczną postacią pani Skirmunttowej, z jej szlachetną piękną duszą, z jej ciekawymi oryginalnymi listami, w których odzywa się ciągle żywe uczucie i usposobienie artystyczne. Wreszcie, kto się na ten trud odważy, odniesie tę nagrodę, że przeczyta książkę tak ładnie, tak misternie ułożoną i napisaną, jak tylko prawdziwi artyści materyały swoje układać i obrabiać umięją.

St. Tarnowski.

Gino Capponi. Storia della Repubblica Fiorentina. Firenze — Barbera 1875.

Ktokolwiek bywał w ostatnich czasach we Florencyi, widział niewątpliwie na jednej z dawnych ulic miasta duży, poważny dom starej daty, o wielkiem poddaszu, pięknym marmurowym gzymsie i wspaniałych rzeźbionych futrynach, przed którym stał przewodnik, by cudzoziemcowi powiedzieć, z uszanowaniem wskazując na pierwsze piętro: „Tu mieszka *Gino Capponi*.“ Te słowa mu wystarczyły, więcej objaśnień dawać nie czuł potrzeby. Nie rozumiał nawet, by się znalazł człowiek na świecie, coby nie wiedział, kto był mąż, którego śmierć przed kilku miesiącami stała się publiczną żałobą nie tylko miasta, ale Włoch całych. I rzeczywiście, Capponi nie należał tylko do samej Florencyi. Był on węzłem łączącym przeszłość Włoch z nową epoką półwyspu, świadkiem najboleśniejszych dni dla swego kraju, wskazówką narodowych nadziei. Wychowaniem i charakterem należał do wieku, w którym się rodził, ale sercem i uczuciami już był dzieckiem swojego czasu i ciekawym typem epoki, w której pracował i działał. Kto nosił

to sławne w dziejach republiki nazwisko, miał zapewnione stanowisko we Florencyi, ale młodzieniec czując ciężar spadłego nań dziedzictwem zaszczytu, od lat dzieciennych pragnął ślad po sobie w potomności zostawić i jedną więcej własnem imieniem zapełnić kartę sławnej rodzinnej kroniki Capponich. Od lat też pierwszej młodości wychodźstwem zaczął zawód publiczny i do końca życia spełniał go z tem poczuciem obowiązku, jakie cechowały długie dni jego działalności. Wcześniej zaznał goryczy wygnania i później wśród długiego swego zawodu musiał uciekać po razy kilka z Florencyi, ale wśród swoich i na obczyźnie nie przestawał pracować, rozpoczęte w dzieciństwie nauki kończył już w wieku dojrzałym, a kiedy w połowie dziewiątego krzyżyka śmierć położyła koniec dobrze spędzonego żywota, jeszcze nie żądał dla siebie wypoczynku i dnia jednego nie śmiał stracić na próżno. W pięćdziesiątym roku życia stracić wzroku nie pozbawiła go ani swobody umysłu ani podniosłości ducha, nie zmniejszyła tej działalności, którą nietylko w sobie do końca życia utrzymać potrafił, ale którą w innych rozbudzić, a dwa pokolenia na około siebie skupić i wychować umiał. Nie mogąc sam pisać dyktował. Dyktował z dziwnem skupieniem ducha, a wzniosłością uczucia, nie szukając oklasków, pragnąc jedynie prawdziwego pożytku, nie poświęcając samego przedmiotu dla formy, ale kochając formę jako obraz wewnętrznego piękna. Kraj swój kochał całym sercem, nawet namiętnie. Dla kraju pracował pod dachem rodzinnym, na obczyźnie gotował się zawsze do powrotu, ale swoje góry Toskańskie przenosił nad wszystkie inne prowincye, a przeszłość Florencyi obrał sobie za zadanie życia. Był towarzyszem i przyjacielem Alfierego, d'Azzealia, Silvia Pellico, Cesara Balbo. Głęboko uczony nie zasklepił się jednak w samej nauce, a ile razy kraj go potrzebował, rzucał ulubiony stolik, książki, papiery, by działać czynnie, uczyć długiego życia doświadczeniem, udzielać rady, świecić własnego poświęcenia przykładem. Ruch filozoficzny przeszłego wieku, wśród którego się rodził i pierwsze spędził lata, nie zaraził go niewiarą ani wyziębł mu serca. Wierny od młodości syn Kościoła, głośno i odważnie swe zasady wyznawał, prosto a z przekonaniem zastosowywał je do życia; wyrozumiały dla innych, surowy dla siebie aż do dnia, w którym stanął przed sądem pewno miłosiernym dla duszy, która nienawiści nie znała, a gorąco umiała kochać. Ceniąc poważną opinią, o opinią ulicy nie dbał i nie czynił jej ustępstwa z własnych przekonań, chociaż przychodziło mu walczyć z własnymi przyjaciółmi, bojącymi się utracić popularności, i wypierać się czasami współnictwa z ludźmi, którzy wcale obojętni sercu jego nie byli.

Chociaż wybrany deputowanym do pierwszego parlamentu włoskiego, potem mianowany senatorem i kawalerem najwyż-

szej godności, orderu Annunziaty, nigdy się nie wyparł łask otrzymanych od Wielkiego Księcia, głośno podnosił cnoty i zacność Leopolda Toskańskiego. Pragnął gorąco zjednoczenia Włoch, ale Włoch katolickich, pod opieką, kierunkiem kościoła, który przez tyle wieków bronił ich przed obcemi najazdami, wychował i wielkimi uczynił. W parlamencie nie brakło mu odwagi dla mówienia prawdy, dla wytykania przekroczeń przeciw chrześcijańskim tradycjom narodu, któremu rewolucyjne rządy pragnęły zatrzeć katolicki charakter. Przeciwny spiskom i tajnym knowaniom, widząc kierunek, jaki brały wypadki, usunął się od publicznego życia i w izbie bywał tylko wtedy, gdy na porządku dziennym stała kwestya wychowania publicznego, którego ani przymusowem, ani bezwyznaniowem nie rozumiał, ostrzegając śmiało o niebezpieczeństwie dla kraju przyszłego pokolenia, rosnącego bez wiary i moralności, wystawionego na namiętności polityczne i rewolucyjne wstrząśnienia. Ostatni raz kazał zaprowadzić się do senatu w 1870 r. po wojnie francuskiej, podczas pamiętnej sessyi 8 września, by podnieść głos w obronie praw Kościoła, których pogwałcenie uważał za zbrodnię i za wielki błąd polityczny. Po zaborze Rzymu nigdy już nie zajął parlamentarnego krzesła. Dom jego przez lat trzydzieści był otwarty dla każdego, kto potrzebował pomocy lub ratunku; dawał schronienie wygnańcom, przytułek biednym, a gościnność wszystkim, kto jej tylko zażądał. Był on także punktem zebrania uczonych i znakomitych cudzoziemców, którzy często zjeżdżali umyślnie do Florencyi, by niezwykłego starca poznać i rady jego zasięgnąć. Spotykali się u niego ludzie różnych przekonań, czasami wprost nieprzyjaznych sobie kierunków, nie tylko oddając uznanie jego szerokiej erudycji i głębokiej nauce, ale uchylając czoła przed cnotą, nieskazitelną charakteru i żywotem prawdziwego chrześcijanina. Uczony i obywatel znalazł hołd w publicznej żałobie całego kraju, chrześcijanin chlubniejsze świadectwo w płaczu i błogosławieństwie ubogich, które mu towarzyszyły do grobu.

Prócz mniejszych broszur i licznych prac ekonomicznych i historycznych, pozostało po nim monumentalne dzieło, którego już drugie wydanie sam przygotował i wydał na widok publiczny na kilka tygodni przed śmiercią. *Storia della Repubblica Fiorentina* nie tylko zadziwia ogromną erudycją autora pozbawionego wzroku, i bogactwem wiadomości, ale nowemi i nieznanemi dotąd dokumentami, znakomitem zestawieniem faktów i oryginalnym poglądem na epokę, która mimo tylu już dzieł o niej traktujących, będzie zawsze niewyczerpanym skarbem dla znakomitych badaczy przeszłości. Gino Capponi po utracie wzroku, nie mogąc chodzić nad brzegi Arna i z Ponte Vecchio patrzeć na ukochane miasto i jego okolice, na kamieniu Dantego

u podnóża strzelistej wieżycy Giotto czytywać starych florenckich kronik, oddał się cały jej przeszłości, by następnym pokoleniom zostawić pamiątkę tego, czego zgasłe jego oczy dojrzeć już nie mogły. Obeznany jak nikt, z bogatemi zbiorami miasta, chociaż sam szperać po archiwach nie mógł, to jednak przewodniczył poszukiwaniom młodych ludzi, którzy pod jego kierunkiem pracowali, a dzisiaj stanowią całą szkołę historyczną, odznaczającą się sumiennością i wytrawnością sądu. Korzystał z ważnych odkryć czterdziestu lat ostatnich, ale nie tylko umiał zrobić z nich nowy użytek, lecz sam wiele nie znanych dotąd odnalazł dokumentów, wyświecił wiele faktów, rozjaśnił mnóstwo wątpliwości. Zarzucano mu, iż nie okazał dostatecznego wykształcenia historycznego w ocenieniu najdawniejszego kronikarza florenckiego *Malespini*, ale Capponi jak z jednej strony ściśle badał wszystkie świadectwa i liczył się prawie z sumieniem, wydając sąd o osobach i wypadkach, tak z drugiej strony nie był zwolennikiem ani w nauce ani w życiu publicznem tej szkoły, która burzy wszystko, co dotąd było uczynione, by na gruzach przeszłości nie wystawić.

Prostując niektóre błędy kronikarza, nie zarzucał mu jak kilku nowych pisarzy, zupełnej niewiadomości i niesumienności, lecz przyjmował te fakta, których niedokładności są dotąd hipotezą pisarzy lubiących przedewszystkiem nowe poglądy, nie zaś pewnikiem opartym na niezbitych dowodach. Zarzucano mu jeszcze zbytnią zwięzłość w dziele, które pisane być miało nie dla samych tylko uczonych. Capponi był rzeczywiście zwięzłym, czasami prawie skąpym w słowie, ale nie wiem czy można liczyć mu to za występki w czasach, w których ścisłość zdania, pewność sądu a jędrność wyrażen została niemal zupełnie zapomniana.

Najlepiej może ze wszystkich jest opracowana epoka Medyceuszów; najtrudniejsza nie dla badacza, ale dla krytyka. Wiek XV i XVI zostanie podobno dla nas psychologiczną zagadką i nigdy może nie odsłoni się całkowicie przed naszymi oczami. Ludzi ówczesnych ocenić dzisiaj bardzo trudno, a sąd o nich bezstronny niepodobna prawie wydać. Trzebaby żyć w tych czasach, które są jedną wielką seryą portretów i dziejami indywidualności, trzeba było należeć do tego ruchu, który tylko filozofowie przeszłego wieku odrodzeniem nazwać mogli, by zrozumieć ludzi, jedną siłą charakteru i namiętnem dążeniem do wielkości wynoszących się nad ogół, kierujących losami narodu i zdobywających sobie niezwykle dziejowe znaczenie, by pojąć te prawdziwie demoniczne postacie, łączące w sobie największe zepsucie z największymi zaletami, a według strasznego wyrażenia Machiavela „zacierające wielkość zbrodni wielkością dopiętego celu.“ Ludzie ówcześni nietylko by się nadać nie mogli do dzisiejszych stosunków, nietylko by nie mieli pola dla

swej działalności, ale społeczeństwo nasze musieliby uważać za bezbarwne, bez życia, bez charakteru. Nam zaś wyobrazić sobie trudno ten ustrój, w którym jednostka własnymi zasobami zakreślała sobie pole działania i sama sobie nową pisała kartę historii. Słuszną czyni uwagę jeden ze znakomitych badaczy niemieckich, że jak ludzie XV wieku czuliby się między nami i przy naszych instytucjach, jak w więzieniu, jak pod kloszem — tak my nie mamy ani dosyć silnych nerwów ani hartu duszy, by przejąć się ówczesnymi stosunkami i móc je dobrze zrozumieć. Jak sobie zdać dokładnie sprawę ze społeczeństwa, które wydało z siebie i obok siebie postawiło Małatestę z Rimini, Cezara Borgio, Lukrecyą, Strozzych, Medyceuszów, Savonarolę, Michała Anioła, Wiktoryą Colonnę?

Tylko Włoch podobno jeden mógłby dać nam klucz do tych psychologicznych zagadek, jakeimi są dla nas ludzie działający przez dwa blisko wieki i czasy, które z siebie wydały najwyższe i najśmielsze pomniki w sferze intelektualnej i artystycznej. Ustrój średniowieczny społeczeństwa chociaż był zapanował na całym zachodzie, nie wydał jednak z siebie tak niezwykłych postaci, jak na półwyspie, a ruch klasyczny nie pozostawił po sobie tych śladów, co w północnych i środkowych Włoszech. I dzisiaj mimo niwelującego systemu centralizacji i rządów dążących do zatarcia wszelkiej tradycji i dziejowej odrębności, Włochy nie mogą się zupełnie wyprzeć swej przeszłości kilku wieków, i poddać pod strychulec nowego społecznego ustroju. Ale Włoch nawet i dzisiaj bardziej niż którykolwiek naród, odznaczający się indywidualnem życiem i odrębnością charakteru, nie ma żadnego zamiłowania w psychologicznych badaniach, nie lubi zagłębiać się w tajniki serca ludzkiego i zdawać sobie sprawy z różnorodnych wpływów, które nim kierują. Namiętnie czuje i namiętnie działa, często wbrew przekonaniom wewnętrznym, bo tak mu interes jego każe, lub cel obrany wymaga, ale wyrachowany i praktyczny abstrakcyi nie nawidzi, teorią nigdy nie żyje, lecz ją konsekwentnie zastosowuje do czynu. Przychodzi też często żałować, że autor tak doskonale znający charakter własnego narodu i tak zamiłowany w jego przeszłości, nie zapragnął zajrzeć czasami głębiej w duszę niektórych osobistości, czy też nie chciał nam odsłonić niektórych kryjówek ich serca, które dojrzeć i rozumieć chyba musiał, kiedy jednym słowem, jednym wyrażeniem umiał tak dobitnie scharakteryzować najważniejsze postacie swojego czasu, iż zdaje się, że je Michał Anioł wykuł w marmurze. Takiemi są na przykład: Savonarola, Makiavel, Lorenzo il Magnifico, Ferruccio, Klemens VIII. Pragnęłoby się tylko czasami więcej szczegółów, więcej światła, któreby nie tylko główne oświeciło rysy, ale dozwoliło nadto przypatrzeć się wszystkim odcieniom, wszystkim stronom charakteru, wszy-

stkim tajnikom duszy. Capponi czuł się nietylko dzieckiem tej przeszłości, którą opisywał, lecz synem „z krwi i kości“ tych samych wielkich postaci, które potrafiły małą rzeszopolitą wynieść do znaczenia prawdziwego państwa i przez całe trzy wieki kazać z niem się rachować największym ówczesnym potęgom. Pisząc dzieje republiki, pisał poniekąd dzieje własnej rodziny, ale jak umiał zachować sumiennność w ocenieniu wypadków, tak prawie przesadził w skromności w opisie czynów swych przodków, z obawy, by ich nie wynieść nad słuszność. A jednak miał się czem pochwalić i miał nawet prawo nauczyć pokolenie, dla którego pisał, z kąd sam brał przykład dzielności charakteru i prawdziwej miłości kraju. O stronnictwo nikt go też nie oskarża. Pisał dzieje, które gorąco ukochał bez pochlebiania patryotycznym uczuciom, bez oszczędzenia nawet ustalonych a niesłusznych tradycji. Historia dla niego była nauką, nie zaś narzędziem dla propagandy politycznych systemów, lub panujących w społeczeństwie teorii. Ścisłością wyrażen i dokładnością opowiadania przypomina on czasem najlepszych autorów klasycznych, a surowością sądu i głębokością poglądu Dantego, z całą bezwzględnością wymierzającego sprawiedliwość i przeciwnikom i własnym stronnikom. Styl jego, chociaż prosty i bez sztucznych ozdób, ale jasny, piękny i z wielkiem wykończeniem formy, czyni z dzieła nietylko gruntownego ale zadziwiającego erudycją książkę, która się czyta łatwo, a która uczy, zastanawia, każe myśleć, a zarazem zaciekawia i zachwyca. *Storia della Repubblica Fiorentina* obudza wielkie podziwienie dla przeszłości Florencyi, a wielkie poszanowanie dla potomka jednego z najsławniejszych jej rodów, który powołał napowrót do życia jak powiada napis pomnika *i tempi per lei più gloriosi*.

Józef Popiel.

O WYBORACH.

LIST PANA PAWŁA POPIELA

DO

PANA STANISŁAWA KOŹMIANA.

Kochany Panie Stanisławie!

Pisałem raz do Ciebie w sprawie publicznej, także w chwili wyborów, i zdawało mi się, że i ważne podniosłem pytania, i właściwie je przedstawiłem. Nie zwróciły jednak czyjejkolwiek bądź, ani nawet twojej uwagi. Kiedy na dniu wczorajszym zażądałeś, abym dał do *Przeglądu* moje o przyszłych wyborach zdanie, nie umiałem zdać sobie sprawy, czemuby dziś miało nabyć wartości. Tłómaczenie po części w artykule Stan. Tarnowskiego. Niezrównany ten artykuł, pomijam czy w pierwszej części zupełnie polityczny, albo nie, pełen, nie mówiąc już o talencie pisarskim, trafności, podniosłości, i jak zawsze, dobrej wiary i odwagi, szczególne na mnie zrobił wrażenie. Tarnowski przyznaje, że byliście pobici wszędzie i zawsze. Kto był pobity? Wy, może: zasady, w imieniu których mówiliście, bynajmniej. *Przegląd* stanął jako organ kilku ludzi dobrej woli, którzy poświęceniem i odwagą chcieli popełnione w najlepszej wierze odplacić błędy: *Przegląd* bronił zdrowych zasad, choć sam zwolna do nich przychodził, ale bronił, jako organ jakiegoś koła, czy kółka, zanego, ale wyłącznego, które rozumiało, że dlatego, iż miało talenta, środki i dobrą wolę, potrafi opinią krajową popro-

wadzić, ovladnąć i uzdrowić. To się nie powiodło, i w tym byliście pobici; jak będzie zawsze z każdym, co z indywidualnym wystąpi programem, co na indywidualną, choćby największą rachuje siłę, co powiada *ja*, albo *my*.

Może chcieliście iść sami, nie znając mimo genialnej trafności niektórych, warunków działania na opinią i społeczeństwo. Warunki te, tylko są dwojakiego rodzaju: Można posługiwać się namiętnościami, albo zasadą. Każda społeczność, choćby niewiem jak upadła, ma ludzi zasad; tych zszeregować, na tych się oprzeć, a tak pozyskać szerszą podstawę, tego *Przegląd* dla swej wyłączności nie potrafił, bo trochę jak Sowietnik na balu u senatora, chciał sobie tańczyć sam, i dlatego zachwiał się: ale jeżeli prawda że był pobity, to zasady, do których przychodził, które wyznawał, pobite nie zostały; tryumfują, bo wszystko co na nich nie oparte, obraca się w nie-szczęście albo śmieszność, bo co tylko zasady te wyznaje, w chwili niebezpieczeństwa stanęło obok *Przeglądu*, niepytając czy taką koleżeńską usługę wywołał swoim postępowaniem, albo nie. Oto skutki zasad, które przeszły w krew i kości. Takie doświadczenie, jak już posłużyło, tak posłuży *Przeglądowi*, i słusznie robi, że dalej wychodzić będzie, bo wielką byłoby szkodą, gdyby w tak pięknym ustał przedsięwzięciu. Oczywiście rzecz, że różnaitość pisarzy, choć mniej uzdolnionych, niesłuchanie potrzebna, bo monotonnym stać się może rodzaj, choćby największego pisarza. Dlatego czynię twemu żądaniu zadość, o wyborach myśli moje podam, nie wchodząc że już może były równie dobrze lub lepiej na innym miejscu, lub przez innych wypowiedziane.

Spółeczeństwo dzieli się obecnie na dwa obozy; rozdział ten coraz głębszy, przepaść pomiędzy nimi coraz straszniejsza. Stoją obok siebie w stosunkach materyalnych; pod względem moralnym nie mają nic wspólnego, dlatego nawet zrozumieć się nie mogą. Tam gdzie niema zrozumienia, tam niema wyrozumienia, tam tylko może być walka. I widzimy to w grubej przewadze brutalnej siły rządowej w majoryzowaniu parlamentarnem, bez względu na prawo i głoszone tolerancyi zasady, w walce na ulicy karabinem, albo petreolem. Powszechność olśniona cudami przemysłu i postępem bogactwa nie zważa, że poziom cywilizacyi obniża się; że grubiejają uczucia, co też się objawia w literaturze, w dziennikarstwie, w sztuce, w poczuciu honoru. Pokolenia żyjące rzadko czują ten upadek, w każdej epoce spostrzegają go tylko umysły wyższe. Kiedy budowano Colosseum albo łaźnie Karakalli, Rzymianie nie domyślali się, że są w strasznym upadku i że barbarzyństwo za progiem. Bardzo podobnie i z nami: w walce odwiecznej duchowości z materyalizmem, ostatni, obecnie pozornie górą, tryumfuje: to w absolutyzmie państwa, to we wszechwładztwie

ludu, nieuznaje żadnego prawa, żadnej wolności sumienia—absorbując wszystko, nawet nie jak bywało na korzyść innego wyznania, ale na korzyść Molocha państwa i negacyi ducha. To tłumaczy, czemu w tej a nie w innej epoce, kościół ogłosił dogmat nieomyłności: obok najstraszniejszej negacyi, należało postawić najwyższą, duchową afirmacyą, i kiedy ziemską władza, absolutnie i ostatecznie, w imieniu państwa o prawie i prawdzie orzekanie arroguje, Bóg wskazuje źródło nieomyłne, z którego płyną oboje, równowagę moralnie materyjalną przewagę, wskazuje ludzkości, z kąd może czerpać i siłę i światło, aby się tej nawalności oprzeć, a nie popaść w najstraszniejszą niewolę, niewolę ducha. Kiedy postawiono na soborze watykańskim kwestyą nieomyłności, nie byłem za nią, bo zdawała mi się niezgodną z tradycyą, a mogącą dzielić wiernych. Że po orzeczeniu bezwzględnie poddałem mój umysł, zapewniać nie potrzebuję. Ale dziś dopiero, po walce komuny paryzkiej, i wobec *Kulturkampf*u, rozumiem nawet po ludzku potrzebę orzeczenia dogmatu, który do tyła wzmocnił władzę duchową i połączył w jedno usiłowania wiernych, że śmiało i zwycięzko mogło stawić czoło prześladowaniu tak niebezpiecznemu, jak go Kościół od czasu Juliusza Apostaty nie doświadczył. Co ten wywód abstrakcyjny ma wspólnego z wyborami? Zobacz, kto będzie miał cierpliwość uważnie czytać.

To co się powiedziało wyżej o rozdarciu społecznem, to u nas zastosowania niema; prawodawstwo państwowe, o ile może, usiłuje rozdarcie to wprowadzić, ale Opatrzność, może jako kompensatę strasznych cierpień, zachowała nas od tego nieszczęścia. W Polskę mało kto śmie przyznać, że jest bezwyznaniowym; rad nie rad, każdy publicznie uznaje się katolikiem, przez wzgląd na rdzeń ludu, który niezachwiany stoi we wierze, przez wzgląd na tradycyą narodową, wreszcie dlatego, że istotnie, oprócz ludzi nielicznych z tajnemi towarzystwy i żydostwem bezwyznaniowem związanych, są niedouczeni, są obojętni, ale licznych nieprzyjaciół kościoła niema: niepociągnięta więc przez środek naszej społeczności linia graniczna pomiędzy świadomym fałszem, a gorliwym wyznastwem. Ztąd nie mogła się wytworzyć u nas różnica stronnictw na tym gruncie, na którym rozwinęła się we Francyi, Niemczech, Włoszech itd.—a to tembardziej, że obok groźby obczyzny, a zdrady nie ruskiego żywiołu, ale tych, co samowładnie mieniają się jego obrońcami, hasło jedności narodowej łączy nas, mimo różnic, któreby nas dzieliły w normalnem położeniu. Wszystkie stronnictwa, o ile istnieją łączą się co do doktryn, zawsze z wyjątkiem nielicznych z tajnemi towarzystwy złączonych, na gruncie polskim, i obok uczciwości i zdolności rękojmnia polskości wystarczała dotąd jako hasło przy wyborach. Czy tak ma być nadal? odpowiem z zupełną otwartością. A to tem śmieiej, że *Przegląd*

nie potrzebuje wcale brać odpowiedzialności za moje zdanie, które własnem podpisuję nazwiskiem.

W położeniu zależnem jak nasze, absolutne prawidła działania postawić się nie dadzą; względy na stosunki wielkie tu mają znaczenie. Inne jest położenie w Wielko-Polsce, inne u nas. W naszej prowincyi w wyborach zwłaszcza do sejmu, uważać potrzeba, aby nic się nie wcisnęło, co by nie było zgodne z narodową tradycją, z narodowem poczuciem i z wiarą narodu, a to gdyby nawet nie z głębokiego przekonania, to z potrzeby uszanowania ludowego instynktu. Po latach 25ciu ludzić się nie należy — rozdział z ludem istnieje; na posłów włościańskich więcej, uważałem, mają wpływu świętojurcy aniżeli stronnictwo narodowe: na gruncie wspólnym, które wskazuje, połączyć się możemy. Prawodawstwo bezwyznaniowe jest ludowi wstrętne, niech znajdzie się w sejmie większość zawsze gotowa je potępić. Szkoły bezwyznaniowej lud nie pojmuje, niechaj przekonanie sejmu co do tego okaże się jasne i niewątpliwe. To będzie dopiero uszanowaniem opinii; boć w końcu jak o interes, tak idzie o opinią przeważnej większości, i sejm niema prawa większości tej pracującej, płacącej, posiadającej własność, narzucać kierunku, na który się żyje, któremu nie ufa. W imię czego? w imię opinii: czyjej? kilku dziennikarzy i tak zwanej inteligencji. Ja dziennikarstwa lekce nie ważę, sam byłem, i długo, dziennikarzem; wiem, że dziennikarz sumienny i świadomy, przemawiający z tych wysokich *rostrów*, to hetman, to wódz opinii; wiem, że może mieć odmienne od moich zasady i cele, i to mu wolno; ale mu nie wolno używać podłych i kłamliwych środków, grać na swawolnych namiętnościach, obniżać moralnego poziomu i poczucia społeczeństwa. Jak Sofiści Ateńscy zatruli opinią, a zamordowali ojczyznę, tak nie jeden naród ginie przez dziennikarstwo, i dlatego pozwalając mu dyskusyi, nie przyznamy prawa do kierunku; krzyków dziennikarskich za opinią nie weźmiemy, a choćby o władnęły powierzchnią, pójdziemy do rdzenia narodu, i powiemy z wieszczem: „Pławajmy na tę skorupę, a stąpamy do głębi!“ a w tej głębi co? U ludu wiara prosta i szczerą, mimo pewnych, dobrze nam znanych usiłowań; w obywatelstwie też sama nie zginęła tradycja, chociaż powierzchowna literatura i zfałszowany polityczny język wiele nagromadziły błędów. W każdej stanowczej chwili uznanie prawdy wydobędzie się instynktowo. Nie chcę powtarzać śmiesznego inteligencji miana, ale pomiędzy uczonymi naszymi tak być musi jak na całym świecie. Naród nasz do europejskiego ruchu umysłowego należy, dzieli jego zalety, błędy i uprzedzenia. Ale pomiędzy uczonymi naszymi, i jakimi uczonymi, dość wspomnieć Helcla, Kremiera, Gołuchowskiego, Dziechuszyckiego, co chwila napotkać człowieka wiary, co nie zer-

wał z powagą kościoła, a w każdym razie z porządkiem duchownym. W takim położeniu, wyżsi i szczęśliwsi od innych narodów, nie chcąc tracić tego przywileju, utrzymujmy go tam, z kąd ostatecznie płynie i kierunek i najwyższa powaga w sejmie. Sejm nic nie może, powtarzają do przesytu; ale sejm ostatecznie daje najwyższą sankcją opinii; i choćby ani jedno prawo przezeń wotowane nie zyskało zatwierdzenia monarchy, niemniej, co dla nas najważniejsze, wywrze wpływ zbawienny na wewnątrz, przez powagę i kierunek dany opinii. I dlatego potrzeba tam posłać ludzi poważnych. Już na innem powiedziałem, nieco pobieżnie, miejscu, że do sejmu nie potrzeba wielu posłów wymownych, lub nadzwyczaj zdolnych. Powtarzam: sejm potrzebuje ludzi z rozsądkiem, charakterem, i znajomością krajowych stosunków; kilkunastu mówców do prowadzenia dyskusyi wystarczy, nawał mów, zbyt częste zabieranie głosu, utrudnia obrady, a zaprawdę nie przyczynia się do jasnej redakcyi praw, która być powinna jednolitą. Ale nie w sejmie dopiero powinni się gotować do swego powołania. Już opinia krajowa, już głos wyborców, już znajomość potrzeb naszego społeczeństwa, powinno im wskazać, do czego rękę przyłożyć. Indywidualne projekta i wnioski, dowolnie pomyslane, a poparte mową jakby na popis, tylko drogi czas sejmu zabierają; przed sesją powinni posłowie, po wspólnem porozumieniu te projekta do rozpraw podać i poprzeć, które w danej chwili są najpotrzebniejsze. Gdyby sejm nadchodzący uchwycił silnie kwestyą wychowania i organizacyi politycznej kraju, jużby się niesłuchanie zasłużył. Sprawę wychowania mamy poniekąd w ręku, ale ponieważ późne owoce przynosi, za czasu należy o nich pomyśleć. Zmiana w organizacyi politycznej kraju nie zależy wyłącznie od sejmu, ale przez poważną dyskusyą może ją przygotować, i podnieść do takiej wysokości, że uwzględnioną będzie i przez Radę państwa i przez inne koronne kraje. Organizacya gminy i władz politycznych na zdrowych, naturalnych oparta zasadach i na żywiołach składowych naszej społeczności, musi uderzyć każdego publicystę i prawdziwego człowieka stanu, który zrozumie odrazu, że tu nie idzie o urzeczywistnienie przewidzianej teoryi, ale o uporządkowanie żywotnych sił, w społeczeństwie; zdaje mi się, że wskazanie tego kierunku posłom, że wybory odbyte pod tym sztandarem, zapewniłyby płodność przyszłej sejmowej sesyi, a nim przyjdzie do porządku w instytucyach, wpłynęłyby na porządek moralny rozmaitych warstw naszej społeczności. Zastanawiam się nad tym przedmiotem, równie jak nad kwestyą szkolną, bo o rozbiórce kwestyj politycznych nie starczyłoby mówić, tylko o kierunku duchowym; społeczność ludzka złożona jest z rozmaitych żywiołów, jedne tak

ważne jak i drugie; jedne są niemal warunkiem drugich. *Et haec facienda et illa non omittenda.*

Spotykamy się co chwila z zarzutem, że Galicya niema ludzi politycznych, a królestwo liczyło ich na dziesiątki. Przyczyna bardzo prosta. Galicyą lat 80siąt rządziła biórokracya, królestwo miało tradycyę dziesięcioletnie księstwa warszawskiego i czterdziestoletnie kongresowych rządów, wyrobili się więc ludzie. Ale poczekajmy trochę, a Galicya, jak już ma kilku dzielnych administratorów, kilku zdolnych posłów, tak będzie miała ludzi politycznych zastęp, jeżeli ich dziennikarstwo nie zabije; a królestwo, boję się, popadnie w niemoc i obłęd, jak się to już pokazuje na pozytywno-kosmopolitycznym kierunku najnowszych publikacyj warszawskich. Zależać to będzie głównie od wyborców. Ludzi nie braknie, byle nie szukać geniuszów, karyerowiczów, i jęczyciowych sofistów, ale brać ludzi z charakterem, sumieniem i rozsądkiem. Pomiedzy mowcami, to jedni są już wskazani, innych wybrać z młodszego pokolenia, nazwisk nie podnoszę: *exempla odiosa*. Ale pytam, czy każdy parlament nie mógłby pozazdrościć takiego znawcy stosunków krajowych jak Kraiński, takiego mowcy logicznego i pracowitego jak Krzeczunowicz; pomijam innych. Takie powagi uszanować wyborem, pominąć inne, które tak wrobiły się w dawne stosunki, że potrzeb obecnej chwili zrozumieć nie mogą. Po piętnastu latach, po zmianach konstytucyjnych, obok bezwzględego zaufania i poświęcenia dla osoby i domu panującego, a obawy, jaką słusznie budzi centralistyczno-germanizacyjny kierunek ministerstwa, potrzeba ludzi którzyby te momenta trafnie ocenić, i postępowanie swe do nich zastosować potrafili. Komitety wyborcze, wyznaczone przez koło sejmowe, były mi zawsze przeciwnie; ten rodzaj kooptacyi, ta ciągłość czasem błędnych zapatrywań, to *compelle intrare*, które się tak łatwo przedzierzga w despotyzm, pod sankcyją narodową, sprawia, że wołałbym aby inicjatywa komitetu wychodziła od wyborców jak od sejmu, wołałbym, aby ich kilka powstało. Za wyborem komitetów w kole nie wotowałem, a czytając uchwały delegatów zapadłe na zjeździe dnia 8go i 9go p. m. we Lwowie przekonywam się, że z mego stanowiska miałem słuszność.

Jeżeli komitet centralny wedle § 3go układu listę *potrzebnych*, wyklucza tych, których uważa za *szkodliwych*, i rozstrzyga, kiedy kilku kandydatów zgłasza się do mandatów — to już nie kraj wybiera, ale komitet centralny. Jak zwykle, będzie to pod grozą zdrady sprawy narodowej. Targowicy, itd. W ten sposób można udaćremnić, albo odstraszyć najzaciejsze kandydatury, niezawsze rade puszczać się w zawody z uorganizowaniem pod firmą sejmową stronnictwem. Dlatego rad jestem komitetowi, aby siły, objawiające się

w kraju, równoważył, ale nie, aby niemi kierował; bo nie wiem, czy to kierownictwo uchwycić potrafią właśnie takie ręce, którym bym zaufał. Rozumiem, że komitet krakowski ograniczy się do takiego jak wskazałem działania, rozumiem nawet, że zostawi zupełną wolność zawiązywania innych komitetów, gdzieby do tego były wola i siły, nieobkładając ich dlatego ostracyzmem; boć kraj wybierając sejm nie pozbył się raz na zawsze, wedle teorii Hobessa swej władzy, na pasku wodzić się nieda, i mogą być miejscowości, które właśnie w innym kierunku szukać będą posła, jak ten, który sobie komitet wytknął. Mogą być miejscowości, mogą być koła, i będą stanowczo, gdzie bezwyznaniowość sama wyłączy kandydata z zaufania wyborców; będą takie, w których wierność dla wiary ojców będzie warunkiem wyboru, a to dlatego, że kierunek pewnego dziennikarstwa, dawniej w kraju nieznany, wywołuje konieczność bezwzględnej afirmacyi prawd, które przypuszczano, albo jako ogólnie uznane, albo przeciwko którym nikt nie śmiał głosu podnieść. Bylibyśmy też nie podnosili tej sprawy, gdyby zachowano w niej przyzwoitość. Ale teraz kiedy to, co się dzieje w Niemczech i w Rosyi, nie otwarło oczów ani naszej publicystyce, ani poznańskiej, musimy myśleć, nie o sobie, ale o najdroższych skarbach bezpośrednio sumienia, a pośrednio narodowości. My potrzebujemy posłów, co wiarą połączeni z milionami naszego ludu, co obok tego, i dlatego kochają po Bogu nad wszystko ojczyznę, co znają jej przeszłość, co wierzą w jej przyszłość, i nie myślą rozplynać się w ludzkości, albo utonąć w słowiańszczyźnie, bo wiedzą, że *Deus fecit sanabiles nationes terrae*.

Ruszcza 22 Sierpnia.

Paweł Popiel.

Przegląd polityczny.

Kraków 31 sierpnia.

Turcja w rzędzie państw europejskich istnieć nie powinna, sprawa Słowian południowych tryumfować nie może! Takie jest zdanie powszechne tak dyplomacy jak i ludów europejskich. Sympatya wszystkich jest po stronie Słowian, wszystkie interesa przemawiają za utrzymaniem Turcyi. W walce uczuć z interesami, ostatnie zwyciężyć muszą. Błędem i winą Słowian było, że nie umieli stanąć na takim stanowisku, żeby uczucia Europy z jej interesami pogodzić. Rzucając się wyłącznie i jedynie w objęcia Rosyi, przyjmując od niej hasła i działając na komendę z Petersburga, zaniepokoiili wszystkie gabinety europejskie, obrazili interesa sąsiadów i niesąsiadów. Nikt w Europie ani powiększenia terytoryalnego Rosyi, ani rozszerzenia jej wpływu moralnego życzyć sobie nie może. Agitacya Rosyi w Galicyi i między Słowianami węgierskimi tak dla gabinetu peszteńskiego jak i wiedeńskiego jest nauką i przestrogą. Austria wie, że jeżeli ta agitacya dzisiaj przyczyniła a nawet objawy jej obecnie karane bywają, n. p. konfiskatą dzienników szczujących przeciwko Austrii, to dzieje się to dla tego tylko, aby na dziś pozyskać poparcie Austrii na Wschodzie i aby później, gdy Rosya cele swoje tam osiągnie, z całą bezwzględnością i stanowczością przeciw niej postąpić. Poparcie Rosyi przez Austryą znaczy tyle, co kręcić na siebie samą powrózek. Jakiem niebezpieczeństwem grozi angielskim posiadłościom w Azji sąsiedztwo Rosyi, wykazały dostatecznie dzienniki angielskie; taż sama Rosya usadowiwszy się nad Bosforem, niweczy wszystkie korzyści, jakie Anglia osiągnęła zakupując akcyę przekopu Suezkiego. Prusy a właściwie cesarstwo niemieckie w przewidywaniu, że tak jak z Francją trzeba się będzie im rozprawić z Rosją i to w niedale-

kiej przyszłości, przyczyniać się do pomnożenia jej zasobów materialnych i moralnych nie mogą, chociażby osobiste stosunki między carem a cesarzem były najlepsze. Posiadanie prowincyj nadbałtyckich jest dla Prus kwestyą interesu i uczucia, a krzyk bóleści z Dorpatu lub Rygi nierównie silniej zelektryzuje Berlin, jak podobne krzyki dochodzące z Belgradu lub Serajewa wrzekomo elektryzują Petersburg. To są powody, dla których gabinety Wiednia, Londynu i Berlina sprawy słowiańskiej, przedstawiającej się im jako sprawa czysto rosyjska, nie tylko popierać nie mogą, ale przeciwnie wszystkich sprężyn użyć muszą, aby ją na tak długo uspić, dopóki Słowianie południowi nie dadzą dowodu, że radykalnie i raz na zawsze z Rosyą nie zerwali. Dopóki to zerwanie nie nastąpi, wszystkie wysilenia i poświęcenia Słowian tureckich na nic się nie przydadzą; przez poczucie humanitarne może się Europa starać o polepszenie losu chrześcijan, na wybicie się ich z niewoli tureckiej nigdy nie zezwoli, a ułudę, że Rosya w obronie ich czynnie wystąpi, opłaca potokami krwi, pożogą i zniszczeniem swoich siedlisk. Rosya całej Europy na rękę nie wyzwie, a gdyby to nawet zrobiła nie zbawi ich, a siebie samą na największe niebezpieczeństwo narazi. Powiemy więcej, mimo pięknych frazesów potępiających okrucieństwa i barbarzyństwa tureckie, jakie napotykamy w dziennikach europejskich, z czegożby może Słowianie sądzić mieli, że opinia na ich stronę się przechyli i przeciw Turkom się zwróci, sądzymy, że w gruncie dyplomacya europejska z tego barbarzyństwa rada i ona najlepiej jeszcze jej interesa zabezpiecza. Frazes nic nie kosztuje, okrzyki oburzenia zostaną dowodem, że Europa XIX wieku czuła i oburzała się, dla potomności to wystarczy. „Gabinety robiły co mogły“ ale właśnie, że im coś dla chrześcijan zrobić wypadnie, w duchu z tego barbarzyństwa radzi, bo tradycya o nich najbliższe pokolenia odstraszy moralnie od odnowienia kwestyi wschodniej, a zniszczenie zasobów materialnych na długie lata nowe powstanie uczyni niepodobnem. Turcy naśladują tu zresztą tylko Rosyą, a wyliczanie z jej strony okrucieństw tureckich, jest niejako rozgrzeszeniem danem Turcyi, przypomnieniem Europie, że Rosya przed czternastu laty tak samo postępowała w Polsce. Murawiew nawet po uśmierzeniu powstania wieszał, całe osady niszczył, jeżeli powstańcowi kto z niej podał kawałek chleba lub trochę wody; prześladował wiarę i język; ktokolwiek po polsku w Polsce się odezwał, przepłacał to Sybirem i konfiskatą majątku. Nie, Turcy takiego barbarzyństwa dotąd się nie dopuścili, przyznać im to musi przyjaciel i nieprzyjaciel. Zresztą Turcy to barbarzyńcy, sami za takich się uznają w porównaniu z Europą, Rosyanie zaś to wyskok cywilizacyi, Europę uważają za zdemoralizowaną, zgniłą i strupieszającą. Porównując dwa barbarzyń-

stwa, nie uniewinniamy żadnego: obydwa są złe; które gorsze, sąd o tem zostawiamy poczuciu każdego myślącego i nieuprzedzonego czytelnika; sami sądu nie wydajemy, zestawiamy tylko fakta; zanadto poczuwamy się być Słowianami, o stronność dla Turków posądzać nas nie można i jeżeli kto, to my życzymy sobie rozwiązania sprawy wschodniej z korzyścią dla chrześcijan i Słowian, byle to rozwiązanie nie szło na korzyść Rosyi, nie szanującej żadnej indywidualności, Rosyi niewolę turecką chcącej zastąpić niewolą carską i moskiewską, z czego nawet dzienniki jej nie robią tajemnicy, nazywając otwarcie sprawę wschodnią sprawą rosyjską, Rosyi depcącej wszystkie prawa ludzkości i powodującej się w Polsce jedynie zemstą! Niedawno wszystkie gazety umieściły pismo Risticza, ministra spraw zagranicznych Serbii, w którym wypiera się solidarności z Rosyą; nie wiemy, czy to dokument autentyczny, w każdym razie zapóźno się pokazał i bezpośrednio na bieg sprawy wschodniej wpływu wyrzucić nie może; najwięcej posłużyć może za dowód, że sami Serbowie przyszli do przekonania, że Słowianie południowi jako przednia straż Rosyi miru w Europie mieć nie mogą.

Obecnie zdaje się, że jesteśmy w przededniu rokowań pokojowych. Właściwie odkąd każdy z gabinetów interesowanych z osobna wypowiedział, że Turcyja nie terytoryalnie nie straci, a Słowiańszczyzna nie zyska, wojna nie ma ni przedmiotu, ni celu, o któryby walczano, tem bardziej, że nie strony wojujące między sobą układać się będą, lecz Europa warunki pokoju im podyktuje. Dla czego koniecznie wyczekują decydującej bitwy? Wojna nawet z wybitnym celem jest wielką klęską dla ludzkości, cóż dopiero wojna dla wojny, niby sztuka dla sztuki; dla czego gabinety mające dyktować pokój stronom wojującym, nie nakażą im pochować mieczów do pochew? dla czego nawet zaproszone do pośrednictwa nie działają pospiesznie i sprężysto? Zabójstwo pojedyncze dokonane pod wpływem fanatyzmu religijnego czy narodowego rozognia Europę: dziś pod jej boki i za jej wolą padają tysiące już to w otwartej walce, już jako ofiary nieurzędowych mordów i grabieży. Jeżeli chodzi o uczynienie Serbii niezdolną do popierania sprawy słowiańskiej, można ją wysokością kosztów wojennych i skazaniem na znaczną kontrybucyą złamać na długie lata; dogadzałoby to interesom a niepoliczkowałoby ludzkości. Niestety sojusz Serbów z Rosyą nawet ich tego dobrodziejstwa pozbawiło, któreby w każdym innym wypadku już od dawna nastąpiło. Koszta wojenne i kontrybucya muszą być z natury rzezczy objęte warunkiem pokoju, zatem Rosya nań wpływać będzie. Że wystąpi energicznie, niema wątpliwości, nie los Słowian, ale jej honor tego wymaga. Nie chcąc jej drażnić, miłość jej własną do ostateczności doprowadzać, coby

w następstwie ogólnej wojny europejskiej sprowadzić mogło, gabinety mają zamiar uwzględnić wszystkie żądania Rosyi na korzyść Słowian, byle tylko nie było komu korzyści tych zbierać i temi względami się cieszyć. Im więcej Słowian w tej wojnie legnie, im więcej ich sioł i miast zamienionych zostanie w perzynę, tem więcej dla Europy gwarancyi długiego pokoju i możności oszczędzania żądań Rosyi przy nastąpić mających układach. Z tego powodu na pośrednictwo jeszcze nie czas! Smutne to ale prawdziwe, powiedzielibyśmy nawet konieczne, bo przeszkodzić może rozlewowi krwi na większe rozmiary, uratować Europę od ogólnego pożaru.

O przebiegu wojny rozwodzić się nie będziemy, zostawiamy to dziennikom codziennym. Dotąd przewaga oręża jest po stronie Turcyi. Odepchnęli oni armią serbską po za Timok, zdobyli jedną linię obronną; nie udało im się wprowadzić sforsować drugiej linii w 6-dniowej walce od 19 do 26 sierpnia, nie utracili jednak ani pędzi z zajętej serbskiej ziemi; od tego czasu nowszych wiadomości z pola walki niema. Dotychczasowa walka przekonała księcia Milana, że Słowiańszczyzna bez obcej pomocy wolności nie odzyska, a ponieważ Rosya tej pomocy udzielić jej nie może a Europa nie chce — oświadczył gotowość do układów i zawezwał pośrednictwa mocarstw neutralnych. Turcy stawiają podobno jako *conditio sine qua non* zburzenie szaniec nad Timokiem i pod Aleksinaczem, ponieważ szaniec te mają jedynie na celu obronę Serbii przeciw Turkom, a Turcyja samowolnie Serbii napadać nie może. Żądanie to nie zdaje się być niesłusznem, a dla Turcyi jest jaką taką rękojmią spokojnego zachowania się Serbii. Turcyja stawia jeszcze inne żądania, ale to jest głównem, i Europa zapewne takowe poprze. Okrom sprawy wschodniej najważniejsze dla nas są bliskie wybory do sejmu krajowego, rozpisane na koniec października. Na innem miejscu *Przeгляд* naznaczył i naznaczy jeszcze swoje do nich stanowisko, tu tylko powiemy: tendencyjna ustawa Szmerlingowska dająca kuryi włościańskiej połowę krzesel w sejmie, pozbawia reprezentacyą krajową sił roboczych, mogących, chcących i umięających się zająć pracami ustawodawczemi. Tem bardziej więc pamiętać należy, aby z miast i kuryi własności większej wybierać ludzi zdolnych i wypróbowanego patryotyzmu. Ambicijki zaściankowe długi czas uwzględniane powinny już być zaspokojone, niechajże teraz spoczywają już na laurach i uspokojeniu miłości własnej i pozwolą pracować ludziom rzecz i potrzeby kraju znającym. Z tymi Świętojurcami i tymi Żydami, którzy jawnie wypierają się solidarności z krajem, których zadaniem jest nie dobro jego, ale przeciwnie stawianie przeszkód jego rozwojowi materyalnemu i moralnemu, w żadne tranzakcje wchodzić nie można. *Neue freie Presse*, organ owych

żydów galicyjskich i przez nich redagowany, powinien raz na zawsze nauczyć nas, czem są żydzi. Żydzi ci jawnie manifestują swoją nieprzyjaźń; wolimy mieć otwartych nieprzyjaciół, niż skrytych wrogów. Lecz tranzakcyi z nimi niema, tak samo z Świętojurcami, którzy do schizmy się przyznają. Wiemy na szczęście, że w społeczności żydowskiej są osobistości szczerze oddane krajowi, ale te zapytane o radę, pewnieby nam także tranzakcyi z żydami z *Neue freie Presse* nie polecały. Ostrzegamy jeszcze przed tymi, którzy ani stałego zdania, ani jasnego pojęcia sprawy nie mają; chwiejność jednych, ograniczenie drugich może ich mimowolnie i bezwiednie na najzgubniejsze tory zaprowadzić. W żadnym razie ludzie myślący na nich w wypadkach trudniejszych liczyć nie mogą. Będą się oni oburzać potajemnie na krzykaczy, ale wszędzie spełnią ich wolę, aby się nie narażać opinii, nie publicznej, ale najgłośniejszej. Goniący za popularnością każdej chwili, to najgorszy materiał na ludzi politycznych. Frazeziści i gaduły w ciele prawodawczem, to zawada i ciężar.

L. Powidaj.

† Smutnego dopełnić musimy w końcu obowiązku, zapisując śmierć Ludwika Wołowskiego, Czł. Instytutu Francyi i centralnego Towarzystwa rolniczego, Senatora Rzpłtej francuskiej, słynnego autora wielu dzieł ekonomicznych w języku francuskim, który zakończył życie licząc lat 67 w Gisors (Eure) dnia 15 sierpnia. Ś. p. Wołowski pochodzeniem należy do naszego narodu, należał doń służbą za młodu i serdeczną przychylnością, którą mu do ostatniej chwili zachował; działanie swoje poświęcił Francyi, dla której tyle lat sumiennie i pożytecznie pracował. Dla nas zawsze to zaszczytne imię, bo imię Polaka, który dostarczył jednego dowodu więcej, że potrafimy przy pracy i wytrwałości, przy zdolnościach przyrodzonych, których nam Bóg nieposkapił, zjednać sobie zaszczytne uznanie i chwałę nawet w trudnych warunkach, nawet u obcych. Szkoda zapewne było, że taka siła i taka zdolność swojemu krajowi służyć nie mogła — ale dobrze, że i na obcym gruncie o polskiej pracy, nauce i uczciwości zaszczytne dawała świadectwo.

Od Redakcyi.

PRZEGLĄD EKONOMICZNY.

Odbyty w drugiej połowie sierpnia *czwarty międzynarodowy targ zbożowy w Wiedniu*, stwierdził powziętą już w zeszłym roku nadzieję, że nowa ta instytucja, byle rozumnie poprowadzona, odpowie potrzebom rolniczych krajów Austrii i ustali się. Przebieg tego targu zasługuje przeto na obszerniejsze rozpatrzenie.

Gdy podobne targi w Peszcie i Lipsku odbywają się wówczas, gdy żniwa dopiero się zaczynają, nie mogą też nigdy nabrać rozleglejszego znaczenia i wywierać stanowczego wpływu na handel zbożowy. Targ zaś wiedeński odbywa się właśnie po żniwach, gdy rezultata zbiorów przynajmniej co do ilości kop są wiadome, więc dają już pewną podstawę do obliczeń *prawdopodobnych*. Zupełnie pewne obliczenia są niemożliwe, gdyż ilość kop nie stanowi jeszcze o ilości korcy, nie wiadomo jak gdzie kopa będzie sypać; wszelako obliczenia prawdopodobne zupełnie tu wystarczają, ażeby na ich podstawie mogła się wytworzyć sytuacja jasna, ażeby widoki popytu zostały stwierdzone i ceny przeciętne zapewnione. Zadanie targów tych, które są od wielu lat jedynym, zdrowym, powszechnego znaczenia pomysłem ekonomicznym w Austrii, określił dobrze przewodniczący Naschauer w przemowie swojej, z której przytoczymy główną ośnowę: „Dawniej kupcy starali się w interesie samolubnym zatajać rezultaty żniw, o jakich się dowiedzieć mogli. Informacje te były zwykle niedokładne; spekulacye doznawały zawodów, a wypełnienie niedoboru niektórych krajów odbywało się nieregularnie i często przez złe ocenienie położenia rzeczy, zboża wywiezione z jednego kraju do drugiego wracały znów napowrót z uszczerbkiem dobrobytu po-

wszechnego. Przekonaanie, że wczesne, a dokładne, na drodze urzędowej zebrane i całej interesowanej w tej mierze publiczności przedłożone rezultaty żniw wszystkich krajów europejskich przyczynią się najskuteczniej do regularnego uzupełnienia niedoboru jednego kraju zbytkiem drugiego, i że wśród takich warunków handel zbożowy odnosić będzie zysk może w pewnych razach mniejszy, ale niezawodnie pewniejszy, producenci zaś odrazu wiedzieć będą mogli, czego się trzymać, przekonanie to przyczyniło się głównie do urządzenia międzynarodowych targów zbożowych we Wiedniu.“ Mają zatem targi te zbliżyć konsumenta do producenta, ułatwić im bezpośrednie z sobą stosunki, bez potrzeby pośredników, którzy znaczną część możliwych zysków zabierają. Oczywiście, że pod nazwą producentów mogą tu być rozumiani tylko albo wielcy producenci rolniczy i przemysłowi, albo kraje poszczególne jako takie — nie zaś rolnicy w ogóle. *Korzyści więc z tych targów odnosić mogą tylko te kraje, w których handel zbożowy, w interesie rolników zorganizowany, daje im możliwość dostawy tym sposobem bezpośrednio płodów swoich na targ międzynarodowy, dla zbytu najkorzystniejszego w stronę, gdzie ich właśnie potrzeba. Lecz gdzie handel zbożowy spoczywa w ręku żydków, którzy kupują zboże na pniu, gdzie rolnik bez faktora żydka obejść się nie może, gdzie spółki rolnicze są wyjątkiem — tam możliwość korzystania z targu międzynarodowego — a korzystania korzystnego dla kraju i rolnictwa, jest także w znacznej części jednym z ideałów przyszłości. Nie wiemy, czy Galicya powyższe słowa zechce jeszcze wziąć do siebie.*

Urzędownie sprowadzona suma transakcyj zawartych na targu wiedeńskim jest następująca: Obrot w pszenicy wynosił 200,000 centnarów. Zakupiono ją do Szwajcaryi, południowych Niemiec i do Tyrolu po cenach nieco wyższych nad notacye pierwotne. Obrot w życie wynosił 45,000 centnarów, zakupionych na potrzeby młynów prowincjonalnych. Zakupiono gotowego owsa 50,000 cetnarów; z tych 20,000 dla Alzacyi, resztę dla południowych Niemiec, a na późniejsze odstawy zatargowano jeszcze 10,000 cetnarów owsa na potrzeby krajów austriackich. W jęczmieniu znaczny ruch transakcyjny. Jęczmienia na paszę zakupiono 100,000 cetnarów do północnych i południowych Niemiec i do Szwajcaryi. Soczewicy i bobu zakupiono 20,000, rzepaku 15,000, mąki 30,000, ctrań 40,000 cetnarów po cenach cokolwiek wyższych.

Z rozdanych zaś i odczytanych urzędowych sprawozdań podajemy w streszczeniu najważniejsze dane: W sprawozdaniu podzielono Europę na kraje konsumcyjne i produkcyjne. Do pierwszych policzono Francją, Anglią i Niemcy, do drugich Austro-Węgry i Rumunią.

W tych krajach są następujące rezultaty żniwa tegorocznego:

1. *Pszenica*. W Prusach okazał się niedobór 18% do średniego żniwa, w Meklemburgii niedobór 20%, w Badenii 10%, w Wirtembergii 5%. Natomiast Bawarya i Saksonia miały zupełne średnie żniwo. W Anglii, gdzie żniwo dotąd nie skończone, szacują niedobór do średniego żniwa na 5%. Północno-zachodnia Francya miała dobre średnie żniwo, natomiast we wszystkich innych częściach Francyi rezultat żniwa w pszenicy pozostaje o 24% poniżej żniwa średniego.

W drugim gronie t. j. produkcyjnym Austro-Węgry miały nie złe średnie żniwo w pszenicy, z deficytem najwyższej 2% wynoszącym. Rosya południowa, średnia i Królestwo polskie miały dobre średnie żniwo, natomiast był w północnej Rosyi taki nieurodzaj w pszenicy, że 70% niedoboru do średniego żniwa obliczają. W Rumunii obliczają 25% ubytku w stosunku do zwykłego średniego żniwa, w Szwajcaryi niedobór 10%, Szwecyi, Norwegii i Danii brakuje 15% do średniego żniwa, w Holandyi 30%.

2. *Żyto*. W Prusach okazał się niedobór 29%, w Meklemburgii 20%, w Badenii 5%, w Wirtembergii 12%, w południowej Bawarii i Frankonii 5%, w górnej i dolnej Bawarii 30%, w Saksonii 25%. Żniwo angielskie w życie nie ma dla nas ważnego znaczenia. We Francyi zaś spodziewają się średniego żniwa pełna. W Austro-Węgrach okazał się niedomiar 5%, w Rosyi północne prowincje mają 40% niedomiaru do średniego żniwa, reszta krajów rosyjskich posiada nadbytek 5% nad średnie żniwo, w Rumunii brakuje 5% do średniego żniwa, w Szwajcaryi 20%, w Szwecyi 15%, a w Danii i Norwegii 25%. Natomiast mają północne Włochy dobre średnie żniwo w życie.

3. *Jęczmień*. W Prusach okazał się niedomiar 10% do średniego żniwa. w Meklemburgii średnie żniwo pełna, tak samo w Badenii i Wirtembergii, w Bawarii zebrano jęczmienia nawet nieco więcej nad średnie żniwo. Ubytek w Anglii wynosi 5%, we Francyi nie ma też pełna średniego żniwa. Austro-Węgry i Rosya mają 5% nad średnie żniwo, natomiast w Królestwie polskiem, w Rumunii i Szwajcaryi okazało się tylko średnie żniwo, a w Danii i Norwegii ubytek tegoroczny poniżej średniego żniwa wynosi 50%, w Szwecyi 30%.

4. *Owies*. W Prusach okazał się niedobór 6% do średniego żniwa, w Meklemburgii 5%; w Badenii natomiast niedomiar 5%, w Wirtembergii 8%, w Bawarii 5—10. Saksonia ma średnie żniwo. W Anglii obliczają niedobór na 15%, w Szwajcaryi tak samo, co do Francyi nie ma dokładnych wiadomości.

W Austro-Węgrzech okazał się nadmiar 10% nad zwyczajne żniwo. Rosya miała średnie żniwo, może nawet nieco więcej, tak samo Rumunia, w Danii i Norwegii zaś obliczają niedomiar do średniego żniwa na 50%, a w Szwecyi na 30%.

W Austrii szczegółowo ma się rzecz następująco:

W komitatach Aradskim, Aekeskim, Temeskim, Torontalskim i Komarna, w Kroacyi i na pograniczu wojskowem okazał się ogólny niedobór 800,000 hektolitrow pszenicy, lepsze nierównie żniwo w reszcie komitatów węgierskich wyrównało o tyle ogólny rezultat, że Węgry mają w pszenicy średnie żniwo bez deficytu; w Przedlitawii okazały się wprawdzie niedobory w Styryi, Tyrolu, Istrii i Dalmacyi, które jednak żniwo reszty krajów przedlitawskich nietylko do wysokości średniego żniwa wyrównało, ale okazuje się tu jeszcze nadmiar $\frac{1}{2}$ miliona hektolitrow pszenicy. Podług więc doświadczenia, ile w razie średniego żniwa export wynosi, okazało się, że Austria może wywieźć za granicę około 4 miliony hektolitrow pszenicy.

W życie natomiast okazał się, w obu połowach państwa, niedomiar 2 milionów hektolitrow do średniego żniwa, co wszelki export za granicę czyni niepodobnym.

Co do jęczmienia, to z wyjątkiem Kroacyi, wreszcie państwa przeciętne żniwo było dobrem i okazuje się nadmiaru nad średnie żniwo 1,300,000 hekt. w Węgrzech, a 1 milion hekt. w Przedlitawii. Wynika ztąd możność exportu około 5 mil. hekt. Owies stosunkowo udał się jeszcze lepiej i obliczono w Wiedniu export na 7 do 8 milionów hektolitrow. Jest to rezultat, jakiego Austria od kilkunastu lat wykazać nie mogła.

Środkowa Rosya będzie musiała zaspakajać potrzeby północnej Rosyi, gdzie był zupełny nieurodzaj. W najbliższym nam i ztąd konkurującym z nami Podolu rezultat żniwa był następujący: Pszenica w słomie dobra, ale nie sypie. W przecięciu wydała pszenica po 16 mec. austr. na morgę austr. (Joch) jej waga 83 funt. meca wied. Żyta liczą 14 mec na morgę austr. Waga 78—80 funt. wied. na mecę. Jęczmień dobry (70 funt.) wydał 22 m. na morgę austr. Żniwo owsa wyborne, maisu spodziewają się dobrego, nawet dobrych ziemniaków. Ztąd więc możemy wyczekiwać współzawodnictwa dla Austrii, szczególnie dla Galicyi. Według odczytanych relacyj okazuje się wogóle, że Austria ma w tym roku 15 milionów centnarów więcej, aniżeli dla siebie potrzebuje. Przedstawia ta zwykła przeciętną wartość 60 milionów złr. Eksport tych 15 milionów cent. zdaje się być pewnym — wszelako na zbyt wysokie ceny liczyć niezdaje nam się bezpiecznem, gdyż za mało zwrócono na samymże targu uwagi na konkurencyą zboża amerykańskiego; zadawalniając się tylko depeszą kon-

sula austr. z N. Yorku, że w Ameryce zbiory o 10% mniejsze od ubiegłego roku. Pomimo stałej chęci kupna zauważano też, że za płody galicyjskie stawiano ceny za wysokie w stosunku do ich jakości. Z tego zaś wynika, że jeżeli w razie ogólnej korzystnej dla nas sytuacji, mamy z niej istotnie korzystać i porastać w pierze na lata nieurodzaju u nas, albo zbytich urodzajów zagranicą — potrzeba nam do tego, oprócz organizacyi naszego handlu — jeszcze reformy w naszym rolnictwie, potrzeba lepiej obrabiać ziemię, żeby nierodziła chwastów, potrzeba lepiej czyścić ziarno na siew, żeby nie siać chwastów, odświeżać ziarno, racjonalnie — a wtedy jakoś naszej pszenicy, żyta itd. będzie taką, że nas uprawni do stawiania wysokich cen. Organizacya krajowa samegoż handlu zbożowego wymaga takiej ogólnej naprawy i postępu w kulturze — ażeby handel nasz mógł być pewnym, że dobry otrzyma zewsząd towar, (o ile to w ludzkiej mocy, nie zaś rozmaity, jak trafi, co stałe transakcye ogromnie utrudnia, nie dozwala na ustalenie reputacyi, na zrobienie *firmy* naszemu eksportowi).

Wiadomo, że gdy ś. p. Wielogłowski zaczął torować drogi niezmiernie korzystnemu eksportowi naszego masła — niebawem zmuszony został ustać i dać pokój; towar mu zwracano, bo był lichey, a dostarczony jakoby dobry. Od owego czasu reputacya naszego masła jeszcze się nie podniosła. Tak samo w eksporcie zboża potrzeba postępować *solid*, żeby reputacyą, odbyt i zysk stały sobie zapewnić.

O organizacyi naszego handlu zbożowego dużo już mówiono i pisano, jednak nic dotąd nie zrobiono. Nie mogę tu ryczałtowo sprawy tej odnawiać, ani załatwiać, chociaż w samej rzeczy potrzeba u nas koniecznie ciągle wołać i pisać, ciągle padać kroplą na ogólną obojętność dla własnych nawet interesów, aż się w niej wyżłobi przewód dla myśli i woli — lecz pokrótce na przykładzie rzecz niech się sama objaśni.

Trzy lata temu kilku obywateli w Tarnopolskiem założyło *Spółkę rolniczą*; przystąpili do działania nie mając 5 tysięcy złr. W ubiegłym roku Spółka ta reprezentowała już obrot 300.000 korcy, ułatwia członkom wszelkie interesa rolnicze i przemysłowe, a w pierwszym względzie korzystny zbyt ich płodów, usunęła tam żydków zupełnie ze sceny; sąsiednie powiaty zgłaszają się z chęcią przystąpienia do niej i przystępują. W każdym powiecie, powiatowe towarzystwo rolnicze może się stać taką Spółką — biuro dla niej jest gotowe w Radzie powiatowej — bank dla niej jest gotowy w powiatowym towarzystwie zaliczkowem (patrz o kredycie rolniczym *Przegląd* z czerwca) i w Towarzystwie wzajemnego kredytu — organa dla nich centralne są rzeczą, która od razu sama się przez się tworzy, korzystając z istniejących już instytucyj, żeby się

oszczędnie urządzać, powstaną wtedy magazyny zbożowe we Lwowie, rozwinie się szerzej działalność magazynów komisowego Wydziału banku galicyjskiego w Krakowie, który to Wydział już i teraz, jak wiadomo, niemało się zajmuje eksportem zboża i wołów.

Jedno pociągnięcie pióra nakreśli z łatwością cały plan, ale wiemy z góry, że za rok o tym czasie znowu wypadnie mówić o tych samych potrzebach naszych, które pozostaną *desideratami*. Czy nie możemy, czy nie chcemy? Czy ogółowi naszemu zbywa na rozumieniu rzeczy, czy na woli? Jeżeli ci ludzie u nas, którzy biorą inicjatywę, (a policzyć ich można na palcach), nie zdołają stworzyć uczniów swoich po prowincyi, tak jak stwarzają filie swoich instytucyj — to nie wiele nam pomogą targi międzynarodowe; będzie jak bywało, z dnia na dzień, jakbądź się rzeczy ułożą, bez naszego przyczynienia i będziemy zawsze materyalnie zależni i skrupowani klęskami elementarnymi, ilekroć się zdarzą, rozumem zagranicy, przebiegłością i ruchliwością hebrajskich monopolistów. Udział też kraju naszego, osobisty niejako, w targach tych międzynarodowych unormowany być może tylko przy organizacyi naszego handlu zbożowego. Dzisiaj wielcy producenci, rolnicy i przemysłowcy (młynarze) mogą tam jechać oryentować się i próbować robić interes *dla siebie*. Masa drobnej produkcji, ośobiście jechać nie może i niema po co — a jeżeli dowie się *poniekąd* ze sprawozdań o stanie rzeczy, cóż może zrobić? starać się o uzyskanie lepszych warunków od swoich żydków, którzy są jej reprezentantami jedynymi, jej głową i ręką i kieszenią. A dopóki cała masa drobnej produkcji zarówno z wielką nie zostanie ujętą w krajową organizacyą handlu zbożowego, dopóty kraj, ogólny dobrobyt korzyści i targów międzynarodowych odnosić nie będzie. Zdaje mi się, że tego bliżej dowieść nie potrzeba. Wypada też przestrzedz przed puszczeniem się lekkomyślnem na fale międzynarodowych targów, przed wędrówkami do Wiednia dla wydania dużo pieniędzy w mniemaniu, jakoby się udział brało w ekonomicznym ruchu. Należy to do reprezentantów naszego handlu zbożowego, których potrzeba, żebyśmy mieli.

Z targami temi połączoną też jest wystawa w czterech działach przemysłu rolniczego; w młynarstwie, gorzelnictwie, browarnictwie i piekarstwie. Sprawozdanie z takich wystaw, które bywają niebezpiecznemi dla naszych ziemian skłonnych zawsze do *nowinek* zagranicznych, wymaga specjalnego znawstwa. Z takiego też obszerniejszego sprawozdania fachowego, skreślonego przez inżyniera mechanika p. Leona Zieleniewskiego, a przeznaczonego dla „Poradnika przemysłowo-rolniczego“ — wyjmujemy bodaj nazwy rzeczy uznanych tamże za godne wzmianki.

W młynarstwie zwróconą jest uwaga na zastąpienie o ile się da pracy dokonywanej przez kamienie, (na które ma monopol Francya — lubo Tatry niemniej dobre pokłady posiadają) przez żelazo i stal, to jest przez przyrządy mechaniczne, składki walcowe. Wielce zwrócił uwagę na siebie wynalazek krakowski p. Zipsera, dyrektora młynów królewskich, nowej maszyny do rozcinania ziarn, do żubrowania, bez utraty mąki, przyrządem nożykowym, — który autor sprawozdania ma do potrzeb gospodarskich zastosować.

W gorzelnictwie, ostatnie żelazne parniki, specjalnie w Galicyi ulepszone, utrzymały się na wysokości — nic ponad nie się nie pokazało.

W browarnictwie okazały się dwa wyborne systemy suszarni słodu — oraz t. z. filtr kompresyjny dla robienia *chleba* z wywarów gorzelnianych, który to chleb można długo przechowywać jako zapas na czas przednowku pod względem paszy dla bydła. W piekarstwie zasługuje na wzięcie machina do dzielenia ciasta na równe części. Nareszcie wspomnieć trzeba przyrząd do napełniania z beczki równocześnie czterech naraz butelek — rzecz niezmiernie ważna przy piwie, porterze itp. Po bliższe szczegóły i informacje odsełamy interesowanych do *Poradnika* i do autora sprawozdania — dodamy tutaj tylko, że wystawy te stwierdzają w praktyce, uzasadnioną przez nas teorią ¹⁾ wystaw, gdzie tylko specjalnym wystawom przyznałiśmy rację.

W końcu pozwolimy sobie przedrukować podane przez *Czas* niejake wiadomości o stosunku toczącej się wojny do handlu i przemysłu w Austrii — wiadomości to krótkie, ale dosyć charakterystyczne, które też obiegiły prawie wszystkie dzienniki i które nasuwają szersze wnioski. Oto one:

„Długie trwanie wojny na Wschodzie przynosi niezmierne szkody przemysłowi i handlowi austriackiemu. Od kilku lat wzmógł się był znacznie wywóz do prowincyj tureckich, w którym i Kraków miał swój udział. Sam rząd turecki ma kilka tysięcy folwarków pod własnym zarządem, a wybierając przytem podatki w naturze, stara się sam o wszystko co potrzeba dla wyżywienia wojska i koni. Sam też rząd uprawia rolę, sieje, zbiera, młóci, miele mąkę i chleb piecze. Wszelkie potrzebne narzędzia i maszyny do niedawna nabywano tam wyłącznie z Anglii i Ameryki, aż dopiero po połączeniu kolejami z Austro-Węgrami, choć to Turcy, policzyli, że za wszystko płacili trzy razy drożej, niż w Austrii nabywając. Spedytorzy Grecy i żydzi zabierali zwykle na swoje koszta 50% wartości towaru. Przed dwoma laty bawił w Krakowie generał Streckler, Reszyd Pasza, obecnie szef sztabu Achmeta Ejuba pa-

¹⁾ Patrz o wystawach Przegląd z lutego.

szy i zawarł umowę z fabryką p. Zieleniewskiego o dostawę młocarni, pługów, machin parowych i t. p., a ułożone już urządzenie młyna parowego przez tę fabrykę w pobliżu Szumli, przerwała właśnie wojna, w chwili, kiedy Muchtar pasza, obecnie głównodowodzący, odnośny kontrakt już był podpisał. Pomimo wojny, odchodzi jednak właśnie wyrób przemysłu krakowskiego do Turcyi, mianowicie do Jerozolimy, gdzie, jak wiadomo, toczy się ciągle, nieraz i krwawy bój o posiadanie Miejsc Świętych między katolikami, protestantami i prawosławnymi mnichami. W zeszłym roku zabrano katolicką kapliczkę na górze Oliwnej na rzecz prawosławnych popów. W tym roku stanął jednak znowu obok klasztor katolicki żeński, do którego Polacy (hr. Czarnecki) sprawiają właśnie dzwon. Dzwon ten spiżowy, ozdobny, odlany został przez p. Ziembowskiego bronzownika, a wytoczony w fabryce p. Zieleniewskiego.

Jedna z tych niewielu gałęzi przemysłu, w której Austria zwycięża wszelką konkurencyą, mianowicie wyroby z pianki i z bursztynu, stoi odłogiem; z powodu wojny ustał bowiem zupełnie handel na Wschód fajkami, cygarniczkami, cybuchami. Wiedeń niezmiernie ponosi stąd szkody.

Szczepański Alfred.